

Magiczny Krąg

Neville Katherine



calibre 0.7.14

Katherine Neville

Magiczny Krag

Przełożyła Bogumiła Malarecka

Czas powraca.

Lorenzo de' Medici

Czas zatacza koło; wszystko się powtarza.

Friedrich Nietzsche

To, co się kołem toczy, kołem powraca.

motto Hell's Angels

GROTA

Zakryta przed nimi przyszłość

Ani nie rozumieją spraw przeszłych.

I nie wiedzą, co się z nimi stanie,

I nie uratują dusz od nieznannej przyszłości.

zwoje znad Morza Martwego, proroctwo esseńczyków

Oto ostatni się czas kamejskiej pieśni pojawił,

Oto na nowo się wieków odradza wielki porządek,

Już dziewica powraca, powraca królestwo Saturna,

Nowy potomek z niebios wysokich na padół zstępuje.

Wergiliusz, ekloga IV, proroctwo Sybilli,

przeł. Zofia Abramowiczówna

Kurne, Italia jesień A.D. 1870

Było tuż przed zmierzchem. Wznoszące się wysoko nad Kumę wulkaniczne Lago d'Averno wyglądało jak zawieszone w powietrzu. W jego wodach, spowitych tu i ówdzie metalicznymi oparami, odbijały się pędzone wiatrem, opalizujące przez srebrny sierp księżyca chmury. Zapadający zmrok zamieniał krwistą czerwień skarłowaciałych dębów, porastających ściany krateru, w niesamowitą purpurę. Grozę potęgowała bijąca od jeziora woń piekielnej siarki. Owiane legendą miejsce zdawało się na coś czekać. Na coś, co zostało przepowiedziane przed tysiącami lat. Na coś, co się miało wydarzyć właśnie tej nocy.

Kiedy ciemności zgęstniały, spomiędzy drzew okalających brzeg jeziora wyłoniła się ukradkiem jakaś postać. Dźwigała na ramieniu kilof, rulon natłuszczonego brezentu, mocną linę i sprzęt do wspinaczki. Za nią ukazały się trzy kolejne sylwetki. Wszyscy ubrani byli jednakowo: skórzane bryczesy i kaftany. Na głowach kaski. Chód i figura przywódcy jednak wyraźnie wskazywały, że jest nim kobieta. W całkowitym milczeniu, ona i jej towarzysze, ruszyli ścieżką ku odległemu drugiemu krańcowi jeziora.

W miejscu, w którym gęsta kępa drzew maskowała sterczący klif, kobieta na powrót weszła w cień. Wymacawszy w porośniętej dzikim winem skale wcześniej odnalezioną szczelinę, naciągnęła grube rękawice, przesunęła poluzowany kamień i wślizgnęła się do środka, nakazując pozostałej trójce iść za sobą. Serce waliło jej jak młotem.

Szybko rozwinęła brezent i przy pomocy któregoś z towarzyszy zatkała nim szczelinę. Upewniwszy się w ten sposób, że niczyje niepożądane oczy nie wyśledzą choćby najmniejszej smugi światła, zdjęła z głowy metalowy kask i przymocowała do niego karbidową górniczą latarkę. Odrzuciła grzywę jasnych włosów i omiotła krótkim spojrzeniem budzące zaufanie, silne sylwetki mężczyzn. Dopiero wtedy rozejrzała się po ogromnej grocie.

Nad nimi pięła się ponadstustopowej wysokości wilgotna wulkaniczna skała. Pod nimi, za krawędzią stromego klifu, w niezgłębionej, czarnej jak smoła próżni szumiał niewidoczny rwący nurt. Kobiecie zaparło dech w piersiach. Oto zdała sobie sprawę, że razem z towarzyszami weszła na ścieżkę, która niegdyś prowadziła ciekawskich poszukiwaczy tajemnic w samą czeluść wygasłego wulkanu. Że ona i jej towarzysze stoją w miejscu otoczonym legendą, poszukiwanym przez tak wielu od tak wielu stuleci, w grocie służącej niegdyś za mieszkanie najdawniejszej ze wszystkich wieszczek: wyroczni Sybilli.

O pomyłce nie mogło być mowy – światło górniczej lampki wydobywało z mroków grocie opisywaną przez Heraklita, Plutarcha i Pauzanasza, a także przez poetę Wergiliusza, tego, który ją unieśmiertelnił w swojej epopei. Który nazwał ją miejscem zejścia Eneasza do królestwa zmarłych. Tak, nie mogło być mowy o pomyłce. Poza tym przewodniczka grupy była przekonana, że przed nią i jej towarzyszami nie było tu nikogo od dwóch tysiącleci.

Kiedy Oktawian August w 27 roku p.n.e. przejął władzę w Rzymie, mocą pierwszego edyktu polecił zebrać wszystkie egzemplarze przepowiedni Sybilli, zwanych Księgami sybillińskimi. Spalił wszystkie, które uznał za „nieautentyczne”, inaczej mówiąc – nie potwierdzające jego praw do władzy albo prorokujące powrót republiki. Następnie rozkazał opieczetować grocie w Kumę. Właściwe wejście do niej, umiejscowione nie tutaj, lecz u podnóża wulkanu, zostało pogrzebane pod skalnym rumowiskiem. Słynna grota przepadła dla ludzkości. Aż do teraz.

Młoda kobieta ponownie włożyła górniczy kask. Wyciągnęła ze skórzanego kaftana z grubsza naszkicowaną mapę i podała go najwyższemu z trzech mężczyzn. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

– Aszi, pójdiesz ze mną. Twoi starsi bracia muszą tu pozostać i pilnować wejścia. Jeśli na dole natkniemy się na przeszkodę, ta szczelina będzie jedyną drogą ucieczki. – Odwracając się ku stromemu klifowi, rzuciła odważnie: – Schodzę pierwsza.

Ale Aszi chwycił ją za nadgarstki i pochyliwszy urodziwą twarz, przyjrzał się jej z troską i niepokojem w oczach. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w czoło.

– O nie, Clio, pozwól, że ja poprowadzę. – Zapalił drugą lampkę i przypiął ją do swojego kasku. – Urodziłem się w górach, *cara mia*, i skaczę po skałach jak kozice. Moi bracia spuszcza cię tuż za mną. – Kiedy potrząsnęła przecząco głową, dodał: – Mapa, którą twój ojciec zdążył przed śmiercią naszkicować, wyraża jedynie pogląd uczonego, który spędził życie na czytaniu zakurzonych ksiąg. Sam, choć wiele podróżował, nigdy tu nie trafił. A poza tym wieszczki często bywają niebezpieczne. Taka jedna trzymała w swojej grocie w Delfach kłębowisko groźnych pytonów. Nie wiadomo, co tam znajdziemy, w tym twoim świętym miejscu.

Clio wzdrygnęła się na samą myśl o węzach, a dwaj pozostali mocno zbudowani mężczyźni przytaknęli milcząco odważnemu bratu i uwiązali u występu skalnego grubą linę; Aszi chwycił ją, zaparł się o ścianę butami na metalowych ćwiekach, błysnął krótkim uśmiechem i zniknął w ciemnej otchłani.

Po długiej, denerwującej chwili lina wreszcie zawisła swobodnie. Znaczyło to, że Aszi dotknął stopami dna. Clio opasała się własną liną i przeciągnęła ją między nogami. Kiedy tak zrobioną uprząż bracia umocowali do głównej liny, młoda kobieta, podwójnie zabezpieczona, również zniknęła za krawędzią.

Schodząc po stromej skale, sama i w ciszy, Clio uważnie przyglądała się strukturze szarego łupka, jakby to w nim tkwił klucz do jakiejś zagadki. Jeśli ściany mają uszy, pomyślała w pewnym momencie, ta jedna mogłaby zdradzić tysiącletnie tajemnice. Tak jak Sybilla, istota, która wiedziała wszystko o przeszłości i potrafiła przepowiadać przyszłość.

Sybilla, najstarsza wieszczka w historii, żyjąca w wielu krajach przez dziesiątki pokoleń, urodziła się na górze Ida, z której bogowie obserwowali przebieg wojny trojańskiej. Ponad pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa Sybilla wyruszyła do Rzymu, aby sprzedać królowi Tarkwiniuszowi Pyszmemu księgi swoich przepowiedni obejmujących kolejne dwanaście tysiącleci. Kiedy ten nie przystał na jej cenę, spaliła pierwsze trzy księgi. Kiedy dalej się nie godził – kolejne trzy. W końcu trzy ostatnie Tarkwiniusz kupił i umieścił w świątyni Jowisza Kapitońskiego, gdzie pozostawały do roku osiemdziesiątego trzeciego przed naszą erą, do czasu, kiedy ogień strawił i księgi, i świątynię.

Wizje Sybilli były tak prorocze i tak dalekosiężne, że bogowie w nagrodę spełniali jej każde życzenie. Sybilla żyła tysiąc lat, lecz prosząc Apollina, który ją kochał, o długie życie, zapomniała poprosić o wieczną młodość i kiedy nadszedł kres jej dni, tak bardzo się skurczyła, że został z niej jedynie wciąż wieszczący głos. Ten głos zamknięto w małej amforce, którą złożono w owej prastarej tajemniczej grocie. Naczynie dawno zdążyło porosnąć trawą, a korowodowi podróżnych ze wszystkich stron świata, chcących usłyszeć pieśń Sybilli, nie było końca. I pewnie byłoby tak dalej, gdyby nie to, że Oktawian August uciszył dawną wieszczkę na zawsze, za pomocą neapolitańskiej gliny.

Clio wierzyła wbrew samej sobie, że informacja, którą jej ojciec zdobył dzięki zamięłowaniu do starych ksiąg, wizja, której sens pojawił dopiero na łożu śmierci, okaże się prawdziwa. Tak czy inaczej, aby spełnić kategoryczne życzenie umierającego, postawiła na szalę wszystko, co miała, i wszystko, czym dotychczas była.

Dotarła na dno. Przed upadkiem na śliskie kamienie wyznaczające brzeg rwącej podziemnej rzeki uchroniły ją silne ręce Asziego.

Droga przez jaskinie pod wulkanem, szlakiem wyznaczonym na mapie ojca Clio, zabrała obojgu więcej niż godzinę. W końcu stanęli pod widniejącym wysoko w skale otworem, przy usypanym z kamieni kopcu, dawnym miejscu złotego tronu. Właśnie tu, na tym tronie, stulecie po stuleciu siadały następczyni Sybilli, młode dziewczyny z okolicznych wsi, aby własnymi ustami głosić jej przepowiednie.

Aszi niespodziewanie pochylił się ku Clio i pocałował ją w usta.

– Ciesz się, prawie jesteś wolna – powiedział z uśmiechem, po czym wszedł na pokruszone kamienie kopca, podskoczył i zaczął się piąć po ścianie klifu, ku otworowi. Kiedy w końcu zaparty butami o skałę wyciągnął rękę i sięgnął do otworu, aby wymacać właściwe miejsce, Clio wstrzymała oddech, dopóki dłoń Asziego się na czymś nie zacisnęła.

A potem Aszi wrócił i wręczył to Clio: błyszczący przedmiot, podobny do małej buteleczki, niewiele większej niż jej dłoń. Clio nigdy nie dawała wiary temu, że jakakolwiek amfora może przechowywać głos Sybilli. Sądziła raczej, że naczynie kryje zapis jej proroczych słów. Wieszczby Sybilli, według Plutarcha, zostały spisane na małej metalowej płytce, tak lekkiej i kruchej, że po uwolnieniu miały ulecieć z wiatrem.

Clio ostrożnie otworzyła amforę. Na jej dłoń posypały się maleńkie płatki, każdy wielkości paznokcia i na każdym widniały greckie litery. Dotknęła jednego płatka i spojrzała w szafirowe oczy Asziego.

–Rozumiesz coś? – wyszeptał.

–Tak. To greka, *en to pan*. Co znaczy „jedno jest wszystkim”.

Sybilla przepowiedziała, co się zdarzy w każdym decydującym momencie historii i – co istotniejsze – jaki to będzie miało związek z każdym przełomowym wydarzeniem z przeszłości. Wieszczyla nadejście nowej niebiańskiej epoki bezpośrednio po jej czasach – epoki *Pisces*, Ryb, którą miał zapoczątkować król zrodzony z dziewicy. Sybilla widziała tajemne więzi spinające tysiąclecia pajęczą siecią, łączące epokę Ryb z Wodnikiem, (*Aquarius*), epoką, która miała nastąpić nie wcześniej niż za dwadzieścia stuleci, czyli, pomyślała Clio, mniej więcej teraz.

Clio zsyłała płatki z powrotem do naczynka. Ale kiedy oboje z Aszim ruszyli w długą powrotną drogę przez jaskinie i dalej, na powierzchnię, pomyślała z lękiem, że wie, co naprawdę oznacza ten moment. Stało się to, co zawsze przeczuwał jej ojciec. Wydobywając na światło dzienne maleńką amforę wypełnioną czasem, odkorkowując dawno zamknięty głos przeszłości, ona, Clio, otworzyła drzwi, które być może powinny pozostawać zamknięte. Otworzyła puszkę Pandory.

Tej nocy pieśń Sybilli, niemo spoczywająca w ciemnościach pod wulkanem, została obudzona, aby po blisko dwóch tysiącleciach jeszcze raz popłynąć przez świat.

WEJŚCIE W KRAĞ

Tak więc (Jezus) powiedział, byśmy uformowali krąg i ujęli się za ręce.

I sam stanął w środku, i rzekł: „Odpowiadajcie mi: amen”.

Potem zaczął śpiewać i mówić...

„Tańczcie, tańczcie wszyscy...

Taniec przystoi światu.

Ten, kto nie tańczy, niczego nie pojmuje...

Jeśli będziecie mnie naśladować w tańcu,

ujrzycie siebie we mnie, w tym, który mówi,

Ale nie wyjawiajcie moich tajemnic.

Oto raz podskoczyłem: lecz czy ogarniacie rozumem całość?"

Apokryf świętego Jana

Jerozolima

wczesna wiosna A.D. 32

poniedziałek

Poncjusz Piłat miał kłopot, zaskakująco poważny kłopot. Ale na największą ironię losu zakrawało to, że – po raz pierwszy w czasie jego siedmioletniego panowania jako rzymskiego prefekta Judei – ci przekłęci Żydzi mieli nie być winni.

Siedział sam, wysoko nad Jerozolimą, na tarasie pałacu zbudowanego przez Heroda Wielkiego, z widokiem na zachodnie mury i bramę Jaffską. Poniżej, w królewskich ogrodach, zachodzące słońce zamieniało liście drzew granatu w płomień i rozświetlało złote klatki pełne gołębi, spuściznę po Herodzie. Tuż za ogrodami zbocza Syjonu wprost pęczniały od kwitnących akacji. Ale Piłat nie potrafił skupić uwagi na otoczeniu. Za pół godziny powinien dokonać przeglądu wojska, sprowadzonego do miasta na czas żydowskiego święta. Z okazji takich wydarzeń i przy wielkim nagromadzeniu pielgrzymów sprawy zwykle przyjmują zły obrót, a on podobnie jak jego poprzednicy bał się zamieszek. Tak naprawdę jednak nie dawało mu spokoju coś innego.

Jak na kogoś, kto zajmował tak ważne stanowisko, Poncjusz Piłat był człowiekiem zadziwiająco skromnego pochodzenia. Już samo nazwisko wskazywało na to, że wywodził się z byłych niewolników, że gdzieś po drodze miał przodka nagrodzonego pileusem – filcową czapką noszoną przez wyzwolenców na znak otrzymanej wolności. Bez przewagi, którą daje wykształcenie czy

majątek, jedynie dzięki ciężkiej pracy i wrodzonej inteligencji Poncjusz Piłat w Rzymie wniósł się na tyle wysoko, by dołączyć do stanu ekwitów, i – jak to działa się teraz – zostać obrońcą cesarstwa. Choć prawdziwym blaskiem jego gwiazda rozbłysła dopiero wtedy, gdy szczęśliwym zrzędzeniem losu zwrócił na niego uwagę Lucjusz Aeliusz Sejan, faworyt Tyberiusza.

Przez ostatnie sześć lat – kiedy to cesarz Tyberiusz zamknął się w swojej prześwietnej samotni na Kaprei [Dzisiejsze Capri]. (gdzie podobno seksualne apetyty sycił młodymi chłopcami, niemowlętami nie odstawionymi od piersi i zwierzętami z egzotycznego zwierzyńca) – Sejan był najbardziej wpływowym, najbardziej nienawidzonym i budzącym największą groźbę człowiekiem w Rzymie. Jako drugi konsul rządził państwem wraz z Tyberiuszem, i rządził jak chciał; aresztował wrogów na podstawie fałszywych oskarżeń, a także rozciągał swą władzę na rzymskie prowincje, forsując na tamtejsze intratne stanowiska własnych kandydatów, między innymi Poncjusza Piłata. Krótko mówiąc: problem obecnego prefekta Judei sprowadzał się do tego, że Sejan został stracony.

Stracony z rozkazu samego Tyberiusza, za zdradę i spisek. Oskarżono go o uwiedzenie synowej cesarza, Liwilli, która pomogła mu otruć swojego męża Druzusa, jedyne go syna Tyberiusza. Kiedy ostatniej jesieni w senacie głośno odczytano nadesłany z Kaprei akt oskarżenia, ten zawsze zachowujący zimną krew, twardy i bezwzględny Sejan zaskoczony nielojalnością cesarza załamał się i nie miał siły opuścić sali posiedzeń na własnych nogach. Tej samej nocy, na mocy rozkazu senatu Lucjusza Aeliusza Sejana uduszono. Jego ciało zostało obnażone i rzucone na schody Kapitolu, gdzie pozostawało przez trzy dni ku rozrywce Rzymian, którzy w akcie zemsty opluwali je, wypróżniali się na nie, dźgali je nożami, wypuszczali na nie swoje zwierzęta, by w końcu nędzne resztki wrzucić do Tybru na pożarcie rybom. Ale koniec Sejana nie był końcem całej historii.

Schwytano i zabito wszystkich członków jego rodziny, nawet nieletnią córkę. Tę ostatnią, aby rzymskiemu prawu zakazującemu zabijania dziewic stało się zadość, przed poderżnięciem gardła zgwałcono. Odsunięta przez Sejana żona popełniła samobójstwo; współwinną śmierci syna Tyberiusza, Liwillę, jej własna rodzina zamknęła w jednym pokoju i zagłodziła na śmierć. A teraz, niecałe pół roku po tamtych wydarzeniach, wszyscy sprzymierzeńcy czy przyjaciele Sejana, których jeszcze nie stracono, sami odbierali sobie życie, zażywając truciznę lub rzucając się na własne miecze.

Tego rodzaju czyny nigdy nie robiły wrażenia na Poncjuszu Piłacie; znał Rzymian od podszewki, choć sam nie był jednym z nich. Sejan po prostu popełnił błąd, to wszystko. Marzyła mu się pozycja rzymskiego patrycjusza, wżenie w cesarską rodzinę, przejęcie rządów. Sejan uwierzył, że jego krew zasili krew imperatorów. Niestety, zasiliła jedynie rzeczny szlam.

Piłat nie miał żadnych iluzji co do własnego położenia. Owszem, posiadał odpowiednie do zajmowanego stanowiska kwalifikacje, a Judea znajdowała się daleko od Rzymu, niemniej miał wielką skazę: dług wdzięczności wobec nieżyjącego dobroczyńcy, a poza tym jego nazwisko mogło być kojarzone z tamtym także z innych powodów. Na przykład akcje podejmowane przez Piłata wobec Żydów mogły być wzięte za naśladowanie Sejana, który karierę polityczną rozpoczynał od oczyszczania Rzymu z Żydów i z biegiem czasu doprowadził rzecz do końca, to znaczy wypędził wszystkich – mocą rozporządzenia odwołanego teraz rozkazem samego cesarza. Tyberiusz wyparł się, jakoby samkiedykolwiek był nietolerancyjny wobec któregokolwiek ze swoich poddanych, i

odpowiedzialnością za wypędzenie Żydów z Rzymu obarczył wyłącznie Sejana. To sprawiło, że Poncjusz Piłat stał się okropnie nerwowy. I nie bez powodu: przez siedem lat namiestnikowania często stawał do walki z motłochem judejskim, a odrazę czuł do niego zawsze.

Z powodów niejasnych dla Poncjusza Piłata, Żydów, w odróżnieniu od innych skolonizowanych społeczności, właściwie nie obowiązywało rzymskie prawo – byli zwolnieni od służby w rzymskich armiach i niemal ze wszystkich podatków, łącznie z tymi, które musieli płacić Samarytanie, a nawet zamieszkujący te prowincje obywatele rzymscy. Jakby tego było mało, prawowity obywatel rzymski mógł być skazany na śmierć za samo wkroczenie na teren żydowskiej Góry Świątynnej. I to mocą rozporządzenia samego Rzymu.

A kiedy potrzebne były fundusze na dokończenie budowy akweduktu, na doprowadzenie życiodajnej wody w głąb kraju, co ci przekłęci Żydzi zrobili? Nie dali się opodatkować. Akweduktem, powiedzieli, i w ogóle całą resztą niech sobie suszy głowę Rzym, skoro ich podbił i zniewolił. (Zniewolił, no proszę, zabawne. Jak szybko tacy potrafią zapomnieć o niewoli egipskiej i babilońskiej.) No więc on, Piłat, „pożyczył” konieczne fundusze z dziesięciny należnej Świątyni, dokończył akwedukt, i skończyło się żydowskie skomlenie. Ale nie skończyli się Żydzi i ich wieczne pisma do Rzymu, tyle że zwykle on był górą. Za życia Sejana.

Teraz na horyzoncie pojawiło się nowe wydarzenie. Coś, co mogło go ocalić, co mogło odwrócić gniew Tyberiusza, władcy o długim ramieniu i o dłoni zaciskającej się jak żelazne kleszcze, kiedy przychodziło do zemsty na podwładnych. Którzy popadli w niełaskę.

Piłat wstał i zaczął niespokojnie przemierzać taras.

Miał on swoje źródła informacji. Bez szpiegów i donosicieli nie sposób się obejść żadnemu zarządcy prowincji. Otóż jego źródła od jakiegoś czasu donosiły, że jest taki Żyd, który włóczy się po pustyni i zwyczajem sobie podobnych włóczęgów podaje się za kogoś, kto jest *unctus*, czyli namaszczoney. Za kogoś, kogo Grecy nazywają *christos*, co odpowiada słowu krzyżmo, olej, a Żydzi zwą mesjaszem – co według niego, Poncjusza Piłata, znaczy to samo. Źródła donosiły, że sprawa jest bardzo stara i ma związek z religią żydowską. Że Żydzi wierzą głęboko w pojawienie się kogoś, kto wybawi ich z niewoli (proszę, znów ta „niewola”!) i zamieni cały świat w raj rządzony przez Żydów.

I że ostatnio chęć zobaczenia tego przebranego za włóczęgę, rzekomo namaszczonego króla zdawała się sięgać zenitu. Bogom niech będą dzięki, pomyślał Piłat. Jak nic, ocalał mnie sami Żydzi.

Poncjusz Piłat korzystał ze swoich źródeł informacji. Stąd było mu wiadomo, że świeżo wykreowanego pomazańca popiera sanhedryn, żydowska rada starszych, jak również cała rzesza wywodzących się z gminy esseńskiej zwolenników jeszcze innego szaleńca. Tamtego, który oddawał się praktykom zanurzania ludzi w wodzie, a któremu Herod Antypas, żydowski tetrarcha Galilei ściał głowę. Jak powiadają, na prośbę swojej pasierbicy, Salome ale czyż ten skrócony o głowę nie wydał sam na siebie wyroku? Czyż nie nazwał Herodiady, żony Heroda, nierządnicą? O bogowie, czyż nigdy nie będzie końca perfidii tych Żydów? Co do Heroda, dopowiadały odpowiednie źródła, ten boi się nowego pomazańca; święcie wierzy, że jest to drugie wcielenie skróconego o głowę kąpielowego, który powraca, aby się na nim zemścić.

By wiedzieć, że jest trzeci gracz w grze, Poncjusz Piłat nie musiał korzystać z żadnych źródeł. Tym trzecim był żydowski arcykapłan Kajfasz, marionetka Rzymu, dysponujący w Jerozolimie większymi oddziałami stróżów porządku niż sam prefekt rzymski i przy tym niezmiernie skory do pozbycia się podżegaczy rojących o obaleniu imperium rzymskiego i cywilizowanych rządów. Reasumując, para Kajfasz – Herod Antypas nienawidzą i boją się tego Żyda, a sanhedryn i wielbiciele rzecznych kąpielii go popierają. Coraz lepiej. On, Poncjusz Piłat, dzięki niemu jeszcze utrże wszystkim nosa.

Piłat popatrzył na słońce opadające w dolinę za zachodnimi murami. Z dziedzińca pod jego tarasem dobiegały odgłosy komend. To ściągały posiłki, jak przy okazji każdego święta. Tym razem Jerozolima świętowała równonoc wiosenną i ulicami miasta przelewały się potoki pielgrzymów. Tyle że, pomyślał Piłat, Żydzi nie byliby sobą, gdyby każdemu cywilizowanemu świętu nie przydawali aury własnych niepowtarzalnych doświadczeń. A data równonocy wiosennej podobno kojarzyła im się ze sprawą sprzed ponad tysiąca lat, z ominięciem ich domów w Egipcie przez jakiegoś ducha.

Piłat usłyszał, jak dowódca wzywa nowo przybyłe szeregi, aby on mógł je zlustrować. Usłyszał, jak na marmurowych płytach szurgocą skórzane podeszwy. W końcu odwrócił się i popatrzył nad balustradą tarasu na żołnierzy, którzy zezując w górę, prosto w zachodzące słońce płonące za nim jak ognista aureola, poza niewyraźnym zarysem jego sylwetki niewiele więcej mogli dojrzeć. Z tego właśnie powodu zawsze wybierał tę godzinę i to miejsce.

– Żołnierze Rzymu – rzekł – musicie być przygotowani na nadchodzący tydzień, na przyjęcie tłumów, które przekroczą bramy miasta. Musicie być przygotowani na stawienie czoła każdemu wydarzeniu, które mogłoby przysporzyć cesarstwu niepotrzebnych kłopotów. Chodzą słuchy o podżegaczach dążących do zamienienia spokojnego święta w rozruchy, do zburzenia ładu i obalenia panującego prawa. Żołnierze Rzymu, nadchodzący tydzień może okazać się czasem, w którym działania każdego z nas odmienia oblicze naszego imperium, a może nawet odmienia bieg historii! Nie zapominajmy, że naszym podstawowym obowiązkiem jest zapobieżenie jakiemukolwiek aktowi wymierzonemu przeciw państwu albo przeciw *status quo* przez tych, którzy w imię religijnych przekonań czy dla osobistej chwały chcieliby odmienić los rzymskiego cesarstwa, odmienić nasze przeznaczenie.

Wtorek

Nawet nie świtało, kiedy Józef z Arymatei, z piekącymi od niewyspania oczami, wyczerpany podróżą, przybył na peryferie Jerozolimy. Gdzieś pod czaszką wciąż jeszcze słyszał chlupot wody objijającej się o burty okrętów, szelest wiosła, szepty niosące się po powierzchni bezksiężycowego morza; tamten moment, kiedy to ku flotylli jego kupieckich okrętów, stojących na redzie i oczekujących na pierwsze światło dnia, na wejście do portu w Jaffie, podpływała od brzegu mała łódź.

Posłaniec Nikodema jeszcze nie wszedł na pokład, jeszcze nie wyjawiał imienia i nie zdążył pokazać pisma, z powodu którego musiał pokonać całą tę drogę, a Józef już wiedział. Wyczuł intuicyjnie zbliżające się niebezpieczeństwo. W tym, że wiadomość była zaszyfrowana, aby nie

przeczytały jej niepożądane oczy, nie było nic dziwnego. Natomiast to, czego nie mówiła, Józefowi wystarczyło za tysiąc upiorów. Nawet teraz miał przed oczami tamte słowa: „Spiesz się. Wybiła godzina. Nikodem”.

Wybiła godzina, napisał Nikodem. Ale jak się to mogło stać? – pomyślał zrozpaczony Józef. Trzeba się śpieszyć!

Poniechał wszelkich domysłów, poniechał wszelkiej ostrożności i zbudziwszy załogę, nakazał odłączyć okręt flagowy od pozostałych i wprowadzić go do portu w Jaffie. Tak! – rzucił w głośno protestujące gardła. Właśnie teraz, w środku nocy.

To jasne. Wzięto go za szaleńca. Wzięto go za wariata, kiedy po wpłynięciu do portu, polecając swój cenny ładunek opiece załogi – czyn niesłychany jak na właściciela tak wielkiej floty – i gwałcąc nocną godzinę, popędził przez ulice, pobudził sługi, kazał zaprzęgać konie i sam jeden ruszył w drogę.

Dlatego, że o świcie miał się zebrać sanhedryn, żydowska rada starszych. A jeśli tak, to nie bez niego.

Na niebezpiecznych, prowadzących przez pustkowie traktach – w lepkiej czarnej ciszy przerywanej jedynie odgłosem końskich kopyt, stukających o kamieniste podłoże, gorącymi oddechami koni, cykaniem cykad w okolicznych gajach – w głowie Józefa nieodmiennie kołatała się jedna i ta sama dręcząca myśl: „Mistrzu, coś ty uczynił?”

Kiedy Józef z Arymatei wjechał do miasta, nad Górą Oliwną dopiero zaczynały wstawać pierwsze zorze, obrysowując delikatną czerwień poskręcane sylwetki wiekowych drzew oliwnych. Łomotaniem do drzwi Józef rozbudził stajennego i kazał napoić i obrządzić konie. Następnie, przeskakując po dwa stopnie kamiennych schodów, popędził w górę miasta.

W wilgotnym mroku przedświt wczesny wiatr delikatnie kołysał kwitnącymi gałązkami akacji. Drzewa te, rosnące po wszystkich zaułkach i podcieniach, wnikały w każdy por tego miasta-labiryntu, każdej wiosny topiły Jerozolimę w morzu żółtego złota. Nawet teraz, w pośpiechu pnać się krętymi ścieżkami na wzgórze, Józef zaciągnął się ich zapachem, duszącym jak kadzidło, wsiąkającym w cieniste szczeliny śpiącego miasta i kołującym nad oczkami sadzawek u podnóża góry Syjon.

Akacja: święte drzewo.

„Niech zbudują mi świątynię, bym mógł zamieszkać między nimi”, wyrecytował Józef pełnym głosem.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim wysoki, po królewsku majestatyczny mężczyzna. Nim Józef zdążył oprzytomnieć, jakiś sługa już zamykał za nim bramy ogrodu otaczającego pałac Nikodema, a sam Nikodem, z burzą nie związanych włosów, powiewających wokół barczystych ramion, już ścisnął przyjaciela. Józef ciepło odwzajemnił uścisk.

– Kiedy byłem chłopcem – Józef westchnął, patrząc na morze złocistych gałęzi – w Arymatei nad

brzegami rzeki rosły całe szpalery *chittah*. Rzymianie mówili na nie *acacia*, z powodu ich cierni. To z tego drzewa Jahwe polecił nam zbudować swoją pierwszą świątynię, ażurowe zasłony i ołtarz, Święte

Świątych, nawet samą świętą arkę. Celtowie i Grecy czczą je nadal, tak jak my. Nazywają je złotą gałęzią.

– Zbyt długo pozostawałeś wśród pogan, przyjacielu – przyganił Nikodem, potrząsając głową. – Już sam twój wygląd jest prawie bluźnierstwem przeciw Bogu.

Trudno zaprzeczyć, pomyślał smutno Józef. Ubrany w krótką togę, w sandałach, których rzemienie oplatały muskularne brązowe łydki, z twarzą stwardniałą, wysmaganą słonym morskim wiatrem, z włosami przewiazanymi nad karkiem zwyczajem mężów dalekiej północy, wiedział, że bardziej przypomina hyperborejskiego Celta niż tego, kim był w istocie. A był znanym i poważanym żydowskim kupcem i jak Nikodem, członkiem rady siedemdziesięciu jeden, powszechnie zwanej sanhedrynem.

– To ty zachęcałeś Mistrza, kiedy był jeszcze chłopcem, aby przedeptywał wiodące jedynie do zguby, obce ścieżki – zauważył Nikodem, gdy zaczęli schodzić ze wzgórza. – A jednak przez kilka ostatnich tygodni modliłem się, byś wrócił. Byś wrócił z za mór, nim będzie za późno. Bo chyba jedynie ty możesz naprawić to, co się stało w zeszłym roku, pod twoją nieobecność.

To prawda. Po śmierci ojca chłopca, cieśli, który także nosił imię Józef, to właśnie on, Arymatejczyk, zajął się nim jak synem i to on, aby wszczepić dziecku mądrość innych kultur, zabierał je ze sobą w liczne podróże. A teraz, kiedy stuknęła mu czterdziestka, wiek konieczny, aby móc zasiadać w sanhedrynie, teraz, kiedy przysposobiony syn był trzydziestotrzyletnim mężczyzną, on, choć wciąż czuł się jego opiekunem, nie myślał o nim inaczej jak o Mistrzu. I nie w znaczeniu *rabbi*, mój nauczyciel. Mistrz był Mistrzem, albowiem wyrósł na wielkiego duchowego przywódcę. Mimo to uwaga Nikodema była dlań niejasna.

– Jeśli jest coś do naprawienia, jeśli liczyłeś na mnie, to zapewniam: wyruszyłem w drogę natychmiast po otrzymaniu twojego pisma. Tyle że z myślą o jakimś kryzysie politycznym... o nagłym zagrożeniu... o nieprzewidzianym incydencie, który pokrzyżował nam plany...

Nikodem przystanął na ścieżce i popatrzył na Józefa smutnymi, ciemnymi oczami, które zdawały się zaglądać w samą głębię człowieczej duszy, a dziś miały czerwone obwódki z niewyspania, zmęczenia albo może od płaczu. Jakże on się postarzał, i to przez jeden krótki rok, pomyślał Józef. Położył dłonie na ramionach Nikodema i czekał w skupieniu. Przeniknął go chłodny dreszcz, choć powietrze było ciepłe i łagodne jak balsam, a niebo, w miarę jak słońce wyłaniało się z za horyzontu, zmieniało barwę z lawendowej na brzoskwiniową. Nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– To nie jest kryzys polityczny – rzekł Nikodem – przynajmniej jeszcze nie. Ale może się zdarzyć coś o wiele gorszego; powiedzmy, kryzys wiary. Chodzi o Mistrza. Zmienił się prawie nie do poznania. Nie rozumie go nawet matka. Nie rozumie go nawet owych dwunastu, których nazywa magicznym kręgiem, jego najbliżsi uczniowie.

– Zmienił się? W jaki sposób?

Podczas gdy Nikodem szukał odpowiedniego słowa, Józef patrzył na leżące pod nimi miasto i na kołysane wiatrem akacje i czuł, jak ich ciche westchnienia łaskoczą mu duszę. Józef się modlił – modlił, by starczyło mu ufności, by starczyło wiary do zmierzenia się z tym, co – jak przeczuwał – właśnie miało nadejść. I właśnie w chwili, kiedy modlitwa wzbudziła w nim delikatny promyk nadziei, nad Górą Oliwną słońce eksplodowało światłem, oświetlając fasady domów i pałaców wznoszących się na stokach Syjonu i penetrując łamigłówkę uliczek dolnego miasta. Z cienia nocy słońce wydobyło także cały majestat świątyni Salomona; poniżej znajdowała się Komnata Ciosanych Kamieni, w której tego ranka miał się zebrać sanhedryn.

Świątynię wyśnił sobie ojciec Salomona, Dawid, pierwszy prawdziwy król Izraela. Odbudowywana i odnawiana po każdej kolejnej katastrofie, upiększana szczodrymi darami wielu potężnych władców, była duszą żydowskiego narodu. Wyrastając z morza otwartych dziedzińców, jej białe marmurowe kolumny błyszczały w porannym świetle jak las widmowych drzew, a sama świątynia jaśniała w dolinie na podobieństwo słońca. Jej wykładane płytkami czystego złota dachy – podarunek Heroda Wielkiego – teraz, o świcie raziły oczy, w południe prawie oślepiały.

Mimo że serce wypełniała mu radosna promienność, Józef usłyszał szept pochylonego ku niemu Nikodema:

– Mój drogi Józefie, nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Otóż boję się... boimy się wszyscy... wygląda bowiem na to, że Mistrz kompletnie oszalał.

Komnata Ciosanych Kamieni zawsze była zimna i wilgotna. Sącząca się z jej ścian woda karmiła mech, który rósł w szczelinach i mienił się wszystkimi barwami tęczy. Wykuta w Świętej Skale, Moria, miała jajowate sklepienie dźwigające dziedziniec kapłanów – dawne klepisko Dawida – i wysoki ołtarz. Żeby do niej zejść, trzeba było pokonać trzydzieści trzy stopnie krętych schodów. One także były wykute w skale. Józef uważał, że już samo wejście do komnaty to swoista forma rytualnej inicjacji. Poza tym w letnie dni jej wilgotny chłód przynosił ulgę. Ale dzisiaj jedynie wzmagał przecucie nieszczęścia, które zagnieździło się w jego duszy po słowach Nikodema.

Chociaż radę powszechnie nazywano radą siedemdziesięciu, razem z osobą arcykapłana właściwie składała się z siedemdziesięciu jeden członków, tak jak od czasów Mojżesza.

Arcykapłan, korpulentny Józef Kajfasz, spowity w purpurowy szal modlitewny i w złotą szatę, pierwszy zszedł po schodach. Jego berło wieńczył dorodny ananas z czystego złota, symbolizujący życie, płodność i odmłodzenie rodu ludzkiego. Podobnie jak jego poprzednicy, Kajfasz był oficjalnym przewodniczącym sanhedrynu mocą swojej religijnej pozycji, będącej zarazem pozycją prawną, albowiem prawo i Tora były jednym.

Od najdawniejszych czasów arcykapłani wywodzili się z linii saduceuszy, potomków Sadoka, kapłana króla Dawida i Salomona. Jednak pod rzymską okupacją Herod Wielki, marionetkowy król desygnowany przez Rzymian, pierwszym aktem prawnym rozkazał zgładzić potomków wielu książęcych rodów, zastępując ich w sanhedrynie swoimi ludźmi. Te czystki znacznie poprawiły sytuację faryzeuszy, stronnictwo religijno-polityczne mniej liberalne i mniej populistyczne od

saduceuszy, składające się z mężów studiujących i przepisujących Torę; stronictwo Nikodema i Józefa z Arymatei.

Faryzeusze dysponowali większością głosów, dlatego w rzeczywistości przewodził sanhedrynowi przywódca ich partii, *rabban* Gamaliel, wnuk legendarnego mędrca Hillela, co było cierniem w sercu Józefa Kajfasza. Faryzeusze, jak to oni, rozgadywali na prawo i lewo, że Kajfasz objął swój urząd nie dzięki urodzeniu, jak arystokratyczni saduceusze, ani też dzięki nauce Tory, jak faryzeusze, lecz przez małżeństwo z córką *nasi*, księcia.

Ale jest ktoś, kogo arcykapłan nienawidzi bardziej niż faryzeuszy, pomyślał tknięty nagłym przecuciem Józef, schodząc za towarzyszami do podziemnej komnaty. A tym kimś jest sam Mistrz. To z polecenia Kajfasza przez ostatnie trzy lata strażnicy świątyni, niby sfora psów, węszyli za Mistrzem, bacznie śledząc jego każdy krok. Kajfasz próbował go aresztować za podburzanie, po tamtej historii z przewróceniem kramów na dziedzińcu świątyni, czyli w miejscu, gdzie ród Józefa Kajfasza miał od pokoleń koncesję na lukratywny handel. Bogactwo Kajfasza wzięło się ze sprzedaży ofiar w czasie świąt i ze ściąganych z pielgrzymów opłat, należnych arcykapłanowi, no i z posagu, jaki mu wniosła żona, żydowska księżniczka.

Cała siedemdziesiątka pokonała kręte schody i każdy zajął swoje miejsce. Arcykapłan Kajfasz udzielił błogosławieństwa i odstąpił na bok. Wtedy wystąpił do przodu, aby otworzyć posiedzenie rady, szlachetny *rabban* Gamaliel, powiewający równie długimi włosami jak bogatymi szatami.

– Bóg nałożył na nas ciężki obowiązek – zaintonował dudniącym jak dzwon, dramatycznym głosem. – Jakiegokolwiek jest nasze posłannictwo, czegokolwiek pragniemy i bez względu na rezultat dzisiejszego spotkania, sądzę, że mój głos będzie głosem wszystkich, jeśli powiem, iż nikt nie opuści tej sali całkowicie usatysfakcjonowany co do smutnej sprawy Jezusa syna Józefa z Nazaretu. A ponieważ nasze brzemie jest ciężkie, powinienem zacząć od ważnej kwestii. Powrócił do nas, jak widzicie, najczęściej wędrujący ze wszystkich naszych braci, Józef z Arymatei.

Siedzący za stołem mężczyźni odwrócili się, aby popatrzeć na Józefa. Wielu skinęło mu głową.

– Rok temu – kontynuował Gamaliel – Józef z Arymatei zgodził się, mocą osobistego postanowienia tetrarchy Galilei, Heroda Antypasa, a także mojego, przedsięwziąć tajną misję do Rzymu w sprawie potomków Izraela. Misja ta miała być wpisana w zwykły szlak handlowy jego floty, obejmujący wybrzeża Brytanii, Iberii i Grecji. Jednak kiedy wydano rozkaz wypędzenia Żydów z Rzymu, poprosiliśmy go, by udał się prosto na wyspę Kapreę...

Wystarczyło, by Gamaliel wspomniał wyspę, a podniósł się szmer głosów. Członkowie rady, podekscytowani, obracali się do swoich sąsiadów.

– Nie będę was trzymał w niepewności, gdyż większość i tak się domyśla, co zamierzam powiedzieć. Dzięki wydatnej pomocy bratanka cesarza, Klaudiusza, który zna Herodów bardzo dobrze i od dawna, Józef z Arymatei uzyskał posłuchanie u Tyberiusza w jego pałacu na Kaprei. Wspomagany wielce sprzyjającym zbiegiem okoliczności... śmiercią Lucjusza Sejana... potrafił przekonać cesarza, by ten w swojej mądrości zezwolił na powrót Żydów do Rzymu.

Przy stole zrobiło się wielkie zamieszanie. Kilku bliżej siedzących mężów, w tym Nikodem, pośpieszyło do Józefa z serdecznymi uściskami. Wszystkim członkom sanhedrynu już od paru miesięcy wiadomo było o życzliwym dla Żydów rzymskim edykcie. Ale aż do dzisiaj, do bezpiecznego powrotu Józefa z podróży, jego osobiste zaangażowanie pozostawało w głębokiej tajemnicy.

– Wiem, że postępuję inaczej niż zwykle – ciągnął Gamaliel – ale ponieważ Józef z Arymatei wyświadczył nam tak ogromną przysługę, jak również zważywszy na wyjątkowy charakter jego więzi z Jezusem, synem cieśli z Nazaretu, powinienem go zapytać, jak on by poprowadził to spotkanie. W odróżnieniu od pozostałych Józef być może nie zna wszystkich okoliczności, które doprowadziły do obecnego kryzysu.

Nie spojrzął na arcykapłana Kajfasza, który za jego plecami robił niezadowolone miny z powodu zmiany procedury. Ale inni przytaknęli, więc Józef odpowiedział:

– Z serca wszystkim dziękuję. Przybyłem do Jerozolimy dzisiaj, tuż przed świtem. Podczas gdy my tu siedzimy, moja flota pewnie jeszcze nie zdążyła zawinąć do portu. Po nocy spędzonej w podróży nie zdążyłem się przebrać ani umyć. Popędzała mnie pilność tej sprawy, dla której dzisiejsze spotkanie zostało zwołane. To prawda, nie miałem nawet czasu, by się dowiedzieć, co to za sprawa. Wiem jedynie, że Jezus, Mistrz którego, o czym wielu z was wie, traktuję jak resztę mojej rodziny – znalazł się w jakiejś trudnej sytuacji, a my razem z nim.

– Zatem musimy ci opowiedzieć całą historię – powiedział

Gamaliel. – Będziemy mówić po kolei, większość z nas bowiem miała w tym swój udział. Zaczę pierwszy.

OPOWIEŚĆ O MISTRZU

Ostatniej jesieni przyszedł do Jerozolimy sam, na Święto Namiotów. Dla każdego, kto go znał, jego pojawienie się było szokiem. Uczniowie trzy razy go prosili, by wyruszył z nimi z Galilei i by głosił słowo Boże, tak jak to robił przy okazji wszystkich świąt, i by na oczach tłumu uzdrawiał chorych. Odmawiał im trzykrotnie i nakazywał, by szli bez niego. A potem zjawia się na zewnętrznych dziedzińcach świątyni; sam, nagle i niezapowiedzianie. Wygląda dziwnie i tajemniczo, jest niepodobny do siebie, jest jak ktoś zapatrzony we własne wnętrze.

Święto Namiotów, obchodzone w czasie jesiennego zrównania dnia z nocą, upamiętnia tamten pierwszy przybytek Arki Przymierza z drzewa akacjowego, zbudowany z rozkazu Boga podczas naszego wyjścia z Egiptu, upamiętnia także prowizoryczne przybytki czy szałasy budowane na pustyni w czasie tamtej wędrówki. Podczas ostatniego święta każdy ogród, każdy dziedziniec i prywatny park w Jerozolimie jak zwykle wypełniały pośpiesznie zaimprovizowane ukwiecone szałasy z gałęzi, (przez które mogą świecić gwiazdy, może wiać wiatr i deszcz może skrapiać nasze rodziny i gości przybyłych, aby w nich mieszkać i świętować cały tydzień, aż do końca święta, a koniec święta, jak wiadomo, obwieszcza czytany na głos w świątyni – dla zaznaczenia końca mijającego cyklu – ostatni rozdział Tory, śmierć Mojżesza, tak jak kiedyś jego śmierć zakończyła pewien cykl naszej historii.

Pod koniec ósmego dnia, po wieczerzy, na każdym dziedzińcu czy w każdym ogrodzie gospodarz podnosi się od kolacji i odmawia modlitwę, najstarszą w tradycji czytania hagad, starszą niż samo święto. O co on się modli? On prosi Boga jedynie o łaskę „zamieszkiwania pod baldachimem” przez tydzień, czyli o to, by za rok o tej porze mógł być uznany za godnego zasiadania pod baldachimem ze skóry Lewiatana. A co oznacza baldachim ze skóry Lewiatana? Nadejście nowego wieku, wieku

mesjanistycznego królestwa, zapoczątkowanego pojawieniem się mesjasza, bożego pomazańca, który pokona morską bestię, z jego skóry zrobi baldachim sprawiedliwych, a z jego mięsa przyrządzi główne danie na mesjanistyczną ucztę. Wywiedzie nas z niewoli, scali w jedno królestwo, przywróci Arkę, a świątynię wywyższy, jak Dawid i Salomon. Jako naturalny sukcesor tamtych wielkich książąt, poprowadzi naród wybrany ku chwale i rozpali złociste zorze – nie tylko nowego roku, ale także nowej epoki.

Jak widzicie, nieprzypadkowo Mistrz przybył z Galilei, sam, aby uczestniczyć w tym szczególnym święcie.

Właśnie w ogrodzie Nikodema zjawił się ósmego wieczoru, na Simchat Tora – zamknięcie rocznego cyklu czytania Tory. Ogród Nikodema jest rozległy i rośnie w nim dużo drzew. Wówczas, jak zwykle z takiej okazji, wzniesiono tam wiele szałasów z gałęzi i kwiatów, paliły się pochodnie, a bramy stały otworem dla wszystkich.

Pod koniec święta, kiedy Nikodem wstał, aby udzielić błogosławieństwa i poprosić o łaskę zasiadania w namiocie morskiej bestii za rok o tej porze, ze stojącego nieopodal szałasów wyszedł sam Mistrz. W powiewnej białej szacie, z rozwianymi, falującymi włosami, podszedł do miejsca, gdzie stał Nikodem, zmiotł naczynia i puchary na bok i wszedł na niski mosiężny stół.

Podniósł dzban z wodą i przytrzymując się gałęzi szałasów, zaczął wylewać z niego wodę na stół i na ziemię, wszędzie. Spoczywający wokół goście, ochlapani wodą, jak jeden mąż poderwali się na nogi. Byli przestraszeni. Potracili głowy. Nikt nie znał intencji Mistrza, nikt ich sobie nawet nie wyobrażał. Wtedy Mistrz rzucił dzban, uniósł wysoko ramię i zawołał: „Ja jestem wodą! Daję wam siebie; jeśli ktoś jest spragniony, niech przyjdzie do mnie i pije! Kto wierzy we mnie, rzeki wody żywej popłyną z żywota jego...”

Jak potem opowiadali uczestnicy tego zdarzenia, jego głos był tak głęboki, nakaz płynący ze słów tak paraliżujący umysły, że ich sens umknął każdemu. Uświadomili to sobie dopiero później.

Kiedy kolacja miała się ku końcowi i ludzie zaczęli opuszczać park, Nikodemowi mimochodem wpadła w ucho rozmowa kilku

członków jego stronnictwa, faryzeuszy. Na późniejsze godziny jeszcze tej samej nocy, pośpiesznie, zwoływano w pałacu Kajfasza, po drugiej stronie miasta, tajną naradę. Nikodem, choć nie zaproszony, postanowił w niej uczestniczyć; było jasne, że nawet najzagorzalsi zwolennicy Mistrza są wstrząśnięci i zaniepokojeni jego dziwnym wystąpieniem.

Następnego ranka, skoro świt, Nikodem wyruszył na dziedziniec świątyni w poszukiwaniu Mistrza. Chciał spotkać go pierwszy. Chciał go uprzedzić, by powstrzymał się od publicznego

zabierania głosu i od jakichkolwiek czynów, często bowiem jego słowa źle interpretowali nawet sami uczniowie. W nocy, mimo gorącego sprzeciwu Nikodema i innych, nawet jego własnych strażników świątyni, Kajfasz usilnie nalegał na znalezienie jakiegoś pretekstu usprawiedliwiającego aresztowanie Mistrza, gdy tylko się pojawi między ludźmi.

Pojawił się zaraz po Nikodemie. Miał na sobie tę samą białą szatę. Wystarczyło, by stanął na zewnętrznym dziedzińcu świątyni, a natychmiast otoczył go szeroki krąg, łącznie z wieloma spośród obecnych na tajnym spotkaniu. Tym razem byli bardziej przygotowani. Za namową Kajfasza przyprowadzili ze sobą cudzołożnicę. Wypchnęli ją przed Mistrza i spytali, czy nie sądzi, że należy ją ukamienować. Zgodnie z prawem, a jakże. To była pułapka: wszyscy wiedzieli, iż podobnie jak Hillel, który liberalnie traktował przepisy dotyczące małżeństwa, zwłaszcza , w odniesieniu do kobiet, Mistrz hołdował zasadzie przebaczenia, kiedy kobieta żałowała grzechu.

Jednak ku zdumieniu wszystkich Mistrz nie rzekł ani słowa. Przykucnął i czubkiem palca zaczął rysować znaki na piasku, jakby nie słyszał, co do niego mówiono. Tymczasem wokół niego zgromadził się prawdziwy tłum i zaczął szydzić z kobiety, którą trzymano przed nim jak dyndający na haku kawał mięsa.

W końcu, kiedy mu dość dokuczono, podniósł się i w milczeniu, po kolei, spojrzał głęboko w każdą parę oczu, co sprawiało wrażenie ostatecznego sądu nad każdą duszą. Po czym rzekł: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem”.

Znowu przykucnął w pyle dziedzińca, bez słowa, i nakreślił palcem kolejne znaki. Po bardzo długiej chwili podniósł wzrok na stojącą przed nim kobietę. Była zupełnie sama.

„Idź i nie grzesz więcej”, rzekł do niej.

Po tych słowach Nikodem, przyglądający się całej scenie z oddali, pojął doniosłość tego, co Mistrz uczynił. Zaryzykował życie dla kobiety, o której wiedział, że jest winna, tak jak ją oskarżano, bo rzekł: „nie grzesz więcej”. Mistrz zmusił każdego, kto tam był, by osądził sam siebie. Kobietę również, bo ona także miała zrozumieć wielkość tego, co dla niej zrobił.

Kobieta odeszła. Odeszli wszyscy. Mistrz był sam i dalej kreślił palcem po piasku. Nikodem podszedł do niego, pochylił się z zaciekawieniem. Rysunek przedstawiał coś, co wyglądało na jakiś węzeł, bardzo splątany węzeł, ponieważ nie było w nim początku i nie było końca; po prostu splatał się i splatał.

Mistrz wyczuł obecność Nikodema i podniósł się z ziemi. Starł stopą narysowany węzeł. Kiedy Nikodem napomknął o ryzyku, które Mistrz wziął na siebie, przybywając z Galilei samotnie, bez uprzedzenia, Mistrz uśmiechnął się i powiedział I tylko: „Mój drogi Nikodemie, sądzisz, że jestem sam? Nie, nie jestem: przybyłem tutaj z moim Ojcem. Nie zapominaj, dźwięk *szofar* rozlega się także w Galilei”.

Chodziło oczywiście o Dzień Oczyszczenia, tydzień wcześniej, kiedy Mistrz był jeszcze w Galilei, gdy jak zwykle na koniec roku dęto w róg barani, obwieszczając czas na refleksję, na zastanowienie się, jak postępować w nadchodzącym roku, aby bardziej niż dotychczas żyć zgodnie z

wolą Boga. Ale tym, co napełniło Nikodema niepokojem i co rzucało nowe światło na gorączkową aktywność i rozpalony umysł Mistrza, było zdawkowe potraktowanie tej wiekowej tradycji. Do czego on właściwie zmierza?

Zanim Nikodem zdążył cokolwiek zrozumieć, Mistrz żwawo skierował się ku zaułkowi lichwiarzy, znajdującemu się w obrębie samej świątyni. Zanim się z nim zrównał, Nikodem aż się zasapał. Ci, którzy wyśmiewali Mistrza na zewnątrz, otoczyli go ponownie – czego się prawdopodobnie spodziewał i chyba też chciał – oskarżając o dawanie fałszywego świadectwa. I wtedy to zrobił, tę rzecz, po której zaczęto go posądzać o utratę zmysłów.

Kiedy ci ludzie powiedzieli, że wywodzą się z nasienia Abrahama i że nie potrzebują tego całego przywództwa, z którym uwielbia się narzucać, a zwłaszcza że nie podoba im się pretensjonalne nazywanie siebie mesjaszem i szczepem Dawidowym, Mistrz miał czelność stwierdzić, że zna Abrahama osobiście i że słysząc o jego posłannictwie tu, na ziemi, Abraham się uradował. Na to oni, że chyba nie jest na tyle stary, aby znać męża, który umarł przed tysiącami lat. Mistrz uciszył ich jednym spojrzeniem. Następnie rzekł, że oto objawia im się sam Bóg! Rzekł, że on, Mistrz, jest synem Boga – jego ciałem! Ale to jeszcze nie koniec. Rzekł im, a wielu z obecnych tam świadczyło jego słowom: „Ja i mój Ojciec jesteśmy jedno. Zanim narodził się Abraham... byłem ja!” Posłużył się świętym imieniem, aby opisać siebie; bluźnierczy akt, wart chłosty czy wręcz ukamienowania.

Ale to dopiero był początek. Od Święta Namiotów upłynęło sporo czasu. Nie dalej jak trzy miesiące temu Mistrza zawezwano do Betanii, do domu młodego Łazarza, brata Miriam i Marty z Magdali, tych, które należały do grona jego najbliższych uczniów. Młodzieniec był ciężko chory i zapragnął ujrzeć go przed śmiercią. Ale nawet w opinii dwunastu Mistrz postąpił niewłaściwie, odmawiając opuszczenia Galilei i odwiedzenia tamtej rodziny mimo rozpaczliwych próśb obu kobiet, które wierzyły, że jedynie on potrafi uzdrowić ich brata, ocalić go od niechybnej śmierci. Kiedy w końcu przyszedł, młodzieniec był martwy od trzech dni. Jego ciało już gnije i cuchnie, powiedziała Miriam, i obie siostry zgodnie odmówiły wpuszczenia Mistrza do krypty.

Mistrz zatem został na zewnątrz. Został na zewnątrz i zawołał do Łazarza – zmarłego Łazarza – i podniósł go. Podniósł go z grobu ojców. Podniósł ze stanu rozkładu, spowitego w gnijące pogrzebowe szaty, napoczętego przez robaki. Wskrzesił go z martwych.

„Wielki Boże”, szepnął Józef z Arymatei, kiedy opowieść dobiegła końca. Wpatrywał się szklistym wzrokiem w pozostałych, niezdolny do wydobycia głosu. Zresztą co miałby powiedzieć? Dla saduceuszy śmierć była końcem życia, niczym więcej. Faryzeusze uważali, że po uczciwym życiu ziemskim zmarły zostaje nagrodzony wiecznym życiem w niebie. Jednak w coś takiego jak zmartwychwstanie, w przywrócenie ziemskiej postaci gnijącemu w grobie ciału nie wierzył nikt. To był czysty horror. Rzecz poza ludzką wyobraźnią.

Wielu spośród zebranych, widząc zmieszanie i zatrwożenie Józefa, starało się unikać jego spojrzenia. Jednak arcykapłan Kajfasz, który niczego nie dodał do opowieści innych, teraz wyraził swoje zdanie.

– Wygląda na to, mój drogi Józefie, że twój siostrzeniec, a nasz umiłowany Jezus, syn Józefa z Nazaretu, skromnego cieśli, nagle dostał manii wielkości – zauważył swoim niezdolnie obłudnym

głosem. – Zamiast być przywódcą... nauczycielem, rabbinem czy mistrzem, pomazanym królem czy kim tam jeszcze... czego się po nim spodziewali twoi tu obecni towarzysze, chyba przerodził się w szaleńca, któremu się zdaje, że pochodzi od jedyne prawdziwego Boga i może decydować o czyimś życiu czy śmierci. Ciekaw jestem, jak w ogóle taka idea mogła się zalęgnąć w jego poplątanym umyśle? – Popatrzył na Józefa z szyderczym uśmiechem.

Józef miał całkowitą pewność, że wielu z obecnych, mimo I milczenia, podziela opinię arcykapłana. Albowiem Bóg jest niewysłowiony i niepojęty. Bóg nie może się wcielać w człowieka. Więc jak to się mogło stać? – pomyślał. I jak to się stało, że w jeden krótki rok jego świat wywrócił się do góry nogami?

Powinien zobaczyć się z Mistrzem. Sam, niezwłocznie. Zna go lepiej niż ktokolwiek inny. Zawsze był przekonany, że tylko on dostrzega czystość jego duszy. Musi zobaczyć go przed innymi, nim będzie za późno.

Piątek

Piękna, lecz okropnie zaniedbana posiadłość Józefa na Górze Oliwnej, którą ostatnio – z racji podróży – rzadko odwiedzał, nazywała się Getsemani. Józef był pewien, że Mistrz bez jego pozwolenia nie przyprawia do niej uczniów ani sam jej nie odwiedza. Zatem w tym górzystym regionie pozostawało tylko jedno miejsce, w którym mógłby się zatrzymać – Betania i dom Łazarza z Magdali oraz jego siostr, Miriam i Marty.

Na samą myśl o siostrach z Magdali Józefem zawsze targały sprzeczne uczucia. Miriam czy Maria, jak nazywali ją Rzymianie, była powodem wszystkich jego niepowodzeń, i jako Żyda, i jako mężczyzny. Kochał ją – co do tego nie było wątpliwości – kochał ją tak, jak mężczyzna powinien kochać kobietę. Choć przy swoich czterdziestu latach mógł być jej ojcem, to gdyby postawił na swoim, dopełniłby należnego Żydowi obowiązku wobec Boga, pokryłby ziemię owocami swego nasienia – jak by powiedział Nikodem.

Ale Miriam kochała innego. I tylko Józef z Arymatei wiedział to, co wielu zaledwie podejrzewało, a wiedział na pewno, że obiektem jej miłości jest Mistrz. Józef nie winił jej za to. Sam kochał Mistrza. Dlatego zresztą nie objawił jej wyraźnie swego uczucia i nie zamierzał tego uczynić, dopóki będzie żył Mistrz. Ale posłańca do Betanii wysłał. Wprosił się na obiad.

Mistrz wyruszył z Galilei w czwartek, a uroczysty obiad i lekką kolację przygotowywano na piątek, kiedy to, według poufnej odpowiedzi Marty, Mistrz miał obwieścić coś ważnego. Podczas ostatniej wizyty Mistrz wskrzesił z grobu Łazarza. Co robi teraz? Czym przyćmi tamto widowisko? – zastanawiał się Józef ogarnięty ni stąd, ni zowąd wisielczym humorem.

W piątkowy ranek Józef wyjechał do Betanii, odległej od Getsemani o kilka mil. Gdy był już blisko domu Miriam i Marty, zobaczył schodzącego ze wzgórza, z otwartymi ramionami, ducha albo raczej jakieś widziadło w bieli. To był Mistrz, choć zdawał się jakoś odmieniony. Otaczała go nie mniej niż setka ludzi. Jak zwykle większość stanowiły kobiety. Wszyscy, podobnie jak Mistrz, mieli na sobie białe szaty, wszyscy nieśli naręczą { kwiatów i śpiewali dziwną, lecz chwytającą za serce pieśń.

Józefowi, siedzącemu na swoim dwukołowym wozie, odebrało mowę. A kiedy Mistrz podszedł do niego, w tej swojej białej szacie, opływającej mu członki jak woda, i popatrzył Józefowi w oczy, i uśmiechnął się, Józef pomyślał, że znów stoi przed nim tamto dawne, przygarnięte przezeń dziecko.

– Umiłowany Józefie – rzekł Mistrz, ujmując jego dłonie i wyciągając go z wozu – jakże jestem ciebie spragniony.

Następnie, zamiast go objąć, przesunął dłońmi po jego ramionach, po barkach, po twarzy, jakby badał zwierzę albo chciał zapamiętać kształty postaci i przetworzyć je w pogańską rzeźbę. Józef nie wiedział, co o tym myśleć. Na dokładkę poczuł mrowiące pod skórą ciepło, w ciele i w kościach, jakby zachodził w nim jakiś fizyczny proces. Skrępowany odsunął się od Mistrza.

Śpiewający ludzie, przechodzący obok nich, irytowali Józefa.

Nie rozpoznawał w nich znajomych twarzy, a poza tym chciał mieć Mistrza dla siebie, na osobności. Mistrz zdawał się czytać w jego myślach. Zapytał:

– Będziesz trwał przy mnie, Józefie?

– Myślisz o obiedzie i o najbliższej nocy? Tak, Marta wszystko przygotowała. Będę ci towarzyszył tak długo, jak zechcesz; wierz mi, musimy porozmawiać.

– Pytam, czy będziesz trwał przy mnie – powtórzył Mistrz, tonem, który był Józefowi obcy.

– A czyż muszę odpowiadać? Czyż nie wiesz, że zawsze jestem przy tobie? Właśnie dlatego musimy...

– Czy będziesz trwał przy mnie, Józefie? – powtórzył raz jeszcze Mistrz, jak wyuczoną na pamięć frazę. Uśmiechał się wciąż, to prawda, ale jego oczy zdawały się widzieć rzeczy bardzo odległe.

Józefem wstrząsnął zimny dreszcz.

– Wejdźmy do środka – rzucił krótko. – Nie widzieliśmy się od tak dawna; musimy porozmawiać tylko we dwóch.

Oddał konie komuś pod opiekę i odsuwając innych, wprowadził Mistrza na ścieżkę biegnącą do domu. Niebawem znaleźli się w portyku przestronnego kamiennego budynku.

Józef ujął Mistrza za ramię. Kiedy dotknął czubkami palców przewiewnej lnianej tkaniny rękawa, przypomniały mu się opowieści o nowej białej szacie, zasłyszane od Nikodema i nie tylko. Józef znał się na tkaninach. Od lat sprowadzał je z zagranicy i każdą potrafił rozpoznać po samym dotyku. Suknia Mistrza nie była uszyta z cieszącego się popytem w innych krajach tutejszego lnu, przedniej jakości lnu z Galilei, z tego, na którym zbiła fortunę rodzina sióstr z Magdali i wielu innych Galilejczyków. Ten był raczej o wiele droższym peluzjańskim lnem z północnego Egiptu. Lnem niezwykle drogim, wręcz bezcennym, rywalizującym jedynie z wyrabianą w równie ścisłej tajemnicy tkaniną, mianowicie z chińskim jedwabiem. Była to rzadkość nad rzadkościami. W Rzymie w jedwabiach chodziła jedynie rodzina cesarza. Dla innych był zakazanym luksusem. Więc jak, do licha, Mistrz zdobył taki skarb? I dlaczego, nawołując do omijania pułapek doczesnego bogactwa,

sam nosi taki strój, zamiast go sprzedać i swoim zwyczajem rozdać pieniądze ubogim?

Spotkali Martę, starszą z dwu sióstr. Jej ciasno splecione włosy okrywał szal, szyja ociekała potem; zaaferowana kobieta krzątała się między sługami, wokół glinianych palenisk na tyłach domu.

– Przygotowuję prawdziwie świąteczną ucztę – powiedziała dumnie, kiedy obaj mężczyźni, ostrożnie torując sobie drogę między sługami noszącymi uginające się od potraw półmiski, przyszli ją uściskać. – Marynowane w winie ryby – ciągnęła chleby i sosy, rosół z kury, pieczone jagnię i pierwsze wiosenne jarzyny, i zioła z naszego ogrodu. Gotuję od kilku dni! Ponieważ Mistrz zebrał po drodze całe mnóstwo ludzi, musiałam przygotować więcej jedzenia, niż to było w planie. Chociaż Pesach jest dopiero w przyszłym tygodniu, ten obiad to specjalna dziękczynna ofiara od naszej rodziny... nie tylko za twój szczęśliwy powrót z morza, Józefie, lecz także za cud, który sprawiła wiara Mistrza, ledwo trzy miesiące temu. Jestem pewna, że słyszałeś o historii naszego Łazarza.

Marta promieniała ludzkim uczuciem wdzięczności wobec Mistrza i chyba nie zauważyła w nim niczego niezwykłego. Józef, zdziwiony, popatrzył na niego także i musiał przyznać, że poprzednie wrażenie obcowania z istotą pozaziemską gdzieś znikło. Na jego miejscu pojawiło się dobre współczucie, które Józefa ogarniało, gdy starał się zrozumieć, jak w tak krótkim okresie swego posługiwania Mistrz pozyskał tak długi orszak zwolenników. Mistrz zdawał się mieć wiedzę o każdym ciemnym sekrecie każdego serca, a jednocześnie – dar przebaczenia i rozgrzeszania wszystkiego.

– Drogi Józefie, nie wierz, proszę, choćby słowu, które wypowiedziała ta kobieta – powiedział żartobliwie. – To jej własna wiara i wiara jej siostry wywiodły Łazarza z grobu. Ja asystowałem przy porodzie jedynie w roli akuszerki; cudów narodzin i odrodzenia, czy to z macicy, czy z grobu dokonuje Bóg i nikt więcej. I jedynie wobec tych, którzy mają prawdziwą wiarę.

– Nasz brat Łazarz może ci sam powiedzieć, jak było naprawdę – Marta zapewniła Józefa. – Jest teraz na tarasie, razem z gośćmi.

– A Miriam? – spytał Józef.

– Mistrzu, zróbże coś z nią. – Marta nie kryła irytacji. – Cały

ranek spędziła na wzgórzach, z tobą i z innymi, a teraz jest w sadzie, z uczniami i ich rodzinami przybyłymi spoza miasta. Nic tylko się wdaje w filozoficzne rozprawy, gdy tymczasem życie upływa, a rzeczywistość przygniata nam ramiona nieludzkim ciężarem. Przydałaby się jej twoja reprimenda.

Mistrz odsunął od siebie Martę, przyjrzał jej się, a następnie przemówił. Ale ton jego głosu, intensywny i zapalczywy, taki, z którego bardziej przebijał gniew niż miłość, doprawdy wprowadził Józefa w oszołomienie.

– Ja kocham Miriam. Kocham ją bardziej niż własną matkę, bardziej niż tego tu Józefa, człowieka, który mnie wychował. Kocham ją bardziej niż któregokolwiek z moich braci, a niektórzy byli ze mną od samego początku. Miriam i mnie łączy pewna więź. Ta więź jest jak węzeł, to obopólne zrozumienie, które jest na tyle silne, że potrafi przeniknąć wszystko, nawet śmierć. Marto, czy sądzisz, że Miriam stanie się mądrzejsza lub ważniejsza, pomagając ci gotować, choćby dla tysiąca?

Czy nie lepiej, kiedy u was goszczę, by siedziała u moich stóp tę jedną godzinę dłużej?

Józefa zdumiało okrucieństwo Mistrza. Jak można strofować kobietę, która chwilę wcześniej wynosi cię pod niebiosa za przywrócenie życia bratu i która spędza trzy dni na gotowaniu dla ciebie, twoich uczniów i setki nie proszonych gości?

Marcie zadrgały policzki. Zakryła twarz dłońmi; była bliska płaczu. Ale kiedy Józef z zamiarem orędowania za nią zrobił krok do przodu, w Mistrzu raz jeszcze nastąpiła zmiana. Chwytał kobietę za nadgarstki, pochylił głowę i pocałował wewnątrz dłoni, wciąż lepkich od ciasta i białych od mąki. Następnie, raz jeszcze zamykając nieszczęsną w swych ramionach, pocałował ją w czoło i zakołysał jak wystraszone dziecko. Kiedy się uspokoiła i przełknęła łzy, zwolnił uścisk, odsunął się i popatrzył na nią.

– Marto, Marto, troszczysz się o tak wiele, ale Miriam lepszą drogę obrała – rzekł miękko. – Niech każdy z nas da z siebie tyle, ile może. Nie upominajmy się o karę dla kogoś, kto jedynie wypełnia wolę Ojca.

I nim Józef pojął sens całej sceny, Mistrz wziął go za ramię i wyprowadził na taras.

Poniżej, w zamkniętych ogrodach, zaproszeni goście zbierali

się wokół stołów, dywanów i innych sprzętów ustawionych między szpalerami winnych krzewów, które prowadziły do sadu. Ci drudzy, nie zaproszeni, mieli zjeść obiad na wyblakłych kamiennych murach, w cieniu obok strumienia.

Pod baldachimem winnych krzewów, ledwo puszcających pierwsze, jeszcze nie rozwinięte pędy, Józef zobaczył rybaków z Galilei: Andrzej i jego brat Szymon szeptali ze swoimi towarzyszami, Janem i Jakubem, synami Zebedeusza, których on, Józef, nazywał „gromem i błyskawicą” z powodu ich porywczych, gwałtownych charakterów. Obok przystanął młody Jan Marek. Ten przybył na dzisiejsze święto z domu swojej matki, z Jerozolimy.

Józefa przestraszył widok tak wielu znamienitych uczniów i ich rodzin zebranych w jednym miejscu. Zwłaszcza tu, w Judei, gdzie każdego może dosięgnąć prawo rzymskie i ręka Kajfasza. Jeśli zamierzają zostać tu dłużej, będzie musiał zabrać ich do swojego majątku, dp Getsemani, znajdującego się pod stałą pieczęą sług.

Otrząsnął się z niespokojnych myśli, zatrzymał Mistrza i nim inni zdążyli ich zauważyć, wciągnął go do ocienionej winoroślą altanki.

– Mój umiłowany synu – powiedział ciepło – tak bardzo odmieniłeś się przez jeden krótki rok mojej nieobecności, że ledwo cię poznaję.

Mistrz zwrócił spojrzenie na Józefa. Jego opalizujące oczy, to dziwne przemieszanie brązu i zieleni, i złota, zawsze były dla Józefa czymś nierzeczywistym. Były oczami kogoś, kto obcuje z innymi, nie mieszczącymi się w ludzkiej wyobraźni światami.

– To nie ja się zmieniłem – Mistrz uśmiechnął się smutno to zmienia się świat, Józefie. Zmieniają się czasy, ale my musimy się skupić na jednej jedynej rzeczy, tej niezmiennej i nieprzemijającej.

Właśnie podnosi się dzień przepowiadany od zarania dziejów, od Enocha, Eliasza, Jeremiasza. I podobnie jak pomogłem młodemu Łazarzowi powstać z grobu, tak teraz naszym zadaniem jest wprowadzenie świata w nową erę. Właśnie dlatego jestem tutaj. Mam nadzieję, że dołączysz do mnie, że dołączycie wszyscy. Mam nadzieję, że będziecie trwać przy mnie. Choć nie musicie iść za mną tam, dokąd ja muszę pójść.

Józef nie zrozumiał tej ostatniej uwagi. Miał w głowie jedno: bezpieczeństwo Jezusa.

– Wszyscy lękamy się o ciebie, Jezusie. Posłuchaj, proszę. Wiem od innych członków sanhedrynu, że w czasie ostatniego jesiennego święta przebywałeś w Jerozolimie. Jezusie, wiesz, że sanhedryn to twoja najmocniejsza podpora. Sądziłem, udając się zeszłego roku w podróż, że sprawy układają się pomyślnie, że zgodnie z przygotowaniami namaszczą cię najbliższej jesieni. Bo przecież taki był ich cel: namaścić cię jako mesjasza, jako naszego wybranego króla i duchowego przywódcę! Dlaczego wszystko zmieniłeś? Dlaczego próbujesz unicestwić to, co było planowane od dawna przez tak wielu mądrych ludzi?

Mistrz potarł oczy dłonią.

– Józefie, sanhedryn nie jest moją najmocniejszą podporą powiedział znużony. – Moją najmocniejszą podporą jest mój Ojciec w niebiosach, a ja jedynie wykonuję jego rozkazy. Jeśli przypadkiem jego zamysły stanęły na przeszkodzie tamtym z sanhedrynu, to powiadam ci, nie ze mną, a z nim przyjdzie im się wadzić. – Uśmiechnął się z przymusem i dodał: – A co do spraw niezmiennych i nieprzemijających, to zawiły problem.

Mistrz zawsze lubił mówić zagadkowo, a teraz, co nie uszło uwagi Józefa, nawiązywał do węzłów i zawiłości. Józef już był bliski pójścia tym tropem, kiedy otaczająca ich zasłona winnych pędów rozdzieliła się i stanęła przed nimi Miriam, uśmiechając się tym swoim ciepłym, zmysłowym uśmiechem, od którego Józefowi zawsze miękło serce.

Jej bujne włosy, w tęczy kolorów, opadały luźno na ramiona, i to już sprawiało, że w oczach starszych, a nawet niemałej liczby uczniów, uchodziła za kobietę o nieokiełznanymi namiętnościami, a więc osobę niebezpieczną dla ich sprawy. Za niestosowne w otoczeniu Mistrza bawidełko. Józef, patrząc na nią teraz, pomyślał, że jest w niej coś pierwotnego, że jest odbiciem samej natury. Że jest jak odwieczna demoniczna Lilit, którą najstarsze hebrajskie pisma zwały pierwszą żoną Adama; dojrzały owoc, który hojnie rozsiewa po świecie swoje nasiona.

– Józefie z Arymatei! – wykrzyknęła i rzuciła się radośnie w jego ramiona. – Tęskniliśmy za tobą wszyscy, ale ja najbardziej. – Cofnęła się, aby popatrzeć na niego poważnie tymi wielkimi zielonymi oczami pod gęstą firanką rzęs. – Wiesz, się wokół stołów, dywanów i innych sprzętów ustawionych między szpalerami winnych krzewów, które prowadziły do sadu. Ci drudzy, nie zaproszeni, mieli zjeść obiad na wyblakłych kamiennych murach, w cieniu obok strumienia.

Pod baldachimem winnych krzewów, ledwo puszczających pierwsze, jeszcze nie rozwinięte pędy, Józef zobaczył rybaków z Galilei: Andrzej i jego brat Szymon szeptali ze swoimi towarzyszami, Janem i Jakubem, synami Zebedeusza, których on, Józef, nazywał „gromem i błyskawicą” z powodu ich porywczych, gwałtownych charakterów. Obok przystanął młody Jan Marek. Ten przybył na

dzisiejsze święto z domu swojej matki, z Jerozolimy.

Józefa przestraszył widok tak wielu znamienitych uczniów i ich rodzin zebranych w jednym miejscu. Zwłaszcza tu, w Judei, gdzie każdego może dosięgnąć prawo rzymskie i ręka Kajfasza. Jeśli zamierzają zostać tu dłużej, będzie musiał zabrać ich do swojego majątku, do Getsemani, znajdującego się pod stałą pieczę sług.

Otrząsnął się z niespokojnych myśli, zatrzymał Mistrza i nim inni zdążyli ich zauważyć, wciągnął go do ocienionej winoroślą altanki.

– Mój umiłowany synu – powiedział ciepło – tak bardzo odmieniłeś się przez jeden krótki rok mojej nieobecności, że ledwo cię poznaję.

Mistrz zwrócił spojrzenie na Józefa. Jego opalizujące oczy, to dziwne przemieszanie brązu i zieleni, i złota, zawsze były dla Józefa czymś nierzeczywistym. Były oczami kogoś, kto obcuje z innymi, nie mieszczącymi się w ludzkiej wyobraźni światami.

– To nie ja się zmieniłem – Mistrz uśmiechnął się smutno to zmienia się świat, Józefie. Zmieniają się czasy, ale my musimy się skupić na jednej jedynej rzeczy, tej niezmiennej i nieprzemijającej. Właśnie podnosi się dzień przepowiadany od zarania dziejów, od Enocha, Eliasza, Jeremiasza. I podobnie jak pomogłem młodemu Łazarzowi powstać z grobu, tak teraz naszym zadaniem jest wprowadzenie świata w nową erę. Właśnie dlatego jestem tutaj. Mam nadzieję, że dołączysz do mnie, że dołączycie wszyscy. Mam nadzieję, że będziecie trwać przy mnie. Choć nie musicie iść za mną tam, dokąd ja muszę pójść.

iT lil«rf«WMI

Józef nie zrozumiał tej ostatniej uwagi. Miał w głowie jedno: bezpieczeństwo Jezusa.

– Wszyscy lękamy się o ciebie, Jezusie. Posłuchaj, proszę. Wiem od innych członków sanhedrynu, że w czasie ostatniego jesiennego święta przebywałeś w Jerozolimie. Jezusie, wiesz, że sanhedryn to twoja najmocniejsza podpora. Sądziłem, udając się zeszłego roku w podróż, że sprawy układają się pomyślnie, że zgodnie z przygotowaniami namaszczą cię najbliższej jesieni. Bo przecież taki był ich cel: namaścić cię jako mesjasza, jako naszego wybranego króla i duchowego przywódcę! Dlaczego wszystko zmieniłeś? Dlaczego próbujesz unicestwić to, co było planowane od dawna przez tak wielu mądrych ludzi?

Mistrz potarł oczy dłonią.

– Józefie, sanhedryn nie jest moją najmocniejszą podporą powiedział znużony. – Moją najmocniejszą podporą jest mój Ojciec w niebiosach, a ja jedynie wykonuję jego rozkazy. Jeśli

I przypadkiem jego zamysły stanęły na przeszkodzie tamtym z sanhedrynu, to powiadam ci, nie ze mną, a z nim przyjdzie im się wadzić. – Uśmiechnął się z przymusem i dodał: – A co do spraw niezmiennych i nieprzemijających, to zawiły problem.

Mistrz zawsze lubił mówić zagadkowo, a teraz, co nie uszło uwagi Józefa, nawiązywał do węzłów i zawiłości. Józef już był bliski pójścia tym tropem, kiedy otaczająca ich zasłona winnych

pędów rozdzieliła się i stanęła przed nimi Miriam, uśmiechając się tym swoim ciepłym, zmysłowym uśmiechem, od którego Józefowi zawsze miękło serce.

Jej bujne włosy, w tęczy kolorów, opadały luźno na ramiona, i to już sprawiało, że w oczach starszych, a nawet niemałej liczby uczniów, uchodziła za kobietę o nieokiełznanymi namiętnościami, a więc osobę niebezpieczną dla ich sprawy. Za niestosowne w otoczeniu Mistrza bawidełko. Józef, patrząc na nią teraz, pomyślał, że jest w niej coś pierwotnego, że jest odbiciem samej natury. Że jest jak odwieczna demoniczna Lilit, którą najstarsze hebrajskie pisma zwały pierwszą żoną Adama; dojrzały owoc, który hojnie rozsiewa po świecie swoje nasiona.

– Józefie z Arymatei! – wykrzyknęła i rzuciła się radośnie w jego ramiona. – Tęskniliśmy za tobą wszyscy, ale ja najbardziej. – Cofnęła się, aby popatrzeć na niego poważnie tymi wielkimi zielonymi oczami pod gęstą firanką rzęs. – Wiesz, o czym często rozprawialiśmy z Mistrzem? O tym, że kiedy ty jesteś, wygasają kłótnie i cichną jęki i narzekania. Wymiatasz je jednym spojrzeniem. Przy tobie, Józefie, wszystko zdaje się proste.

– Rad bym pojął, co się zmieniło pod moją nieobecność, bo że się coś zmieniło, to pewne. Kiedyś nie było tu żadnych kłótni.

– Oczywiście, to on ci powiedział, że nic się nie zmieniło, tak? – spytała Miriam, patrząc przy tym na Mistrza z kpiącą przyganą. – Dziękuję, wszystko w porządku... jakbym sama słyszała. Ale to nieprawda; on się ukrywa od miesięcy, nawet przed swoimi zwolennikami. A w następną niedzielę, w święto Paschy, chce odbyć tryumfalny wjazd do miasta, w otoczeniu...

– Chyba nie zamierzasz pokazywać się w Jerozolimie w obecnej sytuacji? – Józef zwrócił się do Mistrza zaalarmowany. – Nie sądzę, by to było mądre. Sanhedryn z pewnością odmówi ci planowanego na jesień namaszczenia, jeśli teraz jeszcze bardziej namieszasz.

Mistrz rozłożył ramiona i przygarnął do siebie oboje, Józefa i Miriam, jakby byli dziećmi.

– Nie mogę czekać aż do jesieni. Mój czas się dokonał – rzekł krótko. Po czym, uściskawszy lekko Józefa, wyszeptał mu prosto w ucho: – Trwaj przy mnie, Józefie.

Kiedy słońce miało się ku zachodowi, rzesze zwolenników J Mistrza spokojnie wyruszyły w drogę powrotną, na wzgórza.

W ogrodach i w sadach został po nich śnieżny dywan osypanych kwiatów.

Zapadły ciemności. Marta zapaliła na tarasie gliniane oliwne lampki, a służba podała lekką kolację. Zasiadło do niej dwunastu i młody Łazarz, który wyglądał blado i mizernie i prawie się nie odzywał, oraz kilka starszych kobiet i same siostry. Matka Mistrza z żalem zawiadamiała, że może wyruszyć z Galilei nie wcześniej niż pod koniec Paschy.

Kiedy Mistrz złożył podziękowania i kiedy przełamano się chlebem nad obfitymi porcjami gorącej zupy, Miriam wstała i podniosła stojące obok niej, na stole, pięknie rzeźbione alabastrowe naczynie. Podeszła do Józefa, który siedział blisko Mistrza, i poprosiła, by je potrzymał. Następnie zdjęła z naczynia pokrywkę i zanurzyła w nim obie dłonie. Siedzący wokół stoliTt ■nlfftt

łu zastygli w bezruchu; wpatrywali się w postać kobiety, która w migocącym świetle zdawała się unosić w powietrzu niby anioł zagłady czy wieszczący prorocstwo.

Nagle taras i winnicę, i ogrody owionął wszechogarniający zmysłowy zapach nardu. Zapach olejku, za który, o czym Józef dobrze wiedział, płacono więcej niż za rubiny i złoto. Miriam, nic nie rzekłszy, uniosła ku górze złączone dłonie.

Byłoby trudno nie domyślić się dalszego ciągu.

Szymon odepchnął miskę i usiłował się wydostać zza stołu; Jan i Jakub, synowie Zebedeusza, wyciągnęli ramiona, aby powstrzymać Miriam; Judasz skoczył na równe nogi. Ale spóźnili się wszyscy.

Józef trzymał alabastrowe naczynie i obserwował w zdumieniu, jak Miriam, o twarzy płonącej niemal nieziemskim pięknem, otworzyła dłonie, a wtedy drogocenny olejek popłynął w dół, na głowę Mistrza, a z głowy na twarz i na szyję, i na jego suknię, w uświęconym tradycją rytuale namaszczenia króla. Następnie Miriam uklękła przed Mistrzem. Zdjęła mu z nóg sandały. Gestem wskazała Józefowi naczynie, zaczerpnęła z niego kolejne dwie garści olejku, tego samego, wartego wysadzanej brylantami królewskiej korony, i wylała go na obnażone stopy. W geście całkowitego poddania się i pełnej adoracji strząsnęła do przodu jedwabiste włosy i wytarła nimi stopy Mistrza.

Józef był jak sparaliżowany. Wszyscy byli jak sparaliżowani. Cóż to za dziwna i potworna parodia, ten niemal miłosny akt uświęconego przez wieki rytualnego namaszczenia. Akt dokonany bez autorytetu kapłana. Bez stosownej ceremonii. Na nie poświęconej ziemi. Dłońmi kobiety!

Judasz wyrwał się pierwszy. Z raczej łagodną wersją tego, co czuli wszyscy: że pomijając całą resztę, niefrasobliwe tracenie fortuny na olejek to nic innego jak obłęd.

– Moglibyśmy go sprzedać! Wesprzeć ubogich! – krzyczał z twarzą poszarzałą od gniewu.

Józef popatrzył na Mistrza, próbując go zrozumieć.

W blasku oliwnych kaganków oczy Mistrza płonęły ciemną zielenią. Patrzył na Miriam, która klęczała na ziemi tuż przy kolanach Józefa. Patrzył na nią, jak gdyby już nigdy nie miał jej zobaczyć, jak gdyby uczył się jej rysów na pamięć.

– Dlaczego tak bardzo interesujesz się ubogimi, Judaszu? –

rzekł, nie odwracając oczu od Miriam. – Ubogich nigdy wam nie zabraknie. Ale mnie nie będziecie mieli na zawsze.

Józefem znowu wstrząsnął zimny dreszcz. Poczuł się bezradny, siedząc tak obok Mistrza, nie wiedząc, co zrobić z alabastrowym naczyniem. Mistrz, jakby czytał w jego myślach, zwrócił się ku niemu.

– Przyjdzie czas, kiedy Miriam wyjaśni ci wszystko, co powinieneś wiedzieć – powiedział cicho, ledwo poruszając ustami. – Teraz postaraj się o osiołka, na którym w przyszłą niedzielę wjadę do Jerozolimy.

– Błagam cię, nie posuwaj się za daleko, nie słuchaj złych doradców – wyszeptał gorączkowo Józef. – To niebezpieczne. To wręcz bezbożne. Profanujesz proroctwa. Chociaż Kocham Miriam, nie powstrzymam się od uwagi, że żaden król judejski nie był namaszczonej na nie poświęconej ziemi ani ręką kobiety!

– Nie przybywam tutaj, by zostać królem Judei, mój umiłowany Józefie. Mam inne królestwo i, jak widziałeś, inny sposób namaszczenia. A także inną prośbę do ciebie, przyjacielu. Nim nastanie czas kolacji podczas święta Pesach, wielu będzie mnie szukać. Nie możemy wyjawiać miejsca jej spożywania. To niebezpieczne. Przyjdź zatem do świątyni i przyprowadź ze sobą innych. Tam, w pobliżu targowiska, zobaczysz męża niosącego dzban wody. Udaj się za nim.

– I tylko tyle? Mamy przyjść na jakieś miejsce i udać się za kimś obcym? – spytał Józef.

– Udaj się za niosącym dzban – powtórzył Mistrz. – Resztę zostaw mnie.

Sobota

Właśnie minęła północ, kiedy to się zdarzyło. Kajfasz miał nigdy nie zapomnieć tamtej chwili. Kiedy przyszli go obudzić. Kiedy zastukali w drzwi sypialni, a on wiercił się w pościeli, nie wiedząc, która godzina. O tym, że włosy stają dęba na głowie, słyszał od innych. Teraz sam doświadczył tego uczucia. Przeczynał, że zdarzy się coś niebezpiecznego. Coś ekscytującego. Coś, czemu nie potrafił nadać nazwy, ale czego od dawna oczekiwał.

Strażnicy świątyni, którzy pilnowali pałacu arcykapłana, jak również samego arcykapłana, zatrzymali się przy drzwiach sypialni i powiedzieli mu, że do bram przyszedł jakiś człowiek – tu, do strzeżonego kwartału miasta, teraz, w środku nocy, w godzinach objętych rzymskim zakazem wychodzenia z domu – i że ten człowiek chce się z nim zobaczyć. Powiedzieli mu, że jest przystojny, silny, że ma ogorzałą chropowatą twarz i chmurne czoło. Powiedzieli mu, że odmawia rozmowy z kimkolwiek poza arcykapłanem Kajfaszem, a do arcykapłana ma sprawę natury prywatnej i nie cierpiącą zwłoki. Powiedzieli mu, że nie ma żadnych listów polecających, żadnego wytłumaczenia dla swojej wizyty, że nie jest umówiony. Powiedzieli mu, że oni, strażnicy świątyni, znają swoje obowiązki. Że powinni go przymknąć, przepytac i odeslac z powrotem. Ale że się wahaja.

Arcykapłan milczał. Nie musiał zadawać zbędnych pytań. Tak jak zdrajca rozumie zdrajcę, tak Józef Kajfasz zrozumiał, że zna tego człowieka od zawsze, że znał go przez całą wieczność.

Spowity przez sługę w fałdy obfitego zielonego płaszcza jak w kokon, odprowadzany przez strażników świątyni, w milczeniu ruszył wzdłuż kamiennych korytarzy do komnaty, w której czekał na niego obcy. Gdzie czekało przeznaczenie. Kajfasz wiedział intuicyjnie, że nadeszła jego godzina.

Ale później, kiedy pytano go o tamtą noc (a ściślej: kiedy go przesłuchiowali Rzymianie oraz sanhedryn), osobliwa rzecz: potrafił sobie przypomnieć jedynie tamten łomot do drzwi w środku nocy, tamten marsz wzdłuż długich korytarzy, i tamto uczucie, że wychodzi naprzeciw przeznaczeniu, uczucie, o którym naturalnie nikomu nie wspominał, bo nic nikomu do jego uczuć. A kiedy pytano o tamtego obcego, rozmazana plama, powiedział. Jakby mi umysł, powiedział, zamroczyło wino.

W końcu dlaczego miałby go sobie przypomnieć, jeśli spotkali się tylko na chwilę, tylko tamtej

jednej nocy? O resztę zadbały straż: zapłaciły za robotę trzydzieści srebrników. Czyż można wymagać, by Kajfasz po tak długim czasie pamiętał jego imię? Jakiś biedak, możliwe, że pochodzący z Dar isz-Kariot, choć jakie to ma znaczenie. Z perspektywy dziejowej, pomyślał Kajfasz, w wielkiej tkaninie, którą jest historia, co znaczy jedno imię więcej? I nie ono się liczy. Liczy się tylko chwila.

Po dwóch tysiącach lat imiona ich wszystkich będą niby pyłki kurzu pędzone wiatrem przez pustynię. Za dwa tysiące lat z tej historii nikt nie będzie niczego pamiętał.

Niedziela

Tyberiusz Klaudiusz Neron Cezar miał dar widzenia w ciemnościach.

Teraz, stojąc w mrokach nocy, nocy bez księżyca czy gwiazd, dostrzegał wyraźnie linie i żyły własnych silnych dłoni spoczywających na murze ogrodzenia. Jego wielkie ciemne oczy obserwowały morze; śledziły bieg grzywiastych fal aż po Zatokę Neapolitańską, gdzie linia wybrzeża tonęła w atramentowej czerni.

Dzięki temu darowi, będąc dzieckiem, pomógł matce w ucieczce przez łąki i góry, i przez płonący las, przez szalejące płomienie, niemal liżące jej włosy, w ucieczce przed oddziałami Gajusza Oktawiana, który usiłował ją pojąć. Potem Oktawian stał się Augustem, pierwszym cesarzem Rzymu. Więc matka Tyberiusza rozwiodła się z jego ojcem, kwestorem, dowódcą floty Juliusza Cezara podczas jego zwycięskiej wyprawy do Aleksandrii. I została pierwszą cesarzową Rzymu.

To była Liwia, kobieta niezwykła, matka chrzestna *pax Romana*, czczona przez westalki i uważana za skarb cesarstwa prawie przez wszystkich jego obywateli. Herod Antypas zbudował w Galilei miasto jej imienia; kilka razy wysuwano wnioski, by otrzymała tytuł nieśmiertelnej, taki sam, jaki ustanowiono dla Augusta.

Ale Liwia wreszcie umarła. Tyberiusz zaś był cesarzem dzięki niej – ponieważ, aby dogodzić ambicjom syna, otrąła wszystkich prawowitych sukcesorów stojących między nim a tronem. Łącznie, jak szeptano, z boskim Augustem. Albo raczej – można powiedzieć – aby zaspokoić własne ambicje, tych bowiem jej nigdy nie brakowało. Ciekawe, pomyślał Tyberiusz, czy Liwia gdziekolwiek się teraz znajduje – również widzi w ciemnościach.

Rok temu stał przez większą część nocy w tym samym miejscu. Wyczekiwał na ognisko, które z jego rozkazu miało zapłonąć na Wezuwiuszu, na stałym lądzie, zaraz po potwierdzeniu przez Rzym śmierci Sejana.

Uśmiechnął się do siebie. Uśmiechnął się gorzko, pełen głębokiej, nie mającej nigdy wygasnąć nienawiści do tamtego, który podawał się za najlepszego i jedynego przyjaciela cesarza. Który w końcu go zdradził, tak samo jak wszyscy inni.

Czas szybko płynie, pomyślał. Czyż nie minęło z tysiąc lat od chwili, kiedy stał, tak jak dzisiaj, przy innym murze, na innej wyspie, podczas pierwszego, dobrowolnego wygnania? Na Rodos, dokąd uciekł od tamtej suki, od żony Julii, córki Augusta, dla której musiał się rozwieść ze swoją ukochaną Wipsanią. W tamtym tygodniu, kiedy August sam wypędził Julię i napisał do zięcia, zachęcając go do powrotu do Rzymu, ukazał się znak: na dachu jego domu przysiadł orzeł, ptak nigdy nie widywany na

Rodos. Dla astrologa Trazyllosa było to wyraźne prorocтво, że Tyberiusz odziedziczy tron.

Tyberiusz wierzył, że światem rządzi fatum, że swoje przeznaczenie można poznać dzięki astrologii, dzięki umiejętności I czytania znaków czy za pomocą tradycyjnych sposobów wrózenia z kości i z wnętrzości zwierząt. Ponieważ każdy jest skazany na swój los, daremne jest zanoszenie próśb do bogów, przejednywanie ich ofiarami czy wnoszenie kosztownych świątyn i posągów.

Medycy są tak samo niepotrzebni. Siedemdziesięcioczeroletni Tyberiusz obywatł się bez leków z górą czterdzieści lat, a wciąż miał skóre jędrną jak u atlety, wciąż był przystojny, barczysty i silny jak byk. Mógł przebić twarde jabłko którymkolwiek palcem którejkolwiek ręki. Powiadano, że w czasach wojny w Germanii właśnie w ten sposób zabijał żołnierzy. Był, istotnie, walecznym żołnierzem, a przede wszystkim obiecującym politykiem – przynajmniej na początku kariery.

Tamte dni jednak minęły. Znaki się odmieniły, i to nie na jego korzyść. Mogło tak być, że już nigdy nie wróci do Rzymu. Swego czasu, na rok przed sprawą Sejana, udał się w podróż w górę Tybru. I oto pewnego dnia jego ukochana żmijka, Klaudia, którą wyhodował na własnej piersi i wykarmił własną ręką, została znaleziona na pokładzie, zjedzona do połowy przez mrówki. Znaki powiedziały: strzeż się motłochu.

Teraz stał każdej nocy na tym wysokim urwisku, na tej wystającej z morza skale, której historia sięgała najodleglejszych czasów i była osnuta mgłą tajemnicy. Nazywano ją Kaprea, od

1

kozła. Jedni sądzili, że to na cześć Pana, pół człowieka, pół kozła, syna nimfy wodnej i Hermesa. Inni – że nazwa pochodzi od konstelacji Koziorożca, kozła, który wyskoczył z morza jak ryba. Ale byli i tacy, którzy utrzymywali (wiedział o tym doskonale), że od lubieżnego, podobnego do starego capa cesarza, sprowadzającego na wyspę dzieci konkubin, trawionego wszelką żądzą i wszelką nieprawością. Nie dbał o to. Gwiazdy, które wytyczały szlak jego przeznaczenia, były wciąż te same co przy jego narodzinach. Nie zmieniła się żadna.

Chociaż Tyberiusz przeszedł przez życie jako konsul, wódz, wytrawny dyplomata i wreszcie cesarz, jednak podobnie jak jego bratanek Klaudiusz był miłośnikiem historii. Zwłaszcza historii bogów, z których większość traktowano w tych nowożytnych czasach jako zwykły mit. On najbardziej ze wszystkich kochał mity greckie.

A teraz, po tych wszystkich latach wygnania na tę stertę kamieni – kiedy docierały do niego wyłącznie wieści o tragediach i zdradach, chlebie powszednim tamtego, zewnętrznego świata – teraz nagle na dalekich krańcach cesarstwa rzymskiego zaczął wschodzić nowy mit. Niezupełnie nowy, poprawił się w duchu. Właściwie całkiem stary, może nawet najstarszy mit świata, historia, do której sięgano w każdej cywilizacji, od kiedy zaczęto spisywać dzieje ludzkości. Mit o konającym bogu, bogu, który zdobył się na największe poświęcenie: stał się j człowiekiem. Bogu, który przez podporządkowanie własnego życia życiu zwykłego śmiertelnika doprowadza do zburzenia starego ładu, a następnie do jego odrodzenia w postaci ładu nowego świata, nowej ery.

Tyberiusz stał i słuchał ciemnego morza, łamiącego fale o skały poniżej, stał i patrzył w dal, ku

ledwo żarzącym się konturom Wezuwiusza, wulkanu, w którym od niepamiętnych czasów bulgotała i wrzała gorąca lawa, ale który, jak powiadano, miał zwyczaj wybuchać jedynie wtedy, kiedy kończyła się kolejna era.

Lecz czyż ich świat nie wkracza w nową erę? Czyż to nie jej oczekują astrologowie? Ciekawe, pomyślał, czy jeszcze za jego życia trzewia ziemi spuszczą z uwięzi wulkanicznego boga spustoszenia – czy nie stanie się to wkrótce, właśnie teraz, między minioną a nadchodzącą nową erą, między starymi a nowymi dwoma mileniami: ten jeden jedyny raz na przestrzeni czterech tysięcy lat.

Pośród fal obmywających stały ład zobaczył błysk wiosła, co oznaczało, że ku wyspie płynie okręt. Wyczekiwał tego okrętu przez pół nocy, a teraz, kiedy w rzednących ciemnościach, tej zapowiedzi rychłego świtu, zbliżał się ku niemu, Tyberiusz zacisnął dłonie na murze. Ten okręt wiózł mu świadka. Świadka, który był obecny przy śmierci boga.

Był wysoki i smukły, miał oliwkową skórę, migdałowe oczy i opadające na ramiona włosy, czarne i lśniące niby skrzydła kruka. Nosił białą lnianą tunikę, przewiazaną rzemieniem, i szerokie bransolety z brązu, typowe dla tych z Południa. Przed nim, na marmurowym podwyższeniu, tam, skąd rozciągał się widok na morze, siedział na marmurowym tronie Tyberiusz. Za nim stał cesarski strażnik i kapitan ze swoją załogą – jego prze- woźnicy. Po sposobie, w jaki przemierzył taras i klęknął na jedno kolano przed Tyberiuszem, widać było, że się boi... i że jest dumny.

– Nazywasz się Tammuz i jesteś Egipcjaninem – przemówił cesarz, gestem zapraszając przybyłego do powstania. – I podobno jesteś sternikiem okrętu kupieckiego, który kursuje między Judea a Rzymem. – Kiedy świadek powstał z klęczek, Tyberiusz dodał: – Pozwalamy ci mówić.

– Jest właśnie tak, jak Najjaśniejszy Pan... Wasza Cesarska Wysokość rzecze – odpowiedział Tammuz. – Mój pan posiada flotę kupieckich żaglowców. Ja stoję u steru jednego z okrętów, który oprócz ładunku przewozi wielu pasażerów.

– Opowiedz mi, co widziałeś. Własnymi słowami. Nie musisz się śpieszyć.

– To zdarzyło się późnym wieczorem. Nikt nie spał; większość pasażerów rozmawiała na pokładzie, dopijając wino z kolacji. Płynęliśmy wzdłuż greckiego wybrzeża, w pobliżu wysp Echinades. Wiatr przycichł i żaglowiec dryfował spokojnie obok ciemnych, lesistych wysp Paksoj, tych, które przypominają dwugarbnego wielbłąda. Właśnie wtedy, właśnie z Paksoj, poprzez wodę niósł się głos wołający moje imię.

– Imię Tammuz – mruknął cesarz, jakby odtwarzając w pamięci na pół zapomnianą melodię.

– Tak, panie – potwierdził Tammuz. – Zajęty przy sterze nie od razu zdałem sobie sprawę, że to mnie przyzywa. Ale drugie zawołanie wzięłem do siebie. Choć zdecydowanie mnie zaskoczyło, bo na tamtej małej greckiej wysepce nikt mnie nie znał, a mojego imienia nie znali nawet pasażerowie okrętu. Kiedy imię Tammuz rozbrzmiało po raz trzeci, pasażerowie zaczęli wymieniać zaleźnione spojrzenia, ponieważ nasz okręt był w tej części morza, w mroku nocy, jedynym okrętem. Zebrawszy się w sobie, po trzecim zawołaniu odpowiedziałem ukrytemu głosowi, który przyzywał mnie ponad wodami.

– I co się zdarzyło, kiedy odpowiedziałeś? – spytał Tyberiusz, odwracając twarz od pierwszych zorzy ku cieniowi. Nie chciał, by po odpowiedzi Egipcjanina, straż i żeglarze mogli czytać w jego myślach.

– Wołający odkrzyknął: „Tammuzie, gdy dotrzesz do Palodes, nie zapomnij obwieścić, że wielki Pan nie żyje!”

Tyberiusz skoczył na równe nogi – przewyższał wzrostem wszystkich – i zatopił spojrzenie w oczach Tammuza.

– Pan? – warknął. – O jakim Panie ty mówisz?

– Ten, o którym mówię, nie jest żadnym z egipskich bogów, w których wierzyłem, bo tak mnie wychowano. I chociaż teraz, jako poddany wielkiego imperium rzymskiego, zerwałem z tamtymi pogańskimi pomysłami, lękam się, że nie jestem odpowiednio przyuczony do nowo nabytej wiary. Jednak według mojego rozumienia ten Pan jest półboskim synem Hermesa, boga, który w Egipcie nosi imię Tot. I możliwe, że jako półboga, Pana może osiągnąć śmierć. Ufam, że to, co mówię, nie jest świętokradztwem.

Pana może osiągnąć śmierć! Pana, myślał Tyberiusz, największego boga od tysiący lat? Cóż to za absurdalna opowieść? Z twarzą zastygłą jak maska cesarz znowu zasiadł na tronie, swoim zwyczajem potarł szczękę i skinał, aby Tammuz mówił dalej, choć przeczucie zaczęło mu podszeptywać najgorsze z najgorszych.

– Cała załoga i wszyscy pasażerowie byli równie zdumieni i zmieszani jak ja – ciągnął Tammuz. – Rozważaliśmy wspólnie, czy powinienem postąpić tak, jak nakazywał głos, czy raczej mu odmówić, nie dać się wciągnąć w coś, co jest niezrozumiałe i obce. W końcu postanowiłem zrobić tak: jeśli podczas mijania

Palodes wiatr będzie nam sprzyjał, przepłyniemy obok i niczego nie zrobimy. Ale jeśli morze będzie gładkie, bezwietrzne, obwieszczę głośno to, co mi polecono. Kiedy w końcu znaleźliśmy się w wyznaczonym miejscu, nie było wiatru, a morza nie marszczyła choćby jedna fala, więc zawołałem: „Wielki Pan nie żyje!”

– I co? – Tyberiusz aż wychylił się z cienia, aby raz jeszcze zajrzeć świadkowi w oczy.

– Z lądu natychmiast przyszedł odzew – wyjaśniał Tammuz. – Wiadomość powitano zawodzeniem i lamentami, i płaczem. Mój panie, wyglądało to tak, jakby całe wybrzeże i cały ląd pograżyły się w żałobie z powodu jakiejś potwornej rodzinnej tragedii. Krzyczano, że to koniec świata: że to śmierć świętego kozła!

Niemożliwe! Tyberiusz omal nie zawołał na głos, podczas gdy w jego mózgu dudniły echem tamte upiorne krzyki. Kompletne szaleństwo! Miejsce, w którym miały się toczyć losy Rzymu, wyznaczyła przepowiednia; w czasach Romulusa i Remusa, bliźniaków wykarmionych przez wilczycę, co także było przepowiedziane. Od tamtych dni aż do tej chwili nikt nawet nie napomknął o tak mrocznym wydarzeniu jak to, z którym przybywał świadek. Mimo ciepła wschodzącego słońca Tyberiusz poczuł na ciele strużki zimnego potu.

Czyż ta era nie jest za ledwie świtem cesarstwa rzymskiego, któremu początek dał August? Każdy wiedział, że „konający bóg” to bóg jedynie z nazwy, bo prawdziwi bogowie nigdy nie umierają. Wybrano jakiegoś marnego zastępcę, imitatora, nowego „boga”, dla odrodzenia i odświeżenia starego mitu. Tym razem miał nim być ubogi pasterz czy rybak, ktoś, kto jeździ na osiołku albo pcha przed sobą pług. Żaden spośród starych i władczych bogów Frygii, Grecji czy Rzymu. Wielka cywilizacja Rzymu, wykarmiona mlekiem wilczycy, nie może upaść przez starego, nie mającego następcy pustelniczego króla, dożywającego swoich dni na wygnaniu na wyspie nazwanej od imienia kozła. Nie, to na pewno jest kłamstwo, jakiś podstęp wymyślony przez jednego z jego licznych wrogów. Nawet samo imię sternika, Tammuz, zakrawa na mit, ponieważ takie było imię najstarszego boga, który umarł. Starszego niż Orfeusz, Adonis czy Ozyrys.

Cesarz otrząsnął się, polecił słudze, aby ten obdarował sternika kilkoma sztukami srebra za jego trudy, i odwrócił się na znak, że posłuchanie skończone. Lecz kiedy wręczono Tammuzowi pieniądze, dorzucił ostatnie pytanie:

– Sterniku, masz tak wielu pasażerów na pokładzie, chyba znajdą się inni świadkowie mogący potwierdzić tę niezwykłą historię?

– Słusznie, mój panie – przytaknął Tammuz – na okręcie wielu świadczyło temu, co słyszałem i co zrobiłem. Ale bez względu na to, czemu i komu chcielibyśmy uwierzyć – ciągnął sternik, a Tyberiusz pomyślał, że w niezgłębionej czerni wpatrzonych weń oczu nagle rozbłysło dziwne światło – jest tylko jeden świadek, który może nam powiedzieć, czy wielki Pan był istotą ludzką, czy bogiem i czy żyje, czy umarł. Jednak ten świadek to za ledwie głos, głos wołający przez wodę...

Tyberiusz odesłał go niecierpliwym gestem i podszedł do odosobnionego ogrodzenia – do swojego więziennego muru; ścieżką biegnącą w dół wzgórza, do portu, sprowadzano sternika, króla. Tyberiusz wezwał niewolnika, wręczył mu złotą monetę i wskazał na ścieżkę poniżej. Niewolnik chyżo znalazł się na ścieżce i wręczył monetę Egipcjaninowi, a ten podniósł wzrok i popatrzył na taras, tam, gdzie stał Tyberiusz.

Cesarz odwrócił się bez jednego skinięcia dłoni i udał się do pustych komnat pałacu. A kiedy się tam znalazł, napełnił aromatycznym olejkiem stojącą na ołtarzu amforę i zapalił bogom w ofierze światło.

Wiedział, że musi odnaleźć głos – głos wołający na pustkowiu. Musi go odnaleźć, nim umrze. Inaczej sam Rzym ulegnie zagładzie.

ŚWIADEK

Jam tylko uszedł, abym wam oznajmił...

A myśli moje

Są zaciśmnione jako woda wiatrem...

Bo zawsze być musi

Ktoś, kto im powie, prawda?

Ktoś naznaczony przez szansę widzenia, Kto przypadkowo zobaczył ów widok, Kto musiał natknąć się na taką chwilę, Nie ostrzeżony, nie przygotowany, Rozmyślający o niczym...

...właśnie wówczas To się przydarza i on to dostrzega...

Schwytany w sieci nie do rozwikłania Swego świadectwa, tego, że zobaczył...

Bo to ja tam byłem.

Tylko ja jeden. Samotny. Ta chwila

Splotła nas razem swym martwym uśmiechem

Niemożliwości ohydnej...

Ja sam... ja tylko, żeby wam powiedzieć...

Nie rozumiałem niczego, ja, który Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi...

Bóg zawsze wygrywa

Archibald MacLeish, Hiob przeł. Maciej Słomczyński

Snake River, Idaho wczesna wiosna 1989

X adał śnieg. Od wielu dni. Zdawało się, że nigdy nie będzie temu końca.

Jechałam przez noc i przez śnieżną zamieć. O północy przystanęłam w Jackpot w stanie Nevada, pod bijącym w niebo różowym neonem, jedynym na przestrzeni co najmniej stu mil skalistej pustyni w mojej powrotnej drodze z Kalifornii do Idaho, do pracy w Ośrodku Badań Nuklearnych. Tam, w Jackpot, nie zważając na jazgot barowych automatów, usiadłam przy ladzie i zjadłam wyjątkowo krwisty stek z frytkami, osuszyłam szklankę scotcha i spłukałam to wszystko kubkiem gorącej czarnej kawy – wieloskładnikowym panaceum zawsze polecanym przez mojego stryja Ernesta na stres i na rozpacz w sercu. Potem znowu wyszłam w czarną, zimną noc i kopnęłam się w dalszą drogę.

Gdybym, przejeżdżając przez Sierre, nie uzałiła się nad swoją zbolełą duszą i nie zmarudziła dnia w górach na klepaniu deskami po świeżym śniegu, nie znalazłabym się teraz w tarapatach, to znaczy nie zeglowałabym samotnie po szklanej tafli asfaltu w samym środku „nigdzie”. Przynajmniej znałam je dobrze – każdy załomek szlaku od Gór Skalistych do wybrzeża. Przemierzałam go wystarczająco często w sprawach zawodowych, jako ekspert od ochrony radiologicznej. Ariel Behn, dziewczyna „reaktorek”. Ale powodem tej ostatniej przejażdżki było coś, co wołałabym, żeby mnie ominęło..

Na tym wyjątkowo długim i monotonnym odcinku autostrady moje ciało powoli zamieniało się w automat. Ciemne . wody mojego umysłu zaczynały mnie coraz silniej przyciągać do

miejsca, do którego nie chciałam wracać. Na liczniku kolejne mile, wokół śnieg. Zimowe opony chrzęściły na szklistym, uciekającym do tyłu lodzie.

Nie mogłam wymazać z pamięci pstrokatego obrazu trawiastego stoku tam, w Kalifornii,

ułożonej geometrycznej układanki tamtych nagrobków, cienkich, bardzo cienkich warstw kamienia i trawy. Wszystkiego, co oddzielało życie od śmierci... wszystkiego, co oddzielało mnie od Sama, na zawsze.

Trawa była elektryzująco zielona – niesamowicie lśniąca zielenią, jaką 'spotyka się jedynie w San Francisco i jedynie o tej porze roku. Na jej tle maszerowały poprzez wzgórza, falującymi szeregami, kredowobiałe nagrobki. Nad cmentarzem królowały majestatyczne ciemne eukaliptusy. Ich srebrne liście ociekały wodą. Przyglądałam się temu wszystkiemu przez przycienione szyby limuzyny, która skręcała z drogi na Presidio.

Za moich czasów w Bay Area przejeżdżałam tędy mnóstwo razy. To była jedyna droga z mostu Golden Gate do zatoki San Francisco, i prowadziła tuż obok cmentarza wojskowego, na który właśnie wjeżdżaliśmy. Dzisiaj, oglądany z bliska, przy powolnej jeździe, wyglądał tak pięknie, że aż porywająco.

– Samowi by się tu spodobało – odezwałam się głośno, pierwszy raz w czasie całej jazdy.

– No to chyba tu jest, tak czy nie? Inaczej nie byłoby tej całej szopy – powiedziała zaczepnie Jersey, a ja poczułam powiew jej oddechu.

– Mamo, musiałaś sobie tego popić – sarknęłam. – Cuchniesz jak gorzelnia.

– Cutty Sark. – Uśmiechnęła się. – Na cześć Navy.

– Na miłość boską, to przecież pogrzeb – rzuciłam poirytowana.

– Jestem Irlandką. W Irlandii nazywamy to czuwaniem przy zwłokach: pijcie, chłopaki, za ich wesołą podróż. Według mnie, to dużo bardziej cywilizowany zwyczaj.

Moja matka już miała problem z kilkusylabowymi słowami. Skurczyłam się w sobie ze strachu, że jak nic zechce odśpiewać panegiryk, który miał być wygłoszony przy grobie przez jakąś szarżę. Nie ręczyłabym za nią; była zdolna do wszystkiego, zwłaszcza w początkowym stadium upojenia. A Augustus i Grace, ten mój ojciec sztywniak i moja macocha, którzy wszystko mieli za złe, jechali tuż za nami.

Limuzyny przeciągnęły przez żelazną bramę cmentarza Presidio i minęły zakład pogrzebowy. Nie planowano nabożeństwa, a trumna już była zaplombowana, z ważnych, jak nam powiedziano, względów państwowych. Poza tym, co nam również powiedziano, trochę dyskretniej, mogłyby być kłopoty z rozpoznaniem Sama. Rodziny ofiar wybuchów bombowych zazwyczaj wolą unikać takich konfrontacji.

Kondukt żałobny przejechał całą Lincoln Avenue i zatrzymał się na podjeździe osłoniętym kępą eukaliptusów, na drugim końcu cmentarza. Kilka samochodów już tam stało, wszystkie oznakowane rzucającymi się w oczy białymi rządowymi tablicami. Na niewielkim kopcu był świeżo wykopany grób, a obok niego stała grupka mężczyzn. Jeden był kapelanem wojskowym, a jeden, z długim grubym warkoczem, wyglądał jak szaman, o którego prosiłam. Samowi by się to spodobało.

Nasze trzy limuzyny dołączyły do rządowych pojazdów: Jersey i ja w moim samochodzie,

Augustus i Grace za nami, a Sam w czarnej limuzynie przed nami. W ołowianej trumnie. Wysiedliśmy i ruszyliśmy na kopiec, podczas gdy tamci zajęli się wyładowaniem Sama z karawanu. Augustus i Grace skromnie przystanęli z boku, co szczerze doceniłam, oddech Jersey bowiem przestał sprawiać kłopot. Chyba że ktoś obok niej zapaliłby zapalnik.

Od stadka oficjeli odłączył mężczyzna w ciemnych okularach i w trenczu i podszedł z kilkoma słowami do tamtych dwojga członków rodziny. Następnie zbliżył się do Jersey i do mnie.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że nie jesteśmy odpowiednio ubrane. Ja miałam na sobie moją jedyną czarną sukienkę, tę w purpurowe i żółte hibiskusy. Jersey była w szykownym francuskim kostiumie, o szczególnym, pasującym do koloru jej oczu odcieniu lodowatego błękitu, jej znaku firmowego z czasów sceny. Pozostawało mieć nadzieję, że nasz lapsus nie znajdzie się w oficjalnym protokole.

– Pani Behn – mężczyzna zwrócił się do Jersey – ufam, że zechce pani poczekać kilka minut? Pan prezydent chciałby uczestniczyć w tej smutnej ceremonii.

Naturalnie nie miał na myśli obecnego prezydenta, tylko byłego: tego, którego Jersey nazywała Chłopkiem Roztropkiem i przed którym występowała w Białym Domu.

– Do diabła, czemu nie – powiedziała. – Nie sądzę, by Samowi się śpieszyło.

Moja matka się roześmiała, a mnie znowu owionął alkoholowy chuch. Wzrok mężczyzny kryły ciemne okulary, ale jego usta zacisnęły się w wąską kreskę. A ja gapiłam się na niego w kamiennym milczeniu.

Nad drogą pojawił się helikopter. Kiedy siadł na lądowisku Crissy Field, obok zatoki, po naszego znakomitego gościa wyjechały dwa opancerzone samochody.

– Pani Behn – gość za ciemnymi okularami mówił teraz *sotto voce**, jak na filmach szpiegowskich – mam obowiązek poinformować panią, że to właśnie prezydent, z ramienia naszej obecnej administracji, ustalił taki a nie inny porządek dnia. Chociaż pani syn, jako cywilny doradca, formalnie nie był członkiem armii, jego śmierć nastąpiła w chwili, kiedy pełnił służbę... hm... chciałem powiedzieć, kiedy występował w charakterze doradcy wojskowego. Nasz rząd zamierza uczcić go w stosowny sposób. Odbędzie się krótka ceremonia z udziałem orkiestry wojskowej; następnie zmarły zostanie uhonorowany salwą siedemnastu wystrzałów. A potem prezydent zamierza wręczyć pani Medal za Wzorową Służbę.

– Mnie? – zdziwiła się Jersey. – To nie ja, złotko, umarłam.

Ceremonia nie przebiegła dokładnie tak, jak zaplanowano.

Kiedy było po wszystkim, Augustus i Grace wycofali się do swojego apartamentu na ostatnim piętrze Marka Hopkinsa na Nob Hill, przysyłając mi wiadomość, iż „spodziewają się” mnie na obiedzie. Ponieważ był czas lunchu, zabrałam Jersey do Buena Vista, na jej lunch, to znaczy na drinka. Znalazłyśmy wolny drewniany stolik pod oknem, z widokiem na przystań i zatokę.

– Ariel, kochanie, przepraszam za to, co się stało – powiedziała Jersey, opróżniając pierwszą szklankę scotcha jakby to było mleko.

– Przepraszanie nic tu nie pomoże – posłużyłam się jej

* Z wł. „szepem”.

zwrotem z mojego dzieciństwa, kiedy coś zbroiłam. – Wieczorem idę na obiad z Augustusem i z Grace. Niby co, u diabła, mam im powiedzieć?

– Pieprzyć ich – rzuciła lekceważąco, patrząc na mnie swoimi słynnymi lodowatobłękitnymi oczami. Zadziwiająco czystymi, niewątpliwie dzięki ostatnim zwyczajom dietetycznym. Powiedz, że wystraszyła mnie ta cholerna salwa. To prawda. Rzeczywiście się przestraszyłam.

– Wiedziałaś, że będą strzelać. Siedemnaście razy. Stałam obok i słyszałam, co ten tajniak mówił o salwach i całej reszcie. Po prostu byłaś pijana jak skunks. Dlatego wpadłaś do grobu. Wielki Boże! Na oczach tych wszystkich ludzi!

Jersey popatrzyła na mnie z miną obrażonej królowy, a ja spiorunowałam ją spojrzeniem.

Po czym złość mi minęła i – choć, nie był to odpowiedni moment – wybuchnęłam śmiechem. Jersey, z początku zaskoczona, szybko mi zawtórowała. Śmiałyśmy się tak, że po twarzach spływały nam strumienie łez. Śmiałyśmy się do utraty tchu. Dławiłyśmy się śmiechem i trzymały za boki na samo wspomnienie, jak to moja matka leżała tyłkiem do góry sześć stóp poniżej, w wykopanym dole, jeszcze nim zdążyli spuścić do niego trumnę.

– Na oczach samego Chłopka Roztropka i w ogóle – rozdarła się Jersey, przygotowując się o kolejny paroksyzm śmiechu.

– Na oczach Augustusa i Grace – wyłkałam histerycznie.

Minęło sporo czasu, nim w końcu się jakoś opanowałyśmy. Wytarłam oczy serwetką, rozparłam się wygodnie na krześle i obejmując dłońmi obolały od śmiechu brzuch, głęboko westchnęłam.

– Wycięłaś fantastyczny numer – pochwaliłam Jersey, ściskając ją za ramię. – Szkoda, że Sam nie mógł tego zobaczyć. Umarłby ze śmiechu.

– Umarł tak czy inaczej – powiedziała moja matka. I zamówiła kolejnego drinka.

Przyjechałam do Marka Hopkinsa o siódmej, limuzyną, którą przysłał po mnie Augustus. Mój ojciec wynajmował samochody w każdym mieście, więc nie musiał się zniżać do łapania taksówek. Za to lubił zadawać szyku. Powiedziałam kierowcy, aby przyjechał po mnie o dziesiątej i odwiózł do mojego skromnego Victorian, po drugiej stronie mostu. Trzy godziny u Augustusa i Grace, jak wiedziałam z doświadczenia, powinno mi wystarczyć aż nadto.

Ich apartament na ostatnim piętrze wysokościowca był olbrzymi i tonął w aranżacjach kwiatowych, których Grace domagała się w każdych okolicznościach. Kiedy zapukałam, drzwi otworzył Augustus i popatrzył na mnie surowo. Mój ojciec, ze swoimi srebrnymi włosami i śniadą cerą, zawsze był elegancki. Teraz, w czarnym kaszmirowym swetrze i szarych spodniach, wyglądał w każdym calu na feudalnego lorda, na którego zgrywał się przez całe życie.

– Spóźniłaś się. – Spojrzał na swój srebrny zegarek. – Miałaś tu być o szóstej trzydzieści, byśmy mogli przed obiadem prywatnie porozmawiać.

– Dzisiejszy ranek był wystarczająco interesującym zjazdem *. rodzinnym. Naturalnie jak dla mnie – chlapnęłam i zaraz pożałowałam aluzji do wcześniejszych wydarzeń.

– Twoja matka to inna sprawa, i o tym też chciałbym z tobą pomówić. Ale najpierw: czego się napijesz?

– Byłam na lunchu z Jersey. Chyba nie potrzebuję niczego mocniejszego od wody.

Dokądkolwiek Augustus się udawał, zawsze miał dobrze zaopatrzone barek, choć sam pił niewiele. Może od tego zaczęło się rozpadać ich małżeństwo.

– Zrobię ci coś słabego, szprycera. – Wręczył mi kieliszek wina i wstrzyknął do niego wodę sodową z butelki oplecionej siatką.

– Gdzie Grace? – zainteresowałam się, upijając pierwszy łyk, podczas gdy on przyrządzał sobie niskoprocentowego scotcha.

– Grace odpoczywa. Jest kompletnie wyprowadzona z równowagi po porannym niefortunnym występie twojej matki. To było niewybaczalne.

Augustus, mówiąc do mnie o Jersey zawsze używał zwrotu „twoja matka”, jakbym to ja była odpowiedzialna za jej istnienie, a nie odwrotnie.

– Właściwie uważam, że jej „niefortunny występ” nadał tej całej chorobliwie żalösnej imprezie nieco lżejszego tonu. Chcę

powiedzieć, że nie mieści mi się w głowie orkiestra dęta, salwa honorowa i nadawanie komuś medalu tylko dlatego, że w służbie dla rządu USA dał się rozerwać na kawałki jak patchworkowa kołdra!

– Nie zmieniaj tematu, młoda damo – udzielił mi reprimendy mój ojciec swoim najbardziej władczym tonem. – Zachowanie twojej matki było absolutnie szokujące. Godne ubolewania. Mieliśmy szczęście, że nie dopuszczono reporterów.

Augustus nigdy nie używał słów w rodzaju „obrzydliwe” czy „upokarzające”. One były zbyt podmiotowe, zdradzające osobiste emocje. Augustusa interesował jedynie przedmiot, wystrój zewnętrzny – kwestie takie jak zachowanie pozorów i reputacja.

Pod tym względem byłam o wiele bardziej podobna do niego, niż chciałabym się przyznać. Niemniej nie mogłam pogodzić się z tym, że mojego ojca bardziej obchodzi sposób bycia mojej matki niż okrutna śmierć Sama.

– Zastanawiam się, czy ludzie krzyczą, kiedy umierają w ten sposób – zapytałam na głos.

Augustus odwrócił się na pięcie, więc nie mogłam zobaczyć jego twarzy. Poszedł w stronę drzwi do sypialni.

– Zbudzę Grace – poinformował mnie przez ramię. – Pora na obiad.

– Nie rozumiem, jak możemy rozmawiać – powiedziała Grace, osuszając oczy nabrzmiałe łzami i wierzchem dłoni odsuwając z czoła kosmyk polakierowanych blond włosów. – Nie rozumiem, jak możemy jeść. Doprawdy, to niewyobrażalne, jak możemy siedzieć tutaj, w restauracji, próbując zachowywać się jak ludzie.

Nigdy nie przychodziło mi do głowy, że ktoś taki jak Grace kiedykolwiek uzmysławiał sobie choćby samo znaczenie zwrotu „zachowywać się jak ludzie”. Zaczynało się robić ciekawie.

Rozejrzałam się po restauracji. Ściany były pomalowane w kraty, na które pięły się malowane pędy winorośli. Między winoroślami wygrzewały się w niewidzialnym słońcu malowane maleńkie czerwone jaszczurki. Zestawy stołów, jedne od drugich, oddzielały wielkie plantacje świeżych chryzantem, kwiatów, które na włoskich cmentarzach przynosi się zmarłym.

Zaczęłam i kończyłam dzień na cmentarzu. Z wyjątkiem

popołudnia, kiedy zajrzałam do księgarni, aby znaleźć pewne słowo. *Koimeterion*, z greckiego – komnata do spania; *koiman*, usypiać; *cunae*, z łaciny – kołyska. Przyjemnie było myśleć o Samie, gdziekolwiek był, jako o ukołysanym do snu.

– Był taki młody – mówiła Grace, pochlipując między jednym a drugim kęsem tataru. Poprawiła brylantową bransoletę, dodając pretensjonalnie: – Nieprawdaż?

Prawda była taka, że Grace nigdy w życiu nie widziała Sama. Moja matka rozwiodła się z Augustusem blisko ćwierć wieku temu, a on i Grace byli małżeństwem od jakichś piętnastu lat. Między jednym a drugim zdarzeniem upłynęło wiele przysłowiowej wody, a Sam stał się moim bratem, nie będąc synem ani mojego ojca, ani mojej matki. Moje stosunki rodzinne są raczej złożone.

Ale nie miałam czasu, by się nad tym zastanawiać, Grace

bowiem poruszyła swój ulubiony temat: pieniądze. W jednej

chwili łyzy cudownie jej obeschły, a oczy nabrały jasnego blasku.

– Dzwoniliśmy po południu do prawników – poinformowała mnie, tryskając entuzjazmem. – Otwarcie testamentu, jak wiesz, nastąpi jutro, i myślę, że powinnam ci coś powiedzieć: mamy dla ciebie dobre wieści. Naturalnie nie chcieli wprowadzać nas w detale, jednak wygląda na to, że to ty jesteś główną spadkobierczynią!

– O rany! – jęknęłam. – Sam nie żyje dopiero od tygodnia, a ja już ciągnę z tego profity. Czy dokopaliście się dokładnie do sumy, o którą się wzbogacę? Czy mogę rzucić robotę i od razu przejść na emeryturę? A może większość mojej fortuny zgarną goście od podatków?

– Grace nie to ma na myśli, i ty dobrze o tym wiesz.

Augustus rysował esy-floresy w swoim *creme de volaille*, podczas gdy ja dziobałam kapary na moim łososiu po szkocku. Kapary jeździły po talerzu i umykały mi spod widelca.

– Grace i ja interesujemy się tym wyłącznie ze względu na ciebie – mówił dalej. – Nie znałem Sama, czy raczej znałem go niezbyt dobrze, ale jestem pewien, że dużo dla ciebie zrobił. Cóż, rośliście razem jak brat i siostra. A jako jedyny spadkobierca Earnesta Sam był chyba bardzo... no, powiedzmy, finansowo stał niezłe?

Mój nieżyjący stryj Earnest, który miał kopalnię i zajmował

się branżą minerałową, był starszym bratem mojego ojca i opływał w bogactwa jak król Midas. Co więcej, umarł, nie wydawszy ani jednego zarobionego centa, ponieważ wydawanie pieniędzy po prostu go nie interesowało. Sam był jego jedynym dzieckiem.

Kiedy moi rodzice, Augustus i Jersey, się rozwiedli, ja byłam jeszcze bardzo mała. Moja matka przez wiele lat ciągała mnie ze sobą po wszystkich stolicach świata. Jersey była słynną śpiewaczką na długo przed poślubieniem ojca. To dzięki swojemu talentowi poznała Chłopka Roztropka i weszła na salony najlepszego towarzystwa. Mężczyźni o nazwisku Behn zawsze lubili światowe kobiety. Lecz w pożyciu z nimi (vide: mój ojciec) często miewali kłopoty.

Jersey piła latami, ale ludzie zawsze się spodziewają, że śpiewacy operowi piją szampana jak wodę. Kiedy Augustus ogłosił zaręczyny z Grace – repliką Jersey z czasów jej młodości – zdecydowanie odstawiła butelkę i poleciała ze mną do Idaho, aby zasięgnąć rady w sprawach finansowych u mojego owdowiałego, pędzącego pustelniczy żywot stryja Earnesta (mój ojciec wszystkie zarobione przez nią pieniądze lokował na własnym koncie, jeszcze jedna cecha męskiej gałęzi Behnów) i, ku zaskoczeniu wszystkich, zakochała się w nim, z wzajemnością.

A ja – dziecko, które rośnie niczym Eloise w hotelu Plaża jedząc *pa te de foie gras** wcześniej, niż umiałam to wymówić, nagle znalazłam się w samym środku niczego, w czymś, co teraz, prawie dwadzieścia lat później, nazywam domem.

Tak więc pytanie mojego ojca, postawione na pozór z wahaniem, było proste i całkiem do rzeczy. To fakt, moja matka, żona dwóch kolejnych braci, za życia Earnesta skończyła z pić. Jednak znając ją dobrze, Earnest postanowił zostawić wszystkie swoje pieniądze Samowi, z klauzulą, by ten opiekował się i nią, i mną „najlepiej jak potrafi”. A teraz Sam także umarł. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jego śmierć czyniła ze mnie multimilionerkę.

Stryj Earnest umarł siedem lat temu, kiedy ja byłam w college[^], i od tamtej pory żadna z nas Sama nie widziała. Po prostu zniknął. Jersey i ja dostawałyśmy nasze czekki regularnie każdego miesiąca. Ona swoje przepijała, ja wkładałam do ban* Pasztet strasburski z gęsich wątróbek z truflami.

ku. Tymczasem zrobiłam coś niezwykłego. Coś, czego kobiety z rodu Behnów nigdy nie robiły. Poszłam do roboty.

Zatrudniłam się w Ośrodku Badań Nuklearnych w Idaho. W dziale ochrony radiologicznej. Ledwo zaczęłam pracować, w pierwszym tygodniu odezwał się Sam. Zadzwoił do mojego biura, choć Bóg jeden wie, skąd Sam wiedział, gdzie jestem.

– Cześć, bystrzaku – przywitał mnie przezwiskiem z dzieciństwa. – Złamałaś rodzinną tradycję: żadnej koloratury, żadnego kankana w pierwszej linii chórzystek.

– „Życie w światłach rampy nie zawsze jest takie, o jakim dziewczyna marzy” – posłużyłam się pierwszym lepszym cytatem z mojego przebogatego i przypadkowego muzycznego repertuaru. Ale byłam szczęśliwa jak nigdy, słysząc jego głos. Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata, cholerny braciszku? Nie dam sobie wmówić, że załapałeś się na intratną posadkę, ty, pełnoetatowy dobroczyńca rodziny. Dzięki za wszystkie czeki.

– Pudło, siostrzyczko – poprawił mnie. – Załapałem się, i to nie na jedną. Pracuję dla szerokiego asortymentu instytucji rządowych, których nazw nie powinno się wymieniać. Świadczę usługi, jakich nikt inny świadczyć nie potrafi, poza być może tymi, których własnoręcznie przeszkoliłem, czyli jednym. Może któregoś dnia rozważysz wejście w joint venture?

I ta tajemnicza aluzja, dotycząca oferty współpracy, była ostatnim słowem, które usłyszałam o Samie, dopóki w moim telefonie nie rozległ się głos wykonawcy testamentu.

Nagle poczułam, że zaczynam wpadać w poślizg. Samochód sunął na pobocze.

Podskoczyła mi adrenalina. Chwyciłam za kierownicę i gwałtownym szarpnięciem ramienia pokonałam opór potężnych ton stali; odbiłam od prawego pobocza. Ale teraz leciałam wprost na lewe.

A niech to szlag, nie wolno mi było zjechać z drogi! Nie ma tam nic, tylko śnieg i śnieg! Było tak ciemno, śnieżycy tak gęsta, że nawet nie widziałam, co jest po obu stronach drogi – może ostry spadek. Pod czaszką dudniło mi echem jedno i to samo słowo, głupia! głupia! podczas gdy ja się rozpaczliwie zastanawiałam, kiedy w tej śnieżnej otchłani mignęło mi ostatnie

światło. Pięćdziesiąt mil temu? A może sto? Nie miałam zupełnie pojęcia.

Tak jak potrafiłam wpaść w panikę, potrafiłam jednocześnie nakazać swoim mięśniom i wszelkim siłom żywotnym, by zapanowały nad rozpędzoną bestią. Zakołysałam samochodem tam i z powrotem jak jojo, próbując powstrzymać go od dalszego pędu, próbując poczuć pod sobą – jak pod parą nart – opony sunące po świeżym śniegu, który teraz uformował gładką jak wosk nawierzchnię na głębszej, śmiertelnie niebezpiecznej warstwie szklanego lodu.

Zdawało mi się, że minęły wieki, nim poczułam, że zwyciężam w tych nietypowych zapasach i że tysiące funtów stali zaczynają dudnić właściwym rytmem. Trzęsłam się jak liść, pozwalając im zwolnić do trzydziestu... do dwudziestu pięciu... do dwudziestu. Wzięłam głęboki oddech i znowu dodałam gazu, wiedząc jak każda góralka, że kiedy śnieg pada tak jak tej nocy, nie wolno się całkowicie zatrzymać, w przeciwnym bowiem razie można się już nigdy nie rozpędzić.

Ruszając ponownie w czarną, pustą noc i zanosząc niebiosom dziękczynne modły, poklepałam się mocno po twarzy i opuściłam szybę, aby wpuścić do środka trochę zamieci. Poczułam na skórze ostre igielki śniegu. Wciągnęłam haust lodowatego powietrza i trzymałam je w płucach przez minutę. Wytarłam piekące oczy grzbietem rękawiczki, ściągnęłam czapkę narciarską i rozpuściłam włosy na hulający wewnątrz samochodu, miotający kawałkami papieru wiatr. Nim podciągnęłam szybę, zdążyłam na dobre oprzytomnieć. Co się ze mną, u diabła, dzieje?

Oczywiście wiedziałam co. Sam nie żył, a ja miałam problem, próbując sobie wyobrazić życie na

tej planecie bez niego. Coś w rodzaju schizofrenicznego rozszczepienia osobowości. Choć nie widzieliśmy się od siedmiu lat, Sam zawsze był we wszystkich moich poczynaniach. W pewnym sensie był mi jedyną bliską rodziną, jaką kiedykolwiek miałam. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że pod jego nieobecność zawsze rozmawiałam z nim w myślach. Teraz nie miałam z kim rozmawiać, nawet w myślach.

Mimo to jeszcze nie zamierzałam dołączyć do Sama. A już z pewnością nie przez oblanie testu na inteligencję tu, na nocnej drodze. Pomyślałam tak w momencie, kiedy zauważyłam przed przednią szybą jakąś poświatę, widoczną mimo grubej koronkowej zasłony śniegu. Była tak rozległa, że nie mogłam się mylić: wskazywała na jakieś miasto, a tutaj, pośród pustynnych gór, nie było ich wiele. Wyglądało na to, że dobijam do domu.

Ale przygoda jeszcze nie całkiem się skończyła.

Zatrzymałam się na drodze powyżej budynku, który mieścił uroczą piwniczkę, zwaną przeze mnie domem, i z przerażeniem popatrzyłam w dół. Podjazdu nie było, zniknął pod zwałami kremowego śniegu, sięgającego powyżej okien pierwszego piętra. Wyglądało na to, że aby w ogóle dostać się do budynku, a tym bardziej odsłonić moje przepastnie głębokie piwniczne mieszkanie, przyjdzie mi wykopać tunel. Oto, na co sobie zasłużyłam, dając się zadołować do jakiejś piwnicy w Idaho jak jakiś cholerny ziemniak.

Wyłączyłam stacyjkę i znieruchomiałam za kierownicą, patrząc w ponurym milczeniu na stromiznę zwaną zwykle podjazdem i zastanawiając się, co by tu zrobić mądrego. Zwyczajem wszystkich mieszkańców gór woziłam z tyłu samochodu sprzęt awaryjny przydatny na wszystkie cztery pory roku – piasek, sól i wodę, ciepłe ciuchy i gumowce, szczapy na ognisko, kable do podłączenia się do akumulatora drugiego samochodu, liny i łańcuchy; wszystko, tylko nie łopatę. Choć nawet gdybym ją miała, nie dałabym rady usunąć śniegu z całego podjazdu.

Siedziałam tam, z pustką w głowie, odrętwiała, obserwując miękkie płatki śniegu ścielące się całunem wokół mnie. Sam w takiej sytuacji pewnie by powiedział coś zabawnego, pon^oślałam. Albo może wyskoczyłby z samochodu i odtańczył jakiś śniegowy taniec, dla uproszenia bogów, by odwalili za niego całą robotę...

Potrząsnęłam głową i postanowiłam otrząsnąć się z przygnębienia. Usłyszałam dzwoniący w moim mieszkaniu telefon. Światła na górze były wygaszone, co sugerowało, że mój ekscentryczny, choć godny podziwu gospodarz mormon wyprawił się w góry, żeby pojeździć z samego rana po świeżym puchu – albo do kościoła, żeby się pomodlić o cudowne odśnieżenie podjazdu.

Ponieważ na samą myśl o taplaniu się w świeżym puchu

robiło mi się niedobrze, nie miałam innego wyjścia jak tylko pokonać stromiznę między samochodem a domem na nartach. Na szczęście buty i biegówki leżały z tyłu samochodu razem z innym niezbędnym do przeżycia w ekstremalnych warunkach sprzętem. Ale tu wyłaniał się problem: jak trafić w miejsce, gdzie powinien się znajdować podjazd? Ziejąca przepaść naszego frontowego trawnika, prawie niewidzialna pod kopą śniegu, gdybym w nią wpadła, mogłaby się okazać tak bezdenna i zębna jak ruchome piaski. A także – czy mogę z lekkim sercem porzucić samochód na

drodze, na resztę nocy, na pastwę przejeżdżających o świcie pługów śnieżnych?

Wysiadłam. Podeszłam do tylnych drzwi, wyciągnęłam z bagażnika narty, płócienną podróżną torbę oraz kilka rzeczy osobistych nadających się do zarzucenia na ramiona i rzuciłam wszystko na drogę. Do całego kompletu brakowało mi tylko butów. Nachyliłam się, żeby po nie sięgnąć, i wówczas zobaczyłam moją skrzynkę pocztową oznaczoną małym proporczykiem, sterczącym z zaspły niby wesoła latarnia morska. To mi przypomniało, że wyjeżdżając na pogrzeb, z pośpiechu zapomniałam wstąpić na pocztę i poprosić o przetrzymanie wszystkich przesyłek aż do mojego powrotu. Zatrzasnęłam tylne drzwi i jedną ręką trzymając się klamki, drugą omiotłam skrzynkę ze śniegu i wyciągnęłam pocztę. Sądząc po ilości, była z całego tygodnia; było jej tyle, że odruchowo puściłam klamkę i zrobiłam krok w kierunku torby.

Zdecydowanie niefortunny, z miejsca bowiem wpadłam w śnieg po pas i zapadałam się coraz głębiej. Obleciał mnie strach, ale wiedziałam, że należy zachować spokój i nie wpadać w panikę. Żyłam w tych okolicach wystarczająco długo, aby zdążyć nasłuchać się opowieści o ludziach, którzy raz pochwyceni w śnieżną pułapkę, nie potrafili się z niej uwolnić, których po prostu spotykała śmierć przez uduszenie. Kiedy zaczęłam się zapadać, natychmiast przyszło mi na myśl, że na pogrzeb wyjechałam bez zbyt wielu fanfar, półgębkiem informując szefa o niespodziewanym zgonie kogoś bliskiego, a gospodarzowi zostawiając niewiele mówiącą notatkę. Było całkiem możliwe, że jeśliby nawet znaleziono mój samochód, mnie by odkryto dopiero po wiosennych roztopach!

Cisnęłam niepotrzebną mi teraz stertę korespondencji na drogę – pod samochód; by nie znikła w zaspach razem ze mną. Następnie jakimś cudem udało mi się oprzeć łokieć na twardej nawierzchni. Z całej siły wpijając się paznokciami w śnieg, obróciłam się wystarczająco, by zawisnąć na niej także i drugim. Choć zdawało mi się, że u moich nóg wiszą pięćdziesięciofuntowe odważniki – wypchnęłam się w górę i wyżęta z choćby uncji energii, spocona, rozdygotana po przeżytych emocjach, padłam płasko na drogę. Nie na długo jednak. Wkrótce chwyciły mnie zimne dreszcze; lód, który oblepił mnie w tamtej zaspie, teraz wsiąkał w moje niedostatecznie wodoszczelne ubranie.

Niepewnie stanęłam na nogi i otworzyłam drzwi samochodu. Zmarznięta, mokra, brudna od stóp do głów, byłam na siebie wściekła. Czyż londonowskie *To Build a Fire* nie było obowiązkową lekturą dla dzieci mieszkających w górach? O gościu, który wyprawia się do tundry przy sześćdziesięciostopniowym mrozie, wbrew wszelkim radom. Gość zamarza na śmierć. Bardzo powoli. Nie to miałam w planach.

Wyciągnęłam z samochodu narciarskie traperki, zasznurowałam je sztywnymi palcami, przez mokre rękawiczki, zatrzasnęłam w długich, lekkich jak piórko biegówkach, upchnęłam wiązkę poczty do torby, torbę przerzuciłam przez ramię i slalomem zjechałam pod tylne drzwi domu. Dlaczego nie spróbowałam tego od razu, dlaczego Pana Listonosza nie odłożyłam sobie na rano?

Telefon znów się rozdzwonił. Pozbywszy się nart, czym prędzej otworzyłam drzwi i razem z kłębami puszystego śniegu rzuciłam się w dół schodów, do mojej przytulnej podziemnej fortecy. Przytulnej przed tygodniem.

Bo kiedy zapaliłam światło, okazało się, że po wewnętrznej stronie okien wiszą sople, a lustra i akwarele za szkłem przyozdabiają kryształowo-lodowe desenie. Coś z doktora Żywago. Przeklinając

w duchu mojego gospodarza, który przez oszczędność wyłączał mi ogrzewanie, ile razy gdzieś wyjeżdżałam, ściągnęłam ociekające wodą buty i po moich persach pognałam przez środek obstawionego półkami i książkami salonu. Zanurkowałam w poduszki do stojącego na podłodze telefonu.

Jeszcze nie podniosłam słuchawki, a już mnie wykrzywiło: to był Augustus.

– Dlaczego wyjechałaś? – To były pierwsze słowa, które padły z ust ojca. – Grace i ja usiłowaliśmy cię *znaleźć*, ale bezskutecznie. Gdzie byłaś?

– Zabalowałam na śniegu – rzuciłam lekko, przetaczając się na plecy i przytrzymując słuchawkę ramieniem. – Zdawało mi się, że party dobiegło końca. Czyżby były w planie kolejne majówki? – Rozpięłam wilgotne spodnie i próbowałam się z nich wyplątać, aby w tym zimnym lochu nie dostać zapalenia płuc czy, co bardziej prawdopodobne, nie spleśnieć. Widziałam w powietrzu własny oddech.

– Twoje poczucie humoru zawsze wydawało mi się nie na miejscu, najogólniej mówiąc – poinformował mnie chłodno Augustus. – Przynajmniej wycucie odpowiedniej chwili. Kiedy znikłaś tuż po otwarciu testamentu, zadzwoniliśmy do twojego hotelu, ale powiedziano nam, że wyprowadziłaś się z samego rana. Tymczasem my, Grace i ja, oczywiście już po wysłuchaniu ostatniej woli zmarłego, zgodziliśmy się na konferencję prasową...

– Na konferencję prasową? – spytałam zdziwiona i aż mnie podniosło do pionu. Trzymając telefon przy uchu, teraz ściągałam z siebie wilgotną parkę i sweter. – Ach tak, rozumiem. Pozwól, że dokończę: my, to znaczy ja i Grace, zgodziliśmy się na konferencję prasową, aby odczytać listy Francisca Bacona do Bena Jonsona i wyznać światu, że sir Bacon, o co go zawsze podejrzewaliśmy, napisał wszystkie sztuki Szekspira.

Ku mojemu zaskoczeniu Augustus nie dostał palpacji serca.

– One są warte dużo więcej niż cały Szekspir. – Mój ojciec był mężczyzną, który rozumiał znaczenie takich słów, jak wartość czy cena. – Gdy tylko dowiesz się o nich wszystkiego, a nie wątpię, że tak będzie – kontynuował – masz natychmiast skontaktować się ze mną albo z naszymi prawnikami. Nie sądzę, byś do końca zdawała sobie sprawę ze swojej obecnej sytuacji.

W porządku, pomyślałam, wysilę się raz jeszcze. Westchnęłam głęboko.

– Prawdopodobnie nie – zgodziłam się. – Ojciec, czy byłbyś tak łaskaw i wyjawiał mi coś, o czym, zdaje się, wiedzą wszyscy? Odziedziczyłam jakieś manuskrypty. Jakie?

– Manuskrypty Pandory. – Imię to zabrzmiało w jego ustach gorzko jak piołun.

Pandora była moją babką, oddaną matką mojego ojca, która porzuciła go zaraz po urodzeniu. Chociaż nigdy jej nie poznałam, z tego co mówiono, była najbarwniejszą, najbardziej światową i najbardziej skandalizującą kobietą ze wszystkich kobiet noszących nazwisko Behn.

– Pandora miała jakieś manuskrypty? – zapytałam. – Niby jakie?

– Och, dzienniki, listy, korespondencję prowadzoną z wielkimi tego świata i prawie wielkimi, coś w tym rodzaju – powiedział niedbałym tonem. I dodał zdawkowo: – Niewykluczone, że napisała jakiś pamiętnik.

Mogłam się nie zgadzać z moim ojcem w wielu sprawach, ale znałam go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy ściąga mi smycz. Pewnie przez ostatnie dwa dni wydzwaniał do mnie co piętnaście minut; to dlatego telefon odzywał się dwukrotnie, kiedy wciąż jeszcze byłam na zewnątrz. No więc, jeśli aż tak bardzo zależało mu na kontakcie ze mną, a cała sprawa była

zwarta zwoływania konferencji prasowej, dlaczego teraz bawi się ze mną w kotka i myszkę?

– Skąd to całe spóźnione zainteresowanie? – zapytałam. Najdroższa babunia nie żyje od lat, dobrze mówię?

– Ogólnie się uważa, że Pandora powierzyła swoje manuskrypty... hm... tej drugiej stronie rodziny – stwierdził chłodno mój ojciec. – Earnest prawdopodobnie przez dziesiątki lat trzymał je pod kluczem, z powodu licznych propozycji. – Ale nie potrafił ocenić ich prawdziwej wartości, bo najwyraźniej były pisane swego rodzaju szyfrem. Zatem twój kuzyn Sam...

O, do diabła!

Stałam przed kominkiem w samych majtkach, ze słuchawką w ręku. Głos mojego ojca to oddalał się, to przybliżał w jakimś bezsensownym bełkocie. Wielki Boże, one były zaszyfrowane!

Sam zniknął zaraz po śmierci swego ojca, a mojego stryja Earnesta. Był poza naszym zasięgiem przez siedem lat, a teraz nie żyje. Co miało związek z tą luką, z tym rozziwem w czasie? Spadek po Samie – włączając, być może, te manuskrypty. Czym Sam się zajmował, jaki miał zawód? Czego to uczył mnie od dzieciństwa, hojnie szafując swoim czasem? Dzięki komu dostałam tę swoją bardzo dobrze płatną robotę?

Sam łamał kody, był najlepszym na świecie szyfrantem. Jeśli Sam wiedział o manuskryptach Pandory, pewnie nie potrafił

oprzeć się chęci rzucenia na nie okiem, zwłaszcza jeśli jego ojciec chciał określić ich wartość. Niewątpliwie je widział może nawet rozszyfrował – na długo przed śmiercią Earnesta. Tego byłam pewna. Więc gdzie są teraz?

Ale biorąc pod uwagę moją wyjątkową sytuację, teraz staje przede mną bardziej istotne pytanie:

Co takiego było w pamiętnikach mojej babki, które teraz formalnie ja odziedziczyłam, co aż tak niebezpiecznego, by Sam musiał zginąć?

WĘZEL

Aleksander, widząc, że nie potrafi rozwiązać [gordyjskiego] węzła, którego końce były tajemniczo splecione i zawinięte pod spód, przeciął go mieczem.

Plutarch, *Żywoty sławnych mężów*

Tajemnica węzła gordyjskiego była, jak się zdaje, religijnej natury (prawdopodobnie chodziło o nie wymawiane imię Dionizosa). Był to węzeł-szyfr zawiązany na rzemiennym biczu (...)

Bmatne przecięcie węzła przez Aleksandra, kiedy gromadził armię w Gordion, przygotowując się do zajęcia Azji Mniejszej, położyło kres dotychczasowemu systemowi, stawiając siłę miecza nad tajemnice religijne.

Robert Graves, *Mity greckie*

Uchodziła trzecia nad ranem, kiedy odkręciłam kurki nad wielką, stojącą na żelaznych pazurzastych łapach wanną, modląc się, by rury nie były zamrożone, i obserwując z ulgą, jak gorąca woda powoli wypełnia tę wannę. Wrzuciłam trochę soli, wlałam trochę płynu do kąpieli, rozebrałam się i wspięłam do środka. Wanna była tak głęboka, że woda sięgała mi aż pod sam nos, więc najpierw zdmuchnęłam pianę, a potem zaczęłam namydlać lepkie od brudu włosy. Wiedziałam, że mam sporo do przemyślenia. Tyle że w obecnym stanie umysłu, z lekka nadwerężonego wydarzeniami całego tygodnia i dramatyczną drogą powrotną, niewiele mądrego mogłabym wymyślić.

Tymczasem zaskrzypiały drzwi i do łazienki jak gdyby nigdy nic wmaszerował Jazon, a to prawdopodobnie oznaczało, że mój gospodarz również wrócił do domu. Jazon zaszczyił mnie przelotnym spojrzeniem swoich zielonych, tajemniczych oczu. Podszedł do leżącej na podłodze mokrej jedwabnej bielizny, popatrzył na nią z wyraźną pogardą i zaczął ją udeptywać, jakby z moich majtek chciał sobie zrobić wygodne legowisko, ale ja wyciągnęłam rękę i wyrwałam je.

– Och, nie, tak się nie robi! – powiedziałam stanowczo.

Jason wskoczył na drewnianą krawędź wanny, pacnął łapą w pianę i spojrzał na mnie znacząco. Dawał mi do zrozumienia, że powinnam go polać. Jazon był jedynym znanym mi kotem, który uwielbiał wodę, każdy rodzaj wody. Jak chciało mu się pić, najzwyczajniej w świecie odkręcał kurek nad zlewem, przedkładał klozet nad pudełko z kocykiem i był znany ze skoków do Snake River, poniżej wodospadów, w pogoni za swoją ulubioną czerwoną gumową piłeczką. Potrafił pływać z prądem równie dobrze jak pies.

Lecz tej nocy, a raczej tego ranka, byłam zbyt zmęczona, by bawić się w wycieranie kota; zepchnęłam Jazona na podłogę, wyszłam z wanny i sama się wytarłam. W obszernym miękkim szlafroku, z włosami owiniętymi ręcznikiem powlokłam się do kuchni i podgrzałam trochę wody, żeby przed pójściem do łóżka napić się gorącego grogu. Kijem od szczotki stuknęłam w sufit, niech mój gospodarz wie, że żyję i że wróciłam – gdyby przypadkiem sam się tego nie domyślił, widząc mój porzucony na drodze samochód.

– Witaj, najdroższa – rozległ się na schodach znajomy głos, z wyraźnym *quebecois** akcentem. – Ledwo zdążyłem wysiąść z jeepa i odpiąć rakiety śnieżne. Nie byłem pewien, czy nie śpisz, więc wysłałem na zwiady naszego małego argonautę. No więc?

– Okay, schodź na dół, dostaniesz łyk gorącego grogu i opowiesz, co w robocie! – odkrzyknęłam.

Oliviera Maxfielda poznałam jakieś pięć lat temu, kiedy nas oboje przydzielono do tego samego

programu. Był przedziwnym zlepkiem osobowości: technik jądrowy, wielbiciel jankeskiego slangu i kowbojskich barów, niepoprawny mormoński odszczepieniec. Z pochodzenia francuskojęzyczny Kanadyjczyk katolik, wychowany na *la cuisine française**. Z wyboru mormon. A także geniusz współczesnej sztuki kulinarnej, choć jednak nie za dobrze radzący sobie z dietetycznymi – żaden-alkohol-żadna-kofeina – ograniczeniami Świętych Dnia Ostatniego.

Kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni, Olivier powiedział, że nie jestem dla niego żadną niespodzianką. Że przyśniłam mu się pod postacią Błogosławionej Dziewicy rozgrywającej mecz pinballowy z prorokiem Moronim. Pod koniec pierwszego tygodnia otrzymał znak, nakazujący mu wynająć mi niedrogo swoją piwniczkę. Jeśli chodzi o planszę do pinballa, na której ja, jako Dziewica Maria, ograłam proroka, ta cudownym zrzędzeniem losu znalazła się w barze dla tutejszych kowbojów, w pobliżu naszego biura.

Być może był to rezultat mojego ekscentrycznego wychowa* Z franc. „charakterystyczny dla Quebecu”.

** Z franc. „kuchnia francuska”.

nia, ale w tłumie inżynierów i fizyków, paradujących z drugim śniadaniem w brązowej papierowej torbie i wracających do domu o piątej, by oglądać z dziećmi umoralniające powtórki w TV, Olivier działał na mnie jak źródłana woda. Ja, naturalnie, chodziłam na wszystkie imprezy do wszystkich rodzin wszystkich pracowników ośrodka. Latem były ogródki, hamburgery z grilla i hot dogi; zimą living-roomy, spaghetti, sałata i prefabrykowany chleb czosnkowy. Zupełnie jakby nikt nie słyszał o innym sposobie odżywiania.

Olivier, wprost przeciwnie. Znał Montreal i Paryż. I na południu Francji przeszedł letni kurs *cordons rouges**. Choć może w świadczeniu usług, takich jak centralne ogrzewanie i czyszczenie podjazdów, był niegorszym sknerą – miał swoje zalety. W swojej olbrzymiej przemysłowej kuchni na piętrze, podczas szatkowania, mielenia, krojenia i klarowania masła do wymyślnych posiłków, które przyrządzał dla Jasona i dla mnie co najmniej raz w tygodniu, raczył mnie opowieściami o wielkich mistrzach kuchni z Europy, przeplatany nowinkami ze swojego kowbojskiego baru. Olivier, jak powiadają Francuzi, był jedyny w swoim rodzaju.

– Co cię tak przypiliło do wyjazdu? – W półotwartych drzwiach zobaczyłam czarowny uśmiech i dołeczki w policzkach. Ich właściciel przeciągnął dłonią po szopie brązowych, kręconych włosów i popatrzył na mnie wielkimi ciemnymi oczami. – I gdzie zniknęłaś? Strączek pytał o ciebie każdego dnia, a ja biedny sam o niczym nie wiedziałem.

„Strączek” to było przezwisko mojego szefa, dyrektora i głównego menedżera naszego ośrodka. Używane oczywiście za jego plecami, bo chociaż nazywał się Pastor Owen Dart**, w niczym nie przypominał pasterza. Wprost przeciwnie, byli i tacy, którzy wręcz nazywali go Księciem Ciemności. Od pierwszych liter imion i nazwiska.

Mogłabym się spierać, czy Księżę Ciemności, inaczej diabeł, to odpowiednia ksywa dla mojego szefa. Lecz żeby być całkiem szczerą, spośród dziesięciu tysięcy pracowników ośrodka czy nawet spośród całego waszyngtońskiego przemysłowego ba* Z franc. żartobliwie „doskonała kucharka”.

** Z ang. *pod* – „strączek”. Same inicjały autorka tłumaczy jako Prince of Darkness, książę Ciemności.

gienka, z którym się zadawał – byłem jedyną znaną mi osobą, której nigdy nie objechał z góry na dół. A przynajmniej jeszcze nie. Strączek zdawał się szczerze mnie lubić i złowił mnie do roboty, kiedy jeszcze byłem na uniwersytecie. To niespodziewane, jak bym to nazwała, „pokrewieństwo dusz” sprawiło, że nie wszyscy moi koledzy mi ufali – kolejny powód, aby Olivier, ów sakramencki *quebécois* mormon-kowboj-smakosz, był jednym z moich nielicznych bliskich przyjaciół.

– Wybacz. – Wlałam gorącą wodę do dwóch szklanych kubków z papką brązowego cukru, masła i rumu. – Musiałam nagle wyjechać. Ktoś w rodzinie niespodziewanie umarł.

– O rety, chyba nikt, kogo znałem? – spytał Olivier z dodającym ducha szarmanckim uśmiechem. Oboje wiedzieliśmy, że nie znał nikogo.

– Sam – powiedziałam, usiłując przepłukać ściśnięte gardło gorącym maślanym trunkiem.

– Jezus Maria! Twój brat? – krzyknął Olivier, opadając na sofę przy kominku.

– Mój kuzyn – poprawiłam. – Właściwie syn mojego ojczyma. Wychowaliśmy się jak brat i siostra. Faktycznie łączy nas braterstwo krwi. To znaczy łączyło.

– O bogini, twoje stosunki rodzinne są rzeczywiście nieco złożone. – Olivier pił do mojej własnej riposty, którą się broniłam za każdym razem, kiedy ktoś mnie pytał o rodzinę. Jesteś pewna, że w ogóle byliście ze sobą spokrewnieni?

– Jestem jedyną spadkobierczynią jego całego majątku odcięłam się. – To mi wystarczy.

– Ach, zatem był bogaty, ale szczególnie bliski, tak? spytał z nadzieją.

– Raczej i jedno, i drugie. Prawdopodobnie byłem mu bliższa niż ktokolwiek z mojej rodziny. – Co niewiele wyjaśniało, ale Olivier o tym nie wiedział.

– Och, to straszne. Ale coś mi tu nie pasuje. Dlaczego, poza samym imieniem, nigdy o nim nie słyszałem? Z tego co wiem, przez te wszystkie lata, od kiedy razem pracujemy i dzielimy wspólnie to skromne mieszkanko, nigdy cię nie odwiedził. Nawet nie zadzwonił.

– Nasza rodzina porozumiewa się psychicznie – powiedziałam. Jazon przewijał mi się między nogami, jakby próbował opleść festynowy słup, więc wzięłam go na ręce. Dodałam: – Nie potrzebujemy satelity ani telefonii komórkowej...

– A propos – przerwał mi Olivier – od paru dni wydzwania do ciebie twój ojciec. Nie powiedział, czego chce. Tyle że masz do niego natychmiast oddzwonić.

W tej samej sekundzie zadzwonił telefon. Jazon, przestraszony, wyrwał mi się z objęć.

– Masz rację, oni muszą być psychiczni. Odbierać wibracje o tej porze... – Olivier zawiesił głos. Kiedy sięgałam po słuchawkę, dopił swój grog i ruszył do wyjścia. – Tak czy inaczej, witaj w domu. Usmażę ci rano naleśniki, żeby ci się lepiej pracowało – rzucił przez ramię i zniknął.

– Gavroche, kochanie...

Wielki Boże, członkom mojej rodziny chyba rzeczywiście odbiło. To był mój stryj Laf. Nie słyszałam go od wieków. Zawsze nazywał mnie właśnie tak. *Gavroche*: łobuziak z paryskiej ulicy.

– Laf? Gdzie jesteś? – spytałam. – Słyszać cię jak przez miliony mil.

– W tej chwili w *Wien*.

Co miało znaczyć, że jest w swoim dużym osiemnastowiecznym mieszkaniu z widokiem na wiedeński Hofburg, gdzie zazwyczaj zatrzymywałam się z Jersey i gdzie teraz było osiem godzin później niż u nas, czyli jedenasta rano. Najwidoczniej stryj Laf wciąż nie miał pojęcia o istnieniu stref czasowych.

– Tak mi przykro, Gavroche, z powodu Sama – powiedział. Chciałem przyjechać na pogrzeb, ale twój ojciec naturalnie...

– W porządku – zapewniłam go, nie chcąc rozdrapywać zadawnionych ran. – Byłeś tam duchem, tak samo jak stryj Earnest, chociaż on już nie żyje. Sprowadziłam szamana, który odprawił mały rytuał przy trumnie, potem armia oddała Samowi honory i Jersey wpadła do otwartej mogiły.

– Twoja matka wpadła do grobu? – Stryj Laf rozentuzjzmował się jak pięciolatek. – Ależ to cudowne! Jak myślisz, zaplanowała coś takiego?

– Była pijana, jak zwykle – powiedziałam. – Choć i tak mieliśmy niezły ubaw. Szkoda, że nie widziałeś twarzy Augustusa!

– No to teraz naprawdę żałuję, że mnie tam nie było! wyznał Laf z tak rozbijającą szczerością, o jaką nigdy bym

:m*a

nie posądzają osoby w jego wieku, dobiegającej dziewięćdziesiątki.

Między moim ojcem Augustusem i moim stryjem Lafcadiem Behnem nie było mowy o żadnej miłości – może dlatego, że to z Lafem, pasierbem mojego dziadka z poprzedniego małżeństwa, uciekła babunia Pandora, porzucając mojego ojca zaraz po urodzeniu.

O tym się w mojej rodzinie nigdy nie mówiło ani publicznie, ani prywatnie. No dobrze, nie tylko o tym. Nagle dotarło do mnie, że pewnie zbiłabym fortunę – jeślibym dopiero co nie odziedziczyła czegoś takiego po Samie – na opracowaniu całkowicie nowego modelu teorii złożoności, opierając się jedynie na wzajemnym oddziaływaniu członków mojej rodziny.

– Stryju Lafie – zaczęłam z innej beczki – muszę cię o coś zapytać. Wiem, że nigdy nie rozmawiamy o naszej rodzinie, ale chcę, żebyś wiedział, że Sam wszystko mi zostawił.

– Gavroche, właśnie tego się po nim spodziewałem. Jesteś dobrą dziewczyną, zasługującą na dobre życie. Ja mam aż nadto komfortu, mną się nie przejmuj.

– Nie przejmuję się, Laf. Ja chcę zapytać o coś, co dotyczy rodziny. O coś, o czym być może wiesz tylko ty. O coś, co Sam najwyraźniej także mi zostawił prócz posiadłości czy pieniędzy.

Mój stryj Laf zamilkł aż tak bardzo, że nie byłam pewna, czy jeszcze jest na linii. W końcu się odezwał:

– Gavroche, czy zdajesz sobie sprawę, że rozmowy międzynarodowe są nagrywane?

– Naprawdę? – spytałam, choć przy moim zawodzie wiedziałam o tym bardzo dobrze. – Jeśli nawet, to chyba nie takie jak nasza.

– Gavroche, dzwonię nie bez powodu. – Głos stryja Lafa brzmiał zupełnie inaczej niż parę minut temu. – Żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w pogrzebie Sama. Ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności w następny weekend będę całkiem blisko ciebie. Przyjadę do tego dużego hotelu w the Valley of the Sun...

– Będziesz w Sun Valley Lodge w następny weekend? Przylatujesz z Austrii do Sun Valley?!

Miałam na myśli to, że z Wiednia do Ketchum nie podróżuje się idealnie nawet w komfortowych warunkach, a Laf miał prawie dziewięćdziesiąt lat. W wysokich górach i przy kapryś-

nej pogodzie było wystarczająco trudno dostać się tam z sąsiedniego stanu. Co też on sobie, na Boga, wymyślił?

– Laf, choć marzę, by cię zobaczyć po tych wszystkich latach, nie powiedziałabym, że to najlepszy pomysł. A poza tym dopiero co wróciłam z pogrzebu, nie było mnie w robocie przez cały tydzień. Nie jestem pewna, czy uda mi się znowu urwać.

– Kochanie – rzekł Laf – sądzę, że wiem, o co chcesz mnie zapytać. I że znam odpowiedź. Więc bądź tam, proszę.

Już prawie zamykały mi się oczy, kiedy przypomniałam sobie o czymś, o czym nie myślałam od lat. Przypomniałam sobie tamten pierwszy raz, kiedy Szara Chmura mnie skaleczył. Na nodze, w miejscu, gdzie przejechał ostrzem, widniały w równym rzędku kropelki krwi, niby naszyjnik z małych rubinów. Nie płakałam, chociaż byłam bardzo mała. Przypomniałam sobie tamten kolor: piękny, intensywnie czerwony; życiodajna krew wypływająca z mojego ciała. Nie płakałam i nie bałam się.

Od dzieciństwa nic mi się nigdy nie śniło. Teraz, po tylu wyczerpujących godzinach niespania, sen pojawił się niespodziewanie, jakby tam, w cieniach mojego umysłu, zawsze czekał...

Byłam sama w lesie. Zgubiłam drogę, wokół mnie zamykały się ciemne, ociekające wodą drzewa. Ziemia oddychała wilgocią i białe smużki pary wiły się w górę w ostatnich promieniach światła. Moje stopy zapadały się w gąbczasty dywan utkany z sosnowych igieł. Miałam zaledwie osiem lat. Straciłam z oczu Sama, potem zgubiłam trop. Zrobiło się za ciemno, bym mogła iść po pozostawionych przez niego znakach, tak jak mnie uczył. Byłam sama. Bałam się i nie wiedziałam, co robić.

Tamtego ranka nie mogłam się doczekać pierwszego brzasku. Spakowany plecak czekał na mnie już od wieczora. Było w nim wszystko, co powinnam zabrać: płatki owsiane z suszonymi owocami, jabłko i ciepły sweter. Chociaż nigdy nie byłam na prawdziwej wycieczce ani na niczym innym poza całonocnym campowaniem w ogrodzie, nic by mnie nie powstrzymało od potajemnego śledzenia Sama podczas pierwszego dnia jego kolejnego *tiwa-titmas*.

Dwunastoletni Sam rozpoczął swoje wyprawy cztery lata

wcześniej, kiedy miał tyle lat co ja teraz. Tak więc ta wyprawa miała być piątą; wszystkie poprzednie skończyły się fiaskiem. Całe plemię się modliło, by tym razem mu się powiodło, by dostąpił wizji. Ale że tak się stanie, wierzyło niewielu. W końcu ojciec Sama (stryj Earnest) był białą twarzą i przybył z daleka. Co więcej, po śmierci Jasnego Obłoku, matki Sama, zabrał syna z rezerwatu w Lapwai. Następnie zrobił coś niewyobrażalnego: wziął sobie nową żonę Angielkę (Jersey), która piła zbyt dużo ognistej wody. Nikt nie dał się zwieść, kiedy się pojawiła z córką u boku, przestała pić i nalegała wielkodusznie, byśmy obydwój, ja i Sam, spędzali każde lato w rezerwacie, z dziadkami Sama. Nikt nie dał się nabrać na taką sztuczkę.

Tiwa-titmas było najważniejszym wydarzeniem dla chłopców Nez Perce*. To była inicjacja. Przepustka do życia i do uniwersum. Swoistą gwarancją, że przechodzący inicjację dostąpi wizji, było poddanie go ciężkim próbom: gorącej kąpieli, parówce w szałasie z gliny, oczyszczeniu za pomocą wprowadzanych do gardła brzoźowych witek – zwłaszcza jeśli wizja zwlekała z nadejściem i wymagała wielu wypraw.

Sam wyrósł w tych górach i rozpoznawał każdą skałę, każdy strumyk i każde drzewo, jakby miały własną osobowość i jakby były jego przyjaciółmi. Co więcej, mając za sobą cztery takie wyprawy, umiał sam trafić do właściwego miejsca choćby w ciemnościach czy po omacku – podczas gdy ja, cholerna mała idiotka, nawet nie umiałam iść jego tropem.

Ja byłam godnym pożałowania, zmoczonym przez nagłą górską ulewę, zmarzniętym i głodnym, utrudzonym, z pokaleczonymi stopami, bezradnym i przerażonym własną głupotą dzieckiem. Usiadłam na kamieniu, aby rozważyć sytuację.

Słońce wisi nad granią dalekich wzgórz, ledwo widoczne przez koronę drzew. Kiedy się za nie schowa, ja szybko znajdę się w całkowitej czerni, dziesięć mil albo i więcej – na pewno nie bliżej, jak mogłam przypuszczać – od miejsca, które opuściłam o świcie. Nie mam śpiwora, nieprzemakalnego ubrania, zapalek, a jabłko i płatki dawno zjadłam. Mam kompas, ale nie umiem się nim posługiwać. Co gorsza, wiem, że po zachodzie słońca osaczą mnie przeróżne gryzonie i węże, i komary, i dzikie

* Plemię Indian zamieszkujących zachodnie Idaho.

zwierzęta. Ze temperatura opadnie szybko i wilgotny chłód przeniknie mnie do kości. Zaczęłam płakać ogromnymi, gorącymi łzami strachu, gniewu i rozpacz.

Jedyną indiańską sprawnością, którą posiadałam – nauczył mnie jej Sam – było przekazywanie sygnałów na odległość, smugą dymu albo lusterkami odbijającymi promienie słoneczne. Teraz, kiedy

zapadała noc, tego rodzaju talenty były bezużyteczne. Ale czy na pewno?

Stłumiłam w sobie szloch i przez łzy przyjrzałam się paskom odblaskowym mojego plecaka. Wytarłam oczy brudną dłonią, nos rękawem, stanęłam na galaretowatych nogach i rozejrzałam się dokoła.

Przez gęstniejącą leśną mgłę zobaczyłam, że słońce jeszcze nie zaszło. Ale, pomyślałam, wkrótce pewnie zajdzie. Jeśli potrafię dostać się dość wysoko, nim za horyzontem znikną jego ostatnie promienie, będę mogła ogarnąć wzrokiem dużą przestrzeń. Rozejrzę się po wierzchołkach wzgórz, szukając miejsca, wyniosłego miejsca, do którego, jak wiedziałam, Sam powinien zdążyć przed zachodem słońca: magicznego kręgu. To był szalony plan, niemniej dawał mi jedyną szansę na przekazanie sygnału świetlnego, na wysłanie mojego szyfru w samo serce magicznego kręgu. Zapominając, że jestem zmęczona – zapominając nauk Sama, że nocą nad granicą lasu jest bardziej niebezpiecznie niż między opiekuńczymi drzewami popędziłam na swoich małych nogach w górę, ku odległym skalistym turniom. Popędziłam naprzeciw zachodzącemu słońcu.

We śnie słyszę odgłosy lasu osaczające mnie, kiedy jak oszalała przedzieram się przez głązy, smagana witkami krzewów i trawą, słyszę chrzęst czegoś wielkiego, co porusza się za drzewem. We śnie las robi się coraz ciemniejszy, jednak w końcu zostawiam go za sobą i wdrapuję się na sam czubek najwyższej turni, rozpląszczam się na ziemi i czołgam aż do krawędzi, i zmrużonymi oczami przepatruję dokładnie sterczące poniżej szczyty.

A tam, pode mną, na jednym z nich, za rozległą przepaścią, jest magiczny krąg. W samym środku magicznego kręgu widzę Sama. W moim śnie Sam siedzi na ziemi w spodniach z jeleniej skóry, obszytych frędzlami, nie związane włosy opadają mu na ramiona, nogi i ręce skrzyżował do medytacji – ale siedzi plecami do mnie! Sam patrzy w zachodzące słońce! Sam nie może zobaczyć mojego sygnału!

Więc wołam głośno jego imię, wołam i wołam, mając nadzieję, że echo doniesie je do niego. A potem mój krzyk przechodzi we wrzask. Ale Sam jest za daleko, za daleko...

Potrząsał mną Olivier. Przez okna, tuż pod sufitem mojego lochu, wpadało światło, a to znaczyło, że śnieg, który je w nocy zakrywał, zdążył stopnieć. Która godzina? Dlaczego dudni mi w głowie? Dlaczego Olivier nie przestaje mną potrząsać?

– Nic ci nie jest? – zapytał, kiedy otworzyłam oczy. Wyglądał na przestraszonego. – Krzyczałaś. Twoje krzyki niosły się i niosły. Mały argonauta wczołgał się ze strachu pod mój kaloryfer.

– Krzyczałam? Ja? To był po prostu sen. Od lat nic mi się nie śniło. A poza tym... w rzeczywistości to nie było tak.

– Co nie było tak? – spytał zaintrygowany Olivier.

I nagle dotarło do mnie, że Sam nie żyje. Że mogę go zobaczyć tylko we śnie, więc nawet jeśli sen nie był wierną pamięcią, był wszystkim, co mi zostało. Cholera! Poczułam się tak, jakbym oberwała po głowie samym przeznaczeniem.

– Zapraszam do kuchni – oznajmił Olivier. – Dostaniesz naleśniki na maślanie, całe galony kawy z cykorią i parę tych podstępnych i obrzydliwych wieprzowych parówek... dosyć cholesterolu, byś zapchała sobie żyły na amen... i żeby dopełnić miarki, jajka kładzione...

– Sadzone – poprawiłam jankeski slang Oliviera, pastisz *patois**. – A właściwie to która godzina, gospodarzu?

– Godzina odpowiednia raczej na brunch, nie na śniadanie – powiedział Olivier. – Czekałem, żeby podrzucić cię do roboty. Twój samochód pługi pogrzebały na dobre.

Po przedobiedniej przekąsce postanowiłam włożyć ciepłe ciuchy, grube rękawice i odkopać samochód jeszcze przed zameldowaniem się w robocie. Po dwóch dniach siedzenia za kierownicą był mi potrzebny wysiłek fizyczny. I czasami, po takich jak dzisiejsze roztopach, miewaliśmy siarczasty mróz, a to mogłoby oznaczać miesiąc kucia przy polukrowanym lodem

* Z franc. „żargon, gwara”.

aucie. Poza tym potrzebna mi była chwila samotności, aby przestawić się psychicznie z pogrzebu na pracę.

Wytargałam zatem na dwór moje przenośne stereo, nastawiłam na cały regulator, i otoczona iskrzącymi się, śnieżnymi diunami i domami w błyskach lodowych sopli, ręcznie odgarniałam breję z mojej małej hondy, w rytm *The Fire Down Below* nawijanego przez Boba Segera. I myślałam o tym, że do tkania naszych snów i naszej rzeczywistości wybieramy różne gatunki przędzy.

Tamtej nocy to nie ja znalazłam Sama, tylko Sam znalazł mnie. W prawdziwej historii – nie we śnie – wyostałam się nad granicę lasu, tam, gdzie powietrze jest zbyt rzadkie, aby drzewa mogły przetrwać, i gdzie żadne, że tak powiem, stworzenie nie wybiera sobie miejsca na nocleg. Była pełnia księżyca i stanęłam na szczycie jakiejś skały, skąpana w białej poświacie. Słońce już dawno zaszło; niebo było purpurowoczarne i usiane gwiazdami. Poniżej, z każdej strony, otaczała mnie zwarta, ciemna ściana lasu.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek przedtem przeżyła podobny strach – stojąc samotnie w tamtym mlecznobiałym świetle, mając nad głową cały kosmos. Byłam zbyt przerażona, żeby pamiętać o głodzie. Zbyt przerażona, by płakać. Nie miałam pojęcia, jak długo stoję, za to wiedziałam, że – bez względu na to, co tutaj mogłoby zagrażać takiemu małemu bezbronnemu stworzeniu jak ja, wystawionemu na widok ze wszystkich stron – jeśli zrobię choćby jeden najmniejszy krok, znajdę się bliżej tamtego czarnego i nieprzeniknionego lasu pełnego nocnych odgłosów, lasu, z którego właśnie uciekłam.

Wtedy, w samym środku tamtej nocy, to on mnie szukał, nie ja jego. To on wyszedł z lasu. Najpierw zobaczyłam poruszające się gałęzie i ze strachu mało nie zemdlałam. Ale kiedy zajaśniała mi biel jego spodni z jeleniej skóry, puściłam się pędem przez otwartą przestrzeń i wpadłam mu w ramiona, i zapłakałam z ulgą.

– Dobrze, już dobrze, bystrzaku. – Odsunął mnie od siebie, aby przyjrzeć mi się oczami, które w świetle księżyca zrobiły się srebrnoszare. – Potem mi powiesz, skąd przyszedł ci do głowy tak

szalony pomysł, by iść za mną. Miałaś szczęście, że zdublowałem własny trop i znalazłem twoje ślady. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że przerwałaś mi bardzo ważne spotkanie z duchami totemu. No a poza tym jesteś nad górną granicą lasu, a zdawało mi się, że cię nauczyłem, gdzie się nigdy nie powinno chodzić nocą. Czy mój dziadek, Posępny Niedźwiedź, nie powiedział ci, dlaczego nawet wilk czy kuguar nie nocuje powyżej granicy lasu?

Potrząsnęłam głową i przełknęłam łzy. Sam objął mnie ramieniem, podniósł z ziemi mój plecak. Wróciliśmy między drzewa.

– Dlatego, że powyżej granicy lasu żyją duchy totemów powiedział, prowadząc mnie za rękę przez gęste zarośla. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Jedynym dźwiękiem dobiegającym moich uszu było plaskanie wilgotnego mchu pod mokasynami Sama. – Zwierzęta wyczuwają ich obecność, mimo że duchy, swoim zwyczajem, są niewidoczne i nie rozsiewają żadnego zapachu. Więc jeśli naprawdę chcesz je spotkać, musisz czekać w miejscu, gdzie nie rosną nawet drzewa. Ja idę do takiego miejsca, ale to moje miejsce chroni potężna magia. Zabieram cię tam ze sobą, bo już późno, a sama nie wrócisz do domu. Mam nadzieję, że dopełnimy naszego *tiwa-titmas* razem, ty i ja. Będziemy czekać w kręgu, by weszły w nas duchy.

Chociaż zostałam uratowana od spędzenia w pojedynkę nocy w Bald Mountain, jednak ten cały interes z duchami totemów nie bardzo mnie przekonywał.

– Dlaczego chcemy, by duchy... weszły w nas? – ledwo odważyłam się zapytać.

Sam nie odpowiedział, ale ścisnął mi dłoń na znak, że mnie słyszy. Znów pieliśmy się w górę ciemnego lasu. Po bardzo, jak mi się zdawało, długim marszu wreszcie przybyliśmy na miejsce. Między drzewami wciąż było ciemno, ale tam, w górze, strumień białego księżycowego światła padał na nagi kopulasty grzbiet i krąg nagich skał. Wszystko razem przypominało mi rzymski amfiteatr, w którym kiedyś występowała Jersey.

Sam i ja wyszliśmy spod drzew. Kiedy wkraczaliśmy w krąg, stało się coś dziwnego. Światło księżyca było tutaj inne: iskrzyło i błyszczało, jakby ktoś porozwieszał w powietrzu kawałki srebra. Poderwał się lekki wiatr, przynosząc chłód. Ale ja już się nie bałam; byłam zafascynowana tym magicznym miejscem. Jakoś czułam, że należę do niego.

Sam wprowadził mnie za rękę do środka kręgu i ukląkł przede mną. Rozwiązał przymocowaną do pasa torbę, wyjął z niej kolorowe paciorki i „szczęśliwe” pióra, zapewne talizmany, i przywiązał to wszystko do moich włosów. Następnie w samym środku kręgu z paru kłód i gałęzi rozpałił ognisko. Stałam i grzałam sobie ręce. Byłam przemarznięta na kość i mokra. Czerwone płomienie lizwały niebo, iskry strzelały w ciemniejącą noc, mieszając się z gwiazdami. W trawie grały jesienne świerszcze, a nad nami zapalał się Wielki i Mały Wóz.

– My nazywamy je Wielką i Małą Niedźwiedzicą – powiedział Sam, idąc za moim spojrzeniem. Siedział ze skrzyżowanymi nogami obok mnie i rozgarniał żar. – Wierzę, że niedźwiedzica, będąc duchem mojego totemu, może mnie zwietrzyć, chociaż nigdy nie spotkałem się z nią twarzą w twarz.

– Z nią? – zdziwiłam się.

– Niedźwiedzica jest totemem żeńskim, o wielkiej sile oddziaływania – wyjaśnił. – Kobieta broni swoich dzieci podobnie jak lwica lwiątek, czasami nawet przed ich własnym ojcem, i zdobywa dla nich jedzenie.

– Co się stanie, kiedy duch twojego totemu... wejdzie w ciebie? – zapytałam, wciąż raczej niechętna całemu rytuałowi. Czy... czy coś ci zrobi?

Sam uśmiechnął się ironicznie.

– Nie jestem pewien, bystrzaku. Jeszcze nigdy tego nie doświadczyłem. Będziemy wiedzieli, kiedy to się zdarzy. Mój dziadek, Posępny Niedźwiedź, powiedział mi, że duch totemu wstępuje w człowieka bardzo łagodnie, czasami w ludzkiej postaci, czasami w zwierzęcej. Jeśli stwierdzi, że jesteś gotowy, przemawia do ciebie i powierza ci twój najskrytszy sekret, święte imię... imię, którego poza tobą nikt inny nie może poznać, chyba że sam postanowisz je komuś wyjawić. To imię, jak mówi mój dziadek, jest siłą duchową każdego wojownika, jest oddzielone od naszej nieśmiertelnej duszy i o wiele od niej ważniejsze.

– Dlaczego duch twojego totemu jeszcze nie wszedł w ciebie i nie dał ci imienia? – spytałam go. – Przecież od dawna poddajesz się ciężkim próbom.

Kruczoczarne włosy Sama, opadające błyszczącą falą na ramiona, zasłaniały jego oczy; widziałam jedynie profil: ciemne

iT ■ *mimtmmm-kmm mr*

brwi, wydatne kości policzkowe, prosty nos i dołek w podbródku. Nagle, w tym świetle, ten dwunastoletni, duży syn mojego ojczyma wydał mi się o wiele starszy. Nagle wydał mi się starym duchem totemu. A potem odwrócił się do mnie. Jego oczy w blasku ognia były tak jasne i niezgłębione jak diamenty. Uśmiechnął się.

– Czy wiesz, Ariel, dlaczego zawsze nazywam cię bystrzakiem?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Dlatego, że chociaż masz dopiero osiem lat, tyle, ile miałem, wyruszając na moje pierwsze *tiwa-titmas*, jesteś o wiele bardziej bystra, niż ja byłem wtedy. Możliwe, że wciąż jesteś bystrzejsza ode mnie. Nie koniec na tym; myślę, że jesteś także dzielniejsza ode mnie. Kiedy pierwszy raz sam, bez przewodnika, wszedłem do tamtego lasu, znałem swoją ścieżkę na pamięć. Znałem na niej każdy patyk i każdy kamień. Natomiast ty

i zapuściłaś się w nie znane sobie miejsce, ufając ślepo swojemu losowi. To jest właśnie to, co mój dziadek nazywa niezbędną wiarą.

– Ależ ja szłam za tobą – zauważyłam. – I myślę, że może po prostu jestem głupia.

Sam odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.

– Nie. Nie jesteś głupia – zaprotestował. – Ale być może, bystrzaku – dodał z tym swoim

cudownym uśmiechem – być może twoje zgubienie się w lesie i narażanie życia będzie czymś w rodzaju mojego talizmanu. Moją czterolistną koniczynką. Pociągnął mnie za mysi ogonek. – Być może to, że cię znalazłem, przyniesie mi szczęście.

I przyniosło. Oto jak Sam stał się Szarą Chmurą i jak duch naszego totemu pobłogosławił nas światłem, i jak ja sama, przez zmieszanie naszej krwi, stałam się po części Indianką. Tamtej nocy poczułam, że rozwiązuje się we mnie jakiś węzeł i że moja droga przez życie zawsze będzie prosta i jasna.

Od tamtej nocy do dziś, owszem, była.

Administrację waszyngtońską często oskarżano o sprzeniewierzenie dolarów podatników, ale nigdy o rozrzutność wobec harujących w jej urzędach ludzi. Zwłaszcza nie tu, na prowincji, gdzie każda pięciocentówka, która mogłaby poprawić

warunki pracy, była ściskana w kieszeni albo, jeszcze lepiej, zwracana do państwowej kasy. W rezultacie więcej gotówki wydano na wybrukowanie sześciu akrów otaczającego ośrodek parkingu dla samochodów pracowników niż na rozbudowę, meble, naprawy, sprzątanie czy ogrzewanie budynków, w których pracowali ludzie.

Właściwie wjeżdżając nie całkiem odśnieżonym samochodem na rozległy parking, tuż po przerwie na lunch, niewiele miałam złudzeń co do znalezienia wolnego miejsca. O tej porze dnia coś takiego dałoby się zlokalizować nie bliżej niż w zachodnim Wyoming. A o tej porze roku i po dzisiejszej porannej plusze, późnopołudniowy lodowaty wiatr mógł schłodzić powietrze do sześćdziesięciu stopni poniżej zera; lodowe kulki już stukały o moją przednią szybę. Postanowiłam zaryzykować i zostawić samochód przed frontem głównego kompleksu budynków, na wydzielonym wąskim pasie zarezerwowanym dla oficjalnych gości. Pracownikom nie wolno było ani tam parkować, ani wchodzić do środka przez reprezentacyjny hall. Ale w końcu mogę poprosić strażnika, by pozwolił mi się wpisać do dziennika wejść i wyjść i nie zmuszał do długiej wycieczki na tyły, do oficjalnej bramki dla pracowników.

Zatrzymałam samochód na pierwszym wolnym miejscu, otuliłam się kożuchem, owinęłam długi kaszmirowy szal z frędzlami wokół twarzy i naciągnęłam wełnianą narciarską czapkę na uszy. Okutana wyskoczyłam z samochodu, zamknęłam go i rzuciłam się pędem do frontowych szklanych drzwi. Ani o sekundę za wcześnie, kiedy bowiem wchodziłam do środka, nagły powiew wiatru omal nie wyrwał ich z zawiasów. Udało mi się je zamknąć i przeszedłam przez drugą parę drzwi, do hallu.

Właśnie wyplątywałam się z szala i wycierałam piekące od wiatru oczy, kiedy go zobaczyłam. Stał przy recepcji i wypisywał się. Zastygłam w bezruchu.

Jak mogłabym nie pamiętać lirycznych strof z *Pewnego czarownego wieczoru* – „zobaczysz obcego...” – skoro Jersey puszczała na okrągło tamto nagranie? Nagranie jej samej, śpiewającej w duecie z barytonem Dietrichem Fischer-Dieskauem na scenie Salle Pleyel?

A więc zjawił się obcy. I chociaż inscenizacja nie przedstawiała się nazbyt idyllicznie – hall gościnny w Pawilonie Nauk

Technicznych – wiedziałam bez cienia wątpliwości, że była to jedyna istota na ziemi stworzona właśnie dla mnie. Podarunek bogów, zesłany mi na pocieszenie po śmierci kuzyna Sama. I pomyśleć, że mogłabym wejść innymi drzwiami. Jak wyrafinowane i niezbadane są wyroki losu i jak los potrafi nas zaskakiwać.

Właściwie trochę przypominał wyglądem boga – przynajmniej tego z mojej książki z obrazkami. Ciemne, obficie spływające na kołnierz włosy; odpowiednio wysoki wzrost i smukłość sylwetki, i szerokie ramiona. I cyzelowany macedoński profil herosa. Nonszalancko noszony miękki wielbłądzi płaszcz i biały jedwabny szal z chwastami. Długie, pełne wdzięku palce, a w nich, trzymana jakby od niechcenia, para drogich włoskich skórzanych rękawiczek. To nie był żaden kowboj-inżynier, żaden

sakramencki moczomorda, jak by powiedział Olivier.

W jego postawie i sposobie bycia było coś z wyniosłego I królewskiego majestatu graniczącego z arogancją. A kiedy odwrócił się od strażniczki Belli (która patrzyła na niego z otwartym jak u ryby pyszczkiem) i ruszył w moją stronę, zobaczyłam, że jego oczy, pod ciemnymi rzęsami, to najczystszy szafir i studnia bez dna. Omiotły mnie, zwęziły się na krótką chwilę, a do mnie dotarło, że w tym stroju emanuję seksapilem polarnego niedźwiedzia.

Szedł w moją stronę, do wyjścia. Opuszczał budynek! Wpadłam w panikę; wiedziałam, że muszę coś zrobić – upaść w omdleniu na podłogę albo rozciągnąć ramiona w poprzek drzwi. Lecz zamiast tego zamknęłam oczy, kiedy mnie mijał, i zaciągnęłam się jego zapachem: mieszaniną sosny i skóry, i cytryny. Zakręciło mi się w głowie.

Być może była to jedynie moja wyobraźnia, lecz zdawało mi się, że mijając mnie, szepnął coś w rodzaju: „urocza” albo „przepiękna”. Albo może było to zwykłe „przepraszam”, bo chyba stałam mu trochę na drodze. Kiedy otworzyłam oczy, już go nie było.

Poszłam rzucić okiem na dziennik, ale kiedy stanęłam przy ladzie recepcji, Bella, odzyskawszy przytomność umysłu, natychmiast zasłoniła otwartą stronę czystą kartką papieru. Spojrzałam na nią zdziwiona i stwierdziłam, że nie obrzuca mnie wzrokiem skrupulatnej strażniczki – piorunowała mnie oczami rozwścieczonej kotki w rui.

– Ty wchodzisz przez bramkę, Behn – poinformowała mnie, wskazując drzwi prowadzące na zewnątrz. – A dziennik nie jest do wglądu. Nie dla każdego.

– Każdy gość, który się wpisuje, ma okazję do wglądu zauważyłam. – Pracownicy nie? Nigdy nie słyszałam o takim zarządzeniu.

– Ty pracujesz w ochronie radiologicznej, nie w ochronie budynku; dlatego nie słyszałaś – odcięła się pogardliwie, jak gdyby mój wydział w porównaniu z jej sekcją przepustek był prymitywnym przeżytkiem.

Wyciągnęłam kartkę spod pomalowanych fioletową purpurą paznokci i nim ona się zorientowała, co się dzieje, ja już zdążyłam przeczytać jego nazwisko:

Prof. dr Wolfgang K. Hauser, IAEA, Krems, Austria.

Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jest to Krems w Austrii. Ale IAEA to była Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej, grupa gości kontrolujących tę gałąź światowego przemysłu choć, jak mi było wiadomo, w ostatnich latach raczej niezbyt zapracowanych. Sama Austria nie produkowała energii jądrowej. Co nie znaczy, że nie wykształciła w tej dziedzinie kilku światowej sławy ekspertów. Byłam niezwykle zainteresowana *curriculum vitae* profesora doktora Wolfganga K. Hausera. I nie tylko tym.

Uśmiechnęłam się do Belli i skrobnęłam swoje nazwisko w kolejnej rubryce.

– Mam pilne spotkanie z szefem, Pastorem Dartem. Prosi mnie, bym przyszła jak najszybciej – powiedziałam, ściągając z siebie swoje ocieplacze i wieszając je na wieszaku w szatni dla gości.

– To kłamstwo. Doktor Dart jeszcze nie wrócił z lunchu. Właśnie podejmuje gości z Waszyngtonu – poinformowała mnie arogancko Bella. – Wiem, ponieważ wpisał się, wychodząc z nimi ponad godzinę temu. Możesz sobie sprawdzić...

– Ojej, co ja słyszę, to dziennik nie jest poufny? – Uśmiechnęłam się uroczo i zniknęłam za wewnętrznymi drzwiami.

Olivier siedział w naszym wspólnym pokoju biurowym, bawiąc się swoim komputerem. Kierowaliśmy programem dotyczącym wykrywania i unieszkodliwiania radioaktywnych odpadów, takich jak pręty regulacyjne i inne materiały transT i n liMhliflfMillTi W»~W

uranowe: to znaczy materiały, których liczba atomu przekracza liczbę atomową uranu. Te radioaktywne śmieci były namierzane przez programy dostosowane do naszych wymagań, a następnie podlegały odpowiedniej „obróbce” przez nasz komputerowy zespół.

– Kim jest profesor doktor Wolfgang K. Hauser z IAEA w Austrii? – zapytałam, kiedy Olivier podniósł wzrok znad klawiatury.

– O Boże, ty też? – Zakręcił krzesłem i przetarł oczy. – Jesteś w robocie zaledwie kilka minut i już zdążyłaś podłapać to choróbsko? Gość rozprzestrzenia się w ośrodku jak jakaś zaraza, jak do tej pory powariowały wszystkie baby, więc pomyślałem, że przynajmniej ty jedna mu się oprzesz, no i wiesz, zrobiliśmy zakłady. Postawiłem na ciebie grubą forszę.

– On jest absolutnie wspaniały – dolałam oliwy do ognia. I nie tylko to. Z niego emanuje... jak by to nazwać... coś w rodzaju zwierzęcego magnetyzmu...

– Och, nie! – krzyknął Olivier, podrywając się i kładąc mi ręce na ramiona. – To straszne! To dużo gorzej, niż mogłem przypuszczać! Możliwe, że forszę na żarcie też przegrałem.

– Czy i na herbatką ziołową o egzotycznym smaku? – zapytałam, szczerząc zęby.

Olivier znowu usiadł, podparł głowę łokciami i jęknął. Nagle zdałam sobie sprawę, że profesor doktor Wolfgang K. Hauser był pierwszą „rzeczą” w ciągu ostatniego tygodnia, która mnie rozśmieszyła i pozwoliła zapomnieć o Samie na całe dziesięć minut. To było warte całej przegranej Oliviera i kilku funtów cudownej ziołowej herbaty na dodatek.

W tym momencie zawyła syrena alarmowa, a z głośników popłynęła zapowiedź:

– Uwaga, uwaga, test urządzeń alarmowych. Przeprowadzamy zimowe ćwiczenia przeciwpożarowe, zorganizowane przez lokalną straż pożarną i służby federalne. Prosimy o jak najszybsze przemieszczanie się do najbliższego wyjścia awaryjnego i o pozostanie na parkingu, jak najdalej od budynku, aż do odwołania alarmu.

O, do świętego gówna! Zatem możemy skorzystać wyłącznie z wyjść awaryjnych. Zamknęli wszystkie bramki i drzwi, które prowadzą do środka budynku, gdzie ludzie mogliby się znaleźć

w prawdziwym niebezpieczeństwie – łącznie z drzwiami do hallu, gdzie był mój kozuch. Kiedy tu przyjechałam, na dworze już było dobrze poniżej zera; teraz mogło być jedynie zimniej. A ćwiczenia przeciwpożarowe mogły trwać nawet pół godziny.

– No, na co czekasz. – Olivier naciągał już na siebie parkę. Zbieraj rzeczy i wychodzimy!

– Mój kożuch jest w hallu.

Ruszyłam za nim żwawo przez korytarz, obok już opustoszałych pokoi. Przez cztery zapasowe wyjścia przelewało się morze ludzi, wprost w szalejący lodowaty wiatr.

– Jesteś kompletnie zwariowana – poinformował mnie. Mało to razy ci mówiłem, żebyś nie korzystała z hallu? Teraz zamienisz się w sopel lodu. Pod moją parką oboje się nie zmieścimy, jest za obcisła. Ale możemy korzystać z niej na zmianę, dopóki to drugie nie sfioretowieje.

– Mam w samochodzie swoją parkę, a kluczyki od samochodu przy sobie, w torebce – powiedziałam. – Pobiegnę i włączę ogrzewanie. Jeśli ćwiczenia się przeciągną, pójdę do twojego kowbojskiego baru na gorącą herbatę.

– Świetny pomysł, pójdziemy razem – podchwycił Olivier. Jeszcze jedno: weszłaś frontowymi drzwiami, czyli że zaparkowałaś nielegalnie, tak?

Uśmiechnęłam się szeroko. Niesieni falą tłumu wypłynęliśmy na dwór i pobiegliśmy na drugą stronę budynku.

Kiedy przyszło do otwierania drzwi samochodu, okazało się, że guziki zamków są wyciśnięte. Dziwne. Nigdy nie zapominam o zamknięciu własnego auta. No cóż, dzisiaj zapomniałam, byłam wytracona z równowagi. Wsunęłam się do środka, naciągnęłam na siebie parkę i podczas gdy Olivier zajął miejsce obok kierowcy, ja włączyłam zapłon. Silnik pracował niemrawo. Podziękuj strażakom, pomyślałam. To dzięki nim go włączyłaś. Przy takiej pogodzie niewiele brakowało, by olej w twojej misce olejowej zamienił się w rożek śniegu.

I wtedy zauważyłam węzeł. Wisiał na wstecznym lusterku.

Sam i ja w dzieciństwie mieliśmy fioła na punkcie uczenia się wszystkich rodzajów węzłów. Ja zostałam ekspertem od wielu. Mogłam je wiązać jedną ręką, jak prawdziwy marynarz. Sam mówił, że Inkowie z Peru posługiwali się węzłami jak językiem: umieli liczyć za ich pomocą albo nawet opowiadać

m... iflMi iiariiii

różne historie. Jako dziecko przekazywałam zaszyfrowane w węzłach wiadomości różnym ludziom. Nawet sobie. Aby zobaczyć, czy potrafię rozszyfrować to, co zaszyfrowałam. Zupełnie jak z tym sznurkiem, co się go oplata wokół palca dla pamięci o czymś.

Do tej pory pozostał mi zwyczaj zostawiania kawałków włókien czy sznurka w różnych miejscach – powiedzmy, na lusterkach wstecznych. Potem, kiedy byłam zestresowana albo kiedy siedziałam nad jakimś problemem, wiązałam je i rozwiązywałam, wiązałam i rozwiązywałam, aż w końcu powstawała skomplikowana makrama. A po takim utkaniu makramy jakimś cudem rozwiązywał się mój problem. Ale tego kawałka włókna na pewno nie widziałam ani w czasie mojej podróży do domu, ani tym bardziej tego popołudnia, kiedy jechałam do pracy. Moja pamięć całkiem schodziła na psy.

Samochód zaczynał się nagrzewać. Dotknęłam węzła. ^Właściwie były to dwa węzły, jeśli by za węzeł uznać włókno owinięte wokół pręta od lusterka: węzeł Salomona, oznaczający trudną decyzję, i węzeł fałszywy, o znaczeniu dokładnie odpowiadającym nazwie. Co miałam na myśli, kiedy je wiązałam? Odczepiłam pasemko przędzy od lusterka i zaczęłam się nim bawić.

Olivier włączył radio i puścił jakąś koszmarną szarpaną kowbojską muzykę, bez której nie wyobrażał sobie życia. Jasne, nie dość, że dziewięćdziesiąt procent naszego życia spędzamy, było nie było, pod jednym dachem, to jeszcze musiałam wpaść na genialny pomysł z zapraszaniem go tutaj. A co do wspólnego dachu, to nagle mi się przypomniało, że ostatniej nocy (przepraszam, dzisiejszego ranka) nie widziałam przed domem żadnych śladów Oliviera czy czyichkolwiek odcisków na śniegu. I że nic nie wskazywało na to, by w ogóle bywał w swoim domu. Bo gdyby bywał, to chyba i wybierałby moją pocztę. Tak czy nie? Intryga się zagęszczała.

– Olivierze, gdzie byłeś, kiedy mnie nie było?

Olivier popatrzył na mnie ciemnymi oczami i złożył na moim policzku delikatny pocałunek.

– Kochanie, biję się w piersi. Spotkałem pewną kowbojkę i nie potrafiłem się oprzeć jej wdzięk.

– Przesiedziałeś całą zamięć z jakąś kowbojką? – spytałam

|

zdziwiona, ponieważ Olivier nie był typem krótkodystansowego podrywacza. – No więc? Ładna chociaż? A może święta dnia ostatniego, tak jak ty? I gdzie był mój kot, kiedy akcja była w toku?

– Zostawiłem małemu argonaucie ogromniastą michę jedzenia; z piciem tak czy owak radzi sobie sam. Co do damy, czas przeszły najlepiej określi nasz związek. Niektóre uczucia topnieją jak wiosenne śniegi. Moje, obawiam się, raczej zlodowaciało.

Niezwykle poetyckie.

– W najbliższy weekend muszę pojechać do Sun Valley powiedziałam. – Czy znów zostawisz Jasona w tej, że powtórzę za tobą, zlodowaciałej piwnicy, czy mam go ze sobą zabrać?

– Wybierasz się na narty? – zapytał. – To może zabierzesz nas obu? Właśnie się zastanawiałem, gdzie by tu podłapać trochę świeżego puchu.

Olivier był doskonałym narciarzem i płynął przez puch jak piórko. Mnie puch nigdy nie pociągał, ale wyczyny Oliviera to dopiero była frajda dla oczu.

– No, wiesz... – zawahałam się – jadę tam raczej nie dla nart; mój stryj chce się ze mną spotkać. W sprawach rodzinnych.

– Rozumiem. Teraz, kiedy zostałaś jakąś tam dziedziczką, dotychczas nieobecna rodzina nagle się reaktywuje – zauważył Olivier. I natychmiast spojrzał przepaszająco.

– W porządku – uspokoiłam go. – Nic nie szkodzi. Poza tym mój stryj sam jest bardzo bogaty. Jest sławnym skrzypkiem i dyrygentem w...

– Lafcadio Behn? On jest twoim stryjem? – spytał Olivier. Niewielu jest Behnów na świecie, więc

od kiedy cię znam, zawsze się zastanawiałem, czy jesteś z którymś spokrewniona.

– Prawdopodobnie ze wszystkimi – powiedziałam, krzywiąc się. – Behn to moje drugie „ja”.

Sygnal odwołujący alarm rozległ się w chwili, gdy mówiłam Olivierowi, że jeśli chce, to może się ze mną zabrać. Z niechęcią pomyślałam o opuszczeniu ciepłego samochodu. Kiedy mimo wszystko znalazłam się na zewnątrz, na przejmującym zimnie, i kiedy zamykałam drzwi, przypomniało mi się, że tak samo je zamykałam godzinę temu, idąc do hallu. To nie była kwestia bujnej wyobraźni – ktoś włamał się do mojego samochodu.

Popatrzyłam na tył samochodu, na złożone tylne siedzenie. Wszystko było na swoim miejscu, choć trochę poprzestawiane. Ktoś przeszukiwał samochód. Tak czy inaczej, zamknęłam drzwi. Zamykanie drzwi to było coś w rodzaju odruchu warunkowego. Ruszyłam za Olivierem dookoła budynku, do tylnego wejścia, gdzie niemal wpadłam na szefa, Pastora Darta.

– Behn, jesteś! – Jego zwykłą czupurną minę zastąpił uśmiech od ucha do ucha. – Przyjdź do mnie za jakieś pół godziny, kiedy będę wolny. Nie wiedziałem, że wracasz dzisiaj. Mamy sporo do przedyskutowania.

Defilująca przed nami strażniczka Bella rzuciła mi przez ramię głupi uśmiech. Powiedziałam Strączkowi, że zjawię się u niego, i wróciłam do swojego pokoju równo z dzwonkiem telefonu.

– Odbierz ty – poprosił Olivier. – Zapomniałem: nim się tu zjawiłaś, jakaś dama z jakiejś gazety dzwoniła w sprawie jakichś dokumentów, które według niej miałaś odziedziczyć. Ale przez resztę ranka, za każdym razem, kiedy podnosiłem słuchawkę, ktoś swoją odwieszał. Pewnie jakiś czubek.

Podniosłam słuchawkę za czwartym dzwonkiem.

– Ariel Behn. Zarządzanie odpadami – odpowiedziałam.

– Cześć, bystrzaku – odezwał się ciepły, znajomy głos, którego już nie spodziewałam się usłyszeć, chyba że we śnie. Przepraszam. Szczerze, serdecznie przepraszam, że tak wyszło, ale ja nie umarłem – powiedział Sam. – Choć niewykluczone, że tak się stanie. Chyba że mi pomożesz. I to szybko.

RUNY

Marsjasz: Czerń, czerń, nieznośna czerń!

Idź precz, upiorze wieków!

Dość mi już tego, co poza mną.

Sekretu myśli z myślą

wiązania

czyły mnie lata niezliczone,

niejedno życie,

niebo niejedno,

Mnie, ciemnego wzoru

Własnej egzystencji.

Ja znam swój sekret.

Wszystko, czym byłem... wszystko, czym jestem.

Runy staną w rzędach,

kiedy wszystko, czym będę

cieniem po niebie przemknie...

Olimpias: Przez życie, przez śmierć, lądem i morzem

To pewne, pójdę za tobą.

Aleister Crowley, AHA

Ilusiałam usiąść, natychmiast. Krew odpłynęła mi z mózgu, jak woda ze zlewu, kiedy osunęłam się bezwładnie na krzesło. Zanurkowałam głową w dół, aż mi czoło stuknęło o kolana. Nie chciałam zemdleć.

Sam żyje. Żyje.

Żyje, prawda? A może ja śnię? Rzeczy takie jak ta zdarzają się czasami w snach; rzeczy, które tylko sprawiają wrażenie realnych. Ale głos Sama był tam wciąż, dudnił mi w ucho, chociaż dopiero co wróciłam z jego pogrzebu. Widocznie przyszedł czas na badania u psychiatry.

– Ariel, co z tobą? – zapytał niespokojnie Sam. – Nie słyszę twojego oddechu.

To prawda: przestałam oddychać. Żeby zacząć znowu, żeby uruchomić tę podstawową, automatyczną funkcję organizmu, g musiałam podjąć świadomy wysiłek. Przełknęłam głośno, ścis – *nęłam poręcz krzesła, wyprostowałam się i wydusiłam z siebie piskliwą odpowiedź.

– Cześć. – To było śmieszne, ale niby co, u licha, miałam powiedzieć?

– Ariel, tak mi przykro. Wiem, przez co musiałaś przejść.

Jasne, odkrycie na miarę epoki.

– Ale nie zadawaj żadnych pytań, dopóki ci wszystkiego nie wyjaśnię. Prawdę mówiąc, możesz ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo każdym wypowiedzianym słowem. Chyba że jesteś sama.

– Nie jestem – odparłam szybko. Cały czas starałam się okiełznać rozszalały umysł i doprowadzić do jakiej takiej równowagi moje biorytmy.

– Domyślam się – rzekł Sam. – Dzwoniłem do ciebie od rana, ale słysząc obcy głos, odwieszałem słuchawkę. Teraz posłuchaj. Pierwsze, co musimy zrobić, to znaleźć linię bez podsłuchu. Chcę, żebyś wiedziała, co się stało.

– Zadzwoń do mnie do domu. – Staralam się oględnie dobierać słowa. A także odjechałam ze swoim krzesłem odrobinę dalej od Oliviera, który obrócony plecami, uparcie stukał w klawiaturę swego terminala.

– To na nic, twój telefon jest na podsłuchu – stwierdził Sam, który znał się na takich rzeczach. – Ta biurowa linia jest jeszcze czysta, przynajmniej w tej chwili... zdążymy wypracować jakiś plan. Twój samochód też nie jest bezpieczny – dodał, wyprzedzając moje kolejne pytanie. – Ktoś się włamał i go przeszukał. Zostawiłem te węzły, żeby cię ostrzec. Mam nadzieję, że nie ukryłaś nic o istotnej wartości ani tam, ani w domu: jestem pewien, że namierzają cię prawdziwi profesjonaliści i to przez większość czasu.

Prawdziwi profesjonaliści? Czy to miało znaczyć, że zostałam wplątana w jakiś szpiegowski thriller? Czy musiałam jeszcze i to usłyszeć, po tym, co przesłałam przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny? I chociaż byłam ciekawa, co kryje się pod słowami „istotna wartość”, ograniczyłam się do:

– Nie zauważyłam... – Zamiast „by czegoś brakowało” dodałam: – niczego niezwykłego.

Olivier wstał i przeciągnął się rozkosznie. Kiedy zerknął na mnie, obróciłam się w krzesło twarzą do biurka i zaczęłam coś na niby notować. W głowie wciąż mi dudniło, ale wiedziałam, że muszę skończyć rozmowę z Samem, i to szybko.

– Co proponujesz?

– Musimy znaleźć sposób na kontaktowanie się o oznaczonych godzinach, bez wzbudzenia podejrzeń w tych, którzy cię obserwują, że próbujesz coś ukryć. Pamiętaj, żadnych budek telefonicznych.

Co właśnie było moją pierwszą myślą. Skreślić to.

– Przez komputer? – spytałam, wciąż coś zawzięcie bazgrząc. Błagałam Boga, by Olivier wyniósł się z pokoju.

– Przez komputer? – powtórzył Sam. – Nie, to nie jest bezpieczne. Rządowe komputery to gratka dla pierwszego lepszego hakera. Musielibyśmy wymyślić wielowarstwowy kod zabezpieczający, a na to nie ma czasu. Po drodze z twojego biura jest

taki bar dla tutejszych kowbojów, Bez Nazwy. Zadzwonię tam do ciebie za piętnaście minut.

– Za piętnaście minut mam spotkanie z szefem – powiedziałam. – Zobaczę, czy...

Jak na zawołanie, Strączek wetknął głowę w drzwi.

– Behn, pozałatwiałem sprawy szybciej, niż myślałem. Czekam. Mamy coś ważnego do przedyskutowania.

– Okay, pewnie musisz spływać. – Wsłuchiwałam się w głos Sama, a patrzyłam na Oliviera, ruszającego za Strączkiem. Umówmy się za godzinę. Jeśli nadal będziesz zajęta, będę dzwonił co piętnaście minut, aż do skutku. Ariel? Naprawdę, naprawdę mi przykro z powodu tego wszystkiego.

Ręce mi się trzęsły, kiedy odkładałam słuchawkę na widelki i kiedy próbowałam stanąć na chwiejnych nogach.

Strączek zatrzymał się w drzwiach i zwrócił się do Oliviera:

– Nie będziesz potrzebny. Wystarczy sama Behn. Wypożyczam ją na jakiś tydzień do pewnego awaryjnego programu. Małe „gaszenie pożaru”, czyli wspomaganie Wolfganga Hausera zIAEA.

Kiedy nasz szef wyszedł, Olivier na powrót zatonął w swoim krześle i jęknął:

– Czymże ja biedny zasłużyłem sobie na takie traktowanie, mój proroku Moroni? – Biedak wznosił oczy ku sufitowi, jakby się spodziewał, że prorok mormonów osobiście wejrzy na niego z niebios. Potem popatrzył na mnie gniewnie. – Czy zdajesz sobie sprawę, że przez twojego sakramenckiego Hausera umoczyłem także całoroczny budżet na kolorowe warzywne makarony z północnych Włoch i fundusze na smakowity ocet winny z ziołami i przyprawami?

– Och, Olivierze, tak mi przykro. – Poklepałam go po plecach, na pół świadomie, wychodząc z pokoju.

Do świętego gówna! Kroił mi się naprawdę cholernie interesujący dzień.

Ośrodek w Idaho, gdzie pracowałam, był instytucją wiodącą w świecie, jeśli chodzi o badania nad bezpieczeństwem nuklearnym; to znaczy dociekaliśmy, jak dochodzi do wypadków i jak można im zapobiegać.

Tak się złożyło, że temat, który nabrał teraz największego

znaczenia w naszej dziedzinie – kwestia odpadów radioaktywnych – zajął się z programem, nad którym Olivier i ja pracowaliśmy przez pięć minionych lat. Dysponowaliśmy największą bazą danych stworzoną do identyfikacji i monitorowania miejsc składowania lub zakopywania toksycznych, niebezpiecznych i zawierających transuranowce materiałów. Jako pionierzy na tym polu uznaliśmy, że mamy również prawo do gromadzenia stert nieprzyzwoicie wulgarnych dowcipów typu: „Odchody innych to dla nas chleb z masłem”.

Ale Olivier i ja zadowalaliśmy się jedynie okruchami. Istota badań, które prowadzono tutaj, w Idaho, polegała na testowaniu przypadków przegrzania i innych awarii w naszych reaktorach rozmieszczonych na tej wulkanicznej pustyni. Chociaż w tym, że Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej, światowy żandarm, bawi się z nami w wymianę poglądów i przysyła do Idaho swoich przedstawicieli, powiedzmy takiego Wolfganga i Hausera, nie było nic zaskakującego, ani trochę nie byłam przyP gotowana na to, co za chwilę Strączek miał mi powiedzieć, a co dotyczyło mojej przyszłej misji.

– Ariel, problemy, z którymi boryka się ostatnio Związek Sowiecki, są ci dobrze znane – usłyszałam po tym, jak mnie posadził w swoim gabinecie i zamknął drzwi.

– Uhm... to znaczy tak, oczywiście. Mówią o nich w cowieczornych wiadomościach o szóstej – odpowiedziałam. Gorbaczowowi przyszło słono zapłacić za zaprowadzenie wolności w kraju, który więził albo zamieniał w niewolników miliony ludzi z tego tylko powodu, by nie dyskutowali o niej

nad filiżanką herbaty.

– IAEA jest zaniepokojona – ciągnął Strączek – że Związek Sowiecki mógłby stracić, na dobre i na stałe, kontrolę nad kilkoma swoimi republikami, które prawdopodobnie są jednym wielkim składowiskiem broni nuklearnej i radioaktywnych odpadów, i gdzie prawdopodobnie pracują tak uwielbiane przez Sowietów reaktory powielające. Stare, z nieodpowiednim systemem kontrolnym. Teraz cały ten chłam wpada w ręce niewyszkolonych miejscowych kacyków, w obecnej sytuacji nie mających nic do stracenia, a wszystko do wygrania.

– O, do... jasnej anielki – powiedziałam. – Ale co tu po mnie?

Strączek odrzucił w tył głowę i roześmiał się zaskakująco

ciepło i serdecznie. Na przekór złej reputacji, na którą sobie dobrze zasłużył, ja, przyznaję bez bicia, szczerze lubiłam Pastora Owena Darta. Toporny, szorstki w obyciu były wojskowy mistrz bokserski i weteran wojny wietnamskiej, obnosił się z tymi wiecznie zmierzwionymi brązowymi włosami i wysuszoną na rzemień, pokrytą bliznami twarzą niby z fotografią własnego wnętrza. Chociaż ledwo, ledwo mnie przerastał, kipiał wojowniczym duchem i lepiej robił ten, kto nie wchodził z nim w zwanie. Ale ja, jak do tej pory, nigdy go nawet nie zdenerwowałam. Na nieszczęście, ten stan rzeczy miał się zmienić.

– Rozumiem, że pytasz o swoją rolę, czy tak? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Porozmawiasz o tym z Wolfem Hauserem, ale nie wcześniej niż za parę dni. Do końca tygodnia będzie w terenie. Gdybym wiedział, że już jesteś, zatrzymałbym go dłużej, byście się mogli poznać. Poufnie powiem ci, że będziesz towarzyszyła doktorowi Hauserowi w jego kilkutygodniowej podróży do Rosji. Właśnie trwa załatwianie formalności wyjazdowych.

Rosja? Nie mogłam pofrunąć sobie, jak motylek, do Rosji. Nie teraz, kiedy Sam świeżo wstał z grobu, kiedy ukrywał się przed szwadronem wynajętych Bóg wie przez kogo zabójców, kiedy przekradał się przez parking, aby mi zostawić wiadomość na kawałkach sznurka. Sama i mnie czekały poważne kłopoty z komunikowaniem się tu i teraz, a co będzie, jak się znajdę w Związku Sowieckim, gdzie podobno telefony w ogóle nie działają! Więc choć urzekła mnie myśl intymnego zagranicznego wypadu z cudownym, pachnącym sosną doktorem Wolfgangiem Hauserem, wiedziałam, że muszę ukreślić łeb całej sprawie, i to natychmiast.

– Chętnie bym skorzystała ze sposobności, proszę pana powiedziałam przymilnie – ale doprawdy nie rozumiem, jak mogłabym pomóc w tym programie. Nigdy nie byłam w Rosji i nie mówię po rosyjsku. Nie jestem doktorem chemii ani fizyki, tak więc nie wiedziałabym, co klasyfikuję, jeśli to coś by mnie zaatakowało. Dotychczas zajmowałam się jedynie etykietowaniem i klasyfikowaniem tego, co inni już wykopali i zidentyfikowali. Poza tym powiedział pan Olivierowi Maxfieldowi, że ta praca potrwa zaledwie jakiś tydzień i nie oderwie mnie od naszego programu.

Aż straciłam dech od tego prucia pod prąd, a mimo to moje canoe i tak zdawało się płynąć donikąd.

– Przecież coś mu musiałem powiedzieć – zniecierpliwił się Strączek – inaczej zastanawiałby się,

dla czego go pominięto. W końcu oboje kierujecie waszym programem.

Chętnie bym zapytała, dlaczego właściwie go pominięto, ale nie zdążyłam. Mój szef się poderwał, żeby odprowadzić mnie do drzwi. Poza tym przerzucił się na taki ton głosu, jakiego zwykle używał wobec tych, dla których miał w zanadrzu mowę pogrzebową. Wyraźnie powiało chłodem.

– Faktem jest – dodał, nim znaleźliśmy się przy drzwiach że IAEA wyłowiła cię już przed miesiącami, opierając się na twoich aktach personalnych i na mojej rekomendacji. Twoja kandydatura została bardzo dokładnie przeanalizowana, wnioski wyciągnięte. A mówiąc szczerze, Behn, radzę łapać okazję. Trafia ci się niezwykle łakomy kąsek. Powinnaś pocałować

*mnie w rękę i zapewnić, że go skonsumujesz.

Tyle ciosów na jedną biedną głowę w jedno niecałe popołudnie? O nie, to zdecydowanie niesprawiedliwe. Więc kiedy Strączek otworzył drzwi, wyrzuciłam z siebie jednym tchem:

– A poza tym, nawet nie mam rosyjskiej wizy!

– Masz – powiedział oziębło. – Czeka na ciebie w sowieckim konsulacie w Nowym Jorku.

Do diabła, kolejne pudło. Cóż, przynajmniej poznałam złe wieści przed planowaną rozmową z Samem. Może przy okazji rozwiązywania wszystkich naszych problemów Sam zdoła wymyślić coś, co wybroni mnie od tej podróży.

– Jeszcze jedno – dodał Strączek bardziej pojednawczo. Rozumiem, że powodem twojej nieobecności w minionym tygodniu było uczestnictwo w pogrzebie kogoś z rodziny. Nikt bliski, mam nadzieję?

– Bliższy, niż potrafię powiedzieć – odparłam wymijająco. Dotknęłam ramienia szefa. – Ale dzięki za zainteresowanie.

Wychodząc do hallu, spojrzałam na zegarek, żeby sprawdzić, ile minut dzieli mnie od miejsca, w którym jest teraz Sam. Następnie ubrałam się w ocieplacze i ruszyłam do baru dla tutejszych kowbojów, pod wezwaniem Bez Nazwy.

Ciemne, wykładane boazerią wnętrze było przesiąknięte zapachem piwa i dymem. Z szafy grającej dobywały się jakieś dźwięki. Przyszłam dwadzieścia minut wcześniej, usiadłam przy stoliku blisko wiszącego na ścianie telefonu, zamówiłam Virgin Mary i czekałam. W końcu telefon zadzwonił. Poderwałam się na nogi i złapałam słuchawkę, nim umilkł pierwszy dzwonek.

– Ariel. – Głos Sama zabrzmiał uspokajająco. – Od chwili pogrzebu wprost szaleję, by ci wyjaśnić, co się tak naprawdę stało i o co w tym wszystkim chodzi. Ale najpierw... dobrze się czujesz?

– Chyba przyszłam do siebie – powiedziałam. – Tylko nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Cieszę się histerycznie, że żyjesz, ale jestem wściekła, że wpuściłeś nas... zwłaszcza mnie... w te cholerne maliny. A teraz daj mi słowo, że rzeczywiście musiałeś udawać umarlaka. Kto o tym wie

poza mną?

– Nikt nie może wiedzieć poza tobą. – Głos Sama był napięty jak struna gitary. – Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że żyję, groziłoby nam potworne niebezpieczeństwo.

– Co oznacza to „my”, blada twarzy? – posłużyłam się ripostą Tonta, którą się odciął Samotnemu Jeźdźcowi, kiedy obu otoczyli wrodzy Apacze.

– Ariel, mówię serio. Jesteś teraz w większym niebezpieczeństwie niż ja sam. Tak bardzo się bałam, że możesz nie wrócić wprost do Idaho, że zechcesz zaszyć się gdzieś sama jedna

i że nie otrzymasz przesyłki. Potem, jak wykryłem, że twój numer jest na podsłuchu i że ktoś przetrząsnął twój samochód, I nic tylko się modliłem, byś była na tyle przytomna i schowała ją w bezpieczne miejsce...

Kelnerka zgarnęła napiwek ze stolika i uniosła brwi z niemym pytaniem: „Powtórzyć?”

Potrząsnęłam głową i powiedziałam do Sama na drugim końcu linii:

– Nie rozumiem. – Choć obawiałam się, że tak. Że rozumiem. Kiedy dziewczyna znalazła się poza zasięgiem głosu, dodałam scenicznym szeptem: – Jaką przesyłkę?

Na linii przez chwilę panowało grobowe milczenie. Czułam wibrujące w niej napięcie. Wreszcie Sam się odezwał. Miał drżący głos.

– Tylko mi nie mów, że nic nie dostałaś, Ariel. Na Boga, tylko mi nie mów. Musiałem się tego pozbyć, i to szybko, przed

pogrzebem. Ty byłaś jedyną osobą, na której mogłem całkowicie polegać. Wrzuciłem to do skrzynki pocztowej, zaadresowane na ciebie. Byłem pewien, że nikomu nie przyjdzie na myśl, że mógłbym postąpić w sposób tak nie zamaskowany i wysłać to zwykłą pocztą. Miałem nadzieję, że to będzie czekać na ciebie na twojej poczcie, na twój powrót. Jak mogłaś tego nie otrzymać? Chyba że... chyba że nie wybrałaś jeszcze swojej korespondencji?

– O, do świętego gówna, Sam – wyszeptałam. – Coś ty mi takiego zrobił? Coś ty mi przysłał? No mówże wreszcie. Bo chyba nie mój „spadek”?

– Czy ktokolwiek wspominał o nim w czasie pogrzebu? Jego głos także przeszedł w szept, jakby to nas mogło uchronić przed podsłuchem.

– Ktokolwiek?! – Prawie mnie poniosło. – Twój testament został odczytany na głos. Augustus i Grace zwołali konferencję prasową! Wydzwaniały media, usiłując się do tego cholernego

I spadku dobrać. Stryj Laf przylatuje tutaj z Austrii! Proszę, oto twoje „ktokolwiek”!

Szeptałam pod prąd, jakbym siedziała w jakimś tunelu aerodynamicznym. Od tego szeptu gardło piekło mnie do żywego. Nie mogłam uwierzyć, że moje ostatnio tak bardzo spokojne, tak dobrze zorganizowane życie nagle zaczyna przypominać karnawałowe konfetti. Dlaczego? Nie mogłam także uwierzyć, że Sam jest żywy i że ja chciałam go zabić.

– Ariel, proszę – powiedział. Jego głos zabrzmiał tak, jakby Sam rwał sobie włosy z głowy. – Wybrałaś swoją pocztę czy nie? I czy jest jakieś rozsądne wytłumaczenie na to, że... że... zająknął się – że nie widziałaś przesyłki?

Ścisnął mi się żołądek. Nie musiałam się wysilać, żeby zgadnąć, co było w tamtej paczce: manuskrypty Pandory. Manuskrypty, które wszystkim parzyły ręce. Manuskrypty, które jak byłam przekonana – miały zabić Sama.

– Jest. Zapomniałam zastopować swoją pocztę. – Na drugim końcu linii Sam głośno zassał powietrze, a tego było mi już za wiele. Powiedziałam zjadliwie: – Każdemu się zdarza chwila roztargnienia. Zwłaszcza jak się jedzie na pogrzeb kogoś bardzo bliskiego. Zapomniałam. Po prostu zapomniałam.

– A więc, jeśli cały czas była w twojej skrzynce – Sam wciąż mówił szeptem – to gdzie jest teraz?

Gdzie jest teraz? Pytanie za sto punktów. Na podłodze mojego salonu, pośrodku całego bałaganu, albo, być może, pod zaspą, na głębokości siedmiu stóp. Raz jeszcze stanęła mi przed oczami scena z ubiegłej nocy: grzęznę w śniegu, a wybraną ze skrzynki pocztę rzucam na drogę, pod samochód.

–Kiedy ubiegłej nocy wróciłam do domu, wyciągnęłam ze skrzynki przy drodze wszystko, co w niej było – wyjaśniłam i cisnęłam na podłogę lodowato zimnego salonu. Jak do tej pory nie otworzyłam choćby jednej koperty.

–Boże – wykrztusił Sam. – Jeśli twój telefon był na podsłuchu, zanim wróciłaś, można przyjąć, że do tej pory przetrząsnięto ci dokładnie całe mieszkanie, pewnie więcej niż raz, a już na pewno zaraz po twoim wyjściu do pracy. Ariel, przez tę przesyłkę omal nie zginąłem, a ty, żeby żyć, musisz ich przekonać, że jeszcze jej nie otrzymałaś. Kiedy ją wysyłałem, nie zastanawiałem się nad twoim bezpieczeństwem.

–Bardzo mi miło. Jak rozumiem, to coś w rodzaju łańcuszka listów: za przerwanie grozi ci klątwa, śmierć od pioruna i wieczne potępienie, tak?

–Niczego nie rozumiesz. Nam naprawdę grozi klątwa rzekł Sam. Pierwszy raz w życiu usłyszałam w jego głosie rozpacz. Pomilczał chwilę, a potem odezwał się głucho, jak z dna głębokiej studni: – Ariel, nie można dopuścić, by ta przesyłka wpadła w niepożądane ręce. To bardzo ważne. To ważniejsze niż my sami, ważniejsze niż twoje czy moje życie...

Aż mnie zatkało.

–Słucham? Nie odbiło ci przypadkiem? O czym ty w ogóle mówisz? Mam oddać życie za coś, czego nawet nie widziałam? Za coś, o czym nawet nie chcę wiedzieć?

–To coś to część ciebie, a ty jesteś jego częścią – rzucił Sam. Wreszcie i on się zirytował, i to wyraźnie. – I choć jest mi bardzo, bardzo przykro, że cię w to wmieszałem, Ariel, ale co się stało, to się nie odstanie. Tylko ty możesz odnaleźć tę przesyłkę. Co więcej, musisz to zrobić. Jeśli ci się nie uda, nie tylko nasze życie będzie zagrożone, zapewniam cię.

Co robić? Najlepiej, pomyślałam, zapomnieć o wszystkim. Zagrzebać się w łóżku i ssać kciuk. Ale czasami twarda rzeczywistość nakazuje wziąć się w garść.

– Okay, zaczniemy od początku. Jak ta przesyłka wyglądała?

Sam chyba zbierał myśli.

– No – zaczął ostrożnie – miała wielkość mniej więcej podwójnej ryzy papieru.

– Och, to wspaniale! W mojej skrzynce niczego takiego nie było. – Byłam pewna, ponieważ gdy wsuwałam się w zaspę, cała poczta mieściła mi się w jednej ręce. – Pozostaje jedno wytłumaczenie. To, co mi wysłałeś, jeszcze do mnie nie dotarło.

– Wątpliwa pociecha – zauważył ponuro Sam. – Może dotrzeć dzisiaj, a ciebie nie ma w domu. Za to są oni. A przynajmniej mają oko na dom.

Marzyło mi się dowiedzieć, kim są ci „oni”, ale postanowiłam zachować właściwą kolejność rzeczy.

– Mogłabym zastopować pocztę teraz, dzisiaj... – zaczęłam, ale Sam mi przerwał:

– Zbyt podejrzane. Domyśliliby się, jak to wysłałem. Według mnie nie dobiorą się do ciebie, dopóki nie będą pewni, czy otrzyli małaś tę przesyłkę. Zresztą niewykluczone, że już sami ją mają albo wiedzą, jaką drogą idzie do ciebie. Tak czy inaczej, w tej chwili nie masz się czego obawiać. Radzę ci, jedź normalnie do domu jak zwykle i normalnie zajrzyj do skrzynki. Jutro spróbuję się odezwać. Ale na wszelki wypadek umówmy się, że zadzwonię do ciebie tutaj, o tej samej porze.

– Przyjęłam do wiadomości. Ale na wszelki wypadek daję ci swój e-mail: Abehn@Nukbaza. Możesz przysłać szyfr, tylko z w miarę rozsądnym kluczem. Sam? Jeszcze jedno. Podczas tego weekendu przylatuje stryj Laf. Spotykamy się w Sun Valley Lodge. Powiedział, że opowie mi historię... mojego dziedzictwa.

– Historia opowiedziana przez Lafa. No, to brzmi interesująco – zauważył Sam. – Mój ojciec zawsze się wykrzywiał na rodzinne historie, tak samo jak twój. Poza tym w Sun Valley może uda nam się zgubić naszych aniołów stróżów i może spotkamy się na górze. Oboje znamy ją jak własną kieszeń.

– Wspaniały pomysł. Obawiam się, że przyjadę z moim gospodarzem i z moim kotem. Ale tak czy owak coś wymyślimy. Jeśli jeszcze będziemy żyć. Boże, Sam, nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że jesteś... uhm... gdzieś w pobliżu. – Gdyby nie widok ponownie dryfującej w stronę mojego stolika kelnerki, pewnie nie potrafiłabym przeciąć tej łączącej mnie z Samem pępowiny słów. Ale musiałam.

– Nawzajem, bystrzaku – zapewnił mnie Sam. – Mam nadzieję, że będziemy blisko siebie bardzo, bardzo długo. Kochanie, proszę raz jeszcze: przebac mi. Musiałem tak postąpić.

– Czas to pokaże – rzuciłam na pożegnanie.

Wprost się modliłam, żebyśmy go mieli dużo, bardzo dużo. A przynajmniej żebyśmy zdążyli

dostać w swoje ręce zabójczo niebezpieczne archiwa Pandory.

Olivier, żeby odpracować przyszły weekend, został po godzinach, więc sama wstąpiłam do sklepu spożywczego, po stek i jakieś dodatki na moją kolację i Jazona. Nim wróciłam do domu, zrobiło się ciemno, ale między pędzącymi po niebie chmurami świecił księżyc, a wiatr wywiał wystarczająco dużo śniegu, dzięki czemu udało mi się wjechać na skraj podjazdu. Wsiadłam i na oblodzoną resztę sypnęłam solą i żwirem. Następnie wjechałam samochodem głębiej i wypuściłam Jasona w pocętkowaną ciemność, aby zbadał śnieg.

Po odstawieniu zakupów ruszyłam niedbałym krokiem do skrzynki na listy. W uszach brzmiał mi głos Sama, nakazującego zachowywać się normalnie, ale serce waliło mi jak młotem. Obojętnie obserwowałam Jazona skaczącego po chrzęszczącym śniegu, wciąż zalegającym spadzisty trawnik. Modliłam się, żeby „to” było w skrzynce – bez względu na późniejsze, choćby Bóg wie jak potworne konsekwencje – żeby było, żeby po prostu położyć kres strachowi, który mnie oblepiał, jak tylko o „tym” pomyślałam.

Kiedy wyciągałam pocztę ze skrzynki, ścigające się chmury nagle przesłoniły księżyc, pograżając drogę w ciemnościach. Ale wiedziałam na wycucie, że nie ma tam żadnej dużej paczki. Serce mi zamarło. Miałam przed sobą kolejny dzień niepewności i zagadek, a po nim, być może, jeszcze jeden i jeszcze jeden, kolejne dni, podczas których życie moje i życie Sama będzie zagrożone, dopóki tamta przesyłka nie dostanie się w nasze ręce. Z tą różnicą, że teraz, kiedy wiedziałam to, co wiedziałam, mogło być tysiąc razy gorzej.

I nagle mój mózg eksplodował światłem: nagle mnie olśniło i zrozumiałam, co jest nie tak.

Nikt nie zabrał tej tajemniczej przesyłki nadanej przez Sama. Nigdy jej nie było w mojej skrzynce na listy i nigdy być

nie mogło! Moja skrzynka była mniejsza nawet od jednej ryzy papieru! A ponieważ bariera śniegu, czego sama doświadczyłam ostatniej nocy, nikomu nie pozwoliła podejść do moich drzwi i tam zostawić paczki, to znaczyło, że mój listonosz w ogóle jej nie dostarczył. W podobnych przypadkach zostawiał mi awizo, mały żółty papierek zawiadamiający o nadejściu przesyłki. Wtedy szłam na pocztę w godzinach urzędowania i odbierałam ją sama.

Kimkolwiek byli „profesjonaliści” Sama, wiedziałam, że nawet kryminalista czy szpieg nie byłby na tyle głupi, aby wystawać na odsłoniętej drodze, w spokojnej okolicy takiej jak ta, gdzie każdy zna swojego sąsiada, w oczekiwaniu na okazję przetrząśnięcia mojej skrzynki na listy dla jakiegoś żółtego skrawka papieru. Zwłaszcza że nie przyszłoby mu na myśl, iż taką „cenną” rzecz ktoś mógłby wysłać jako przesyłkę nie poleconą.

Załóżmy, że ktoś znalazł to awizo. Czy poszedłby z nim na pocztę? Czy podjąłby takie ryzyko w takim jak nasze miasteczku, gdzie obcego przybysza upominającego się o cudzą paczkę nie tylko się zauważa, ale od razu przesłuchuje i legitymuje? My, mieszkańcy Idaho, z natury jesteśmy podejrzliwi co do obcych. Jeśli paczka rzeczywiście nadeszła, żółty druczek tkwiłby w wilgotnej stercie poczty w moim salonie, i tam by go znaleźiono, gdyby przeszukiwano mój dom tego popołudnia. Jeśli teraz tam nie tkwi, pójdę rano na pocztę, zaraz po otwarciu, i odbiorę przesyłkę własnoręcznie, z żółtym

drużkiem czy bez.

Zawróciłam do domu, z dzisiejszą porcją listów w dłoni, z zamiarem przesortowania leżącej na podłodze wilgotnej, całotygodniowej korespondencji. Ale w połowie podjazdu między chmurami zrobiła się kolejna dziura i na trawnikowe zaspy spłynęło mlecznobiałe księżycowe światło. Na jednej z nich, na grzędzie ubitej śniegowej piany, siedział Jazon i trącał łapą jakiś liść. Ledwo zdążyłam krzyknąć, by wracał do domu, na kolację, kiedy nagle stanęłam jak wryta: to nie był liść, to... róg żółtego skrawka papieru, na pół zagrzebanego w śniegu, prawdopodobnie zwianego zeszłej nocy z drogi, ze sterty rzuconych pod samochód listów.

Był tam, naprawdę był, tyle że beznadziejnie nieosiągalny.

Śnieżna grzęda była dość twarda, by udźwignąć małego kota, ale zdecydowanie niewystarczająco jak na sto dziesięć funtów dużego, krzepkiego babska. Gdybym spróbowała dostać się do Jazona, mogłabym ją zarwać i powtórzyć doświadczenie ubiegłej nocy. Nie mogłabym wskoczyć w biegówki, jak ubiegłej nocy. Jeśli ktoś mnie ewentualnie obserwuje, takie wyczyny byłyby bardziej podejrzane od dzwonienia z budki telefonicznej. Nie, Sam by czegoś takiego nie pochwalił.

Pozostawało mi jedno: mieć nadzieję, że obsesja i talent Jazona do odnajdywania jego ukochanej czerwonej gumowej piłeczki zadziałają i tutaj.

– Jazon, aport – wyszeptałam, kucając na podjeździe i wyciągając rękę.

Jazon popatrzył na mnie i zamachał ogonem. Tymczasem chmury zwarły się na powrót, pograżając nas oboje w ciemnościach. Jeszcze odróżniałam czarną sylwetkę Jazona na sztywnym białym śniegu, ale w takim świetle, czy raczej bez światła, nie mogłam wypatrzeć żółtego papierka. Błagałam Boga, by dla zabawy nie zdecydował się zagrzebać go na dobre, bym jutro nie musiała przekopywać całego ogrodu. Coś takiego trudno byłoby zrobić „normalnie”, jak zalecił mi Sam; to byłoby gorsze od pomysłu z biegówkami.

– Jazon, kotku, chodź do swojej pani – wyszeptałam trochę głośniejszym głosem, zastanawiając się jednocześnie, czy moi niewidzialni podglądacze kryją się w drzewach tuż za drogą.

Wstałam. Postanowiłam działać jak zwyczajna kobieta, która wyszła na próg zawołać zwyczajnego kota na kolację. Ale ja szłam podjazdem i wciąż nie przestawałam wołać; nie chciałam przesadzać ze zwyczajną zwyczajnością. Poza tym sam Jazon mógłby nabrać niezdrowych podejrzeń, gdybym działała zbyt normalnie. Jazon był przyzwyczajony do życia w raczej ekscentrycznym otoczeniu. Niemniej chyba się dogadaliśmy, bo nim doszłam do drzwi, poczułam, że normalnie ociera mi się o buty i że chce, żebym go jak zwykle normalnie wzięła na ręce. Jeszcze raz kucnęłam w atramentowoczarnych ciemnościach, ściągnęłam rękawice i gołymi rękami chwyciłam kocie pyszczydło. W ten sposób wyczułam to, czego nie mogłam zobaczyć: Jazon trzymał w zębach kawałek papieru.

Podziękowałam Bogu, a myśli o ewentualnych skutkach tego

odkrycia odłożyłam na potem. Moje serce dudniło głucho, kiedy ostrożnie, trzęsącymi się palcami, odbierałam kotu cenny paperek.

– Dobry kotek! – szepnęłam.

Jazon zamruczał w odpowiedzi, a ja pogłaskałam jego lśniąca mordkę.

W tej samej chwili podjazd zalał potok oślepiającego światła; zatonełam w tym świetle, zastygłam nieruchomo jak zajęc na miedzy, podczas gdy w uszy wwiercał mi się ryk potężnego silnika. Wpadłam w panikę. Nie wiedziałam, gdzie szukać ratunku. Jazon zanurkował za mnie, najwyraźniej szukając obrony przed nieznaną żarłoczną bestią. Jakoś jednak w ułamku sekundy, oprzytomniałam i żółty papierek wetknęłam w rękaw mojego kożucha.

Jasny strumień światła i ryczący silnik sunął wprost na mnie, penetrując podjazd i odcinając mi jakikolwiek odwrót. Stałam tam, porażona hałasem, oślepiąca, usiłując wymacać dłońmi maskę mojego samochodu i schować się za nim, jak Jazon za mną. Wtem całkiem nieoczekiwanie zgasły światła i ucichł silnik, a ja i mój kot na powrót zatoneliśmy w ciemnościach. Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły z trzaskiem, po czym usłyszałam dobrze mi znany *quebecois* akcent.

– Koniku polny, wciąż nie dość ci harców na śniegu?

– Co to za bestia? – odkrzyknęłam w czarną próżnię. – Już same reflektory mają chyba z dziesięć stóp wysokości! Przestraszyłeś mnie tak, że o mało nie postradałam zmysłów.

– Raczej o mało nie straciłaś rozumu. – Olivier zaśmiał się, idąc w moją stronę. – Nim wyszedłem z roboty, zamarzył mi olej w silniku, jak w czasie najcieplejszej zimy. No więc Larry, nasz programista, pożyczył mi do jutra swoją ciężarówkę. Podrzuciłem go do domu i oto jestem.

W tym, że na pustej o tej porze drodze nie zobaczyłam ani nie usłyszałam nadjeżdżającej ciężarówki Oliviera, może było coś dziwnego, niemniej ja się tak ucieszyłam, że to tylko on, a nie banda wynajętych morderców czy wszędobylskich szpiegów, że kiedy się ze mną zrównał, rzuciłam mu się w ramiona, a następnie całą trójką wparadowaliśmy do środka.

– Niestety, stek mam tylko jeden – powiedziałam Olivierowi na podeście schodów, gdzie nasze drogi się rozchodziły. – Zdawało mi się, że masz zamiar załapać się na coś gorącego w bufecie.

– W porządku – zbył mnie machnięciem ręki. – Po dzisiejszym śniadaniu wciąż jeszcze jestem przejezdny. Wybieram się prosto do łóżka, o ile tobie i małemu argonaucie nie sprawi to różnicy. Może zdrowy sen zdziała cuda.

Na dole odezwał się telefon. Olivier uniósł brew. Dotychczas nieczęsto do mnie dzwoniło.

– Mam nadzieję, że mój telefon nie popada w złe nałogi stwierdziłam. – A poza tym może pora doszłusować do dwudziestego wieku i sprawić sobie jedną z tych koszmarnych automatycznych sekretarek.

Olivier poczłapał w górę, a ja pobiegłam na dół. Dorwałam słuchawkę za szóstym dzwonkiem.

– Ariel Behn? – rzuciła jakaś kobieta ostrym głosem, z afektowanym akcentem środkowowschodniego wybrzeża. – Mówi Helena Voorheer-LeBlanc, z „Washington Post”.

O rany, ale nazwisko. Tyle że ja nigdy nie lubiłam dziennikarek: zdecydowanie zbyt agresywne.

– Pani Behn – nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej niech mi pani wybaczy, że niepokoję panią w czasie żałoby, ale dzwoniłam parę razy do pracy, za każdym razem bezskutecznie, a ten prywatny numer, razem z zapewnieniem, że nie będzie pani miała nic przeciwko paru minutom rozmowy, dostałam od pani rodziny. Czy dzwonię o dobrej porze?

– Równie dobrej jak każda inna – zgodziłam się z westchnieniem.

Zaczynała mnie boleć głowa; moje skołatane tego popołudnia serce najwyraźniej pompowało do niej za dużo krwi. Mój stek robił się ciepły, mój dom robił się zimny, a w rękawie mojego kozucha tkwił żółty druczek, gorętszy od nobla, którego okres połowicznego rozpadu jak nic okaże się znacznie dłuższy od mojego, jeśli nie podejmę jakichś działań, i to prędko. Wywiad dla „Washington Post”? Ależ owszem. Ależ z wielką przyjemnością.

– Co chciałyby pani wiedzieć, panno... uhm, LeBlanc – spytałam grzecznie, wyciągając z rękawa żółtą kartkę odzyskaną przez Jazona. Hej, to jest to: kod pocztowy – San Francisco. I dopisek: „Paczka nie mieści się w skrzynce”.

Ufl

Usiadłam na skórzanej kanapie i ściągnęłam kozuch. Następnie wetknęłam kartkę do tylnej kieszeni spodni i zaczęłam rozpalać ogień w kominku, gdzie zwykle przygotowywałam sobie kolację. Jazon wskoczył na gzyms, wyraźnie chcąc polizać mnie po twarzy, więc na wszelki wypadek dałam mu po uszach. A właściwie, pomyślałam ni stąd, ni zowąd, czyje to ciało leży teraz w tamtej trumnie, głęboko pod ziemią, rozerwane na kawałki? A może w ogóle nie ciało ani kawałki ciała, tylko kawałki ołowiu albo kamienie?

– Pani świętej pamięci kuzyn był, jak przypuszczam, bardzo dzielnym człowiekiem – gładko przeszła do tematu V-Le-Blanc.

– Proszę posłuchać, szanowna pani, doprawdy nie jestem w odpowiednim nastroju do pogawędek o moim świętej pamięci kuzynie – odparowałam, rzucając bierwiona na zimny popiół. – I skąd to nagłe zainteresowanie mną i moją rodziną? Bo obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

– Pani Behn... Ariel... mogę pozostać przy imieniu? A zatem, Ariel, chyba zdaje sobie pani sprawę, że przez trzy pokolenia rodzina Behnów dawała światu indywidualności słynne ze swych talentów i... – „wszelkiej zachłanności”, dodałabym chętnie, lecz V-LeBlanc znalazła bardziej dyplomatyczne określenie – ...socioekonomicznych i kulturalnych wpływów. A mimo to do tej pory nikt nie podjął dogłębnych studiów nad wkładem tej rodziny...

– Jak rozumiem, chce się ich podjąć „Washington Post” wtrąciłam. Wolne żarty. – „Studia nad rodziną Behn”, czyli cotygodniowy odcinek w niedzielnym dodatku, tak?

V-LeBlanc zaśmiała się perliście, ale przypomniawszy sobie mój „czas żałoby”, spoważniała.

– Nie, oczywiście, że nie. Pani Behn, czy mogę przejść do zasadniczego tematu?

Chryste, niechże przechodzi, byle prędzej. Wiedziałam, do czego zmierza, mimo to zgodziłam się.

– Chodzi naturalnie o manuskrypty. Gazeta pragnęłaby jedynie wyłączności na publikację. Jesteśmy, oczywiście, przygotowani na zapłacenie sporej sumy. Nie chcemy się wdawać w żadne przetargi.

Żadne przetargi?

– A właściwie to o jakich manuskryptach pani mówi? – spytałam naiwnie. Niech się trochę wysili. Dotykając czubkami palców zapalnego żółtego kwitka, tkwiącego w kieszeni spodni, najpierw mocno zacisnęłam powieki, a potem podpaliłam smoliste szczapy, myśląc przez cały czas, jak proste mogłoby być życie, gdybym przez przypadek rzuciła go w płomień. Ale następne słowa emisariuszki „Posta” szybko przywróciły mnie do rzeczywistości.

– Oczywiście o listach i dziennikach Zoe Behn. Sądziłam, że rodzina rozmawiała z panią...

– Zoe Behn?! – Prawie się zakrztusiłam. To było gorsze niż najczarniejsze wyobrażenia. – Co Zoe ma wspólnego z tym wszystkim?

– Chyba niemożliwe, żeby pani nie wiedziała, co tak naprawdę dziedziczy, pani Behn. – Poprzedni impertynencki głos niemal zaksamitniał od zdumienia.

– Dlaczego nie miałyby mnie pani uświadomić? – zasugerowałam.

A więc jednak ta V-LeBlanc dopięła swego: przyciągnęła moją uwagę. Wiedziałam, że o koszmarnej ciotce Zoe, odstręczającej siostrze przyrodniej mojego ojca i prawdziwie czarnej owcy rodziny, zapisano sporo ryz papieru. A nawet – że większość z tego Zoe napisała sama. Ale o jakichś listach czy dziennikach słyszałam po raz pierwszy. Choć – czy było jeszcze coś gorszego do powiedzenia niż to, co Zoe już powiedziała światowej prasie?

– Byłam na konferencji prasowej w San Francisco, pani Behn. – V-LeBlanc wzięła głęboki oddech. – Powiedziano nam, że jako jedyna spadkobierczyni świętej pamięci kuzyna, Samuela Behna, ma pani prawo także do mienia, które on odziedziczył, łącznie z dziedzictwem pani babki, słynnej śpiewaczki operowej Pandory Behn, i pani stryja, potentata kopalnianego Earnesta Behna. Zapytani przez dziennikarzy, pani ojciec i pan Abrahams, wykonawca testamentu, obaj odpowiedzieli, że sądzą, iż do tego mienia może się zaliczać nie tylko korespondencja Pandory Behn z wielkimi tego świata i jej prywatne zapiski, ale także listy i dzienniki jej pasierbicy Zoe, znanej... – kokoty? Słowo zawisło mi na ustach, ale V-LeBlanc dokończyła: ...tancerki.

Jak już wspomniałam, moje stosunki rodzinne są raczej złożone.

– Sądząc po pani wiadomościach, Heleno – zauważyłam na konferencji, która mnie niestety ominęła, mówiono o wielu ciekawych rzeczach. Czy przypadkiem któraś z obecnych tam osób nie miała jakiejś wskazówki co do miejsca, gdzie właściwie są te ważne manuskrypty? – Gotowa byłam przysiąc, że przy otwarciu testamentu na pewno o nich nie wspomniano.

– Właśnie, pani Behn, właśnie – przytaknęła radośnie V-Le-Blanc. – Dlatego dzwonię bez chwili zwłoki, gdyż w tej sprawie liczy się czas. Według pana Abrahamsa, a zgodnie z wolą pani kuzyna, na

wypadek jego śmierci wszystko, co posiadał, powinien przejść w pani ręce nie później niż tydzień po otwarciu testamentu.

Do świętego gówna! Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie – byłam całkowicie namierzona – a wszystko przez mojego prawdziwego brata krwi, Sama.

Bogiem a prawdą rozeznanie się w moich powiązaniach rodzinnych nie było dla obcych absolutnie niemożliwe. Było jedynie cholernie nieprzyjemnym doświadczeniem.

Mój dziadek Hieronimus Behn, Holender, który wyemigrował do Afryki Południowej, był dwukrotnie żonaty. Najpierw z Hermione, wdową po bogatym Afrykanerze i matką Lafcadio, mojego stryja, którego dziadek Hieronimus adoptował i dał mu swoje nazwisko. Owocem małżeństwa Hieronimusa i Hermione była dwójka dzieci: mój stryj Earnest, urodzony w Afryce Południowej, i ciotka Zoe, urodzona w Wiedniu, dokąd się rodzina przeprowadziła na początku XX wieku. Lafcadio, Earnest i Zoe mieli zatem jedną matkę i byli przyrodnim rodzeństwem.

Kiedy babka zachorowała, mój dziadek – jak głosi wieść rodzinna na życzenie samej Hermione – do dwójki młodszych dzieci w charakterze niani czy innej *au pair** i zarazem w charakterze nauczycielki muzyki zatrudnił atrakcyjną młodą studentkę z wiedeńskiego konserwatorium. Po śmierci Hermione ta młoda dama, Pandora, w rychłej kolejności stała się drugą żoną dziadka; matką mojego ojca Augustusa; i, po opuszczeniu ich

* Z franc. *travailler au pair* – pracować za mieszkanie i utrzymanie.

obydwu i ucieczce z moim stryjem Lafem, najśłynniejszą śpiewaczką operową w postsecesyjnym Wiedniu.

Ale sprawy gmatwały się dalej. A to za przyczyną rodzinnej czarnej owcy, mojej ciotki Zoe. Zoe, którą – co wielce prawdopodobne – praktycznie wychowała Pandora i która ledwo знаła swoją schorowaną matkę i niewiele lepiej wiecznie zajętego ojca, wybrała ucieczkę z Lafem i Pandorą, tak oto kreując – za jednym zamachem – to, co później zostało nazwane „rodzienną schizmą”. Późniejsze życie Zoe jako Królowej Nocy, najpopularniejszej kurtyzany i markietanki od czasu Loli Montez*, rzeczywiście godne było opisu.

No i teraz umierałam – jak to się mówi – z ciekawości, co stryj Laf, czołowy aktor w rodzinnym dramacie, wie na temat manuskryptów, które odziedziczyłam; do kogo właściwie należą, do Pandory czy do Zoe; i jaką rolę odgrywają w ogólnym rodzinnym wizerunku. Miałam nadzieję, że dowiem się tego wszystkiego w najbliższy weekend. Jeśli go dożyję.

Było jasne, że Sam także wie znacznie więcej, niż mógł mi powiedzieć przez telefon. Ale dlaczego stare, liczące kilkadziesiąt lat listy i dzienniki wciąż miałyby parzyć ręce albo dlaczego mój ojciec powiedział, że wszystkie są zaszyfrowane (o czym nikt inny nawet się nie zająknął), albo dlaczego Sam sfabrykował własny pogrzeb, przy czynnym współudziale administracji waszyngtońskiej, i zrobił ze mnie kozła ofiarnego jakiejś idiotycznej konferencji prasowej – to miało się dopiero okazać. Ta ostatnia pozycja wciąż działała na mnie jak płachta na byka, a przynajmniej wprawiała w bezsilną wściekłość. Ale tymczasem, zważywszy, że do jutrzejszego popołudnia nie

miałam żadnych szans na choćby telefoniczny kontakt z Samem, pozostawało mi wymyślić coś, co uchroniłoby mnie od zguby i zachowało przy życiu.

Moim pierwszym krokiem było przerwanie rozmowy z tą V-LeBlanc, gwiazdą żurnalistyki śledczej „Posta” (która powiedziała mi znacznie więcej niż ja jej). Zbyłam ją nic nie znaczącą obietnicą, że wszystkiego dowie się tylko ona, jak tylko ja dostanę manuskrypty.

Moim drugim krokiem, rozstrzygającym dla wydarzeń naj* Irlandzka aktorka i awanturnica, m.in. z powodu romansu z nią musiał abdykować król bawarski Ludwik I.

i iiiTiiiiMm–naimmrn

bliższych dni, było podjęcie następującej decyzji: czy pozwolić, by przesyłka Sama przeleżała trochę dłużej na poczcie, udając, że nic nie wiem o tym małym żółtym kwitku wygrzebanym przez Jazona, czy odebrać i wymyślić, co mam z nią począć i w jaki sposób oddać Samowi. Sam zasłużył sobie, bym podrzuciła mu z powrotem to kukulcze jajo. To, co w niej było – na razie nie chciałam nawet wiedzieć co – niechby sobie dalej pozostawało zagrzebane. A ja głupia uwierzyłam, że jak się sama zagrzebię, jak jakiś kartofel, w tej mojej piwniczce w Idaho, to uda mi się uciec od mojej potwornej rodzinki.

Tamtej nocy, nim poszłam spać, zdjęłam ze ściany mój utkany z piór „łapacz snów”. Zawsze wisiał tuż nad łóżkiem, odpędzając złe sny. Schowałam go do szuflady. Pomyślałam, że jeśli tuż przed zaśnięciem zaszczipię w mojej psychice wystarczająco silną ideę, być może uda mi się pochwycić sen. A ten sen być może włoży mi do ręki nić Ariadny, abym mogła wyplątać się z labiryntu koszmarów, w który ostatnio zamieniało się moje życie.

Obudziłam się przed świtem mokra od potu.

Śniło mi się, że biegłam – nie jak człowiek, wyprostowana, lecz na czworakach – biegłam tak szybko jak mogłam, przez las trzciny tak gęsty, jak gęsta może być ciemność w najciemniejszą noc. Biegłam i czułam za sobą gorący oddech wielkiego ciemnego zwierza, kłapiącego olbrzymimi szczękami i wściekle zgrzytającego zębami. Nagle za trzciniami pokazała się otwarta przestrzeń łąki, a za łąką mur. Czy uda mi się przebiec ją wystarczająco szybko? Czy uda mi się podskoczyć wysoko, na wysokość muru, i uciec od ścigającej mnie bestii? Chociaż moje płuca odmawiały posłuszeństwa, zmusiłam się do nadludzkiego wysiłku: przebiegłam łąkę i wskoczyłam na mur.

W tym momencie się obudziłam i usiadłam sztywno jakbym połknęła kij. Jazon, który w sobie tylko wiadomy sposób wklinował się przede mną i ciepłą poduszkę, leżał na boku, z zaciśniętymi oczami. Ale jego łapy przebierały w miejscu tam i z powrotem, jakby uciekał przed czymś strasznym. Zaczęłam się śmiać.

– Obudź się, Jazon – powiedziałam, potrząsając nim tak długo, aż otworzył oczy.

»

Czy dostałaś aż takiego zawrotu głowy, pomyślałam, by dostrajać się do snów własnego kota?

Ale obudziłam się przynajmniej z jakimś postanowieniem. Zabiorę tę cholerną przesyłkę z poczty.

Nie mam wyboru. Nigdy bym sobie nie darowała, jeśli by przez zwykłą zwłokę ta cholerna rzecz miała zniknąć. Gdzie ją ukryć, to inna sprawa. Moje biuro nie było bezpieczne: zbyt wiele ludzi kręci się tam i z powrotem, od rana do wieczora. A poza tym, jeżeli nie zmieściło się to do mojej skrzynki, czy zmieści się w jakiejś szufladzie lub w teczce, na ten przykład?

Kiedy wyszłam z domu i zobaczyłam, że wielka pożyczona ciężarówka Oliviera nie blokuje mi podjazdu, że nie będę zmuszona objeżdżać jej bokiem, od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Wiwat wcześniej wstający programiści!

Przystanąłam przed pocztą jakieś dziesięć minut po jej otwarciu. Parking był jeszcze pusty. Wsiadłam i kiwnięciem głowy pozdrowiłam pracownika poczty, posypującego schody solą kamienną. Kołatanie serca i łomot w głowie rozbrzmiewały jak sekcja kotłów wybijająca latynoamerykańskie rytmy. Dlaczego aż tak się denerwuję? Przecież ani George, ani żaden inny urzędnik nie mógł mieć najmniejszego pojęcia o zawartości tego, po co przychodzę.

Podeszłam do lady i podałam George'owi mój żółty kwitek. George poszedł na zaplecze i wyniósł stamtąd wielką paczkę większą niż ryza papieru, zawiniętą w brązowy papier i podwójnie obwiązaną sznurkiem.

– Przepraszam za fatygę, panienko Behn – powiedział, wręczając mi ją i szczerząc w uśmiechu szeroko rozstawione zęby. Podrapał się po głowie. – Wydałbym paczkę gościowi, co to go przed chwileczką panienka przysłała, ale powiedział, że panienka zgubiła awizo. Ja mu na to, że panienka musi przyjść sama albo niech przyniesie panienki podpis, że wszystko jest okay. Ale widzę, że po kłopotcie, że panienka znalazła awizo.

Stałam z paczką w rękach jak głuchoniema, jakby przestały dochodzić do mnie jakiegokolwiek dźwięki, jakbym była wewnątrz szklanego słoja. George przyglądał mi się. Chyba był gotów dać mi szklankę wody albo mnie powachlować.

– Rozumiem – wydusiłam z siebie. Odchrząknęłam. – W porządku, George. Tak czy inaczej, było mi po drodze. Żadna fatyga. – Ruszyłam normalnym krokiem w stronę drzwi, usiłując wymyślić właściwe pytanie, aby dostać właściwą odpowiedź. Wpadłam na nie tuż przy drzwiach. – Przy okazji – odwróciłam się do George'a – wspominałam paru kolegom, by mi to odebrali, jak będą tędy przejeżdżać. No więc, komu mam podziękować? Spodziewałam się, że usłyszę: „A bo ja wiem... Gość był nietutejszy”, albo coś w tym stylu. Niestety, usłyszałam coś, czego bym się w życiu nie spodziewała.

– No przecież pan Maxfield, gospodarz panienki. Wstyd było odmówić, ale przepis to przepis.

Olivier! Żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. Przed oczami przesunął mi się obraz tamtych wielkich ślepiów ciężarówki z wczorajszego wieczoru – i podjazdu, na którym dzisiaj rano prócz śladów szerokich opon nie było niczego innego. Uśmiechnęłam się głupawo i podziękowałam George'owi. Wyszłam na dwór, wsiadłam do samochodu i położyłam sobie i paczkę na kolanach.

– To wszystko przez ciebie – powiedziałam do niej.

Wiedziałam, że nie powinnam, ale musiałam to zrobić.

Sięgnęłam do przegródki na rękawiczki, wyciągnęłam nóż z rękojeścią z rogu jelenia, przecięłam podwójny sznurek i rozdarłam papier. Byłam zdecydowana poznać gatunek cykuty, nim przyjdzie mi ją wypić. Spojrzałam na pierwszą stronę i zaczęłam się śmiać.

To coś było pisane językiem, którego nie umiałam przeczytać, literami, które nawet nie przypominały żadnego alfabetu, choć zdawały się dziwnie znajome. Przeleciałam wzrokiem resztę jak talię kart: około dwóch ryz papieru zapisanego czarnym atramentem tą samą ręką. Wszystkie strony wypełniały rysowane cienką kreską, schematyczne postaci, z wystającymi tu i tam małymi kółkami i guzkami, jak rzędy tancerzy, jak symbole malowane na indiańskim wigwamie. Co one mi przypominały?

Ależ oczywiście! Widziałam je kiedyś na cmentarzu w Irlandii, kiedy Jersey zabrała mnie w odwiedzinę do swoich przodków. To były runy: język dawnych Teutonów, którzy żyli kiedyś w całej północnej Europie. Ten piekielny manuskrypt był napisany od pierwszej po ostatnią stronę w języku martwym od tysięcy lat.

W tej samej chwili, gdy zajaśniała jutrzeńka tamtej wiedzy, kącik mojego oka zarejestrował jakiś przemieszczający się przez parking cień. Spojrzałam znad kartek i zobaczyłam Oliviera idącego po posypanym żwirem i solą lodzie. Zbliżał się do mojego samochodu! Cisnęłam manuskrypty na siedzenie dla pasażera. Część kartek wysunęła się z opakowania i rozsypała po podłodze, co zupełnie zlekceważyłam. Usiłowałam wcisnąć kluczyk do stacyjki, ale ogarnięta histerią, dwa razy chybiłam celu, więc nim silnik wreszcie zaskoczył, Olivier był już o krok od drzwi pasażera. W panicznym pośpiechu zablokowałam je łokciem, tym samym blokując wszystkie drzwi, i wrzuciłam wsteczny bieg.

Olivier, krzycząc coś do mnie, schwycił za klamkę, ale ja go zignorowałam i przesunęłam drążek do przodu. Ruszyłam z miejsca, ciągnąc Oliviera za sobą parę kroków, aż w końcu musiał się poddać. Skręcając w ulicę, omiotłam spojrzeniem jego twarz. On patrzył przez szybę na manuskrypt!

Popadłam w jeszcze większą histerię. Wiedziałam, że Olivier rzeczywiście przyszedł po manuskrypt, i wiedziałam, że on wie, że ja go mam. Szansa na ukrycie paczki gdzieś w mieście, w tej sytuacji, była absolutnie zerowa. Wiedziałam, że jedyne, co mi pozostaje, to ukryć ją gdzieś poza miastem. Ale gdzie?

Olivier wiedział, że w najbliższy weekend spotykam się z moim stryjem w Sun Valley, więc Sun Valley odpadało; było j zbyt oczywiste. Musiałam wydostać się na drogę w jakimś j kierunku – i to prędko, nim on zacznie mnie ścigać swoim samochodem. Najgorsze, co mogłoby mi się przydarzyć, to dać się schwytać z manuskryptem w samochodzie.

Nie mając czasu na myślenie, choć i tak żadna myśl nie przyszlaby mi do głowy, wyjechałam na pełnym gazie na drogę do Swan Valley, z zamiarem przeskoczenia przełęczy Teton i dotarcia do Jackson Hole.

WAŻ

Waż; *Waż nigdy nie umiera.*

Któregoś dnia zobaczysz, jak zrzucam z siebie tę

piękną skórę.

Nowy wąż w nowej i ładniejszej skórze.

To narodziny.

Ewa; Już je kiedyś widziałam. Są cudowne.

Wąż; Jeśli to potrafię zrobić, czego nie potrafię?

Powiadam ci, jestem bardzo chytry.

Kiedy ty i Adam rozmawiacie, wiecznie słyszę to wasze

dlaczego?, dlaczego?

Ty widzisz coś i mówisz: Dlaczego? Ale ja śnię

o rzeczach niebywałych; i mówię: Dlaczego nie?

George Bernard Shaw, Z powrotem do Matuzalema

w tak kiepskich warunkach pogodowych na drodze, przez granicę Idaho do stanu Wyoming wlokłam się przez dobre dwie godziny. Ale też wreszcie miałam doskonałą okazję do przemyślenia wszystkiego, co się zdarzyło od mojego powrotu z San Francisco. Czyżbym naprawdę wróciła zaledwie wczorajszego ranka?

Miałam robotę, w której nie było mnie od ponad tygodnia. Miałam szefa, który nie był zadowolony, ponieważ wykręcałam się od wyjazdu do Rosji. Jeżeli na drugi dzień po powrocie urywam się na przepustkę bez zezwolenia, to być może już nie mam roboty. Miałam, zgodnie z umową, czekać przy telefonie w nieszczęsnej kowbojskiej speluncie Bez Nazwy. Teraz, przy tym niespodziewanym objeździe drogowym, nie mam zielonego pojęcia, jak kiedykolwiek skontaktuję się z Samem. I wreszcie f nieszczęście, które mnie ostatecznie dobiło, zanim dojechałam I do końca doliny: nie powinnam zostawić kota pod jednym dachem z nikczemnikiem – zwłaszcza z nikczemnikiem, któremu nie zapłaciłam komornego za ostatni miesiąc!

Przy końcu doliny droga wiła się korkociągiem, śpiesząc ku rzece, która pojawiała się spomiędzy gęstych chaszczki jak gdyby znikąd. Ja znałam każdy spadek terenu i każdy zakręt na pamięć. Brałam je, jeden po drugim, jakby to był bieg slalomowy. Rozpryskując spod kół kaskady wody, opuszczałam się w łańcuch dolin wyrzeźbionych przez rozpędzone wody Snake.

Snake jest jedną z najpiękniejszych rzek Ameryki Północnej. Niepodobna do majestatycznych, puszących się szlaków wodnych Środkowego Zachodu, Snake zachowuje się tak jak jej imiennik: mroczny, tajemniczy gad, który czuje się jak u siebie w domu jedynie w dziczy i niedostępnych rozpadlinach gór.

Wije się wąskim zygzakiem, tworząc tysięczmilowy meander od Yellowstone w Wyoming, przez

Idaho, Oregon aż po stan Washington, gdzie łączy się z potężną Columbią i razem z nią wędruje do Pacyfiku. Ale szklisty połysk, właściwy rzece prawie na całej jej długości, kryje perfidię węża, który uderza szybko i często śmiertelnie. Te wody są tak wartkie, prąd tak silny, zwodnicze wiry tak głębokie, że na brzegach zawsze można się natknąć na jakieś ciała. Faktycznie – Snake połyka nawet całe samochody i nigdy ich nie zwraca. Może tu należy szukać źródeł legendy o czającym się w rzecznych odmętach olbrzymim potworze, który pożera wszystko, co się mu uda wciągnąć do podwodnego matecznika.

Jak zwykle o tej porze roku, na dnie doliny ścieliła się gęsta bagnista mgła, powstała ze zderzenia lodowatego powietrza z nieco cieplejszą wodą rzeki. Tuż przed ostatnim spadkiem terenu, kiedy jeszcze widać drogę, krajowcy rozglądają się do i przodu i do tyłu za innymi samochodami, by uniknąć kolizji przy zjeżdżaniu w zupę. To właśnie wtedy go zobaczyłam, wyłaniającego się zza zakrętu za mną: zwyczajny szary samochód służbowy z typowymi białymi tablicami rejestracyjnymi, taki sam jak setka innych, którymi dysponowała baza samochodowa naszego ośrodka, i które dziesięć tysięcy pracowników mogło wypożyczać na inspekcję naszych obiektów albo w innych sprawach urzędowych. Co taki samochód miałby robić tutaj, na drodze donikąd? Używanie służbowych samochodów do prywatnych czy rekreacyjnych celów było surowo karane, nawet zawieszeniem w pracy.

Może to jest właśnie sprawa urzędowa, pomyślałam. Sam powiedział, że jestem na muszce przez cały czas. Powiedział czy nie? Jeśli nawet Olivier macza w tym palce, to Bóg jeden wie, kogo jeszcze można by podejrzewać. Choć nie mogłam zobaczyć twarzy kierowcy przez pleksiglasową osłonę nad przednią szybą, kiedy samochód pojawił się znowu, na ostatnim zakręcie, byłam pewna, że jedzie za mną. Że siedzi na ogonie właśnie mnie. Tu byłam tylko ja.

Tyle że ja znałam każde nachylenie i każdy garb na drodze i wiedziałam, że najlepszym miejscem, aby go zgubić, będzie zupa. Tak więc gdy tylko znalazłam się na ostatnim spadku terenu, dodałam gazu i zanurkowałam. Ten za mną też dodał

gazu i też zanurkował. Potem płaszcz gęstej białej mgły otulił nas szczelnie i jednocześnie rozdzielił. Od tej chwili mój samochód, niby wąż, pełzł samotnie, od zakrętu do zakrętu. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszałam, była cisza.

Przedzieranie się przez serpentyny zakrętów, przez tamtą aksamitną biel jak przez puchową poduszkę zdawało się trwać godziny, ale według zegarka na tablicy rozdzielczej minęło nie więcej niż dwadzieścia minut. Wiedziałam, że niedługo wyjadę z mgły i zacznę wspinać się na przełęcz. Wiedziałam, że tam na górze droga się rozdziela i że do Jackson można dojechać kilkoma drogami. Tak więc przy pierwszym znaku mijanki, jaki się pojawił, prawie niewidocznym w wirujących oparach, przyhamowałam i zjechałam na bok. Wyłączyłam silnik i opuściłam szybę, żeby coś słyszeć.

Niecałą minutę później obok przepłynął służbowy samochód. Usłyszałam warkot i zobaczyłam przez mgłę ciemnosrebrne kontury, ale to było wszystko. Odczekałam pełne pięć minut i ruszyłam w swoją stronę.

Droga za przełęczą okazała się wolna, więc mogłam spokojnie odetchnąć i zająć się własnymi myślami. Czym właściwie był ów manuskrypt, który wpadł mi w ręce? Czym był, dlaczego każdy o

niego zabiegał i jak to się stało, że został napisany alfabetem runicznym. Z pewnością nie była to korespondencja ani babki Pandory, ani mojej niegodziwej ciotki Zoe. Ani też spisane sławetne legendy, którymi obie otoczone przez całe życie, swobodnie frymarczyły. I chociaż języki celtyckie mogą liczyć tysiące lat, dokument leżący obok mnie, na siedzeniu pasażera, nawet nie zaczynał żółknąć. Powiedziałyby: zdawał się pachnieć świeżym atramentem. Znajac Sama, mogłam przypuszczać, że to jego robota. Że starał się przełożyć na pismo runiczne najistotniejsze i najniebezpieczniejsze fragmenty oryginalnych dokumentów – i może także dać wskazówkę, gdzie znajdują się te prawdziwe, w razie gdyby jemu coś się przydarzyło.

To nie dlatego Sam „musiał się pozbyć” manuskryptu. Jeśli jego śmierć była upozorowana, jeśli każdy na tej planecie wiedział, że to ja miałam dziedziczyć jego majątek, jeśli dziennikarze wiedzieli wystarczająco dużo, by domagać się zwołania konferencji prasowej i prosić o prawa wyłączności, i jeśli nawet

mój gospodarz dał się wrobić w szpiegowanie własnej lokatorki, tę całą sytuację stworzono po to, by ktoś wyszedł z cienia: ktoś, kto z jakichkolwiek powodów chciał zdobyć prawdziwy manuskrypt. Ja byłam tylko przynętą.

Teraz rozumiałam wyraźnie, co powinnam zrobić: ukryć swój „skarb” w tak niedostępnym miejscu, by poza mną nikt łącznie z Samem – nie mógł go znaleźć. Znałam takie miejsce.

Na szczęście zabrałam ze sobą narty.

W Jackson Hole zaparkowałam na wprost Grand Tetons „wielkich cycek”, jak francuscy traperzy szarmancko ochrzcili te dwa, sterczące w niebo niby biusty rewiowych statystek, górskie szczyty. Wetknęłam manuskrypt w jakiś podniszczony płócienny plecak, który wygrzebałam z tyłu samochodu razem ze srebrnym kombinezonem, parką oraz ciepłymi skarpetami i rękawicami, stałym zimowym ekwipunkiem, i weszłam do I damskiej toalety w schronisku, aby zrobić z siebie Królową Śniegu. Następnie kupiłam filiżankę kawy, dostałam w barze trochę drobnych i odbyłam zamiejscową rozmowę ze Strączkiem, aby wyjaśnić swoją nieobecność w moim pierwszym po powrocie (nie licząc wczorajszego popołudnia) dniu pracy. Chciałam się upewnić, że nie jest ze mną na stopie wojennej, kiedy po wczorajszym nie najsympatyczniejszym sam na sam tego ranka w ogóle nie pokazałam się w biurze.

– Behn, gdzie jesteś? – spytał, ledwo jego sekretarka zdążyła nas połączyć.

– Ubiegłej nocy nagle sobie uzmysłowiłam, że muszę zebrać pewne dane w zachodniej części ośrodka, skąd właśnie dzwonię – kłamałam jak z nut.

Ośrodek nuklearny w Arco, w głębi pustyni, z jego pięćdziesięcioma dwoma rządowymi eksperymentalnymi reaktorami, był oddalony o trzy godziny jazdy w przeciwnym kierunku, za miastem i za tą samą pocztą, którą tak nagle opuściłam. Ale wszelkie kłamstwa mogłam sobie spokojnie odłożyć na czarniejszą godzinę.

– Posłuchaj, Behn. Wolf Hauser wrócił niespodziewanie do miasta i wpadł na chwilę do mojego biura. No więc skorzystałam z okazji i powiedziałem mu, że sprawy z tobą są obgadane i że

dołączasz do projektu IAEA. Chciał poznać cię od razu, a że

znów się gdzieś wybierał, zadzwoniliśmy do ciebie do domu, a kiedy nikt nie odpowiadał, wysłałem Maxfielda, by spróbował cię dopaść na poczcie...

– Na... poczcie? – przerwałam, starając się nadać głosowi normalne brzmienie, choć uszy znów mi się rozdzwoniły i znów zaczęło mi dudnić w głowie. Do wszystkich diabłów, dlaczego na poczcie? Przyjrzyjmy się dokładniej rozdaniu, pomyślałam, i podsunęłam sobie pod oczy wymagowane karty: Czy Strączka też tu mamy? Zaczynałam nie ufać nikomu, co nie jest żadnym antidotum na paranoję.

Tymczasem Strączek mówił dalej:

– Wczoraj po twoim wyjściu z pracy miałem telefon od dziennikarki z „Washington Post”. Podobno od kilku dni usiłowała się z tobą skontaktować w sprawie ważnych dokumentów, które, jak jej powiedziano na jakiejś konferencji prasowej, są w drodze do ciebie; podobno „Post” chce z tobą pilnie rozmawiać, żeby je nabyć. Zapewniłem ją, że oddzwonisz jeszcze dzisiaj. Więc rano, kiedy Hauser wpadł do mnie w takim pośpiechu, przyszło mi na myśl, że w drodze do ośrodka wstąpiłaś na pocztę, zwłaszcza jeśli się spodziewałaś ważnych dokumentów. Dlatego wysłałem tam Maxfielda. Ale kiedy on cię znalazł... Hm, opowiedział mi historię...

Wiedziałam, jak brzmiała ta historia: odjechałam sprzed poczty z kilkoma częściami ciała Oliviera ucepionymi mojego samochodu, i z całą resztą niemal rozsmarowaną po bruku. Wysłałam na stukniętą, i gorzej. I choć co do tego nie było dwóch zdań, niemniej parę rzeczy pozostawało niejasnych. Na przykład: kto wpadł na pomysł odebrania paczki – Strączek czy Olivier? Boże, jak spytać o to Strączka, nie dając mu do zrozumienia, że teraz ta paczka jest w moim plecaku?

– Szkoda, że po raz drugi rozminęłam się z doktorem Hauserem – powiedziałam przepraszająco. – Ale mnie też się bardzo śpieszyło. I to przez ten pośpiech nie zauważyłam Oliviera. Proszę mu powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, że prawie przejechałam mu po nogach. – Następnie dodałam, trochę ostrożniej: – Mam wrażenie, że doktor Hauser i ja mijamy się niby dwa okręty we mgle. Fakt, zrobiło się trochę zamieszania, ale nie wątpię, że wkrótce się z nim spotkam. Dziś w nocy myślałam nad tym rosyjskim przedsięwzięciem i zgadzam się z panem: to strzał w dziesiątkę, jeśli chodzi o moją karierę.

Nie chodziło o zwykłe podbijanie bębena Strączkowi. Możliwe, że po całym tym stresie i histerii mój mózg naprawdę mętniał i rozmiękał, nakazując mi podejrzewać wroga w każdym, kogo znam. Możliwe, że naprawdę powinnam zrobić krótki wypad do Rosji i pobyć w innej rzeczywistości niż moja własna, która zaczynała wyglądać na prawdziwie „wirtualną”. Przyszedł czas na ostry *Schuss*, dla przewietrzenia moich mikroprocesorów.

Powiedziałam Strączkowi, że powinnam wrócić przed końcem pracy, i odwiesiłam słuchawkę. Reasumując w duchu rozmowę, odetchnęłam z ulgą: Olivier to mało prawdopodobny kandydat na szpiega, płatnego rewolwerowca i potencjalnego mordercę bezbronnych kotów. Mimo to postanowiłam nadal mieć się na baczności i ukryć manuskrypt tam, gdzie go nie znajdzie nikt – może nawet ja.

Na kolejkę linową czekałam dobre pół godziny. Kiedy wreszcie nadjechała, chętnych do wjazdu na górę było tak wielu, że musieli nas najpierw stłoczyć jak sardynki w puszcze, a następnie zważyć wyładowany po brzegi wagonik, nim wyjechał nad głębokie wąwozy na podejrzenie cienkiej napowietrznej linii. Zapakowana do środka razem z niestrudzonymi narciarzami ze Środkowego Zachodu i japońskimi turystami, z twarzą z konieczności rozplaszczoną na szybie, syciłam oczy uroczym widokiem dwóch tysięcy stóp spadania, czego byśmy doświadczyli, gdyby ostatecznie ładunek okazał się za ciężki dla tej skrzynki na pomarańcze. Byłoby zdecydowanie szybciej i prościej skorzystać z wyciągu krzeselkowego. Ale nie miałam pewności, czy potrafiłabym zlokalizować miejsce, którego szukałam, gdybym nie zaczęła zjazdu od Scylli i Charybdy.

Scylla i Charybda to moje prawdziwe ulubienice: dwa gigantyczne skalne pinakle, jeden przy drugim, między którymi musiało się przejechać zaraz po wyjściu z wagonika – chyba że ktoś wybierał objazd po głębokim puchu, czyli coś, co ja sama robiłam rzadko, a czego zwłaszcza dzisiaj bym nie zrobiła, kiedy miałam panować nad nartami na tym zdrażliwym stoku z przytroczonymi do pleców bez mała dziesięcioma funtami tajnego manuskryptu.

Przesmyk między wysokimi na trzydzieści stóp czarnymi skałami był ciasny, pochyły i śliski jak ślizgawka, od nart wielu narciarzy. Był jak ślepy tunel z wąskim prześwitem nieba. Nie dało się w nim ani hamować, ani skręcać, ani nie było w nim nic na tyle miękkiego, by kontrolować jazdę samymi krawędziami.

Kiedyś, w samym środku lata, wybrałam się na tę łąkę i próbowałam wejść na górę przez skalny komin między Scyllą i Charybdą. Okazał się zbyt pochyły i musiałam pomóc sobie linami i hakami. Ale zjeżdżanie po śniegu było o wiele prostsze: oprócz nart potrzebne były jedynie nerwy ze stali. Trzeba się było skulić, złączyć kolana, chwycić za kostki u nóg, utrzymać równowagę, szus przez komin i modlić się, by cię nie prasnęło o lód czy skały, kiedy znów się wynurzysz na światło dzienne.

Skrzynka na pomarańcze wypluła mnie ze swego wnętrza razem z resztą sardynek. Z gęstego lasu nart i kijków wiszących na ścianie wagonika wyciągnęłam moje. Nie śpieszyłam się. Marudziłam przy górnym schronisku, skrupulatnie otupując buty ze śniegu, długo przypinając narty, dokładnie przecierając zaparowane gogle – ustępując pierwszeństwa moim współtowarzyszom z wagonika, którzy aż się rwali do zaatakowania góry. Ja wolałam mieć górę wyłącznie dla siebie, nie tylko aby uniknąć omijania ciał zaścielających zwykle stok poniżej Scylli i Charybdy, lecz, co ważniejsze, aby udać się na poszukiwanie mojej kryjówki bez niepotrzebnych świadków.

Wiedziałam, że następny wagonik przyjedzie dopiero za pół godziny, tak więc kiedy przewalił się tłum narciarzy i zrobiło się spokojniej, wybrałam się w drogę i ja. Jedyнным towarzyszącym mi dźwiękiem był szelest moich nart na śniegu, kiedy znikałam w gardzieli rozdzielającej połyskliwe i mamucio czarne kształty Scylli i Charybdy.

Szło mi całkiem łatwo do chwili, kiedy znalazłam się na otwartej przestrzeni i kiedy szarpnęła mną, a zwłaszcza plecakiem silny powiew wiatru. Zachwiałam się. Lewa narta poszła mi w górę, ciężar ciała przeniósł się na prawe kolano, czubkami prawej rękawicy zamiotłam śnieg. Powtórzyłam niefortunny manewr w drugą stronę, tym razem obciążając lewe kolano, jakby mi się pomyliły narty z łyżwami. Prułam jednak dalej w dół stoku i w końcu udało mi się odzyskać równowagę.

Zaczerpnęłam głęboko tchu i kontynuując jazdę, przepatrywałam linię wzgórz, aż po wznoszące się majestatycznie w oddali Grand Tetons. Szukałam grani, spod której powinnam zjechać, aby znaleźć znaną mi skalną rozpadlinę i grotę. Właśnie wtedy usłyszałam za sobą łagodne skrzywienie nart. Dziwne, ponieważ na szczycie góry zostałam sama jedna i jak mi się zdawało, odczekałam wystarczająco długo, by wagonik zdążył wypluć wszystkich pasażerów.

– Pani *Wedel** jest odrobinę za szeroki – odezwał się szorstko jakiś głos z niemieckim akcentem, kilka jardów za mną.

Na tym stoku zwykle roi się od Niemców wyruszających na łatwy połów, powiedziałam sobie. To jest niemożliwe.

A jednak. Mężczyzna zrównał się ze mną, a mnie, kiedy skręcałam, żeby się zatrzymać, kolana zmiękły raz jeszcze. On zdjął gogle, owinał je sobie jak gumkę recepturkę na rękawie szalowego czarnego kombinezonu i uśmiechnął się do mnie tymi swoimi niesamowicie turkusowymi oczami.

– Dzień dobry, doktorze Hauser – ledwo wydukałam. – Co pana sprowadza na narty w samym środku tygodnia? – Potem zebrałam się w sobie. Ostatecznie takie zbiegi okoliczności nie zdarzają się często. Co znaczyło, że może być niebezpiecznie. Ruszyłam w dół.

– Mógłbym zapytać panią o to samo, *mademoiselle* Behn! – zawołał za mną, doganiając mnie jakby od niechcienia. – Przyjechałem do Idaho w sprawach nie cierpiących zwłoki. Ale wygląda na to, że dla pani czas nie odgrywa istotnej roli.

Prześlizgując się po nim spojrzeniem, pomyślałam, że ma bardzo piękne usta, a te kości policzkowe...

Oderwaliśmy od siebie oczy w samą porę, by uniknąć zderzenia z wielką muldą. Ominęliśmy ją, każde ze swojej strony, a kiedy nasze narty znowu się zjechały, doktor Hauser się tylko roześmiał i popłynęliśmy w dół stoku, ramię w ramię, w perfekcyjnym rytmie. W pewnym momencie, z siłą i zwinnością, której się nie spodziewałam, on odbił się na kijkach i przeskoczył nad powalonym na szlaku drzewem. I jakby nigdy nic, jak żywa woda, ruszył dalej przez falujące morze muld.

Nietrudno było wyjaśnić, jak to się stało, że w ogóle mnie rozpoznał; wiedziałam od Strączka, że miał wgląd do moich akt

* Z niem. „wachlarz, ogon”; tu: ślad.

■

osobowych, czyli nie tylko przyjrzał się moim danym statystycznym, ale także moim zdjęciom. Trudniej – co robił tu, na tej górze, sto mil od miasta. Jakby odgadując moje myśli, w miejscu, gdzie szlaki się rozchodziły doktor Hauser wbił kijek w śnieg, okręcił się na nim, zatrzymał się i obrócił do mnie.

– Najpierw pędziłem za panią przez dwa stany, a potem na tę górę. To dość, jak na jeden ranek. Co pani na to, żebyśmy wdepnęli do schroniska, niedaleko stąd? To taki nieduży *Schloss** w połowie góry; miło mi będzie postawić pani jakiś gorący lunch. Moglibyśmy trochę pogadać i trochę się

poznać. Chyba że – dodał – ma pani swój lunch w plecaku?

– Och, nie, chętnie skorzystam z zaproszenia – powiedziałam z umiarkowanym pośpiechem. – I przepraszam. Nie wiedziałam, że to pan za mną jechał.

– Przeprosiny przyjęte – rzekł z ukłonem. – Ale ta sztuczka we mgle to było coś. Przymierzałem się do trzech różnych dróg, nim dotarło do mnie, co pani zrobiła. Proszę mi powiedzieć, jak taka młoda kobieta potrafi... jak to wy, Amerykanie, mówicie... „zgubić ogon” z taką znajomością rzeczy?

– Och, przecież nie bez powodu pracuję w, było nie było, tajnych służbach – stwierdziłam z dumą. – A poza tym od dziecka uwielbiam bawić się w chowanego: szukać, znaleźć i schwytać.

– To tak samo jak ja. – Wypowiadając te słowa, profesor doktor Wolfgang K. Hauser uśmiechnął się zagadkowo.

Nim skończyliśmy lunch w maleńkiej niby jaskółcze gniazdo restauracyjce w przytulnym górskim schronisku, doktor Hauser już mówił do mnie Ariel i nalegał, żebym ja do niego mówiła Wolfgang. Pokazał mi, jak zrobić krzesła obrotowe z naszych parek rozciągniętych na nartach i kijkach, które wbiliśmy w śnieg. Zawieśliśmy w nich w słońcu tuż za tarasem, maczając chrupiący ciemny chleb w gulaszu z ostryg i popijając owocowe *Gluhwein** doprawione goździkami i cynamonem.

Wolfgang dał mi mnóstwo wskazówek dotyczących nart, kiedy zjeżdżaliśmy w dół, do restauracji. Był pierwszorzędnym narciarzem, lepszym nawet niż Olivier. Jeździłam na nartach od dziecka, zjeździłam prawie wszystkie góry świata i umiałam

* Z niem. „zamek”.

:* Z niem. „grzane wino”.

rozpoznać mistrza, jeśli wszedł mi w drogę. Niewielu było takich, którzy łączyli siłę mięśni i dziwnie nieuchwytny wdzięk, tę rzadką kombinację, sprawiającą, że wszystkie narciarskie wyczyny przychodzą człowiekowi jakby od niechcienia.

Teraz, kiedy niespiesznie zaczęliśmy zbierać swoje rzeczy, aby zjechać na dół, mój nowy kumpel zwrócił się do mnie z niewyraźną miną:

– Ciekaw jestem, czym byś mi się mogła zrewanżować za dzisiejsze bezpłatne lekcje na stoku.

– Daruj sobie – prychnęłam, przewiązując się w talii parką. – Wiadomo, że dla każdego Austriaka instruowanie narciarzy jest tak naturalne jak oddychanie. Nie bierze się forsy za coś, co przychodzi samo z siebie.

Zaśmiał się, choć chyba niezbyt szczerze.

– Tak czy inaczej, muszę ci zadać poważne pytanie – powiedział. – Wiesz, właściwie rozpoznałem cię ze zdjęć, a tak ' naprawdę z samych oczu, wczoraj, w tamtych drzwiach, chociaż byłaś okutana po nos i wyglądałaś jak niedźwiedź polarny.

O rany, w tamtych drzwiach pomyślałam to samo.

– Chciałem z tobą od razu porozmawiać, ale uznałem, że wobec osób trzecich byłoby to niezręczne.

Wolfgang Hauser wyjął mi z rąk plecak, który właśnie miałam zarzucić na plecy, postawił go na ziemi i położył mi dłonie na ramionach. Poczułam, jak moje ciało przenika ciepło jego palców. To był pierwszy w moim życiu mężczyzna, którego samo spojrzenie niemal wprawiało mnie w stan omdlenia, a co dopiero dotyk. Ale po tym, co było dalej, zaniemówiłam.

– Ariel, wiesz dobrze, że wkrótce oboje podejmiemy się pewnego niebezpiecznego zadania. Wiem, że to, co chcę ci powiedzieć, jest w tych okolicznościach raczej nierozsądne, ale nic na to nie poradzę. Otóż z trudem przychodzi mi sobie wyobrazić nasze wzajemne niezbędne stosunki zawodowe. Zapewniam cię, że nie planowałem tego, co się teraz zdarzyło, a co do tej pory nigdy mi się nie zdarzało... – Zawiesił głos, jakby spodziewając się, że ja coś powiem. Kiedy wstrzymałam oddech, czekając, aż skończy pierwszą kwestię, dodał: – Nie wiem, jak to wyrazić, ale, Ariel, czuję do ciebie wyjątkową sympatię. Niesamowitą sympatię.

Do mnie? O, do świętego gówna. Rzucono mnie na głęboką

wodę. Jak nic, mogłam utonąć w głębinach tych turkusowych oczu patrzących na mnie w napięciu. Ten typ był niebezpieczny z różnych względów – a ja ostatnio miałam dość niebezpieczeństw bez brania dodatkowych darmowych lekcji jazdy na nartach. Niechby tylko nie był aż tak... sympatyczny.

Dosyć. On wcale nie jest sympatyczny. On jest charyzmatyczny. Działa jak magia. Wiedziałam o tym, tak jak każdy, kto kiedykolwiek zatrzymał na nim oko. Ale to nie może się zdarzyć mnie – nie na dokładkę do całej reszty. Dlaczego, na litość boską, Strączek zdecydował się podać tę truciznę właśnie mnie? Musiałam coś zrobić. Musiałam wziąć się w garść. Musiałam, jak to się mówi, zejść na ziemię.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Rzucając do ataku wszystkie swoje rezerwy, zrobiłam krok do tyłu, tak że jego ręce opadły z moich ramion. Otworzyłam oczy.

– No więc, co to za pytanie?

– Pytanie? – powtórzył zbity z tropu.

– Poważne pytanie. Powiedziałaś, zaledwie moment temu, że chcesz mi zadać poważne pytanie – wyjaśniłam.

Wolfgang Hauser wzruszył ramionami. Miał niezbyt tęgą minę. Zdawało mi się, że nie przemyślał, jakiej odpowiedzi naprawdę powinien się spodziewać – ani jaki będzie dalszy ciąg scenariusza.

– Nie ufasz mi – zauważył. – I słusznie, niby dlaczego miałabyś ufać? Pędzę za tobą przez mgłę jak idiota, poluję na ciebie na stoku narciarskim i zaciągam na lunch. Płaczę się w jakichś zeznaniach co do jakichś niewczesnych uczuć. Za wszystko gorąco przepraszam, naprawdę, ale coś muszę ci wyznać...

Czekałam. Tyle że byłam absolutnie nieprzygotowana na salwę ze wszystkich działań.

– Jestem znajomym twojego stryja Lafcadio Behna, z Wiednia – poinformował mnie doktor Hauser. – Zostałem przysłany tu, do Idaho, aby cię chronić najlepiej jak potrafię. Przyleciałem jeszcze przed twoim powrotem z San Francisco; chciałem mieć pewność, że to ciebie przydzielą do tej rosyjskiej wyprawy. Nie tylko przez wzgląd na twoją fachową wiedzę: chodzi o to, że odziedziczone przez ciebie dokumenty nie mogą wpaść w niepożądane ręce. Czy wyrażam się jasno?

Matko Boska i wszyscy święci. O czym on mówi?

– Ariel – mówił dalej doktor Hauser – zapewniam cię, że kiedy podejmowałem się tego zadania, nigdy bym nie przypuszczał... – Urwał, popatrzył mi w oczy, powiedział: – *Scheisse*, nieźle namieszałem – i odwrócił się, aby wziąć narty ze śniegu.

Nie udało mi się zobaczyć jego twarzy.

– Wracamy do miasta?

Taki obrót sprawy odmienił moje plany. Myślałam o jakiejś wymówce: że z powodu żałoby, czy czegokolwiek, chcę być sama, chcę mieć trochę czasu na zebranie myśli. Ale teraz, kiedy zbliżył nas do siebie *Gluhwein* – kiedy doktor Hauser ujawnił swoją znajomość z czarnoowczą gałęzią mojej rodziny i niemal wyznał mi miłość, a także, jak zauważyłam, obrzucił wzrokiem mój plecak więcej niż raz – teraz uznałam, że każda wymówka byłaby zbyt oczywistym manewrem. I choć jak do tej pory doktor Hauser nie zapytał, co ja tutaj robię, wiedziałam, że takie i pytanie to jedynie kwestia czasu i że należy jak najszybciej zjechać na dół i martwić się, gdzie ukryć manuskrypt wtedy, kiedy znajdę się sama w swoim samochodzie.

Nim się wyekwipowaliśmy, Wolfgang odzyskał swój poprzedni wdzięk i zimną krew i zaproponował, bym to ja tym razem pojechała za nim. Przystałam ochoczo. Jeśli uda ci się wpaść w rytm – tę kombinację przenoszenia ciężaru ciała i wbijania kijków – doskonałego narciarza, to podczas jednego zjazdu nauczysz się więcej niż podczas tysiąca lekcji z instruktorem wywrzaskującym w obcym ci języku: „Zeghnij kolana! Nie ciągnij kijków!” Z góry się cieszyłam na kolejną bezpłatną lekcję – ale tylko do czasu, kiedy mój mistrz poszusował w stronę puchu.

Zostawił za sobą otwartą przestrzeń wyniosłego stoku i zapuścił się między napęczniały śniegiem osinowy las. Nie od razu się zorientowałam, że zmierza do wielkiej niecki świeżego puchu, takiego, jaki ściga tutaj tysiące turystów każdego roku. Ta niecka znajdowała się daleko po drugiej stronie lasu. Ale ja, przez wszystkie lata uprawiania sportów narciarskich na tej górze, unikałam jej jak zarazy.

Sporty narciarskie uprawiane na świeżym puchu całkowicie się różnią od podstawowych technik norweskich czy alpejskich. Na świeżym puchu należy odciążyć przody nart i przysiąść na

piętach, jakby się jechało na nartach wodnych. Taka sztuka wymaga niesamowitej giętkości kolan i wyrobionych mięśni ud. Na świeżym puchu nie można pozwolić, by czubki poszły pod śnieg, nie można się zatrzymać, nie można złapać krawędzi. Jeśli przytrafi ci się coś takiego, zaczynasz tonąć.

Mnie by się to na pewno przytrafiło. W obliczu śnieżnego puchu zawsze stawałam się bezradna jak dziecko. A teraz dźwigałam na plecach dodatkowy ciężar, co tłumaczy, dlaczego w osinowym

lesie postawiłam się okoniem – dlaczego zawróciłam własnym śladem na odkryty stok.

To się stało wtedy.

Byłam na skraju lasu, kiedy zrozumiałam, że coś jest nie tak. Wyczułam, że nadchodzi gdzieś z góry, na długo przedtem, nim ją usłyszałam. To nawet nie był żaden dźwięk. To był raczej szept, długie, przyprawiające o dreszcze westchnienie ziemi. Wyczuły ją moje mrowiące wewnątrz ciepłych rękawic ręce wcześniej, niż wyczuł ją mój umysł. Zrozumiałam, co się dzieje – i że nie wiem, jak się ratować.

Ziemia poruszała się pod moimi stopami – nie sama ziemia, raczej śnieg! Góra zrzucała własną skórę; rozrywała ją, brutalnym szarpnięciem, tę grubą na pięć stóp kołdrę, te stosy ciężkiego jak ołów śniegu gromadzone przez całą zimę. Byłam w lawinie.

Góra zagrzmiała, ryknęła, sypnęła w dół żwirem i kamieniami. Śnieg zakipiał. Pędziłam samym skrajem lasu, co sił, myśląc – byleby się nie przewrócić, i zastanawiając się, czy zanurkować między drzewa i ryzykować, że jedno z nich mnie przygniecie, czy zostać tu, gdzie ciężki śnieg zjeżdżał na dół jak ładunek cementu.

W ustach mi zaschło ze strachu, a moje ręce traciły czucie. Modliłam się, by nie zemdleć. A może jednak, pomyślałam, może powinnam. Kiedy zemdleję, ta zajadła napaść już mnie nie zaboli. Jechałam w dół, ale wiedziałam, że śnieg zjeżdża szybciej. Z mojej lewej strony, na otwartym stoku, podrzucał wielkimi głazami jakby to były dziecinne nadmuchiwane piłki. Z prawej, kącikiem oka widziałam walące się drzewa, wydzierane ziemi z korzeniami. Lawina była żywym, oddychającym stworzeniem, pochłaniającym wszystko, co wpadło w jej paszczę, niczym potwór z rzeki Snake.

Nie mogłam przed nią uciec. Nie byłam najdoskonalszym narciarzem, a lepszym ode mnie lawiny też dawały marne szanse. Nie byłam magikiem i nie miałam czarodziejskiej różdżki. Kiedy trzeba było ratować tyłek, ja traciłam głowę. I wciąż miałam ten cholerny plecak na grzbiecie.

Nagle pomyślałam: a co z niecką, tą za lasem? Czy też poszła w dół? Wiadomo, że w lawinie puch zsuwa się szybciej niż ubity śnieg, co więc się stało z Wolfgangiem Hauserem?

Nie czekałam długo na odpowiedź.

Poniżej zobaczyłam miejsce, gdzie śniegi się spotykały, gdzie wrzał kocioł białej kipieli, gdzie wyniosły stok po mojej lewej stronie i niecka po prawej spychały masy śniegu, głazów i kamieni. Z ich zderzenia bił w niebo wysoki komin śniegu.

Moje nogi wyły z bólu, zbyt długo napięte ścięgna wydzierały się: stań i odpocznij!, ale ja wiedziałam, że zatrzymanie się oznacza pewną śmierć. Wtem po mojej prawej stronie mignął ciemny kształt. Zjeżdżający w dół śnieg wyrywał z ziemi drzewo po drzewie, a on mimo to się zjawił.

– Ariel! – wrzasnął, przekrzykując niesamowity ryk rozszalałej natury. – Skacz! Musisz skoczyć!

On chyba oszalał, pomyślałam rozpaczliwie. A potem spojrzałam w dół i zrozumiałam.

Tuż pode mną, tam gdzie kończył się las, niby próg skoczni narciarskiej sterczała skalna krawędź.

Nie musiałam zgadywać, co jest dalej. Już nieraz przewijałam nad nią czubki nart, i spływałam w dół po stromym urwisku jak łza, a potem pędziłam slalomem między skałami, aż do wylotu wąwozu.

Ale przy prędkości, z jaką poruszałam się teraz, nie mogłabym zwolnić nad krawędzią wąwozu tak, by bezpiecznie opaść na jego stok. A gdyby mi się to udało, gdybym zwolniła, zmiażdżyłby mnie śnieg. Miałam do wyboru: albo ominąć wąwóz, ryzykując jazdę na otwartej przestrzeni, co właściwie i tak było niemożliwe wobec napierającej na mnie lawiny, albo posłuchać Wolfganga i skoczyć, i modlić się o bezpieczne lądowanie, ponad sto stóp niżej, i na śniegu, a nie na twardej poszarpanej skale.

Nie miałam czasu myśleć. Musiałam działać. Najpierw rzuciłam kijki, żeby nie nadziać się na któryś z nich w chwili uderzenia o dno. Następnie otrząsnęłam z talii parkę, dla większej mobilności, potrzebnej, by wznieść się wystarczająco wysoko. Wiedziałam, że cholernego plecaka nie zdążę odpiąć, więc musiał lecieć ze mną: z fruującym garbusem z Notre Dame.

Zrobiłam głęboki przysiad, aby zwiększyć prędkość i kontrolę nad nartami. Kiedy wystrzeliłam znad klifu, uniosłam ciało. Wyciągnęłam je na całą długość. Dłonie spłotłam z tyłu, na wysokości siedzenia. Podbródek wysunęłam do przodu. Przymierzałam się do długiego lotu i czystego lądowania.

Moje narty zawisły nad bezdenną pustką. Leciałam w dół, do wąwozu. Spadałam. Spadałam bez spadochronu i wiedziałam, że muszę się skoncentrować i nie wpaść w panikę. Że muszę prowadzić narty razem, czubkami do góry, że w ten sposób łatwiej wyląduję. I spadałam. Wciąż spadałam, podczas gdy wokół mnie lawina ciskała śnieg i kamienie niby garści konfetti. Kiedy wreszcie ukazała mi się ziemia, zobaczyłam, jak wąska jest wstążka śniegu pode mną, jak wielkie są głazy i skały. I znów pomyślałam o bestii, która nosiła imię węża, i o otwartej paszczy śmierci.

Po tym, co zdało się trwającym wieczność złym snem, moje narty uderzyły o śnieg – a jednocześnie moje ramię wyrznęło o skałę. Ostra twarda krawędź rozcięła rękaw srebrnego kombinezonu jak ząbkowany nóż; usłyszałam plaśnięcie otwierającego się ciała, rozerwanego od łokcia po ramię. Czułam, że od gwałtownego uderzenia tracę równowagę, czułam pulsowanie i w zranionym miejscu, czułam, jak od ciepłej lepkiej krwi wilgotnieje mi rękaw. Jeszcze tylko nie czułam bólu.

Las poszarpanych skał migał mi przed oczami rozmazaną plamą. Walczyłam szaleńczo o utrzymanie się na nogach, ale na dłuższą metę było to niemożliwe. Złapałam krawędź, wyłożyłam się na bok i nakryłam nogami. Koziółkowałam bezradnie, ciągnąc za sobą wypięte narty. Nieszczęsny ciężki, grubo wypchany plecak, teraz chronił mi grzbiet, lecz moje barki i golenie waliły w każdą kolejną skałę. Wprost czułam, jak wykwitają na nich sińce. Zasłoniłam głowę zakrwawionym ramieniem, ale jedna z luźno wiszących nart trzasnęła mnie w czoło. Krew zalała mi oczy. W końcu cisnęło mną o jakiś megalit. Zatrzymałam się – lecz nie, żeby odpocząć.

Byłam potłuczona i pokrwawiona, w ramieniu odzywał się szarpiący ból; chętnie bym się rozbeczała, gdyby nie dudniący

nade mną ostrzegawczy grzmot. Góra zasypywała wąwóz śniegiem. Grad skalnych odłamków

przesłaniał niebo. Fruwały nade mną całe drzewa, korzenie i wszystko inne. Mój skok dał mi pewną przewagę nad lawiną, ale aby wyjść z niej cało do końca, nie mogłam przystanąć w biegu.

Jakoś się pozbierałam i najprędzej jak mogłam skompletowałam luźno wiszącą u kostek parę nart z parą butów. Zatrzasnęłam wiązania i zaczęłam się ślizgać przez *couloir** lodu i śniegu, w pośpiechu, od skały do skały, kiedy dopadł mnie zdyszany Wolfgang Hauser.

– O Chryste, Ariel, ale się doprawiłaś – wysapał z trudem.

– Ale żyję i jestem cała – odpowiedziałam, kiedy pędziliśmy narta w nartę, aby uniknąć zbliżającej się nawałnicy, która zagłuszała nasze słowa. – A co z tobą?

– W porządku! – odkrzyknął. – Dzięki Bogu skoczyłaś. Cała niecka poszła w dół. Uciekając z lasu, dostałaś się w pułapkę

j dwóch lawin, których nic nie mogło powstrzymać.

– O, do świętego gówna! – zakląłam, patrząc na Wolfganga.

– Wolfgang potrząsnął głową, zaśmiał się i powtórzył jak echo:

– *Heilige scheisse*.

U wylotu wąwozu wznosiło się nad nami kolejne strome urwisko. Prowadziła do niego pochyła śnieżna platforma. Chcąc nie chcąc, weszliśmy na nią i jodełkując, pięliśmy się powoli w górę. W połowie drogi idący przede mną Wolfgang zatrzymał się i spojrzał do tyłu, w głąb naszego wąwozu. Kiedy się z nim zrównałam, położył mi dłoń na ramieniu i milcząco wskazał podbródkiem w tamtym kierunku. Od upływu krwi już i tak kręciło mi się w głowie, ale od widoku, jaki się przede mną roztaczał, zawirował mi w oczach cały świat. Przykucnęłam i objęłam dłońmi kostki u nóg.

Dolina zniknęła. Morze czarnych skał, między którymi ledwo co przejechaliśmy, jakby zapadło się pod ziemię. To, co przed chwilą nazywało się wąwozem, teraz było załadowane prawie po brzegi brudnobiałym rumowiskiem kamieni, korzeni i gałęzi, szczerzących swoje kły prosto w niebo. Jedyne, co pozostało nietknięte, to ta krawędź urwiska, z którego zeskoczyliśmy, wystająca z nowego dna doliny nie więcej niż na pięć stóp.

* Z franc. „korytarz, tor”.

Wolfgang gładził mnie po głowie, a ja kołysałam się, przerażona, z boku na bok. Tymczasem z krawędzi urwiska zjechała ostatnia deska śniegu. Zobaczyliśmy surową, ciemną ziemię, którą wszechpotężny żywioł pozbawił białego okrycia. To było totalne spustoszenie. Dokonało się ono w mniej niż dziesięć minut. Zaczęłam płakać. Wolfgang podciągnął mnie w górę, postawił na nogi i utulił w ramionach. Potem starł mi z twarzy krew i łzy i musnął wargami czoło, jakbym była małym, wystraszonego dzieciakiem.

– Ruszamy, trzeba cię czym prędzej doprowadzić do porządku i pozszywać. Jesteś bardzo dzielnym stworzeniem – powiedział z delikatnym uśmiechem.

Ale od kolejnych słów Pięknego Doktora Hausera, choć wypowiedzianych równie czułym i troskliwym tonem jak poprzednie, znów zrobiło mi się słabo.

– Nawet więcej niż dzielnym. Całkiem zdumiewającym, moja droga. Nie pozbyłaś się manuskryptu nawet za cenę życia. – Kiedy spojrzałam na niego prawdziwie przerażona, dodał: – Och, nie muszę zaglądać do twojego plecaka, żeby wiedzieć, że on tam jest. Ścigałem cię aż na samą górę tylko po to, żebyś go gdzieś nie ukryła albo nie zgubiła. Jeśli to, co wozisz na plecach, jest manuskrytem runicznym, a jestem przekonany, że tak, to ten manuskrypt należy do mnie. Sam go do ciebie wysłałem.

MATRYCA

Łac. matrix – macica... to, co zamyka w sobie wszystko albo daje początek wszystkiemu. Źródło, pochodzenie albo przyczyna.

The Century Dictionary

W tragedii tragiczny mit odradza się z łona muzyki. Ona inspiruje większość szalonych nadziei i obiecuje zapomnienie najbardziej dojmującego bólu.

Friedrich Nietzsche

Wszystko pierworodne do Mnie należy.

Księga Wyjścia 34,19* V

* Cytaty z Biblii według Biblii Tysiąclecia (wyd. 1980 r.) i Biblii Brytyjskiego Towarzystwa Biblijnego (wyd. 1951 r.).

xWażdy może popełnić błąd, ale ten był kardynalny. *Mea culpa, mea culpa*. Wszystko przeze mnie.

Sam nie wspomniał słowem ani o runach, ani o tym, że to, co wysłał, jest manuskrytem – jedynie, że to coś ma rozmiar kilku ryz papieru. W jeden dzień omal nie rozjechałam swojego gospodarza, przegalopowałam przez dwa stany i prawie zginęłam pod lawiną, flirtując z uroczym austriackim naukowcem. A wszystko przez niewłaściwą paczkę. Przynależałam bogom, że przestanę zachowywać się ekscentrycznie, ale pod warunkiem że los przestanie mnie zaskakiwać. Tyle że prawdziwej paczki od Sama wciąż nie było. A teraz, przez moją nadgorliwość, może nie być także Sama.

Podczas gdy ja krwią i potem znaczyłam mój chwalebny odwrót z gór, doktor Hauser próbował wprowadzić mnie w temat runów – choć ze względu na to, że byliśmy w ciągłym ruchu i że śpieszyliśmy się do punktu medycznego przy dolnym wyciągu, zadanie nie było łatwe. Niemniej dowiedziałam się, że pierwszą rzeczą, którą zamierzał zrobić po przyjeździe do Idaho w celu zwerbowania mnie na wyjazd do Rosji, miało być wręczenie mi manuskryptu, tyle że mnie nie było. Kiedy moja nieobecność się przedłużała, a on musiał wyjechać na parę dni w innych sprawach służbowych, niewiele myśląc, zapakował runy w papier i wysłał mi je drogą pocztową. Więc dzisiaj rano, kiedy Strączek wysłał po mnie Oliviera, doktor Hauser, który tymczasem zdążył wrócić z podróży w innych sprawach służbowych, pojechał w ślad za nim, a kiedy zobaczył, że odjeżdżam

spod poczty w panicznym pośpiechu, postanowił zapolować na mnie osobiście.

Kędy znaleźliśmy się na dole, zapytałam nieśmiało, czym są

te dźwigane przeze mnie runy i co miałabym zrobić z czymś, czego nawet nie potrafię przeczytać. Na co otrzymałam odpowiedź, że są kopią dokumentu, którą za jego pośrednictwem przesyła mi moja rodzina z Europy. I że o ile on się orientuje, są jakoś związane z manuskryptami, które właśnie odziedziczyłam po moim kuzynie Samie. Ponadto doktor Hauser oznajmił, że gdy już otrzymam pomoc lekarską, usiądziemy w ustronnym miejscu i dowiem się całej wiadomej mu reszty.

Spędziliśmy godzinę w punkcie medycznym, pośród zapachu płynów ściągających i pandemonium górskich służb ratowniczych, kręcących się tam i z powrotem z biperami i noszami i zwożących rannych narciarzy z okaleczonej góry. W końcu jakichś dwóch łapiduchów cisnęło mnie na metalowy stół, dało mi zastrzyk, zabandażowało głowę i założyło czternaście szwów na ramię.

Jakiegokolwiek pogwarki z Wolfgangiem w chaosie chirurgicznych poczynań nie wchodziły w grę. Ale myśleć nikt mi nie zabraniał. Wiedziałam, że planowany wyjazd do Rosji nie jest dla doktora Hausera zwykłą fasadą. Już choćby dlatego, że gdyby doktor Hauser nie był zajmującym wysokie stanowisko pracownikiem IAEA, nie dostałby zezwolenia na wejście do naszego ośrodka, a tym bardziej na przeglądanie rządowych tajnych akt kogoś, kto sam był godzien zaufania w sprawach najściślej tajnych. Tu więc nie było wątpliwości: doktor Hauser jest doktorem Hauserem.

Niemniej jedna kwestia dalej pozostawała nierozstrzygnięta. Mianowicie: jak to się stało, że profesor doktor Wolfgang K. Hauser przyjechał do Idaho wtedy, kiedy ja wyjechałam do San Francisco na pogrzeb Sama? Jak ktokolwiek mógł wiedzieć a że wiedział, to jasne, i wiedział z wyprzedzeniem – iż przez śmierć Sama tamte drugie, wciąż brakujące dokumenty miałyby się dostać w moje ręce?

Ponieważ byłam nafaszerowana lekarstwami i miałam rękę na temblaku, zgodziłam się wrócić do domu moim samochodem z doktorem Hauserem za kierownicą. Po służbowego sedana miało się przysłać do Jackson Hole kogoś z biura.

Powrotnej podróży nie zaliczyłabym do rzeczy, które sprawiają człowiekowi przyjemność. Po pierwsze, środki znieczulające przestały działać bardzo szybko. Po drugie, wrócił ból. Po trzecie, zażyłam tabletkę, którą dał mi lekarz. Po czwarte, dopiero po jej zażyciu przypomniałam sobie, że jestem uczulona na kodeinę. Po piąte, po kodeinie poczułam się jak ktoś, kto oberwał po głowie młotkiem. Reasumując, przez większość drogi byłam niezbyt przytomna. A moje pytania musiały pozostać bez odpowiedzi.

Dojechaliśmy na miejsce dobrze po zmroku. Chociaż później nie mogłam sobie przypomnieć, bym wskazywała jakąkolwiek drogę do domu albo jak się tam dostaliśmy, dobrze pamiętam, że kiedy samochód zatrzymał się na podjeździe, Wolfgang zapytał, czy mógłby pojechać nim do hotelu, czy ma wejść do środka i zadzwonić po taksówkę. Nie wiem, co mu odpowiedziałam; cała reszta to był jeden zamazany obraz.

Jakież więc było moje zaskoczenie następnego ranka, kiedy się obudziłam we własnym łóżku, a

mój plecak i wczorajsze ubranie – razem z szalowym czarnym kombinezonem narciarskim, który, jak mnie nagle olśniło, wcale nie był mój – piętrzyły się na krześle pośrodku pokoju! Ja sama zaś, jak wyczuwałam przez kołdrę, miałam na sobie jedynie oblepiającą ciało elastyczną jedwabną bieliznę, która pozostawiała niewiele miejsca wyobraźni.

Usiadłam, odrzucając kołdrę, i zobaczyłam kudłatą głowę, opalone ramię i nagie muskularne plecy profesora doktora Wolfganga K. Hausera, wystające z rozłożonego na podłodze mojego rodzzonego śpiwora. Profesor doktor powiercił się i przekręcił na plecy, a ja mogłam obejrzeć sobie jego rysy we wczesnym świetle poranka sączącym się przez wysokie dwudzielne okna: gęste ciemne rzęsy ocieniające wyraźnie zarysowane kości policzkowe, długi wąski nos, dołek w podbródku i zmysłowe usta, kombinację przywodzącą na myśl profil rzymskiej rzeźby. Nawet w pozycji na spocznij był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ale co on robił, półnagi, w moim śpiworze na mojej podłodze?

Wolfgang Hauser otworzył oczy. Przekręcił się na bok, podparł na łokciu i uśmiechnął do mnie tymi nieprawdopodobnie turkusowymi oczami, niebezpiecznymi jak tsunami, a przynajmniej jak rzeczne wiry.

– Jak widzisz, przespałem się tutaj – powiedział. – Mam na- -- -- .TiiiUHii

dzieję, że nie uznasz tego za sytuację na wyrost. Otóż kiedy pomagałem ci wysiąść z samochodu, zemdłałaś. Złapałem cię w ostatniej chwili, jakoś sprowadziłem ze schodów, wygrzebałem z podartych i zakrwawionych ciuchów i położyłem prosto do łóżka. A potem uznałem, że powinienem zostać przy tobie tak długo, aż przestaną działać leki znieczulające, aż będę pewny, że wszystko w porządku. No więc? W porządku?

– Nie jestem pewna. – Czułam, że wciąż mam głowę jak z waty i że ramię wciąż mi pulsuje gorączką. – Ale jestem ci wdzięczna, że zostałeś. Ocaliłeś mi życie wczoraj. Gdyby nie ty, pewnie tkwiłabym teraz na dnie tamtego wąwozu pod zwałami śniegu i kamieni. Jak chcesz wiedzieć, wciąż nieźle się trzęsę.

– Nic nie jadłaś od wczorajszego popołudnia. – Wolfgang usiadł i rozsunął śpiwór. – Niestety, ja muszę wyjechać z miasta; przez wczorajszy dzień zawałem parę spraw. Chociaż czemu nie miałbym ci podać śniadania? Wiem, gdzie trzymasz jedzenie. Twój kot mi pokazał. Wyraźnie się spodziewał, że zrobię mu kolację, więc zrobiłem.

– Nie wierzę. – Roześmiałam się. – Ocaliłeś mi życie i co więcej, nakarmiłeś mojego kota! A przy okazji, gdzie jest Jazon?

– Może chciał być dyskretny.

Wolfgang uśmiechnął się konspiracyjnie, po czym odwrócił się, wyczołgał ze śpiwora ubrany jedynie w slipy, wziął z krzesła swój czarny kombinezon i szybko go na siebie naciągnął. Nie mogłam nie zauważyć, choć błysnęło mi niewiele więcej niż gołe plecy i uda, że profesor doktor Wolfgang K. Hauser jest wspaniale zbudowany. Wszystkie możliwe mroczne erotyczne wizje napłynęły mi do mózgu. Razem z nimi, ku mojemu przerażeniu, w żyłach zawrzała mi krew. Nim

zdążył się odwrócić i wyczytać ukryte myśli, którymi zdradziecko zapłonęły moje policzki, chwyciłam poduszkę i ukryłam w niej twarz.

Za późno. Usłyszałam szuranie bosych stóp o zimną betonową podłogę i jęk sprężyn, kiedy siadał na moim łóżku. Odebrał mi poduszkę, popatrzył na mnie tymi swoimi przepastnymi oczami, przyciągnął do siebie i pocałował.

To nie jest tak, że nikt mnie przedtem nie całował. Ale ten pocałunek był jak żaden inny: żadnych znaczących westchnień, gryzienia warg, śliny, niezdarności czy sztuczności, nic z tych

rzeczy, które w mojej mniej niż niebogatej przeszłości zdarzały się więcej niż często. Kiedy nasze usta się spotkały, jego spuszczone ze smyczy energia udzieliła się mnie i wypełniłam się gorącym, czystym pożądaniem. To było tak, jakbyśmy kochali się już przedtem i jakbyśmy chcieli zrobić to jeszcze raz. I jeszcze raz.

Ciekawe; czyżby do tej pory profesor doktor Wolfgang K. Hauser wiódł żywot eremity?

– Ariel, jesteś tak piękna. – Dotknął moich włosów czubkami palców, patrząc na mnie oczami o kolorze chmurnego indygo. – Nawet teraz, kiedy cała jesteś w ranach, szwach i siniakach niby jakiś nieszczęsny wrak, chciałbym robić takie rzeczy z twoim wspaniałym ciałem, jakich nigdy z nikim nie robiłem.

– Zdaje mi się... to znaczy nie sądzę... – plątałam się głupio. Przedawkowanie hormonów niewątpliwie odebrało mi zdolność myślenia. Starłam się zebrać w sobie na tyle, by powiedzieć coś sensownego. Ale Wolfgang położył mi palec na ustach.

– Zaczekaj, pozwól mówić mnie. Wczoraj niepotrzebnie próbowałem przyspieszyć coś, czego nie należy przyspieszać. Nie chcę, żeby tak było między nami. Zachwycasz mnie, moja droga; zachwyca mnie twoja siła i dzielność. Czy wiesz, że twoje imię znane było już za czasów starożytnej Jerozolimy, dzisiejszego świętego miasta trzech religii? W najstarszej formie Ariel oznacza „lwica Boga”.

– Lwica? – Wreszcie odzyskałam swój zwykły głos. – Takie imię do czegoś zobowiązuje.

– Tak samo jak Wolf, „wilk” – powiedział z tym swoim tajemniczym uśmiechem.

– Rozumiem... oboje jesteśmy myśliwymi. – Uśmiechnęłam się także. – Ale ja poluję solo, a wilki przemierzają się stadami.

Wypuścił z ręki pasemko moich włosów, którym się bawił, i popatrzył na mnie z powagą.

– Nie poluję na ciebie, moja droga. Choć wciąż mi nie ufasz. Jestem tu, by cię chronić, nic więcej. Moje uczucia do ciebie to mój problem, nie twój, i nie powinno się ich mieszać z celami czy z misją tych, którzy mnie tu przysłali.

– Uparcie mówisz „ci, którzy mnie przysłali”, ale ani razu

nie powiedziałaś, kim oni są. I dlaczego nikt mnie o niczym nie uprzedził? – spytałam zirytowana.

– Wczoraj utrzymywałeś, że jesteś przyjacielem mojego stryja Lafcadia, ale z ust Lafcadia nigdy nie padło twoje nazwisko. Przynajmniej przy mnie. Powinieneś wiedzieć, że w ten weekend spotykam się z nim w Sun Valley. Nietrudno mi będzie wydedukować prawdę.

– Mówiłem o znajomości, nie o przyjaźni – odparł obojętnie Wolfgang Hauser. Wstał, popatrzył na swoje dłonie. Potem na mnie. Ja wciąż siedziałam w zmiętych betach. – Skończyłaś?

– Nie całkiem – powiedziałam, zapalając się do tematu. Jak to się stało, że wszyscy jakby wiedzieli o tym przeklętym spadku wcześniej, niż ja się dowiedziałam, a nawet nim mój kuzyn zdążył umrzeć?

– Możesz dowiedzieć się wszystkiego, jeśli naprawdę tego chcesz – rzekł spokojnie. – Ale obawiam się, że taka wiedza może być bardzo, bardzo niebezpieczna.

– Wiedza nigdy nie jest niebezpieczna – odparowałam, czując narastający gniew. – To niewiedza jest niebezpieczna. Zwłaszcza niewiedza o tym, co dotyczy twojego życia. Nie cierpię ludzi, którzy ukrywają coś przede mną, zaklinając się, że jedynie dla mojego dobra! Nie cierpię trwania w niewiedzy!

Usłyszawszy własne prawie wykrzyczane słowa, nagle zdałam sobie sprawę, że otwieram się sama przed sobą. Nagle zrozumiałam, gdzie tkwią korzenie zła towarzyszącego mi przez całe życie. Nie chodziło o zwykły strach przed nieznaną tajemniczą paczką – nawet gdyby jej zawartość miała moc zabijania ludzi. Chodziło o niewiedzę jako taką: o niemożność dotarcia do prawdy. Chodziło o ten przymus dyskrecji, dochowania tajemnicy, spotęgowany przez charakter pracy, mający wpływ nawet na moją rodzinę – o tę obłąkańczą filozofię, że nigdy i niczego nie robi się jawnie, że wszystko wymaga konspiracji i zmywy.

Dzięki Samowi stałam się prawdziwym mistrzem w tej grze. Dzięki Samowi nie ufałam nikomu na świecie. Ani nikt nie mógł ufać mnie.

Wolfgang przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Mój nagły namiętny wybuch zaskoczył także mnie. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak głęboko zagrzebałam w sobie te uczucia – ani jak szybko potrafią wypłynąć na powierzchnię.

– Jeśli miałby to być jedyny sposób na zdobycie twojego zaufania, zawsze będę mówił ci wszystko, co chcesz wiedzieć, bez względu na zagrożenie dla nas obojga. – Doktor Hauser wydawał się bardzo szczery. – Ponieważ jest sprawą najwyższej wagi, byś ufała mi całkowicie, nawet jeśli nie spodobają ci się moje odpowiedzi. Ktoś, kto mnie tutaj przysłał, i ktoś, kto mnie poprosił o dostarczenie manuskryptu runicznego właśnie tobie, to jedna i ta sama osoba. – Wskazał na leżący na krześle plecak. – Chociaż nigdy jej nie spotkałaś, przypuszczam, że samo imię nie jest ci obce. To twoja ciotka: Zoe Behn.

Dziwiłam się własnej skłonności do mówienia „o, do świętego gówna” za każdym razem, kiedy coś mnie zaskakiwało czy wyprowadzało z równowagi. No bo czym jest „święte gówno”? Czy bogowie albo święci wypróżniają się tak samo jak my? A dalej, czy ze mnie jest aż takie intelektualne beztalencie, bym nie potrafiła wymyślić bardziej pobudzającego wyobraźnię zawołania,

nawet wtedy, kiedy wołam w skrytości ducha?

Ale w moim zawodzie, jak powiedziałam, sprowadzanie wszelkiego rodzaju odpadów do dowcipu jest jedynym sposobem na życie – prawdopodobnie dlatego, że codzienny kierat ustawicznego sprzątania po wciąż mnożącej się i coraz bardziej śmiejącej populacji zamieszkującej coraz bardziej kurczącą się planetę jest zajęciem, które jeśli może człowieka o coś przyprawić, to jedynie o głęboką depresję.

Nic więc w tym nie było niezwykłego, że następnego ranka, w biurze, na powitanie usłyszałam frazę ze *Skazenia* Toma Lehrera, wypocin uwielbianych przez nas za tekst w rodzaju „Ochłapy ze śniadanka, które wrzucisz do Zatoki, wypiją na lunch w San Jose”. Śpiewał Olivier. Właśnie wystukiwał rytm palcami, kiedy zakręcił się na krześle i zauważył, że jestem.

– O, święty proroku Moroni! – wykrzyknął. – Wyglądasz, jakby cię udeptał nasz argonauta. Co ci się stało? Czyżbyś polując na przechodniów, wylądowała na ulicznej latarni?

– Wylądowałam w lawinie – powiedziałam wprost, wiedząc, że sprowadzenie służbowego samochodu Wolfganga z Jackson Hole wcześniej czy później wywoła w ośrodku lawinę plotek na temat naszego całodziennego szusowania. – I przepraszam za to, co się stało przy poczcie, Olivierze. Ostatnio trochę mi odbija.

ma^m^m^m^mu

– W lawinie? W drodze z poczty do roboty? O rany, ktoś by pomyślał, że pracujemy w dziale rozrywki. – Olivier poderwał się i pomógł mi się usadowić, troskliwie kładąc moje ramię na oparciu krzesła. – Tyle że wczoraj w ogóle się tu nie pokazałaś, a kiedy o siódmej wróciłem do domu, twój samochód stał na podjeździe, a cały dom był ciemny i cichy. Jazon i ja zjedliśmy kolację sami, zastanawiając się, gdzie cię wzięło.

A więc Jazon wyludził dwie kolacje – jedną na dole i drugą ze smakowitych kocich zapasów Oliviera. Mały, dzielny konspirator. Szkoda, pomyślałam, że nie ma w nim więcej z człowieka, bobym go zasadziła do rozpracowania kilku moich ludzkich problemów. Ale tymczasem Olivier czekał na odpowiedź. Przycisnęłam czubkami palców bandaż nad pulsującym bólem okiem i zacisnęłam powieki. Następnie je otworzyłam i popatrzyłam na Oliviera.

– Mam nadzieję, że tym razem nie było zakładów specjalnych. I że nie postawiłeś forsę przeznaczoną na wiejskie kurczaki i hodowaną na farmie dziczyznę – skomentowałam.

Olivier wytrzeszczył oczy i otworzył usta.

– Nie, to niemożliwe. Chyba nie...

– ...spędziłaś nocy z doktorem Hauserem? O to chciałeś zapytać, tak? Owszem, spędziłam. Ale nic się nie wydarzyło.

Biorąc pod uwagę zainteresowanie, jakie wzbudzał doktor Hauser, a także rozmiary naszego miasteczka, tak czy siak każdy będzie o tym wiedział wystarczająco szybko.

– Nic się nie wydarzyło?! – Olivier niemal krzyknął. Zatrzasnął drzwi i sam opadł na krzesło. – Niby jak mam to rozumieć?

– Gość ocalił mi życie, Olivierze – wyjaśniłam. – Oberwałam, jak widzisz, więc przywiózł mnie do domu. Straciłam przytomność, więc przy mnie został.

– Chyba powinienem zmienić wyznanie. – Olivier wstał. Nie wydaje mi się, by prorok Moroni nawykł do zbyt impulsywnego zachowania kobiet. Zawsze podziwiałem żydowską wiarę za potęgę tego czysto hebrajskiego słowa „oj!” Jak myślisz, jaka jest jego etymologia? Dlaczego, żeby czuć się wspaniale, wystarczy kręcić się w kółko i powtarzać „oj, oj, oj”? Olivier zaczął przemierzać pokój, powtarzając „oj, oj, oj”.

Uznałam, że pora na interwencję.

– No, to jak? Jedziemy w ten weekend do Sun Valley?

– A niby po co harowałam przez tydzień do późna w nocy?

– Jeśli do tego czasu Wolfgang Hauser wróci ze swojej wycieczki, zabierze się z nami – oświadczyłam krótko. – Ostatecznie od poniedziałku zaczynam pracować nad jego projektem... a poza tym ocalił mi życie.

– Oj – jęknął Olivier, wznosząc oczy ku sufitowi. – Mój proroku, naprawdę nieźle namieszałeś.

Miałam nadzieję, że Olivier rozszyfruje pochodzenie słowa „oj”, i to szybko. Coraz bardziej przypominało ono komentarz do mojej obecnej sytuacji.

Wcześniej tego ranka – ponieważ wciąż nie mogłam poruszać ramieniem, aby nie zerwać szwów – Wolfgang podrzucił mnie do pracy. Poprosiłam go, by zatrzymał się przy poczcie, nie wyłączając motoru, bo wejść tam dosłownie na sekundę. Podpisałam blankiet, aby wstrzymano doręczanie mi przesyłek do czasu, kiedy wygoi mi się ramię. Gdyby przyszła jakaś większa paczka, niech nie przysyłają mi żadnego awiza. Niech George zadzwoni do mnie do pracy. Jeśli to będzie coś ważnego, powiedziałam mu, wdepnę na pocztę w drodze powrotnej do domu i ktoś mi to coś załaduje do samochodu.

– Mam nadzieję, że nie doznałaś wstrząsu na wieść o ciotce Zoe – rzekł Wolfgang tego ranka, podczas gdy ja wcinałam śmietankowy omlet z kawiozem, jedyne danie, jakie udało mu się zmontować z dziwacznych zapasów mojej lodówki. – Twoja ciotka bardzo chciałaby cię poznać. To fascynująca kobieta, o wielkim uroku osobistym... choć doskonale rozumie, dlaczego reszta rodziny traktuje ją jak czarną owcę.

I słusznie, pomyślałam. Większość szczegółów z życia Zoe była doskonale znana szerokiej publiczności z tych jej snobistyczno-plotkarskich autobiografii, które do tej pory opublikowała. Choćby to kreowanie się na jednego z najsławniejszych tancerzy w Europie, tuż obok Isadory Duncan, Josephine Baker i Niżyńskiego. Czy ten jej legendarny „zawód” najsławniejszej kurtyzany w Europie; drugiej Loli Montez, Coco Chanel czy powieściowej Damy Kameliowej. Itepe itede.

Ale aż do dzisiejszego śniadania z Wolfgangiem nie słyszałam o kilku innych szczegółach, na

przykład że podczas drugiej wojny światowej moja niesławna ciotka Zoe należała do francuskiego ruchu oporu, a także pracowała dla OSS*, pierwszej formalnej amerykańskiej grupy wywiadowczej.

Bardzo chciałam wiedzieć, ile w tym prawdy. Choć taka aktywność doskonale się wpasowywała w „naszą” gałąź rodu, uznałam za absurdalne, by OSS – instytucja zajmująca się łamaniem kodów, rozszyfrowywaniem tajnych wiadomości, z założenia wyciszona i dyskretna – mogła wchodzić w jakiegokolwiek kontakty z wylewną, uwielbiającą światowe życie papłą w rodzaju ciotki Zoe. Jednak z drugiej strony tego rodzaju reputacja mogła być cennym kamuflażem – co udowodniła poprzedniczka ciotki i koleżanka po fachu, tancerka Mata Hari.

Jeśli miałam dać wiarę najświeższym doniesieniom, Zoe, teraz osiemdziesięcioletnia starsza pani, mieszkała w Paryżu, jak zawsze złopała szampana i jak zawsze wiodła bujne, skandalizujące życie. Byłam ciekawa, w jaki sposób związała się z kimś takim jak Wolfgang Hauser, wysokiej rangi urzędnik IAEA w Wiedniu.

Gdy go o to po prostu zapytałam, wyjaśnił, że rok temu w marcu, podczas pięćdziesiątego zjazdu międzynarodowych „orędowników pokoju” drugiej wojny światowej, w Wiedniu, został zwerbowany przez Zoe, kiedy tych dwoje przypadło sobie do gustu podczas powitalnego przyjęcia w jednej z miejscowych *Heuñgen* – typowych austriackich winiarni, w których pija się *heurige*, młode wino ze zbioru i tłoczenia ostatniej jesieni. Według wersji Wolfganga, po kilku galonach młodego wina Zoe zaufała mu wystarczająco, by zwierzyć się z pewnej tajemnicy, a następnie poprosić o pomoc.

Tajemnica, jak twierdził Wolfgang, dotyczyła manuskryptu runicznego, którego kopię teraz mam ja, będącego w posiadaniu mojej ciotki od dziesięcioleci. Choć w jaki sposób trafił w jej ręce, tego mu nie wyjawiała. Dowiedział się natomiast, że jest datowany na epokę wagnerowską, na schyłek wieku, kiedy to w Niemczech i w Austrii ożyło zainteresowanie korzeniami rodzimej, rzekomo wyższej teutońskiej kultury; kiedy zakładano towarzystwa zajmujące się inskrypcjami runicznymi i członkowie tych towarzystw przetrząsali całą Europę w poszukiwaniu kamiennych runicznych monumentów.

* Office of Strategie Services, powołane w 1942 r. przez Franklina D. Roosevelta, rozwiązane w 1945 r.

Zoe – Wolfgang się streszczał – sądziła, że jej dokument jest cennym białym krukiem. Że może mieć związek z manuskryptami odziedziczonymi przez Sama po jej wiodącym pustelniczy żywot bracie Earnescie. Że, być może, Sam ma wiele innych runów. I że mógłby pomóc w rozszyfrowaniu jej własnego. Ale po śmierci Earnesta Sam zniknął, a jej wysiłki, by go odnaleźć, spełzły na niczym.

Nie chcąc angażować w sprawę całej rodziny, Zoe umyśliła sobie, że to ja naprowadzę ją na ślad Sama, a na mnie miał ją naprowadzić Wolfgang, z racji związków wiedeńskiego IAEA z moim amerykańskim ośrodkiem. Chociaż nie było jasne dla Wolfganga, dlaczego Zoe wybrała na powiernika i pośrednika właśnie jego, zupełnie obcą osobę.

Mnie, dobrze znającej reputację cioteczki, jej powody wydawały się wystarczająco jasne. Zoe mogła sobie mieć tę swoją osiemdziesiątkę z okładem, ale nie była ślepa jak kamień. Mężczyźni, z

którymi zawsze flirtowała, nie zawsze byli bogaci, za to niezwykle przystojni, szalenie przystojni – jak sam *Herr* Wolfgang Hauser. Gdybym nie trzymała tego osławionego manuskryptu we własnych rękach, mogłabym przypuszczać, że zwariowana stara kokota wysmażyła całą rzecz jedynie w tym celu, by wpiąć Wolfganga, niczym ostatnią błyskotkę, do swojej i tak gęsto wysadzanej klejnotami korony.

Wolfgang zgodził się na prośbę Zoe, żeby ominąć naszą rodzinę, z którą nie utrzymywała żadnych stosunków, odnaleźć Sama i mnie i zdobyć naszą aprobatę co do całego pomysłu, jednak nie od razu wziął się do dzieła – nie wcześniej, niż wymyślił uzasadniony powód przyjazdu do Idaho. Nie mógł wiedzieć, że Sam tymczasem zdąży umrzeć – ani jak ja zareaguję na frymarchenie moją osobą przez jeszcze jedną krewną spośród moich wszystkich krewnych, których zwyczajowo unikałam jak zarazy.

Uznałam, że nie ma sensu wyjaśniać Wolfgangowi, iż jeśli mój kuzyn Sam miałby w swoich rękach taki dokument, choćby krótko, to już dawno byłby on rozszyfrowany. Jedyne w tym wieku nie złamane system kodowania zostało sporządzone podczas drugiej wojny światowej przez Nawahów. Indianie mają wrodzoną skłonność do takich rzeczy, a Sam tym wszystkim żył i oddychał.

Ale ja, o czym nie wolno mi zapomnieć, jestem jedyną osobą pod słońcem, która wie, że Sam wciąż żyje i oddycha. Aby rozwiązać węzeł, w który się zaplątałam, muszę zrobić jedno: odnaleźć Sama.

Reszta tygodnia mijała przygnębiająco monotennie. Nie chodzi o to, że spodziewałam się kolejnego rajdu samochodowego albo następnej lawiny, która by mnie wybawiła od nudy. Szkopuł w tym, że wciąż nie nadchodziła żadna paczka. Ani że nie mogłam nawiązać kontaktu z Samem.

Podjechałam do Bez Nazwy, baru dla kowbojów z miasta, i zapytałam, najnormalniej jak mogłam, czy nie było jakichś telefonów. Właściciel baru powiedział mi, że płatny automat na ścianie naprzeciw dzwonił parę razy, na początku tygodnia. Ale nikt go nie odebrał, i nic poza tym.

Sprawdzałam pocztę w moim komputerze codziennie. I nic.

Olivier i ja musieliśmy na kilka dni skoordynować nasze dojazdy do pracy, do czasu, kiedy sama będę mogła prowadzić samochód. Wolfganga wciąż nie było w mieście. Paczka nie przychodziła, ale nawet było mi to na rękę, bo wołałam nie odbierać jej przy Olivierze. Tymczasem ukryłam mój manuskrypt w miejscu, w którym mógłby tkwić choćby do końca świata, tuż pod nosem dziesięciu tysięcy pracowników rządu Stanów Zjednoczonych: między kartkami DOD Standard.

DOD Standard to trzydzieści pięć solidnie oprawionych tomów biblii Departamentu Obrony – zbiór norm i przepisów, których należy się trzymać, chcąc zrobić cokolwiek: od usprawnienia systemu komputerowego po reaktor z wodą lekką. Wydanie, a następnie uaktualnianie tego ważkiego dokumentu kosztuje podatników krocie. W ośrodku mieliśmy wiele kompletów: jeden stał na długiej na sześć stóp półce tuż za drzwiami mojego pokoju. Ale przez całe pięć lat mojej pracy nigdy nie widziałam, by ktoś po niego sięgnął, a tym bardziej by się nim posługiwał w jakimkolwiek celu. Szczerze mówiąc, moglibyśmy nim wytapetować ściany latryny i wątpię, czy nawet wtedy ktoś zwróciłby nań uwagę.

Ja byłam jedyną osobą, która spróbowała się wgryźć w to wiekopomne dzieło – ale tylko raz, i wystarczyło. To, co zobaczyłam, było mniej zrozumiałe niż kodeks podatkowy urzędu skarbowego. Byłam pewna, że nikt nie znajdzie moich runów, jeśli je tam ukryję.

Tak więc w piątek, pierwszy dzień, kiedy sama mogłam usiąść za kierownicą, oznajmiłam Olwierowi, że zostaję po godzinach. Nie był zaskoczony. Mieliśmy wyruszyć do Sun Valley o świcie, zatem całą robotę, która powinna być skończona przed weekendem, musiałam odwalić tego wieczoru. Kiedy tylko opuścił biuro, ja zabrałam się do stojącego na korytarzu Standardu. Ściągałam śliskie okładki z jednego tomu za drugim i co jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt stron wkładałam jedną kartkę runów. I tak odkurzyłam cały komplet.

Skończyłam o dziesiątej. Kiedy zmęczona, szczęśliwa opadłam na krzesło, aby odpocząć i zebrać myśli, zabębniłam palcami w leżącą na biurku podkładkę do myszy. Wirujący na ekranie obraz kontrolny nagle zniknął i pokazał się jasny ekran, rozświetlając pogrążony w półmroku pokój.

Wytrzeszczyłam oczy. Połowę ekranu wypełniał nie znany mi symbol podobny do gigantycznego odsyłacza.

FPO

Poniżej tego symbolu widniał znak zapytania.

Jak to się pojawiło na ekranie mojego komputera? Nikt tu w biurze nie mógł tego zrobić; przez cały dzień ślęczałam przy swoim biurku.

Najechałam na pasek menu i wybrałam polecenie „Pomoc”. „Pomoc” podsunęła mi informację, jakiej podsunąć nie powinna, taka informacja bowiem w „Pomocy” w ogóle nie była zaprogramowana: mianowicie miałam sprawdzić swoją pocztę.

Weszłam w plik wiadomości, chociaż wyczyściłam go całkowicie zaledwie kilka godzin wcześniej. A jednak był tam jeden nowy dokument. Ściągnęłam go na ekran.

Siedziałam jak zahipnotyzowana. W jakiś magiczny sposób, jakby rysowane jakąś niewidzialną, ukrytą w samym kablu ręką, na ekranie pojawiały się rzędy liter. Zanim powstał cały obraz, wiedziałam, naturalnie, kto jest jego twórcą. To mógł być jedynie Sam.

Na stojącej przy biurku drukarce laserowej zrobiłam kilka wydruków i zaczęłam je studiować.

Chociaż znałam pierwszą zasadę bezpieczeństwa, nakazującą skasowanie przychodzącego szyfru możliwie najszybciej, znałam także Sama. Jeśli chciałby coś zniszczyć natychmiast, to coś byłoby tak zaprogramowane, że uległoby samozniszczeniu zaraz po tym, jak przeleciałoby przez drukarkę. To, że obraz wciąż był na moim ekranie, oznaczało, że poza samą sekwencją liter są w nim inne wskazówki. Możliwe zresztą, że jedną już otrzymałam: odsyłacz.

Sięgnęłam do szuflady po trzy tandetne przezroczyste służbowe długopisy. Okręciłam je w połowie kawałkiem taśmy klejącej, a następnie rozłożyłam na kształt płatka śniegu, na kształt odsyłacza. Przesunęłam tym po wydrukowanej stronie, dla sprawdzenia, czy wzdłuż którejś z osi da się wyczytać akrostych. Bez powodzenia – choć wcale na nie nie liczyłam. To byłaby zbyt prosta wskazówka. I zbyt niebezpieczna, by Sam zostawił ją w moim komputerze.

Podczas sprawdzania wypełnionej literami strony odchyliłam się na kilka sekund do tyłu, aby lepiej widzieć. Szyfry

łamie się łatwiej, jeśli ten, kto je wysyła, próbuje nawiązać z tobą psychiczną więź, wiem o tym. A jeszcze łatwiej, jeśli było się jego uczennicą, a ja byłam uczennicą Sama.

Teraz, na przykład, mogłam snuć uzasadnione przypuszczenia co do tajnego tekstu na moim ekranie: ani tej, ani żadnej innej wiadomości Sam nigdy by mi nie przysłał przez komputer – środek komunikacji, jego zdaniem, niebezpieczny jeśliby nie była ważna albo pilna, albo i ważna, i pilna. To znaczy, jeśliby nie było to coś, o czym powinnam wiedzieć przed wyjazdem (o którym on wiedział) na weekend do Sun Valley. Tak czy inaczej, Sam z wysłaniem wiadomości odczekał cały tydzień – do samego końca, prawie do ostatniej godziny piątkowego wieczoru. Jasne: użył metody, której nie ufał, ponieważ nie udało mu się ze mną skontaktować w żaden inny sposób. To dawało mi dwie istotne wskazówki co do „osobistych cech” zastosowanego przez niego kodu.

Po pierwsze, ponieważ Sam obawiał się wścibskich podglądaczy, kod powinien być wielowarstwowy, z wieloma fałszywymi tropami, tak by rozszyfrowanie go kosztowało każdego

poza mną wiele wysiłku i czasu.

Po drugie, ponieważ zależało mu na czasie, kod powinien być na tyle prosty dla mnie, bym złamała go szybko, dokładnie i bez niczyjej pomocy.

Kombinacja tych dwóch zasadniczych składników mówiła mi wyraźnie, że klucza do kodu powinnam szukać w czymś, co prawdopodobnie tylko ja jedna potrafię zobaczyć.

Używając linijki za przewodnika, zaczęłam badać stronę. Pierwsza wskazówka rzuciła mi się w oczy od razu. Były dwie i tylko dwie pozycje na tej stronie, które nie miały żadnego związku z alfabetem: dwa znaki „&” w wierszu dwunastym i szesnastym. Ponieważ znak „&” jest symbolem dla słowa „i”, być może te dwa „&” w jakiś sposób łączyły poszczególne części wiadomości. Chociaż na coś takiego mógłby wpaść każdy, nie tylko ja, byłam pewna, że tropy – zarówno fałszywy, jak prawdziwy, zaczynają się właśnie tu: w środku. I byłam więcej niż pewna, że znajdę wskazówkę „tylko dla moich oczu”, która mi powie, w którym miejscu mam odejść od nazbyt wyraźnej ścieżki.

Nie rozczarowałam się. Znak „&” w wierszu szesnastym

łączył słowa „Scylla i Charybda” i prowadził do pełnej wiadomości „Jackson Hole druga po południu. Scylla & Charybda”. To był fałszywy trop, nie tylko dlatego, że sama wymyśliłam tę nazwę, inni też mogli ją sobie wymyślić – Sam wiedział, że na spotkanie ze stryjem Lafem wybieram się w ten weekend do Sun Valley, nie do Jackson Hole. Ale fałszywy czy nie, wskazywał, że wiadomość, której szukam, wyjaśnia, gdzie Sam będzie się próbował spotkać ze mną w ten weekend. Bogu niech będą dzięki.

Ze strony wyskoczyło kilka innych tropów, jak ten, zaczynający się od „Grand” w wierszu czternastym, wyznaczający spotkanie w niedzielę: „Grand Targhee, wyciąg trzeci, czwarta po południu Sun”.

Za o wiele bardziej prawdopodobne uważałam jednak, że prawdziwa wiadomość od Sama będzie ukryta w gęstwie sprzecznych tropów, które odchodziły od drugiego znaku „&”. I wszystkie dotyczyły miejsc w Sun Valley.

Znak „&” w wierszu dwunastym łączył dwa słowa: „day”, odchodzące na północ, i „Valley”, pisane od tyłu, odchodzące na południe, skręcające na południowy wschód i kończące się słowem „Sun”. Razem miałam „Sun Valley & (Sun)day”. Tu zaczynało się rozwidlenie, i kłopoty z dalszym ciągiem.

Na północ było „południe”, ale dalej – manowce. Po chwili ruszyłam na zachód i trafiłam na pisane od tyłu „dziesiąta” i skręcające na południe „a.m.”, a dalej, na południowy wschód „pokój trzydzieści” i znowu na północ „siedem”. „Sun Valley, niedziela, dziesiąta rano, pokój trzydzieści siedem”. Mało prawdopodobne, by Sam wprowadził tyle kombinacji dla przesłania tak prostej wiadomości. Kolejna zaczynała się po wschodniej stronie „&”, od słowa „wieczór” i tańczyła po całej stronie: „(Sun)day wieczór hotelowy bar, ósma, noś żółty szal”. Jakby on musiał rozpoznawać mnie po proporczyku. Hmm.

Poza tym, chociaż Sun Valley leżała blisko trzech miasteczek, dwóch łańcuchów górskich i całych

mil otwartej tundry – szerokiego wachlarza miejsc, gdzie moglibyśmy się spotkać – byłam przekonana, że Sam wskazywał na Baldy, górę dla narciarzy, ponieważ oboje znaliśmy ją bardzo dobrze. Wziąwszy pod uwagę szwy na moim ramieniu i obecną kondycję, nie paliłam się do przypinania desek. Ale wyglądało na to, że wielkiego wyboru nie mam.

Byłam pewna, że jeszcze nie rozszyfrowałam właściwej wiadomości. A więc – może klucz tkwi w słowie „południe”? Tylko co dalej? Znalazłam kolejne słowo, „spotkać”. Owszem, spinało ze sobą długi ciąg liter, wydający się częścią większego przekazu, tyle że bez większego sensu. Popatrzyłam raz jeszcze. Znalazłam „na”, obok „na” – „w”, obok „w” – „do”. Chociaż wodziłam palcem po labiryncie liter, pomału zaczynałam dostawać oczopląsu.

Właśnie wtedy znalazłam odpowiednie słowo: „Toussaint”. Szło na północ od słowa „na” i skręcało na wschód, a dalej na południe. *Toussaint*, Dzień Wszystkich Świętych, choć na tym moja znajomość religii się kończyła. W dzieciństwie chodziłam do kościoła tylko wtedy i tylko do takiego, w którym występowała Jersey; teraz nie pamiętałam nawet tyle, czy działo się to z okazji Zaduszek, czy zapustów, a poza tym i to, i tamto dzielił od nadchodzącej niedzieli czas trochę dłuższy niż jedno splunięcie. I chociaż wszystkie stoki narciarskie mają nazwy, w Sun Valley nie ma trasy, która nazywałaby się Halloween czy Tłusty Czwartek. Jednakowoż tak się składało, że większość

stoków na Baldy rzeczywiście ochrzczono świątecznie: Wakacyjny, Wielkanocny, Pierwszomajowy, Bożonarodzeniowy. Prawdopodobnie nieprzypadkowo.

Zmrużyłam oczy i od nowa zaczęłam studiować matrycę. Siedziałam nad tą koszmarną łamigłówką okrągłą godzinę, z ramieniem od nowa pulsującym bólem i swędzącym jak wszyscy diabli. Udało mi się połączyć słowo „Toussaint” z kilkoma, które rozszyfrowałam wcześniej, takimi jak „iść” i „przez”, ale potem znowu się zgubiłam. Sam, do cholery! „Dostań się do Toussaint, idź przez...” Idź przez cooo?!

Od Wakacyjnego, Wielkanocnego, Pierwszomajowego, Bożonarodzeniowego odchodziły dziesiątki mniejszych stoków, a od tych mniejszych – tuziny narciarskich tras. Ale wzięłam głęboki oddech, zamknęłam łzawiące oczy i spróbowałam wyobrazić sobie ową górę w trzech wymiarach. Na przykład, jeśli wjedziesz wyciągiem na Punkt Widokowy, z którego widać trzy z tamtych czterech – wszystkie poza Pierwszomajowym – i jeśli następnie zjedziesz na dół wzdłuż wyciągu, to z lotu ptaka twój szlak będzie bardzo podobny do jednego z ciągu liter na matrycy! Cofnęłam się do słów, od których rozpoczynała się cała wiadomość. Faktycznie, słowa „Sun Valley”, biegły w górę pod tym samym kątem co – o ile dobrze pamiętam – wyciąg narciarski!

Wiedziałam, że wreszcie udało mi się o coś zaczepić, więc skupiłam się właśnie na tej górze. Kiedy wyciąg cię wyrzuca, wpadasz na małą grzędę skalną, następnie jedziesz przez szerokie pole muld. Otworzyłam oczy i poszukałam słowa „mulda” tam, gdzie w rzeczywistości to pole się znajduje. Znalezienie go zabrało mi minutę: oto zygzak liter, dokładnie taki jak droga, którą pokonujesz na nartach, a zaraz po nim słowo „pole”. Serce zabiło mi mocniej.

I zabrałam się żywiej do pracy.

Zaraz za „polem” znalazłam słowa „na dół”, ale wiem, że od pola muld odchodzi pięć innych

stoków, i teraz nie mogłam przypomnieć sobie ich nazw, tak samo jak nie przypominałabym sobie tamtych czterech, gdybym nie znalazła słowa „Toussaint”. Jedyne, co miałam w głowie, to nierówności terenu, numery wyciągów i oznakowania skali trudności każdej trasy: od zielonego kółka poprzez niebieski kwadrat do czarnego rombu. Tyle że niewiele mi to pomagało.

Przypomniałam sobie, jak dobrze znał mnie Sam. Zaraz po] słowach „na dół”, zobaczyłam literę „c” i poszłam za nią przez zakręcającą w górę sekwencję liter tworzących kolejne dwa słowa: „czarny romb”. Czarny romb znakował trasę poniżej pola muld i kończył się u dolnej stacji innego wyciągu. Gdybym skorzystała z niego, wyjechałabym na szczyt kolejnego stoku. Zrobiłam to w myślach, co pozwoliło mi odczytać „teraz udaj się tą trasą przez”, i, następnie, słowo zapisane z południa na północ, „las”. A ponieważ na słowie „las” kończyła się strona, zrozumiałam, że jest to również koniec wiadomości. I że jest to miejsce, gdzie Sam wyznacza mi spotkanie w niedzielne południe.

No więc miałam przed sobą rozwiązanie całej zagadki: powinnam wjechać trzecim wyciągiem krzesełkowym na Punkt Widokowy, zjechać przez pole muld i skręcić w lewo, w trasę oznakowaną czarnym rombem, czyli w skrajnie trudną. Wszystko było proste – z wyjątkiem stopnia nachylenia stoku, gdybym upadła z moją chorą ręką. Ta trasa, jak wiedziałam, wyprowadza na skraj góry, w miejsce odludne, w dzikie leśne ostępy, gdzie szlaki są nieprzetarte i gdzie znaki zostawione przez Sama byłyby czytelne, i gdzie łatwo mógłby je skorygować, w razie konieczności, choćby w ostatniej chwili.

Rozpierała mnie duma. Odszyfrowałam matrycę 26 na 26 pól. Choć tak naprawdę to nie ja byłam genialna, tylko Sam i jego pomysł wstawienia ją w kontekst geograficzny, by była możliwa do odczytania jedynie przez kogoś, kto znał tę okolicę równie dobrze jak on.

Właśnie kiedy zamierzałam skasować matrycę wciąż widniejącą na ekranie, przypomniało mi się, że powinnam poszukać innej, głębszej warstwy. Kliknęłam dwa razy myszą na odsyłacz. Na próżno. Następnie stuknęłam w klawisz z literą „S”, pierwszą z „Sun Valley”, i w końcu w klawisz z literą „s”, ostatnią ze słowa „las”. I oto zniknęła matryca, a pojawił się napis:

Keen gnosis ofgnosis. Podpisano: Asz Ar-Rachum

Asz Ar-Rachum był anagramem Szarej Chmury, tajemnego duchowego imienia Sama, znanego tylko mnie – podobnie jak Szach Muarar i A.R. Schmarzau, a także wszystkie inne przedstawienia liter naszych imion, którymi się przed sobą popisywaliśmy w dzieciństwie. A to znaczyło, że pierwsza część napisu też jest anagramem i że zawiera drugą połowę wiadomości od Sama.

Zapowiadała się długa noc.

Nie było tak źle. Jestem bardzo dobra w anagramach – coś, na co Sam liczył.

Pierwsze słowo jego anagramu, *keen*, słownik w komputerze tłumaczył jako irlandzką pieśń żalobną. Całkiem odpowiednio, biorąc pod uwagę, że formalnie Sam został uznany za zmarłego, a choć tak naprawdę żył, to w tej chwili doprowadzał mnie prawie do płaczu.

Drugie, *gnosis*, znałam bez zaglądania do słownika: oznaczało wiedzę – zwłaszcza tajemną,

ukrytą, ezoteryczną, dostępną dla wybranych. Słowo o kontekście odpowiednim do moich genealogicznych inklinacji, do mojej kariery, a nawet chyba do sytuacji, w jakiej się znajdowałam w tej chwili, siedząc przy komputerze.

Najłatwiejszym i najszybszym sposobem na rozszyfrowanie

anagramu jest pogrupowanie powtarzających się liter i sprawdzenie, czy da się z nich ułożyć jakieś sensowne słowa. Na przykład, w osiemnastoliterowej wiadomości Sama *Keen gnosis ofgnosis* znajdowała się następująca liczba samogłosek i spółgłosek: 2 e, 2 i, 3 o, 1 f, 2 g, 1 k, 3 n, 4 s. Nie dałoby się ułożyć wielu sensownych zdań z tak ograniczonego zestawu. Dla uproszczenia Sam dał dwie wskazówki w słowach *keen* i *gnosis*.

Jeśli słowo *keen* równa się lamentowi albo jękowi, może być dźwiękiem, płaczem, może nawet muzyką. A zważywszy na to, że moja matka i babka były światowej sławy śpiewaczkami każda w swoim czasie, mogłabym się założyć, że pisząc *keen*, Sam myślał o słowie „song”.

W całym zestawie starczało liter na dwa „songi”. Pozostałe szybko ułożyłam w słowa „seek” i „in”. A zatem wiadomość brzmiała: „I seek in Song of Songs”.

Zaczęłam więc szukać.

Olivier miał na biurku Księgę Mormona, ale to nie była Biblia. Lecz, na Boga, w naszym ośrodku było tak wielu fanatyków religijnych, że czytali to swoje brązowo-torebkowe Pismo Święte nawet w czasie lunchu. Gdzieś musiał być jakiś egzemplarz Biblii. Przebiegłam pędem kilka sąsiednich pokoi i wreszcie jedną znalazłam. Szybko przerzuciłam kartki.

I przeczytałam: Salomonowa *Pieśń nad Pieśniami*...

Nie umknęło mojej pamięci, że Sam już poprzednio nawiązywał do króla Salomona. Ten pierwszy węzeł, który powiesił na moim wstecznym lusterku, był węzłem Salomona; jego pierwszy kontakt ze mną po swoich drugich narodzinach. Nie sądząc, bym faktycznie miała tej nocy czas na rozszyfrowanie ukrytego znaczenia w siedmiostronicowym poemacie, który rozpałał serca tak wielu przez tak wiele tysięcy, poprzestałam na rzuceniu okiem na ostatnią strofę: „Pośpiesz się, miły mój! A bądź podobny sarnie albo młodemu jelonkowi na górach ziół wonnych”.

I wiedziałam, że muszę się śpieszyć z całych sił na moją górę.

KARUZELA

Biada Arielowi, Arielowi... jednak ucisnę Ariela i będzie sm u tek i żałość...

Izajasz 29, 1,2

Bo rozgniewanie Pańskie jest na wszystkie narody, a popędliwość jego na wszystko wojsko ich; wytraci je jako przeklęte, a poda je na zabicie.

Izajasz 34, 2

Nie można powiedzieć, by bitwa była przyjemniejszym widokiem od karuzeli, ale nie ma

wątpliwości, która z nich dwóch przyciąga liczniejsze tłumy.

George Bernard Shaw

W ulkaniczne stożki kraterów Moon National Monument lśniły w słońcu jak czarne diamenty. Dołem, przez dno doliny wiły się pustynne łożyska dawno zastygłej lawy. Była sobota rano i jechaliśmy przez to odludzie do Sun Valley.

Jechaliśmy moim samochodem, ponieważ samochód Oliviera wciąż nie dawał się uruchomić. Jazon, usadowiony na przednim siedzeniu w charakterze pilota, stał przednimi łapami na tablicy rozdzielczej, pilnie obserwując panoramę. Ja, mimo że z moim ramieniem było wszystko w porządku, siedziałam z tyłu i wertowałam Biblię. Za kółkiem, przez całe sto pięćdziesiąt mil wycieczki, siedział Olivier, zaskoczony nietypowym dla mnie zainteresowaniem. Może pomyślał, że do szukania pocieszenia w Piśmie Świętym przywiodły mnie ostatnie kłopoty, tyle że ani ja nie szukałam w *Pieśni nad Pieśniami* pocieszenia, ani ona nie wydawała mi się tchnącą pocieszeniem opowieścią.

Uznałam, że to dziwne, iż Sam skrył wiadomość w Biblii. Żadne z nas nie było ekspertem w dziedzinie religii, a *Pieśń*, której nigdy przedtem nie czytałam, była prawie tak erotyczna jak każda inna książka nie noszona w brązowej torebce śniadaniowej. Przesiąknięty duszną atmosferą namiętności romans króla Salomona i pięknej pasterki Sulamitki – mieści się mniej czy bardziej w klasie czegoś takiego jak *Kamasutra*. W rozdziale siódmym on nawet pije wino z jej pępka. Słowo daję: prawdziwy Harlequin.

Trudno sobie wyobrazić głośne czytanie takich strof z kazalnicy, zwłaszcza wciśniętych w biblijny kontekst, między procho-prochu Eklezjastesa a ogień piekielny i siarkę Izajasza. Tych dwóch przekartkowałam przy okazji z nadzieją, że naprowadzą mnie na trop tego, co Sam usiłuje mi powiedzieć. Na próżno.

Kiedy dojechaliśmy do Sun Valley, Olivier wypakował nasze bagaże i dwie pary nart, i kota. Po załatwieniu formalności w recepcji zabrałam Jazona do mojego pokoju i zadzwoniłam do Lafa, że już jesteśmy. Parę dni wcześniej wysłałam mu tu, do Sun Valley Lodge, wiadomość, że być może przywiozę ze sobą dwóch przyjaciół. Laf odtelegrafował: „Czekam, zabieram wszystkich na brunch”. Ale po telegramie Lafa Wolfgang mnie zawiadomił, że zostaje w Nevadzie dłużej, niż się spodziewał, więc dzisiaj miało nas być troje: stryj Lafecadio, Olivier i ja przynajmniej tak myślałam. Po zwaleniu naszego turystycznego oprzyrządowania każde do swojego pokoju, Olivier i ja udaliśmy się do hotelowej restauracji na spotkanie z Lafem.

Masywny kamienny kominek sali restauracyjnej, wykładane boazerią ściany, wysokie sufity z kryształowymi żyrandolami, krochmalone adamaszkowe obrusy z ciężkimi srebrnymi nakryciami i dzbankami parującej kawy, i szerokie okna z widokiem na ośnieżone łąki – wszystko mówiło o czasach spokojnej elegancji międzywojnia, czasach, kiedy Union Pacific Railroad zbudowała Sun Valley Lodge dla przyciągnięcia bogatych i sławnych gości w dzikie, egzotyczne góry Idaho.

Maitre d'hôtel podprowadził mnie i Oliviera do zarezerwowanego dużego okrągłego stołu przy oknach. Jego środek zdobił wazon czerwonokrwistych róż. Nieliczni goście, przy stolikach bez wazonów i bez kwiatów, przyglądali się dyskretnie temu, jak zostaliśmy posadzeni, naszym

natychmiast napełnionym wodą szklankom i koszyczkowi świeżego ciepłego pieczywa, który pojawił się przed nami w sposób zaiste magiczny. *Maitre d'* własnoręcznie wyjął z kubelka z lodem Dom Perignona i własnoręcznie napełnił nasze smukłe kryształowe kieliszki.

– Nigdy mnie tu tak nie traktowano – stwierdził Olivier, kiedy zostaliśmy sami. – Zwykle spotykałem się z chłodnym przyjęciem i wystygłymi daniami.

– Chodzi ci o róże i natychmiast podane wino? – spytałam. – To przez stryja Lafcadia, księcia przepychu i rozrzutności.

Właśnie wtedy, z nienaganną punktualnością, przez podwójne drzwi wkroczył do restauracji Laf. Jego świtę stanowił *maitre d'* osobisty lokaj, jakaś obca mi kobieta i kilku kelnerów. Nim ruszył ku nam w markowej pelerynie, długiej do kostek, fałdzistej i falującej, i przyciągającej uwagę pozostałych gości, zatrzymał się i wolno, palec po palcu, ściągnął rękawiczki. Stryjowi Lafowi nie zależało na anonimowości – zresztą nic by tu było po niej; jego nazwisko uchodziło w świecie za najlepszy znak firmowy, a jego twarz gościła na okładkach albumów równie często jak twarz Franza Liszta.

Laf przemierzał salę długimi krokami, wymachując laską ze złotą rączką, jakby płoszył z drogi dzikie ptactwo. Podniosłam się od stołu, aby go powitać, a mój stryj rozwarł szeroko ramiona i wziął mnie w objęcia. Tymczasem rozłożysta peleryna zaczęła płynąć ku podłodze, lecz nie zdążyła jej dotknąć: Wołga Dragonów, nieskazitelny transylwański lokaj, chwycił ją na jeden palec, efektywnie zakręcił w powietrzu, a następnie narzucił na własne ramiona. Wiedziałam, to nie były spontaniczne gesty, to była doskonale wypracowana i wielokrotnie przećwiczona choreografia.

Ignorując rozgrywającą się za jego plecami scenkę, Laf uścisnął mnie.

– Gavroche! Co za widok dla zbolałych oczu! – powiedział rozpromieniony i wypuścił mnie z ramion, aby mi się lepiej przyjrzeć.

Kelnerzy zgodnie odsunęli nasze krzesła i zastygli w bezruchu, czekając, aż zdecydujemy się usiąść. To znaczy, staliśmy jakąś chwilę, bo Laf nie lubił, jak mu cokolwiek dyktowały choćby językiem gestów – klasy usługujące. Odrzucił do tyłu długą do ramion grzywę białych włosów i popatrzył na mnie przenikliwymi niebieskimi oczami.

– Jesteś piękniejsza nawet od swojej matki z jej lat młodości – stwierdził.

– Dzięki, stryju Lafie. Ty też wyglądasz kapitalnie – odwzajemniłam komplement. – Chciałabym, żebyś poznał mojego przyjaciela, Oliviera Maxfielda.

Zanim Olivier mógł się odezwać, młoda kobieta, która przybyła z Lafem, wysunęła się do przodu ze stojącej za nim grupy. Jak gdyby ofiarowując pomoc przy przechodzeniu strumienia, Laf zgiął ramię, a ona wsparła na nim długą, elegancką dłoń dłoń prawie ostentacyjnie pozbawioną biżuterii, bez polakierowanych paznokci – i uśmiechnęła się do nas.

– Niezmiernie mi miło – powiedział Laf. – Gavroche, przedstawiam moją towarzyszkę Bambi.

Bambi? To znaczy dama była kolejnym rekwizytem mego stryja, co tymczasem każdy na tej sali

zdążył zauważyć.

Moje uznanie dla stryja Lafa, pomyślałam. To nie była pospolicie przeciętna, egzotyczna maskotka w rodzaju tych, które Laf utrzymywał w swojej stadninie od czasu, kiedy Pandora, wielka namiętność jego życia, przeniosła się na tamten świat. Przeciwnie, to był koń czystej krwi – piękność nad pięknosciami. Piękność, jakiej nigdy nie widziały moje oczy. Miała twarz obdarzonej zmysłami rzeźby, z migdałowymi oczami, pełnymi ustami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, twarz w obramowaniu długich blond włosów. Nosila kremowy, obcisły welurowy kombinezon, z zamkiem rozsuniętym wystarczająco nisko, by odsłonić obfitość tego, co było pod spodem – co samo w sobie było prawdziwie zdumiewające. Ale nie tylko jej zmysłowa uroda pogrążyła salę w absolutnej ciszy. Ta kobieta obdarzona była rzadszym przymiotem. Mianowicie jaśniała *i* jakąś migotliwą luminescencją, jak gdyby była zrobiona z żywego, oddychającego złota. Jej włosy załśniły jak wodospad, kiedy się poruszyła; jej ciało miało gładkość soczystego, dojrzałego owocu; szeroko rozstawione oczy migotały oceanem drobnych złotych iskier. Tak, zdecydowanie była to twarz, która wypuszczała w morze tysiąc okrętów i podpałała legendarne mury Ilionu.

W porządku, może i przemawiała przeze mnie zazdrość, ale – musiało być z nią coś nie tak. No i Bambi otworzyła usta. Bambi przemówiła:

– *Gruss Gott, Fraulein** Behn. Pani *OnJceJ*** wiele mi o pani ophowiadał. Całe życie marzyłam, żeby panią phoznać.

Hmm: marzenie jej życia. Co za błyskotliwość umysłu. I mimo *Jiochdeutsch**** akcentu, jej manieri pozostawiały wiele do życzenia. Podała mi koniuszki palców jak miękką myjkę do twarzy; oczy, które chwilę wcześniej hipnotyzowały nieprzeniknioną głębią, teraz sprawiały wrażenie bezdennie pustych. Popatrzyłam na Oliviera, który wzruszył ramionami i odwzajemnił mi się nieco smutnym uśmiechem. Najwyraźniej pomyśleliśmy o tym samym.

* Z niem. „Niech będzie pochwalony, panno...”.

** Z niem. „wujek, stryj”.

** Z niem. „góroniemiecki”.

– Mam nadzieję, że wy dwie będziecie dla siebie jak siostry – oznajmił Laf, przyciskając ramię Bambi.

Laf odwrócił się do stołu w wianuszku kelnerów, wreszcie gotowy do zajęcia miejsca. Rozumieliśmy, że mamy zrobić to samo. Transylwańskie faktotum Wołga Dragonów – który odgadywał każdy kaprys Lafa, jakby obaj byli połączeni przednimi płatami mózgu – znalazł sobie krzesło po drugiej stronie sali, przy drzwiach, i usiadł na nim, z peleryną Lafa na kolanach. Nigdy nie widziałam, by Wołga jadł razem z moim stryjem czy kimkolwiek z rodziny, nawet kiedy przesiedzieli we dwóch dwa dni w górskim szałasie w Tyrolu, nie mając do jedzenia niczego poza korzonkami.

– Bambi jest szalenie utalentowaną wiolonczelistką – mówił Laf Olivierowi, co przyciągnęło moją uwagę. Wiedziałam, co to naprawdę znaczy. – Wiadomo powszechnie – mówił dalej – że zręczność palców i giętki nadgarstek znamionują wszystkich wielkich artystów grających na

instrumentach strunowych. Ale mało kto zdaje sobie sprawę, że jeśli chodzi o wiolonczelę...

– To tak naprawdę liczy się, w jaki sposób ją trzymasz udami – dokończyłam.

Olivier spojrzał na mnie, zadławił się i sięgnął po szklankę z wodą.

– W istocie – zgodził się stryj Laf, gdy tymczasem *maitre d'* przybył z menu. – Ciało wiolonczelisty samo musi stać się instrumentem biorącym muzykę w gorący, wszechobejmujący uścisk namiętności.

– Wyobrażam sobie – wydukał Olivier. Jego oczy były przykute do boskiego ciała Bambi.

– Wezmę *oeufs Sardou* – mówił stryj Laf do *maitre d'*. – Ale z sosem *bearnaise* i z mnóstwem cytryny.

Olivier pochylił się do mnie i szepnął:

– Dostaję wysypki.

– Gavroche, wy, młodzież, pewnie chcielibyście po brunchu pojeździć na nartach, mam rację? – zapytał stryj Laf po złożeniu zamówienia za Bambi, jakby była dzieckiem.

Zaprzeczyłam, pokazując na zranione ramię.

– Zatem my we dwoje utniemy sobie prywatną pogawędkę, a reszta zajmie się nartami. Tymczasem mógłbym opowiedzieć historię bardziej ogólną...

– Rodzinną? – spytałam z lekka ostrzegawczo. Czyż stryj Laf nie powiedział mi przez telefon, że to, co ma do powiedzenia, jest poufne?

– Prawie, ale niezupełnie – odparł z uśmiechem, poklepując mnie po dłoni. – Właściwie jest to moja własna historia, której, jak jestem pewien, nigdy nie słyszałaś, ponieważ twój ojciec zna ją nie bardziej, niż znał mój przyrodni brat Earnest. Ani Bambi, która sądzi, że zna mój każdy ciemny sekret kryjący się za permanentnie wystawianym na widok publiczny życiem.

Taki rys charakteru zdawał się dziwnie nie pasować do cklwie pięknej Bambi, której zachowanie sugerowało niezdolność do dłuższego skupienia myśli na jakimkolwiek temacie.

– Mimo długiego i bujnego życia, Gavroche – ciągnął Laf – wciąż jeszcze pamiętam każdy widok, każdy smak, każdy zapach. Czasami nawet przychyłam się do poglądu, że zapachy są prawdziwymi kluczami otwierającymi drzwi wspomnieniom. Lecz najgłębiej zapadającymi w serce wspomnieniami są albo te najpiękniejsze, albo najbardziej gorzkie. Dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Pandorę, twoją babkę, był połączeniem jednego i drugiego.

Procesja kelnerów podeszła do stołu, ustawiła nasze dania i dała popis zdejmowania pokryw. Laf uśmiechnął się do mnie i kontynuował:

– Ale żeby wyjaśnić, jak się to wszystko zaczęło, najpierw wam muszę opowiedzieć o goryczy, potem o pięknie.

Urodziłem się pod koniec tysiąc dziewięćsetnego roku, w Natalu, republice leżącej na wschodnim wybrzeżu Afryki Południowej. Ten skrawek lądu został tak nazwany czterysta lat wcześniej, przez Vasco da Gamę, dla upamiętnienia Bożego Narodzenia*, ponieważ słynny żeglarz ujrzał go właśnie w Boże Narodzenie. Układ gwiazd towarzyszący mojemu przyjściu na świat był niezwykle: w znak Strzelca weszło jednocześnie pięć planet. Najważniejszą z nich był Uran, przynoszący światu nowy porządek – planeta, która miała zapoczątkować nową erę Wodnika. Czy raczej należałoby powiedzieć nowy nieporządek, ponieważ od najdawniejszych czasów przepowiadano, że era Wodnika zacznie się gwałtownym zburzeniem starego ładu,

* Łac. *Dies Natalis Domini*.

starciem go na proch i zmyciem do oceanów razem z falą odpływu. Dla mojej rodziny w Natalu ten wstrząs już się zaczął: urodziłem się w okresie najbardziej zaciętych walk wojny burskiej, wydarzenia, które ochrzciło to stulecie ogniem i krwią.

Przez pierwsze dwa lata mojego życia wojna szalała między osadnikami angielskimi świeższej daty a potomkami wcześniejszych holenderskich imigrantów, którzy sami siebie nazywali Burami, od holenderskiego słowa *boer*, „chłop”, a których my, Anglicy, nazywaliśmy zwykłymi gburami albo wiejskimi prostakami...

– My, stryju Lafie? My, Anglicy? – przerwałam zdumiona. Zawsze myślałam, że nasza rodzina wywodzi się od Afrykanerów.

– Możliwe, że mój ojczym, a twój dziadek Hieronymus Behn, miał prawo przypisywać sobie jakąś gburowatość – zgodził się Laf, uśmiechając się posępnie. – Ale mój ojciec był Anglikiem, a matka Holenderką. Mieszane pochodzenie i to, że się urodziłem w kraju rozdartym straszną wojną, wystarczająco wyjaśnia moją urazę do przeklętych Burów. Ta wojna odegrała rolę lontu w łańcuchu wydarzeń, w których wkrótce pogrążył się świat, a które naszą rodzinę pchnęły w samo jądro chaosu. Wystarczy, że pomyślę o tamtych latach, a nie potrafię przełknąć dławiącej mnie goryczy ani zdusić w sobie bezlitosnego, palącego i bezdenne uczucia nienawiści do tamtych ludzi.

O, do świętego gówna! Bezlitosna, paląca i bezdenna nienawiść? Aż do tego momentu, podobnie jak wszyscy inni, postrzegałam Lafa jako obdarzonego cudownym talentem skrzypka – ale poza tym jako zwykłego dyletanta, który rozważał tak istotne kwestie, jak na przykład: co powinno się grać w czasie pożaru Rzymu albo: w jakich towarzyskich sytuacjach dżentelmen powinien zachowywać zimną krew. Ta zmiana tonu zrewidowała moje wcześniejsze wrażenia.

Olivier i Bambi także, zauważyłam, gapili się na niego, prawie nie tknąwszy jedzenia. Laf wyłowił z talerza plasterek owiniętej w gazę cytryny i dziobał ją widelcem, wyciskając dodatkowy sok do swojego *bearnaise*. Ale patrzył na śnieg, który właśnie zaczynał prószyć z nieba za widokowymi oknami.

– Trudno zrozumieć głębię i gorycz takich uczuć, Gavroche –

podjął mój stryj – bez poznania historii dziwnego kraju, w którym się urodziłem. Mówię: dziwnego, ponieważ zaczynał się nie jako kraj, lecz jako handlowe przedsięwzięcie – kompania, i

nawet nazywano go Kompanią. Od samego początku stworzyła ona własny, kompletnie odizolowany świat w obrębie czarnego, mało znanego kontynentu. Stworzyła izolację tak nieprzenikalną, jak ta stworzona przez ciernisty żywopłot z gorzkich migdałowców, który sam stał się prawdziwym symbolem Burów i ich pragnienia, aby żyć z dala od reszty świata...

ŻYWOPŁOT Z GORZKICH MIGDAŁOWCÓW

Przez setki lat, od czasu, kiedy holenderska Kompania Wschodnioindyjska osadziła na Przylądku Dobrej Nadziei swoje pierwsze garnizony, wielu Burów zaangażowało się w hodowlę zwierząt, w wypasanie stad owiec i bydła, w zajęcie, dzięki któremu stali się bardziej ruchliwi niż pracujący na roli farmerzy. Burscy hodowcy początkowo przenosili się na zieleńsze pastwiska, aby uciec przed chciwością i tyranią Kompanii. Nie minęło jednak wiele czasu i zaczęli zajmować nowe terytoria z własnej chciwości, bez względu na to, czy i do kogo należały wcześniej. I nie zamierzali się nimi z nikim dzielić.

Nie minął wiek, jak ci *trekboers* przywłaszczyli sobie większość terytoriów zamieszkiwanych dotychczas przez Hotentotów, ich i ich dzieci zamieniając w niewolników. Buszmenów wyłapali i wybili niby dziką zwierzynę. Po zainstalowaniu się na dobre w jakimś miejscu, wierząc, że są wyższą rasą, wybraną przez boską opatrność, zaczęli obwarowywać się gęstymi żywopłotami z ciernistych gorzkich migdałowców – pierwszy wyraźny symbol apartheidu – które miały uniemożliwić tubylcom i kłusownictwo, i mieszanie się z białymi.

I w ten oto sposób historia mogłaby się toczyć dalej, gdyby nie to, że w 1795 roku Przylądek Dobrej Nadziei przechodzi w ręce Brytyjczyków. Sprzedaje go Brytania wygnaniec, księżę orański (Holandia tymczasem została podporządkowana rewolucyjnemu rządowi Francji), za sześć milionów funtów. Co do kolonistów burskich, tych nikt o zdanie nie pytał, w tamtych czasach nie było takich zwyczajów. Ale tak czy inaczej, koloniści poczuli się rozgoryczeni – od tej pory mieli być traktowani jak kolonia i mieli się podporządkować prawu i ładowi zupełnie odmiennym od ich poprzedniego stylu życia.

W związku z nową sytuacją na Przylądek zaczęli napływać koloniści z Brytanii: plantatorzy i osadnicy z żonami i dziećmi, a także misjonarze, którzy ruszyli do buszu pełnić obowiązki duszpasterskie wśród tubylców. Ci misjonarze w krótkim czasie zaczęli wysyłać do Anglii raporty dotyczące złego traktowania miejscowych plemion. Po niespełna czterdziestu latach brytyjskich rządów, w grudniu 1834 roku, Aktem Wyzwolenczym uwolniono wszystkich niewolników w obrębie imperium brytyjskiego, łącznie z tymi, których zawłaszczyli sobie Burowie. Dla tych ostatnich była to akcja absolutnie nie do zaakceptowania. I oto zaczął się Wielki Trek*.

Prowadził przez rzekę Oranje, przez Natal, do północnego Transwalu. Uciekający spod brytyjskich rządów Burowie, nieustannie walcząc z wojowniczymi Zulusami, żyli jak w obwarowanych taborach wojskowych. Poruszali się na granicy anarchii, lecz wciąż wierzyli, że są wybrańcami Boga.

Płomień wiary Burów w ich wyższość rasową podsycał i rozpalał do białości Dopper, Kościół wydzielony z Holenderskiego Kościoła Zreformowanego. Jednym z najbardziej zagorzałych jego wyznawców był młody Paulus Kruger**, który później, jako prezydent republiki Transwalu,

przyczynił się do wybuchu wojny burskiej. Liderzy jego pokroju i przywódcy Kościołów kalwińskich byli gotowi za wszelką cenę zagwarantować przetrwanie hegemonii Burów – narodu czystego rasowo, białego.

Właśnie w imię zachowania czystości rasowej sam Kościół postanowił sprowadzić z Holandii, z tamtejszych sierocińców, młode sieroty bez widoków na przyszłość. Dziewczęta – w wielu wypadkach ledwo wyrosnięte dzieci – załadowano na okręty i przywieziono do kolonii jako narzeczone dla Burów z afrykańskich sawann. Pośród nich, pod koniec zimy 1884 roku, znajdowała się młoda sierota o imieniu Hermione, moja przyszła matka.

* Z afrikaans – uciążliwa podróż przez bezdroża.

** Paulus Kruger (1825-1904) – polityk burski, współtwórca republiki Transwalu; nazwisko jego upamiętniono w nazwie południowoafrykańskiej złotej monety – Krugerrand.

Moja matka miała zaledwie szesnaście lat, kiedy jej powiedziano, że razem z innymi młodymi dziewczętami będzie wysłana do Afryki i tam poślubią Holendrów.

O pochodzeniu Hermione niczego nie wiadomo, choć można przypuszczać, że była dzieckiem nieślubnym. Porzucona we wczesnym dzieciństwie, wychowana w kalwińskim sierocińcu w Amsterdamie, często zanosila modły do Boga o niezwykle zrządzenie losu, o przygodę, która by ją wyzwoliła z rygorystycznej, bezbarwnej egzystencji. Ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że boża odpowiedź mogłaby oznaczać podróż przez pół świata w charakterze żywego inwentarza, przeznaczonego na handel. Jak również, wskutek kalwińskiego wychowania, nie miała pojęcia, czym tak naprawdę jest małżeństwo. To, co zrozumiała z szeptów innych dziewcząt, jedynie podwoiło jej strach.

Młode kobiety – osłabione podróżą podczas sztormu, złym odżywianiem, wyrwane z czegoś, co do tej pory stanowiło ich jedyną rzeczywistość – zostały powitane przez hordę pijanych burskich farmerów, przyszłych mężów, którzy bynajmniej nie zamierzali czekać, aż kościelna starszyzna przeprowadzi właściwy podział i dopełni stosownych obrządków. Mężczyźni przyszli, aby dokonać wyboru na własną rękę i zawlec swój łup do domu.

Hermione i jej towarzyszki zbiły się na pokładzie w gromadkę, jak wystraszone zwierzęta, i spoglądały na morze krzyczących twarzy, które przepychały się ku spuszczonemu trapowi. Znajdujący się na okręcie pastorki krzyczeli na załogę, aby podnieść trap, lecz ich głosy zagłuszał tłum. Hermione zamknęła oczy i się modliła.

Wówczas rozpętało się piekło. Pijani, samowolni Burowie wdarli się na pokład. Krzyczące i płaczące dziewczęta zaczęto podrywać w górę i przerzucać sobie nad głowami jak worki mąki. Jakaś dziewczynka, która przywarła do Hermione ze wszystkich sił, oderwana jednym szarpnięciem zniknęła bezpowrotnie w ryczącym kłębowisku ciał. Sama Hermione rozpaczliwie przeciskała się w stronę relingu, gotowa wybrać zaślubiny z morzem niż z jednym z tych cuchnących, brutalnych mężczyzn.

Właśnie wtedy, od tyłu, ktoś przycisnął jej ręce do boków

i zarzucił ją sobie na ramię. Próbowwała kopać, ale napastnik, którego twarzy nawet nie zdążyła dostrzec, wykrzykując jej w ucho wulgarne słowa, przepchnął się ze swą zdobyczą przez tłum i wyniósł ją wprost na błotnistą ulicę portu. Hermione zakręciło się w głowie, była bliska zemdlenia. Nagle jej zdobywca, czymś uderzony, rzucił ją na ziemię. Uwolniona, wpiła się paznokciami w błoto i zaczęła się czołgać, aby uciec, uciec gdziekolwiek, byle dalej od tego straszego miejsca – kiedy poczuła, że podnosi ją z ziemi czyjaś ręka. Silna i opanowana, budząca zaufanie, niepodobna do szorstkich szponów, które jeszcze przed chwilą wbijały się w jej ciało. Zamiast szarpnąć się i próbować dalszej ucieczki, bezwiednie zatrzymała się i popatrzyła na właściciela trzymającej ją ręki.

Jego oczy były równie jasnoniebieskie jak jej, ze zmarszczkami w kącikach, a jego uśmiech był taki, jakiego nigdy nie widziała: wyrażał zadowolenie z posiadania, uśmiech posiadacza. Odsunął pasemko włosów z jej twarzy – intymnym gestem, jakby byli tam tylko we dwoje, jakby jedno znało drugie od lat.

– Chodź ze mną – powiedział.

To było wszystko. Poszła za nim bez jednego pytania, przestępując ostrożnie leżące na ziemi ciało jej napastnika. Obcy podniósł ją i posadził na czekającego w pobliżu konia, następnie sam go dosiadł, tuż za nią, trzymając ją mocno.

– Jestem Christian Alexander, lord Stirling – szepnął jej do ucha. – I czekałem na ciebie, moja droga, od bardzo, bardzo dawna.

Moja matka, Hermione, miała szczęście być wówczas jedną z najbardziej zadziwiających piękności. Blond włosy o srebrnym połysku dobrze się jej przysłużyły w debiucie na afrykańskim wybrzeżu. Mój ojciec natomiast wcale nie był wyniosłym lordem, jakiego udawał – choć w tamtym czasie niewielu o tym wiedziało, łącznie z moją matką.

Christian Alexander był piątym synem ubogiego farmera z Hertfordshire i nie spodziewał się odziedziczyć po nim absolutnie niczego. Ale w młodości wyjechał do college'u Oriel w Oksfordzie, z przyjacielem z dzieciństwa, synem pastora. A kiedy ów przyjaciel dla podratowania zdrowia udawał się każdego roku do Afryki, mój ojciec miał sposobność i zarazem

był na tyle przezorny, by mu towarzyszyć. W końcu doszło do tego, że mój ojciec został jego najbardziej zaufanym partnerem w interesach. Przyjaciel z dzieciństwa nazywał się Cecil John Rhodes*.

Cecil Rhodes był w młodości poważnie chory, tak że podczas drugiej podróży do Afryki sądził, iż zostało mu mniej niż pół roku życia. Ale praca i nawet częste nocowanie pod gołym niebem w ciepłym suchym klimacie z biegiem lat powoli przywracały mu zdrowie. Jednakże do odkrycia diamentów na farmach De Beerów, na których pracowali, doszło jeszcze podczas ich pierwszej podróży, wczesną wiosną 1870 roku, kiedy chłopcy mieli zaledwie po siedemnaście lat. I właśnie podczas pierwszej podróży Cecil Rhodes doznał olśnienia.

Tak jak Paulus Kruger wierzył w boskie pochodzenie Burów, tak Cecil Rhodes doszedł do

przekonania, że Afryka mocą boskiego przeznaczenia należy się Brytyjczykom. Rhodes chciał, by złożami diamentowymi zarządzała jedna kompania, brytyjska. Chciał zbudować brytyjską linię kolejową „od Przylądka po Kair”, aby połączyć brytyjskie prowincje. Później, kiedy w Afryce Południowej odkryto olbrzymie pokłady złota, uznał, że i one należą się brytyjskiemu imperium. Do tego czasu Rhodes wzrósł w potęgę, a mój ojciec – dzięki wiernej trwałej przyjaźni – stał się bogaty.

W 1884 roku, kiedy szesnastoletnia Hermione przyплыnęła z Holandii, mój ojciec miał trzydzieści dwa lata i był milionerem, posiadaczem złóż diamentowych od ponad dziesięciu lat. Ja urodziłem się w grudniu 1900 roku. Moja matka miała trzydzieści dwa lata. A mój ojciec – co zawdzięczam wojnie burskiej – już nie żył.

Wszyscy byli przekonani, że wojna się skończyła wraz z końcem oblężenia Mafikengu, Ladysmith i Kimberley. Transwal został przyłączony do imperium brytyjskiego, a Paulus Kruger odpłynął do Holandii zaledwie dwa miesiące przed moimi narodzinami. Wielu Brytyjczyków także się spakowało i wróciło do ojczyzny. Ale wojna podjazdowa w górach ciągnęła się jeszcze ponad rok; Anglicy wyłapywali kobiety i dzieci ze stawiających

* Cecil John Rhodes (1853-1902) – organizator brytyjskiej ekspansji w Afryce Południowej: 1890-1896 – premier Kraju Przylądkowego.

opór kolonii burskich i osadzali je na okres przejściowy w pierwszych obozach koncentracyjnych. Mój ojciec umarł od rany odniesionej pod Kimberley, a Rhodes miał umrzeć dwa lata później, nadwerężywszy zdrowie podczas tego samego oblężenia. Kruger zmarł w Holandii jakieś dwa lata potem. To był koniec pewnej epoki.

Ale jak to bywa z każdym końcem, także i ten był początkiem. Oznaczał początek terroryzmu, wojen partyzanckich, obozów koncentracyjnych i praktyki ludobójstwa: był brzaskiem świetlanego nowego wieku, za który powinniśmy dziękować przede wszystkim Burom, chociaż Anglicy rychło ich doścignęli w okrucieństwie.

Po śmierci mojego ojca Cecil Rhodes przeniósł prawa do olbrzymiego spadku w gotówce, a także do złóż minerałów, na moją matkę, w zamian za akcje i udziały mojego ojca z powiększającej się diamentowej koncesji De Beerów. Ponadto z własnego kolosalnego majątku dołożył szczodłą sumę na moje wychowanie i edukację, jako dowód wdzięczności za to, że mój ojciec oddał życie, służąc brytyjskim interesom w Afryce Południowej.

Zabezpieczając w ten sposób pogrążoną w smutku wdowę Hermione Alexander, pan Rhodes nie wziął pod uwagę kilku ważnych względów, a mianowicie tego, że moja matka nie była dobrze urodzoną, racjonalną i praktyczną Angielką, jak mógł sugerować tytuł „lady Stirling”, lecz biedną Holenderką, porzuconym dzieckiem wychowanym w kalwińskim sierocińcu. Ze jej jedynym kolejnym doświadczeniem życiowym było bajecznie luksusowe życie i miłość nie widzącego poza nią świata, starszego męża. Że miała zaledwie trzydzieści dwa lata i wciąż cieszyła się wielką urodą. Że miała zaledwie jedno nowo narodzone dziecko. I że była teraz jedną z najbogatszych kobiet w Afryce, być może na świecie, co było dodatkowym, niezwykle atrakcyjnym atrybutem.

Pan Rhodes nie wziął tego wszystkiego pod uwagę, i pewnie tak samo moja matka, która nie była

materialistką ani nie miała zachłannej natury. Ale całkiem prędko znaleźli się tacy, którzy za nią pomyśleli o tych sprawach. Pierwszym z nich był oczywiście Hieronimus Behn.

Dzisiaj ci, którzy znali Hieronimusa Behna jako magnata

przemysłowego i bezwzględniego człowieka interesu, nie potrafiliby sobie wyobrazić, że tuż po moim urodzeniu, na początku tysiąc dziewięćset pierwszego, wkroczył w życie mojej matki w stroju biednego kalwińskiego pastora przysłanego przez Kościół – działający w podziemiu w chwili wybuchu wojny – aby pocieszyć ją w żalu i przyprowadzić do owczarni jej własnego plemienia i jego wiary.

Moja matka została przyprowadzona do owczarni prawie tak prędko, jak się oboje poderwali z kłeczek po pierwszej sesji modlitw. Nie do bezpiecznej, opiekuńczej owczarni jakiegokolwiek Kościoła jednakowoż, lecz raczej w otwarte ramiona Hieronimusa Behna. W trzy miesiące po pierwszym spotkaniu, kiedy ja nie miałem nawet pół roku, oni się pobraли.

Zostawiwszy kwestie religii z boku, należy dodać, że dla osieroconej wdowy sam Hieronimus Behn miał wystarczająco pociągającą osobowość. Dagerotypy z tamtych czasów nie oddają sprawiedliwości człowiekowi, którego znałem jako dziecko. Lubiłem przeciwstawiać fotografie mojego ojca fotografiom ojczyma, żeby doszukać się w nich przewagi tego pierwszego, lecz na próżno. Mój ojciec patrzył na mnie z ramek bladymi jasnymi oczami, z pięknym wąsem, raz w mundurze, raz w stroju dżentelmena, za to z nieodmiennie romantyczną, zawadiacką miną. Hieronimus Behn natomiast przypominał, jak to w tamtych dniach określano, wyborny okaz konia: dzisiaj nazwalibyśmy go po prostu ogierem. Był typem mężczyzny, pod którego spojrzeniem kobieta czuje się tak, jak pod dotykem rąk. Jestem przekonany, że Hieronimus Behn wiedział dobrze, do czego służą ręce: używał ich często i z dobrym skutkiem, sięgając do cudzych kieszeni dla zbiccia własnej fortuny. Jak mogłem wiedzieć wtedy, że już zaczął od naszych?

Kiedy wojna się skończyła, a ja miałem dwa lata, matka urodziła drugie dziecko, mojego brata Earnesta. Kiedy Earnest miał dwa lata, a ja cztery, zostałem wyprawiony do *Kinderheim* – szkoły z bursą – do Austrii, dokąd, jak mi powiedziano, wkrótce miała się przeprowadzić cała moja rodzina. Kiedy miałem sześć lat i wciąż przebywałem w mojej szkole w Salzburgu, zawiadomiono mnie o narodzinach siostrzyczki, Zoe.

Wiadomość, że mógłbym zobaczyć rodzinę, razem z biletem na pociąg do Wiednia, przysłano mi dopiero, kiedy miałem dwanaście lat. Po raz pierwszy od ośmiu lat zobaczyłem moją matkę. Nie wiedziałem, że będzie to także ostatni raz.

O tym, że moja matka jest umierająca, dowiedziałem się wcześniej, niż ją zobaczyłem.

Siedziałem naprzeciw szerokich podwójnych drzwi w dużym wietrznym hallu, na krześle z prostym oparciem, wykładanym twardą skórą – i czekałem. Po lewej ręce miałem dwoje nowych znajomych: przyrodnie rodzeństwo, Earnesta i Zoe. Siostra, wierziała się na krześle i szarpała za francuskie blond loki, usiłując ściągnąć z włosów starannie zawiązane wstążki.

– Mamusia nie cierpi, jak noszę kokardy! – skarżyła się. – Ona jest bardzo chora i kiedy ją całuję,

one drapią ją po buzi.

Jak na sześciolletnią dziewczynkę to dziecko miało raczej dziwną osobowość. Bardziej przypominało pruskiego oficera. Podczas gdy w głosie poważnego Earnesta wciąż pobrzmiwał południowoafrykański niefortunny nosowy sposób wymowy, którego ja pozbyłem się dzięki ośmioletniemu pobytowi w austriackiej szkole, mała złościca mówiła apodyktycznym, patrycjuszowskim górnoniemieckim i miała pewność siebie Huna Attyli.

– Och, na pewno twoja niania nie chciałaby zirytować swojej pani zwykłymi wstążkami – odrzekłem, próbując ją uspokoić.

Chociaż słowo „pani” wydawało mi się niewłaściwe, trudno mi było mówić o kobiecie, która – jak wiedziałem – leżała w łóżku tuż za tamtymi szerokimi drzwiami, jako o „matce”. Nie byłem pewien, co powinienem czuć, kiedy w końcu ją zobaczę. Ja ją w ogóle ledwo pamiętałem.

Nasz brat Earnest niewiele mówił, po prostu siedział obok Zoe ze złożonymi na kolanach dłońmi. Był bladą, prawie nieskazitelną przystojną wersją bardziej kanciasto cyzelowanego wizerunku ojca, połączoną z tym wspaniałym popielatoblond kolorytem naszej matki. Wydał mi się prawdziwie piękny, jak anioł z obrazka – jak ktoś, kto w naszej surowej szkole dla chłopców nie znalazłby uznania.

– Wiesz, ona umiera – poinformowała mnie Zoe, wskazując dziecinną rączką na groźne podwójne drzwi po drugiej stronie hallu. – Może żadne z nas już jej więcej nie zobaczy... więc mogliby przynajmniej tyle zrobić, żeby pocałowała mnie na pożegnanie.

>.ń*rAwisa

– .^

– Umiera? – powtórzyłem, słysząc, jak echo odbija to „umiera” w ciemniejącym korytarzu.

Poczułem w piersiach dziwny ucisk. Jak moja matka mogłaby umrzeć? Była tak młoda, kiedy widziałem ją ostatni raz. I te wszystkie jej portrety na mojej serwantce w szkole: taka piękna i taka młoda. Choroba, być może. Ale śmierć to było coś, na co byłem całkowicie nieprzygotowany.

– To jest okropne – stwierdziła Zoe. – Obrzydliwe. Jej mózg wychodzi na wierzch. Nie sam mózg... coś odrażającego, coś, co pełza po ciemku w jej głowie. Musieli jej wywiercić dziurę w czaszce, żeby to coś jej nie zgniotło...

– Zoe, przestań – powiedział spokojnie Earnest i spojrzał na mnie smutno swoimi bladoszarymi oczami w cieniu długich, gęstych rzęs.

Byłem wstrząśnięty. Ale nim zdążyłem zebrać myśli, wielkie drzwi się otworzyły i Hieronimus Behn wyszedł do hallu. Nie widziałem go wcześniej, kiedy mnie przywieziono z dworca. Ledwo go rozpoznałem w tamtych modnych bokobrodach, ale poniżej zarys jego przystojnej, jakby wyrzeźbionej twarzy pozostał męski i silny, bez tego miękkiego samozadowolenia, jakie często się widuje u Austriaków z warstw arystokratycznych. Zdawał się kompletnie panować nad sytuacją, nieporuszony żadnym z koszmarów, które według opisu Zoe, mogłyby się dziać za tamtymi drzwiami.

– Lafcadio, możesz teraz wejść i zobaczyć się z twoją matką – poinformował mnie.

Kiedy się podniosłem, poczułem, że trzęsą mi się nogi, a zimna gula grzęźnie mi w gardle jak kawałek lodu.

– Ja też idę – oznajmiła Zoe.

Poderwała się z krzesła i wsunęła mi w dłoń swoją małą rączkę. Ciągnąc mnie za sobą, maszerowała prosto do drzwi. Mój ojczym zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, co powiedzieć, ale właśnie wtedy dołączył do nas Earnest.

– Pójdziemy tam razem, my, dzieci – powiedział spokojnie. – Wiem, że ojciec uzna to za najlepsze, bo to najmniej zmęczy naszą matkę.

– Naturalnie – zgodził się Hieronimus po krótkiej jak mgnienie oka przerwie i odszedł na bok, aby nas, dzieci, przepuścić przez wysokie kasetonowe drzwi.

To był pierwszy raz, ale nie ostatni, kiedy miałem zobaczyć, jak spokój i opanowanie Earnesta biorą górę nad zdecydowaniem i silną wolą Hieronimusa Behna. Nikt inny nie mógłby tego dokonać.

Mimo bogactwa mego zmarłego ojca, wspaniałości naszych plantacji w Afryce czy oślepiającego blasku wielu posiadłości, które zdarzało mi się widzieć wokół Salzburga, ani razu w moim młodym życiu nie postawiłem stopy w miejscu tak imponującym jak to za tamtymi drzwiami. Poczułem się mały i przerażony jak we wnętrzu katedry: wysokie sufity, zbytkowne meble i ozdoby, i draperie, nasycone kolorami drogich kamieni importowane witrażowe lampy, płynne jak jedwab linie kryształowych wazonów z kwiatami, dyskretny połysk wytwornych kosztownych biedermeierowskich mebli.

Zoe powiedziała mi, kiedy czekaliśmy w hallu, że niższe piętra naszego domu już przerobiono na nowe oświetlenie, na elektryczność, którą, o czym wiedziałem, dziesięć lat temu zainstalował w wiedeńskim Schönbrunn sam Thomas Alva Edison. Ale pokój mojej matki tonął w łagodnym żółtym blasku lamp gazowych i był ogrzewany ogniem migoczącym za płytkami niskiego szklanego ekranu, ustawionego przed kominkiem przy przeciwległej ścianie.

Mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę widoku takiego jak tamten, widoku matki leżącej w wielkim łóżu z baldachimem, matki o twarzy bledszej od koronek kapy. Ważyła tyle co nic. Była jak wyszana z mięszu krucha łupinka bliska rozsypania się w pył i zdmuchnięcia. Czepek zasłaniający jej głowę nie mógł ukryć tego, że miała ogolone włosy, ale dzięki Bogu ukrywał całą resztę historii.

Nigdy bym nie uwierzył, że to moja matka. W mojej dziecięcej pamięci wciąż była piękną kobietą, która śpiewała mi do snu swoim ślicznym głosem, do czasu, kiedy skończyłem cztery lata. Kiedy zwróciła na mnie wodnistoniebieskie oczy, chciałem zacisnąć powieki i z płaczem uciec z pokoju; nie chciałem wracać myślami do utraconego dzieciństwa, do odtrącenia, któremu teraz nikt nie mógł ani zadośćuczynić, ani za nie odpokutować.

Mój ojczym, ze skrzyżowanymi ramionami, oparł się o ciemną boazerię przy drzwiach wejściowych i zimnymi oczami nieruchomo wpatrywał się w łóżko. Służące zbiły się w małą grupkę

obok kominka i z cichym płaczem, obejmując jedną drugą ramionami, przyglądały się, jak my, dzieci, przemierzamy pokój do łóżka bóleści naszej matki. Niech mi Bóg wybaczy, ale chciałem jedynie, by moja matka zniknęła, jakby pochłonęła ją ziemia. Wtedy, jakby dla dodania mi otuchy, maleńka rączka Zoe ścisnęła moją dłoń i usłyszałem głos Earnesta, gdy już dotarliśmy do łóżka:

– Lafcadio jest tutaj, mamó. Chciałby, żebyś go pobłogosławiła.

Spierzchnięte wargi naszej matki się poruszyły. Wówczas Earnest pomógł wdrapać się małej Zoe na łóżko, nalał do szklanki wodę i podał siostrze, która napiła nią matkę kropla po kropli. Matka próbowała coś wyszeptać, więc Zoe podjęła się tłumaczenia. Dla mnie to było niesamowite i nienaturalne, słuchać – być może ostatnich – słów umierającej kobiety z różanego pączka warg sześciolatniego dziecka.

– Lafcadio – rzekła matka via Zoe – błogosławię cię z całego serca. Chcę, żebyś wiedział, że przenika mnie najgłębszy ból z powodu naszej rozłąki. Twój ojczym uważał... wierzyliśmy, że tak będzie najlepiej dla... dla twojej edukacji.

Wydawało się, że nawet szeptanie przy pomocy Zoe jest dla niej wielkim wysiłkiem, a ja się szczerze modliłem, by poczuła się słaba i zamilkła. Z wielu powrotów do matki, które oczywiście wyobrażałem sobie podczas długich lat rozłąki, żaden nie był taki jak ten: pożegnanie na oczach zapłakanych widzów, będąc dopiero co powitany w ostatnim z możliwych momentów w kompletnie mi obcej rodzinie. To było prawdziwie upiorne; ledwo mogłem doczekać się końca. Byłem tak oszalały, że omal nie przegapiłem najistotniejszych słów:

– ...więc twój ojczym wspomniałomyślnie zaofiarował się, by cię zaadoptować, biorąc na siebie odpowiedzialność za twoje powodzenie i wykształcenie, jakbyś był jednym z jego dzieci. Modlę się, byście się uściskali i troszczyli jeden o drugiego. Nie dalej jak dzisiaj podpisałam odpowiednie dokumenty. Teraz nazywasz się Lafcadio Behn i jesteś bratem Earnesta i Zoe.

Zaadoptował mnie?! Wielki Boże! Jak mogłem się stać synem mężczyzny, którego prawie nie znałem? Nie dano mi żadnego wyboru? Nie spytano mnie o zdanie? Ten wstrętny oportunist, który podstępem wszedł do łóżka mojej matki, miałby teraz położyć łapę na mojej edukacji, na moim życiu, na majątku mojej rodziny? Zszokowany, nagle zdałem sobie sprawę, że kiedy moja matka umrze, już w ogóle nie będę miał żadnej rodziny. Owładnął mną gniew, ten czarny, rozpaczliwy, niepohamowany gniew, który być może odczuwają tak głęboko tylko dzieci, istoty całkowicie zależne od innych, istoty, które nie mają wpływu na własne przeznaczenie.

Byłem bliski wybiegnięcia z pokoju, we łzach, kiedy czyjaś ręka dotknęła lekko mojego ramienia. Spodziewałem się ojczyma, który znalazł się za mną chwilę wcześniej. Ale to była ręka niezwykle zdumiewającej istoty, przyglądającej mi się oczami przesyconymi zielenią, płonącymi gdzieś w głębi żywym ogniem ślepiów dzikiego zwierzęcia. Jej twarz, w gęstwie ciemnych włosów, przypominała twarze ondyn, boginek rzek i jezior. Była zachwycająca. Była czarująca. A ja, na przekór mojemu chłopięctwu, byłem gotów dać się jej oczarować, byłem gotów zapomnieć o Hieronymusie Behnie, o mojej przyszłości, mojej rozpaczliwej – nawet o leżącej w łóżku umierającej matce.

Odezwała się z dziwnym, obco brzmiącym akcentem i głosem tak muzykalnym, jakby dzwoniły w

nim dzwoneczki.

– A więc to jest nasz mały angielski lord Stirling? – uśmiechnęła się do mnie. – Jestem Pandora, przyjaciółka i towarzyszka twojej matki.

Czyżby mi się tylko zdawało, że położyła szczególny nacisk na słowo „matka”? Nie wyglądała na osobę w wieku odpowiednim, by być jej towarzyszką – możliwe, że miała na myśli płątną damę do towarzystwa – ale czyż nie powołała się także na „przyjaźń”? Kiedy Hieronimus wysunął się do przodu, chcąc się do niej zwrócić, Pandora prześlizgnęła się obok, jakby go w ogóle nie zauważyła, i podeszła do łóżka matki.

Następnie poderwała małą Zoe z kapy jak puchową poduszkę i najzwyczajniej w świecie posadziła ją sobie na ramieniu. Zoe przekręciła głowę, zajrzała mi w twarz i uniosła brew, porozumiewawczo, jakby łączył nas wspólny sekret.

– *Frau* Hermione – zwróciła się do mojej matki Pandora gdybym teraz przystanąła nad panią jak wróżka z bajki i gdybym zapytała o pani ostatnie przed śmiercią trzy życzenia, po jednym dla każdego z pani dzieci, jakie by one były?

*>>*_-^

Służące zaszeptały między sobą – niewątpliwie zdumione, tak samo zresztą jak ja, zadziwiającą nonszalancją, z jaką ta nowo przybyła osoba odsunęła na dalszy plan pana domu, traktując bliską śmierć pani domu i jej ostatnie życzenia prawie jak jakąś grę salonową.

Ale o wiele bardziej zdumiewająca była zmiana, jaka zaszła w twarzy mojej matki. W tej samej chwili, kiedy jej spojrzenie napotkało oczy Pandory, śmiertelnie blade policzki nabrały koloru, zabarwiły się różowym blaskiem. Na usta wypłynął uszczęśliwiony uśmiech. Choć jeszcze dzisiaj bym przysięgł, że żadna z obu kobiet nie wypowiedziała ani jednego słowa, wyglądało na to, że i tak się porozumiały. Potem moja matka skinęła głową i zamknęła oczy. Ale wciąż się uśmiechała.

Pandora, z Zoe zawieszoną na jej ramieniu jak futrzana etola, zwróciła się do nas:

– Jak wy, dzieci, wiecie, swoich życzeń nie wypowiada się głośno, bo wtedy czary się nie udają – oznajmiła. – Tak więc życzenie waszej matki powiem każdemu z was oddzielnie, w tajemnicy. – Być może Pandora rzeczywiście była wróżką lub czarodziejką. Zsunęła Zoe z ramienia, na powrót posadziła ją na łóżku i pociągnęła za nakrochmalone wstążki, potrząsając głową. – Moje ty maleństwo – powiedziała – jesteś skrępowana i wystrojona jak bożonarodzeniowa gaska. – I jak gdyby słyszała naszą rozmowę w hallu, ściągnęła sztywne kokardy z włosów Zoe, szepcząc jej do ucha życzenie matki. Głośno dodała: A teraz daj mamusi buziaka i podziękuj za życzenie.

Zoe podpełzła na kolanach do matki i zrobiła to, co jej nakazano.

Wtedy Pandora podeszła do Earnesta, nachyliła się do jego ucha i historia się powtórzyła.

Wprost nie mogłem uwierzyć, że – w moim wypadku w kwestii życzeń można było cokolwiek dodać. Jak moja matka mogła mi czegoś życzyć, kiedy dopiero co wyznała, że za moimi plecami zostałem, jak jakiś sprzęt, sprzedany Hieronimusowi Behnowi, który zapewne tylko czeka, by

zmarnować mi przyszłość, tak samo jak postąpił z moją teraźniejszością i przeszłością?

Nie wiem, czy poniosła mnie wyobraźnia, czy mój ojczym, który wciąż stał blisko mnie, naprawdę zeszywniał, gdy Pandora podeszła do nas w tej swojej szeleszczącej jedwabiem, zielonej sukni. Po raz pierwszy, od kiedy znalazła się w pokoju, nie tylko zdawała się go zauważyć, ale popatrzyła mu prosto w oczy, z dziwną, niepojętą dla mnie ekspresją.

Ponownie kładąc mi dłoń na ramieniu, nachyliła się do mojego ucha tak, że policzkiem musnęła mój. Poczułem ciepły zapach jej skóry i to samo co poprzednio podekscytowanie. Ale słowa, które miałem za chwilę usłyszeć, zostały wypowiedziane z tak wielkim naciskiem, że zmroziły mi krew w żyłach.

– Nie pokazuj po sobie absolutnie niczego. Rób to, co ci mówię – szeptała pośpiesznie. – Jesteśmy wszyscy w wielkim niebezpieczeństwie. Ty w największym. Przez samą swoją obecność. Nie mogę ci nic wyjaśnić, dopóki nie znajdziemy się poza tym domem, pełnym szpiegów i kłamców, i bólu. Wymyślę coś na jutro, rozumiesz?

Niebezpieczeństwo? Jakiego rodzaju? Skinąłem głową potakująco, choć nie rozumiałem niczego. Pandora ścisnęła mocno moje ramię, wróciła do łóżka, i ujmując dłoń mojej matki, zwróciła się do służących:

– *Frau Behn* jest szczęśliwa, że w końcu zobaczyła swoje wszystkie dzieci razem – poinformowała je. – Ale nawet tak krótka wizyta pozbawia ją sił. Teraz musimy ją opuścić i pozwolić jej odpocząć.

Lecz nim służące odeszły, Pandora zawołała przez pokój do mojego ojczyma:

– *Herr Behn*, pańska żona życzy sobie ponadto, by jutro rano czekał na dzieci powóz. Życzy sobie, bym zabrała je wszystkie razem na wycieczkę po Wiedniu, jeszcze przed powrotem Lafcadia do szkoły.

Mój ojczym zatrzymał się w pół drogi między łóżkiem a drzwiami. W jego oczach pojawiły się zimne błyski. Wahał się, w końcu skinął nieznacznie głową.

– Oczywiście – powiedział, chociaż ton jego głosu nie był potwierdzeniem słów. Zawrócił i wyszedł z pokoju.

Padał śnieg, kiedy opuszczaliśmy dom następnego ranka, ale pochmurne niebo i zła pogoda nie zniechęciły Zoe, podekscytowanej panującą wokół aurą dziwnej tajemniczości – i odkryciem nowego brata, którego mogła pouczać i tyranizować.

Kiedy już zniosła długi rytuał ubierania jej przez służące, natychmiast zaciągnęła mnie do stajen, gdzie my, dzieci, jak odkryłem, mieliśmy własny środek transportu: powóz z czwórką koni. Zgodnie z poleceniem mojego ojczyma był już wyszykowany; konie były w zaprzęgu, a stangret siedział na koźle. W sąsiednich przegrodach stały landa i kabriolety, i nowy błyszczący automobil.

Przewracałem się w łóżku bezsennie przez całą noc, pełen pytań dotyczących tajemniczego komunikatu Pandory.

Tego ranka, w ciepłe zamkniętego pojazdu, podczas gdy nasze konie człapały po brukowanych ulicach, a ja syciłem oczy widokami Wiednia, zauważyłem, że Earnest odwrócił się kilka razy, aby popatrzeć przez szybę z miki na wyprostowane plecy naszego stangreta. Tak więc milczałem i czekałem, stając się z minuty na minutę coraz bardziej podenerwowany. Ale żebym nie wiem jak próbował, i tak nie potrafiłbym sobie wyobrazić, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo – w cieplarnianej atmosferze domu Behnów, pośród służby i bogactwa – mogłoby czyhać na dwunastoletnie dziecko.

Moje myśli przerwała Pandora.

– Czy byłeś już kiedyś w wesołym miasteczku? – spytała z uśmiechem. – *Volksprater*, park zabaw dla ludu, kiedyś stanowił tereny łowieckie, aż do czasów cesarza Józefa II, brata Marii Antoniny, protektora Mozarta. Dzisiaj jest tam wiele interesujących urządzeń. Na przykład karuzela, którą angielskie dzieci nazywają wesołym kręciołkiem, ponieważ kręci się w kółko. Siadasz sobie na konika, a on podskakuje w górę i w dół i zatacza koła, więc masz wrażenie konnej jazdy. Karuzela na Praterze ma nie tylko koniki, ale cały *Tiergarten**.

– Papa nie pozwala nam chodzić na Prater – powiedziała Zoe głosem bardziej niż rozczarowanym.

– On mówi, że na Prater chodzą sami robotnicy i ludzie niższego stanu, którzy piją piwo i jedzą kielbaski – wyjaśnił Earnest. – A kiedy powiedziałem, że być może nie chodzą tam zimą, ojciec odrzekł, że Prater na zimę zamykają, nawet ten gigantyczny diabelski młyn.

– Jak zwykle wasz ojciec ma rację tylko w połowie –

* Z niem. „ogród zoologiczny”.

zauważyła Pandora. To była zuchwała uwaga, jak na dziewczynę w jej wieku, o mężczyźnie z pozycją mojego ojczyma, bez względu na stosunki między obojgiem, stosunki, których natura wprowadzała całkowity zamęt do naszych umysłów. – Może i zamykają na zimę, ale ja mam wyjątkowych znajomych, którzy go nie zamykają w złą pogodę.

Nim dojechaliśmy do celu, zrobiło się koszmarnie zimno. Miejsce rzeczywiście było zamknięte na zimę i wyglądało wyjątkowo odludnie. Przy bramie były szlabany uniemożliwiające wjazd do środka, gdzie stały wielkie mechaniczne urządzenia. Zoe była zdruzgotana.

– To niesprawiedliwe – powiedziała Pandora. – Lafcadio, ty przeniesiesz Zoe na ramionach przez tamte zaspy. W środku jakoś sobie poradzimy.

Kazaliśmy stangretowi skryć się razem z powozem i końmi pod wiaduktem kolejowym. Pandora uniosła grube spódnice, ja wziąłem Zoe na ramiona i obchodząc bokiem szlabany, wmaszerowaliśmy w ciszę białych arkad parku. Kiedy znaleźliśmy się na szerokiej *Hauptallee**, pod kopułą majestatycznych drzew, gdzie ścieżki były gładkie, postawiłem Zoe na ziemi.

– Lafcadio, wreszcie możemy ci wszystko powiedzieć przemówił Earnest. – Bo widzisz, ojciec w ogóle nie chciał się zgodzić na twój przyjazd do Wiednia. Dochodziło z tego powodu do okropnych

awantur. Gdyby nie Pandora, nie byłoby cię tutaj.

Dochodziło do awantur przeze mnie? Popatrzyłem na Pandorę.

–Co wiesz o swoim ojczymie? – spytała.

–Właściwie nic. Nie widziałem ani jego, ani matki blisko osiem lat – odpowiedziałem, starając się stłumić w sobie gorycz. Choć mdliło mnie na samą myśl, że od wczoraj jestem legalnym synem Hieronymusa Behna, czułem się niezręcznie, mówiąc w ten sposób wobec przyrodniego rodzeństwa, idącego obok mnie.

–Zoe i ja sami niezbyt dobrze znamy ojca – powiedział Ernest, kopiąc śnieg czubkami perfekcyjnie wyczyszczonych butów z cholewami. – On zawsze wychodzi na jakieś spotkania albo wyjeżdża w ważnych interesach. Nigdy też nie jesteśmy

* Z niem. „główna aleja”.

sam na sam z matką; moja guwernantka albo niania Zoe, albo służba... zawsze ktoś się kręci koło nas, tak jak wczoraj wieczorem.

– Twoja matka jest prawdziwym więźniem we własnym domu – zgodziła się Pandora. Następnie, zobaczywszy moją minę, dodała: – To nie znaczy, że jest skuta łańcuchami i trzymana na strychu. Ale od przeprowadzki do Wiednia, osiem lat temu, nigdy nie pozwolono jej na chwilę odosobnienia. Jest pilnowana przez komplet służących, które czytają jej listy. Nie ma przyjaciół ani nie przyjmuje gości i nigdy nie wychodzi z domu inaczej, jak pod eskortą.

– Ale ty powiedziałaś, że jesteś jej przyjaciółką? – zauważyłem.

Przez te wszystkie lata po tysiącuroc wysilałem umysł, chcąc zrozumieć, dlaczego moja matka mnie porzuciła. Przez te wszystkie lata narastała we mnie gorycz. Gorycz tym większa, że matka miała u swojego boku dwoje innych dzieci. Może tylko pragnąłem wierzyć, a może wierzyłem naprawdę, że za tym wszystkim stoi mój ojczym. Czy rzeczywiście był aż tak nikczemnym człowiekiem, jak to sobie wyobrażałem? Ale to był dopiero początek rewelacji Pandory.

– Dwanaście lat temu, wżeniwszy się w waszą fortunę mówiła – Hieronymus Behn przekazał ją, łącznie z udziałami w kopalniach, którymi twoja matka jeszcze dysponowała, w ręce międzynarodowego konsorcjum zajmującego się eksploatacją złóż minerałów i ich przetwórstwem, konsorcjum z tak ogromną liczbą spółek, że aby je kontrolować, zarząd musiał się przenieść z prowincjonalnej Afryki do światowej stolicy, do Wiednia. Twój ojczym szybko się zorientował, że w Wiedniu nie wystarczy mieć pięknej i bogatej żony, i bezkarnie korzystać z jej majątku. Dla uzyskania dostępu na salony wiedeńskiej arystokracji potrzebne były nieskazitelne towarzyskie rekomendacje. W kwitnącej dobrobytem katolickiej Austrii biedny holenderski kalwin czym prędzej musiał ukryć swoje korzenie, a także pogrzebać historię nieznanego pochodzenia i wyniesionej z sierocińca edukacji twojej matki. Poza tym po kobiecie z pozycją Hermione spodziewano się wielkoświatowego szlif: wiedzy z dziedziny sztuk pięknych, a także zainteresowań i zdolności muzycznych, których ona nie posiadała.

Ale ta sytuacja miała swoje dobre strony. Ponieważ w domu twoją matkę zawsze śledziły czyjeś oczy, pozwolono jej współdecydować o doborze prywatnych nauczycieli, którzy dawaliby lekcje jej i jej dzieciom – a dla twojej matki te lekcje miały być jedyną szansą przebywania sam na sam, choćby przez krótki czas, z kimś, kto nie podlegał całkowitej kontroli jej męża. Oto jak my dwie się poznałyśmy: przede mną rozmawiała z wieloma kandydatami, ale po zaledwie kilku minutach rozmowy odrzucała jednego po drugim. Żaden nie spełniał kryteriów, których się po cichu spodziewała.

– Po cichu? – spytałem zdziwiony.

Pandora popatrzyła na mnie oczami pełnymi wyrazu.

– Tak, po cichu. Twoją matkę mógł zadowolić jedynie ktoś, kto pochodził z Salzburga.

– Z Salzburga! – wykrzyknąłem, bo ta oczywista prawda poraziła mnie jak grom. – Moja matka chciała mnie znaleźć... ale on, on! jej na to nie pozwalał, czy tak?

Pandora przytaknęła i mówiła dalej:

– Miałam przyjaciela Augusta, na którego mówiło się zdrobniale Gustl, młodego alceistę studiującego w Konserwatorium Wiedeńskim i dorabiającego sobie prywatnymi lekcjami. Gustl pochodził z małego miasteczka pod Salzburgiem i wiedział, że w Salzburgu mam rodzinę. Kiedy twoja matka, egzaminując nauczycieli, sprowadziła rozmowę na to miasto, Gustl wspomniał o mnie, i oto jak zostałam nauczycielką muzyki w domu Behnów.

– I oto jak Pandora znalazła ciebie w Salzburgu – wtrąciła Zoe – i jak mama i Earnest, i ja dowiedzieliśmy się o tobie wszystkiego!

– Ale sama nigdy nie przyjechałaś do Salzburga, żeby mnie zobaczyć – zauważyłem.

– Tak myślisz? – odpowiedziała Pandora, unosząc brew.

Doszliśmy do centrum Prateru. U zbiegu alejek górował nad

całą resztą ów gigantyczny diabelski młyn, o którym wspominał Earnest, jak błyskotka przystrojony dyndającymi srebrnymi wagonikami, i tak wysoki, że niknął w nabrzmiąłych śniegiem chmurach. Byłem gotów się założyć, że przy dobrej pogodzie z jego czubka można by zobaczyć całą Ringstrasse, czarodziejski krąg, który otaczał śródmieście Wiednia. Pod diabelskim

młynem przycupnęła dziecinna karuzela: podskakujące strusie, żyrafy, jelenie – dziwnie nie na miejscu w tej mrocznej bieli padającego śniegu. Karuzela zataczała koło za kołem cicho i bezszelestnie, wprawiona w ruch w jakiś tajemniczy sposób, tak jakby zwierzęta czekały na nasze przyjście.

Nieopodal, na kamiennej ławce, plecami do nas siedział mężczyzna ubrany w marynarską kurtkę i wełniany marynarski beret. Zaczął wykręcać się w naszą stronę, tak jakby się nas spodziewał. Chwyciłem Pandorę za ramię.

– Dlaczego mój ojciec trzymał mnie z dala od matki, i to przez tyle lat? – zapytałem. – Jakaż to matka, która pozwala na takie rzeczy? Nawet jeśli była więźniem, jak powiadasz, to i tak mogłaby przemycić list czy dwa, przez ten cały czas...

– Uspokój się – rzuciła niecierpliwie Pandora. – Przecież powiedziałam wczoraj, że zagraża ci niebezpieczeństwo. Wszystkim nam zagraża, nawet tutaj, na tym odludziu, jeśli ktoś nas podsłucha. Chodzi o pieniądze, Lafcadio... pieniądze twojego ojca, Christiana Alexandra – a mówię o pięćdziesięciu milionach funtów szterlingów w złotych krugerrandach i o dużych udziałach w kopalniach. Te stanowiły fundusz powierniczy, aby twoja matka mogła żyć z odsetek do końca życia, a cała reszta miała przypaść tobie po jej śmierci. Czy nie widzisz, że właśnie umiera?! Behn przejął kontrolę nad pieniędzmi; zmusił ją, by podpisała dokumenty potrzebne do adopcji, grożąc, że jeśli odmówi, pozbawi ją widywania dwojga pozostałych dzieci. Ta kobieta przeżywa tortury, nie wiedząc, co stanie się z wami...

– Ja i Earnest chcemy uciec – dokończyła Zoe. – Z tobą.

– Ze mną? – zdziwiłem się, gdy tymczasem mój umysł pracował jak szalony. – Ależ ja nigdzie nie uciekam. Nawet nie wiedziałbym dokąd. Nawet nie wiem, co mam zrobić.

– Ty masz dotrzymać tajemnic – powiedziała Pandora do Zoe stanowczym tonem i pociągnęła ją za lok wystający spod dziecinnej oblamowanej futerką czapki. Następnie zwróciła się do mnie: – Chcę, żebyś się spotkał z moim kuzynem Dacianem Bassaridesem, który wyjaśni ci nasz plan. Dacian zimą stróżuje na Praterze. Latem...

Nie słyszałem końca; mój mózg przestał funkcjonować. Mężczyzna z kamiennej ławki podszedł do nas, ujął moją dłoń

w rękawiczce w swoje dłonie i uśmiechnął się ciepło, jakby łączył nas wspólny sekret – bo i łączył! Byłem kompletnie oszołomiony. Wtedy, powoli, przez mglistą dżunglę moich myśli zaczął się przedzierać pierwszy promyk zrozumienia.

Nigdy z nikim nie rozmawiałem o mojej tajemnej namiętności, którą podsyciałem w sobie jak płomień przez wszystkie lata samotnych dni dzieciństwa. Od kiedy znalazłem się w szkole w Salzburgu, każdego dnia po lekcjach chodziłem do pobliskiego lasu i godzina po godzinie grałem na małych skrzypcach – nieledwie zabawce – które dostałem jako dziecko. Nie wiedzieli o tym nawet moi nauczyciele.

Ale nawet najbardziej żarliwe pasje miewają swoje granice: mój instrument był bardzo pośledniego gatunku, a wiedzę muzyczną czerpałem z podsłuchiwania muzyki pod drzwiami Mozarteum, kiedy udawało mi się uciec z bursy. Wszystko to zmieniło się pewnego dnia, prawie rok wcześniej, kiedy jakiś posępnie przystojny młody mężczyzna przechodził wolnym krokiem przez las, grając na swoich skrzypcach – a tak słodko i tak przejmująco, jak gdyby dźwięki rodziły się w jego duszy, nie w drewnianym instrumencie, i zlewały się w jedno z powietrzem w długim namiętym uścisku. Mój nieznamy skrzypek zalecał się do wiatru.

Właśnie tamtego dnia młody mężczyzna, którego na Praterze Pandora przedstawiła mi jako swego

kuzyna Daciana Bassaridesa, stał się moim mistrzem. Spotykaliśmy się w moim lesie kilka razy w tygodniu i to on nauczył mnie grać. Zatem to on był posłańcem Pandory i mojej matki, to on miał mnie odnaleźć.

– Lafcadio, matka naprawdę ma dla ciebie „ostatnie życzenie”. – Pandora postawiła Zoe na platformie kręcącej się karuzeli. – Kiedy dowiedziała się od nas o twoim talencie, zaczęła się modlić, abyś został wielkim skrzypkiem, największym w świecie. Aż do końca zachowała pewien fundusz, który kiedyś ustanowił na twoją edukację twój ojciec chrzestny, pan Rhodes, a o którym twój ojczym nie wie. Nie jest to wielka suma, ale jak na samą naukę muzyki wystarczająco duża. W ciągu kilku lat Dacian przygotuje cię do konserwatorium. Jeśli ojczym przestanie łożyć na twoją naukę, znajdziemy ci jakieś miejsce do życia. Czy podoba ci się plan twojej matki?

Czy mi się podoba? W jeden dzień mój świat odmieniał mi się całkowicie – od przyszłości, która miała mi być więzieniem z ojczymem w roli więziennego dozorca, do słodko pachnących grządek z różami i narcyzami, do ogrodu moich marzeń.

Kręciliśmy się na ośnieżonej karuzeli przez godzinę, a może i więcej. Czas jak gdyby zatrzymał się w miejscu. Dacian zmarzniętymi palcami grał na skrzypcach jakieś urywki melodii, a Pandora nuciła do taktu przez szalik, który parował jej oddechem. Zoe tańczyła i podskakiwała wraz z wirującym kręgiem. Earnest i ja bujaliśmy się w górę i w dół na naszych rumakach – ja na wilku, on na szybującym orle. Moje dopiero co poznane rodzeństwo szeptało mi, każde od siebie, jak może wyglądać przyszłość bez matki. Tyle że ja tę przyszłość już znałem; ta przyszłość była moją całą przeszłością.

Jaka w tym wszystkim była rola Pandory i dlaczego do swoich baśniowych czarów wybrała naszą rodzinę, wciąż było dla mnie tajemnicą. Czuję taką euforię na samą myśl o zrealizowaniu własnych marzeń, że nawet nie przyszło mi na myśl, ile lat zdąży upłynąć, nim poznam odpowiedź na tak zasadnicze pytania.

Idyllę mojej pierwszej rodzinnej wycieczki zakłócił nowy przybysz, który zbliżał się aleją z drugiego końca Prateru.

– Wielki Boże, oto i nasze szczęście! – powiedziała Pandora, poluzniając szalik i biorąc kuzyna pod ramię. – Ale jak nas tutaj znalazłeś?

Bynajmniej nie uważałem, by czyjeś wtargnięcie w świat moich marzeń można było nazwać szczęściem. Być może przychodził po nas. Może mieliśmy wracać do domu. Siedziałem na swojej wysokiej grzędzie, na grzbiecie wilka, i przyglądałem mu się niechętnie.

Był szczupły. Miał pociągłą, bladą, starannie ogoloną twarz. Był na pewno starszy od Pandory. Wyglądał co najmniej na dwudziestolatka. Miał na sobie podniszczony, choć porządnie odprasowany garnitur i artystyczny długi szal z frędzlami, i rękawiczki i... żadnego płaszcza, przy takiej pogodzie! Co chwila odrzucał z czoła przycięty na „romantyczny” fason kosmyk jedwabistych brązowych włosów. Poklepywał się po piersiach, najwidoczniej na rozgrzewkę, i ciągnął za sobą białą smugę oddechu. Kiedy podszedł wystarczająco blisko, zobaczyłem oczy tak zniewalająco błękitne, że prawie nie mogłem oderwać od nich wzroku.

–Szukałem was tak długo, że zmarłem na sopel lodu, *Fraulein* – zawołał do Pandory.

–Proszę, Szczęściarzu, proszę, wejdź na karuzelę i zatańcz ze mną – zapiszczała radośnie Zoe, a ja zrozumiałem swoją pomyłkę. „Nasze szczęście” odnosiło się do imienia tego typu.

Szczęściarz popatrzył na Zoe z udawaną kpina.

–Prawdziwi mężczyźni nigdy nie tańczą, *Liebchen*. Poza tym chcę wam wszystkim pokazać coś ważnego. Koniecznie dzisiaj. Muzeum w Hofburgu w przyszłym tygodniu będzie zamknięte z powodu remontu i gruntownych porządków, a ci Wiedeńczycy są tak *gemutlos**... kto wie, kiedy je znów otworzą? Do tej pory mnie już tu dawno nie będzie. No więc? Mam już nawet bilety...

–Przepraszam, że wyciągnęliśmy cię z domu w takie zimno, Szczęściarzu – tłumaczyła się Pandora. – Widzisz, obiecałam *Frau Behn*, że obwiozę Lafcadio po Wiedniu, nim wróci do szkoły.

–Ach, więc ten kawaler to jeszcze jeden syn Behna... ten Anglik, po części Bur? – spytał Szczęściarz.

Chociaż nie poprawiłem go co do mojej „burskości”, zdziwiło mnie to, że ktoś pochodzący z ludu, ktoś, kto nie ma płaszcza ani nawet kurtki jak Dacian, może tu, w Wiedniu, znać moją rodzinę.

–Lafcadio, Szczęściarz był współlokatorem Gustla – wyjaśniła Pandora. – Gustl to ten muzyk, który przedstawił mnie twojej matce. Obaj chodzili do tej samej szkoły średniej i nawet razem napisali operę.

–Nie widziałem Gustla od lat – powiedział Szczęściarz z uśmiechem, po czym podciągnął się na platformę karuzeli, podszedł do mojego wilka i dodał, jakby tylko do mojej wiadomości, jakby miał to być nasz wspólny sekret: – Nasze drogi się rozeszły. Gustl skierował się ku światu, a ja ku sferom niebiańskim.

Kiedy jego twarz znalazła się tuż przy mojej, zobaczyłem, że ma rzeczywiście nadzwyczajne oczy. Czuję się niemal zahip* Z niem. „nieczuły, bezduszny”.

notyzowany. Przyglądał mi się wnikliwie, jak gdyby od jego oceny mogła zależeć wartość całego mojego życia, przyglądał się i kiwał głową jakby w pełni usatysfakcjonowany. Nie wiadomo dlaczego poczułem się dziwnie szczęśliwy. Potem wrócił do Pandory, wziął jej dłonie w swoje i uniósł czubki jej palców do ust. Ale pocałował grzbiety własnych dłoni – jedynym w swoim rodzaju, dziwnym austriackim zwyczajem, co zdarzało mi się czasami widywać w Salzburgu.

– Przystałem pisywać libretta – mówił dalej – i wróciłem do malarstwa; moje akwarele doczekały się pewnego sukcesu. Ostatniej jesieni, w dzień świętego Michała, zaangażowano mnie do drobnych poprawek przy złoceniach w sali Rubensa w Kunsthistorisches Museum. Kiedyś przyszedłem do Hofburgu tuż przed jego zamknięciem. I wtedy znalazłem tę niezmiernie ciekawą rzecz. Od tamtego czasu ślęczę nad nią w bibliotece wieczór w wieczór. Odbyłem nawet podróże. W górę Dunaju, do Kremsu, i dalej, do klasztoru benedyktynów w Melku, do ich biblioteki z całkiem interesującymi manuskryptami. Zawitałem nawet do Salzburga. – Zwrócił się teraz do mnie: Nie wierzę w przypadki, młodzieńcze. Wierzę jedynie w przeznaczenie. Ot, weźmy zwierzęta, na których

obaj siedzicie. Ciekawe, że spośród wielu innych, spośród całej menażerii jeden z was wybrał orła, a drugi wilka. Orzeł w staro-górnoniemieckim nazywał się *Earn*, i Earnest siedzi okrakiem na orle, podczas gdy ty wybrałaś wilka. Imię obecnego tu kuzyna Pandory, Daciana, wywodzi się od wojowniczych Daków, plemion trackich zamieszkujących w starożytności tereny dzisiejszej Rumunii. Widzisz, dzięki nauce nie tylko rozszerzamy nasze możliwości intelektualne, ale także sposób postrzegania nas samych i naszej historii. Mój przydomek, Szczęściarz, to wymysł moich przyjaciół kpiarzy. Imię, które nadano mi przy chrzcie, w staro-górnoniemieckim brzmi *Athal-wulf*, co można tłumaczyć jako „szlachetnie urodzony” albo „szczęśliwy wilk”. A moje nazwisko pierwotnie musiało znaczyć to samo co Bur: *Heideler*, „mieszkaniec wrzosowisk”; żyjący z ziemi *Bauer*...

– Stop! – krzyknęłam i gwałtownie zamachałam dłonią, przerywając w połowie autobiograficzne wynurzenia stryja Lafa. – Wolnego, mój drogi stryju. Czyżbyś chciał powiedzieć, że ten gość to był sam Adolf Hitler?

Kiedy jedyną odpowiedzią Lafa był uśmiech, spojrzałam na Oliviera i Bambi. Oboje patrzyli przed siebie tępo, szklistymi oczami, niczym para pstrągów nagle pozbawionych życiodajnej wody.

– Gavroche, historia prawie dobiegała końca...

– Dla mnie już się skończyła – odpowiedziałam, odsuwając na bok mój w połowie zjedzony omlet z *saumon fume** i wstając od stołu.

– Dokąd idziesz? – zapytał uprzejmie Laf.

Olivier zmagał się ze swoją serwetką, najwyraźniej próbując wykombinować, czy jest moim gościem, czy Lafa. Dałam znak ręką, by został na swoim miejscu.

– Na spacer – odpowiedziałam Lafowi. – Muszę łyknąć świeżego powietrza, zanim poprosisz mnie, bym przełknęła coś więcej.

– Nie zmuszam cię do przełykania niczego poza szampanem – powiedział Laf, ciągle się uśmiechając i poklepując mnie po zdrowym ramieniu. – Chętnie wybiorę się z tobą na ten twój spacer. A może pójdziemy popływać? Co ty na to? Tymczasem twój przyjaciel pokaże Bambi kawałek gór. Oczywiście, jeśli ma na to ochotę. – Laf podniósł pytająco brew w stronę Oliviera, który już był na nogach.

Po zamieszaniu z kelnerami, płaszcami i podziękowaniami, i uściskami, Bambi i Olivier zniknęli gdzieś na najbliższym stoku, a Laf i ja poszliśmy na basen. Ze szklanymi ścianami, podgrzewany, otoczony górami, z widokiem na niebo. Volga Dragonoff czekał tam na nas z kostiumami kąpielowymi.

– Stryju Lafie – wypaliłam, kiedy wreszcie zostaliśmy sami, ukryci w kłębach parujących, relaksujących mineralnych wód jak mogłeś opowiadać tę absurdalną historię przy śniadaniu? Olivier jest moim przyjacielem, ale także moim kolegą z pracy. Po dzisiejszym ranku gotów pomyśleć, że moja rodzina jest bardziej zwariowana niż w rzeczywistości.

– Zwariowana rodzina? W mojej opowieści nie widzę nic zwariowanego – sprzeciwił się Laf. –

Każde zdarzenie to najprawdziwsza prawda.

Stryj Laf zanurkował głową pod wodę. Kiedy wypłynął,

* Z franc. „wędzony łosoś”.

srebrna grzywa włosów spłynęła mu na tył czaszki, podkreślając wspaniałą rzeźbę twarzy i przenikliwość niebieskich oczu. Jak bardzo musiał być przystojny w młodości, pomyślałam. Nic dziwnego, że Pandora się w nim zakochała. Ale czy to nie w tym tkwił problem?

– Wszystko, co powiedziałaś, to zwykły mit – wytknęłam Lafowi – zwłaszcza te kawałki o naszej rodzinie. Pierwszy raz słyszę, że twój ojciec był Anglikiem, a tym bardziej że miał fortunę idącą w setki milionów dolarów! A jeśli Pandora nienawidziła mojego dziadka Hieronymusa tak bardzo, jak powiedziałaś, to dlaczego uwinęła się ze swoim zamążpójściem jeszcze w tym samym roku, kiedy ty wciąż miałeś te swoje dwanaście lat, i dlaczego została z tym znenawidzonym człowiekiem tak długo, by doczekać się jego dziecka?

– Wyobrażam sobie, jaka była wersja Augustusa – powiedział Laf z nutą cynizmu w głosie, czegoś, co usłyszałam u niego po raz pierwszy. – Ale teraz, kiedy jesteśmy sami, będę z tobą szczery. Choć mierzi mnie myśl, by opowiadać ci o twoim dziadku, Gavroche, zadałaś dobre pytanie: dlaczego Pandora poślubiła tak nikczemnego człowieka.

Otóż kiedy wróciliśmy do domu tamtego popołudnia, powiedziano nam, że nasza matka umarła podczas naszej nieobecności. Młodsze dzieci nie posiadały się z rozpaczy, i wszystkich nas wysłano do łóżka. Następnego ranka, ledwo nastał świt, kilku silnych służących zabrało mnie do pociągu i przemocą odeskortało do Salzburga.

Od tamtego dnia nie widziałem Pandory przez blisko pięć lat, ponieważ wywieziono ją z Wiednia, a potem wybuchła wojna. Dopiero pięć lat później dowiedziałem się, jak mój ojczym gwałcił ją jeszcze tamtej nocy – więcej niż raz. Jak zmusił ją do małżeństwa pod groźbą, że ujawni o niej takie rzeczy, które mogłyby spowodować na nią wielkie zagrożenie, na nią i na jej rodzinę.

– Że co zrobi? – Wybałuszylam na niego oczy. – Stryju Lafie, czyś ty oszalał?

– Nie... ale w tamtych dniach byłem bliski szaleństwa odpowiedział mi ze słodko-gorzkiem uśmiechem.

Po sposobie, w jaki mówił, wiedziałam, że mówi prawdę, i tylko się zastanawiałam, czy mówił już o tym komuś innemu.

– Dokończ swoją opowieść, stryju Lafie – poprosiłam, podpływając bliżej i kładąc mu dłoń na ramieniu. – I przepraszam za tamte moje słowa. Naprawdę chcę wiedzieć wszystko.

– Zatem niech zacznę od nowa, od Szczęściarza, który wsiadł z nami do powozu, od wizyty w Hofburgu, gdzie obejrzeliliśmy kolekcję broni, i od odkrycia, którego dokonał, od tajemniczego i fascynującego starożytnego skarbu...

MIECZ I WŁÓCZNIA

Przez wiele wieków austriaccy Habsburgowie cięli i na powrót sklejali swoje wielkie cesarstwo całą serią wspaniałych małżeństw z kobietami, które dziedziczyły korony Hiszpanii, Węgier i tak dalej. Teraz część Hofburgu przekształcono na muzeum, aby pokazać publiczności cesarskie klejnoty, srebra stołowe i przeróżne kolekcje gromadzone przez stulecia.

Kolekcja, jedna z najlepszych na świecie, szczególnie interesowała Szczęściarza. Powiedział, że wierzy w przeznaczenie, i w drodze do muzeum, w powozie nam, dzieciom, wbijał do głowy, że przeznaczeniem niemieckojęzycznego narodu jest zachowanie czystości rasowej i etnicznej, że niemieckojęzyczny naród nie powinien rządzić się prawami habsburskiej dynastii i zawierać mieszanych małżeństw, jak również nie powinien płodzić pospólstwa podobnego temu, powiedział, które widzimy wokół nas na ulicach stolicy. Ale to już inna historia o Adolfie, którą tymczasem zdążyli poznać wszyscy.

Wracając do naszego tematu: Szczęściarz odkrył w Hofburgu dwa obiekty, których widok wręcz go poraził: miecz i włócznię. Te przedmioty, które w jego przekonaniu miały być niezwykle stare i wartościowe, znajdowały się, o dziwo, w rogu zwykłej szklanej gabloty. Miecz był długi i zakrzywiony, z rękojeścią bardziej typową dla oręża średniowiecznego niż starożytnego. Włócznia nie rzucała się w oczy, była mała, czarna, z prymitywną tuleją łączącą drzewce z grotem. Przyglądaliśmy się obu przedmiotom przez jakiś czas, aż w końcu Earnest zapytał Szczęściarza o ich znaczenie.

– Te sztuki – rzekł rozmarzonym głosem Szczęściarz pochodzą sprzed co najmniej dwóch tysięcy lat. Wiadomo powszechnie, że istniały już w czasach Chrystusa i, co bardzo prawdopodobne, były w posiadaniu jego uczniów. Panuje przekonanie, że to ten miecz, którym w Ogrodzie Oliwnym święty Piotr obciął ucho strażnikowi świątyni. Jezus kazał mu się go pozbyć, albowiem „kto mieczem wojuje, od miecza ginie”.

– Ale jeszcze bardziej interesująca jest włócznia – ciągnął Szczęściarz. – Należała do rzymskiego centuriona, Gajusza Kasjusza Longinusa, który podlegał Poncjuszowi Piłatowi. Właśnie tą włócznią Longinus przekłuł bok Chrystusa, aby się upewnić, że już nie żyje, i wtedy z boku Chrystusa popłynęła krew...

W szkle gabloty, przed którą staliśmy, odbijała się długa, blada twarz Szczęściarza. Szczęściarz, zapatrzony w broń, wciąż zdawał się śnić na jawie. Rozszerzone źrenice tych intensywnie niebieskich oczu pod gęstymi ciemnymi rzęsami płonęły dziwnie hipnotyzującą mocą. Ale Pandora, która stała po drugiej stronie gabloty, szybko odczyniła czary.

– Tabliczka wewnątrz gabloty – powiedziała obojętnie informuje, że miecz prawdopodobnie należał do Attyli, wodza Hunów, a włócznia do Fryderyka I Barbarossy, władców, którzy zajmują poczesne miejsca w historii Niemiec i w micie o teutońskiej potędze. Wspomina także o pewnej legendzie, która głosi, że jeśli kiedykolwiek te dwie sztuki dostaną się do rąk jednego wojownika... co prawdopodobnie zdarzyło się w wypadku Karola Wielkiego... ów wojownik stanie się przywódcą całego cywilizowanego świata.

– Czy to dlatego Habsburgowie rządzą tak wieloma krajami? – zapytałem ją, podekscytowany samą tajemniczą legendą. – Przecież oni je właśnie posiadają.

Odpowiedział mi jednak Szczęściarz, który najwyraźniej wrócił do rzeczywistości.

– Napis na tabliczce informuje, że ma je posiadać wojownik – warknął. – Tak zwani Habsburgowie są tyle samo warci co ich nazwisko: jastrzębie gniazdo*, nie jastrząb. Wystarczy, że przysiada na byle żerdzi, a już się gnieźdzą i porastają w piórka. Ani z nich myśliwi, ani przywódcy dumnego, walecznego narodu. A samo posiadanie tych dwóch przedmiotów, jak mi wia* Niem. *Habichtsburg* – „zamek jastrzębia”.

domo, to za mało dla tego rodzaju potęgi, o której mówisz. Poza nimi jest wiele innych, pokrytych pyłem stuleci – ale tylko, kiedy wszystkie dostaną się w ręce jednego człowieka, świat zostanie odmieniony. Wierzę, że taki czas właśnie nadchodzi.

Spojrzeliliśmy teraz na miecz i włócznię z respektem. Choć ja się po cichu zastanawiałem, jak mogłaby się dokonać taka głęboka przemiana, jeśli wszystkie inne „starożytne skarby” są równie kruche i niepozorne jak te.

– Jeśli taki czas właśnie nadchodzi – usłyszałem zza pleców łagodny głos – to chyba już wiesz, jakie są te inne przedmioty?

Odwróciliśmy się i zobaczyłem, że łagodny głos należy do kuzyna Pandory, mojego mistrza w grze na skrzypcach, Daciana Bassaridesa, który podczas całej naszej wyprawy był tak milczący, że prawie o nim zapomnieliśmy.

Szczęściarz przytaknął podekscytowany.

– Na pewno jest ich trzynaście. Niektóre to naczynia, inne to szaty, poza tym jakieś narzędzia czy sprzęt wojenny... i jedna gemma. I coś w rodzaju gry planszowej. Choć wiem, na podstawie moich dotychczasowych dociekań, że w ciągu stuleci każdy z tych przedmiotów mógł zmienić wygląd, ostatnio jestem absolutnie pewien, że wszystkie istniały za czasów Chrystusa: innymi słowy, u zarania ostatniej nowej ery. Dlatego udałem się na dalsze badania do Melku, a potem do Salzburga, ponieważ tu, nad rzeką i wysoko w górach Salzkammergut, znajdują się miejsca, gdzie kiedyś mieszkali nasi protoplaści i gdzie, według znanego mi przesłania, powinny się znajdować przedmioty, których szukam. Jest taka informacja, zapisana w runach...

– W runach? – powtórzyłam zaniepokojona.

Tymczasem stryj Laf nie tylko przerwał swoją opowieść, ale

zdawał się dryfować ku innemu światu.

– Manuskrypt napisany alfabetem runicznym. Przypuszczam, że to jest to „coś”, co twój kuzyn Sam zapisał ci w testamencie – powiedział po chwili, wynurzając się z morza swych koszmarnych wspomnień. – Szczęściarz, czyli Adolf, podjął się zebrania i rozszyfrowania tych runów już wtedy w Wiedniu, w przededniu pierwszej wojny światowej... podjął się zadania, którego, jak jestem przeświadczony, nigdy nie zdołał wypełnić. Ale wypełnił je ktoś inny.

– Nie sądzę, żebym dostała coś takiego od Sama – rzekłam, o mało co nie wygadując się, że Sam żyje i że rozmawiałam z nim o tej sprawie. – Dostałam za to inny dokument, również napisany

alfabetem runicznym, od twojego przyjaciela, choć jak do tej pory nie miałam okazji, żeby mu się przyjrzeć.

– Od mojego przyjaciela? – zdziwił się Laf. – To znaczy od kogo?

– Od Wolfganga Hausera, wiedeńczyka...

– Gavroche, o czym ty mówisz? – Nawet przez wodne opary mogłam zobaczyć, że twarz Lafa zbieleła pod opalenizną. Wolfgang Hauser nie jest moim przyjacielem. W jaki sposób zdobył ten manuskrypt? Gdzie go ma?

Być może moja twarz oddawała dokładnie stan mojej duszy, bo kiedy Laf popatrzył na mnie, powiedział:

– Och, Gavroche, coś ty zrobiła?

Modliłam się, by moja odpowiedź nie zabrzmiała „spieprzyłam sprawę, do jasnej cholery”, choć na to wyglądało.

– Stryju Lafie, chcę, żebyś mi szczerze powiedział, kim jest Wolfgang Hauser i jak go poznałeś. – Dobierałam słowa ostrożnie, choć byłam pewna, że lepiej byłoby nie usłyszeć odpowiedzi.

– Ależ ja go w ogóle nie znam. Spotkałem go tylko raz czy dwa. To faworyt Zoe, jeden z tych przystojniaków, którymi twoja ciotka lubi się obwieszać jak brylantami.

Pochwaliłam się w duchu za to, że nawet nie mrugnęłam okiem, słysząc tak nieciekawą charakterystykę ostatniej wielkiej namiętności mego życia – a także za pominięcie milczeniem oczywistego faktu, że można by to samo powiedzieć o stryju Lafie i Bambi.

– Ale znam twoją ciotkę Zoe – ciągnął stryj Laf. – To żadna królowa nocy, jak sama o sobie lubiła rozpowiadać... wierz mi, nic z tych rzeczy. Królowa nocy to był jedynie sprytny szyld, zamierzona propaganda, przykrojona i uszyta specjalnie dla Zoe, najśłynniejszej tancerki tamtej doby, przez najzdolniejszego krawca naszego stulecia. Ona i ów dobroczyńca spędzili parę dziesięcioleci, próbując zdobyć manuskrypt Pandory, tej, która ostatecznie zebrała go w całość. Być może zdążyłaś już zgadnąć, że mentorem Zoe, najlepszym przyjacielem i najbliższym powiernikiem przez dwadzieścia pięć lat jej życia był nikt inny jak Adolf Hitler.

Stryj Laf przerwał i popatrzył na mnie. Zrobiło mi się niedobrze, czułam, że muszę wyjść z tego parnego ukropu, że jeszcze chwila, a zemdleję. Następne słowa Lafa zdawały się nieść echem ponad wodą.

– Ani Zoe, ani Wolfgang Hauser nie mają tego manuskryptu. To niemożliwe. Wszystko, co należało do Earnesta, było przez niego pilnie strzeżone aż do końca życia. – Po chwili przerwy stryj Laf wyszeptał: – Gavroche, pokładam w Bogu nadzieję, że nie uwierzyłaś Hauserowi ani że nie zostawiłaś go sam na sam z manuskryptem choćby na chwilę. Jeśli tak się stało... z pewnością naraziłaś na niebezpieczeństwo to wszystko, za co Pandora i Earnest ryzykowali życie... to, co, być może, nawet przypłacili życiem, tak samo jak twój kuzyn Sam.

PRAWDA

Jeśli mnie trop naprowadzi, odkryję Prawdę skrytą, niechajby nawet Ziemia ją skrywała.

Szekspir, *Hamlet*

Jezus: Jam się na to narodził, i na tom przyszedł na świat, abym świadectwo wydał prawdzie; wszelki, który jest z prawdy, słucha głosu mego.

Piłat: Cóż jest prawda?

Ewangelia św. Jana 18, 37-38

Dlatego trud odnalezienia prawdy, a zwłaszcza prawdy o bogach, jest tęsknotą za boskością.

Plutarch, *Moralia*

To rodzaj mojego hobby: prawda.

Cary Grant jako John Robie, mistrz sztuki złodziejskiej w filmie *Łapać złodzieja*

Judea

wiosna A.D. 33

PIERWSZY APOSTOŁ

Po swym zmartwychwstaniu, wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia, Jezus ukazał się najpierw Marii Magdalenie... Ci [jego uczniowie] jednak słysząc, że żyje i że ona go widziała, nie chcieli uwierzyć.

A czymże jest prawda? – spytał Jan Zebedeusz swojego starszego brata, Jakuba. – I czy Józef z Arymatei może wymagać, byśmy pamiętali rzeczy sprzed roku albo i więcej?

Dwaj bracia zostawili za sobą port w Jaffie i okręt, na którym Jakub dopiero co wrócił z rocznej misji w celtyckiej części Iberii. Wyjechali z miasta szerokim kamienistym traktem.

– Kiedy zwinęliśmy na wyspy Brytanii – rzekł Jakub Józef powiedział mi, że w historii ostatnich dni Mistrza brakuje jakiegoś istotnego elementu. Mistrz, jak ci wiadomo, zawsze mówił, że swoim spadkiem, swoimi „tajemnicami” obdzielili najwierniejszych uczniów. Józefowi przyszło na myśl, że być może zdając sobie sprawę, iż jego dni na ziemi są policzone, wyjawiał te tajemnice w formie jakiejś przypowieści, a żaden z nas nie rozumiał ukrytego w niej znaczenia. Stąd mój nagły powrót. Mam dostarczyć list Józefa do Miriam z Magdali, aby to ona rozważyła nurtującą nas kwestię. Poza tym Józef ma

nadzieję, że my – ty, Szymon Piotr i ja – jako trzej wybrani przez Mistrza następcy, udzielimy jej wsparcia.

Jakub i jego młodszy brat Jan Zebedeusz, wespół z innymi rybakami, Szymonem Piotrem i jego młodszym bratem Andrzejem, byli pierwszymi uczniami zwerbowanymi przez mistrza do jego misji. Mistrz, znalazłszy ich nad brzegami jeziora Genezaret, nakazał, by zostawili swoje sieci i poszli za nim: odtąd miał ich nauczać „połowu ludzi”. Zebedeusze, pierwsi z wybranych, spodziewali się szczególnego traktowania. I nie zawiedli się... tyle że nie do końca. Przez ten jeden, ostatni rok straciliśmy wszystko, pomyślał Jan z goryczą. Jego starszy brat zbyt długo bawił w obcych krajach; teraz musi poznać wiele prawd.

– Wiesz, bracie, list do Miriam z Magdali? – spytał Jakuba. – A co ona ma z tym wspólnego? I skąd to jej szczególne posłannictwo?

– Józef zawsze brał stronę Miriam, kiedy uznawała siebie za pierwszego apostoła: pierwszego, bo tamtego ranka, w ogrodzie Józefa, w Getsemani, ona pierwsza zobaczyła zmartwychwstałego Mistrza – wyjaśnił Jakub. – Gdy Józef mówi o Miriam, zawsze nazywa ją Pierwszą Wysłanniczką, apostołem apostołów. I czy nam się to podoba, czy nie, musimy przyznać, że Mistrz tamtego ranka uhonorował Miriam w sposób niezwykle. Poza tym przez całe życie darzył ją szacunkiem.

– Szacunkiem i pocałunkami! – burknął Jan. – Wszyscy wiedzą, że to ja byłem jego najukochańszym uczniem. Traktował mnie jak dziecko i obejmował nawet częściej niż Miriam. Czyż w chwili śmierci nie powierzył mi swojej matki, tak jakbym był jej prawdziwym synem? Mistrz powiedział, że gdy nadejdzie królestwo niebieskie, ty i ja będziemy pić z jego kielicha, a to jest większy honor od każdego, którym kiedykolwiek obdarzył Miriam.

– Lękam się tego kielicha, Janie – powiedział cicho Jakub. A chyba i ty powinieneś się go lękać.

– Mój bracie, od kiedy opuściłeś Judeę, wszystko się zmieniło. Nawet nasz triumwirat już nie istnieje. Piotr powiada, że tylko jedna „skała” może być kamieniem węgielnym, i że to jego wybrał Mistrz. Pojawili się wichrzyciele. Pojawiała się zazdrość. Uraza. Przyjaciół występuje przeciw

przyjacielowi. Gdybyś ten

rok spędził w Jerozolimie, sprawy być może nie przybrałyby tak przykrego obrotu.

– Zasmucasz mnie, Janie – odrzekł Jakub. – Choć nie wierzę, by cały nasz wysiłek poszedł na marne, by przypadło wszystko.

Położył dłonie na ramionach młodszego brata, zwyczajem Mistrza. Jan posmutniał. Jakże mu brakowało prostoty i siły tamtego!

– Jakubie, niczego nie rozumiesz – stwierdził z goryczą. Miriam stała się dla Piotra szczególnie dokuczliwym cierniem. Od miesięcy żyje z rodziną w Betanii w zupełnym odosobnieniu. Od miesięcy nikt jej nie widuje. Piotr, za to bliskie obcowanie z Mistrzem, ma do niej wielki żal; większy niż do mnie. To przez nią zmienił wszystko: kobiety nie głoszą nauk ani nie uzdrawiają, ani nawet nie jeżdżą w posłannictwach za granicę, chyba że towarzyszy im jakiś apostoł mężczyzna. I muszą zakrywać włosy, albowiem zostało powiedziane, że taka otwartość i swoboda, jaka była dozwolona za czasów Mistrza, wystawia mężczyzn na zbyt wielką pokusę, a większość kobiet przywodzi do rozpusty...

– Chcesz powiedzieć, że Szymon Piotr ustanowił takie prawa sam? – przerwał mu Jakub.

– Przy poparciu innych, ale zapewniam cię, nie przy moim! Jakubie, musisz zrozumieć, że gdy ty i Józef z Arymatei chcecie poznać prawdę, są tacy, którym się zdaje, że już ją posiadli. Już tka się opowieści tłumaczące każde słowo i każdy czyn Mistrza, a często na krosnach tych, którzy nigdy go nie rozumieli albo i w ogóle nie znali. Te historie są pogmatwane, sprzeczne, a czasami wręcz całkowicie i bezwstydnie kłamliwe! Sugeruje się, na przykład, że tych siedmiu diabłów, których Mistrz wypędził z Miriam, nie było zwykłymi grzechami dumy czy pychy mającej źródła w wykształceniu albo urodzie, lecz czymś o wiele gorszym... czymś sprzedajnym...

– Jakże oni mogą mówić takie rzeczy? – krzyknął Jakub. Piotr na to pozwala? Nie boi się, że Mistrz nie wpuści go do swego królestwa?

– Pamiętaj, proszę – powiedział Jan z gorzkim uśmiechem że klucze do niego dzierży sam Szymon Piotr. Zostały mu dane przez Mistrza, o czym przypomina każdemu przy lada okazji. Jak widzisz, mój drogi bracie, wróciłeś w samą porę.

Brygancjum lato A.D. 34

SŁOWA

Albowiem powstanie naród przeciwko narodowi, i królestwo przeciwko królestwu... powstaną fałszywi Chrystusowie i fałszywi prorocy... zaćmi się słońce, i księżyc nie wyda światłości swojej, i gwiazdy niebieskie będą padały, a moce, które są na niebie, poruszają się...

Ale u wszystkich narodów musi być przed tym głoszona Ewangelia... Niebo i ziemia przeminą; ale słowa moje nie przeminą.

Ewangelia św. Marka 13, 8-31

Było lato. Józef z Arymatei stał nad wznoszącym się nad Zatoką Brygantyjską wysokim urwisku. W gasnącym świetle dnia obserwował, jak wypływa na morze okręt Jakuba Zebedeusza. Brygancjum, niegdyś miejsce kultu wielkiej celtyckiej bogini Brigit, było ostatnim celtyckim portem morskim na kontynencie istniejącym od starożytnych czasów. Większa część Iberii znajdowała się w rękach Rzymu od setek lat, od wojen punickich. Ale ta odległa, północno-zachodnia prowincja została przez Rzym zdobyta, w goryczy i rozlewie krwi, dopiero ostatnio, za Augusta, i duch jej rodowitych mieszkańców daleki był od zniewolenia.

Czy zwano je Celtami, Keltami, Galami czy Celtyberami, te pogańskie – według Rzymian – plemiona odcisnęły piętno na cywilizacjach od Iberii aż po daleką Frygię, w tym wiele same stworzyły. Wspaniałe celtyckie rzemiosło było i nadal jest natchnieniem dla rzemieślników od Skandynawii po Mauretanię; najazdy dzikich celtyckich hord, latami nękające kontynent, wymusiły na Rzymianach stworzenie legionów, formacji wojskowej, która dzisiaj kontroluje większość świata. Natomiast do zachowania świadomości plemiennej i wiary, i żywego języka przyczynili się celtyccy druidzi. I właśnie jeden z nich stał u boku Józefa, na wyniosłym urwisku.

Okręt poniżej na dobre zniknął w ławicy zimnej, ciemnej mgły, która to wybrzeże spowijała zawsze, bez względu na porę roku. Józef przyglądał się teraz skrawkowi nieskalanej plaży, odwiedzanej jedynie przez fale; przyglądał się samym falom, cienkim nitkom jedwabiu, z których każda zniknęła pod następną. To tak, jak słowa Mistrza, pomyślał. Chociaż Mistrz zawsze im mówił, by nie wykuwać jego słów w kamieniu, tylko by o nich pamiętać, możliwe, że zastąpione innymi, jak fala falą, już zdążyły zniknąć z ludzkich umysłów; tam, w dalekiej ojczyźnie, nie było druida, nie było kogoś, kto posiadał wiedzę przechowywania słów.

I możliwe, że jedynymi, które zostały ze słów Mistrza, są te, które w ciągu ostatniego roku zebrała Miriam z Magdali, te, które teraz leżą zapieczętowane w glinianej amforze, w rybackiej sieci u jego stóp: wspomnienia tych, którzy widzieli i słuchali Mistrza w jego ostatnim tygodniu na ziemi.

Józef i druid znaleźli się na tym odludnym urwisku, aby odprowadzić wzrokiem odpływający okręt i porozmawiać o ich własnej misji. Teraz, po odpłynięciu okrętu, Józef odwrócił się do swojego towarzysza.

W skośnych promieniach zachodzącego słońca twarz druida, kanciasta, o nieregularnych rysach, przybrała barwę płonącej miedzi. Jego czerwonozłote włosy były zaplecione w wymyślne warkocze, bezładnie opadające na szerokie bary i mocną pierś. Chociaż nosił taką samą jak Józef luźną celtycką tunikę, z jednego ramienia, spięta złotą broszą, zwisała pelerynka z miękkich puszystych skór rudych lisów, odznaka wysokiego dostojnika klanu lisów. Muskularną szyję zdobiły grube, misternej roboty złote naszyjniki, a górne partie ramion takie same bransolety. I jedno, i drugie nosił zawsze. Oznaczały księcia albo kapłana: jako druid był uważany za obu.

To był Lovernios, Książę Lisów, człowiek, któremu Józef zawierzył całe swoje życie i który mądrością przewyższał wszystkich, prócz Mistrza, znanych mu ludzi. Józef modlił się, by ta wielka mądrość zdołała ich przeprowadzić przez zbliżający się kryzys.

– To chyba koniec, Lovernie – powiedział.

– Być może – odrzekł tamten. – Ale każdy koniec jest początkiem czegoś nowego, jak powiedział mi Jezus z Nazaretu, kiedy go przywiozłeś, by żył pośród nas. I powiedział też, a był chłopcem zaledwie, że ludzie nie lubią zmian. Że rozumiał to podczas podróży z tobą. – Druid uśmiechnął się zagadkowo. Ciekaw jestem, czy ty rozumiesz, co to właściwie znaczy.

– Moim zdaniem – stwierdził Józef – to znaczy, że podobnie jak Miriam z Magdali ty też wierzysz, że Mistrz żyje naprawdę: że przeszedł przez śmierć, a mimo to nadal chodzi między nami.

Druid wzruszył ramionami.

– Przypomnij sobie jego słowa: „Na zawsze pozostanę z wami, choćby do końca świata”.

– Duchowo, tak, to możliwe – zgodził się Józef – ale nie żeby opuścić ciało i wejść w nie z powrotem, jak w płaszcz! Nie, mój mądry przyjacielu, nie przychodzę do ciebie wiedziony prymitywnym zabobnem. Szukam prawdy.

– Tego, czego szukasz, przyjacielu – Lovernios potrząsnął głową – nie znajdziesz w leżących u twoich stóp glinianych naczyniach: one zawierają wyłącznie słowa.

– Tyle że w słowach może być zaklęta magia, sam mi o tym powiedziałaś. Powiedziałaś, że słowa mogą zabijać. Albo uleczyć. Mistrz się modlił, byśmy nie zapomnieli jego słów. Ja się modłę, by któreś z tych zapisanych wspomnień wyjawilo jego ostatnie przesłanie.

– Spisywanie słów nie pomaga wspomnieniom. Ono je niszczy. – Lovernios się skrzywił. – Dlatego nasz lud używa pisanego języka jedynie w wyjątkowych okolicznościach i do niepowszednich czynności: aby ochronić albo uświęcić miejsce, aby zniszczyć wroga, obudzić z uspienia żywioły, wywołać magię. Ani wielkich prawd nie da się spisać, ani w klejnot oprawić idei. Możesz otworzyć te twoje gliniane naczynia, mój przyjacielu, ale znajdziesz w nich jedynie wspomnienia wspomnień, cienie cieni.

– Mistrz od dzieciństwa wspominał druidów. Znał na pamięć Torę i potrafił recytować ją godzinami. Podczas długich morskich podróży czytywałem mu różne historie, a on je także powierzał swojej pamięci. Najbardziej lubił *Ody pytyjskie* Pindara, zwłaszcza fragment „*Kairos* i fala morska na nikogo nie czekają”. W języku greckim są dwa słowa na określenie czasu: *chronos* i *kairos*. Pierwsze oznacza czas wędrówki słońca po niebie. Ale drugie, *kairos*, znaczy „stosowny moment” –

właściwą sekundę, w której musisz złapać falę, inaczej pójdiesz na dno i jedyne, co po tobie zostanie, to zbielale kości. Mistrz przedkładał to drugie znaczenie.

Kiedy widziałem go po raz ostatni – to znaczy kiedy poszedłem mu powiedzieć, że biały osiołek, na którym w najbliższą niedzielę chciał wjechać do Jerozolimy, jest gotów do drogi – Mistrz rzekł: „A zatem dokonało się, Józefie. Idę na spotkanie z moim *kairos*”. To były ostatnie słowa, jakie do mnie wymówił przed śmiercią. – Józef zamrugał powiekami; przełknął łzę. Wyszeptał: – Lovernie, nawet nie wiesz, jak mi go brakuje...

Celtycki książę obrócił się do Józefa, dojrzałego męża równego mu wiekiem i wzrostem, objął go ramieniem i ukołysał jak dziecko. Tak jak robił to Mistrz, gdy sądził, że same słowa nie wystarczą.

– Więc cóż – powiedział w końcu – miejmy nadzieję, że te przebłyski słów, nawet jeśli nie wszystkie prawdziwe, przynajmniej ujmą trochę bólu twojemu sercu.

Józef popatrzył na przyjaciela i kiwnął głową. Następnie podszedł do sieci i wyjął z niej amforę, tę, którą ręka Miriam oznaczyła jako pierwszą. Po złamaniu pieczęci na glinianym pojemniku wyciągnął zeń zwój, rozwinął go i zaczął głośno czytać:

Do Józefa z Arymatei Glastonbury w Brytanii

Od Miriam z Magdali Betania w Judei

Mój całym sercem ukochany Józefie,

Wielkie dzięki za list, który przysłałeś mi przez Jakuba Zebedeusza. Ubolewam, że wypełnienie twojej prośby zajęło mi cały rok, ale jak ci już zapewne Jakub doniósł, tutaj wszystko się zmieniło – wszystko.

Och, Józefie, jakże ja za tobą tęsknię! I jakże jestem wdzięczna, że to mnie poprosiłeś o podjęcie się tego zadania. Wygląda na to, że ty jeden pamiętasz, jak to Mistrz polegał na kobietach. Kto, jeśli nie kobiety, finansował jego misję, dostarczał mu schronienia, kto podróżował i nauczał, i uzdrawiał, i kto pełnił stałą służbę u jego boku? To kobiety, wraz z jego matką Miriam towarzyszyły mu w drodze na Golgotę; stałyśmy, płacząc, pod krzyżem, aż skonał, i poszłyśmy do grobu umyć jego ciało, namaścić je wonnymi olejkami i owinąć w najcenniejsze lniane płótno z Magdali. Krótko mówiąc, my kobiety byłyśmy jedynymi, które trwały przy Mistrzu od początku do końca. A na – wet dłużej niż do końca, tak długo, aż jego duch wstąpił do nieba.

Józefie, wybacz, że wylewam przed tobą wzburzone uczucia. Ale kiedy tam, za morzami, otrzymasz mój list, poczuję się jak tonąca kobieta uratowana w ostatniej chwili. To prawda, w ostatnich dniach Mistrza wydarzyło się coś znaczącego i wielce żałuję, że nie mogę natychmiast zjawić się w Brytanii, jak sobie tego życzysz. Ale to opóźnienie może się okazać błogosławieństwem – otóż to chyba ja odkryłam coś, o czym nie ma wzmianki w żadnym z zebranych przeze mnie wspomnień. To coś jest związane z Efezem.

Matka Mistrza, która i dla mnie jest jak matka, jest wstrząśnięta tak samo jak my wszyscy tym, co stało się ze spuścizną po jej synu i to w tak krótkim czasie. Zdecydowała się wyruszyć do Efezu, na wybrzeże Morza Egejskiego, i poprosiła, bym towarzyszyła jej w drodze i bym została z nią przez rok, nim się tam na dobre zadomowi.

Jej opiekun, młody Jan Zebedeusz, którego Mistrz nazywał *parthenos*, czyli „dziewiczy”, teraz wygląda na dojrzałego męża. Zbudował nam mały kamienny dom na Ortygii*, Przepiórczej Górze, na obrzeżach Efezu: może znasz Efez ze swoich podróży? Jestem pewna, że Mistrz go znał, ponieważ sam wybrał miejsce i powiedział matce o tym na krótko przed śmiercią. To dziwny wybór: dom, jak mi wiadomo, znajduje się o rzut kamieniem od świętego źródła, z którego wyłoniła się grecka bogini Artemida (rzymska Diana). Ale to nie wszystko.

Każdego roku na święto równonocy wiosennej, kiedy czci się narodziny bogini – Ortygia staje się miejscem pielgrzymek całego greckiego świata. Małe dzieci wędrują po tej górze w poszukiwaniu

legendarnych czerwonych jaj, symbolu szczęścia i płodności, poświęconych bogini. Jak na ironię, to świętowanie zbiega się w czasie z naszym Pesach*: tygodniem sprzed dwóch

* Z gr. *ortyke* – „przepiórka”, święty ptak Artemidy.

* Z hebr. „przejście” – święto praśników, obchodzone przez Żydów w pierwszą pełnię wiosenną na pamiątkę wyjścia z Egiptu.

lat, kiedy umarł Mistrz. Tak więc pogańska bogini i związane z nią ceremonie są dziwnie powiązane ze wspomnieniem o śmierci Mistrza, a także z tą jedną rzeczą, tą, której brakuje w innych relacjach: z przypowieścią, z którą zwrócił się do nas Mistrz na górze, dwa lata temu, tego samego dnia, kiedy po powrocie z trwającej rok morskiej wyprawy zawitałeś do mojego domu.

„Kiedy byłem chłopcem”, mówił do nas Mistrz tamtego ranka na górskiej ukwieconej łące, „i podróżowałem po szerokim świecie, dowiedziałem się, że ludzie z dalekiej północy używają jednego słowa na prawdę, sprawiedliwość i wiarę. A więc tak u nich, jak i w naszej żydowskiej tradycji prawda, sprawiedliwość i wiara łączą się w jedno i tak u nich, jak i u nas prawa ustanawiają kapłani. Kiedy ich kapłan wymierza sprawiedliwość, tak jak to bywało za czasów naszych przodków, staje pod *dur, daire* – drzewem, które my nazywamy dębem. Ich kapłan nazywa się druid, co znaczy: mędrzec, jasnowidz”.

„Podobnie jak dawni Izraelici”, mówił Mistrz dalej, „ci ludzie za najświętszą liczbę uważają trzynastkę, liczbę miesięcy w roku kalendarza księżycowego. Ponieważ trzynasty księżyc oznacza koniec roku, tę liczbę utożsamiamy ze zmianą; trzynastka – liczba nowego cyklu, liczba odrodzenia i nadziei. Trzynastka to jądro prawdy w historii Jakuba, który zmagał się z aniołem Boga i stał się Izraelem. Wbrew ludzkiej pamięci, nasz praojciec Jakub miał trzynaścioro, nie dwanaścioro dzieci”.

Następnie Mistrz, uznawszy najwyraźniej, że wszystko wyjaśnił i pora zakończyć naukę, wycofał się w głąb siebie i odwrócił od nas, jak gdyby zamierzał odejść.

„Ależ Mistrzu!”, zawołał Szymon Piotr, „to chyba jakieś nieporozumienie. Przyznaję, o tych kapłanach spod dębów, o których mówisz, nie wiem nic. Ale wiem i wie to nasz naród, że jest dwanaście plemion Izraela, nie trzynaście, tak jak powiedziałeś. To potwierdza Tora i tego nikt nigdy nie kwestionował!”

„Piotrze, Piotrze, Bóg obdarzył cię uszami. Powinieneś mu za ten dar zapłacić, robiąc z nich użytek!”, odparł Mistrz, śmiejąc się i ściskając ramię Piotra. A widząc malujące się na jego twarzy zakłopotanie, dodał: „Nie powiedziałem: trzynaście plemion, lecz: trzynaścioro dzieci. Wsłuchaj się w tę historię od nowa: zapytaj sam siebie, dlaczego ten fakt stanowi jądro prawdy, której szukałem”.

Mistrz podszedł do mnie, a siedziałam pośród innych, w szem ■Wfi

rokiem kręgu bujnej trawy, położył dłoń na moich włosach i uśmiechnął się do mnie.

„Pewnego dnia Miriam być może znajdzie odpowiedź”, rzekł do Piotra. „Zawsze myślałem o niej jak o moim trzynastym uczniu. Ale nadejdzie taki dzień, w którym stanie się także moim pierwszym apostołem: trzynastka i jedynka, dopełnienie cyklu. Alfa i omega, pierwszy i ostatni”. Następnie

dodał, jakby po namyśle: „Zapomniane dziecko Jakuba, to, o którym mówiłem, nazywało się Dina. Jak ja to pojmuję, jądrem prawdy w tej historii jest sama Dina. Jej imię, podobnie jak imię jej brata Dana, znaczy «ten, który sprawuje sądy»”.

Uśmiechając się tym swoim dziwnym uśmiechem, Mistrz odwrócił się po raz drugi i zszedł z góry, a my poszliśmy za nim.

Józefie, wiesz równie dobrze jak ja, że Mistrz nigdy nie mówił przypowieściami i nie uciekał się do paradoksu po to, by komuś schlebić czy wprawić go w zakłopotanie: on miał w tym głębszy cel. Uważał, że tylko wtedy, kiedy sami dociekamy prawdy, kiedy sami do niej dochodzimy, jesteśmy zdolni ją zrozumieć i wchłonać; pozwolić, by stała się częścią nas.

Tamtego ranka Mistrz powiedział wyraźnie, że liczba trzynaście jest związana z hebrajskim kalendarzem księżycowym, a stąd z pojęciem pór roku. Ale nie rozumiem, dlaczego przy okazji nie wspomniał, że nasza Dina zmienia się u Rzymian w Dianę? Chyba nie mógł o tym nie wiedzieć? I dlaczego nie powiedział, że planuje dla swojej matki życie w słynnym dębowym gaju w Ortygii? Że jej dom ma być zbudowany obok źródła, na tym samym miejscu, gdzie się urodziła księżycowa bogini Artemis, nazywana także Dianą, patronka wiosny i źródeł, bogini, ku której czci odprawia się obrządku w dębowych gajach w całym greckim świecie? Nie, ta ostatnia przypowieść Mistrza, skierowana do jego trzody, zebranej – jak się później okazało – po raz ostatni, nie mogła być czystym przypadkiem. Ale biję się w piersi: nie dostrzegłam tego wcześniej.

Józefie, wiem, że ta historia i relacje, które ci wysyłam, dostarczą bogatej pożywki twojemu umysłowi, i że nim znów się spotkamy, przetrawisz je całkowicie. Tymczasem ja dołożę starań, aby dowiedzieć się czegoś więcej o osobistych pobudkach Mistrza (jestem przekonana, że je miał) co do wysłania matki do domu słynnej efeskiej bogini. Możliwe, że razem, ty i ja, znajdziemy brakujące ogniwo, które połączy ze sobą wszystkie, pozornie różne wydarzenia z ostatnich dni Mistrza.

Pozostaję w nieustannej modlitwie, Józefie, by twoje ścieżki były ścieżkami Boga; wysyłam ci moje oczy, uszy, serce, moje błogosławieństwo – żebyś mógł widzieć, słyszeć, kochać i wierzyć, bo tego pragnął dla nas Mistrz.

Miriam z Magdali

Kiedy Józef podniósł wzrok znad listu, słońce już się skryło za horyzontem, a morze nabrało krwistoczerwonej barwy. Nad wodami kłębiła się gęsta, podobna dymom siarkowym mgła. Lovernios stał obok; ze wzrokiem wbitym w przestrzeń sprawiał wrażenie zatopionego we własnych myślach.

– W tej historii jest coś, o czym Miriam nie wspomniała – odezwał się Józef. – To prawda, córka Jakuba, Dina, była jednym z trzynastorga jego dzieci, ale nie urodziła się jako trzynasta. W Torze kolejność narodzin, przynajmniej narodzin synów, ma duże znaczenie. Dina była ostatnim dzieckiem urodzonym Jakubowi przez jego pierwszą żonę, Leę, ale nie ostatnim z całej trzynastki.

– Czy to znaczy, że twój przodek miał więcej niż jedną żonę? – Lovernios wyraźnie nadstawił ucha. Poligamia wśród Celtów zdarzała się rzadko i nie była akceptowana przez elitarną warstwę

druidów.

– Jakub miał dwie żony i dwie nałożnice – odrzekł Józef. Mówiłem ci, że Mistrz cieszył się znakomitą pamięcią, zwłaszcza jeśli chodzi o Torę. W Torze wszystkie liczby są istotne, a to dlatego, że alfabet hebrajski, podobnie jak grecki, opiera się właśnie na nich. Zgadzam się z Miriam; Mistrz chciał naświetlić historię Diny ze wszystkich stron.

– Opowiedz mi ją zatem – poprosił Lovernios.

Zapadł zmierzch i mgła otuliła plażę. Ciemności mogły ogarnąć ziemię lada chwila, więc Lovernios nazbierał trochę chrustu, trochę gałęzi i wyciągniętym z sakwy krzesiwem skrzesał ogień. Kiedy zapłonęło naprędce sklecone ognisko, obaj mężczyźni usiedli na pobliskim kamieniu i Jakub zaczął snuć opowieść.

TRZYNASTE PLEMIE

Historia ma początek w młodzięczych latach naszego przodka Jakuba. Jakub, dwa razy uciekając się do podstępu, po dwakroć pozbawił swojego starszego brata bliźniaka, Ezawa, prawa pierworództwa. Kiedy się dowiedział, że Ezaw zamierza go zabić, uciekł z kraju Kanaan i udał się na północ, w góry nad Eufratem, do plemienia swojej matki. Tam, już pierwszego dnia, zakochał się w przypadkowo napotkanej u studni pięknej pasterce, która przyszła napić swoje owce. Jak się okazało, była to Rachela, młodsza córka brata jego matki, Labana. Nie zwlekając, poprosił Labana o jej rękę.

Laban zgodził się, lecz postawił warunek: najpierw siedem lat służby, dopiero potem małżeństwo. Tak też się stało. Ale o świcie, po pierwszej nocy z nowo poślubioną żoną, Jakub zorientował się, że go oszukano: kobietą, która leżała u jego boku – wzięta po ciemku za Rachelę – była jej zezowata starsza siostra, Lea, w ziemi tej bowiem nie było zwyczaju, by młodszą wydawać przed starszą. Po tygodniu Laban dał mu Rachelę jako drugą żonę, ale także postawił warunek: kolejne siedem lat służby. Liczba siedem to najważniejsza liczba w historii naszego narodu. Na stworzenie świata i na odpoczynek Bóg zużył siedem dni. Liczba siedem oznacza doprowadzenie do końca wszystkich przedsięwzięć twórczych, jest liczbą boskiej mądrości. To, że jedyna córka Jakuba urodziła się jako jego siódme dziecko, jest ważne, choć równie ważne są wydarzenia poprzedzające jej narodzin.

Lea urodziła Jakubowi czterech synów, ale Rachela okazała się bezpłodna; Bóg nie odpowiadał na jej gorące prośby. Zatem Rachela ofiarowała mężowi swoją służącą Bilhę i ta mu urodziła dwóch kolejnych synów. Ponieważ Jakub przestał przychodzić do łoża Lei, Lea ofiarowała mu swoją służącą, Zilpę, i ta też urodziła Jakubowi dwóch synów. Tymczasem nieszczęśliwa Rachela nadal była niczym jałowa ziemia. Ale wkrótce wszystko miało się odmienić.

Pewnego dnia najstarszy syn Jakuba, Ruben, znalazł kilka mandragor na polu pszenicy i przyniósł je swojej matce, Lei. Mandragora ułatwia poczęcie i jest kojarzona z kuszeniem Ewy. Rachela poprosiła Leę, aby ta się z nią podzieliła. Lea dała się

uprosić, ale pod warunkiem że Rachela zwróci jej Jakuba jako męża. Zrozpaczona Rachela zgodziła się, po czym Lea urodziła jeszcze dwóch synów. Wtedy nastąpiło istotne wydarzenie:

siódme i ostatnie dziecko Lei – spośród dotychczasowych jedenastu – było dziewczynką, której dano imię Dina.

Po przyjsciu na świat Diny płodność Lei i jałowość Racheli okazały się końcem i początkiem, a pierworodny syn Racheli, Józef, późniejszy namiestnik Egiptu, miał się stać dwunastym dzieckiem Jakuba. Ostatnim, trzynastym, był Beniamin, którego narodziny spowodowały śmierć Racheli i koniec rodzinnego cyklu. Liczba Beniamina to trzynaście.

Kolejność narodzin dzieci, sposób, w jaki Jakub pobłogosławił każde przed swoją śmiercią, a także sposób, w jaki później Mojżesz błogosławił plemiona na pustyni – wszystko to, jak wiadomo, w historii naszego narodu wielce się liczy. Ale sama Dina pojawia się na widowni dopiero po wyjściu Jakuba z domu Labana.

Po powrocie z dobrowolnego wygnania na północ Jakub kupił w mieście Sychem w Kanaanie ziemię od miejscowego księcia, Chamora, wykopał studnię, która u stóp świętej góry Garizim stoi aż po dziś dzień, i osiedlił się tam z całą rodziną. Pewnego razu Dina szła przez pszeniczne pole, aby popatrzeć na córki tamtej ziemi. Zobaczył ją Sychem, syn Chamora, i zapragnął jej. I zadał jej gwałt. Ale kiedy w jego sercu odezwała się miłość, zabrał zgwałconą do domu i poprosił ojca, aby mu ją wziął od Jakuba za żonę.

Chamor udał się do ojca i braci Diny i w zamian za zgodę na małżeństwo zaproponował im połowę swojej ziemi. Jakub i jego synowie postawili jeden warunek: wszyscy mężowie Kanaanu muszą poddać się obrządkowi obrzezania, nakazanemu żydowskiemu przymierzem. Na trzeci dzień po obrzezaniu dwaj bracia Diny, Symeon i Lewi, wtargnęli do miasta, wymordowali wszystkich mężczyzn, zabili Sychema i Chamora, złupili i zniszczyli domy, zabrali Dinę z domu jej męża, wzięli w niewolę kobiety i dzieci, owce i bydło, i osły, i całe mienie. Jakub, w obawie przed zemstą za równie podstępłą co krwawą masakrę, nakazał rodzinie uciekać z Kanaanu.

Wiemy o tej historii coś więcej:

Jakub z rodziną opuścił Kanaan, aby nigdy tam nie wrócić.

W pobliżu wykopanej przezeń studni – studni Jakuba – rósł dąb sychemski, przy którym po powrocie z Egiptu do Ziemi Obiecanej Mojżesz przykazał Izraelitom wznieść ich pierwszy ołtarz. Pod tym dębem, dzisiaj już legendarnym, Jakub zakopał wszystkie szaty i kosztowności, wszelkie skarby, i nawet statuetki bożków – wszystko, co należało do jego żon i nałożnic, i do służących, i do pojmanych w Kanaanie – aby każdy, nim wyruszy do ziemi jego ojca, przyoblekł się w czyste szaty i zaczął nowe życie.

Między Kanaanem, który porzucili, a leżącą przed nimi Judea, w pobliżu Betlejem, Rachela urodziła trzynaste i ostatnie dziecko Jakuba. Rachela umarła przy porodzie. Dziecko nazwała imieniem Benoni, ale Jakub zmienił je na Beniamin.

– A co z Diną, przyczyną całego zamieszania, tym początkiem i końcem, i odmianą losu? – spytał Lovernios, kiedy Józef skończył swą opowieść.

– Nie wiemy, jak się Dina czuła po perfidnym postępku braci dokonanym w jej imieniu, ponieważ

Dina już się więcej w Torze nie pojawia – odrzekł Józef. – Natomiast przedmioty, które zakopano pod tamtym dębem często są nazywane „spuścizną Diny”, gdyż odmieniły przeznaczenie ludu Izraela, odrywając go od przeszłości i pozbawiając tożsamości. Od kiedy Izraelici opuścili Kanaan, współczesną Samarię, a działo się to prawie dwa tysiące lat temu, i weszli do Hebronu, dzisiejszej Judei, narodzili się powtórnie do nowego, innego życia.

– Czy myślisz, że właśnie to było ukrytym przesłaniem Jezusa z Nazaretu? – drażył Lovernios. – Oderwać się od przeszłości i narodzić powtórnie, i żyć inaczej niż dotychczas?

– Mam nadzieję, że właśnie tego się dowiem z zawartości tych pojemników – odparł Józef.

– Chyba mógłbym zgadnąć, na podstawie listu tej kobiety, co miał na myśli Jezus z Nazaretu i dlaczego zwrócił się do uczniów z taką właśnie przypowieścią – oznajmił celtycki książe. – To musi mieć coś wspólnego ze studnią Jakuba, o której mówiłeś, i z drzewem.

Józef w milczeniu popatrzył w parę ciemnoniebieskich oczu, które w blasku ognia przypominały dwa czarne źródła.

– Przyjacielu, mój lud także ma dęby – ciągnął Lovernios –

całe gaje dębowe, a każdy ze świętą studnią, zasilaną świętym źródłem. I w każdym z tych świętych miejsc składamy daninę dla jedynej w swoim rodzaju bogini. Jej imię nie brzmi ani Dina, ani Diana, choć przez przypadek całkiem podobnie. Ta bogini to Danu, a moje plemię, Tuatha De Danann, to jej potomkowie. Danu: dziewica i wielka matka wszystkich wód gruntowych, czyli słodkiej wody, takiej jak woda ze źródeł i studni. Jej imię znaczy dosłownie „podarunek”; podarunek życia, bo woda to życie. My składamy swoje daniny mniej więcej tak samo, jak składał je Jakub, wasz przodek, tylko że nie zakopujemy naszego skarbu pod dębem, lecz ciskamy go do studni w pobliżu dębu, gdzie czekają nań otwarte ramiona bogini.

– Ale chyba nie myślisz naprawdę, że końcowe przesłanie Mistrza... – zaczął Józef.

– Odnosiło się do czegoś, co ty byś nazwał przesądem, pogańskim obrzędem, czy tak? – dokończył Lovernios z wymuszonym uśmiechem. – Lękam się, że go nie rozumiałeś, ani ty, ani nikt z twoich ludzi. Nie rozumieliście go nigdy. Postrzegaliście go jako wielkiego filozofa, wszechmocnego proroka, króla zbawiciela. Natomiast ja widzę go jako *fili*, poetę i jasnowidza, którego wzrok przenika przez szaty drugiego i widzi go nagiego; czyli takiego, jaki przyszedł na świat, i takiego, jaki z tego świata zejdzie. Wasz Jezus z Nazaretu, będąc *fili*, mógł zaglądać w ledwo ukształtowaną duszę drugiego, podczas gdy on sam nosił w sobie duszę odwieczną. Ale jest coś jeszcze...

– Coś jeszcze? – W głosie Józefa zabrzmiała nuta trwogi.

Książe Lisów zapatrzył się w ogień, na iskry, które podskakiwały po trawie jak żywe istoty, zanim wchłonęła je czerń nocnego nieba. Na Józefie ścierpła skóra, jeszcze nim usłyszał szeptem wypowiedziane słowa druida:

– W Jezusie z Nazaretu zamieszkał Bóg.

– Bóg? – powtórzył jak echo, a serce podeszło mu do gardła. – Ależ, Lovernie, wiadomo ci

przecież, że nasz lud ma tylko jednego Boga: Króla Królów, Pana niebieskich zastępów, Tego, którego imię jest niewymawialne, którego wizerunek nigdy nie jest odtwarzany, który stworzył świat własnym oddechem i który stwarza samego siebie przez wypowiedzenie słów „oto jestem”. Czyżbyś usiłował mi wmówić, że Bóg wszedł między ludzi?

– Mój przyjacielu – zaczął ostrożnie Lovernios – ja widzę w nim podobieństwo do innego boga. – A to dlatego, że jego imię jest imieniem wielkiego celtyckiego boga Esusa, pana świata podziemnego, pana obfitości, której źródła znajdują się pod ziemią. Ofiary z ludzi, a mówiąc dokładniej ci, którzy sami się ofiarowują dla Esusa, aby osiąść prawdziwą mądrość i wiedzę o nieśmiertelności, muszą zawisnąć na drzewie. Wotan, bóg dalekiej północy, aby osiąść sekret runów, tę tajemnicę tajemnic, wisiał na drzewie przez dziewięć dni. Wasz Jezus z Nazaretu wisiał przez dziewięć godzin, ale dla tej samej idei – wejścia w tajemnicę. Jestem przekonany, że był szamanem najwyższego stopnia wtajemniczenia, że poświęcił się, aby wejść w magiczny krąg, gdzie mieszka prawda, aby osiągnąć boską mądrość i duchową nieśmiertelność.

– Poświęcił się? Sam? I to dla mądrości? Dla czegoś takiego jak nieśmiertelność? – zakrzyknął Józef z Arymatei, ze wzburzenia podrywając się na nogi. A więc to prawda, co mówili Rzymianie o ludzkich ofiarach pośród Celtów. Prawda, teraz bowiem słyszy o tym z ust samego druida. – Nie, nie. To po prostu niemożliwe. Może i był Mistrzem, ten mój Jeszua, ale ja go wychowywałem i zawsze traktowałem jak swoje dziecko. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny. On nigdy by się nie odwrócił od ludzkości ani od swego życiowego posłannictwa: od szukania sposobu na zbawienie człowieka przez miłość, i to tu, na ziemi! Zawsze zdążał ku życiu i światłu. Nie każ mi wierzyć, że Mistrz mógłby wdać się w jakiś ciemny, barbarzyński rytuał dla przywołania żądnych krwi bogów naszych przodków.

Lovernios także powstał. Położył dłonie na ramionach Józefa. Lecz zanim się odezwał, najpierw popatrzył mu głęboko w oczy.

– Przecież właśnie w to wierzysz, mój przyjacielu – powiedział. A kiedy Józef cofnął się w niemym proteście, dodał: – I cały czas obawiałeś się właśnie tego, tak czy nie? Bo gdyby było inaczej, czyż zwlekałbyś z otwarciem tych glinianych pojemników aż do wypłynięcia na morze Jakuba Zebedeusza? Czy sprowadzałbyś mnie z wysp, abym był przy tobie, kiedy będziesz je otwierał? – Nie czekając na odpowiedź Józefa, książę schylił się, podniósł sieć wypełnioną glinianymi amforami i przysunął ją bliżej do ognia, w krąg światła. – No więc?

Przeczytamy je czy spalimy? Posłuchaj, mój przyjacielu, twój Mistrz wstąpił na drogę, którą dobrze znam. Wśród naszego ludu tylko ci, których wybrało przeznaczenie, mogą wstępować na drogę druida, wysłannika bogów. Na drogę, która przygotowuje do samopoświęcenia, czyli do tego, co wasz Jezus zamierzał zrobić dla zbawienia ludzkości. Ponadto, jak już powiedziałem, taka droga przysparza wysłannikowi mądrości i uczy zasadniczych prawd, niezbędnych do osiągnięcia tego rodzaju celu. Ale jest i inna droga, droga o wiele bardziej niebezpieczna, choć – jeśli przejdzie się ją szczęśliwie – prowadzi do o wiele głębszej wiedzy i uzbraja człowieka w moc.

– Jakiego rodzaju moc? – spytał Józef.

Lovernios odłożył sieć i obrzucił Józefa posepnym spojrzeniem.

– Musimy się dowiedzieć, jakie to były przedmioty, te, które wasi przodkowie zakopali pod korzeniami dębu w Samarii, i gdzie są dzisiaj. Szczerze mówiąc, nie sędzę, by pozostawały pod ziemią przez dwa tysiąclecia. Przypowieść Jezusa z Nazaretu, o której pisze Miriam, moim zdaniem nie była zwykłą opowieścią o zgwałceniu Diny i zemście dokonanej przez jej braci. Moim zdaniem ona dotyka istoty przeobrażenia, i podpowiada, że przedmioty, które Jakub zakopał, mogą być kluczem do tajemnicy.

– Nie zapominaj, że o tych przedmiotach to ja ci powiedziałem – rzekł Józef. – Mistrz nigdy o nich nie mówił. Poza tym były to tylko szaty i ozdoby, i drogocенności, i inne skarby miłe naturze ludzkiej, a także statuetki bożków, którym cześć oddawała służba. Jeśli dodać, że zakopano je w ziemi dwa tysiące lat temu, to jak, pytam, mogłyby się wiązać z przeobrażeniem, a tym bardziej tłumaczyć czyny Mistrza?

– Powiedziałeś, że zakopano je pod świętym dębem, obok świętej studni i że zakopujący powodował się chęcią odmienienia tożsamości swoich plemion. To nasuwa myśl, że nie były zwykłym mieniem, lecz talizmanami obdarzonymi charyzmą poszczególnych członków plemienia – mówił Lovernios. – Przypuszczam, że wasz Mistrz, dla dobra waszego plemienia, wybrał trudniejszą drogę i że w jakiś sposób wszedł w posiadanie tamtych talizmanów, tamtego Jakubowego mienia. Lecz bez względu na to, czy osiągnął swój ostateczny cel – przeobrażenie – czy

nie, teraz owe talizmany winny być natychmiast zwrócone siemi, aby przebłagać bóstwa.

– Nie rozumiem – zaprotestował Józef. – Sugerujesz, że Mistrz wykopał przedmioty, które znajdowały się pod ziemią przez tysiąclecia – a może i nigdy nie istniały – aby wejść w posiadanie jakiejś tajemniczej siły. Ależ Lovernie, za życia Mistrz był zdolny do takich czynów jak choćby wskrzeszenie Łazarza. A po śmierci ukazał się Miriam jako człowiek żywy. Czy może istnieć większa siła niż ta, którą już był obdarzony?

Ogień powoli dogasał. Dwaj mężczyźni w zgodnym milczeniu zaczęli rozgrzebywać węgle i przygotowywać się do powrotu na okręt Józefa. Lovernios podniósł sieć wypełnioną glinianymi amforami, przerzucił ją przez szerokie bary i ruszył przodem. Jego krzepka sylwetka ledwo majaczyła w ciemnościach. W pewnej chwili uszu Józefa dobiegł cichy głos:

l

– Kiedy powiedziałem, że w waszym Mistrzu zamieszkał óg, chyba nie dość jasno wyraziłem swoje myśli – powiedział overnios. – Widzisz, druidzi wyznają przekonanie, że ktoś sam musi stać się Bogiem... aby przynieść światu nową erę.

Antiochia syryjska jesień A.D. 35

CZAS NA PRAWDĘ

I dlaczego uważają Saturna za ojca prawdy?

Czyżby sądzili... Saturn (Kronos) jest czasem (Chronos), a nic tak nie ujawnia prawdy jak czas? Czy może dlatego, że legendarna Era Saturna... złoty wiek, wiek największej prawości, zawdzięczał

ją przede wszystkim prawdzie?

Plutarch, *Zagadnienia rzymskie*

Lucjusz Witeliusz, nowo mianowany cesarski namiestnik Syrii, przemierzał swoje komnaty niespokojnym krokiem. Te obszerne pomieszczenia, przeznaczone do sprawowania władzy nad rzymskimi legionami w Syrii, wychodziły na dziedziniec, który łączył je z garnizonowymi kwaterami dla centurionów legionu III, zwanego *Gallica*. Mijając okna, za każdym razem wyglądał przez nie i mruczał pod nosem przekleństwa. Za każdym przekleństwem jego skryba unosił wzrok ku sufitowi, po czym szybko powracał do swojego dyktanda, aby sprawdzić, czy coś mu się nie rozmazało. Właśnie usiłował wytrzeć jakiś kleks, gdy nadszedł łącznik Marcellusa.

– Gdzie, na Jowisza, jest sam Marcellus?! – wybuchnął Witeliusz. – Wysłałem po niego prawie godzinę temu! Ledwo zdążyłem przybyć do tego królestwa chaosu, a tu same kłopoty: najpierw ci przekłeci Parto wie, a teraz Żydzi?

– Panie, Marcellus przysyła mnie, bym powiedział, że będzie tu za chwilę – przeprosił łącznik, przyklękając na jedno kolano. – Zatrzymali go inni centurionowie. Nie chcą, by jechał do Judei, gdzie podobno zanoszą się na same rozprawy. Nie chcą publicznej rozprawy...

– Oni nie chcą? Oni?! – Twarz Witeliusza pokryła się purpurą. – Bądź tak dobry i przypomnij im, kto tu jest rzymskim namiestnikiem! – Za jego plecami, wierząc się na stołku, skryba spoglądał niespokojnie ku portalowi, jakby w nim widział swoją ucieczkę. – Zresztą nieważne – skwitował wściekłym głosem Witeliusz. – Jeśli będę musiał, sam przypomnę moim podwładnym, kto tu rządzi! – Skierował się ku drzwiom, prawie wpadając na centuriona Marcellusa.

– Wybacz mi, panie, spóźnienie – powiedział przybyły, poprawiając płaszcz i kłaniając się. – Lecz jak ci wiadomo, od kiedy Rzym zaanektował Kapadocję, Partowie nękają nas na całej północnej granicy i ledwo sobie radzimy z utrzymaniem porządku w oddziałach. A teraz to zamieszanie z prefektem Judei, Poncjuszem Piłatem... – Marcellus przeczesał palcami krótko przycięte włosy i potrząsnął głową. – Szczerze mówiąc, nasi centurionowie boją się, że jeśli, jak to jest planowane, zrobimy Piłatowi publiczną rozprawę, na południu prowincji może dojść do zamieszek. Ten człowiek to polityczne zarzewie buntu. Jego działania od samego początku były prowokacyjne. Złupił skarbiec świątyni, sprofanował ziemię świątynną i święte szaty arcykapłana, poprowadził akwedukt przez żydowski cmentarz. Kilka lat temu ukrzyżował popularnego wśród Żydów proroka, jak na ironię, pospołu z kilkoma pospolitymi łotrami. To podiJTtuflBMi

echtywanie Żydów, niedopuszczalne dla kogoś takiego jak zażądca rzymskiej prowincji... no a teraz ta rzeź w Samarii, 'roszę zrozumieć, że centurionowie słusznie się niepokoją. Zna;źli się w niezwykle kłopotliwym położeniu. Jeśli dwór cesarki uzna Piłata winnym, będzie to dla Żydów triumf nad Rzyfiem. Jeśli uzna niewinnym wymordowania tamtych kilkuset lydów z Samarii, zaczną się rozruchy, o jakich nikomu się nie niło.

– Mój drogi Marcellusie, możesz mi wierzyć, że z tą sprawą apoznałem się osobiście. – Namiestnik wskazał, aby usiadł. zaoszczędziłbyś nam obu mnóstwo czasu i zdenerwowania, gdyłyś przyszedł zaraz po tym, jak cię wezwałem, ponieważ moja lecyzja już i tak zapadła. Co do

poprzednich wykroczeń Piłata dewiele jest do zrobienia, ani nie ma potrzeby, żeby coś robić. *Sie* co do ostatniego... Piłat zostanie odesłany do Rzymu i tam isądzony.

t – Przed senatem? – spytał zdumiony Marcellus. – Jakże to? 'rzecież Piłat podlega tobie, panie, cesarskiemu namiestnikowi. To wojskowy zarządca prowincji.

– I ekwita – dodał Witeliusz. – Dlatego będzie sądzony przed wojskowym trybunałem, przez równych sobie, a następnie stalie przed rzymskim senatem.

Marcellus uśmiechnął się szeroko, słysząc to niewiarygodnie ihytre rozwiązanie problemu, który wyglądał na nierozwiązywalny. Nagle, przytomniejąc, zauważył, że nie jest sam na sam i Witeliuszem.

– Możesz odejść – Witeliusz powiedział do łącznika. – A ty zwrócił się do skryby – przeczytaj centurionowi Marcellusowi to, co ci zdążyłem podyktować.

Do Cesarza Tyberiusza Imperatora Rzymu wyspa Kaprea

Od Lucjusza Witeliusza namiestnika imperium rzymskiego w Antiochii syryjskiej

Najjaśniejszy Panie,

Donoszę, że jako cesarski namiestnik podległej Rzymowi Syrii niniejszym usunąłem Poncjusza Piłata z urzędu prefekta Judei, zwalniając go z pełnienia obowiązków we wschodnich prowincjach imperium. Stosownie do powagi służby, którą wykonywał, ciężaru zarzutów skierowanych przeciw niemu i gorączki powszechnych nastrojów, rozkazałem mu wrócić do Rzymu i stanąć przed wojskowym trybunałem, a następnie, odpowiednio do swojej pozycji, poddać się orzeczeniu rzymskiego senatu. Poprzedniego prefekta zastąpiłem osobą Marcellusa, okrzepłego w bojach centuriona legionu III, którego przeszłość, jak sądzę, uznasz, Cezarze, za nieskazitelną.

Dołączam raport z miesięcznego dochodzenia, przeprowadzonego przez tutejszą radę wojskową, dotyczącego skargi złożonej przez radę Samarytan w Sychem co do rzezi ludności cywilnej i tamtejszych przywódców, której dopuścił się Piłat. Mam nadzieję, że ten raport w całości usprawiedliwi i podtrzyma w mocy podjęte przeze mnie działania.

Zanoszę modły do bogów w intencji nieustającego zdrowia Najjaśniejszego Pana, a także Jego Cesarskiej rodziny. Pozwalam sobie dołączyć najgorętsze pozdrowienia dla mojego syna Aulusa, w imię którego wypalę rozek mirry, aby nadal mógł cieszyć oczy Najjaśniejszego Pana jako podczaszy, tancerz i towarzysz innych młodzieńców przebywających na wyspie Kaprei. Pozostaję oddanym i wdzięcznym sługą Imperium Rzymskiego.

Lucjusz Witeliusz, namiestnik cesarski Antiochia syryjska

Raport Legionu III w Antiochii z dochodzenia skarg w sprawie:

Rada miasta Sychem w Samarii

przeciw

prefektowi Judei Poncjuszowi Piłatowi

Cywilna rada miasta Sychem złożyła pisemną skargę przeciw Poncjuszowi Piłatowi, rzymskiemu prefektowi Judei, za nakazanie w ubiegłym miesiącu gwałtownych represji, w wyniku których podczas liczącej ponad cztery tysiące uczestników pielgrzymki religijnej na świętą górę Izraelitów, Garizim, poniosło śmierć stu dwudziestu siedmiu Samarytańczyków mężczyzn, kobiet i dzieci. Dalej skarżący powiadają, że prefekt Piłat nakazał zastosowanie tortur i wykonanie egzekucji na kilku najbardziej szanowanych obywatelach Samarii, których aresztowano wcześniej w ich domach, zgodnie z jego instrukcją.

Samaria to politycznie ważne centrum rzymskiej Palestyny, i oddzielające prowincję rzymskiej Judei od tetrarchii galilejskiej, zarządzanej przez Heroda Antypasa. Główne miasto, Sychem, jest usytuowane między dwoma religijnymi ośrodkami: górą Ebal i górą Garizim. Między Judejczykami a Samarytanami panuje zadawniona nienawiść. Samarytanie przez wieki trwali samotnie przy pradawnej formie hebrajskiego kultu z ośrodkiem na górze Garizim, kultu, który nakazuje czcić gołębia i święty dąb. Wszyscy Hebrajczycy, włączając Judejczyków, są zgodni co do tego, że góra Garizim jest świętym i najważniejszym miejscem w historii ich wiary. Nazywają ją *Tabbur Ha'ares*, czyli geograficzny środek lądu, miejsce, z którego wychodzą cztery strony świata, a które my nazywamy *axis mundi**

Właśnie tam, jak głosi legenda, zakopano pewne święte naczynia i inne skarby pochodzące z Pierwszej Świątyni, świątyni króla Salomona, kiedy ta uległa zniszczeniu, a po powrocie Izraelitów z egipskiej niewoli ich duchowy przywódca, Mojżesz, nakazał, by na to miejsce przeniesiono z pustyni pierwszy przybytek słynnej Arki Przymierza, razem z samą Arką. Wśród Hebrajczyków panuje także zgoda co do tego, że studnię słodkiej wody w pobliżu Sychem, do dziś znanej ze swoich uzdrawiających właściwości, wykopał ich przodek Jakub i że to on po przybyciu do tego kraju wznosił na tym miejscu pierwszy ołtarz.

* Z łac. „oś świata”.

Hebrajczycy wszystkich religijnych odłamów wierzą także z dawien dawna – że tamte święte przedmioty mogą się wyłonić z mroku zapomnienia z braskiem kolejnego, po czasach Mojżesza, tysiąclecia, które według ich kalendarza właśnie nadchodzi. I tak w ubiegłym miesiącu, zgodnie z przepowiednią samarytańskiego proroka, jakoby owe przedmioty miały się pokazać oczom ludzkim podczas równonocy jesiennej, w kierunku góry ruszył czterotysięczny pielgrzymi tłum.

Zasłyszawszy o tym, Poncjusz Piłat wezwał stacjonujący w pobliskiej Cezarei rzymski garnizon, nakazał żołnierzom przebrać się za pielgrzymów i pielgrzymować do świętego miejsca. Kiedy prawdziwi pielgrzymi zaczęli się wspinać na świętą górę, wielu z nich padło z rozkazu Piłata pod ciosami przebierańców. Innych, zwłaszcza bogatych lub cieszących się powszechnym szacunkiem, uprowadzono jako zakładników do Cezarei, a tam poddano śledztwu co do celów pielgrzymki, a następnie w trybie przyspieszonym zgładzono, także na rozkaz Piłata.

Piłat, zapytywany na tę okoliczność przez tutejszy trybunał, utrzymywał, że jego celem było zapobieżenie plemiennym zamieszkom. Podobno doniesiono mu z wyprzedzeniem, że wielu pielgrzymów będzie miało przy sobie broń. I choć Samarytanie i inni zwyczajowo noszą broń

przeciw krążącym w tym rejonie bandom, wszak wśród zabitych na górze Garizim było wiele nie uzbrojonych; kobiet i dzieci. W zaistniałej sytuacji wyjaśnienia Piłata poczytano za niezadowalające. W oczekiwaniu na dalsze postępowanie, odesłano go do twierdzy w Antiochii.

Prowadzący śledztwo, opierając się na wyjaśnieniach rzymskich żołnierzy obecnych na przesłuchaniu pojmanyh Samarytan, zgodnie doszli do wniosku, że prefekt Piłat wszczął powyższą akcję jedynie po to, aby poznać miejsce zakopania kultowych przedmiotów Hebrajczyków. W świetle powyższego wysłaliśmy dodatkowy oddział legionu III, aby przeszukał górę Garizim. Dowódca oddziału stwierdza w raporcie, że na górze w wielu miejscach ziemia była świeżo poruszona. Ponieważ pielgrzymi zostali napadnięci przez rzymskie oddziały nie wyżej niż u podnóża góry, jest oczywiste, że ziemię przekopywał kto inny, możliwe że na osobiste polecenie Piłata. Jednak dawnych, świętych przedmiotów nie znaleziono.

Rzym

Wiosna AD. 37

ŻMIJA

Rzymskiemu narodowi hoduję żmiję, A całemu światu Faetona.

Tyberiusz o Gajuszu Kaliguli

Niech nienawidzą, byleby się bali.

Gajusz Kaligula

– Jakież to wspaniałe niespodzianki gotuje nam życie, i to sdy, kiedy się ich najmniej spodziewamy! – rzucił kpiąco cetz Gajusz.

On i jego stryj Klaudiusz spacerowali pod rękę przez Pole arsowe, wzdłuż Tybru, w stronę mauzoleum Augusta, w strona pół wzniesionej świątyni ubóstwionego Augusta, której dową wraz ze śmiercią Tyberiusza została przerwana. Gajusz miechnął się zadowolony z własnego żartu. Wdychając głąko zapach świeżej wiosennej trawy, mówił dalej: – I pomyśleć, że zaledwie miesiąc temu byłem w oczach innych „Kaligula”, Bucikiem, takim, co to się urodził „w żołnierzich butach” i wychował w żołnierskim obozie, wśród żołnierzy ;a. I że mając osiemnaście lat, byłem jednym z młodych ncerzy utrzymywanych wraz z haremem na tamtej koszarnej skale, na Kaprei, dla dogodzenia zachciankom mojego zyszywanego dziadziusia. A dzisiaj, mając nie więcej niż dwaieścia cztery lata, rządę całym imperium rzymskim. Czyż oja matka nie byłaby dumna? – Twarz ściągnęła mu się gniewem; syknął zjadliwie: – Gdyby tylko pozwolono jej żyć wystarczająco długo, aby to ujrzeć! Klaudiusz, któremu historia cesarskiej rodziny nie była ica, niezbyt się przestraszył tą gwałtowną zmianą nastroju, igodnie poklepał bratanka po ramieniu. Podobnie jak młody sarz, dalej z upodobaniem nazywany Kaligula, Klaudiusz spędzał życie na ciągłym zastanawianiu się, kto z rodziny, łącznie z nim, padnie ofiarą kolejnego mordu i kto z rodziny uknuje kolejną zbrodnię.

Na przykład chodziły pogłoski, że Tyberiusz usunął z drogi do tronu ulubieńca Augusta, Germanika, swego adoptowanego syna, a ojca Kaliguli i brata Klaudiusza. Ale to był ostatni członek

rodziny, którego przyczyna śmierci pozostawała jedynie w domyśle; dwóch braci Kaliguli i jego matkę Agrypinę Tyberiusz jawnie rozkazał wypędzić, zadrzeć i zgłodzić na śmierć.

– Oczywiście, niektórzy będą mnie podejrzewali o współudział – dorzucił Kaligula, nawiązując do śmierci przyszywanego dziada. – Nie wypieram się, byłem w wiejskim domu w Misenum, kiedy on tam przyjechał. Byłem tam w noc jego nagłej śmierci. Tyberiusz umarł z niestrawności, po trzech dniach ucztowania po drodze. Ale przyznaję, okoliczności wyglądały podejrzanie i wskazywały na truciznę, a niebiosa wiedzą, że miałem tyle samo powodów, by otruć starego kozła, jak wszyscy inni. Ostatecznie z rozkazu tego człowieka zaszlachtowano prawie każdego, kto kiedykolwiek zasiadł z nim do jednego stołu.

– Cóż, jeśli tak było i jeśli wszyscy są przekonani, że ty to zrobiłeś – Klaudiusz zamrugał, jak to było w jego zwyczaju – to ciekaw jestem, czym cię wynagrodzi senat i obywatele Rzymu? Czy wiedziałeś, że podczas twoich inauguracyjnych uroczystości plebs na ulicach krzychał „Tyberiusz do Tybru”? Przypominają się dawne dobre dni Sejana – raz triumf, raz klęska.

– Nie mów tak! – Kaligula szarpnął się i spojrzał na Klaudiusza oczami, w których trudno byłoby się dopatrzeć jakichś ludzkich uczuć. Z uśmiechem, który przyprawił stryja o dreszcze, powiedział: – Czy wiesz, że posiadałem moją siostrę?

Klaudiusz osłupiał. Owszem, jako dziecko Kaligula padał na ziemię i toczył pianę z ust; jak każdy cesarz. Ale teraz, stojąc na świeżym powietrzu na zielonym trawniku Pól Marsowych, pod wspaniałym błękitem nieba, w powszedni wiosenny dzień, Klaudiusz uzmysłowił sobie, że nie jest to sprawa zwykłego szaleństwa. Klaudiusz wiedział, że musi coś odpowiedzieć bratankowi, i to natychmiast.

– Wielkie nieba! – zarechotał. – Nigdy bym o czymś takim nie pomyślał. A to ci dopiero! W samej rzeczy, jak mógłbym pomyśleć? Ale, ale, powiedziałeś „moją siostrę”, a przecież masz ich trzy, jedną ładniejszą od drugiej!

– Rodzina ma co do ciebie rację, stryju Klaudiuszu – powiedział chłodno Kaligula. – Jesteś skończonym głupcem. Wypada mi jedynie żałować, że zrobiłem cię drugim konsulem, abyś razem ze mną rządził państwem. To prawda, byłeś mi miłszy niż pozostali krewni, ale trzeba się było rozejrzeć za kimś bystrzejszym.

– Jeszcze nic straconego. Na tym stanowisku ludzi się wymienia, choć naturalnie swoim wyborem uczyniłeś mi wielki honor – powiedział skwapliwie, zastanawiając się, co u licha ma zrobić. Na wszelki wypadek polecił się opiece bogów i czekał na reakcję bratanka.

– Nie dobieram się do jakiejś siostry! – syknął cicho Kaligula, choć strażę wokół pola stały na tyle daleko, że i krzyk by do nich nie doleciał. – Czyż nie rozumiesz? O bogini mówiłem, o bogini!

– Ach... o bogini – rzekł Klaudiusz, starając się wytrzymać spojrzenie Kaliguli, choć jego ciemne oczy paliły go niczym rozżarzone węgle.

– O bogini! – krzyknął Kaligula. Dłonie zacisnęły mu się w pięści. Twarz pociemniała. – Czyż naprawdę niczego nie rozumiesz? Nie mogę uczynić cesarzową zwykłej śmiertelniczki! Ziemia

bracia i ziemskie siostry nie mogą się ze sobą żenić! Ale bogowie? Bogowie zawsze poślubiali własne siostry, zawsze! Zauważ, poznajemy prawdziwych bogów po tym, że pieprzą swoje siostry!

– Oczywiście – przytaknął Klaudiusz, pukając się w głowę, jak pod wpływem nagłego objawienia. – Zmieszałem się, bo nie powiedziałeś, że to była bogini. Twoja siostra bogini. Oczywiście. A więc mówisz... mówisz o... Druzylli! – zakończył, modąc się rozpaczliwie do wszystkich prawdziwych bogiń, które irzyszyły mu na pamięć, aby to była właściwa odpowiedź.

Kaligula uśmiechnął się.

– Stryju Klaudiuszu – rzekł – jesteś szcwanym lisem, siedziałeś od początku, wiedziałeś i udawałeś, że nie wiesz, by mnie samego zmusić do wyznania. A teraz pozwól, że wyisnę ci, jak według mnie powinniśmy ocalić cesarstwo.

Poglądy Kaliguli na temat „ocalenia cesarstwa” były zdumiewające nawet dla samego Klaudiusza, który bynajmniej nie ukrywał upodobania do luksusowych kobiet i wystawnych, suto zakrapianych winem uczt. Wystarczyło godziny, którą spędzili, krążąc wokół mauzoleum i świątyni Augusta i rozprawiając, jak dokończyć budowę tej ostatniej, by Klaudiusz w cichości ducha przełożył sobie owe poglądy na pieniądze.

Kaligula już obdarzył kosztownymi klejnotami pantomimistę Mnesterę i wielu innych faworytów. A gdy Herod Agrypa, szwagier Heroda Antypasa, tetrarchy Galilei, został uwolniony z więzienia, gdzie marniał z rozkazu Tyberiusza przez sześć ostatnich miesięcy, Kaligula dał publiczny pokaz zamiany żelaznego więziennego łańcucha na równy mu wagą złoty. Realizacja, kalkulował Klaudiusz, choćby drobnej części jego projektów pochłonie całą prywatną fortunę Tyberiusza – dwadzieścia siedem milionów sztuk złota – jak również poważnie uszczupli skarb państwa.

– Tu, w Rzymie, dokończę świątynię Augusta i teatr Pompejusza – mówił młody cesarz, odginając palec po palcu. – Powiększę pałac cesarski na Kapitolu, połączę go ze świątynią Kastora i Polluksa, wyposaże ogrody w akwedukt i zbuduję nowy amfiteatr dla Mnesterę. W Syrakuzach odbuduję wszystkie zrujnowane świątynie. Wykopię kanał przez Przesmyk Istmijski, odrestauruję pałac Polikratesa na wyspie Samos, posąg Zeusa sprowadzę z Olimpu do Rzymu, gdzie jest jego właściwe miejsce... A także planuję wznieść w Efezie nowy przybytek Apollina Didymejskiego, według własnego projektu i pod osobistym nadzorem...

I tak dalej, i tak dalej przez całe przedpołudnie, aż do powrotu do pałacu. Dopiero tam, kiedy znaleźli się w prywatnych apartamentach Kaliguli, Klaudiusz odważył się zadać pytanie, które go nurtowało od samego rana.

– Dla obywateli Rzymu, mój drogi Gajuszu, jesteś wspaniałym przykładem cnoty altruizmu – zaczął od pochlebstwa. Jego bratanek usadowił się na wysadzonym klejnotami tronie, na szczycie niewysokiego podestu, który wynosił go kilka stóp nad stryja, więc by być słyszany, Klaudiusz musiał wyteżać głos. – Z pewnością powinni być nagrodzeni za miłość i za wiarę w ciebie. Zatem słusznie chcesz na powrót dać ludowi chleb

grzyska, równie wspaniałe jak kiedyś, zanim Tyberiusz po:ył kres takim rzeczom! Tyle że rola

poborcy podatków chyba i jest w twoim stylu. Czy mógłbyś mi zdradzić ten zręczny sposób, który wymyśliłeś na wypełnienie cesarskiej kiesy?

– Radziłbyś bogu, by zabiegał o pieniądze? – prychnął pordliwie Kaligula. Wziął do ręki złoty piorun Jowisza, ten, którym lubił się obnosić podczas publicznych wystąpień, i za[l jego czubkiem czyścić paznokcie po paznokciu. – Świetnie, i j drogi stryju, ponieważ jesteś drugim konsulem, chyba ^inieniem ci coś powiedzieć – oznajmił z wysokości swojej tej grędy. – Czy pamiętasz Publiusza Witeliusza, adiutanta jego ojca Germanika? Trwał przy nim aż do śmierci. Mój iec umarł w Syrii, mając zaledwie trzydzieści trzy lata, pods swojej ostatniej wyprawy.

– Publiusza Witeliusza znałem bardzo dobrze – rzekł Klausz. – Był najbardziej godnym zaufania sprzymierzeńcem jego brata. Ty wtedy byłeś dzieckiem, więc możesz nie wiele, że to on doprowadził do procesu Pizona – namiestnika ii i przyjaciela Tyberiusza, oskarżonego o otrucie Germaa. Tyberiusz, gdyby nie spalił tajnych instrukcji Pizona ychmiast po tym, jak mu je przedstawiono, pewnie byłby igim oskarżonym. Ale Tyberiusz miał dobrą pamięć co do ich zrad i nieprędko zapomniał o Witeliuszu. W odpowiednim czasie obwinił go o uczestnictwo w spisku Sejana. Więziony ;eliusz usiłował podciąć sobie żyły, rozchorował się i umarł.

0 brat Kwintus, senator, został publicznie zdegradowany zasie jednej z czystek w senacie, z których Tyberiusz słynał.

– A czy nigdy nie zadałeś sobie pytania – wycedził Kaligu – dlaczegoż to mój drogi dziadziś po wykończeniu dwóch ci zmienia front i niedługo przed własną śmiercią mianuje iciego, najmłodszego, cesarskim namiestnikiem w Syrii?

– Mówisz o Lucjuszu Witeliuszu? – spytał Klaudiusz, uno1 brew. – Przypuszczam, podobnie jak inni, że ta decyzja la u podstaw... osobiste względy. – Po czym dodał z zamotaniem: – Chodziło o młodego Aulusa.

– Faktycznie, bo i kto mógłby sobie bardziej zasłużyć na le zaszczyty jak nie ojciec kogoś takiego jak Aulus? – zaiżył uszczypliwie Kaligula. – W końcu pacholę szczerze arzyło Tyberiusza swoim dziewictwem, mając zaledwie szesnaście lat. Wiem, bo byłem przy tym. Ale zmierzam do czego innego.

Kaligula podniósł się, zszedł ze stopni i uderzając piorunem w otwartą dłoń, zaczął krążyć po komnacie. W końcu położył złote insygnium Jowisza na stole, podniósł dzban z winem, napełnił puchar i zadzwonił złotym dzwonkiem. Natychmiast pojawił się mały, niespełna dziesięcioletni chłopiec. Spełniał swoją powinność; jeśli w winie była trucizna, to on miał paść jej ofiarą. Kaligula napełnił po brzegi dwa inne puchary. Jeden wziął sam, drugi wskazał stryjowi, i odczekawszy, aż chłopiec ukloni się i opuści komnatę, otworzył stojącą na stole kasetę, wyjął z niej dwie drogocenne perły, wielkie jak kciuk, i wrzucił je ku zdziwieniu Klaudiusza do pucharów, aby się rozpuściły w winie.

– Wszedłem w posiadanie wszystkich dokumentów Tyberiusza przywiezionych z Kaprei. I wszystkie przeczytałem – podjął swą myśl Kaligula, gdy już opróżnił puchar i otarł usta. – Jest wśród nich list od Lucjusza Witeliusza. Niezwykle interesujący. Witeliusz napisał go zaraz po tym, jak objął

swój urząd w Syrii, ponad rok temu. Dotyczy pewnych przedmiotów o dużej wartości, niegdyś należących do Żydów, a zakopanych na wierzchołku jakiejś świętej góry w Samarii. Przedmiotów, o które podobno zabiegał były protegowany Sejana, Poncjusz Piłat. Wygląda na to, że Piłat, aby dostać je w swoje łapska, wymordował całkiem sporo ludzi.

Klaudiusz, jedyny prawdziwie biedny członek cesarskiej rodziny, zastanawiał się tymczasem, jak by tu, za plecami bratanka, wyłowić i ocalić perłę, nim się rozpuści. W końcu się rozmyślił i pociągnął łyk uszlachetnionego wina.

– No więc? Jakież to przedmioty? I co się stało z nimi i z samym Piłatem? – zapytał.

– Piłat został usunięty z urzędu i trzymany w Antiochii pod strażą co najmniej przez dziesięć miesięcy, w oczekiwaniu na okręt do transportu wojsk, który by wracał prosto do Rzymu odpowiedział Kaligula. – Ten okręt przyплыł tutaj w tym samym tygodniu, kiedy zmarło się mojemu drogiemu dziadowi, więc zadbałem, by przejąć Piłata w swoje ręce i go przesłuchać... choć całkiem niepotrzebnie, bo jakiś czas przedtem sam poskładałem całą historię do kupy i nabrałem pewnych podejrzeń.

Jak wiesz, zaraz po pogrzebie Tyberiusza moim pierwszym cesarskim edyktem uwolniłem Heroda Agrypę i obdarowałem go dwiema syryjskimi tetrarchiami: tetrarchią jego ostatnio zmarłego wuja Filipa i tetrarchią Lizaniasza. A także tytułem króla. No i przykazałem nie zapominać, komu służy.

Klaudiusz skłaniał się ku myśli, że jego umysł trochę się rozjaśnił już po pierwszym łyku wina, bo oto nagle doszedł do przekonania, że ten jego opętany obsesją boskości bratank może nie jest aż tak szalony, na jakiego wygląda. *In vino veritas**, powiedział do siebie i pociągnął kolejny solidny łyk.

– Nie zapominaj, stryju – ciągnął Kaligula – że przebywałem na Kaprei aż sześć lat i że wiele widziałem i słyszałem, a mam na myśli nie tylko zwykłą rozpustę. Pięć lat temu coś się zdarzyło. Przypominasz sobie? Tyberiusz nakazał sprowadzić do Rzymu egipskiego sternika, a następnie spotkał się z nim na Kaprei...

– Mówisz o Egipcjaninie, który stawiał się przed senatem? O tym, który się zaklinał, że podczas równonocy wiosennej, żeglując u wybrzeży Grecji, usłyszał o śmierci boga Pana? – zainteresował się Klaudiusz. Pociągnął kolejny haust.

– Tak, właśnie o tym – odrzekł Kaligula. – Tyberiusz, a mój ukochany dziad, był wielce tajemniczy co do tego spotkania. Ale ja wiedziałem, że to coś, o czym się dowiedział od Egipcjanina, zdecydowanie go odmieniło. Kiedyś rozmawiałem o tym z mężem mojej siostry Druzylli...

– Bogini Druzylli – podpowiedział Klaudiusz i czknął, lecz Kaligula go zignorował.

– Pięć lat temu – mówił – kiedy mój szwagier Lucjusz Kasjusz Longinus był konsulem w Rzymie, jego brat, centurion Gajusz Kasjusz Longinus, służył w legionie trzecim w Syrii. W tym samym tygodniu równonocy wiosennej z ramienia Poncjusza Piłata nadzorował publiczną egzekucję w Jerozolimie. To, co się tam wówczas zdarzyło, wspomina jako rzecz bardzo dziwną.

– Chcesz powiedzieć, że tamta wrzawa wokół śmierci wielkiego boga Pana może mieć coś

wspólnego z przedmiotami, za którymi uganiał się Piłat? – spytał Klaudiusz, już trochę zamroczony winem. – I że z powodu tego czegoś, o czym dowie* Z łac. „W winie prawda”.

działeś się od twojego szwagra, wypuściłeś Heroda Agrypę na wolność i zrobiłeś królem? Żeby ci pomógł rozwiązać jakąś mroczną zagadkę?

– Trafiłeś w sedno! – krzyknął Kaligula, chwytając za piorun i mierząc nim prosto w sufit. – Stryju Klaudiuszu, może i tęgi z ciebie opój, jak mówią, ale głupcem to ty nie jesteś. Jesteś geniuszem! – Wziął Klaudiusza pod ramię, zaciągnął na stopnie tronu, posadził, usiadł koło niego i patrząc mu prosto w oczy, powiedział: – No więc, pięć lat temu, w piątek przed równonocą wiosenną, Piłat rozkazał ukrzyżować trzech Żydów. Dwóch pospolitych łotrów i takiego jednego, co podburzał motłoch. Wiedział, że ciała należy zdjąć z krzyży przed zapadnięciem nocy, ponieważ zbliżał się żydowski szabat, a w szabat żaden Żyd nie kiwnie choćby palcem. Podobno sposobem na szybką śmierć jest złamanie nóg, bo wtedy płuca się zapadają i człowiek się dusi.

Być może to kwestia wina, pomyślał Klaudiusz, niemniej zdawało mu się, że światło w komnacie przygasło, za to oczy jego bratanka, opisującego tę przykrą procedurę, nabrały dziwnego blasku. Pociągnął kolejny łyk.

–Gajusz Kasjusz Longinus pierwszy raz był obecny przy krzyżowaniu – mówił dalej Kaligula – więc kiedy trzeba było uporać się z ciałami, po prostu podjechał na koniu do tego, co wisiało pośrodku, i przebił je włócznią. Tyle że nie swoją. W tej, którą wciąż jeszcze trzymał w ręku, było coś dziwnego. Sprawiała wrażenie starej i sfatygowanej, miała grot z surowego żelaza, a drzewce owinięte czymś, co wyglądało na jelita lisa. Gajusz pomyślał, że pewnie podmienił mu ją któryś z żołnierzy, tuż przed egzekucją, i że to nie takie ważne. Gajusz się śpieszył. Czekala go droga powrotna do Antiochii. Więc kiedy tylko zwleczono ciała z krzyży, wrócił do pałacu Piłata. A Piłat najpierw zapytał właśnie o tę włócznię, sugerując, że należała do urzędowych regaliów... choć moim zdaniem był to czysty wymysł... i że chce ją mieć z powrotem. I dopiero wtedy Gajusz uzmysłowił sobie, że włócznia znikła.

–Sądziś, że była jednym z tamtych przedmiotów? – spytał Klaudiusz. Rozbolały go oczy, może od wina, a może to nagle przygasło światło? – Z opisu jakoś mi nie wygląda na cenną czy tajemniczą. A skąd się wzięła?

– W to, że była tajemnicza, jestem skłonny uwierzyć choćby dlatego, że zniknęła i nigdy nie została odnaleziona – powiedział Kaligula. – A w to, że cenna, ponieważ Poncjusz Piłat poszukiwał jej już dobre parę lat przed rzezią na górze. Czyli był przekonany, że przynajmniej kilka tamtych przedmiotów wy dostało się na powierzchnię ziemi. Skąd się wzięła i gdzie przepadła? Przypuszczam, że tego próbował się dowiedzieć mój dziad tuż przed śmiercią, kiedy w takim pośpiechu wracał na Kaprę i zatrzymał się w Misenum. A ja mam wszelkie dane po temu, by wierzyć, że ta próba mu się powiodła.

– Mówisz o Tyberiuszu? – zdziwił się Klaudiusz. Odstawił pusty puchar i w deprymująco ponurym świetle wpatrzył się w bratanka. – Przecież on miał dwadzieścia siedem milionów w złocie. Potrzebne mu były inne skarby?

– Kiedy powiedziałem, że te przedmioty były cenne – odrzekł Kaligula – nie miałem na myśli wartości materialnej, lecz coś znacznie więcej – coś, czym bym się nie podzielił z nikim, nawet z Druzyllą. Nie przez przypadek znalazłem się w Misenum w noc śmierci Tyberiusza. Ja tam na niego czekałem. Chociaż rzadko opuszczał Kapreę, tamtym razem nie było go na wyspie przez miesiąc, a gdzie był, tego nikt dokładnie nie wiedział. Prócz mnie. Ja odkryłem, że Tyberiusz wyprawił się na wyspy zwane Paksoj, te same, z których egipski sternik usłyszał tajemniczy, pełen grozy krzyk. I chyba wiem po co.

Na wyspach Paksoj, w pobliżu greckiego wybrzeża, stoi olbrzymi kamień podobny do kamieni z wysp celtyckich. Są na nim napisy w dawno zapomnianym języku, których, jak się powszechnie uważa, nikt nie potrafi rozszyfrować. Ale Tyberiusz uważał, że zna kogoś, kto to robi, kogoś, kto tak samo jak on, choć z sobie tylko wiadomych powodów, jest zainteresowany rozszyfrowaniem napisów, kogoś, komu wyświadczył wielką łaskę. Znasz go, stryju Klaudiuszu. Przywiozłeś go na Kapreę kilka lat temu, kiedy prosił Tyberiusza o tę łaskę, o to, by mój dziad anulował dekret Sejana i pozwolił Żydom wrócić do Rzymu.

– Józef z Arymatei! Bogaty żydowski kupiec i przyjaciel Heroda Agrypy? A co on ma z tym wspólnego? – zakrzyknął Klaudiusz.

– Wiedza Józefa z Arymatei była wystarczająca, tak więc

spotkał się z Tyberiuszem na Paksoj i spędził kilka ostatnich miesięcy na rozszyfrowywaniu wykutych w kamieniu napisów. Kiedy tamtego wieczoru, podczas kolacji, mój drogi dziad zachorował, zostałem w jego pokoju, opiekowałem się nim i słyszałem, co mówił przez sen – czy raczej co wydobyło się na powierzchnię jego sennych koszmarów w tamtych ostatnich nieszczęsnych godzinach. Mam powiedzieć co? Bo wszystko spisałem. Jak dotąd – uśmiechnął się – jestem jedynym człowiekiem na świecie, który to wie.

Klaudiusz wiedział, że powinien odwzajemnić uśmiech bratanka, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. W tym momencie niewiele miał złudzeń co do przyczyny śmierci Tyberiusza. Powinien się modlić, by wino, które właśnie wypił, także nie okazało się zatrute. Tak czy inaczej, czuł się prawdziwie chory.

Kiedy Kaligula ujął dłoń stryja, już i tak ciemna komnata wydała się Klaudiuszowi jeszcze ciemniejsza. Jedynym światłem, które zresztą było nie do zniesienia, pozostał ten dziwny blask bijący z głębi oczu Kaliguli.

– Mów, a jakże – zdołał wyszeptać, podczas gdy komnatę ogarnęły absolutne ciemności.

TRZYNAŚCIE ŚWIĘTYCH ŚWIĘTOŚCI

W każdej epoce, kiedy podczas ekwinokcjum wiosennego słońce zaczyna się wspinać nad zasłonę nowego gwiazdozbioru, bóg schodzi na ziemię i rodzi się z ciała człowieka. Bóg żyje wśród ludzi aż do wieku dojrzałego, a potem pozwala się ukrzyżować, aby poprzez zrzucenie okowów własnego ciała powrócić do kosmosu. Przed śmiercią objawia mądrość uniwersalną jednej wybranej śmiertelnej istocie.

Lecz żeby owa uniwersalna, boska mądrość w danym czasie stała się manifestem dla całej ziemi, należy utkać ją w strukturę węzłów, w których krzyżują się sprawy ducha i materii całego wszechświata. Jak tego dokonać, wie jedynie prawdziwie wtajemniczony, ten, którego nauczycielem był sam bóg.

Punkt wyjścia to trzynaście świętych przedmiotów zebranych w jednym miejscu. Każdy przedmiot służy szczególnemu

celowi i każdy musi być przed użyciem namaszczony boskimi olejami. A oto te przedmioty:

Włócznia

Miecz

Gwóźdź

Kielich

Skąła

Skrzynka

Kocioł

Taca

Szata

Krosna

Uprząż

Dysk

Gra planszowa

Ten, kto by je zebrał, a nie był obdarzony odwieczną mądrością, mógłby sprowadzić na ziemię nie epokę kosmicznego ładu, lecz erę barbarzyństwa i terroru.

– Widzisz? – powiedział Kaligula, kończąc swoją diatrybę. Oto dlaczego opowiedziałem ci o włóczni i o ukrzyżowaniu w Judei. Włócznia to pierwszy przedmiot z tamtej listy. Rozumiesz, co to znaczy? Tyberiusz myślał, że to Pan był tym bogiem, który poświęcił się, aby dać ziemi nową erę: bóg kozioł, bóg najczęściej identyfikowany z wyspą Kapreą albo z samym Tyberiuszem.

Lecz kiedy teksty z Paksoj zostały przetłumaczone, okazało się, mój drogi stryju, że tymi, którzy dostarczyli cielesnego trupa potrzebnego do dokonania zmiany, byli Żydzi. Czyż to nie oni biegają po świecie, studiując starożytne języki, aby móc wyjaśniać odwieczne tajemnice? I może również gromadząc obiekty o nieskończonej mocy. Czy sądzisz, że twój Józef z Arymatei nie wiedział, co robi, kiedy błagał Tyberiusza o pozwolenie na powrót jego narodu do Rzymu? A może wyobrażasz sobie, że nie wiedział, co robi, kiedy wykradał ciało tamtego ukrzyżowanego Żyda w Judei? Bo to

właśnie zrobił. Wykradł ciało, a także zabrał włócznię, tę, którą Gajusz Kasjusz Longinus w nie zanurzył.

– Na niebiosa! Józef, powiadasz? Dosyć już, dosyć! – krzyknął Klaudiusz, opuszczając na kolana skołowaną głowę, podczas gdy żołądek wywracał mu się na drugą stronę z nadmiaru emocji i wina. – Przynies mi piórko. Muszę przeczyścić wnętrzności.

– Czyż ty się nigdy na niczym nie potrafisz skupić? – jęknął bratanek, ale rad nierad przyniósł Klaudiuszowi strusie pióro i miskę.

Klaudiusz podniósł głowę i zamachał piórem, aby je roztrzepać. Następnie otworzył usta i tak długo łaskotał gardło, aż w końcu chlusnęły z niego wymiociny i wino.

■Han

– O to chodziło. Od razu wytrzeźwiałem. Ale na Bachusa, powiedz mi, co to wszystko znaczy.

– Ano to – powiedział Kaligula – że podczas gdy Herod Agrypa jedzie do Judei, aby znaleźć pozostałe przedmioty, ty i ja jedziemy do Brytanii, aby znaleźć Józefa z Arymatei i zdobyć tamtą włócznię!

POWRÓT

Powrót bierze początek w punkcie zwrotnym.

Heksagram 24

Czas ciemności przeminął. Z zimowego przesilenia zwycięsko wychodzi światło. Dni podążające ku zagładzie zatrzymują się w punkcie zwrotnym. Potężne światło, które skazano na banicję, powraca. Nastaje ogólne poruszenie, choć by je wywołać, nie użyto siły...

Idea powrotu opiera się na cyklach natury. Ruch to koło, które samo się napędza... Wszystko bierze się samo z siebie w określonym czasie.

I Ching (Księga przemian)

Im więcej wiesz, im więcej obejmujesz rozumem, tym bardziej sobie uświadamiasz, że wszystko zatacza koło.

Johann Wolfgang Goethe

Wciąż dzwoniłam zębami, mimo że ponad godzinę moczyłam się w parującym gorącym basenie. Zważywszy na pouczający raport wuja Lafa o nazistowskich kolaborantach i burskich gwałcicielach upiększających moje drzewo genealogiczne – pomijając już samą godną podziwu siwowłosą cioteczkę Zoe z Paryża, która wytańczyła sobie drogę prosto do serca Adolfa Hitlera – historia mojej rodziny zaczynała wyglądać coraz bardziej jak towar, na którym budowałam swoją karierę: śmieci, przyorane i ukryte na pół wieku, i właśnie zaczynające wydstawać się na powierzchnię.

Kiedy Laf poszedł zażyć popołudniowej sjesty, wróciłam do swojego pokoju. Miałam wiele do

przemyslenia.

Wiedziałam, że mój kuzyn i brat krwi upozorował morderstwo na samym sobie, a mnie wystawił na jawne pośmiewisko, ale teraz wyglądało na to, że do swoich niecznych celów wykorzystał manuskrypt, który był żarliwie strzeżony – przez jego rodzzonego ojca Earnesta i moją rodzoną babkę Pandorę także manuskrypt, który mój rodzony ojciec i jego żona, a moja macocha, podbechtani przez prasę, zamierzali zdobyć i opublikować dla czystego zysku. I choć wciąż nie było dla mnie jasne, o czym owo tajemnicze dzieło traktuje, to raczej nie mogłam wątpić, że dokument, którym ubiegłej nocy wzbogaciłam DOD Standard, przysłał mi Sam.

Wyrzuciłam brązowe papierowe opakowanie, więc nie mogłam sprawdzić stempla na znaczku. Ale kiedy Laf wspomniał o manuskrypcie, stanął mi przed oczami żywy obraz: tamten skrawek awiza, który Jazon znalazł pod śniegiem, z kodem nadawcy zaczynającym się od 941, czyli że paczka przysłała z San Francisco. A więc zapewnienia Wolfganga Hausera o tym, że wysłał ją z Idaho, mogłam sobie między bajki włożyć, jak być może wszystko, co mi powiedział.

Wyzwałam się od ostatnich idiotek za poddanie się urokowi kolejnej cudnej męskiej twarzy i przysięgłam sobie, że odtąd, choćby za pomocą lawiny, Wolfgang Hauser już nigdy nie zwali mnie z nóg. Być może już za późno na odrobienie szkody, teraz, kiedy wiedziałam, że przesyłka pochodzi od Sama. Wolfgang był z nią przez całą noc, a ponieważ ja spałam, nie miałam pojęcia, czy ją sobie przejrzał, czy zrobił z niej mikrofilmy, czy skopiował w jakikolwiek inny sposób. Mówiąc krótko, zatoczyłam pełne koło: znalazłam się tam, gdzie byłam przed tygodniem – między Scyllą a Charybdą, skalistym i trudnym do pokonania miejscem.

Właśnie otwierałam drzwi do mojego hotelowego pokoju, gdy uzmysłowiłam sobie, że kompletnie zapomniałam o Jazonie. Siedział pośrodku łóżka o królewskich rozmiarach i sprawiał wrażenie złego jak wszyscy diabli.

– Miau! – odezwał się tonem naładowanym furią wszystkich kotów świata.

Oczywiście dobrze wiedziałam, skąd ta furia. Choć jedzenia miał dość, ja poszłam pływać bez niego! Zdradził mnie zapach chloru.

– Okay, Jazon, co byś powiedział na miłą kąpiel w wannie? – spytałam podchwytliwie.

Zamiast popędzić do łazienki, aby odkręcić kurek, co zwykle robił na hasło „kąpiel”, przetruchtał koło mnie i wyciągnął spod drzwi skrawek różowego papieru, na który niemal nadepnęłam – Jazon teraz był naprawdę dobry w sztuczkach z aportowaniem kolorowych papierków – i opierając się przednimi łapami o moje kolana, sprezentował mi go: to była telefoniczna wiadomość. Kiedy ją przeczytałam, serce mi zamarło.

Do Ariel Behn Od Salomona

Przepraszam, nici z planowanego w południe lunchu. Żeby się ponownie umówić, dzwoń proszę (214) 178-0217

To straszne. Sam nagle zmienił nasze plany. Zmyślony – jak przypuszczałam – numer telefonu miał mi dośpiewać resztę.

Sam po raz trzeci odwoływał się do króla Salomona, podczas gdy ja wciąż nie miałam czasu, by zabrać się do biblijnego romansu i doszukać się w nim ukrytego znaczenia. Tyle że tym razem wiadomość, najwyraźniej wysłana w pośpiechu, wyglądała na łatwą do rozszyfrowania. A Sam mógł spokojnie uznać, że imię – po rozszyfrowaniu zagadek z ostatniej nocy – mówi mi coś, na co na pierwszy rzut oka nie wpadłby nikt inny: to znaczy, że „numer telefonu” do pana Salomona wskazywał numery wersów *Pieśni nad Pieśniami*.

Z westchnieniem otworzyłam torbę, wyciągnęłam z niej zabraną z biura Biblię i udałam się do łazienki, po czym zatkałam wannę i zaczęłam nalewać wodę dla Jazona. Czekając, aż wanna się napełni, jeszcze raz spojrzałam na wiadomość i otworzyłam świętą księgę. *Pieśń nad Pieśniami* miała zaledwie osiem części, a więc numer kierunkowy 214 nawiązywał do pieśni drugiej, wersu czternastego:

„Gołębico moja, mieszkająca w rozpadlinach skalnych, w skrytościach przykrych! Okaż mi oblicze twoje, niech usłyszę głos twój; albowiem głos twój wdzięczny, a oblicze twoje pożądane”.

Sam nigdy by nie usłyszał głosu mego wdzięcznego ani nie ujrzałby oblicza mego pożadanego, o ile nie dałby odrobinę dokładniejszych instrukcji. Dał: w pieśni pierwszej, w wersie siódmym i ósmym. Tam młoda kobieta, jak sobie przypomniałam, ta z powabnym pępkiem, pyta swojego kochanka, gdzie będzie odpoczywał w południe dnia następnego, a ten objaśnia, jak go szukać:

„Oznajmijże mi ty, którego miłuje dusza moja, gdzie pasiesz? gdzie trzodzie dajesz odpoczywać w południe? albowiem przeczczybym miała być jako obłąkana przy trzodach towarzyszków twoich?”

Jeżeli nie wiesz, o najpiękniejsza między niewiastami! wynijdźże śladem trzody, a paś koźlątko twoje przy budach pasterzy”.

No cóż. Na naszej górze nie było żadnego miejsca, którego nazwa wiązałaby się z pasterzami, kozami czy innymi stadami. Ale niedaleko stąd, przy samej głównej drodze znajdowało się pastwisko zwane Owczą Łąką, gdzie latem rozstawiano namioty i grały zespoły muzyczne, a zimą jeżdżono na biegówkach. Zapewne tam miała się odbyć moja randka z Samem.

Choć zdawało mi się bardziej niż dziwne, że Sam odstępował od pierwotnego zawilego i pozwalającego na zatarcie śladów scenariusza i wskazywał na miejsce na publicznym widoku, tuż przy głównej drodze. Zdawało się dziwne, jednak tylko do momentu, kiedy przeczytałam pieśń drugą, wers siedemnasty, wyznaczające godzinę spotkania.

„Ażby się okazał ten dzień, a cienie przeminęły. Nawróć się, bądź podobny, miły mój! sarnie albo jelonkowi młodemu na górach...”

Ażby się okazał ten dzień? To znaczy – przed świtem? Doskonale rozumiałam, dlaczego Sam mógł uznać spotkanie w samo południe za zbyt rzucające się w oczy. A wyciągów narciarskich, które pozwoliłyby mi dotrzeć na pierwotnie wyznaczone miejsce, nie uruchamiano przed dziewiątą. Ale jakże ja, nie rzucając się w oczy, miałabym przejechać trzy mile do Owczej Łąki przed wschodem słońca, wyciągnąć biegówki z samochodu i ruszyć na przejażdżkę zupełnie sama w zupełnych ciemnościach? Pomyślałam, że Sam kompletnie zwariował.

Szczęściem dla mnie wszyscy w moim otoczeniu najwyraźniej marzyli o końcu dnia. Najwidoczniej Olivier, zobaczywszy, jak świetnie radzi sobie na nartach Bambi, przeszedł sam siebie, aby zrobić na niej wrażenie: przeciągnął ją po czarnych jak węgiel stokach całej góry. Wrócił kompletnie skonany, nie przyzwyczajony do tak intensywnego *Sturm und Drang*.

Ponieważ Bambi uprawiała sporty zimowe przez cały dzień, jedynym czasem, który jej i Lafowi pozostał na codzienne niezbędne muzykom ćwiczenia, była dwugodzinna przerwa przed kolacją. Kierownictwo hotelu użyczyło nam Słonecznego Pokoju i fortepianu. Ja, w charakterze akompaniarki, brnęłam przez resztki tego, co jeszcze pamiętałam z Schuberta i Mozarta, Olivier wytrzeszczał oczy na Bambi, a Wołga Dragonów przewracał kartki. Chociaż stryj Laf raz po raz wykrzywił się na niedostatki mojej techniki, sam grał piękniej niż kiedykolwiek – natomiast Bambi zadziwiła nas taką wirtuozerią, jaką rzadko się słyszy w prawdziwych salach koncertowych; dałam jej punkty za coś więcej niż uścisk ud. To kazało mi się zastanowić, czy moje pierwsze wrażenie było właściwe.

Kiedy opuszczaliśmy Słoneczny Pokój, aby udać się na kolację, galeryjka na zewnątrz była pełna podsłuchujących hotelowych gości, którzy powitali nas szaleńczym aplauzem, napadając na Lafa z wylewnym jednostajnym „widziałem-pana-wtedy-a-wtedy...” i prosząc o autograf na pośpiesznie podsuwanych restauracyjnych menu, kopertach z hotelowym nadrukiem, a nawet na biletach na wyciągi.

– Gavroche – powiedział Laf, kiedy zamilkło ostatnie „hurra” i kiedy goście hotelowi się rozeszli – myślę, że będzie lepiej, jak zjem kolację w pojedynkę, w swoim apartamencie, zostawiając was młodych samym sobie. Już nie mam tylu lat co dawniej i mojemu ciału nie w pełni odpowiada ta podróż z Wiednia. Spotkajmy się przy śniadaniu. Będę miał okazję powiedzieć trochę więcej o tej historii.

– Świetnie, stryju Lafie – powiedziałam, zastanawiając się w duchu, ile więcej „tej historii” znieść potrafię. – Byleby niezbyt wcześnie... albo raczej powtórzmy dzisiejszy brunch. Jest coś, nad czym z samego rana chciałabym popracować. Coś, na przykład klepanie deskami po owczym pastwisku o piątej rano, pomyślałam.

Bambi wymówiła się od mojego i Oliviera towarzystwa i odeszła z Lafem i Wołgą do ich apartamentów. Kiedy już miałam zawrócić w stronę jadalni, ku mojemu zaskoczeniu Olivier wykręcił się od kolacji także.

– Przyznaję – grzmotnął się w piersi – że mojemu ciału „nie w pełni odpowiadała” dzisiejsza wyprawa w góry. Boli mnie wszystko. Pomyślałem sobie, że mógłbym się przekąpać w gorącym basenie, zanim go zamkną, a potem zamówić jakąś zupę do pokoju i uderzyć w kimono.

Spojrzalam na zegarek. Dochodziła dziesiąta, więc postanowiłam zrobić podobnie.

Nim minęła jedenasta, Jazon i ja podzieliliśmy się makaronem z owocami morza i chlebem czosnkowym, wysłuchaliśmy prognozy pogody, zgodnie z którą słońce miało wstać o szóstej trzydzięci, i w końcu załadowaliśmy się do łóżka, gdzie poczytywałam coś od niechcienia, sącząc resztki zamówionego do pokoju wina i powoli zbierając się do zgaszenia światła.

Nagle łeb Jazona, zwiniętego w kłębek na poduszce, wyskoczył w górę. Jazon nadstawił uszu i zaczął wpatrywać się w drzwi, jakby oczekując, że za chwilę się otworzą. Popatrzył na mnie, ale ja niczego nie słyszałam. Bez jednego miauknięcia

przezołgał się przez łóżko, zeskoczył na podłogę, przeszedł przez pokój i wykręcił łeb, żeby popatrzeć na mnie raz jeszcze. Stanowczo ktoś był tam, na zewnątrz.

Zaczerpnęłam tchu. Odrzuciłam kołdrę i wstałam, schwyciłam szlafrok leżący na sąsiednim krześle, narzuciłam go na ramiona i sama podeszłam do drzwi. Jazon, stojący tam w pełnym pogotowiu, zawsze był niezawodną zapowiedzią jakiegoś gościa. Z drugiej strony, jeśli ktoś chciał do mnie wejść dlaczego nie pukał?

Przyłożyłam oko do judasza i zobaczyłam znajomą, choć nie całkiem oczekiwaną twarz. Chwyciłam za gałkę u drzwi i otworzyłam je jednym szarpnięciem.

Tam, w łagodnym żółtym świetle korytarza, stała piękna blond Bambi, z tymi jej jasnymi, szerokimi i niewinnymi oczami i błyszczącymi złotymi włosami. Ubrana w szlafrok z czarnego aksamitu, skrojony na wzór męskiego smokingu, z masą stylowych koronek i kokardek pod szyją i przy nadgarstku. Ale zauważyłam, że jedną rękę Bambi trzyma za plecami.

Nagle spanikowałam. Niczym błyskawica przemknęła mi przez głowę szaleńcza, choć wielce prawdopodobna myśl: ona ma pistolet! Powinnam chyba uskoczyć do tyłu i zatrzaskać jej drzwi przed nosem, pomyślałam. Ale w tej samej sekundzie ona wyciągnęła do przodu tę drugą rękę. Trzymała w niej butelkę Remy Martin i dwa małe kieliszki do koniaku.

Bambi się uśmiechnęła.

– Nie napiłybyśmy się razem koniaku? – spytała. – Wie pani, to taka gałązka oliwna.

– Muszę wcześniej wstać... – zaczęłam.

– Ja też – przerwała mi. – Ale o tym, z czym przychodzę, wolałabym nie rozmawiać na korytarzu. Mogę wejść?

Cofnęłam się niechętnie, przepuszczając ją przed sobą.

Na przekór wielkiej urodzie i niewątpliwej wirtuozerii muzyka coś mnie w tej kobiecie niepokoiło – i nie tylko jej afektowany sposób bycia. Choć, zważywszy na te inne przymioty, przyszło mi na myśl, że ta jej cała mglistość i nieokreśloność w gruncie rzeczy mogą być jedynie kamuflażem, który stosują ludzie podatni na zranienie. A to już przerabiałam w wypadku Jersey i jej picia.

Podeszłam do stołu, gdzie Bambi nalewała koniak, ale nie

usiadłam. Podniosłam swój kieliszek, stuknęłyśmy się szkłem i pociągnęłyśmy po łyku.

– Czego nie mogła mi pani powiedzieć na korytarzu? – spytałam.

– Proszę usiąść – odpowiedziała cicho.

Jej ton był tak zwodniczo gładki i kojący, że dopiero w połowie drogi do krzesła dotarło do mnie, iż blond piękność po prostu perfekcyjnie panuje nad swoim głosem. Postanowiłam przysłuchiwać się Bambi, o bliżej nie określonym stanie cywilnym, z większą uwagą.

– Nie chcę, by mnie pani nie lubiła – usłyszałam na początek. – Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

W przyciemnionym świetle pokoju jej jasne oczy, skąpane w złotych cętkach niby Goldwasser, na pół ocieniały rzęsy. Za nic w świecie nie potrafiłabym wyczytać z nich żadnych myśli, ale nagle poczułam, że powinnam je poznać, że to jest bardzo, bardzo ważne – i że najlepiej wyjdę, grając w otwarte karty.

– To nie jest tak, że pani nie lubię. Ja kogoś takiego jak pani zwyczajnie nie rozumiem – zauważyłam. – A to sprawia, że czuję się niezręcznie. Pani inaczej wygląda, inaczej mówi i jeszcze inaczej się zachowuje. Odnoszę wrażenie, że ani trochę nie jest pani tą osobą, za którą chce uchodzić.

– Być może pani też nie – odparła Bambi, nachylając się, aby dotknąć Jazona długimi, smukłymi palcami.

Jazon nie zamruczał, ale też nie czmychnął.

– Nie mówimy o mnie – nie dałam się zbić z tropu. – Ale jak pani wywnioskowała z naszej porannej rozmowy, wyrosłam w rodzinie, która nigdy nie była ze sobą zbyt blisko. Jeśli sprawiaam wrażenie tajemniczej, kiedy jestem z nimi, to jedynie przez to, że chcę się zdystansować od ich sporów. Oto dlaczego postanowiłam żyć po swojemu, wybrać inną drogę niż cała reszta.

– Naprawdę tak pani sądzi? – spytała niejasno. Po czym dodała: – No i proszę, jednak rozmawiamy o pani. A dla mnie jest ważna pani opinia o mnie. Kiedy powiedziałam, że nie chcę, by mnie pani nie lubiła, nie chodziło mi o to, byśmy były dla siebie jak siostry, jak to ujął pani stryj. Chcę jedynie wyjaśnić, że w obecnych okolicznościach byłoby trochę... trochę kłopotliwe, gdybyśmy się przynajmniej nie zaprzyjaźniły.

– Proszę posłuchać – powiedziałam po kolejnym łyku koniak; był doskonały. – To, czy będziemy kumpelkami, czy nie, naprawdę nie jest warte rozważania. Prawdę mówiąc, od bardzo dawna nie przestawałam ze swoim stryjem, więc niepodobna, by po tym krótkim weekendzie czekało nas obie jakieś kolejne spotkanie.

– I tu się pani myli – odrzekła z uśmiechem. – Lecz nim przejdę do wyjaśnień, czy nie mogłabym się dowiedzieć, czym jest we mnie to coś, co sprawia, że czuje się pani „niezręcznie”?

Popatrzyłam raz jeszcze w te jej jasne, niewinne oczy. Lecz choć były szeroko otwarte, wyczytać z nich mogłam niewiele. Ta blond piękność była jakimś rekwizytem, to pewne, ale zdecydowałam, że jeśli chce się tego dowiedzieć, dostanie to, o co prosi – niechby nawet policzek.

– Mogłaby pani, czemu nie, choć może dotknę spraw zbyt osobistych – zaczęłam – ale proszę nie zapominać, że to pani przychodzi w środku nocy z butelką koniaku i z prośbą o rozmowę. Życie mojego stryja nie jest zapieczętowaną księgą, więc pani musi wiedzieć, że miewał mnóstwo kobiet, jedną piękniejszą od drugiej, a wiele z nich, jak choćby moja babka Pandora, oprócz urody posiadało wielki talent. Jednak pani jest inna od tamtych: pani, jak jestem przekonana, jest po prostu genialna. Mówię prawdę, dzisiejszy popis był nadzwyczajny, na światowym poziomie... a myślę, że zważywszy na wychowanie, jakie odebrałam, mam prawo do wydawania takich sądów. Nie jest dla mnie jasne, dlaczego ktoś z takimi uzdolnieniami jest skłonny być zaledwie „damą do towarzystwa”, ozdobą dodającą blasku mężczyźnie choćby nawet tak utalentowanemu i sławnemu, i czarującemu jak mój stryj Laf. Moja babka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, więc po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego pani to robi. Chyba wiem, co sprawia, że czuję się niezręcznie wobec pani: czuję, że za całą historią kryje się całkiem inny scenariusz.

– Rozumiem. No cóż, może to prawda. – Bambi przyglądała się swoim dłoniom. Kiedy znów spojrzała na mnie, już się nie uśmiechała. – Pani stryj Lafcadio jest dla mnie kimś bardzo ważnym, *Fraulein Behn*: on i ja rozumiemy się absolutnie. Ale to całkiem inna historia. To nie z tego powodu przychodzę do pani w środku nocy i proszę o przyjaźń.

Czekałam. Te złotem nakrapiane oczy taksowały mnie badawczo. W końcu uderzył grom.

– *Fraulein Behn* – podjęła Bambi – boję się zainteresowania pani osobą ze strony mojego brata. Jeśli nie robi pani czegoś, i to prędko, obawiam się, że to jego zainteresowanie narazi na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

Siedziałam jak sparaliżowana. To była ostatnia rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić – ale nagle dotarło do mnie z przeraźliwą pewnością, dlaczego aura, którą roztaczała wokół siebie Bambi, jest mi tak znajoma.

– Pani brat? – spytałam niepewnie, choć nie musiało się być specjalistą od rakiet dalekiego zasięgu, aby wydedukować, kto nim jest.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię jak należy, *Fraulein Behn* – rzekła. – Nazywam się Bettina Braunhilde von Hauser, a Wolfgang jest moim jedynym bratem.

Heilige Scheisse, no, to miałam o czym myśleć. A więc Bambi to przydomek nadane przez stryja Lafa Bettinie, tak samo jak Gavroche – mnie. Ma się rozumieć, słyszałam o Bettinie von Hauser, młodej wiolonczelistce, która zaczynała wywoływać sensację w światowym biznesie koncertowym, choć nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że Bambi to Bettina, ani nigdy nie powiązałabym żadnej z nich z moją własną, raczej niebezpieczną namiętnością, Wolfgangiem Hauserem.

Ta niespodzianka, którą trudno byłoby nazwać miłą, sprawiła, że zaczęłam podejrzewać wszystkich jeszcze bardziej niż przedtem – zwłaszcza stryja Lafa, którego zachowanie teraz wydało

mi się podejrzane. Jeśli Laf był w zażyłych stosunkach z Bambi, to mógł przy niej tak samo jak przy mnie mówić o wszystkim, zatem dlaczego o Hitlerze i runach opowiadał dopiero pod jej nieobecność, dopiero w gorącym basenie? Kiedy wspomniałam Wolfganga, dlaczego mnie przed nim ostrzegł, a nie wspomniał choćby słowem, że tych dwoje to brat i siostra? A jeśli uważał, że ciotka Zoe, wierny poplecznik *Schutzstaffel*, koleguje się aż tak bardzo z bratem Bambi, dlaczego targał tę Bambi przez pół globu do mnie w odwiedzinie?

No i ta Bambi. Skrada się na palcach pod mój pokój, w samym środku nocy, w luksusowej bieliźnie, wskakuje do środka

z butelką koniaku, aby mi odkryć – za plecami Lafa – kilka rzeczy, o których być może on sam nie wiedział, i sporo takich, o których jemu pewnie nie chciało się choćby wspomnieć. Ponieważ Bambi znacząco powiedziała, że ona i Laf „rozumieją się absolutnie”, musiałam założyć, że jedyną osobą, która do tej rodzinnej matrycy nie ma żadnego klucza, jestem ja. Ale do stu piorunów, tak czy inaczej ja go znajdę!

Na razie dysponowałam cenną tajną bronią: mocną głową. Inaczej mówiąc, wbrew temu, że byłam smarkata, ważyłam tyle co piórko i nie miałam doświadczenia w tego rodzaju zapasach, mogłam zmierzyć się z obojętnie jaką liczbą zapitych kowbojów, strzelając podwójną tequilę przez całą noc, a potem o własnych siłach wyjść przez drzwi saloonu i przypomnieć sobie następnego ranka każde słowo z minionego wieczoru. Tak więc pół butelki Remy Martin nie było dla mnie żadnym wyzwaniem. Miałam nadzieję, że ten mój talent okaże się przydatny podczas przesłuchiwania Bambi. Nalałam następną kolejkę.

Do trzeciej nad ranem skończył się koniak, jak również Bambi. Urwał jej się film w połowie zdania i choć dalej siedziała sztywno na krześle, ja postawiłam ją na nogi i wpuściłam w labirynt apartamentów w odległym końcu korytarza. Nie mogłam pozwolić, by została w moim pokoju. Nie mogłam ryzykować, że obudzi się za kilka godzin i stwierdzi, że gdzieś zniknęłam. Ale przez trzy godziny siostrzanego ognia krzyżowych pytań dowiedziałam się więcej, niżbym się spodziewała, łącznie z kilkoma prawdziwymi rewelacjami.

Wolfgang Hauser nie był Austriakiem; on i jego siostra urodzili się w Norymberdze, wychowali tam i w Szwajcarii, a później kształcili się w Wiedniu – on w naukach ścisłych, ona w muzyce. Ich rodzina, choć niebogata, była jedną z najstarszych w Europie. *Von* w nazwisku nosili od setek lat, chociaż Wolfgang swoje opuścił, wyjaśniła Bambi, ponieważ uznał, że posługiwanie się nim w jego zawodzie jest niewygodne i niestosowne. Ich życie, w jej opisie, w porównaniu z moim wyglądało na idyllę – do czasu, "kiedy związali się z rodziną Behnów.

Bambi, jak się okazało, została protegowaną stryja Lafa jako piętnastolatka, ponad dziesięć lat temu. Kiedy uświadomiono sobie miarę jej talentu i kiedy stryj Laf zaofiarował się zatrudnić najlepszych nauczycieli i wziąć w swoje ręce jej edukację, rodzina Bambi pozwoliła jej zamieszkać w domu Lafa w Wiedniu. Wolfgang często tam siostrę odwiedzał, więc zapewnienia Lafa, że ledwo go zna, nie mogły być prawdziwe.

Ale nie dalej jak siedem lat temu coś się zdarzyło, coś, co zmieniło nawet te ograniczone więzi rodzinne. Wolfgang zrobił dyplom kilka lat wcześniej, a jego pierwsza praca, zaraz po studiach, w

charakterze konsultanta w przemyśle nuklearnym, coraz bardziej i bardziej oddalała go od Wiednia. Zatem pewnego dnia, siedem lat temu, po powrocie z kolejnej podróży, Wolfgang wpadł z wizytą do swojej siostry, do mieszkania stryja Lafa, tego z oknami na Hofburg. Wolfgang powiedział Lafowi i Bambi, że porzuca obecną pracę i że zatrudniają go w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Chciał zabrać ich dwoje na lunch do pobliskiej restauracji, dla uczczenia tej zmiany.

–Po lunchu – opowiadała Bambi – Wolf zaproponował nam zwiedzenie Hofburgu. Zabrał nas do *Wunderkammer*, aby obejrzyć klejnoty, następnie zwiedziliśmy sławne zbiory ze starożytnego Efezu, aż w końcu przeszliśmy do *Schatzkammer*, aby popatrzeć na *Reichswaffen*.

–Do skarbca popatrzeć na królewskie zbroje – powiedziałam.

Nie zapomniałam historii Lafa, którą mi opowiedział nie dalej jak tego ranka, w gorącym basenie, o jego wizycie sprzed siedemdziesięciu pięciu lat, w tych samych komnatach Hofburgu – w towarzystwie Adolfa Hitlera.

–*Ja* – przytaknęła Bambi. – Mój brat zabrał nas tam, aby obejrzyć jakiś miecz i jakąś włócznię, i zapytał pani stryja: „Czy pan i Pandora wiedzieli wszystko o świętych świętościach?” Ale Lafcadio milczał, więc Wolf powiedział, że on od dawna interesuje się tymi przedmiotami. Cała historia była dobrze znana w Norymberdze: Adolf Hitler zabrał wiele eksponatów ze skarbca cesarskiego w Wiedniu – na przykład insygnia Starej Rzeszy, cesarską koronę, jabłko i berło, miecz cesarski i tak dalej – i przeniósł je do zamku w Norymberdze. To była pierwsza rzecz, którą zrobił tuż po... jak to się mówi?... po *Anschluss*.

–Po anektowaniu Austrii przez Niemcy w trzydziestym ósmym – odpowiedziałam.

Czy to był zwykły zbieg okoliczności, że dokładnie rok te

mu – w marcu osiemdziesiątego ósmego, w pięćdziesiątą rocznicę tegoż mistrzowskiego posunięcia – moja ciotka Zoe przyjechała do Wiednia ze swoimi „orędownikami pokoju” z drugiej wojny światowej i zawarła znajomość z *Herr* profesorem doktorem Wolfgangiem K. Hauserem? Pomyślałam, że nie, zwłaszcza kiedy Bambi powiedziała, że Laf odmówił wszelkich kontaktów z Wolfgangiem – spotkania się z nim czy przyjmowania go u siebie w domu – natychmiast po tym, jak Wolfgang wyłożył mu swoją teorię dotyczącą wojennych losów Pandory. Mianowicie Wolfgang uważał, że niewątpliwie Pandorze wolno było zatrzymać w czasie wojny kosztowne mieszkanie w Hofburgu i występować w Operze Wiedeńskiej ze względu na jej wiedzę o tamtych świętościach. O czymś, co wiązało je z Norymbergą, być może nawet z Hitlerem.

– Oboje z Wolfgangiem wyrosliście w Norymberdze, gdzie po wojnie odbył się proces nazistów. Czy w czasie przesłuchań wspomniano o tych przedmiotach?

– Nie wiem. – Bambi podpierała się chwiejnie łokciem o stół. – Proces norymberski... wojna... wszystko to działo się przed moim i Wolfganga przyjściem na świat. Ale w Norymberdze nawet po wojnie każdy o nich wiedział. Były przechowywane w jednej z zamkowych komnat. Hitler wierzył w ich świętość i tajemnicze moce związane z pradawnym germańskim rodowodem. Hitler miał w Norymberdze specjalny apartament, w którym mieszkał podczas zjazdów. Apartament znajdował się

blisko centrum miasta, obok opery, na wprost zamku, tak by zawsze mógł patrzeć z okien na miejsce, gdzie były przechowywane. Na czas trwania wielkich politycznych zjazdów partii nazistowskiej często je wystawiano na widok publiczny, na lądowisku zeppelinów. Do Austrii wróciły dopiero po wojnie...

Oczywiście – Norymberga! Że też mogłam o czymś takim zapomnieć: wszystkie te filmy o nocnych zjazdach z flagami i wielkimi sztandarami, i świetlnymi refleksami rzucanymi na nocne niebo, i tysiącami ludzi ustawionymi w czworoboki, na kształt żywej szachownicy – wszystkie te słynne zjazdy odbywały się w Norymberdze. A to prowokowało następne pytanie.

Popatrzyłam na koniak. Butelka była prawie pusta. Nie chciałam, by Bambi wysiadła, zanim dowiem się wszystkiego. To, co zostało na dnie, wlałam do swojego kieliszka.

– Skąd ta cała Norymberga? – zapytałam. – To przecież zwykła prowincjonalna miejscina; z dala od bitych dróg, setki mil od czegokolwiek, prawda? Dlaczego Hitler przeniósł te przedmioty do takiego zadupia... czy z ich powodu urządzał tam te swoje zjazdy?

Bambi popatrzyła na mnie. Jej bezgranicznie szerokie oczy trochę zmętniały od koniaku.

– Przecież Norymberga jest osią – powiedziała. – Nie wiedziałaś o tym?

– Masz na myśli, że podczas wojny spotykały się w niej władze Osi? Zdawało mi się, że na ogół w Rzymie albo w Wiedniu, albo...

– Mam na myśl, że Norymberga jest osią – przerwała mi. Osią świata, miejscem, które jest uważane za skupisko wszystkich profetycznych sił. Jej dawna nazwa brzmi *Nornenberg*, „góra norn”, ponieważ u zarania czasów zamieszkiwały ją trzy norny, przędące nić żywota boginie Urd, Werdandi i Skuld, czyli Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość. To one trzymają w swych rękach wrzeczono losu i to z ich krosien wychodzi tkanina runów, historia, w której zapisane jest nasze przeznaczenie. Te boginie są jak sędziowie, a ich runiczna tkanina jest rzeczywistym Sądem Norymberskim, ponieważ opowieść, którą snują, *die Götterdämmerung* – zmierzch bogów – jest opowieścią o tym, co się zdarzy, kiedy nastąpi koniec świata.

Może byłam naiwna, wyobrażając sobie, że mogłabym wyprostować ścieżki tak krętego labiryntu, próbując rozwikłać niezłe zasupłane wzajemne relacje mojej rodziny. Ale nie da się nie zauważyć, że moi najbliżsi krewni chyba faktycznie tkwili po uszy w tym narodowym socjalistyczno-mitologiczno-kosmicznym *Scheisse*.

Właściwie nie było nic zaskakującego w tym, że ktoś, kto jest mi obcy, jak Bambi, wie tak wiele odrażających rzeczy o mojej rodzinie, rzeczy, które pozostawały całkowicie poza moją świadomością. Ostatecznie moje całe życie to była jedna wielka próba dystansowania się od rodziny. I teraz się okazało, że miałam do tego mnóstwo uzasadnionych – choć dotąd nie znanych – powodów.

A jednak dziwiło mnie – jeśli to, co Bambi powiedziała, było prawdą – jak dobrze wiodło się Lafowi, Pandorze i Zoe po śmierci Hitlera. W powojennym Paryżu Francuzkom, które zadawały się z gestapo, golono głowy, a następnie przeganiano je ulicami, pośród szydzącego tłumu. W wielu krajach muzycy, którzy w czasie okupacji jedynie koncertowali dla nazistów, popadali w niełaskę

publiczności i mieli zrujnowaną reputację. A ci, którzy rzeczywiście trzymali z władzą – jak według Wolfganga Pandora – odsiadali długoletnie wyroki albo szli na szubienicę. Rodziło się istotne pytanie: Jeśli Pandora faktycznie mieszkała w Wiedniu w czasie wojny i jeśli była ulubioną diwą operową Hitlera – jak stwierdziła Bambi – dlaczego Laf wspominałby mi jej imię w swojej opowieści, o wiele mniej akcentując to, że Zoe równie dobrze znała Fihrera, zamiast zdystansować się od tej gałęzi naszej rodziny?

No i był jeszcze inny dziwny i wprost straszliwy zbieg okoliczności w tej wewnątrzrodzinnej sadze. To była ostatnia rzecz, która przyszła mi na myśl tuż przed załapaniem paru godzin snu przed przygotowaniem do randki na łące z tamtym stadem owiec.

Bambi powiedziała mi, że do tamtej konfrontacji w Wiedniu między jej bratem Wolfgangiem a moim stryjem Lafem doszło siedem lat temu, czyli w osiemdziesiątym drugim. Ale w tym samym roku, dokładnie siedem lat temu, umarł mój stryj Earnest; w tym samym roku, kiedy Sam odziedziczył manuskrypt runiczny, a potem nagle zniknął i nikt już o nim nie słyszał. Aż do dziś.

Ośnieżone pastwisko połyskiwało niesamowitą niebieskawą bielą na tle kurtyny ciemności i złowieszczego lasu. Noc miała się ku końcowi, choć księżyc wciąż wisiał jak ornament na usianym gwiazdami pruskim błękicie nieba. Powietrze pachniało chłodem i grozą, jak zwykle o tej porze roku tuż przed pierwszym brzaskiem. Na łące nie było żadnych świeżych śladów. Podjechałam na nartach na środek otwartej przestrzeni, zrobiłam ostry skręt i wpiłam oczy w las.

Właśnie wtedy śnieżka uderzyła mnie w plecy, czapka spadła mi na ziemię i nasypało mi się śniegu za kołnierz. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że od linii lasu oderwała się jakaś postać; pokazała się na mignięcie oka w księżycowym świetle

i zniknęła między drzewami. Ale podniesione ramię oznaczało, że to Sam i że powinnam jechać za nim. Zgarnęłam nakrycie głowy, wetknęłam je do kieszeni, dwoma szusami przecięłam pastwisko i zanurkowałam między srebrne jodły i brzozy.

Przystanąłam, nasłuchując. Pohukiwanie sowy nadeszło od strony niewysokiej skarpy, więc poszłam za nim głębiej, w niemal nieprzeniknioną ciemność. Kiedy znów przystanąłam niepewna, dokąd dalej, usłyszałam jego cichy szept tuż obok:

– Ariel, chwyć za to i idź za mną.

Poczułam, jak bierze mnie za nadgarstek i wkłada koszyczek swojego kijka do nart w moją dłoń, i jak rusza przodem, w ciemność. Z moimi kijkami zaciśniętymi w drugiej dłoni ruszyłam za nim na oślep, nie mając pojęcia, dokąd mnie prowadzi. Przemykaliśmy się między drzewami dość długo, następnie zaczęliśmy podchodzić na wysoką łąkę. Kiedy wreszcie wyszliśmy na otwartą przestrzeń, niebo już jaśniało kobaltowym błękitem, a ja prawie mogłam zobaczyć zarys sylwetki Sama.

Zatoczył pół koła, wsunął czubki swoich nart między moje, tak jak się zamyka palce obu dłoni, i objął mnie ramionami zupełnie tak samo, jak ja objęłam jego, na tamtej górze blisko osiemnaście lat temu. Pachniał opalenizną i dymem drzewnym. Ukrył twarz w moich rozpuszczonych włosach i wyszeptał:

– Dzięki Bogu, Ariel. Żyjesz, jesteś bezpieczna...

– Dzięki Bogu, nie dzięki tobie – wymruczałam w jego ramię.

– Wtedy odsunął się o krok i przyjrzał mi się w ciemnościach

przedświtu, rozświetlonych jedynie mleczną księżycową poświatą i tym dziwnym blaskiem od śniegu.

Nie widziałam Sama od ponad siedmiu lat. Wtedy wciąż był bardzo chłopięcy. Powinnam się domyślić, że mógł się do tej pory zmienić. I oto stał przede mną: wysoki i barczysty, szorstko przystojny, z cyzelowanym profilem Earnesta, z matczynymi długimi ciemnymi włosami, opadającymi w nieładzie na ramiona, i z tym zagadkowym pięknem srebrnych oczu, jakby rozświetlonych od wewnątrz. Z przykrością zdałam sobie sprawę, że to nie jest mój dawny młodzieńczy mentor i chłopiec, z którym połączyło mnie braterstwo krwi, tylko niewiarygodnie przystojny mężczyzna. A zaskoczenie malujące się na twarzy Sama mówiło mi, że jego reakcja na mój widok jest najwyraźniej identyczna.

– Co stało się z tamtym małym chudzielcem z wiecznie podrapanymi kolanami, który łąził za mną krok w krok? – spytał z uśmiechem zakłopotania. – Wielki Boże, bystrzaku, jesteś wspaniała.

– Prawie mnie znokautowałaś tą śnieżką – powiedziałam równie zmieszana. Najwyraźniej potrzebowałam trochę czasu, aby oswoić się z myślą, że oboje dorośliśmy.

– Wybacz. – Wciąż patrzył na mnie, jakbym była kimś obcym. – Nie umiem wyrazić, Ariel, jak mi przykro, że to wszystko się zdarzyło. Jak mi bardzo przykro, że cię w to wszystko wplątałem.

– Przepraszanie nic tu nie pomoże – zacytowałam zwrot Jersey raz jeszcze. Ale uśmiechnęłam się, a on mi odpłacił tym samym. Wiedziałam, że muszę mu to powiedzieć natychmiast.

– Sam, posłuchaj, ja także muszę cię za coś przeprosić, za coś, za co czuję się winna jak nigdy w życiu. Mam nadzieję, że to coś nie zniszczy wszystkiego, nad czym pracowałaś, ani nie narazi nas oboje na jeszcze większe niebezpieczeństwo, ale zrobiłam coś naprawdę głupiego i bezsensownego, i straszego, i złego. Zostawiłam kogoś na całą noc sam na sam z manuskryptem runicznym...

Sam patrzył na mnie z coraz większym przestraszaniem, kiedy odmawiałam tę długą litanię żalu za grzechy – dopóki nie dojrzałam do mojego „amen”.

– Z manuskryptem runicznym? Z jakim? – zapytał.

Wyobrażałam sobie, mówię szczerze, że jeśli moje serce

zanurkuje odpowiednio wiele razy w dolne partie brzucha, to wcześniej czy później urwie się zupełnie i przestanie podskakiwać w górę i w dół jak jojo. Jednak kilka mil jazdy terenowej z Samem przez wysokie górskie łąki zadziało jak masaż klatki piersiowej. Do czasu, kiedy dotarliśmy do domku myśliwskiego, wszystko było ze mną w porządku – przynajmniej odzyskałam zdolność mówienia.

I dowiedziałam się, dlaczego Sam zmienił miejsce naszego spotkania. Uznał, że znalazł się w wystarczająco niebezpiecznej sytuacji, by unikać hoteli, więc od swojej „śmierci” sypiał w domkach myśliwskich, w trzciniowych szałasach używanych podczas polowań na kaczki i w zadaszonych przybudówkach, rozrzuconych po całym Idaho, opuszczonych na dobre albo nie

odwiedzanych o tej porze roku. Przybywszy do Sun Valley trochę wcześniej niż ja, zdążył się zorientować, że w pobliżu góry z wyciągami narciarskimi nie ma żadnej tego rodzaju kryjówki, dlatego krążył po okolicy tak długo, aż znalazł tę, jakieś dwie mile jazdy na nartach od głównej drogi. Ale większa część pastwiska była tak odsłonięta, że łatwo dałoby się mnie wysledzić, chyba że zjawiłabym się o bladym świcie, pod osłoną ostatnich nocnych ciemności.

Po dotarciu do opuszczonego domku, tego, w którym Sam spędził ostatnią noc, odpieliśmy deski, ostukaliśmy ze śniegu wiązania, wbiliśmy narty i kijki w ustroniu zaplecza i weszliśmy do środka. Sam pogrzebał w stygnącym palenisku i dorzucił do niego kilka polan. Nie było żadnego ogrzewania ani kanalizacji, jedynie pompa do wody, na zewnątrz, za drzwiami. Sam napełnił wodą cynowy dzbanek do kawy, postawił go na ogień i przysunął taboret do koślawego krzesła, na którym już siedziałam.

– Ariel, zdaję sobie sprawę, że pewnie niewiele rozumiesz z tego, co zrobiłem, albo dlaczego to zrobiłem – zaczął – ale nim ci wszystko wytłumaczę, chcę wiedzieć, dlaczego przez cały tydzień nie odbierałaś w barze moich telefonów, co wiesz o paczce, która nie doszła, i czego wczoraj dowiedziałaś się od Lafa.

– W porządku – powiedziała niechętnie, bo to ja miałam do niego tysiąc pytań. – Ale najpierw... jeśli nie wysłałaś manuskryptu, o którym ci powiedziałam, to chcę coś wiedzieć, i to natychmiast, ponieważ poznałam kogoś, kto twierdzi, że to on mi go wysłał. Czy słyszałaś kiedykolwiek o doktorze Wolfgangu K. Hauserze? – Widząc krzywy uśmiech Sama, dodałam: A więc znasz go!

Ale Sam potrząsnął głową.

– Och, nie, nie znam... chodzi tylko o sposób, w jaki wymówiłaś jego nazwisko. – Przyjrzał mi się dziwnie badawczo. Widzisz, zawsze myślałem o tobie jak o kimś, z kim łączy mnie braterstwo krwi, jak o bliźniaczej duszy – ciągnął. – Ale teraz czuję... To znaczy chcę powiedzieć, kim jest ten gość, Ariel? Czy dzieje się coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

Wiedziałam, że oblewam się rumieńcem. Ta cholerna irlandzka skóra, którą odziedziczyłam po Jersey, natychmiast ujawniała każde mocniejsze uderzenie mojego serca. Przyłożyłam dłoń do twarzy. Sam sięgnął i mi je odciągnął. Otworzyłam oczy.

– Wielki Boże, Ariel, zakochałaś się w nim? – spytał.

Skoczył na równe nogi i zaczął krążyć po izbie, pocierając

czoło ręką, gdy tymczasem ja siedziałam, nie wiedząc, co powiedzieć. W pewnej chwili znowu usiadł i pochylił się ku mnie niecierpliwie.

– Ariel, pomijając wszystko, co mógłbym odczuwać w takiej sytuacji, to nie jest najlepszy

moment na wdawanie się w romanse! Mówisz, że ledwo co poznałaś tego człowieka. Czy wiesz o nim cokolwiek? O jego przeszłości? Czy zdajesz sobie sprawę, czym mogą nam grozić, nam obojgu, te twoje „przyjaźnie” nie w porę?

Wyprowadził mnie z równowagi tym swoim wybuchem do tego stopnia, że chętnie bym go czymś wyróżnęła. Teraz ja skoczyłam na równe nogi, ale właśnie zaczęła kipieć kawa. Sam złapał za rękawicę, aby ratować ją z ognia. To pozwoliło nam obojgu ochłonać.

– Nie twierdzę, że się w kimsz zakochałam – powiedziałam najspokojniej, jak się dało.

– Nie musisz twierdzić – usłyszałam w odpowiedzi.

Majstrował coś przy naczyniu z kawą, nie patrząc na mnie.

Potem odwrócił się tak, że nie mogłam widzieć wyrazu jego twarzy, i zaczął odmierzać zaparzoną kawę do filiżanek. Jakby mówiąc sam do siebie, powiedział w końcu:

– Dopiero co uzmysłowiłem sobie, że rozumiem twoje emocje, właśnie teraz, o wiele bardziej, niżbym rozumiał moje własne.

Kiedy odwrócił się do mnie z dwiema filiżankami kawy, miał na twarzy dość nienaturalny uśmiech. Wręczył mi moją filiżankę, a następnie zburzył mi włosy, jak za dawnych dobrych czasów.

– Boże, ależ mi przykro – rzekł. – Nie mam prawa mówić ci, kogo masz kochać, ani cię przepytywać tak jak przed chwilą. Byłem zaskoczony, to wszystko. Jesteś wystarczająco rozgarnięta, by nie zakochać się w kimsz, kto mógłby okazać się groźny dla nas obojga. Choć kto wie? Może taka sytuacja ma swoje dobre strony? Może dzięki niej uda nam się wyplątać z zamieszania, którego narobiłem? Przy okazji, ten Wolfgang K. Hauser – pytam przez zwykłą ciekawość... powiedział ci, co oznacza owo „K”?

Zdziwiona potrząsnęłam głową.

– Nie, nie powiedział. A czy to takie ważne?

– Prawdopodobnie nie – odrzekł Sam. – Ale kiedy go znów zobaczysz, mogłabyś go o to spytać. A teraz niech usłyszę, co się działo przez ostatni tydzień.

No więc głęboko odetchnęłam i usiedliśmy znowu, i opowiedziałam Samowi o wszystkim, co się zdarzyło. Prawie o wszystkim. Po reakcji Sama na to, w jaki sposób wymówiłam samo imię Wolfganga, uznałam za stosowne pominąć drobny szczegół, że Wolfgang Hauser spędził noc ze mną, nie tylko z manuskrypcem. Ale całą resztę zeznałam uczciwie.

Nim doszłam do wyczerpującego podsumowania, sama zaczęłam zauważać, jak kardynalną rolę Wolfgang Hauser zdawał się grać w naszej historii. Choć jak dotąd cała rzecz być może sprowadzała się do intrygi z niewłaściwą paczką. Ta prawdziwa, wysłana przez Sama, wciąż nie nadchodziła. Zaczynałam rozumieć, jakie to niebezpieczne.

– To wprost nie do uwierzenia, że jeszcze jej nie dostałaś stwierdził ponuro Sam, czytając mi w

myślach. – Coś tu jest niejasne.

Zapytałam Sama, dlaczego zawartość jego paczki jest taka ważna, że wszyscy ludzie pod słońcem zdają się nią interesować – łącznie z członkami naszej rodziny, którzy nie rozmawiali ze sobą przez lata – i tak niebezpieczna, że aż musiał upozorować własną śmierć.

– Gdybym znał wszystkie odpowiedzi – Sam uśmiechnął się krzywo – nie musielibyśmy ukrywać się na tym odludziu, żeby ze sobą porozmawiać, po tygodniu zamieszania z tajnymi szyframi.

– Zamieszania! Dobre sobie – oburzyłam się. – To ty jesteś tym, kto narobił niezłego zamieszania, ty, z tym twoim całym szalbierczym pogrzebem, z twoimi biblijnymi anagramami i potajemnymi spotkaniami! Ale po tym, przez co przeszłam w ostatnim tygodniu, żądam paru odpowiedzi i żądam ich natychmiast. Co jest w tej twojej paczce i dlaczego wysłałeś ją właśnie do mnie?

MHMnmpnnMiH[^]H^{^^}iMMiH

– Ta paczka to mój spadek – powiedział Sam, jakby mi to coś wyjaśniało. – Posłuchaj mnie, Ariel, proszę. I postaraj się zrozumieć wszystko, co mam ci do powiedzenia. Siedem lat temu dowiedziałem się od ojca, tuż przed jego śmiercią, co Pandora zostawiła mu w spadku. Milczał aż dotąd, powiedział mi, ponieważ stosował się do ostatniej woli Pandory, a Pandora zastrzegła w testamencie, że tego spadku nie wolno nikomu ujawniać. Ojciec więc schował go do pudła i złożył w sejfie bankowym w San Francisco, gdzie mieściła się firma prawnicza naszej rodziny. Po śmierci ojca odzyskałem pudło i zabrałem je tu, do Idaho. Zawierało wiele starych, niezwykle rzadkich manuskryptów, które Pandora zbierała przez całe życie. W paczce, którą do ciebie wysłałem, były ich kopie...

– Kopie? – krzyknęłam. – Musiałeś upozorować własną śmierć, nasze życie wystawić na niebezpieczeństwo, dla pliku duplikatów czegoś tam?

– To były jedyne kopie – rzucił niecierpliwie. Zbyt niecierpliwie, pomyślałam, jak na kogoś, kto pozwala tak długo czekać na swoje wyjaśnienia. – Powiedziałem: stare i niezwykle rzadkie, a powinienem powiedzieć: starożytne. Przechowywano je w hermetycznie zamkniętym pudełku, aby się nie rozpadły. Te manuskrypty były spisane na zwojach z papirusu i z papieru czerpanego albo arkuszach metali takich jak miedź i cyna. Na drewnianych tabliczkach. Na metalowych płytkach. Według mnie, sądząc na podstawie materiałów, a także języków – greki, hebrajskiego, łaciny, sanskrytu, aramejskiego, a nawet ugaryckiego i akadyjskiego – pochodzą z wielu regionów świata i były spisywane w ciągu wielu, wielu wieków. Wiedziałem od razu, że to, co trzymam w rękach, ma z niczym nieporównywalną wartość. Ale czułem też, pewnie podobnie jak mój ojciec, że to coś w jakiś sposób jest niebezpieczne. Oczywiście czas zrobił swoje. Wiele z nich niemal rozpadło się w pył i nielato je będzie sfotografować bez specjalistycznego, drogiego sprzętu i wyszukanej technologii. Tak więc z każdego zrobiłem kopię sam, własnoręcznie, a była to praca, która zajęła mi wiele lat by móc przystąpić do tłumaczenia. Następnie umieściłem te kopie w sejfie i ukryłem oryginały gdzieś, gdzie na pewno nikt ich nie znajdzie. A przynajmniej na pewno nie wcześniej, niż moje angielskie tłumaczenie będzie gotowe.

–Ile przetłumaczyłeś do tej pory? – spytałam.

–Sporo – odparł Sam. – Tyle że to dziwna mieszanina na pozór nie powiązanych ze sobą rzeczy. Listy, opowieści, poświadczenia, relacje. Pisma urzędowe z czasów imperium rzymskiego. Celtyckie i teutońskie legendy. Opisy świąt u dawnych Traków. Opisy kolacji w Judei. Mity o bogach i boginiach północnej Grecji... i żadnej myśli przewodniej. Jednak musi się w tym coś kryć, bo inaczej Pandora nie gromadziłaby takiej kolekcji.

Moje myśli gonily jedna za drugą, ale wciąż zataczały ten sam krąg. Jak tego rodzaju dokumenty mogłyby być powiązane z neonazistowską konspiracją, czego mogłabym się spodziewać po dopiero co wysłuchanych rewelacjach Lafa i Bambi? Wszystkie wydarzenia, które mi opisali, dotyczyły naszego wieku, gdy tymczasem języki podobne ugaryckiemu, o ile się orientuję, są martwe od tysiącleci. Pomyślałam o nomach w ich tajnej górskiej gromadzie, w Norymberdze, przędzących i tkających scenariusz ostatnich dni świata. Ale co będzie, jeśli nikt tego scenariusza w porę nie odczyta?

Podczas gdy Sam popijał powoli stygnącą kawę, ja odczuwałam frustrację szyfranta w równym stopniu, jak on musiał ją czuć, dotykając kolejnych kruchych listków papieru i rozmyślając nad kolejnymi warstwami, aby dotrzeć do istoty materii.

–Jeśli ty nie potrafisz znaleźć żadnego związku między manuskryptami Pandory, mimo kilku lat podejmowania stosownych prób – odezwałam się – dlaczego wszyscy uważają je za cenne i niebezpieczne? Może w jakiś sposób są powiązane z obiektami wystawionymi w Hofburgu, z tymi, które, jak powiadają, Hitler próbował zgromadzić?

–O tym też myślałem – odpowiedział. – Lecz mnie bardziej nurtowała inna kwestia. Mianowicie to, skąd pochodzą, jak dostały się w ręce Pandory i dlaczego chciała je mieć. A najbardziej dlaczego scedowała je na mojego ojca.

–Sama się nad tym zastanawiam – zauważyłam. – No więc, dowiedziałeś się czegoś?

–Być może. Ale chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz. Dotąd nie miałem nikogo, z kim mógłbym przedyskutować moją teorię dotyczącą ostatniej woli Pandory. Po jej śmierci mojego ojca zawezwano do Europy, na otwarcie testamentu, jako głównego

t

spadkobiercę. Ojciec był zaskoczony. W końcu Pandora była mu zaledwie macochą, i zaledwie podczas krótkotrwałego małżeństwa z Hieronymusem. Nie widziała go od czasu „rodzinnej schizmy”. W istocie, a sędzę, że się ze mną zgodzisz, historia naszej rodziny w wersji stryja Lafa jest niewątpliwie przefiltrowana przez inny pryzmat niż ta, którą znamy z relacji naszych ojców, Earnesta i Augustusa. Chyba ci dwaj nie żywili w stosunku do Pandory zbyt gorących uczuć, po tym, jak uciekła z domu, z Wiednia, pozostawiając troskę o ich wychowanie mężowi.

Sacre merde, pomyślałam, raz jeszcze stając twarzą w twarz z powikłaną i gorzką historią mojej rodziny. Ale nagle coś mnie oświeciło. A może Pandora właśnie na to liczyła, na te powikłane i gorzkie rodzinne układy? Powiedziałam to Samowi.

– Tak, mnie też takie myśli przychodziły do głowy – zgodził się ze mną. – Ale teraz, kiedy

wysłuchałem twoich powieści, widzę, że klocki układanki powoli zaczynają do siebie pasować.

> To od tych manuskryptów wszystko się zaczęło... to znaczy, sama rodzinna schizma. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Pandora, jednym uderzeniem, rozdziera rodzinę, uciekając z Lafem i Zoe. Porzucając twojego ojca prawie po urodzeniu, wbija cierń w serce rodziny, a sam akt porzucenia doskonale może tłumaczyć nieczułość i egoizm tego człowieka. Następnie, przez całe życie postępuje tak, aby rany się nie zabiły, aby rozdarcie trwało. Dalej, jak wiemy, zostawia mojemu ojcu te niezwykle stare dokumenty. A zgodnie z tym, co mówi twój przyjaciel Hauser, Zoe ma oryginał jakiegoś manuskryptu runicznego, tego, którego kopia dostała się w twoje ręce. Nie wiemy, co jeszcze prócz mieszkania z widokiem na Hoiburg, które samo w sobie stanowi dużą wartość, mógł odziedziczyć po Pandorze stryj Laf, ale wiemy, że był świadom istnienia manuskryptu runicznego, chociaż chyba nie wiedział, że ma go Zoe. Sam przerwał i uśmiechnął się.

– No więc, bystrzaku, wszystko razem prowadzi do jednego pytania: Jeśli musiałabyś coś ukryć i chciałabyś, żeby to coś pozostawało w ukryciu nawet po twojej śmierci, czy mogłabyś wymyślić lepsze zabezpieczenie od podzielenia tego czegoś między czwórkę rodzeństwa w rodzaju Lafcadia, Earnesta, Zoe i Augustusa, wzajemnie sobie wrogiego prawie od kołyski?

Strzał w dziesiątkę. Od chwili, w której się okazało, że to ja

jestem „spadkobierczynią”, każdy z rodziny przysyła mi jakichś emisariuszy albo przylatuje sam z Europy, albo dzwoni po północy i bierze mnie na spytki. Nawet Olivier zauważył nietypowe zachowanie moich krewnych. A w rodzinie takiej jak nasza, z zadawnionymi ranami, duszącej się w sosie podejrzeń i wzajemnych niechęci, podzielenie łupu w taki sposób, jak zrobiła to Pandora, to znaczy tak, by jeden nie wiedział, co dostał drugi, było genialnym posunięciem.

Jednak moją głowę zaprzętała inna kwestia.

– Co popchnęło cię do tak drastycznego kroku, jakim niewątpliwie jest pozorowanie własnej śmierci? – spytałam Sama. Ale darujmy sobie śmierć. Idźmy dalej. W imię czego urządziłaś sobie tak okazały pogrzeb... – rodzina, orkiestra wojskowa, dygnitarze państwowi, prasa... po co ta cała pompa? I jak wciągnęłaś w to wszystko nasz rząd? I dlaczego, na litość boską, miałbyś narażać moje życie, przysyłając mi tamte dokumenty i pozwalając, by dowiedział się o tym cały świat?

– Ariel, proszę – powiedział Sam, biorąc mnie za rękę. Przysięgam na życie, że nie narażałbym cię na nic, gdybym tylko miał jakiś wybór. Wiedziałem, od ponad roku, że ktoś mnie śledzi. A miesiąc temu, w San Francisco, ktoś mnie chciał zabić, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Podłożono mi pod samochód bombę...

– Bombę?! I Nieprawdopodobne, koszarne, tyle że przyszedł mi do głowy kolejny koszmar. Już wcześniej zapytywałam sama siebie, kogo pochowano w tamtej trumnie, na cmentarzu Presidio w San Francisco. Teraz, kiedy zapytałam o to Sama, głos mi zadrzał.

– Mój Boże, chcesz powiedzieć że zamiast ciebie zabito kogoś innego?

– Tak – odpowiedział powoli. – Kogoś innego, w wynajętym przeze mnie aucie, w Chinatown. – Nagle zmatowiały mu oczy, a głos zabrzmiał głucho, jak z oddali, jak gdyby jego pamięć przedzierała

się przez ekran gęstej mgły. – Musisz wiedzieć, Ariel, że chociaż nigdy nie pracowałem bezpośrednio dla rządu czy wojska, przez szereg lat, jako niezależny konsultant, wyszkoliłem większość rządowych szyfrantów, a nawet w pewnych sprawach służyłem radą Departamentowi Stanu. A także

często wspomagałem różne tajne służby w ich różnych tajnych, wymagających pośpiechu i zachowania wszelkiej dyskrecji operacjach. W rezultacie znam bardzo wielu ludzi i bardzo wiele sekretów.

Mężczyzna, który został zabity podczas tamtej eksplozji ciągnął Sam – był moim przyjacielem, wysokim urzędnikiem państwowym. Pracowałem z nim od lat. Nazywał się Theron Vane. Rok temu poprosiłem Therona, by wyznaczył jednego ze swoich agentów do rozpracowania kogoś, kto mnie śledził. Miesiąc temu, na wezwanie Therona, miałem natychmiast przyjechać do San Francisco: jego agent umarł w tajemniczych okolicznościach. Agencja zamknęła małe wynajmowane mieszkanie, które było zakonspirowanym biurem. To zwykłe rutynowe działanie: zlikwidować tego rodzaju miejsce, zabrać albo zniszczyć materiały operacyjne, zanim wpadną w niepowołane ręce. Ale w tym wypadku Theron pomyślał, że może znajdziemy tam coś, co będzie miało związek ze mną albo ze śmiercią agenta. Sprawdziliśmy mieszkanie cal po calu. Zniszczyłem wszystko. Włamałem się do wnętrza komputera i zniszczyłem dane.

To, co znaleźliśmy, nakazywało pośpiech w działaniu. Miałem się nie rzucać w oczy, więc zgodnie ustaliliśmy, że pójde piechotą do następnego przystanku, a Theron, zanim się do niego dosiędę, dla zmylenia śladów objedzie parę kwartałów ulic. Ale kiedy wyszedłem, u szczytu schodów prowadzących do budynku zatrzymałem się, tak jak prosił Theron, aby zajrzeć do skrzynki na listy i zabrać to, co ewentualnie nadeszło podczas naszego pobytu w mieszkaniu. Byłem w połowie schodów, kiedy Theron zapalił silnik i samochód eksplodował...

Sam przerwał, potarł skronie dłońmi. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie poruszyłam się, aż opuścił dłonie i popatrzył na mnie z bólem.

– Ariel, nie potrafię wyrazić, jakie to było straszne – mówił dalej. – Znałem Therona Vane'a prawie dziesięć lat; był moim prawdziwym przyjacielem. Ale wiedziałem, że bomba była przeznaczona dla mnie, więc musiałem zostawić go tam, jakbym to był ja, jakby to moje rozerwane szczątki miano zebrać do worków jak śmieci. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co czułem.

Mogłam sobie wyobrazić, i to tak dobrze, że sama trzęsłam się jak osika. Ale w przeciwieństwie do chwili sprzed dwóch

tygodni, kiedy byłam przekonana, że to Sam nie żyje, teraz ogarnęła mnie całkiem inna groza. Teraz wiedziałam, że niebezpieczeństwo zagraża nam obojgu. To nie o upozorowanym pogrzebie rozmawialiśmy – nawet nie o jakimś wypadku – ale o prawdziwym morderstwie, o gwałtownej śmierci, którą ktoś przeznaczył dla Sama. Jeśli jego zmarły przyjaciel był wysokim urzędnikiem państwowym, najwyraźniej w służbach tajnych, na pewno wiedział lepiej ode mnie, jak się zabezpieczać. Teraz to było oczywiste, że środki ostrożności, które przedsięwziął Sam, nie były nadmiernie zabójcze, jeśli można się tak wyrazić.

– Skąd wiesz, że bomba była przeznaczona dla ciebie? – spytałam.

– W tamtym rozebrany na części komputerze znalazłem pewien numer, co do którego byłem przekonany, że znam go wyłącznie ja: numer sejfów w banku w Chinatown, zaledwie kilka przecznic dalej. To jasne, kimkolwiek był mój niedoszły zabójca, wiedział, gdzie ukryłem kopie manuskryptów, i był pewien, że je zdobędzie... tym łatwiej, jeśli ja zostanę wyeliminowany z gry.

Ponieważ bomba wybuchła w momencie, kiedy miałem udać się do banku po odebranie manuskryptów, zbieg okoliczności był aż nadto wyraźny. Popędziłem do banku, schwyciłem manuskrypty i wielką groszkowaną kopertę, nakleiłem kupione w automacie znaczki i wrzuciłem wszystko razem do najbliższej skrzynki pocztowej, aby wysłać do jedynej osoby, której ufałem absolutnie, to znaczy do ciebie. Następnie z budki telefonicznej zadzwoniłem do zwierzchnika Theron'a i opowiedziałem, co się stało. To, że będziemy udawać moją śmierć, postanowiono na górze. A teraz i złamałem słowo, i się zdekonspirowałem. Bo widzisz, miałem się nie kontaktować absolutnie z nikim, a przede wszystkim nie z wami, członkami naszej rodziny.

Sam popatrzył na mnie dziwnie zagadkowo.

– Rodziny? A co to ma wspólnego z rodziną? – spytałam, choć znowu zaczynałam nabierać przekonania, że nie chcę znać odpowiedzi.

– Jest tylko jedna rzecz, która prowadzi do rozwiązania zagadki, a także nasuwa przypuszczenie, że tego rozwiązania należy szukać w naszej rodzinie – stwierdził Sam. – Moim zda-

niem, wciąż to samo: testament Pandory. A ponieważ oboje już się zgodziliśmy, że to coś, co ma istotną wartość, Pandora rozdzieliła między troje naszych krewnych, pozostaje zapytać... co zostawiła czwartemu, swemu jedynemu dziecku?

Zatkało mnie. Poczułam, że zielenieję na twarzy.

– Augustusowi? Mojemu ojcu? Dlaczego miałaby mu cokolwiek zostawiać? W końcu wyrzekła się go w chwilę po urodzeniu, no nie?

– Kochanie – uśmiechnął się ironicznie – poza tobą i mną Augustus to jedyna osoba w rodzinie, o której dotychczas nie mówiliśmy. Kiedy Pandora umarła, ja miałem cztery lata, a ciebie nie było na świecie, więc możemy spojrzeć na parę spraw z perspektywy co najmniej dwudziestu lat. Czy nie dziwne, że mój ojciec, Earnest, najstarsze dziecko Hieronymusa Behna, odziedziczył jedynie akcje kopalni w Idaho, podczas gdy twojemu, najmłodszemu, przypadły w udziale koncesje na eksploatację i przetwarzanie światowych zasobów minerałów...

– Czy usiłujesz mi wmówić, że mój ojciec ma z tym coś wspólnego? – powiedziałam z niedowierzaniem, cofając dłoń.

Kiedy wstałam, Sam pozostał na swoim miejscu, wciąż przyglądając mi się badawczo. Kręciło mi się w głowie, ale on jeszcze nie skończył.

– Myślę – rzekł – że powinnaś dojść do paru odpowiedzi, choćby na własny użytek. Dlaczego mianowicie, jak mi powiedziałaś, Augustus kontaktuje się z wykonawcą mojego testamentu nieledwie

w chwili mojej śmierci? Dlaczego jest ciekaw, co ci zostawiłem? Dlaczego zwołuje w San Francisco konferencję prasową, aby moją ostatnią wolę wywlec na widok publiczny? Dlaczego telefonuje do ciebie, do Idaho, przez wiele dni, a kiedy się wreszcie dodzwania, dlaczego nakazuje, abyś go zawiadomiła natychmiast po otrzymaniu manuskryptów z mojego depozytu? I wreszcie, skąd o tych manuskryptach w ogóle wiedział?

– Ależ my wszyscy o nich wiedzieliśmy! – oburzyłam się. Przecież wymieniałeś je w swoim...

Miałam powiedzieć „...w swoim testamencie”. Ale nagle z przerażeniem uświadomiłam sobie, że podczas otwarcia testamentu nie wyszczególniano ani żadnych pozycji, ani nie było mowy o żadnych dziedzicznych dokumentach. Podczas otwarcia testamentu powiedziano jedynie, że jestem jedyną spadkobierczynią. Ale tu zaczynał się jeszcze większy koszmar. No bo jeśli dziedziczyłam wyłącznie ja, to dlaczego był tam obecny Augustus? I dlaczego to on zwołał konferencję prasową? A poza tym, jeśli mój ojciec od lat nie widywał Sama, a własnego brata Earnesta przestał widywać na wiele lat przed jego śmiercią, to dlaczego w ogóle przyszedł na pogrzeb Sama?

Sam siedział i kiwał w milczeniu głową. Już się nie uśmiechał.

–Widziałaś, jak się zachowywał na pogrzebie. Wiesz, co zrobił po pogrzebie. Zatem czy nie przychodzi ci na myśl, dlaczego było to takie ważne, żeby cała rodzina, a zwłaszcza twój ojciec, uwierzyła, że ja rzeczywiście nie żyję? – Podniósł się z krzesła i spojrzał mi prosto w oczy.

–Oszalałeś? – wyrwało mi się. – Ale dobrze, niech ci będzie. Faktycznie uważam Augustusa za dupka, a jego sposób bycia pozostawia wiele do życzenia. Tylko chyba nie sądzisz, że chciał cię dopaść i zabić dla jakichś tam manuskryptów, choćby w jego mniemaniu Bóg wie ile były warte. Załóżmy jednak, że to, co sugerujesz, nie mija się z prawdą. Że Augustus byłby zdolny do tak szaleńczego czynu. No więc dlaczego wcześniej nie próbował położyć na tych dokumentach łapy? Było nie było, Earnest odziedziczył je dawno temu i przetrzymywał u siebie przez blisko dwadzieścia lat.

–Może Augustus nie wiedział, że mój ojciec je ma. Zdawało się, że nikt nie wie, że ja je mam, aż rok temu zaczęto mnie śledzić...

Rok temu ktoś zaczął Sama śledzić. Rok temu Sam skontaktował się ze swoim przyjacielem z administracji rządowej i być może przez to jej dwóch pracowników straciło życie. Ale jakie inne ważne wydarzenie nastąpiło dokładnie rok temu? Łamałam sobie głowę, wiedziałam, że wiem. Nagle olśniło mnie i nagle kilka innych rzeczy wpasowało się w swoje miejsce tak łatwo jak gwoździe w trumnę.

Równo rok temu, w marcu osiemdziesiątego ósmego, w Wiedniu, Wolfgang Hauser poznał moją ciotkę Zoe na zjeździe w rocznicę anszlusu. I Zoe powiedziała mu o tym, że ma inny manuskrypt – runiczny!

A więc Sam miał słuszość co do jednego: Jeśli mój ojciec, ćwierć wieku temu, odziedziczył coś po Pandorze, jeśli dowiedział się, że Zoe też coś odziedziczyła, nietrudno mu było wydedukować – podobnie jak teraz Samowi i mnie – że te puzzle nie składają się z jednego kawałka. Albo dojść do

wniosku, że inne kawałki, w ten sam sposób, dzięki testamentowi Pandory, dostały się różnym członkom naszej rodziny.

To Augustus mi powiedział, że manuskrypty należały do Pandory i że są napisane jakimś szyfrem. Zaraz potem, zbyt dziwnym zbiegiem okoliczności, zadzwoniła niejaka Helena O-tasiemcowym-nazwisku z „Washington Post” – która prywatny numer mojego telefonu dostała wprost od mojego ojca i która mi powiedziała, że manuskrypty mogły należeć do Zoe. Skąd byłam taka pewna, że Tasiemiec pracuje dla „Posta”, a nie dla mojego ojca? Tyle że na podstawie takich faktów trudno byłoby oskarżyć Augustusa o próbę scalenia podzielonych manuskryptów – a tym bardziej zrobić z niego jakiegoś szalonego bombera.

– Czy wiesz, kto był wykonawcą testamentu Pandory? – spytałam Sama.

– No właśnie! Doszliśmy do krytycznego punktu.

Schwycił mnie za ramiona. Szarpnął mną ból; skrzywiłam

się i nie potrafiłam powstrzymać od głośnego jęku.

– Co ci jest? – spytał.

– Nic takiego. Czternaście szwów. No wiesz, po drobnej potyczce z lawiną – powiedziałam jakby od niechcenia. Do tej pory szczęśliwie udawało mi się nie wspomnieć o tym jednym z mniej dramatycznych wydarzeń z ubiegłego tygodnia. Nabrałam powietrza w płuca i ostrożnie dotknęłam okaleczonego ramienia.

Sam przyglądał mi się z niepokojem. Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie czule po włosach, potrząsając głową.

– W porządku; prawie zagojone – powiedziałam. – Posłuchaj, przyszło mi na myśl, że wykonawca testamentu, ktoś, komu Pandora zawierzyła dokumenty, na których kolekcjonowaniu i ukrywaniu spędziła życie, że ten ktoś musiał cieszyć się jej wielkim zaufaniem.

– Doszedłem do takiego samego wniosku, zważywszy zwłaszcza na różne dziwne okoliczności – odrzekł Sam. – Moja matka, Jasny Obłok, umarła zaledwie kilka miesięcy wcześniej niż Pandora. Obaj z ojcem byliśmy w szoku i w żałobie, a ja jeszcze nigdy nie podróżowałem tak daleko, aż do Europy. Ojciec zatem poprosił o przysłanie pocztą wszystkich dokumentów

dotyczących spadku, które wymagały jego podpisu. Ku ojca zaskoczeniu, odpowiedziano mu, że to niemożliwe: że zgodnie z wolą Pandory, musi złożyć podpisy i odebrać swój spadek osobiście od wykonawcy testamentu. No więc ojciec i ja udaliśmy się do Wiednia.

– A więc ów wykonawca odgrywał ważną rolę – zauważyłam. – Kto to był?

– Pierwszy, jak się właśnie dowiedzieliśmy... ty od Lafa, a ja od ciebie... nauczyciel Lafa w grze na skrzypcach – wyjaśnił Sam. – Śniady, romantyczny kuzyn Pandory, Dacian Bassarides, ten, który dołączył do niej i do dzieci na karuzeli na Praterze, a potem poszedł z nimi do Hofburgu, aby obejrzeć kolekcję broni. Kiedy znaleźliśmy się w Wiedniu, miałem zaledwie cztery lata, a Dacian

Bassarides siedemdziesiąt parę, mimo to nigdy nie zapomnę jego twarzy. Był szalenie przystojny. Użyłbym nawet słowa „dziko”, podobnie jak Laf używał tego słowa, opisując Pandorę z czasów jej młodości. Jest też interesujące – ciągnął Sam – że Laf, opowiadając ci o wyprawie na Prater, wspominał tamto zdarzenie na karuzeli, kiedy to Hitler objaśniał dzieciom, że w starogórnoniemieckim *Earn* znaczy orzeł, że Laf wsiadł na wilka, a Dacian wywodzi swe imię od wojowniczych Daków. Takie słowa wydają mi się znaczące. Sporo manuskryptów, tych, które zdążyłem przetłumaczyć, nawiązuje do rodziny rzymskiego cesarza Augusta. Chciałbym * wiedzieć, kim był ten, kto nadał twojemu ojcu to samo imię. Naturalnie wiesz, jak się tłumaczy na grecki nazwisko rodziny Pandory, Bassarides?

Zaprzeczyłam.

– Bachantki – wyjaśnił Sam. – Ale dowiedziałem się też, że rdzeń słowa pochodzi od berberyjskiego *bassara*, czyli lisica. Tak właśnie Laf opisywał Pandorę: dzikie zwierzę. Sporo w tym ironii, prawda?

– „Schwytajcie nam lisy, małe lisy, co pustoszą winnice, bo w kwieciu są winnice nasze” – zacytowałam Salomonową *Pieśń nad Pieśniami*.

Sam popatrzył na mnie zdziwiony, następnie uśmiechnął się z aprobatą. Przypomniało mi się, jak będąc dzieckiem, na widok takiego uśmiechu czułam się jak bohaterka, jakbym zrobiła coś nadzwyczaj wspaniałego.

~:-

– Niesamowite! Zrozumiałaś moją wiadomość! – zawołał. – Wiedziałem, bystrzaku, że dzielna z ciebie dziewczynka, tyle że nie sądziłem, byś miała dość czasu, by uporać się z tym tak prędko.

– Nie miałam. Rozszyfrowałam tylko tyle, by odgadnąć miejsce naszego dzisiejszego spotkania, nic więcej.

– Ale przecież to jest to, nie rozumiesz? – zniecierpliwiał się Sam. – To jest ta ironia. Mała chytra lisica, Pandora, rozdzielając zwartą kolekcję manuskryptów, faktycznie pustoszyła winnice, i to co najmniej przez ostatnie ćwierć wieku. Pojąłem to dopiero po wysłaniu paczki. – Na palenisku dogorywały główne. Sam patrzył na mnie swoimi srebrnymi oczami i uśmiechał się niewyraźnie. – Ariel – powiedział cicho – chyba oboje wiemy, co powinniśmy zrobić.

Serce mi zamarło, lecz wiedziałam, że on ma rację. Jeśli ta układanka niesie taki ładunek zagrożenia i jest tak cenna, że j każdy się za nią ugania, nie będziemy bezpieczni, jeśli się nie * dowiemy, o co w tym wszystkim chodzi.

– Gdyby twoja paczka nigdy nie doszła – zauważyłam – to przyjdzie ci odtwarzać wszystko na nowo, z tamtych oryginałów, które ukryłeś; a runy Zoe...

– Te mogą poczekać, na razie wystarczy, że wiemy o nich – powiedział Sam. – Widzisz, Ariel, jeśli ktoś tak rozpaczliwie pragnie zdobyć te manuskrypty, że aż twoje i moje życie stało się zagrożone, to przede wszystkim musimy się dowiedzieć, co jest tą czwartą częścią i dlaczego

Pandora kolekcjonowała tego rodzaju rzeczy. Muszę spotkać się z jedyną osobą, która może odpowiedzieć na to pytanie: z jej kuzynem i wykonawcą testamentu, Dacianem Bassaridesem.

– Sądzisz, że Dacian Bassarides jeszcze żyje? Jeśli był rówieśnikiem Pandory, to teraz dobiega setki. A poza tym, jak go znajdziesz? W końcu od waszego ostatniego spotkania upłynęło ćwierć wieku. Powiedziałabym, ślad nieco ostygł.

– Wprost przeciwnie. Dziewięćdziesięciopięcioletni Dacian Bassarides żyje i dobrze się miewa, a w niektórych sferach wciąż się o nim pamięta. Pół wieku temu był znanym skrzypkim o temperamencie Paganiniego; nazywano go Księciem Lisów. Jeśli nie słyszałaś o nim, to dlatego, że chociaż dawał publiczne koncerty, odmawiał nagrań. Aż do tego ranka nie wiedziałem, że uczył Lafa. Natomiast o tym, gdzie dzisiaj można go znaleźć, mógłby ci pewnie powiedzieć twój przyjaciel Hauser. Według mego rozeznania, przez pięćdziesiąt lat, łącznie z czasem wojny, Dacian Bassarides stale przebywał we Francji i był w wielkiej zażyłości z Zoe, która teraz ma osiemdziesiąt parę lat. Jeśli ktoś miałby zaaranżować spotkanie z nim, to tylko ona.

Zdawałam sobie sprawę, że wyjazd Sama do Paryża raczej nie wchodzi w rachubę. Musiałby przekraczać dwie granice z fałszywym paszportem. Ale szybko wpadłam na sposób rozwiązania problemu.

Czyż Wolfgang Hauser nie powiedział, że chce mi pomóc „chronić” mój spadek i że ma nadzieję, że spotkam w Paryżu ciotkę Zoe, aby się dowiedzieć o tym spadku czegoś więcej? Ponieważ Strączek wysyłał mnie do Rosji w sprawach służbowych, możliwe, że mnie i mojemu przyjacielowi Hauserowi uda się zrobić postój w Paryżu i odwiedzić Zoe. Chociaż Sam nie był rozentuzjasmowany pomysłem mojego z Wolfgangiem kwietniowania w Paryżu, to w końcu pomyśl, by przepytać Daciana Bassaridesa, wyszedł od niego. Jak na razie łatwiejszego sposobu dotarcia do tego źródła informacji i tak nie było.

Zgodziliśmy się, że Sam powinien spędzić kolejne dwa tygodnie, kiedy ja się wyprawię we francusko-rosyjską podróż, na dyskretnym potrząsaniu naszym rodzinnym drzewem – a nuż spadnie z niego kilka zgniłych jabłek – i że nieźle by było, gdyby odwiedził swojego dziadka, Posępnego Niedźwiedzia, w rezerwacie Nez Perce w Lapwai. Choć żadne z nas od lat nie widziało Posępnego Niedźwiedzia, przypuszczaliśmy, że mógłby dostarczyć informacji o ojcu Sama, Earneście, z czasów, kiedy ten mieszkał w Lapwai, zanim Sam się urodził. Być może rzuciłyby one więcej światła na przynajmniej jednego członka zamieszanego w rodzinną schizmę, o którym wiedzieliśmy na pewno, że odziedziczył manuskrypty.

Ale ja rozumiałam, że moja rodzina to nie tylko ekscentryczność, sława i wzajemne wojny podjazdowe. Było coś tajemniczego, co wydawało się zagrzebane w samym jej jądrze. Aby to jądro wydobyć na światło dzienne, potrzebowaliśmy świeżych danych zebranych u bezstronnego, zewnętrznego źródła. Właśnie wtedy pomyślałam o Kościele Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego.

Niewielu outsiderów, inaczej „niemormonów”, wie, że główna kwatera Kościoła mormońskiego, w Salt Lake City, posiada księgi genealogiczne z rodowodami wyprowadzonymi od czasów Kaina i Seta. Olivier powiedział mi, że wszystkie dane są przechowywane w pamięci komputerów, że

rodowody całego świata przełożono na technologię mikroukładów, ukrytą głęboko w schronach przeciwbombowych w górach Utah – jak runiczne tkaniny tamtych baśniowych nom z Norymbergi, pomyślałam.

Choć ramy naszych misji zostały wyraźnie nakreślone, Samowi i mnie pozostał jeszcze jeden problem do rozwiązania: Jak mamy się ze sobą kontaktować, gdy już opuścimy domek myśliwski i pójdziemy każde w swoją stronę? Sam miał plan: Każdego dnia, gdziekolwiek los go rzuci, miał wstępować do centrum faksowego i przysyłać faksy do mojego komputera w pracy, zostawiając fałszywe nazwisko, ale prawdziwy numer, pod którym ja mam odpowiedzieć. Tylko nie z mojego kompuł tera. Ja każdą nową informację miałam faksować z neutralnego P miejsca w mieście, ze wskazówką, jak ją rozszyfrować, i z numerem, pod którym on ma odpowiedzieć. Plan był niezły, tyle że być może o krótkim zasięgu; sieć faksów co prawda już zdążyła opleść całą kulę ziemską – z wyjątkiem chyba sowieckiej Rosji, dokąd się wybierałam.

Sam zgasił ogień i wyszliśmy; choć w środku byliśmy niewiele ponad godzinę, słońce odbijające się od śniegu na górskiej łące już raziło oczy. Nim zdążyłam włożyć ciemne okulary, Sam objął mnie ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował we włosy.

– Pamiętaj, bystrzaku, że cię kocham – powiedział poważnie. – Nie wpadaj już w żadne lawiny; chciałbym mieć cię z powrotem w jednym kawałku. I nie jestem całkiem przekonany co do tego Paryża...

– Ja cię też kocham – przerwałam, posyłając mu uśmiech. Włożyłam okulary i wzięłam go za rękę. – A tymczasem, mój bracie krwi, oby duch Wielkiej Niedźwiedzicy szedł po śladach twoich mokasynów. Nim się rozstaniemy, masz mi przysiąc na jej totem, że sam też się będziesz pilnował.

Brat krwi odwzajemnił mój uśmiech i podniósł dłoń.

– Możesz być tego pewna – powiedział.

Znajdowałam się u szczytu górskiej łąki, kiedy w jej dolnych

partiach, na tle niebieskiego śniegu, zobaczyłam wysportowaną postać w nabłyszczonym ciemnym kombinezonie i w goglach, z rozwianymi na porannym wietrze włosami. Nie musiałam widzieć twarzy. Nikt inny nie poruszał się na nartach z taką gracją i zręcznością. Zdecydowanie był to Wolfgang Hauser. I kierował się w moją stronę, jadąc moimi śladami, jedynymi byłam pewna – które przecinały świeży śnieg z ostatniej nocy.

O, do świętego gówna. Dzięki Bogu, że zdecydowaliśmy się pojechać dwiema różnymi drogami. Ale przy prędkości, z jaką Wolfgang się poruszał, jeszcze moment, a niechybnie znajdzie się na skraju lasu, pomyślałam, w miejscu, gdzie tego ranka zbiegły się ślady moje i Sama. W jaki sposób, u diabła, miałabym wytłumaczyć, dlaczego i z kim postanowiłam pojechać na nartach w tym ustronnym miejscu i przed świtem? Pytanie, co on sam robi tutaj, kiedy miał być sześćset mil stąd, w Nevadzie, musiało poczekać na swoją kolej.

Spanikowana, odbiłam się kijkami i poszusowałam w dół, między drzewa. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym wracać tą samą drogą, którą przyjechałam. Nawet nie byłam pewna, czy mój

stary ślad wiedzie przez właśnie ten las ani – ponieważ wtedy było ciemno – gdzie dokładnie spotkaliśmy się z Samem. Zależało mi tylko na tym, by dopaść Wolfganga, nim on dojedzie do tamtego miejsca i nim wdamy się w bardzo, bardzo trudną dyskusję. Poruszałam się tak szybko między plamami drzew, że . niewiele brakowało, a byśmy się rozminęli.

– Ariel! – usłyszałam zniekształcony zjawiskiem Dopplera głos i gwałtownie hamując, prawie owinęłam się wokół drzewa.

Deska za deską, ostrożnie brnęłam z powrotem. Wolfgang, ślizgając się między drzewami, rozpychał na boki gałęzie jodeł, uginające się pod ciężkim ładunkiem zesłoneczonego śniegu. Kiedy się spotkaliśmy, popatrzył na mnie pytającym, surowym wzrokiem, więc pomyślałam, że lepiej będzie, jak to ja odezwę się pierwsza.

– Proszę, proszę, doktor Hauser, co za niespodzianka – powiedziałam, usiłując wyczarować z siebie uśmiech. Wciąż nie wiedziałam, czy odnalazł nasze ślady. – Wpadamy na siebie w najdziwniejszych miejscach, nieprawda? Zdawało mi się, że miałeś być w Nevadzie.

– Byłem, ale udało mi się wyrwać. Zresztą tak się umawia

liśmy – rzucił lekko poirytowanym tonem. – Żeby się tu dostać, jechałem przez całą noc.

– I, jak zgaduję, dla wyluzowania postanowiłeś pokręcić się na deskach właśnie tutaj, w samym środku niczego – skomentowałam oschle.

– Ariel, przestań pogrywać. Poszedłem do twojego pokoju zaraz po przyjeździe do Lodge, jeszcze nim weszło słońce. Pokój był pusty. Wystraszyłem się jak wszyscy diabli, że coś ci się stało. Ale nim wszcząłem alarm, postanowiłem sprawdzić, co z twoim samochodem: w nocy padało, jedyne świeże ślady opon prowadziły w tym kierunku, więc przyjechałem i znalazłem go tutaj, w lesie. Dalej – jak widzisz, ślady twoich nart przyprowały mnie do ciebie. Teraz twoja kolej na wyjaśnienia. Co tu robisz sama, mile od Lodge, przed świtem?

Zatem myśli, że wybrałam się na narty sama, a to znaczy, że do podwójnych śladów jeszcze nie dotarł, a to znaczy, że nie | będę musiała łączyć jak z nut. Tyle że wciąż byliśmy w lesie.

– Miałam nadzieję, że trochę porannej gimnastyki pomoże mi wypocić koniak, którym o północy przepłukałyśmy sobie gardła z twoją siostrą w moim pokoju.

– Z Bettiną?! – zawołał zaskoczony, więc wiedziałam, że mój strzał był celny. – Bettina zatrzymała się tutaj, w Lodge?

– Ubzdryngoliłyśmy się – powiedziałam, a ponieważ zdawał się nie rozumieć, przetłumaczyłam: – Spiłyśmy się i udało mi się dowiedzieć o tobie wszystkiego. Teraz rozumiem, dlaczego mi powiedziałaś, że stryj Lafcadio to właściwie twój znajomy, nie przyjaciel. Tyle że wtedy, podczas niezwykle wyczerpującej rozmowy o mojej rodzinie, mógłbyś przynajmniej wspomnieć, że twoja siostra mieszka u niego od dziesięciu lat.

– Wybacz. – Potrząsnął głową, jakby dopiero co się obudził w czym nie byłoby nic dziwnego, jeśli naprawdę jechał przez całą noc. Popatrzył na mnie chmurnymi, ciemnoniebieskimi oczami. –

Nie widziałem Bettiny od dość dawna. Dlaczego, pewnie już wiesz.

– Owszem, ale chciałabym wiedzieć więcej. A mianowicie dlaczego dwoje ludzi, takich jak ty i Bambi... jak twoja siostra... stają się sobie obcy jedynie z powodu kogoś, kto uwielbia obnosić się z ostentacyjnie teatralnym sposobem bycia, kogoś takiego jak stryj Laf?

– Prawdę mówiąc, widuję siostrę od czasu do czasu – mruknął Wolfgang, niezupełnie odpowiadając na moje pytanie. Ale jestem zaskoczony, że Lafcadio przywiózł ją ze sobą. Pewnie nie przypuszczał, że ja tu będę.

– Teraz się dowie – skwitowałam. – Usiądźmy wszyscy razem do śniadania i poczekajmy na fajerwerki.

Wolfgang wbił kijki w śnieg, uśmiechnął się i położył mi dłonie na ramionach.

– Jak widzę, nie brak ci hartu ducha. Powiedziałem ci, że tęskniłem za tobą i że Nevada to potworne miejsce?

– Myślałam, że Niemcy kochają się w tych wszystkich kolorowych neonach.

– Niemcy? – Wolfgang zdjął dłonie z moich ramion. – Kto ci powiedział... Ach, Bettina. Wygląda na to, że naprawdę ją spiłaś.

Uśmiechnęłam się. Wzruszyłam ramionami.

– To moja ulubiona technika śledcza, wysłałam ją z mlekiem matki – rzuciłam od niechcienia. – Ale, ale, ponieważ wygląda na to, że praktycznie jesteśmy ze sobą spokrewnieni, poprzez więzi mojego stryja z twoją siostrą, pozwolę sobie na drobną niedyskrecję i zapytam o coś, co mnie niezwykle intryguje. Co znaczy to „K” przed twoim nazwiskiem?

Wolfgang wciąż się uśmiechał, ale jedna brew podjechała mu w górę.

– Oznacza moje drugie imię: Kaspar. Dlaczego pytasz?

– Jak Kacper, przyjazny duszek? – zaśmiałam się.

– Jak Kasper, Melchior i Baltazar, no wiesz, ci trzej mędrcy, którzy przynieśli dary dzieciątku Jezus. – Dodał: – Za czyją namową o to pytasz?

O rety, możliwe, że byłam genialna w indagowaniu spitych do nieprzytomności pańienek, ale zaskakujące pytania kompletnie mnie ogłupiały. Spróbowałam zablefować.

– Pewnie nie wiesz, że mam pamięć fotograficzną – powiedziałam, niezupełnie odpowiadając na jego pytanie. – Zobaczyłam w ośrodku twój wpis do dziennika, razem z tym całym szpanem, z *Herr* Profesorem Doktorem, i z tym, że pochodzisz z Krems w Austrii. Gdzie, u licha, leży to baśniowe Krems? – nadawałam radośnie, z nadzieją, że uda mi się wywinąć spod przenikliwego i raczej podejrzliwego spojrzenia.

– Właśnie tam, dokąd razem, ty i ja, udajemy się we wtorek. Zobaczysz sama.

Nie chciałam się wykazać spóźnionym refleksem, ale moja głowa zaczynała pulsować wczorajszym alkoholem, którego jak na razie nie zdążyłam wypocić.

– Masz na myśli ten wtorek? – powiedziałam z lekką histerią w głosie. To nie mogło mi się przydarzyć – nie teraz. Nie po tym, jak dopiero co odnalazłam Sama i nie widziałam sposobu, jak odnaleźć go powtórnie, dopóki on by mnie nie odnalazł. Chcesz powiedzieć, że pojutrze lecimy do Austrii?

Wolfgang przytaknął dość niecierpliwie.

– Pastor Dart dzwonił do mnie wczoraj, do Nevady. Usiłował znaleźć nas oboje, ciebie i mnie, i odetchnął z ulgą, kiedy mu powiedziałem, że wiem, gdzie jesteś. Nasz samolot do Wiednia wylatuje z Nowego Jorku późnym wieczorem w poniedziałek, to znaczy jutro. Żeby go złapać, musimy lecieć cały dzień. No więc

I jechałem całą noc, żeby cię stąd zabrać i żebyś miała czas na spakowanie. Pomyślałem sobie, że Maxfield, jeśli tu faktycznie z tobą przyjechał, mógłby wrócić do domu twoim samochodem, a ty mogłabyś pojechać ze mną. Przed opuszczeniem kraju mamy sporo do przedyskutowania. Oczywiście będziemy mieli czas na śniadanie z rodziną, ale potem...

– Wolnego! – przerwałam mu, podnosząc w górę narciarską rękawicę. – Czy mogę zapytać, skąd ta nagła luksusowa wspólna podróż do Wiednia? A może o czymś nie wiem?

– Och, nie powiedziałem ci? – uśmiechnął się z lekka zmieszany. – Dostaliśmy wizy sowieckie. Wiedeń to nasz pierwszy postój w drodze do Leningradu.

Wolfgang przywiózł mi kieszonkowy podręcznik ze zwrotami i wyrażeniami rosyjskimi dla podróżnych i przeczytałam go w drodze powrotnej z Sun Valley. Żałowałam, że nie mogę znaleźć takich rosyjskich słów, które by określiły mój obecny stan umysłu. Doszukałam się obstrukcji {*zapor*}, biegunki {*ponoś*} i nawet biegunki jelitowej {*ponoś ki-SZECZ-nyf*} – tej ostatniej, na moje oko, mogłam się nabawić od samej wymowy. Ale choć się dowiedziałam, że Wolfgang mówi po rosyjsku całkiem płynnie, jakoś było mi niezręcznie poprosić go o przetłumaczenie wyrażenia „święte gówno”.

Opisać atmosferę przy brunchu jako dość napiętą, byłoby więcej niż nieporozumieniem. Laf rzucił mi wściekłe spojrzenie, kiedy wpadłam z Wolfgangiem, a Bambi i jej brat się uściskali. Olivier zaś cały czas przy posiłku obrzucał mnie wściekłymi spojrzeniami, kiedy dowiedział się, że: a) Bambi jest siostrą Wolfganga; b) Wolfgang odwozi mnie do domu, podczas gdy on odwozi moim samochodem mojego kota; c) Wolfgang i ja wyruszamy o bladym świcie w idylliczną wspólną podróż do Rosji.

Ale Laf trochę się udobruchał, kiedy go poinformowałam, że nasz pierwszy postój przypada na Wiedeń – dokąd sam odlatywał w poniedziałek wieczorem, z San Francisco – i że mogłabym go odwiedzić, gdybyśmy chcieli jeszcze sobie coś dopowiedzieć. Jednakże, przed opuszczeniem jadalni, wzięłam go na stronę.

– Stryju Lafie – przymiliłam się – wiem, co czujesz do brata Bambi. Ale jeśli już muszę być z nim

w Wiedniu, proszę, zrób ten jeden wyjątek i zaproś nas oboje do siebie. A poza tym, czy jest jeszcze coś, co dotyczy rodziny, a o czym powinnam wiedzieć właśnie teraz?

– Gavroche – westchnął Laf – masz oczy swojej matki, Jersey, te lodowatobłękitne oczy, z których zawsze była taka dumna. Ale twoje bardziej przypominają oczy Pandory, oczy lamparta, ponieważ twoje są zrobione nie z błękitnego, lecz z czystego zielonego lodu. Nie obwiniam Wolfganga: doprawdy nie wiem, jak jakikolwiek mężczyzna mógłby się oprzeć oczom takim jak te. Ja na pewno bym nie mógł. Ale, Gavroche, wiedz, że ty masz się opierać mężczyznom – aż do czasu, kiedy będziesz wiedziała, w co się wplątujesz.

To było wszystko, co Laf mi powiedział, ale wiedziałam, że jest wobec mnie szczery. Martwił się o mnie, nie o jakieś wojny podjazdowe w rodzinie Bambi czy w naszej.

Pocałowałam Lafa, uściskałam Bambi, wręczyłam Jazona Olivierowi i wymieniłam uścisk dłoni z milczącym Wołgą Dragonowem, który nigdy się nie uśmiechał. Kiedy jechaliśmy nad rzeką Snake, kiedy pędziliśmy przez pięćset mil do mojego piwnicznego mieszkania, zastanawiałam się, w co ja się u licha pakuję. I zachodziłam w głowę, jak do wszystkich diabłów mam się skontaktować z Samem, nim wyjadę, i jak mu dam znać, że wyjeżdżam.

Wolfgang podczas całej drogi powrotnej mówił bez przerwy o zbliżającej się podróży. W ostatniej chwili załatwił ten krótki popas w Wiedniu w drodze do Rosji, dla nas i z pewnego powodu – ale nie tego, który podał Strączkowi.

Chociaż IAEA miała swoją siedzibę w Wiedniu, biuro Wolfganga znajdowało się w Krems, średniowiecznym miasteczku nad Dunajem, u wlotu do doliny Wachau, słynącej winnicami na całą Austrię. Wolfgang powiedział Strączkowi, że musimy się tam zameldować i odwalić kupę papierkowej roboty, która wprowadzi mnie w filozofię Agencji, ale także w specyfikę naszej misji w Rosji. Wyglądało na to, że Strączek kupił taki scenariusz.

Miasteczko faktycznie wyleciało mi z pamięci, lecz gdy tylko Wolfgang wspomniał o Wachau, przypominałam je sobie z dzieciństwa. Tuż za nim rozciągała się część doliny Dunaju zwana Nibelungengau, krainą Nibelungów, gdzie żyli kiedyś pierwotni, tajemniczy mieszkańcy Austrii. Tu osadzono część akcji *I Pierścienia Nibelunga* Richarda Wagnera, cyklu czterech oper, z których nagrania w wykonaniu mojej babki Pandory wznawiano teraz na całym świecie. Przypominałam sobie także, że z doliny Wachau Jersey i ja wspięliśmy się kiedyś na stromy szlak prowadzący przez las z widokiem na błękitnozielony Dunaj i na ruiny zamku Durnstein, gdzie schwymano powracającego z trzeciej krucjaty Ryszarda Lwie Serce i gdzie dla okupu przetrzymywano go przez trzynaście miesięcy.

Ale Wolfgang wybierał się do Krems w związku z innym miejscem w dolinie Wachau: ze słynnym klasztorem w Melku. Dawniej zamek-forteca dynastii Babenbergów, poprzedników Habsburgów, a dzisiaj opactwo benedyktynów, Melk szczyci się biblioteką liczącą prawie sto tysięcy woluminów, w tym wiele bardzo starych. Według Wolfganga, którego historia trochę się różniła od opowiedzianej mi przez Lafa podczas kąpieli w gorącym basenie, to w Melku Adolf Hitler rozpoczął swoje badania nad sekretną historią runów. Najwidoczniej osobą, która mnie zaprosiła do Melku dla podjęcia naszych badań, była Zoe.

Około piątej po południu Wolfgang podrzucił mnie pod drzwi mojej piwnicy. Uzgodniliśmy godzinę spotkania na lotnisku na dziewiątą trzydzieści rano, na pół godziny przed startem samolotu do Salt Lake. W ten sposób miałam dla siebie cały wieczór. Zaczęłam od przetrząsania szafy i zastanawiania się, co

należy zabrać w dwutygodniową podróż, z której większość czasu spędzę w Związku Sowieckim, znanym mi jedynie z innej pory roku. Ale wciąż prześladowało mnie uczucie, że coś mi wyleciało z pamięci. Ulotka z biura podróży, którą dał mi Wolfgang, zalecała zabranie ze sobą wody butelkowanej i mnóstwa rolek papieru toaletowego, więc to spakowałam najpierw. I chociaż niewiele wiedziałam o Leningradzie wczesną wiosną, dobrze pamiętałam, że Wiedeń w kwietniu to nie Paryż – że jest niesympatycznie zimny i że wymaga „ciepłego szyku”.

Tymczasem usiłowałam zebrać myśli i wykombinować sposób na skontaktowanie się z Samem. Przyszło mi do głowy, że Sam być może już wdzwonił się do mojego komputera, dla samego przetestowania naszej nowej techniki połączeń. Mogłabym więc wybrać przesłaną wiadomość w drodze na lotnisko i jeśli nawet zabrakłoby mi czasu na natychmiastową odpowiedź, przynajmniej wiedziałabym, dokąd wysłać faks z Salt Lake czy choćby z Nowego Jorku, z Kennedy'ego. Tak czy inaczej, pomyślałam, to całkiem niezły pomysł – zamiast zmyć się w drogę bez pożegnania, zameldować się w robocie po ostatnie instrukcje od własnego szefa, Pastora Darta.

W końcu postawiłam spakowane torby przy drzwiach i już miałam zawrócić, kiedy usłyszałam nad sobą Oliviera. Łomotał nartami tak rozpaczliwie, że aż poszłam do niego, tak jak stałam, w szlafroku i w mokasynach obszytych futerkiem, aby zobaczyć, czy przypadkiem na coś mu się nie przydam.

– Pewnie od brunchu niczego nie jadłaś. – To był pierwszy komentarz Oliviera, absolutnie trafny; zapomniałam o jedzeniu. – Zamierzałem zrobić mus z wędzonego pstrąga na grzankach z żytniego chleba z koprem, na kolację dla małego argonauty i dla mnie, na pocieszenie po twoim jutrzejszym wyjeździe. Od jutra będziemy jadali jak dwaj kawalerowie... ale czy nie chciałabyś nam dzisiaj potowarzyszyć?

– Z największą rozkoszą – powiedziałam. Choć ledwo trzymałam się na nogach, nagle sobie uzmysłowiłam, że rano mogę nie mieć czasu na śniadanie, i że prawdopodobnie do późnego popołudnia nie zjem nic poza solonymi orzeszkami. – A mogę ukręcić trochę gorącego grogu na deser? – Chciałam przeprosić Oliviera za to, jak zakończył się nasz weekend, chociaż moje przeprosiny miały się okazać przedwcześnie.

– *Bien sur**, najdroższa. – Olivier uśmiechnął się szeroko, rzucając narty na półkę w komórce i wieszając kijki za pętle. Za to, że przedstawiłaś mnie nieziemskiej Bambicie, odpuszcza ci się to i owo – ciągnął. – Chyba się zakochałem, choć ona ani na jotę nie przypomina kowbojki, która w moich marzeniach miała mi usidlić serce.

– Ale ona i mój stryj Lafcadio naprawdę wyglądają na dwa gruchające gołąbki – zauważyłam. – No i mieszkają w Wiedniu, ładny kawałek drogi stąd.

– Nie szkodzi – stwierdził Olivier. – Twój stryj dni jazdy na nartach ma już za sobą, nawet jeśli

wciąż uprawia grę na skrzypcach. Wiesz, chciałbym jeździć za nią po wsze czasy jak niewolnik, tylko po to, by obserwować, jak kręci te swoje *wedel*. A teraz, kiedy łączą cię niezmiernie zażyłe stosunki z jej bratem, być może i ona wkrótce nas odwiedzi.

Wróciłam do siebie podgrzać trochę burgunda i namoczyć w nim kilka trzymany na podorędziu saszetek *gluhwein*. To był mój oszczędny przepis na grzane wino z korzeniami. I kiedy się przyglądałam, jak się grzeje, przyszło mi do głowy coś, o czym prawie zapomniałam.

Przespacerowałam się przez szeroki, zimny salon, aż do ściany z książkami, i tak długo kartkowałam ciężki tom na literę „H” mojej wystrzępionej *Britanniki*, aż znalazłam hasło, którego szukałam. Ku mojemu zaskoczeniu rzeczywiście istniała osoba o nazwisku Kaspar Hauser. Jego historia była przedziwna.

HAUSER, KASPAR

Młodzieniec, którego życie pełne było niejasnych tajemnic. Pojawił się, ubrany w wieśniaczą sukmanę, na ulicach Norymbergi 26 maja 1828 roku. Sprawiał wrażenie bezradnego i oszołomionego...

Znaleziono przy nim dwa listy: jeden od biednego wyrobnika, donoszący, że chłopiec został oddany pod jego opiekę w październiku 1812, że zgodnie z umową nauczył go czytać, pisać i wpoił mu zasady wiary chrześcijańskiej, ale ponieważ do dnia, w którym umowa wygasła, trzymał go w ścisłym odosobnie

* Z franc. „z pewnością, oczywiście”.

niu... i drugi, od jego matki, stwierdzający, że urodził się 30 kwietnia 1812, że ma na imię Kaspar i że jego ojciec, dawniej oficer szóstego pułku kawalerii w Norymberdze, nie żyje.

[Młodzieniec] przejawiając niechęć do jakiegokolwiek pożywienia poza chlebem i wodą, prawdopodobnie był nieświadom otaczającego go świata, i podpisywał się jako Kaspar Hauser.

Encyklopedia podawała dalej, że Kaspar Hauser ściągnął na siebie uwagę międzynarodowego środowiska naukowego, kiedy się okazało, że był wychowywany w klatce i że nie można odnaleźć ani nikogo z jego rodziny, ani wyrobnika, który się nim opiekował. W tamtym czasie przez Niemcy przetaczała się fala naukowych zainteresowań takimi kwestiami jak „dzieci natury”, wychowywane przez dzikie zwierzęta, a także „sommambulizmem, magnetyzmem zwierzęcym, teoriami okultystycznymi i innymi osobliwościami”. Hausera umieszczono w domu miejscowego nauczyciela w Norymberdze, lecz:

17 listopada 1829 znaleziono go z raną na czole, którą, według jego własnych słów, zadał mu mężczyzna z uczernioną twarzą.

Wówczas Kasparem Hauserem zainteresował się brytyjski uczonek, książę Stanhope. Po pobieżnym obejrzeniu przeniósł go do domu wysokiego urzędnika w Ansbach, gdzie panowały korzystniejsze warunki do badań. W końcu już by prawie o nim zapomniano, gdy niespodziewanie 14 grudnia 1833 roku Kaspar Hauser został zaczepiony przez obcego mężczyznę i głęboko zraniony w

lewą pierś. Umarł trzy dni później.

Wyglądało na to, że o Kasparze Hauserze w kolejnych stu pięćdziesięciu latach napisano wiele książek, wysuwając szalone hipotezy, począwszy od tej, że zabił go sam książę Stanhope, aż po ostatnią, że Kaspar Hauser był prawnym dziedzicem tronu niemieckiego, którego porwano jako niemowlę, co doprowadziło do wstrząsu politycznego. Encyklopedia dawała do zrozumienia, że cała historia jest humbugiem, a związane z nią fakty nazywała „co najmniej zupełnie dezorientującymi”.

Natomiast ja byłam kompletnie zdezorientowana, dlaczego Wolfgang K. Hauser – który pochodził z Norymbergi, podobnie

jak jego imiennik – chciałby wodzić mnie po manowcach, wywodząc swoje drugie imię od imienia biblijnego mędrca, a nie wspominając choćby słowem o postaci historycznej, wystarczająco sławnej, by zasłużyć sobie na całostronicowe hasło w *Britannice*. Co do dalszego powiązania z chłopcem, który rósł jak zwierzę – czyż imienia Wolfgang nie tłumaczy się jako „chadzający z wilkami”?

Popatrzyłam przez pokój, na drzwi, tam, gdzie Jazon obwąchiwał moje torby podróżne. Pewnie już się zorientował, że nie będzie mnie dłużej niż przez jeden weekend – więc przelęłam się, że mógł je skandalicznie obsikać, tak jak to robił w przeszłości, kiedy zgadywał, że nie przewiduję go w swoich planach wycieczkowych.

– O nie, nie rób tego! – krzyknęłam. Zgarnęłam go z podłogi, chwyciłam z maszynki elektrycznej bulgoczący grog i pokłusowałam z powrotem na górę, do ciepłej kuchni Oliviera. –

I Olivierze – powiedziałam – raczej miej oko na mojego współlokatora, jak mnie tu nie będzie. To zwierzę z pewnością żywi urazę z powodu mojego wyjazdu, a dobrze wiesz, co to znaczy.

– Może mieszkać ze mną – odparł Olivier, grubo smarując musem kawałek grzanki i skarmiając tym Jazona. – Oszczędzi się na rachunku za ogrzewanie dołu. A co z twoją pocztą? dodał. – Będiesz miała czas, żeby wpaść po nią jutro? A może wolisz, żebym ja... stało się coś?

Do stu par diabłów! Wiedziałam, wiedziałam, że coś mi wyleciało z pamięci! Otworzyłam usta na podsunięty mi kęs musu i żułam go tak długo, jak się dało. Następnie rozlałam do kubków parujące wino i przełknęłam jeden tęgi łyk. Tymczasem mój mózg gimnastykował się nad tym, jak uniknąć rychłej katastrofy.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Nagle mi się przypomniało, że czegoś nie spakowałam, to wszystko. Ale będę miała jutro dość czasu, by się tym zająć i wpaść na pocztę, i do biura też.

Dzięki łaskawości niebios, właściwie to była prawda – pocztę otwierają o dziewiątej, a na lotnisku nie musiałam być wcześniej niż o wpół do dziesiątej. Ale oczywiście mogło wyjść inaczej, a wtedy znajdę się w poważnych tarapatach, wobec kolejnej dwutygodniowej korespondencji pęczniejącej w mojej

skrzynce, podczas gdy ja będę szaleć w sowieckiej Rosji. Na Boga Ojca, czy ja w ogóle potrafię

myśleć?

Kiedy skończyliśmy kolację i wróciłam na dół, skłęłam się soczyście za absolutną przytomność umysłu: spakować budzik i piżamę – a prawie zapomnieć o jednej jedynej rzeczy, przez którą moglibyśmy zginąć oboje, ja i Sam! Jaką ma się korzyść z posiadania pamięci fotograficznej co do rzeczy nieważnych, pomyślałam, kiedy to, co ważne, przecieka ci przez mózg jak przez dziurawe sito?

Przyjechałam do biura o wpół do dziewiątej następnego ranka, torby i paszport schowałam za tylnym siedzeniem. Tym razem zaparkowałam w drugim końcu budynku i poszłam grzecznie do wejścia dla pracowników ośrodka. Lecz kiedy, za pierwszą parą drzwi, umieściłam identyfikator na czytniku, nie odezwało się kliknięcie, które zwykle wskazuje, że strażnik, siedzący przy wejściu po drugiej stronie budynku, otworzył kolejne drzwi. Zmroziło mnie. Obróciłam się, aby spojrzeć wprost w oko kamery, i wrzasnęłam: „Jest tam kto?” Ta cholerna ochrona powinna być na służbie okrągłą dobę.

Usłyszałam skrzekliwy dźwięk, następnie głos Belli wydostający się z interkomu:

–Nie widzę cię dość wyraźnie. Nie mogę skonfrontować osoby z kartą identyfikacyjną – poinformowała mnie nadętym oficjalnym tonem. – Obróć się do kamery: znasz przepisy.

–Na litość boską, Bella, przecież wiesz, kim jestem. Za chwilę tu zamarznię!

–Obróć twarz we właściwy sposób i trzymaj identyfikator płasko na czytniku, tak bym mogła dokonać identyfikacji... albo nie wejdiesz.

Cholerna dziwka. Obróciłam się do „właściwej pozy”. Bella była niewątpliwie jedną z tych osób, które się dowiedziały, że jeździłam na nartach z Hauserem w Jackson Hole w minionym tygodniu, i teraz się na mnie wyżywała. Potrzebowała dużo czasu, by zidentyfikować kogoś, kogo widywała każdego dnia. Kiedy w końcu usłyszałam, że drzwi klikają, weszłam, uśmiechnęłam się do kamery i pomachałam środkowym palcem prosto w jej oko. Usłyszałam sapnięcie i histeryczny jazgot. A potem szklane drzwi wszystko wyciszyły.

■ ■" – '

Niewiele mogła zrobić. Strażnicy przy wejściu nie mogą opuszczać posterunku aż do końca zmiany. Jeśli to jest jej zmiana, będzie tam sterczeć aż do dziesiątej, a wtedy ja już będę w powietrzu.

Poszłam do swojego biura i sprawdziłam e-maile. Tak jak się spodziewałam, był jeden od Sama: „Wielka Niedźwiedzica, Handel Obwoźny” i numer telefonu zaczynający się od strefowego dla Idaho; prawdopodobnie skądś między Sun Valley a rezerwatem w Lapwai. Zapamiętałam cały numer, usunęłam go z komputera i już miałam wpaść do Strączka, powiedzieć mu do widzenia, kiedy w drzwiach pojawiła się jego twarz, a na twarzy niepewna mina.

– Behn, przed chwilą dzwonili do mnie z ochrony. Masz się natychmiast stawić u dyrektora – powiedział. – Jestem zdziwiony, że cię tu w ogóle widzę. Czyżbyś nie leciała z Wolfem Hauserem

lotem o dziesiątej? Tyle że dyrektor mówi o naruszeniu jakichś przepisów. Może byś mi powiedziała, co to wszystko znaczy?

– Ja... ależ tak, lecę, właśnie jestem w drodze na lotnisko odpowiedziałam z zamierającym sercem. – Wpadłam, żeby się z panem pożegnać.

Cholerna Bella – czyżby złożyła raport?

Wiedziałam, co znaczy naruszenie przepisów bezpieczeństwa w Ośrodku Badań Nuklearnych. Wiedziałam, że samo wstępne dochodzenie potrafi ciągnąć się godzinami. Wiedziałam, że słowo strażnika uważa się za święte. Jeśli Bella będzie obstawać przy swojej skardze, mogą mnie zawiesić w obowiązkach służbowych. Na Boga, co się ze mną dzieje? Dlaczego sobie nie odpuściłam tej całej Belli i nie przeszłam przez bramki jakby nigdy nic? Dlaczego zachciało mi się robić tego cholernego ptaszka?

Teraz Strączek eskortował mnie do biura dyrektora ochrony, a ja się zastanawiałam, jak u licha – zakładając, że w ogóle wyjdę stąd na tyle wcześnie, by złapać samolot – miałabym jeszcze zdążyć na pocztę. Zastanawiałam się, czy nie można by mi przeszczepić męskiego IQ albo wszczepić coś w rodzaju dodatkowego hormonu, który by redukował babską agresywność. Zastanawiałam się, czy nie mogłabym upaść na podłogę i udawać, że dostałam ataku padaczki.

Peterson Flange, dyrektor ochrony, siedział za swoim biurkiem, kiedy weszłam. Ponieważ nigdy nie widziałam Petersona Flange'a, kiedy nie siedział za swoim biurkiem, często się zastanawiałam, czy ma jakieś nogi.

– Obywatelko Behn – powiedział dyrektor ochrony, rzucając mi groźne spojrzenie – przed chwilą wpłynęło przeciwko obywatelce nadzwyczaj poważne oskarżenie o naruszenie przepisów bezpieczeństwa.

Strączek popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami, najwyraźniej zastanawiając się, w jaki sposób miałabym się dopuścić poważnego naruszenia przepisów, jeśli przebywałam w budynku zaledwie kilka minut. Ja zastanawiałam się nad tym samym: zdecydowanie oblałam kolejny test na inteligencję.

–Behn wyjeżdża tego ranka w pilnej sprawie służbowej poinformował Flange'a, spoglądając na zegarek. – Jej samolot odlatuje za niecałą godzinę. Mam nadzieję, że przypadek nie jest tak poważny, jak pan sugeruje.

–Strażniczka, która zameldowała o naruszeniu przepisów, została zluzowana i przyjdzie tutaj lada moment – oznajmił Flange.

Właśnie wtedy wtargnęła Bella.

–Obraziłaś mnie! – krzyknęła na mój widok, wymachując mi przed nosem długim, polakierowanym na purpurowo paznokciem.

–Zrobiłam to samo, co ty robisz teraz – zauważyłam. – Tylko możliwe, że użyłam innego palca.

–O co tej kobiecie chodzi? – spytał Strączek, wskazując na Bellę. W jego głosie pobrzmiwało

tamto niebezpieczne radzę-ze-mną-nie-zaczynać, kiedy obrzucił piorunującym spojrzeniem dyrektora ochrony.

Ale ja wiedziałam, że jestem w kłopotcie. Chociaż Strączek był dyrektorem całego ośrodka, personel ochrony składał raporty bezpośrednio do sekcji Bezpieczeństwa Narodowego FBI. Peterson Flange mógł zlekceważyć Strączka i mógł mnie zastępować, gdyby tylko zdecydował się rozrobić sprawę, a to mogłoby rozzłościć Strączka na mnie także, ponieważ musiałyby udzielić mi nagany i wypisywać raporty, i całe mnóstwo innych idiotyzmów. Naprawdę musiałam myśleć szybko.

– Obywatelko Behn – rzekł Peterson Flange – obywatelka strażniczka oskarżyła obywatelkę o robienie obscenicznych

i groźnych gestów pod jej adresem przez kamerę przy bramkach, podczas gdy ona, zgodnie ze swoim obowiązkiem, próbowała jedynie zidentyfikować obywatelkę.

– Mam to zarejestrowane na filmie – włączyła się Bella, posyłając mi szydery uśmiech. – Więc radzę, nie próbuj zaprzeczać.

Jej postawa naprawdę mnie wkurzyła. Odwróciłam się do Petersona Flange'a i zapytałam grzecznie:

– Czy obywatelka strażniczka, pańska podwładna, mogłaby sprecyzować, co dokładnie miała na myśli, bojąc się mego gestu? To znaczy... co mogłabym jej tym gestem zrobić?

Flange wytrzeszczył na mnie oczy, podrywając się na nogi. Więc w końcu miał te nogi.

– Bezpieczeństwo jest najważniejszą sprawą w ośrodku, obywatelko Behn! – zagrzemiał. – Proszę nie zbaczać na frywolne tematy!

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy przymiotnik „frywolny” ma związek z kulinariami, czy wręcz przeciwnie, kiedy Strączek przerwał, naszą interesującą pogawędkę.

– Behn, co ty jej zrobiłaś? – zapytał prosto z mostu.

– Zrobiłam jej ptaszka do kamery, proszę pana, kiedy nie chciała mnie przepuścić przez bramki – wyjaśniłam. – Normalnie się opieprzała, no to się przelekłam, że jak się poopieprza chwilę dłużej, spóźnię się na samolot.

– Opiepr...!!! – Petersona Flange'a zatkało. Zapadł się w krzesło – więc być może miał pod nim sprężyny.

Pastor Dart przyglądał mi się, zakrywając usta dłonią. Gdybym nie wiedziała, i tak bym zgadła, że się śmieje. W końcu rzeczy przybrały właściwy obrót i Strączek przejął komendę.

– Jak sądzę – oznajmił swoim odpowiednio modulowanym jak-się-nie-odpieprzysz-to-ci-sam-przypieprzę głosem – obywatelka Behn zasługuje na ustne ostrzeżenie, ale na nic więcej. Mówiąc między nami, chyba powinienem wspomnieć, że właśnie umarł jej ktoś z rodziny i że ledwo wróciła z pogrzebu, a już wysyłamy ją na tydzień z ważnym zadaniem w podróż zamorską. Ma być wsparciem

dla doktora Hausera, naszego łącznika z IAEA. Broniła się przed tym zadaniem, ale ja... Przerwał, ponieważ Bella rzuciła się do dyrektorskiego biurka i wykrzyczała w twarz swojemu przełożonemu:

– Musi mi pan pozwolić złożyć raport! Nie może pan pozwolić, by ona wyjechała w tę podróż z nim!

Peterson Flange spojrział na Darta z zakłopotaniem i zamachał ręką.

– Sam rozpatrzę tę sprawę – ustąpił, podczas gdy Strączek i ja obróciliśmy się i wyszliśmy na korytarz.

– Behn, wyjaśnisz mi to później, dla czystej satysfakcji powiedział Strączek. – Dzisiaj lepiej będzie, jak zdążysz na samolot i odlećisz razem z Hauserem. – Kiedy odchodziłam, Strączek potrząsnął głową i uśmiechnął się. – Doprawdy nie wiem, co zrobiłaś. Ale proszę, nie próbuj tego robić po raz drugi.

Miałam nie więcej niż dwadzieścia minut, aby się dostać z mojego biura na lotnisko, do którego było dziesięć minut drogi, nie licząc objazdu, który musiałam zrobić. Podjechałam z piskiem opon pod pocztę i nie zawracałam sobie głowy parkowaniem. Wyskoczyłam z samochodu i wbiegłam na schody. George siedział za ladą, kiedy weszłam, ale w ogonku już stało kilka osób.

– George, muszę zastopować swoją pocztę na kilka tygodni! – zawołałam ponad ich głowami. – Zaraz wypełnię druczek, ale czy nie za późno, by dzisiejszą zastopować też?

– Och, panienko Behn, przepraszam – powiedział George, ważąc i stemplując coś dla innych klientów. – Miałem powiedzieć panience, że to wszystko moja wina, ale potem, jak będzie po wszystkim. Panienska poczeka, w mig się uwinę.

Nacisnął dzwonek na ladzie, a ja znów dostałam tego strasznego uczucia, że zamiera mi serce. Co znów było nie tak? Z czym miało być po wszystkim? Z czym miał się „w mig uwinąć”? Wystraszyłam się jak diabli, ale wypełniłam druczek i podsunęłam go George'owi pod nos.

Z zaplecza wyszedł inny urzędnik i zaczął zbierać awiza od tych, którzy przyszli po swoje paczki. George zniknął na zapleczu i wrócił z czymś w ręku. Nie bardzo przypominała tamtą, którą dostałam w ubiegłym tygodniu – ale ta była duża, zniszczona, w groszkowanej kopercie, dokładnie taka, jak ją opisał Sam, o rozmiarze około dwóch ryz papieru.

– Dałem panience złą paczkę w zeszłym tygodniu – powiedział George. – To ta zgadzała się z złotym awizem, ale nie

sprawdziłem dokładnie. Tamtą inną przysłała tego samego dnia, kiedy panienska była tutaj. Jeszcześmy nawet nie wypisali awiza. Tej soboty przejrzelśmy paczki, żeby odesłać nie odebrane do nadawców – na szczęście byłem przy tym i zobaczyłem moją pomyłkę. Naprawdę przepraszam za to, panienko Behn.

Wręczył mi paczkę, a ja zazgrzytałam zębami, nim na nią popatrzyłam. Wiedziałam, że mam tylko dziesięć minut, żeby się dostać na lotnisko, na samolot do Europy z Wolfgangiem Hauserem. Zmusiłam się, żeby popatrzeć na paczkę. Znaczek miał stempel z San Francisco, tak jak tamten złoty

papierek, który Jason znalazł w śniegu. I tym razem nie mogło być żadnej pomyłki: pismo odręczne, nabazgrane w poprzek koperty, było pismem Sama.

DAR

Niebezpieczeństwo [obdarowującego i obdarowywanego] nigdzie nie było tak bardzo namacalne jak w dawnym germańskim prawie i językach. Mianowicie słowem geschenk określano zarówno podarunek, jak i truciznę...

Temat śmiertelności daru, fatalnego upominku czy talentu, który działa jak trucizna, w germańskim folklorze występuje nader często. Złoto Renu przynosi zgubę jego zdobywcy, puchar Hagena zabija pijącego. Tysiące tego rodzaju baśni i legend, zarówno germańskich, jak i celtyckich, wciąż pobudzają naszą wyobraźnię.

Marcel Mauss, *Szkic o darze*

[Kiedy Prometeusz wykradł bogom ogień] Zeus, mszcząc się, kazał Hefajstowi, opiekunowi wszelkich rzemiosł, ulepić z gliny piękną dziewczycę, podobną nieśmiertelnym boginiom... następnie poinstruował Hermesa, jak uczynić ją podstępna i zdradliwa... Hermes nadał jej imię Pandora, ta, która rozdaje wszelkie dary...

Epimeteusz zapomniał o przestrożach swego brata Prometeusza, by nie dowierzać Zeusowi i nie przyjmując jego daru, gdyż ten mógłby sprowadzić na ludzkość wszelkie zło. Przyjął dar. Wagę swego czynu pojął dopiero później, kiedy sam doświadczył zła.

Hezjod, *Prace i dni*

Timeo Danaos et dona ferentes. (Lękam się Greków, nawet tych, którzy przynoszą dary.)

Wergiliusz, *Eneida*

Wybiegłam z poczty, wskoczyłam do samochodu i popędziłam na złamanie karku na lotnisko. Zahamowałam z piskiem opon na parkingu, wyskoczyłam z samochodu, złapałam swoje rzeczy i poparłam przez oblodzony podjazd. Wewnątrz przerażonym wzrokiem obrzuciłam okolice dwóch bramek. Przy bramce B zobaczyłam Wolfganga wymachującego ramionami w gorącej dyskusji z gościem z obsługi naziemnej.

– No, chwała Bogu – powiedział z ulgą, kiedy mnie zobaczył, ale ja powiedziałabym, że ze złością. Rzucił pod adresem recepcjonisty: – Spóźniliśmy się?

– Sekundę – powiedział mężczyzna, podnosząc słuchawkę, aby połączyć się z kokpitem, podczas gdy za jego plecami Wolfgang piorunował mnie wzrokiem. Mężczyzna słuchał chwilę, potem kiwnął głową. – Schody jeszcze nie odjechały, ale radzę się pośpieszyć, przyjacielu. Obowiązuje nas rozkład.

Przepuścił nasze bagaże przez skaner i oderwał odcinki naszych biletów. Rzuciliśmy się przez płytę lotniska i w górę, metalowymi schodami. W tej samej sekundzie, kiedy szczęknęły zamki naszych pasów, samolot ruszył.

– Mam nadzieję, że potrafisz się dobrze wytłumaczyć – powiedział Wolfgang, gdy kołowaliśmy do pasa startowego. Wiedziałaś, że następny samolot do Salt Lake odlatuje dopiero za trzy godziny. Przez dwa kwadranse gadałem do niego jak najęty, byleby go przekonać i zatrzymać samolot; mogliśmy stracić wszystkie nasze połączenia! Czy ty w ogóle myślisz?

Moje serce, wciąż spracowane od szybkiego biegu, dudniło mi młotem w uszach; dyszałam; ledwo mogłam mówić.

– Ja... uhm... musiałam gdzieś wpaść... musiałam coś załatwić... po drodze.

– Musiałaś coś załatwić? – powtórzył z niedowierzaniem Wolfgang.

Chciał dodać coś więcej, ale właśnie silniki turbośmigłowe zaczęły przyspieszać do startu. Jego usta się wciąż poruszały, więc pokazałam na uszy, że nic nie słyszę. Odwrócił się zły, wyciągnął jakieś papiery ze swojej aktówki i zaczął je kartkować, podczas gdy samolot pędził po pasie startowym, nabierając prędkości. Nie rozmawialiśmy ze sobą przez czterdzieści pięć minut niezakłóconego, lecz ogłuszającego lotu do Salt Lake. Jeśli o mnie chodzi, byłam zadowolona. Miałam mnóstwo spraw do przemyślenia.

Nie było wątpliwości, że przesyłka w mojej płóciennej torbie na ramię, teraz upchniętej pod siedzeniem, jest darem mojej babki Pandory, który zostawiła stryjowi Earnestowi i który przeszedł z niego na Sama – darem tak niebezpiecznym, że rachunek nieboszczyków zawierał nie tylko kilku kolegów Sama, lecz być może również Pandorę i Earnesta, darem tak destrukcyjnym, że gdyby nie różnica kilku sekund, mógłby zabić Sama także. Teraz ten dar należał do mnie.

Ponieważ przestałam ufać przyjaciołom, kolegom, a zwłaszcza większości członków własnej rodziny, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek znajdowali się blisko tej zatrutej przesyłki, moja niechęć, by zostawić ją u George'a, za ladą pocztową, na oczach pół tuzina klientów, była, jak myślę, wystarczająco zrozumiała. Niezdolna do znalezienia jakiejś kryjówki w tak krótkim czasie między pocztą a lotniskiem, teraz zostałam sam na sam z problemem, co zrobić z moim fatalnym spadkiem przed wylądowaniem w sowieckiej Rosji, gdzie – jak wiedziałam – będzie starannie przejrzany i prawdopodobnie skonfiskowany, narażając na jeszcze większe niebezpieczeństwo wszystkich zainteresowanych. Zwłaszcza mnie.

Mając powyższe na względzie, pierwsze, co mi przyszło na myśl, to go zniszczyć. W grę wchodziły dwie metody, jeśli miałam uwinąć się szybko: unicestwienie przez wodę albo przez ogień. Jednak zanim jeszcze przylecieliśmy do Salt Lake, obie opcje wydały mi się mało realne. Niby jak miałabym w publicznej toalecie spuścić z wodą tysiąc kartek albo rozpaścić ognisko z dwóch ryz papieru w którymkolwiek z portów lotniczych, w których mieliśmy lądować w ciągu następnych dwudziestu

czterech godzin? Poza tym samo zniszczenie spadku nie było gwarancją, bym mogła swobodniej odetchnąć, ponieważ nie miałam pojęcia, kto pożąda tych manuskryptów czy dlaczego. Niby jak miałabym ogłosić, że przedmiot pożądanego tak wielu osób już nie istnieje? A jeśli nawet, to taki akt mógłby okazać się śmiertelnym ciosem dla Sama, jedyne, który wiedział, gdzie są ukryte oryginalne starożytne dokumenty.

Wyglądało na to, że jedynym ratunkiem byłoby ukryć paczkę, tak jak to zrobiłam z pierwszą, w miejscu, w którym nikomu nie przyszloby do głowy jej szukać.

Wiedziałam, że skrytki na lotnisku w Salt Lake, niczym nie przypominające tych ze szpiegowskich filmów, w których czarne charaktery ukrywają swoje łupy, działają raczej na zasadzie parkometrów, to znaczy, że się je wynajmuje na kilka godzin. Nawet jeśli miałabym dość czasu, aby rozdzielić grubą przesyłkę na kilka mniejszych paczuszek i wysłać je pod własnym adresem, to coś takiego byłoby chyba równie ryzykowne jak zostawienie jej na poczcie, pod nosem Oliviera, Strączka i Bóg wie kogo jeszcze. Moje koncepty szybko się wyczerpywały.

Na lotnisku w Salt Lake przeprosiłam raz jeszcze wciąż naburmuszonego Wolfganga za swoje guzdralstwo. Kiedy odprawiliśmy większe bagaże do Wiednia, zrobiłam wycieczkę do łazienki i otworzyłam paczkę od Sama: dziwne zawijasy, obce znaki graficzne, choć niewątpliwie ręka Sama. Wetknęłam cały towar między papiery służbowe, zawiesiłam ciężką torbę na ramieniu i spróbowałam uporządkować myśli przed kolejnym lotem. Nim wyszłam do poczekalni, telefonicznie przefaksowałam krótką wiadomość do Sama: „Dostałam twój dar. Łatwiej dawać, niż otrzymywać”. Wiadomość z lotniska w Salt Lake powinna dać wskazówkę Samowi, że ja i Hauser jesteśmy w drodze. Dorzuciłam uwagę, że wiadomości faksowane pod moją nieobecność będą przesyłane dalej.

Wolfgang czekał na mnie przy wejściu do baru, tak jak się umówiliśmy. Trzymał dwa parujące papierowe kubki. Powiedział:

– Wypijemy herbatę przy naszej bramce. Tu nie ma gdzie palca wetknąć.

Ponad jego ramieniem zobaczyłam rzędy stołów, które obsiadły (nie miałam co do tego wątpliwości) drużyny mormońskiej „starszyny” – gładko wygolonych, różanolicych młodzieńców, popijających drobnymi łydkami lodowatą wodę w oczekiwaniu na swoje samoloty – w nakrochmalonych białych koszulach, w ciemnych garniturach i krawatach, z jednakowymi plecakami jednakowo wypchanymi prozelickimi materiałami. Dzień po dniu, rok po roku, taka młoda starszyna rozpierzchała się po świecie jak puch mlecza, z misją głoszenia dobrego słowa wyprodukowanego przez Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego w samym jego sercu, czyli w Salt Lake City.

– Nie nawrócą wielu Austriaków na swoją wiarę – zauważył Wolfgang, kiedy kierowaliśmy się przez poczekalnię do naszej bramki. – W tak bardzo katolickim kraju zmiana wyznania to rzecz rzadka. Ale na tym lotnisku zawsze jest ich pełno, tych młodych ludzi. To jak zmiana warty: jedni odlatują, drudzy przylatują. Mnie wydają się całkiem obcy i dziwni.

– Nie tyle dziwni, raczej inni – sprostowałam, zdejmując pokrywkę z kubka i pociągając łyk wrzątku. – Na przykład, poznałeś mojego gospodarza Oliviera. Jest mormonem. Choć prawdę mówiąc takim, którego nazywają mormońskim odszczepieńcem: to znaczy, Olivier nie przestrzega wszystkich przepisów. Czasami pije kawę czy alkohol, chociaż są zakazane. I chociaż nie jest babiarzem, mówi, że dziewicą też nie...

–Dziewicą? – spytał podejrzliwie Wolfgang. – Dziewictwo to ich zwyczaj?

–Możesz być pewny, że nie jestem w tym ekspertem – roześmiałam się. – Lecz zgodnie z tym, co mówi Olivier, dziewictwo to mniej czy bardziej sprawa osobistego wyboru... zachowanie czystości ciała i ducha, że tak powiem. Zdaje się, że w ten sposób się przygotowują do zbawienia w nowym milenium.

– W nowym milenium? – powtórzył Wolfgang. – Nie rozumiem.

– To rodzaj ćwiczeń duchowych – wyjaśniłam. – Katolicy mają swój katechizm, tak? No cóż, tak jak ja to rozumiem, ich jest taki: każde dzisiaj oznacza początek końca, żarna czasu obracają się coraz wolniej, aż w końcu staną. To są te Ostatnie Dni, kiedy, jak wiemy, ma nastąpić koniec świata. Jedynie ci, którzy zostali oczyszczeni i uwierzyli, że Jezus Chrystus, jak powiadają, jest Światłem i Drogą, jedynie ci będą ocaleni, kiedy

on wróci na ziemię, aby sądzić i karać, i zapoczątkować Nową Erę. Mormoni przygotowują się przez chrzest, oczyszczanie duszy i ciała w tych ostatnich dniach, tak by każdy odrodził się w nowym, wiecznym wcieleniu i został obdarowany wiecznym życiem. Stąd nazwa Święci Dnia Ostatniego.

–Ostatnie dni to szeroko rozpowszechniona, starożytna idea – zgodził się Wolfgang. – W całej historii ostatnie dni zawsze były jądrem wiary prawie wszystkich ludzi na ziemi; to eschatologia, od greckiego *eschatos* – najdalszy, ostateczny, końcowy. W doktrynie katolicyzmu istnieje coś takiego jak *paruzja*: obecność albo drugie przyjście, czas, w którym Zbawiciel ponownie schodzi na ziemię i sprawuje sąd ostateczny. – Nieoczekiwanie zapytał: – Wierzysz w to?

–Masz na myśli wiarę w Apokalipsę... „Niedługo znów mnie ujrzycie” i tak dalej? – Miałam mieszane uczucia, jak zwykle przy tematach dotyczących wiary. Czyż nie dość samej rzeczywistości? – Tamta obietnica została uczyniona dwa tysiące lat temu i niektórzy, jak wiem, wciąż wstrzymują oddech. Obawiam się, że musiałabym doświadczyć czegoś bardziej namacalnego, żeby dać się na to nabrać.

–Więc w co wierzysz?

–Sama nie bardzo wiem w co – przyznałam. – Wychowałam się pośród Indian z plemienia Nez Perce. Ich mądrość jest najbliższa mojej religijnej edukacji. Chyba wierzę w to samo co . oni, jeśli chodzi o ideę nowej ery. – Najwyraźniej podpuszczona, wdałam się w szczegóły. Wciąż jeszcze byliśmy w drodze do naszej bramki. – Jak większość plemion, Nez Perce wierzą, że Indianie są ludem wybranym i że to oni przyniosą światu odmianę. Pod koniec ubiegłego stulecia żyjący pośród Pajutów

z Nevady prorok o imieniu Wovoka miał podczas choroby wizję końca czasu – co u Pajutów oznaczało świt nowej epoki. Wowoce ukazał się natchniony, wizjonerski taniec, który pozwoli ludziom pokonać granicę między sobą a światem duchowym. Indianie brali się za ręce, tworzyli krąg i tańczyli bez przerwy przez pięć dni, każdego roku. Wovoka nazwał ten taniec *Wanagi Wacipi*, Taniec Duchów.

Od tamtej pory każdego roku tancerze przywołują syna Wielkiego Ducha. Ma przybyć pod postacią trąby powietrznej i zmieść z powierzchni ziemi wszystkich *Wasichu* – was, kłam

liwych synów Europy, niszczących wszystko, czego dotkną wasze ręce. A kiedy to się stanie, duchy przodków powrócą na ziemię, razem ze wszystkimi bizonami wytępionymi przez białego człowieka. Matka Ziemia zakwitnie i obrodzi wszelkim dostatkiem raz jeszcze, i będziemy żyć w harmonii z naturą, tak jak zapowiadały wszystkie dawne proroctwa.

– Przepięknie – rzekł Wolfgang. – I właśnie to jest to, w co sama wierzysz, w ten harmonijny wizerunek odzyskanego raj?

– Najwyższy czas, by wreszcie ktoś w to zaczął wierzyć – zapewniłam go. – Tu, na trzeciej planecie, naprawdę skalaliśmy własne gniazdo. To dlatego wybrałam taką pracę. Zarządzanie śmieciami jest czymś w rodzaju mojego osobistego oczyszczającego rytuału: pomagam przywracać rzeczom właściwy porządek.

Sam kiedyś zauważył, że w całej historii żadna cywilizacja, nieważne jak wielka, nie przeżyła długo, jeśli nie miała przyzwoitej kanalizacji. Rzym kontrolował połowę świata dzięki I swoim akweduktom, wodzie i systemowi niwelowania śmieci. Kiedy Gandhi chciał uwolnić Indie spod panowania Brytyjczyków, najpierw kazał ludziom własnoręcznie szorować klozety.

Kiedy powiedziałam to wszystko Wolfgangowi, roześmiał się. Doszliśmy do bramki. Postawił aktówkę na podłodze i stuknął swoim papierowym kubkiem o mój papierowy kubek, jakbyśmy wznosili toast szampanem.

– Zbawianie świata przez kontrolowanie jego śmietników to przedsięwzięcie bardzo zbliżone do misji mojego pracodawcy, IAEA – skomentował. – Ale ludzie z gruntu są wszędzie tacy sami. Nie spodziewam się, by samooczyszczanie czy to metodą mormonów, czy Gandhiego... czy przez taniec na zielonych łąkach, zalecany przez twoich Indian, odmieniło sposób bycia ludzi lub przyniosło ogólnoswiatowe reformy.

– Rozmawiamy o wierzeniach, nie o sposobie bycia – zauważyłam. – Kiedy przychodzi co do czego, rezultaty nie zawsze są takie, jakich się spodziewamy. Na przykład, tobie idea Tańca Duchów wydaje się piękna, ale popatrz, co tak naprawdę z niej wynikło. Taniec zawierał tak wiele rajskich elementów, że szybko przejęły go inne plemiona – Arapaho, Oglala, Szoszoni, a zwłaszcza plemię Lakota, które w końcu zniknęło z powierzchni ziemi.

– Co to znaczy: zniknęło?

– To znaczy, zostało wymordowane – powiedziałam zdziwiona. Trudno mi było uwierzyć, że jest ktoś, kto nawet nie słyszał o tej historii. – To jeden z najbardziej bolesnych rozdziałów w życiu Indian Ameryki Północnej, i niestety, u jego podstaw leżą sprzeczne wierzenia. Indianom zabroniono polować; zrobiono na nich obławę i zamknięto w rezerwach, i zmuszono do uprawy ziemi. Pod koniec ubiegłego stulecia na – : stały lata wielkiego głodu. Głodowały tysiące; głodowały i tańczyły, wciąż tańczyły. Taniec powoli przeradzał się w dziką, ekstatyczną histerię, w trans, w rozpaczliwą ucieczkę do czasów idyllicznej Arkadii, kiedy to ziemia i jej dzieci stanowiły jedno. Indianie uwierzyli, że magiczne szaty, które noszą, potrafią odpierać żołnierskie kule. Biali osadnicy wystraszyli się nowej religii – uznali ją za taniec wojenny – i Taniec Duchów został zakazany. Kiedy plemię Lakota przeniosło się ze swoim tańcem w bardziej odległe miejsce, oddziały rządowe

najechały je i wycięły w pień całe rodziny, wystrzelano i wyrżnięto mężczyzn, kobiety, dzieci, nawet niemowlęta. Czyżbyś nie słyszał o masakrze z 1890 roku w Wounded Knee?

– Zmasakrowano całe rodziny z powodu jakiegoś tańca? Wolfgang ciągle nie dowierzał.

– Faktycznie, trudno coś takiego sobie wyobrazić – zgodziłam się, dorzucając sarkastycznie: – Ale w tamtych kwestiach rząd federalny zawsze zajmował nieugięte stanowisko.

Wyzwałam się w duchu od ostatnich za to, że tak gładko przyszło mi mówić o wydarzeniach, które dla Sama i większości amerykańskich Indian były ich osobistą wizją holokaustu i apokalipsy razem wziętych.

– Niesamowita historia – powiedział Wolfgang. – Wygląda na to, że potomkowie białych cywilizowanych Europejczyków to zwykli awanturnicy, agresorzy wojenni, prawda?

– I to jacy – przytaknęłam. – Ale zapytałeś mnie, w co wierzę, więc chyba ci odpowiem, odwołując się do klasycznej mądrości indiańskich plemion: chciałabym odtworzenia Tańca Duchów, czegoś, co na nowo zaprowadziłoby harmonię między nami i babką ziemią, jak Indianie nazywają naszą planetę. Oczywiście nie spodziewam się, by mój wkład w to dzieło był znaczący: marna ze mnie tancerka.

– Jak to możliwe? Przecież twoja ciotka Zoe była jedną z największych tancerek stulecia? A zdaje się, że macie ze sobą wiele wspólnego. Jesteś stworzona na tancerkę: twoja giętkość, sposób jeżdżenia na nartach na przykład...

– Ale boję się jeździć w głębokim puchu – zauważyłam. – Nie umiem się wyluzować. Ktoś, kto nie potrafi się wyluzować, nie może być dobrym tancerzem. Wiesz, matka Sama była pełnej krwi Indianką ze szczepu Nez Perce. Kiedyś, jako dzieci, Sam i ja poddaliśmy się ceremonii braterstwa krwi. Bardzo chciałam być Indianką, lecz nie wyraził na to zgody dziadek Sama, bo wzbraniałam się przed tańcem. Aby wejść w indiańską społeczność, trzeba stać się kimś, kogo Indianie Hopi określają słowem *hoya*. To nazwa tańca wtajemniczenia i znaczy „gotów do opuszczenia gniazda”, jak ptasie piskłę.

– Widziałem, jak skoczyłaś. – Wolfgang wciąż się uśmiechał. – A mimo to uważasz, że nie potrafisz wyluzować się aż tak, by tańczyć w głębokim puchu. Rozumiesz zatem, jaką moc

I może posiadać wiara? Że tak naprawdę tylko z własnego wyboru decydujesz się na jedną rzecz, a na inną nie?

– Rozumiem przynajmniej, co zdecydowało o postanowieniu tamtego starego Indianina. – Odwróciłam wzrok, uciekając przed badawczym spojrzeniem Wolfganga. – Myślę, że Posępny Niedźwiedź bardzo pragnął odsunąć Sama, jedyne wnuka, od rodziny ze strony ojca. Przyznaję, jesteśmy nieco osobliwi. Choć może Posępny Niedźwiedź patrzył na całą sprawę innymi oczami: pewnie uznał, że Sam i ja stajemy się sobie zbyt bliscy, a Nez Perce są bardzo rygorystyczni, jeśli chodzi o linię genetyczną. Będąc kuzynką Sama, mogłam być postrzegana jako owoc zakazany: wewnątrz jednego szczepu nie zezwala się na małżeństwo nawet między dużo dalszymi krewnymi...

– Jakie znowu małżeństwo? – przerwał mi Wolfgang. – Przecież, jak słyszę, byliście wtedy dziećmi?

Cholera. Czulałam wypełzające na policzki rumieńce. Usiłowałam wtulić głowę w ramiona, ale Wolfgang podetknął mi palec pod brodę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Już ja wiem swoje – powiedział. – Gdyby ten twój kuzyn nie opuścił przedwcześnie naszego ziemskiego padołu, byłbym porządnie zaalarmowany twoim zradliwym rumieńcem.

Właśnie wtedy, niebiosom niech będą dzięki, wezwali nas przez głośnik do samolotu.

Podczas długiego lotu do Nowego Jorku Wolfgang dorzucił parę istotnych szczegółów do wczorajszego wykładu na temat naszej misji w Związku Sowieckim. Misji podejmowanej z ramienia Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, choć o samej IAEA, jej tle historycznym i celach sama wiedziałam całkiem sporo.

Każdy, kto tak jak ja zajmował się dziedziną badań jądrowych, był znany jako „reaktor” i niemal powszechnie nie lubiany i pogardzany. Zauważcie, jak popularne są slogany typu „Przyzwoity facet? Chyba nie mówisz o tym reaktorze?” czy „Dobry reaktor to nieczynny reaktor” – oddające głęboką mądrość szkoły filozoficznej naklejaczy naklejek na zderzakach samochodowych.

Głównym zadaniem pracodawców Wolfganga było dbanie o to, by materiały nuklearne służyły celom pokojowym i pozytywnym. A te między innymi oznaczają diagnostykę i leczenie chorób, redukcję wprowadzonych w ostatnim stuleciu toksycznych pestycydów (dzięki takim programom jak sterylizacja niszczących uprawy owadów) i rozwój energii atomowej, której obecny wkład w światową energię elektryczną wynosi siedemnaście procent, co znacznie zmniejsza zanieczyszczenia pochodzące z odpadów paliw stałych i ogranicza nadmierną eksploatację kopalń oraz wycinanie lasów. Wszystko to, razem wzięte, jednocześnie dostarcza Agencji argumentów przemawiających za | zaostrzeniem kontroli nad materiałami rozszczepialnymi wyko – I rzystywanymi do produkcji broni. A niedawne nuklearne fiasko stwarzało szansę, że raz uchylone drzwi da się otworzyć szerzej.

W osiemdziesiątym szóstym, pół roku po katastrofie na Ukrainie, IAEA zaczęła wymagać wczesnego powiadamiania o wszelkich incydentach grożących „transgranicznym efektem” – jak ten w Czernobylu, który Sowieci ukrywali aż do momentu, gdy promieniowanie stało się wykrywalne w całej zachodniej Europie. Rok później IAEA stworzyła dla krajów członkowskich program dotyczący radzenia sobie ze szkodliwymi odpadami, czyli z czymś, z czym na co dzień zmagaliśmy się oboje z Olivierem. Następnie, zaledwie kilka miesięcy temu, Agencja wprowadziła daleko idące zabezpieczenia przed nielegalnym transportem i składowaniem odpadów radioaktywnych.

Zmiany były uzasadnione, choć dla zwykłego obywatela nie

było jasne, dlaczego nie wprowadzono ich przed katastrofą. Czernobyl należał do reaktorów powielających, które były latami preferowane przez rządy Sowietów i USA, również i przez inne, mimo że budziły powszechną obawę. Jak widać uzasadnioną.

Reaktor powielający produkuje więcej paliwa, niż sam zużywa – coś w rodzaju starej jak świat techniki wypieku chleba drożdżowego z „zaczynu”, której swego czasu nauczyłam Oliviera. Bierzesz

trochę nuklearnych drożdży, materiału rozszczepialnego w rodzaju plutonu 239, i dodajesz partię zwykłego wypełniacza, uranu 238, który nie jest paliwem. W rezultacie otrzymujesz większą ilość drożdży – więcej plutonu – który może być ponownie użyty jako paliwo jądrowe lub wykorzystany do produkcji bomb.

Ponieważ powielacze są wykorzystywane do celów komercyjnych, Rosjanie stosują je od dziesięcioleci, my również. Co się dzieje z tym całym plutonem? Więc, jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to przynajmniej podczas zimnej wojny nie robiły z tego żadnej tajemnicy: przerabiano go na głowice nuklearne, w wystarczającej liczbie, by każdy Amerykanin mógł mieć kilka w swoim garażu. Co do rosyjskich niebezpiecznych odpadów, odpowiedzi spodziewałam się wkrótce. Po przyjeździe do Wiednia.

Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej mieści się przy Wagramerstrasse, obok Donaupark, na wyspie otoczonej ramionami Starego i Nowego Dunaju. Za szklistą przestrzenią rzeki leży Prater ze swoim słynnym gigantycznym diabelskim młynem, ten sam park rozrywki, w którym siedemdziesiąt pięć lat wcześniej moja babka Pandora, stryj Laf i Adolf Hitler spędzili rano na kręceniu się na karuzeli.

O dziewiątej rano we wtorek czekał na nas na *Flughafen** kolega Wolfganga Lars Fennish, aby zabrać nasze bagaże i zawieźć nas do miasta na dzisiejsze spotkania. Po długiej, wyczerpującej podróży i krótkim spaniu usiadłam z tyłu, niezbyt skora do rozmowy. Tak więc, podczas gdy obaj mężczyźni debatowali po niemiecku nad naszym rozkładem zajęć i planami na

* Z niem. „lotnisko”.

dziś, ja oglądałam przez przyciemnione na niebiesko szyby ponure podmiejskie widoki. Ale kiedy dojechaliśmy do Wiednia, opadła mnie nostalgia i zanurkowałam w przeszłość.

Nie byłam w Wiedniu prawie od dziesięciu lat, ale aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za miastem mego dzieciństwa: za tymi wszystkimi Bożymi Narodzeniami i wakacjami spędzonymi z Jersey w muzycznym milieu stryja Lafa – za objadaniem się słodkimi ciastami, otwieraniem prezentów przewiązanych wstążkami i szukaniem wielkanocnych jajek. Moje prywatne wyobrażenie Wiednia było o wiele bardziej bogate i wielowarstwowe niż ekliwosentymentalny obraz miasta prezentowany reszcie świata – *Strudel, Schnitzel und Schlag*, jak to ujmował stryj Laf. Ja znałam inny Wiedeń – ten, który odwoływał się do wielu tradycji, nasiąkał aromatami tak wielu odmiennych kultur, że nie mogłam myśleć o nim w oderwaniu od jego baśniowo tajemniczej historii.

Od samych początków Wiedeń był kulturalnym pomostem, który zarazem łączy i dzieli Wschód, Zachód, Północ i Południe; punkt stapienia i rozszczepiania. Kraj, który dzisiaj nazywamy Austrią – Österreich, czyli wschodnie królestwo – w dawnych czasach nazywano Ostmark – Marchią Wschodnią: piętno Wschodu, granica, na której kończy się nowy, Zachodni Świat i od której tajemniczy Wschód się zaczyna. Ale niemieckie słowo *Mark* oznacza również pogranicze, miedzę – w tym wypadku owe zaciągnięte mgłą moczary nad Dunajem.

W swoim tysiącsiedmusetmilowym biegu od Schwarzwaldu do Morza Czarnego Dunaj jest

najważniejszym szlakiem wodnym łączącym wschód i zachód Europy. Jego rzymska nazwa Ister, łono, wciąż jeszcze jest używana przy opisywaniu aluwialnej delty oddzielającej Rumunię od republik sowieckich. W ciągu wieków rzeka miała wiele nazw w wielu językach – Donau, Duna, Danuvius, Dunarea, Danubios. Jednak najstarsza, celtycka nazwa, od której pochodzą wszystkie inne, brzmiała Danu: „dar”.

Dar wody nie uznaje żadnych granic, jest jednakowo hojny dla wszystkich ludzi wszystkich nacji. Ale był i inny dar – skarb ciemnego złota – którego żniwo zbierano na brzegach Dunaju przez milenia, na którym bogacił się sam Wiedeń i dzięki któremu otrzymał nazwę: *Yindobona*, „dobre winobranie”.

Nawet dzisiaj, na szczytach wzgórz otaczających Wiedeń, mogłam zobaczyć krzewiące się na starych sękatych pniach winoroślą, rząd za rzędem powiązane żółtymi słomianymi powrósłami z zeszłojesiennych plonów – daru bogini Ceres*. Ale wino było darem innego bóstwa, Dionizosa, rzymskiego Bachusa. Jego dar łagodził ból, zsyłał sny, a czasami doprowadzał ludzi do szaleństwa; on, Dionizos, wymyślił taniec, a jego znamienitymi następczyniami były zapamiętałe tańczące kobiety – bachantki. Tak więc jeśli jakieś miasto należy do tego wyjątkowego boga, to właśnie Wiedeń, miasto „wina, kobiet i śpiewu”.

Ja sama, w dzieciństwie, wdałam się w kłótnię z tymże bóstwem, tu, w Wiedniu, w wiedeńskiej Staatsoper na jednej z popołudniówek, kiedy wystawiano operę Richarda Straussa *Ariadna na Naksos* z Jersey w roli głównej.

Porzucona na wyspie Naksos przez swoją wielką miłość, Tezeusza, Ariadna rozważa myśl o samobójstwie – do chwili, kiedy na scenie pojawia się Dionizos, aby ją ocalić. W arii śpiewanej przez Jersey *Jesteś kapitanem żałobnego okrętu, płynącego mrocznym kursem...* Ariadna jest przekonana, że ma przed sobą boga śmierci i że ten chce ją zabrać do Hadesu. Nie zdaje sobie sprawy, że to jest sam Dionizos, że on ją kocha, że chce ją poślubić, wynieść na niebiosa i rzucić jej weselny diadem między gwiazdy, jako jasną konstelację.

Ale ja byłam bardzo mała i nie rozumiałam całej sytuacji ani trochę lepiej niż Ariadna. Chyba dlatego dałam pierwszy i jedyny publiczny występ w moim życiu – ten, o którym w rodzinie przynajmniej, nigdy nie pozwolono mi zapomnieć. Naprawdę uwierzyłam, że straszny Książę Ciemności (tenor) jest bliski porwania mojej matki na wieczną torturę ognia piekielnego i siarki, więc wbiegłam na scenę, aby ją ratować! Widownia oszalała ze szczęścia, a ja z niewybaczalną znie wagą zostałam przez obsługę siłą usunięta ze sceny. Dzięki niebiosom, był tam stryj Laf, aby mnie uratować.

Potem zostawiliśmy Jersey rozdającą autografy w jej pełnej kwiatów garderobie i, w co nie wątpię, natychmiast po naszym wyjściu przepaszającą zdumionych wielbicieli za zaskakujące zachowanie jej dziecka. Laf zabrał mnie, na pocieszenie, na

* Utożsamianej z grecką Demeter.

*Sachertorte mit Schlagobers**, a następnie na spacer po wiedeńskim Ringu. Kiedy doszliśmy do fontanny, Laf usiadł na brzegu, przyciągnął mnie do siebie i uśmiechnął się krzywo.

– Gavroche, kochanie – powiedział – poradzę ci coś: nigdy nie powinnaś wbijać swoich ślicznych ząbków w nogę kogoś takiego jak Bachus, tak jak to zrobiłaś dzisiaj. Mówię o tym nie tylko dlatego, że konkretnie ten tenor może nie chcieć nigdy więcej pojawić się na scenie razem z twoją mamą. Również dlatego, że Bachus, zwany także Dionizosem, to potężny bóg. Chociaż – zapewnił mnie mój stryj – tamten śpiewak tylko udawał, że nim jest.

– Przykro mi, że ugryzłam pana, który śpiewał do mamy przyznałam. Mimo to coś mnie intrygowało. – Powiedziałaś, że on tylko udawał boga. Czy to znaczy, że istnieje prawdziwy... Di-oni-zos? – usiłowałam boskie imię wymówić jak należy. Kiedy Laf uśmiechnął się potakująco, wyrwałam się z kolejnymi pytaniami: – Widziałeś go? Jak wygląda?

– Nie wszyscy wierzą w jego istnienie, Gavroche – stwierdził z powagą Laf. – Są tacy, którzy myślą, że to tylko jedna z wielu bajek. Inaczej było z twoją babką Pandorą. Dla niej Dionizos był kimś bardzo wyjątkowym. Powiem ci, w co ona wierzyła: w to, że Dionizos schodzi na ziemię do tych, którzy proszą go o pomoc. Tyle że naprawdę musi się potrzebować jego pomocy, zanim się o nią poprosi. I wiesz, ten bóg przyjeżdża na . grzbiecie zwierzęcia, a to zwierzę to jego najbliższy kompan, to dzika czarna pantera o szmaragdowych oczach.

Byłam bardzo podekscytowana. Wizerunek tenora, którego ugryzłam w łydkę nie dalej jak godzinę temu, kompletnie się gdzieś ulotnił. Teraz czekałam na przyjście tego żywego boga. Na to, żeby wjechał na grzbiecie parującej wyziewami puszczy bestii na Karntnerstrasse, w sam środek Wiednia.

– Jeśli naprawdę będę potrzebowała jego pomocy i jeśli się tu zjawi, aby mnie uratować, to jak myślisz, stryju Lafie... zabierze mnie ze sobą, jak Ariadnę?

– Gavroche, jeśli tego pragniesz, na pewno tak się stanie. Ale najpierw powinnaś o czymś wiedzieć. Bóg Dionizos kochał Ariadnę, a ponieważ Ariadna była zwykłą śmiertelniczką,

* Tort Sachera z bitą śmietaną.

musiał zejść z niebios na ziemię. Tylko cóż, tak się na ogół dzieje, że kiedy na ziemi pojawia się jakiś wielki bóg, razem z nim pojawiają się najprzeróżniejsze kłopoty. Dlatego lepiej nigdy nie proś go o pomoc, chyba że naprawdę, z głębi serca jej potrzebujesz – nie tak jak tamten mały chłopiec, który krzychał „Ratunku, wilk!” Obiecujesz?

– Obiecuję – zgodziłam się. – Będę się starała... ale co to są te najprzeróżniejsze kłopoty? Co będzie, jeśli przypadkiem się pomylę? Czy wtedy stanie się coś złego?

Laf wziął mnie za rękę i popatrzył mi w oczy tak, jakby odbijały się w nich wszystkie epoki.

– Gavroche – rzekł – jeśli się ma takie oczy jak twoje, koloru morza, to zapewniam cię, że gdybyś nawet przypadkiem się pomyliła, sam bóg by się zawahał, czy cię ukarać. Ale twoja babka wierzyła, że jego czas się zbliża, czas tego Dionizosa. A ponieważ jest bogiem wszelkiej wilgoci, źródeł i fontann, i rzek zawezwany, może przyjść i uwolnić wody. Na ziemię spadną deszcze, jak w czasach Noego, a rzeki wystąpią z brzegów...

Nagle w panice pomyślałam o chłopcu, który wołał „wilk”, kiedy nie było żadnego wilka. Nagle przeraziłam się tamtych sił, które kiedyś mogły przyjść na wezwanie mojej babki, a teraz na moje.

– Czy to znaczy, że mógłby nastąpić potop i świat by został zniszczony, gdyby ktoś naprawdę poprosił o pomoc, zanim byłaby naprawdę potrzebna? Ktoś taki jak ja? – spytałam w popłochu.

Laf milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, nie rozproszył moich wątpliwości.

– Myślę, Gavroche, że ty będziesz wiedziała dokładnie, kiedy masz się zwrócić do boga – rzekł w zamyśleniu. – A poza tym jestem całkowicie przekonany, że on sam będzie wiedział, kiedy przyjść.

Rzadko myślałam o tamtym epizodzie z dzieciństwa. Ale teraz, kiedy przeprawialiśmy się na wyspę, kiedy zbliżaliśmy się do naszego przeznaczenia, spojrzałam raz jeszcze na płócienną torbę leżącą na tylnym siedzeniu obok mnie, zawierającą manuskrypty Pandory.

Przebrnęliśmy przez ochronę i stanęliśmy przed budynkiem Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Kiedy wysiadałam z samochodu, wciąż ściskając w garści śmiertelny ładunek, usłyszałam echo tego, co powiedział stryj Laf dawno temu w tym samym mieście: że będę dokładnie wiedziała, kiedy mam się zwrócić do boga. I zastanowiłam się, czy nie nadszedł właściwy moment.

Być może nie byłam pewna co do właściwego momentu, lecz nim przyszła pora na lunch, wiedziałam całkiem dobrze, gdzie jest zlokalizowane właściwe miejsce: w głębi Rosji, w rejonie, który

potocznie nazywano Żółtym Stepem. Atlasy geograficzne określały go nazwą Azji Środkowej.

Jak powiedział Lars Fennish i jak utrzymywali jego koledzy, wszyscy razem zamknięci z nami w sali konferencyjnej IAEA na kilka „krótkich” godzin briefingu, to „właściwe miejsce” było jednym z najbardziej tajemniczych i niepewnych rejonów świata.

Omawiany wycinek globu, widniejący na czterokolorowej mapie zawieszanej na ścianie, obejmował Turkmenię, Tadżykistan, Uzbekistan, Kirgizję i Kazachstan – grupę pięciu republik sowieckich szczytujących się kilkoma najwyższymi górami świata, światowymi rekordami w sferze etnicznych i religijnych fermentów i zadawnioną historią wojen plemiennych i wszelkiej przemocy.

No i kilkoma godnymi odnotowania sąsiadami. Tuż za *i* miedzą leżały, po pierwsze, Chiny, członek ligi „wielkiej piątki” krajów dysponujących bronią termojądrową, po drugie, Indie, naród, który wypierał się posiadania takiej broni, a eksperymenty sprzed paru lat określał jako „pokojowe eksplozje”, po trzecie, czwarte i piąte Pakistan, Afganistan i Iran – trio, które moim zdaniem z dziką rozkoszą dołączyłoby do wspomnianej piątki. Słowem, miejsce niezbyt zachęcające do składania wizyt.

Naszej misji przyświecał piękny cel – dobro ludzkości. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej wyprawiała nas w tamten rejon świata, byśmy zdobyli gwarancje, że wysoko wzbogacone materiały nie będą wykorzystywane do rozpowszechniania broni jądrowej, czyli że kolejne bomby nie dostaną się w ręce kolejnych krajów. Aż do naszego briefingu nie zdawałam sobie sprawy, że takiego celu IAEA nigdy nie osiągnie, nawet przy pełnym poparciu Stanów Zjednoczonych i naszych wszystkich sprzymierzeńców – bez współpracy, niechby nawet wymuszonej uderzeniem żelaznej pięści, i równie pełnego poparcia i zaangażowania Związku Sowieckiego w sprawę utrzymania równowagi na osi Wschód-Zachód. Że Rosja już deklarowała takie poparcie od kilku dziesięcioleci, było moim pierwszym zaskoczeniem. Drugim, piramidalnym, było to, że nie IAEA zainicjowała moją i Wolfganga misję do Rosji – jedziemy tam na zaproszenie samych Sowietów.

To prawda, że w ostatnich latach, zwłaszcza skutkiem rozmiarów katastrofy w Czernobylu, Rosjanie trochę zmiękli, jeśli chodzi o obcą interwencję w ich wewnętrzne sprawy, interwencję takich instytucji jak IAEA. Ale pomijając całą głośność i pieriestrojkę, relacje Sowietów ze światem zewnętrznym nie były tak słodkie, jak to sugerowały ich środki przekazu. Dlaczego Sowietom mieliby nagle ustąpić ze swoich zimno wojenny eh pozycji i pokornie poprosić, abyśmy zajrzeli im do garnków?

Do czasu, gdy nasz mozolny briefing się zakończył, zdążyłam poznać odpowiedź dotyczącą tej kwestii, a także paru innych – zwłaszcza dotyczących kliki, o której nigdy nie słyszałam. Klika nazwała się Grupą 77, a jej ambicją, jak należało sądzić, było dołączenie do klubu, który kontrolował światowe zasoby materiałów rozszczepialnych całego świata.

Była pierwsza po południu, kiedy Wolfgang i ja w końcu uciekliśmy z sali konferencyjnej, wylewnie podziękowawszy Larsowi i jego przyjaciółom za trzy godziny tortur, i udaliśmy się na lunch. Z braku snu i solidnego śniadania, po godzinach intensywnego wysiłku umysłowego, myślałam jedynie o dobrym jedzeniu i odrobinie *gemütlich* atmosfery. Na szczęście wiedeńskie kawiarnie zwykle serwują jedzenie prawie na okrągło.

Zostawiliśmy bagaże na przechowanie w centrali IAEA i złapaliśmy taksówkę. Wysiedliśmy przy Kanale Dunajskim i ruszyliśmy na piechotę do historycznej Cafe Central, gdzie podobno wciąż jeszcze czekała nasza rezerwacja na lunch. Chociaż było mi niewygodnie taszczyć na ramieniu ciężką torbę przez brukowane ulice Wiednia, przynajmniej miałam wygodne buty. Nim dokądkolwiek doszliśmy, orzeźwiająca mgła znad kanału przewietrzyła mi głowę i pomogła skupić myśli.

– Powiedz mi coś więcej o tej Grupie 77 – poprosiłam Wolfganga. – To brzmi jak jakieś komando Trzeciego Świata, usiłujące zgarnąć w swoje łapska całe zasoby ciekłego plutonu. Skąd ci faceci się wzięli?

– My, tu w Wiedniu, wiemy o nich od dawna – odparł Wolfgang. – Wszystko się zaczęło od siedemdziesięciu siedmiu słabo rozwiniętych krajów, członków ONZ, które na początku lat sześćdziesiątych stworzyły swoje lobby, lansujące współpracę między krajami Trzeciego Świata. Dzisiaj, choć nadal nazywają się Grupą 77, ich liczba prawie się podwoiła, a przy stałej taktyce głosowania całym blokiem, te kraje obrosły w całkiem niezłą siłę. Wiele z nich należy do IAEA, lecz agencję przed agresją takich grup interesu chroni prosty fakt, że jej zarząd wywodzi się głównie z krajów o wysokim potencjale nuklearnym, a te są bardzo ostrożne w zdradzaniu swych niebezpiecznych sekretów i w dzieleniu się własnym doświadczeniem.

– Czy myślisz, że Sowieci boją się, by Grupa 77 nie namieszała w republikach Azji Środkowej?

– Niewykluczone – powiedział. – Ale jest ktoś, kto na ten temat może nam powiedzieć znacznie więcej, pod warunkiem że zdecyduje się mówić. Ktoś, kto dobrze zna tych ludzi. Miał nam towarzyszyć przy lunchu i mam nadzieję, że wciąż na nas czeka. Diabelnie trudno było się z nim umówić; jest stary i uparty, i wzbrania się rozmawiać o pewnych sprawach z kimkolwiek poza tobą. Dlatego tak się zdenerwowałem, kiedy się spóźniałaś na lotnisko w Idaho. Chyba przyznasz, że skoordynowanie tej wycieczki wymagało sporo wysiłku każdej z zainteresowanych stron.

– Na to zaczyna wyglądać – zgodziłam się. Nie miałam pojęcia, o co chodzi.

Kiedy przeszliśmy parę ulic dalej, mgła wokół nas zgęstniała. Wolfgang wciąż mówił, lecz jego głos zdawał się dochodzić z daleka. Usłyszałam jedynie dwa ostatnie zdania.

– ...z Paryża wczoraj wieczorem, w tym samym czasie, kiedy my lecieliśmy tutaj. Uznał, że musi zobaczyć się z tobą osobiście.

– Niby kto przyleciał z Paryża? – zapytałam.

– Twój dziadek. Idziemy na spotkanie z twoim dziadkiem.

– To niemożliwe. Hieronimus Behn nie żyje od trzydziestu lat.

– Nie mam na myśli mężczyzny, którego ty uważasz za swojego dziadka – powiedział Wolfgang. – Mam na myśli mężczyznę, który wczoraj wieczorem przyleciał z Paryża, aby się z tobą spotkać, mężczyznę, który spłodził twojego ojca Augustusa z twoją babką Pandorą... być może jedyne go mężczyznę, którego ona głęboko kochała.

Może zawiniła mgła, może brak snu i pusty żołądek, ale nagle zakręciło mi się w głowie, jakbym dopiero co zeszła z karuzeli i jakby świat wokół mnie wciąż wirował. Wolfgang wziął mnie pod

ramię opiekuńczym gestem, ale mówił dalej:

– Nie byłem pewien, co i ile powiedzieć ci wcześniej, ale to był prawdziwy powód mojego przylotu do Idaho i odnalezienia ciebie. Jak ci to wyjaśniłem pierwszego dnia, na tamtej górze, dokumenty, które odziedziczyłaś, nie mogą wpaść w niepowołane ręce. Mężczyzna, z którym się lada moment spotkamy, wie dużo o kryjącej się za nimi tajemnicy. Ale myślę, że

I najpierw powinienem cię przygotować, żebyś przypadkiem... Bo widzisz, w nim jest coś, co trudno opisać, ale spróbuję. Ten mężczyzna sprawia wrażenie postaci z zamierzchłych czasów, obdarzonej tajemnymi siłami, jak jakiś mag. Pewnie już się domyślasz, kto to jest. Twoim dziadkiem jest Dacian Bassarides.

MAG

Mag wywodzi się od słowa maja, lustra, w którym – według hinduskiej filozofii – od zawsze przygląda się sobie brahman. Sobie i całej swej potędze, i cudom, które czyni. Stąd także biorą się nasze określenia na magię, moc magiczną, imaginację, na wszystko, co zawiera moce pierwotnej, bezkształtnej, ożywionej materii. Mag zatem jest tym, który za przedmiot swoich dociekań obiera procesy Wiecznego Życia.

Charles William Heckethorn, *The Secret Societies*

On jest tym, który jeśli nawet posiada więź ze światem rzeczywistym – jest zmysłowy, lubieżny czy grzeszny – to jednocześnie zdaje sobie sprawę, że przynależy do świata wyobraźni i ducha, jak magik, który sprawia, że myśl i duch potrafią przenikać materię.

Thomas Mann

Człowiek wznosi się ponad gwiazdy, jeśli czerpie siły z niepospolitej mądrości. Taki człowiek, panując nad niebiosami i ziemią za pomocą woli, jest magiem. A magia to nie czary, lecz najwyższy stopień mądrości.

Paracelsus

Ten zdumiewający człowiek porusza się we własnym magicznym kręgu i wzywa nas, abyśmy do niego dołączyli.

Johann Wolfgang Goethe

Wolfgang chciał mnie „przygotować” na spotkanie z Dacianem Bassaridesem. Ale czy cokolwiek mogło przygotować mnie na wydarzenia ostatnich dwóch tygodni? A teraz to – odkrycie, że mój nieznośny, arogancki ojciec mógł się okazać owocem zakazanej miłości mojej babki, a nie prawowitym synem Hieronymusa Behna.

Szliśmy przez labirynt brukowanych uliczek prowadzących do Cafe Central. Wolfgang chyba rozumiał, że potrzebuję odrobiny ciszy i spokoju. Byłam przesycona tymi wszystkimi niespodziankami co do mojej koszarnej rodziny. I niewiele pomagało, że każdy nowy fakt rodził kolejne pytanie. Na przykład, jeśli Dacian Bassarides faktycznie jest moim dziadkiem i jeśli

Hieronimus Behn wiedział o tym, dlaczego ten ostatni wychowywał mojego ojca Augustusa i strzegł jak żrenicy oka, przedkładając nie tylko nad pasierba, Lafa, lecz nad własne ślubne dzieci, Zoe i Earnesta, także?

Patrząc z szerszej perspektywy, Dacian Bassarides odegrał najważniejszą rolę w każdym bez wyjątku akcie naszego rodzinnego dramatu. Na przykład, jeśli spadek po Pandorze został rozdzielony – jak oboje z Samem podejrzewaliśmy – między członków rodziny Behnów w ten sposób, że nikt nie wiedział, co dostał ktoś inny, zatem jako wykonawca testamentu Dacian z powodzeniem może być jedyną żyjącą osobą, która umiałaby powiedzieć, jak powiązane są ze sobą tamte manuskrypty i co do kogo należy.

Przypominałam sobie, że kiedy stryj Laf przedstawił mi swoją wersję rodzinnej sagi, opisał Daciana jako swego pierwszego nauczyciela gry na skrzypcach, młodego przystojnego kuzyna Pandory, który uruchomił dzieciom karuzelę na PraIB

terze i który później towarzyszył im, Pandorze i Szczęściarzowi, do Hofburgu, w celu obejrzenia włóczy Karola Wielkiego i miecza Attyli.

To była z gruntu prawdziwa historia i nie widziałam w niej żadnych luk. Choć może poza jedną. Możliwe, że Laf nie wspominał o pewnej więzi. Jeśli wziąć pod uwagę jego relację, relację naocznego świadka, podczas tamtej przejażdżki na karuzeli Dacian sprawiał wrażenie, że jest w tak samo zażyłych stosunkach ze Szczęściarzem jak Pandora. I później w muzeum to właśnie skromne, lecz w stosownej chwili postawione pytanie Daciana: „Chyba wiesz, jakie są te inne przedmioty”, sprowokowało Hitlera do wymienienia ich nazw, nazw przedmiotów, które uważał za święte – naczynia, narzędzia i tak dalej – i do wyjawienia, jak i gdzie ich poszukuje.

Ale jeśli kuzyn Pandory rzeczywiście był w centrum całego splotu wydarzeń, do czego zrobił aluzję Sam i w co również ja I zaczynałam wierzyć, jak to się stało, że ta główna rola przypadła właśnie jemu? Dacianowi Bassaridesowi?

Cafe Central była świeżo odremontowana. Na zapleczu wciąż jeszcze prowadzono jakieś prace, o czym świadczyły unoszące się w powietrzu drobinki kurzu i sporadyczne odgłosy piłowania. Ale od czasu mojej ostatniej wizyty stare, ciemne boazerie, podniszczone tapety i zmatowiałe kinkiety najwyraźniej zostały skazane na banicję i teraz było to jasne, przestronne pomieszczenie.

Gdy przemierzaliśmy salę, mgła się już podniosła i blade światło wlało się przez duże okna i zabłysło na szkle i mosiądzu imponującej gabloty wypełnionej tłustymi wiedeńskimi ciastami. Przy marmurowych stolikach na twardych krzesłach siedzieli stali bywalcy i czytali gazety, rozpięte na wypolerowanych drewnianych drążkach i tak szeleszczące, jakby je świeżo wyprano i wyprasowano. Na swoim zwykłym miejscu, blisko drzwi, siedział – jak żywy – gipsowy wiedeńczyk w średnim wieku. Przed nim na stoliku stała gipsowa filiżanka do kawy.

Wolfgang i ja udaliśmy się w głąb kawiarni do znajdującej się na podwyższeniu części restauracyjnej, gdzie stoły w otwartych boksach zdobiły sztywne od krochmalu białe obrusy, srebrne nakrycia i bukiety świeżych ciętych kwiatów. *Maitre d'hotel* podprowadził nas do naszego, usunął tabliczkę „zarezerwowane” i przyjął zamówienie na wino i wodę mineralną.

– Miałem nadzieję, że on tu już będzie – mruknął Wolfgang, kiedy pojawiły się napoje.

Mnie wino trochę zrelaksowało, ale Wolfgang był nieobecny duchem. W pewnej chwili podniósł się, rozejrzał po sali, znowu usiadł i zaczął niecierpliwie składać i rozkładać swoją serwetkę.

– Wybacz – powiedział. – Ponieważ się spóźniliśmy, możliwe, że on tu już jest. Pozwól, że sprawdzę. Tymczasem zamów nam jakieś przekąski albo rybę. Przyślę ci kelnera. – Wstając od stołu, rozejrzał się wokół raz jeszcze, po czym zostawił mnie samą.

Przeglądając menu, popijałam wino. Nie jestem pewna, ile czasu minęło, ale właśnie kiedy się zastanawiałam, czy nie pójść i na własną rękę nie poszukać kelnera, cień padł na stół. Spojrzałam do góry i zobaczyłam wysoką postać spowitą w obszerny zielony płaszcz z lodenu. Szerokie rondo kapelusza kryło twarz przed światłem płynącym od okna. Nie rozpoznałam rysów. Skórzana torba, prawie jak moja własna, zwisała niedbale z ramienia. Mężczyzna postawił ją na podłodze, w drugim końcu boks, tam, gdzie było miejsce Wolfganga.

– Czy mogę się dosiąść? – spytał cichym głosem. Nie czekając na potaknięcie, rozpiął płaszcz i powiesił go na najbliższym wieszaku.

Rozejrzałam się wokół nerwowo, aby zobaczyć, co zatrzymuje Wolfganga.

– Właśnie widziałem się z naszym przyjacielem *Herr* Hauserem na zapleczu, w kuchni – dodał. – Pozwoliłem sobie poprosić go, aby zostawił nas samych.

Miałam zaprotestować, ale on wsunął się w boks, naprzeciw mnie, i zdjął kapelusz. Pierwszy raz mogłam mu się dobrze przyjrzeć. Byłam oszołomiona.

Czegoś takiego jak jego twarz nigdy nie widziałam. Mimo że wyblakła jak zwietrzały kamień, sprawiała wrażenie ponadczasowej maski zastygłego piękna i ponadludzkiej siły. Długie, niemal czarne, przeplatane nitkami srebra włosy, ściągnięte do tyłu, odsłaniały silnie zarysowane szczęki i wysokie kości policzkowe i sznureczkami splotów opadały na ramiona.

Miał na sobie pikowaną skórzaną kamizelkę i koszulę z sze'■ ■'·' "

rokimi, białymi rękawami, rozpiętą pod szyją, którą zdobił sznur wymyślnie rzeźbionych paciorków z różnobarwnych kamieni. Kamizelkę pokrywał bogaty haft w ptasie i zwierzęce motywy o nasyconych i jaskrawych kolorach szafranu, karminu, fioletu, błękitu, szkarłatu, żółci, oranżu i szmaragdu – kolorach pierwotnej puszczy.

Jego stare oczy pod krzaczastymi brwiami, płonące ciemnym płomieniem, miały głębię i bezmiar, które ośmieliłabym się przyrównać jedynie do najrzadszych klejnotów, sadzawek zmieszanych barw, purpury głębokiej nocy i zieleni szmaragdów, i hebanu. Pomyślałam, że ze wszystkich opisów tej postaci, które do tej pory słyszałam, najtrafniejszy jest opis Wolfganga.

– Sposób, w jaki na mnie patrzysz, pozbawia mnie pewności siebie, moja droga. – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, sięgnął przez stół i najzwyczajniej w świecie wyjął mi z rąk menu, a także kieliszek z winem. – Pozwoliłem sobie także na coś innego – powiedział tym cichym, egzotycznie akcentowanym głosem. – Przywiozłem trochę Côtés du Rhône z moich winnic w Awinionie.

Zostawiłem je trochę wcześniej w kuchni, aby... jak to się mówi?... aby nabrały oddechu. Zanim nasz przyjaciel Wolfgang zgodził się wyjść, obiecałem mu, że nie poprzestaniemy na winie. Podobno przez cały dzień niczego nie jadłaś. Mam nadzieję, że przepadasz za *Tafelspitz*, prawda?

Kelner dyskretnie postawił na stole nową butelkę i świeże kieliszki, rozlał wino i szybko znikł, podczas gdy Dacian mówił dalej:

– Ponieważ jesteś moją jedyną spadkobierczynią, moja winnica i jej wina pewnego dnia będą twoje, więc jestem rad, że możesz je poznać... jak jestem rad, że ja mogę poznać ciebie. Czy mam się formalnie przedstawić? Jestem Dacian Bassarides, twój dziadek. I uważam tak uroczą wnuczkę za lepszy dar losu niż wszystkie wina w Vaucluse.

A niech to święte gówno, pomyślałam, kiedy nasze kieliszki się stuknęły – tego mi tylko brakowało, bym stała się dziedziczką kolejnego spadku. Jeśli wszystkie moje schedy okażą się takie jak ostatnia, nie pożyję wystarczająco długo, by skorzystać choćby z jednej!

– A ja jestem rada, że mogę poznać ciebie – odwzajemniłam mu się i właśnie tak pomyślałam. – Chcę jednak wyjaśnić, że

o naszym pokrewieństwie dowiedziałam się dosłownie przed chwilą, więc chyba rozumiesz, że wciąż jestem zszokowana. Moja babka Pandora umarła, zanim ja się urodziłam. W rodzinie rzadko się wspominało jej imię, dlatego niewiele wiem o niej, tak jak i o tobie. Jeśli rzeczywiście jesteś moim dziadkiem, to dlaczego ukrywano to przede mną przez tyle lat? Czy inni wiedzą o tym?

– Naturalnie, to musiało być dla ciebie szokiem. – Dacian zakreślił szeroki łuk dłonią o długich, smukłych palcach, palcach skrzypka, jak mi się przypomniało. – Wyjaśnię ci wszystko... może nawet kilka rzeczy, o których wolałabyś nie wiedzieć... choć ja sam zawsze wolę choćby najbardziej gorzką prawdę od najbarwniejszej fikcji. Ale musisz mi powiedzieć, co słyszałaś do tej pory, nim ja dopowiem resztę.

– Obawiam się, że niewiele. Wszystko, co słyszałam od tamtej strony rodziny, to to, że ty i Pandora byliście kuzynami; że ona była studentką konserwatorium w Wiedniu i że pracowała jako dama do towarzystwa czy guwernantka w domu Behna; i że ty uczyłeś mojego stryja Lafcadia gry na skrzypcach. On powiada, że mimo młodego wieku byłeś prawdziwym mistrzem.

– Prawdziwy komplement... ale oto i nasze dania – powiedział. – Kiedy będziemy jedli, wszystko ci wyjaśnię. To wcale nie taka wielka tajemnica.

Obserwowałam, jak kelner ustawia rząd półmisek. Kiedy podniósł pokrywę mojego *Tafelspitz* – tradycyjnego austriackiego dania z gorącej gotowanej wołowiny, obłożonej, w oddzielnych przegródkach, zimnym musem jabłkowym, chrzanem, gorącymi kartoflami, kremem ze szpinaku, świeżą zieloną sałatą z białą fasolą – wprost oniemiałam z zachwytu. Ale lunch Daciana był nietypowy. Zapytałam, co to takiego.

– Najlepszy sposób na poznanie człowieka: wiedzieć, co je odpowiedział. – Na przykład, w tej

wazie znajdziemy zimną węgierską zupę z kwaśnych wiśni. Następne danie, o które mnie spytałaś, to *ćevapčići*, rodzaj kebabu przyrządzonego z mielonej wołowiny, baraniny, czosnku, cebuli i *paprikesh*; wędzi się go w dymie z węgla z krzewów winorośli, dlatego ma smak winnicy. W Dalmacji twierdzi się, że *ćevapčići* to wymysł Serbów, ale to nieprawda. Dużo wcześniej zajadali się nim Dakowie, moi

imiennicy, plemię, które w starożytności zamieszkiwało tereny dzisiejszej jugosłowiańskiej Macedonii. Dakowie w swoich wędrówkach trafili nawet nad Morze Kaspijskie, gdzie nazywali siebie *Daoi*: wilki. My, wilki... oto jak możesz nas rozpoznać... bardzo lubimy mięso. – Nadział kawałek kebabu na widelec, po czym zacisnął na nim swoje olśniewająco białe zęby.

Kiedy poczułam w ustach pierwszy kęs *Tafelspitz*, uzmysłowiłam sobie, jak bardzo jestem głodna. Dacian zrobił bukiet z co lepszych części każdego dania i przysunął go do mnie. Ja chętnie bym pożarła wszystko naraz, ale zmusiłam się, by wrócić do tematu.

– A więc pochodzisz z Bałkanów, nie z Austrii? – spytałam.

– Moje imię wywodzi się od Daków, ale tak naprawdę mój ród wywodzi się od Romów. A kto wie – wzruszył ramionami skąd wywodzą się Romowie?

– Romowie? Co to za nazwa? Czy ma coś wspólnego z Rzymem? Czy może masz na myśli Rumunię?

– Nazwa Rom wzięła się z sanskrytu. Rom nazywa siebie Romem, chociaż od wieków nadawano mu różne imiona: Bohemien, Tzigane, Zigeuner. Romowie to także Cingari, Gitanos, Flamencos, Tartares... – Kiedy wciąż niewiele rozumiałam, wyjaśnił: – Anglicy wymyślili nazwę Gypsy, bo kiedyś uważano, że nasze korzenie tkwią w Egipcie. Ale są i inne wersje. Są tacy, którzy kojarzą nas z Indiami, Persją, Azją Środkową, z pograniczem Mongolii, z biegunem południowym, a nawet z miejscami związanymi z magią, z mitycznymi wierzeniami, z miejscami, które w rzeczywistości nigdy nie istniały. Są tacy, którzy myślą, że pochodzimy z kosmosu. I tacy, którzy uważają, że należy odesłać nas tam z powrotem, i to jak najszybciej!

– A więc ty i Pandora jesteście Cyganami?

Muszę przyznać, że byłam całkiem zdezorientowana. Godzinę temu miałam matkę Irlandkę i ojca, jak mi się zdawało, pół Austriaka, pół Holendra. Teraz ni stąd, ni zowąd stawałam się wnuczką z nieprawego łoża pary cygańskich kuzynów, która porzuciła mojego ojca tuż po jego narodzinach. Ale choć co do moich przodków miałam absolutny mętlik w głowie, nie miałam powodu, by wątpić w to, co Dacian Bassarides mówił o sobie: wyglądał w każdym calu tak fantastycznie dziko, jak to każdy opisywał.

– W sprawy, które dzieją się w naszej rodzinie, nigdy nie należy wtajemniczać *gadziów*... innych, obcych – przestrzegł mnie poważnie Dacian. – To dlatego odesłałem stąd naszego przyjaciela Hausera. Ale wracając do twojego pytania: tak, jesteśmy Cyganami. Chociaż Pandora dorastała i żyła po części wśród *gadziów*, sercem i krwią zawsze była jedną z nas. Znałem ją od dziecka i już wtedy miała zadatki na wielką diwę. Być może wiesz, że w sanskrycie *dewa* oznacza anioła, podczas gdy w

języku perskim demona? Pandora była po trochu i jednym, i drugim.

Co do pochodzenia Romów, nasze sagi mówią, że zjawiliśmy się na Ziemi całe eony temu, a naszą ojczyznę nadal można znaleźć na nocnym niebie: z gwiazdozbioru Oriona, myśliwego o potężnej sile. Dokładniej, z trzech bardzo jasnych gwiazd tworzących Pas Oriona – *omphalos*, pępek – gwiazd zwanych Trzema Królami, ponieważ świecą jak gwiazda, która przywiodła Magów do Betlejem. W Egipcie odpowiednikiem Oriona jest bóg Ozyrys, w Indiach Waruna, w Grecji Uranos, a w krajach Północy – Wrzeciono Czasu. We wszystkich kulturach jest znany jako posłaniec, najważniejszy przewodnik w chwilach przełomowych rozpoczynających nową erę.

Nie zależało mi na zapuszczaniu się na boczne tory, gdy rodzinna intryga wikłała się coraz bardziej. A historię opowiadaną przez Daciana otaczało coś więcej niż gwiazdny pył. Jak on i Pandora mogli być Cyganami, jeśli z tego, co ludzie mówią, naziści uważali Cyganów za nację plasującą się w hierarchii społecznej niżej niż katolicy, komuniści, homoseksualiści czy Żydzi?

– Jeśli ty i Pandora byliście Cyganami – powiedziałam – to w jaki sposób ona mogła żyć, tak jak żyła, i tam, gdzie żyła, i wśród ludzi, wśród których żyła, przed i podczas drugiej wojny światowej?

Dacian przyglądał mi się z dziwnym uśmiechem.

– A jak żyła? Przypuszczam, że wiesz o niej bardzo niewiele.

– To prawda – przytaknęłam. – Chodzi mi o to, jak Pandora i Laf mogli mieszkać w tantym luksusowym wiedeńskim mieszkaniu przez całą wojnę... byłam w nim, więc wiem, jakie jest... i wieść tak bujne życie? Jak Pandora mogła zadawać się z nazistami czy kimś takim? Nie myślę tu o zwykłym kamuflażu; nie chodzi mi o umiejętność przeistoczenia się z Cyganki w arystokratkę. Pytam, jak mogła godzić swój wiedeński luksus z wiedzą o tym, co naziści wyprawiają z jej narodem... – przesłam do *sotto voce* – to znaczy, jak mogła siedzieć tu, w Wiedniu, jako ulubiona gwiazda operowa Hitlera?

Dacian patrzył na nasze kieliszki, jakby dopiero teraz zauważył, że są puste; napełnił je sam. Znając skrupulatność wiedeńskich kelnerów w tej materii, mogłam jedynie przypuszczać, że to on sam ich poinstruował, by trzymali się z boku.

– Więc to tak ci ją przedstawiono – powiedział mój dziad, bardziej do siebie niż do mnie. – Bardzo interesujące. Chyba wiem, skąd pochodzą twoje informacje, bo wygląda mi na to, że tę baśń wspólnie wysnuło kilka twórczych umysłów. – Popatrzył na mnie i dodał: – Bardzo twórczych. Całkowicie zrozumiałe u potomków, podobnie jak ty sama, rodu wywodzącego się z gwiazdozbioru Oriona.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko nieprawda?

– Chcę powiedzieć, że każda półprawda jest połową kłamstwa – rzekł ostrożnie. – Nigdy nie mieszaj ludzkich przekonań z rzeczywistością. Jedyna prawda warta dociekania to ta, która pozwala nam zbliżyć się do środka.

– Środka czego?

– Środka samej prawdy – uściślił Dacian.

– Więc czy zamierzasz pomóc mi uwolnić się od tych półprawd i przekonań, którymi się do tej pory syciłam, i rzucić trochę światła na moją własną rzeczywistość?

– Owszem... choć prawdę mówiąc, trudno udzielać właściwych odpowiedzi, dopóki nie padną właściwe pytania.

Nieoczekiwanie Dacian sięgnął przez stół i położył dłonie na moich, spoczywających po obu stronach talerza. Poczułam, jak moje ciało i kości przenika prąd i jak całą mnie wypełnia ciepło. Ale zanim zdążyłam się odezwać, on skinął na kelnera i zaszwargotał coś po niemiecku.

– Zamówiłem deser – zwrócił się do mnie. – Coś dobrego, z mnóstwem czekolady. Nazywa się od imienia sławnego cygańskiego skrzypka Riga Jancsiego, który złamał serca wszystkich wiedeńskich dam... nie tylko samym Paganinim! – Zaśmiał się, potrząsnął głową i choć cofnął dłonie, nie spuszczał ze mnie oka.

Bez słowa wyjął coś z wewnętrznej kieszeni kamizelki i mi podał. Na mojej otwartej dłoni spoczął mały owalny złoty medalion, pokryty grawerunkiem w ptasi i zwierzęcy wzór, podobny do haftu na skórzanej kamizelce. Kiedy nacisnęłam sztyfcik zameczka, wieczko raptownie odskoczyło. Wewnątrz znajdowało się stare zdjęcie – błyszcząca, ręcznie podbarwiana fotografia na metalu, jak dagerotypy z przełomu stuleci. Lecz w przeciwieństwie do fotografii z tamtych lat, na których twarze były szkliste i pozbawione wyrazu, ta, o żywych barwach, miała świeżość dopiero co zrobionej odbitki.

Twarz w owalu bez wątpienia była twarzą młodego Daciana Bassaridesa. Bił z niej magnetyzm, nieokiełznany temperament, opisywany mi wielokrotnie. Długie czarne włosy były odrzucone do tyłu i luźno puszczone, a rozpięta koszula odsłaniała nagą pierś i mocno osadzoną szyję. Przystojna męska twarz o prostym, cienkim nosie, intensywnie ciemnych oczach i lekko rozchylonych ustach emanowała zapierającą dech w piersiach dzikością istoty, która przypominała Lafowi parującą wyziewami puszczy panterę – kompana boga.

Ale kiedy nacisnęłam zatrzask ponownie i otworzyłam następne wieczko, medalion prawie wypadł mi z rąk. To było tak, jakbym patrzyła w lustro, na własne odbicie!

Druga twarz z medalionu miała mój blady „irlandzki” koloryt, moją niesforną masę ciemnych włosów i moje przezroczyzozielone oczy. Ale także, każdy szczegół – łącznie z identycznym dołkiem w brodzie – był absolutnie identyczny. Chociaż ubrania pochodziły z innej epoki i z innego miejsca, pomyślałam, że tak jak ja w tej chwili mógłby się czuć jedynie ktoś, kto idąc ulicą, niespodziewanie rozpoznaje własnego brata bliźniaka.

Dacian Bassarides wciąż przyglądał mi się wnikliwie. W końcu przemówił.

– Jesteś taka sama jak ona – rzekł po prostu. – Wolfgang Hauser ostrzegł mnie, a jednak na aż tyle nie byłem przygotowany. Obserwowałem cię z zaplecza kawiarni, przez jakiś czas, zanim zebrałem się w sobie, by podejść do tego stołu i cię przywitać. Nie potrafię wyrazić swoich uczuć... to jest tak, jakbym doznał zawrotu głowy, jakbym zanurkował w tunel czasu... – Dacian zamilkł.

– Musiałeś ją bardzo kochać – powiedziałam po chwili.

Kiedy usłyszałam własne słowa, dopiero wtedy zdałam sobie

sprawę, z całą bolesną wyrazistością, ze skutków tego, co się stało, i z roli, jaką Dacian Bassarides odegrał w mojej rodzinie. I choćby nie wiem jak okrutnie miało zabrzmieć moje pytanie, musiałam je zadać.

– Jeśli ty i moja babka wychowaliście się razem i jeśli jedno kochało drugie, jeśli ona nosiła pod sercem twoje dziecko, dlaczego wyszła za Hieronymusa Behna? Zdawało mi się, że nim pogardzała. A dalej, dlaczego uciekła z Lafcadiem, zaraz po urodzeniu dziecka, dlaczego je także porzuciła?

– Trudno udzielać odpowiedzi, zanim padną właściwe pytania. – Uśmiechnął się z przymusem. – Nie musisz wierzyć we wszystko, co usłyszysz, a przynajmniej we wszystko, co ja mówię... w końcu jestem Romem! Ale ile mogę, tyle ci wyjaśnię, bo uważam, że masz absolutne prawo wiedzieć jak najwięcej.

I A raczej że musisz wiedzieć wszystko, jeśli zamierzasz ochronić te papiery, które masz w torbie pod stołem...

W jakiś sposób łyk wina trafił mi do tchawicy. Zadławiłam się i sięgnęłam po wodę, zastanawiając się zarazem, czy ten mężczyzna potrafi przeświecić umysły, czy raczej potrafi czytać w moich myślach.

– Dowiedziałem się o nich od Wolfganga Hausera, mijając się z nim w kuchni. – A jednak czytał w moich myślach. – Był obecny przy przeglądaniu twojej torby przez celników, a potem przez ochronę IAEA, i wydało mu się dziwne, że mogłabyś tyle papieru zużyć wyłącznie do celów służbowych. Powziął całkiem sensowne podejrzenia. Ale do tego jeszcze dojdziemy. Odpowiadam na twoje pytanie: Pandora rzeczywiście była moją kochanką i matką mojego syna, mojego jedyne dziecko, ale nie była moją kuzynką. Była moją żoną. Zdjęcia, które trzymasz w dłoni, zrobiliśmy w dniu naszego ślubu.

– Ożeniłeś się z Pandorą?! – Oszupiałam. – Kiedy?

– Jak widzisz, na tym zdjęciu Pandora wygląda na osiemnaście czy dwadzieścia lat – rzekł. – Ale faktycznie tego dnia miała trzynaście, a ja szesnaście. To były inne czasy, dziewczęta wcześniej stawały się kobietami, a tak czy inaczej u Romów wczesne małżeństwa to rzecz całkiem zwyczajna. Trzynastoletnia Pandora, zapewniam cię, była kobietą. Kiedy ja miałem

dwadzieścia lat, a ona siedemnaście, odeszła, i nasz syn Augustus urodził się w domu Hieronymusa Behna.

Kłębiły mi się w głowie tysiące pytań, ale właśnie wtedy do naszego stołu podszedł kelner z deserem czekoladowym nazwanym od cygańskiego skrzypka, z pucharkiem *Schlagobers* i z butelką włoskiej grappy, destylowanej z wytłocznin winogron, dwa razy mocniejszej niż koniak. Kiedy kelner odszedł, zamachałam ręką, że nie chcę więcej pić. Byłam hiperprzewentylowana, można by tak powiedzieć. Dacian jednak napełnił oba kieliszki, następnie podniósł swój i dotknął nim mojego.

– Wypij. Może się okazać, że przyda ci się. To jeszcze nie koniec historii.

– Jeszcze nie koniec?! – Aż gwizdnęłam.

Na szczęście byliśmy jedynymi gośćmi w tej części kawiarni, a kelnerzy z serwetkami na zgiętych przedramionach stali w dyskretnej odległości na drugim końcu sali, pogadując między sobą.

Po całej tej aferze z przekonaniem kłócącym się z rzeczywistością nagle zrozumiałam, w co ja wierzyłam: ze wszystkiego, czego – jak myślałam – wolałam nie wiedzieć aż do teraz, to coś miało być czymś najgorszym. Pomodliłam się, by rzeczywistość nie okazała się aż tak zła, ale nie pokładałam zbyt wiele wiary w swą modlitwę. Zacisnęłam oczy na chwilę. Kiedy je otworzyłam, Dacian Bassarides siedział tuż obok, blokując mi wyjście z za stołu. Położył mi dłoń na ramieniu, i znów poczułam emanującą z tego mężczyzny energię. Był tak blisko, że mogłam wdychać jego nasycone zapachami ciepło, zapach szałwi i ogniska, zapach tajemniczych sosnowych lasów, po którym krąży boska pantera.

– Ariel, wiem, że to, co powiedziałem, wstrząsnęło tobą, a może nawet cię przeraziło, ale to dopiero część tego, co chcę ci wyjawić, przez co przyjechałem z Francji. – Wyjął mi z dłoni medalion, zamknął go ostrożnie i na powrót włożył do kieszeni kamizelki. – Koniecznie trzeba, żebyś wysłuchała wszystkiego, co mam do powiedzenia, choćby to było nieprzyjemne. Zamknąć oczy i zatkać uszy w takiej jak ta chwili to podjęcie niebezpiecznej decyzji, niebezpiecznej dla nas obojga, zwłaszcza dla ciebie.

– Nie sądzę, bym mogła podejmować jakiegokolwiek decyzje –

powiedziałam z goryczą. – Zresztą nie sądzę, bym zdołała podjąć cokolwiek poza tym, co podjęłam.

– To nieprawda. Możesz, bo jesteś jedyną wnuczką Pandory i moją także. I tak urodziłaś się, aby, jak to się mówi, spotkać się ze swoim przeznaczeniem; twoja podróż ku niemu już się rozpoczęła. Ale mój naród oddziela przeznaczenie od losu. My nie uważamy, że rodzimy się z „losem”, który zmusza nas do działania zgodnie z jakimś scenariuszem napisanym ręką „na górze”, lecz raczej że każdy z nas ma jakieś przeznaczenie, jakiś wzór poprzedniego bytu, do którego powinien dążyć i który pewnego dnia powinien osiągnąć. Niemniej, aby przelać się w tę nową formę – w to, że tak powiem, lepiej ukształtowane naczynie – musisz rozpoznać swoje przeznaczenie, rozpoznać i iść za nim. Łabędź, który dorasta między kurczętami, musi wiedzieć, że jego przeznaczeniem jest pływanie i latanie – w przeciwnym razie upodobni się do kury i będzie gdać w pyłe podwórka do końca swoich dni.

Nie wiem dlaczego, lecz to porównanie nieprawdopodobnie mnie zezłościło. Jak on mógł choćby sugerować, że naszej „łabędziej” krwi jest potrzebne jakieś „lepiej ukształtowane naczynie”? Pociągnęłam sobie zdrowo grappy i popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Posłuchaj – zaczęłam całkiem sfrustrowana – możliwe, że moim „przeznaczeniem” było urodzić się wnuczką Pandory i wyglądać tak samo jak ona. I może to nawet prawda, że urodziłam się tuż po jej śmierci. Ale to wcale nie znaczy, że mam być jej drugim wcieleniem albo jakimś klonem, albo że

jej przeznaczenie jest w jakikolwiek sposób związane z moim. Nie ma we mnie żadnej „formy” czy „wzoru”, czy czegokolwiek, co by sprawiło, że zrobię choć jedną z tych potwornych, okrutnych rzeczy, które jak mi się zdaje, zrobiła ona tobie i każdemu innemu, kto miał z nią do czynienia.

Dacian przyglądał mi się przez chwilę szeroko otwartymi oczami, po czym się głośno roześmiał. Głośno i jakoś tak zimno.

– To jest to, co rozumiałem przez niedawanie wiary wszystkiemu, co się słyszy, a także, że powtórzę po raz trzeci, przez brak właściwie stawianych pytań. – Milczałam, więc dodał: – Zrozum wreszcie, że nie byliśmy pionkami na szachownicy. Żadne z nas. Ani Hieronimus Behn, ani ja. Ani Pandora, Lafcadio, Earnest czy Zoe. Podobnie jak ty, mieliśmy wybór. Ale wybór jest decyzją, a decyzje prowadzą do zdarzeń. Kiedy zdarzenie następuje, nie cofniesz wskazówek zegara i nie odmienisz tego, co się stało. Ale nigdy nie jest za późno, by dociekać historii.

– Unikałam dociekania historii mojej rodziny przez całe życie. Jak do tej pory, z powodzeniem. Dlaczego miałabym brać się do tego teraz?

– Może dlatego, że niewiedza do niczego nie prowadzi.

Czyż nie było to moje motto? Rozłożyłam zachęcająco ręce;

mów, proszę bardzo.

– Tuż przed naszym ślubem – zaczął Dacian – Pandora i ja dowiedzieliśmy się z przerażeniem, że coś niezwykle cennego, należącego do jej rodziny, coś o wielkim znaczeniu dostało się podstępem w ręce człowieka o nazwisku Hieronimus Behn. Pandorę opętała myśl, by to coś odzyskać. Wspólnie postanowiliśmy podjąć się misji, o której z góry wiedzieliśmy, że może być niebezpieczna. Znalezienie Behna zabrało nam sporo czasu, ale na znalezieniu sprawa się nie kończyła. Nasze zadanie wymagało, byśmy mieli dostęp do jego domu i zdobyli zaufanie rodziny. Ja zaprzyjaźniłem się z Lafcadiem w jego szkole w Salzburgu, a w Wiedniu Pandora poznała Hermione i dzieci i ostatecznie przeprowadziła się do Behnów. Ale nikt nie mógł przewidzieć, że właśnie wtedy, kiedy nasze wysiłki były bliskie zwieńczenia sukcesem, Hermione ciężko zachoruje. Choroba umysłowa zabrała ją szybko i po jej śmierci Hieronimus Behn, ta ostatnia kanalia, zgwałcił Pandorę jeszcze tej samej nocy i zmusił ją do natychmiastowego zawarcia małżeństwa. Ją, moją żonę. Po jakimś czasie, nie mogąc pogodzić się z faktem, że ona podporządkowała nas wszystkiemu takiemu losowi... bo czyż może być coś gorszego niż to, że twoją ciężarną żonę plugawi inny mężczyzna, a następnie wypędza ją bezpiecznie, a dziecko porywa...

– Porywa? – Byłam zszokowana. – Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

– To, że twój ojciec nie był przez nikogo porzucony – rzekł dobitnie. – Kiedy Hieronimus Behn odkrył, że Pandora faktycznie znalazła to, czego szukała, wyrzucił ją na ulicę, następnie zamknął dom i uszedł z naszym dzieckiem. Augustus stał się zakładnikiem, a okup za niego był dla nas, dla Pandory i dla

mnie, niemożliwy do zapłacenia, nawet gdybym miał odpowiednie środki.

– Okup! – powtórzyłam. Ale zaraz oczywiście przedstawiłam go sobie. Żadne z nas nie spojrzęło na torbę stojącą między nami pod stołem. Byłam tak wzburzona, że kiedy się odezwał, potrzebowałam całej minuty, by wyłapać sens tego, co mówi.

– Moja droga, możliwe, że nie wiesz z całą pewnością, czym są te dokumenty, którymi wypchałaś swoją torbę – stwierdził ale na pewno masz bardzo sprecyzowane pojęcie o ich wartości i na pewno zdajesz sobie sprawę, że są niebezpieczne. Gdyby było inaczej, tobyś je sprzedała, spaliła albo gdzieś zostawiła. Nie zadawałabyś sobie trudu obwożenia się z nimi przez pół świata. Tak więc, kiedy Wolfgang Hauser powiedział, że jest przekonany, że są w twoim posiadaniu, a ja postanowiłem powiedzieć ci wszystko o naszej rodzinie, łącznie z jej cygańskim rodowodem, szybko go stąd odesłałem. Widzisz, informacja

io tych dokumentach właśnie w twoim posiadaniu powiedziała mi coś, co on szczęśliwie przeoczył. Poprosiłem go, byśmy się spotkali niedaleko stąd, już za kwadrans. – Przerwał i popatrzył mi prosto w oczy. Zamarłam, kiedy usłyszałam dalszy ciąg: – O znaczeniu tych dokumentów mogłaś się dowiedzieć dopiero teraz, i od osoby, która znała je dogłębnie. Ponieważ to nie byłem ja, a wszyscy inni zabrali swój sekret do grobu, przypuszczam, że twoim informatorem był ich ostatni właściciel. To nieodparcie nasuwa myśl, że twój kuzyn Samuel żyje i że rozmawiałaś z nim całkiem niedawno.

oś

Gałęzie i owoce drzewa... Drzewo Świata pojawia się w sztuce i w micie greckim, ale jego korzenie tkwią w Azji... Drzewo Świata jest symbolem, który uzupełnia, a czasami pokrywa się z Centralną Górą, obie formy są jedynie bardziej wyszukanyimi formami Kosmicznej Osi czy Filaru Świata.

E.A.S. Butterworth, *The Tree at the Navel of the Earth*

W kosmosie, gdzie planety krążą wokół słońca, a księżycy wokół planet, gdzie siła zawsze dominuje nad słabością, robiąc z niej posłusznego niewolnika albo ją miażdżąc, jeśli ta się nie poddaje, tam nie może być szczególnych praw dla człowieka. Jak również niejasne są dla niego pryncypia najwyższej mądrości. Człowiek może próbować je zrozumieć, ale nigdy nie potrafi przed nimi uciec.

Adolf Hitler, *Mein Kampf*

Miałam zamęt w głowie. Zamęt jak wszyscy diabli, zamęt prawdziwy i czułam się prawdziwie chora. Jak mogłam być tak naiwna, jak w ogóle mogłam pomyśleć, że takie niewinne dziewczę, taki zwykły „reaktor” jak ja, któremu obce były sztuczki służb wywiadu, potrafi ochronić niebezpieczne manuskrypty i Sama także, jeśli już dwaj pierwsi napotkani mężczyźni natychmiast odgadli, czym wypchałam swoją podróżną torbę?

Obecność kelnera i podliczanie rachunku pomogły mi choć po części zatuszować wewnętrzne rozdygotanie. Bóg jeden wie, jak mi się udało wyjść z boksu, ubrać płaszcz i przeżeglować statecznie przez całą długość sali. Dacian Bassarides szedł za mną bez słowa. Na zewnątrz, na środku Herrengasse, przewiesiłam śmiercionośny ładunek przez ramię i zacisnęłam na nim dłoń tak, że aż mi zbiełały knykcie.

– Moja droga, twój strach jest prawie namacalny – powiedział Dacian. – Tyle że strach jest uczuciem niezbędnym i zdrowym. Wyostrza nasze zmysły, nie należy go tłumić...

– Nie rozumiesz – przerwałam niecierpliwie. – Jeśli ty i Wolfgang odgadliście, że mam te papiery, być może i inni domyślili się tego. Sam jest w potwornym niebezpieczeństwie... w końcu to jego próbowano zabić. Tymczasem ja nawet nie wiem, czym są te manuskrypty, a tym bardziej, jak je chronić. Nie wiem, komu wierzyć!

– Odpowiedź nasuwa się sama – zauważył Dacian. Spokojnie sięgnął po moją zaciśniętą na szelce dłoń i włożył ją sobie pod ramię. – Powinnaś zaufać odpowiedniej osobie, tej, która wie, czym one są, i która może ci doradzić, co z nimi zrobić, przynajmniej chwilowo... a tak się składa, że tą odpowiednią osobą jestem ja. Poza tym, ponieważ nasz przyjaciel *Herr*

mrrm

Hauser jest przekonany, że ty je masz, byłoby błędem wzbudzać w nim jeszcze większe podejrzenia, udając, że ich nie masz. Musisz dopuścić go do tajemnicy, przynajmniej częściowo, przynajmniej co do tego, czego się już sam domyśla, a dopuszczenie kogoś do tajemnicy często miewa swoje praktyczne strony. Ale teraz radzę się pośpieszyć; niedaleko stąd czeka na nas *Herr* Hauser. Chcę wam obojgu coś pokazać.

Wycisz się i uspokój, powtarzałam sobie raz za razem, podczas gdy Dacian, kołysząc moją ręką w rytm swoich kroków, prowadził mnie przez wąskie ulice, tam gdzie Graben łączy się z Karntnerstrasse, kolejną aleją luksusowych sklepów, i przechodzi w Stephansplatz pyszniący się swoim zbyt kownym klejnotem: krytą dachem ze złotych płytek, zdobną licznymi spiralami koronkowych wież katedrą Świętego Stefana – sercem Wiednia.

Zobaczyłam Wolfganga z daleka. Przechadzał się w rogu placu, u zbiegu obu ulic, raz po raz spoglądał na zegarek i rozglądał po tłumie przechodniów. Przypomniało mi się, jak go zobaczyłam pierwszy raz, w tym samym eleganckim płaszczu z wielbłądziej wełny i jedwabnym szalu, i w skórzanych rękawiczkach, w Pawilonie Nauk Technicznych naszego ośrodka w Idaho – wielki Boże, czy to było zaledwie tydzień temu? Pomyślałby kto, że od tamtej chwili upłynęły miliony lat.

– Czy wiesz, co znaczy słowo eon? Czy bardziej właściwie, po grecku, *aion* – spytał Dacian. – Wiąże się ono z czymś, co sprowadza nas w ten zakątek Wiednia.

– Eon to kawał czasu – odparłam. – Więcej niż milenium.

W tej chwili Wolfgang zauważył nas i precyzyjnie się przez

tłum z wyrazem ulgi na twarzy. Ale ledwo spojrzał na mnie, jego oczy zapłonęły niepokojem.

– Wybacz, że zostawiłem cię tak pochopnie – powiedział. Już przedtem byłeś wystarczająco zmęczona. – Warknął pod adresem Daciana: – Nie widzisz, jak ona wygląda? Co jej powiedziałaś?

– Ojejku, ależ jesteś troskliwy – skomentowałam z wymuszonym uśmiechem. Wiedziałam, że jeśli mój stan ducha jest aż tak widoczny dla osób trzecich, to szybko muszę wziąć się w garść.

– Nie przejmuj się – uspokoił Wolfganga Dacian. – Ariel po

prostu została poddana ciężkiej próbie: wreszcie spędziła jakąś godzinę z członkiem własnej rodziny. Możliwe, że nie było to najprzyjemniejsze, ale wyszła z tego obronną ręką.

– Objedliśmy się i przerobili krótki kurs filozofii – dorzuciłam od siebie – a teraz szczęśliwie wkraczamy w coś, co się nazywa milenium. Dacian właśnie miał mi wytłumaczyć sens greckiego słowa *aion*.

W oczach Wolfganga malowało się zaskoczenie.

– Ależ to o tym Ariel i ja rozmawialiśmy w Utah, nie dalej jak wczoraj – powiedział. – Nadejście nowego stulecia będzie także początkiem nowej ery czy eonu, ważnego dwutysięcznego cyklu.

– Tak się powszechnie uważa – stwierdził Dacian. – Niebotyczne przęśło czasu, powracający cykl, od *aevum*, pełny obrót, wieczność. Lecz dla starożytnych Greków słowo *aion* oznaczało coś więcej: wilgoć, zwilżanie, cykl samego życia, które zaczyna się i kończy w wodzie. Grecy wyobrażali sobie rzekę żywej wody otaczającej ląd na podobieństwo węża połykającego własny ogon. Ziemski *aion* składa się z rzek, źródeł, studni, wód podziemnych, które wypływają z głębin i rozlewają się na wszystkie strony, aby tworzyć i karmić wszystkie formy życia. Egipcjanie wierzyli, że rodzą się z łez bogów i że sam zodiak jest zataczającą krąg rzeką, której oś stanowi ogon małej niedźwiedzicy. Oto jeszcze jeden powód, że niedźwiedzie nazywa się chochlami albo warząchwiami – a to prowadzi ku temu, co chcę wam pokazać, tu, niedaleko.

Na skraju placu, tam gdzie przechadzał się Wolfgang, tkwiła, osadzona w ścianie nie rzucającego się w oczy szarego budynku, mała cylindryczna szklana gablota. Wewnątrz znajdował się sękaty, zdeformowany przedmiot długi na mniej więcej trzy stopy, o powierzchni pokrytej czarnymi guzami jak chorobliwą grzybiczą naroślą. Zdawał się więc – jak żywy. Choć był za szkłem, patrząc na niego, poczułam dreszcz odrazy.

– Co to jest? – spytałam Daciana.

Ale odpowiedział mi Wolfgang.

– Coś bardzo znanego, Stock-im-Eisen. *Stock* znaczy pień, a *Eisen* żelazo. To stary drewniany pniak, liczący pięćset lat, nabity używanymi niegdyś stolarskimi gwoździemi o kwadratowych główkach, tak gęsto, że nie widać przez nie choćby

kawałka drewna. Mówi się, że był symbolem cechu kowali. Naglergasse, inaczej Aleja Gwoździarzy, jest niedaleko stąd. Ten pniak znaleziono niedawno, kiedy robiono wykop pod U-bahnem. Przy okazji odkryto bardzo starą kaplicę, doskonale zachowaną, którą można obejrzeć w podziemnym pasażu. Nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego i kaplica, i pień były zakopane tak

głęboko, całe stulecia temu, ani też – przez kogo.

– Prawie nikt – dorzucił Dacian z zagadkowym uśmiechem. – Ale śpieszmy się; jest późno i mam wam do pokazania inny gwóźdź, w hofburskim skarbcu. A w temat drzew i gwoździ wprowadzę was po drodze.

Dzień się zbliżał ku zachodowi. Ruszyliśmy dalej, piechotą, przez szeroką Karntnerstrasse, otoczeni rojnym gwarem turystów.

– W wielu kulturach – zaczął Dacian – gwóźdź był uważany za coś, co ma święte właściwości, co łączy i godzi krańcowo różne sfery – jak ogień i wodę, ducha i materię. Ponieważ drzewo było często postrzegane w starożytnych tekstach jako Oś Świata, przewodząca energię z niebios na ziemię, gwóźdź był nazywany zawiąsem albo sworzniem Boga, zakotwiczającym tę energię. Co więcej, w języku hebrajskim samo imię Boga zawiera słowo „gwóźdź”: w tetragramie JHWH zgłoska Wau znaczy „gwóźdź”. A w niemieckim *Stock* to nie tylko pień czy kłoc; *Stock* to także gałązka, różdżka, winorośl... i ul. A pszczoły – Dacian mówił dalej – są kojarzone ze świętymi drzewami. Jest sprawą najwyższej wagi, jak to wszystko razem ze sobą się wiąże.

Jeszcze nie zwariowałam, ale w mojej głowie huczało jak w ulu. Możliwe, że zodiak był Zwierzyńcem Niebieskim, ale temu nowemu eonowi, o którym rozmawialiśmy, miał nadać charakter człowiek, nosiwoda, *Aquarius* wlewający strumień wody do pyszczka ryby. Chociaż i warzachwie czy chochle byłyby tu nie od rzeczy, Dacian powiedział, że jest coś, co wiąże to wszystko – obracające się niebo, drzewa i gwoździe, płynące wody, niedźwiedzie, i być może nawet Oriona, potężnego myśliwego. Wtedy przyszło mi na myśl, że wiem, o co chodzi.

– Czy głównym spoiwem jest bogini Diana? – spytałam.

– Dacian zerknął na mnie z ukosa zdziwiony.

– Trafiłaś w sedno – powiedział z aprobatą. – Ale wracajmy

na naszą ścieżkę. Podróż często bywa równie ważna jak sam cel.

– Jaki znowu cel? – spytał Wolfgang, zwracając się do mnie. – Wybacz, ale nie wiem, co rzymska bogini ma wspólnego z drzewami i gwoździami.

– Rzymska Diana, a grecka Artemida była porównywana z Niedźwiedzicami – wyjaśniłam – z Wielką i Małą Niedźwiedzicą, krążącymi wokół niebiańskiego bieguna... to znaczy osi. Artemida poza tym ciągnęła rydwan księżycy, tak jak jej brat Apollo ciągnął rydwan słońca. Była dziewicą-myśliwym. Polowała nocą, w otoczeniu sfory psów. We wczesnych wierzeniach akt polowania i zjadania upolowanego zwierzęcia zapewniał z nim jedność. Artemida była więc patronką wszystkich totemów zwierzęcych. Dzisiaj wciąż panuje na niebie, na co wskazuje jej imię – *arktos*, czyli niedźwiedź; *themis*, czyli prawo.

– Więcej niż prawo: *themis* to sprawiedliwość – dorzucił Dacian. – A prawo i sprawiedliwość to dwie różne rzeczy. Sanktuarium w Delfach nazywano *themisteia*, wyrocznia, gdyż kapłanki pytyjskie także potrafiły przepowiadać, tłumaczyć wyższą sprawiedliwość bogów.

– A to wyjaśnia związek Delf z pszczołami... – próbowałam popisać się swoją wiedzą.

– Chwileczkę – przerwał mi Wolfgang, zdezorientowany. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Pszczoły były prorokiniami – ciągnęłam swoje. – Debora ze Starego Testamentu i Melissa – bo tak nazywano wyrocznię delficką, a także Artemidę – oba te imiona znaczą tyle samo co pszczoła. Pszczoły były także identyfikowane z dziewicą, ponieważ wierzono, że ich sposób rozrodu to dzieworództwo.

– No właśnie – przejął pałeczkę Dacian. – Dziewica jest ważna dla eonu, który teraz dobiega końca. Dwa tysiące lat temu, kiedy zaczynała się nowa era, dziewica bogini była czczona w całym świecie. Rzymianie nazywali ją Dianą Efeską: jej grecka świątynia w Efezie, Artemizjon, była jednym z siedmiu cudów świata. Słynny posąg bogini, której oddawaniu czci tak gorąco sprzeciwiał się święty Paweł, nazywając ową cześć bałwochwalstwem, wciąż stoi na swoim dawnym miejscu, w dawnych sukniach rzeźbionych w zwierzęta i w ptaki, a także

w te jej profetyczne pszczoły. To ta sama bogini, tyle że w nowym wcieleniu, razem ze swoim synem, „rybakiem dusz ludzkich”, tworzy oś eonu kończącego się teraz: epoki *Pisces*, Ryb. Konstelacja leżąca naprzeciw *Pisces* w zwierzyńcu niebieskim to Panna, dziewica.

– Czy Jezus i Panna Maria tworzą duet dlatego, że te dwa gwiazdozbiory leżą naprzeciw siebie, po dwóch stronach zodiaku? – spytałam zaintrygowana jak zawsze wtedy, kiedy ktoś inny wpadał na rozwiązanie, które mnie samej nie przychodziło do głowy. Powiedziałabym, że Wolfgang był równie zaintrygowany.

– Dwanaście konstelacji zodiaku ma w rzeczywistości bardzo zmienne rozmiary – zauważył Dacian. – Astrologowie po prostu podzielili niebo na dwanaście równych części, jak tort, i każdej z tych części dali nazwę gwiazdozbioru, jej „władcę”. Z powodu przechyłu Ziemi na jej osi co każdy, dwa tysiące lat

I liczący eon, podczas wiosennej i jesiennej równonocy, owych * dwóch dni każdego roku, kiedy dzień i noc trwają tak samo długo – wschód słońca zdaje się przemieszczać z jednego z tych „kawałków tortu” na niebie do drugiego, posuwając się wstecz przez znaki zodiaku. To znaczy, z każdym nowym wiekiem słońce pojawia się w znaku poprzedzającym ten, w którym poruszało się normalnym kursem w ciągu zwykłego roku. Dlatego kolejność eonów jest nazywana precesją równonocy.

W minionym dwutysiącletnim cyklu, podczas wiosennej i jesiennej równonocy, widzieliśmy słońce wschodzące na tle podwójnych konstelacji wspólnie rządzących tą erą: Ryb w czasie równonocy wiosennej i Panny podczas jesiennej. W tym sensie charakter ery jest określony charakterem jej władców. Można to nazwać mitologią niebiańską.

Wydaje się wielce interesujące – ciągnął Dacian – że legendy wszystkich ludów tak bardzo odpowiadają prototypowym obrazom związanym z każdym nowym eonem. Era Bliźniąt, na przykład, była historycznym okresem głośnym z legend o bliźniętach: Romulus i Remus, Kastor i Polluks.

Następna, era Byka, była symbolicznie reprezentowana przez egipskiego boga byka Apisa, złotego cielca spalonego przez Mojżesza i byka, który wynurzył się z morza na Krecie i który był ojcem Minotaura. Era Barana jest łączona ze złotym runem poszukiwanym przez argonautów Jazona, z „Dwurogim” Aleksandrem Wielkim i z późniejszymi egipskimi misteriami. No i pamiętajmy o Jezusie, Baranku, który był głównym sworzniem przejścia z ery Barana do tej, która się właśnie kończy, do ery Ryb.

Z kolei erę Ryb przenikały rybnie symbole: Król Rybak, który strzeże świętego Graala poszukiwanego przez rycerzy króla Artura. Chociaż Graal, święty kielich – naczynie – może być właściwszym symbolem nadchodzącej nowej epoki.

Przecieliśmy otwarty plac z fantastyczną barokową fontanną rozpryskującą wodę na wszystkie strony. Wiedziałam, że zbliżamy się do Ringu.

–A co powiesz o erze Wodnika? – spytałam Daciana.

–Zawsze uważano, że ma przypominać czasy biblijnego potopu – odpowiedział. – Choć oczywiście nie dosłownie; nie będzie to potop, którego doświadczył Noe z Księgi Rodzaju, kiedy to ziemia zniknęła pod wodą zesłaną z niebios jako kara za ludzkie grzechy. Ta era będzie czasem niespodziewanych, gwałtownych wstrząsów w tkance całego społecznego ładu. Płyn, który wylewa Wodnik, jest rozumiany jako gigantyczne tsunami wyzwolenia: wody ziemi podniosą się, tryskając źródłami wolności uwolnionej z pęt wszelkiej tyranii – przynajmniej dla poszukujących takiego wyzwolenia. Chyba nie przez przypadek Uran, planetarny władca nadchodzącej ery, został odkryty u zarania rewolucji francuskiej.

Zgodnie ze starożytnymi wierzeniami, nasza nadchodząca era rozpocznie się od niekontrolowanych wylewów wód. Ci, którzy zbudowali tamy, aby je powstrzymać, którzy wzniesli mury, aby oprzeć się zmianom, którzy nie chcą się do nich nagiąć, nie chcą ich zaakceptować, którzy marzą o cofnięciu wskazówek zegara, o powrocie do złotej, nigdy nie istniejącej epoki – sami zostaną zniszczeni przez to tsunami transformacji. Przeżyją jedynie ci, którzy nauczą się tańczyć na falach.

– „Płyn z prądem” – powiedziałam, uśmiechając się. – Ale z całej masy książek i pieśni, i sztuk o erze Wodnika, napisanych za pokolenia mojej matki, wynikało, iż będzie to czas miłości i pokoju, czas „panowania kwiatów”... dobrze mówię? To, co ty opisujesz, brzmi raczej jak prawdziwa rewolucja.

– Rewolucja także zatacza koło – zauważył Dacian. – Ale idee, o których wspomniałaś, to fantazje bardziej dekadentkie

niż najbardziej przesłodzone cukierki: ich sens i wartość w ogóle nie odpowiadają nowej erze. W rzeczywistości to po prostu utopijne pomysły, niezwykle niebezpieczne w obecnych okolicznościach. Pamiętaj, że utopia, *ou topos*, tłumaczy się jako „miejsce, którego nie ma”. I tak naprawdę każdy „złoty wiek” każdej legendy istnieje jedynie w utopii.

– Jak to się dzieje, że marzenia o lepszym świecie to niebezpieczna materia? – spytałam.

– Nie jest niebezpieczna, dopóki się marzy o lepszym świecie dla wszystkich, nie dla jednostki. I jeśli ten świat ma być prawdziwym światem, a nie zaledwie marzeniem – odparł Dacian. – Nasz bieżący rok od utopijnych ideałów Jeana Jacques'a Rousseau zapoczątkowujących rewolucję francuską, o której przed chwilą mówiliśmy, dzieli dwa stulecia. Wschód słońca podczas równonocy wiosennej w tamtym czasie był w odległości pięciu stopni od stożka precesji – punktu na zodiakalnej

I obręczy wyznaczającego wstąpienie słońca w znak Wodnika – wystarczająco blisko, by czuło się powiew nowej ery. Mimo to po piętnastu latach przelewania krwi monarchia francuska została odrestaurowana, a po niej nastąpiły kolejne dekady wstrząsów i przewrotów politycznych.

Następnie w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, roku dojścia do władzy Hitlera, byliśmy zaledwie o jeden stopień od nowej ery. A co do chwili obecnej, jesteśmy o jedną dziesiątą stopnia od stożka ery Wodnika: ta era już następuje.

– Mówisz, że Napoleon i Hitler są związani z nowym eonem? – zdziwiłam się. – Obaj z pewnością nie pasują do obrazu utopijnych idealistów.

– Czyżby? – Dacian podniósł brew. – Przecież obaj nimi byli.

– Chwileczkę! – zaprotestowałam. – Tylko nie mów mi, proszę, że podziwiałeś tych dwóch dżentelmenów!

– Mówię ci jedynie – powiedział Dacian z namysłem – jak bardzo niebezpieczny może być idealizm, niechby tylko w sferze duchowości, kiedy się go hoduje w niewłaściwej cieplarni. Idealiści, którym się marzy stworzenie wyższej cywilizacji, prawie zawsze zaczynają od ulepszania kultur i społeczeństw. A kończą? Kończą nieodmiennie na tym samym: na próbach oddzielenia ziarna od plew – poprzez genetykę, eugenikę, czy co tam jeszcze – w celu stworzenia lepszej rasy ludzkiej.

Z tak ważkimi słowami stanęliśmy przed Hofburgiem. Wolfgang kupił bilety i weszliśmy do *Schatzkammer**.

Przeszliśmy przez sale wielkich szklanych gablot zastawionych klejnotami koronnymi, cesarskimi regaliami, szatami i relikwiarzami łącznie z ośmioboczną, wysadzaną drogimi kamieniami tysiącletnią koroną Świętego Cesarstwa Rzymskiego, ozdobioną figurą króla Salomona, łącznie z koroną Habsburgów, łącznie z jabłkiem cesarskim z napisem *AEIOU* – *Austriae est imperare orbi universo*: „Austria dzierży władzę nad całym światem” – i innymi, skromniejszymi błyskotkami rodziny cesarskiej. W końcu znaleźliśmy się w ostatniej komnacie, gdzie wystawiano miecze ceremonialne i całą resztę broni paradnej.

To tam, na kawałku czerwonego aksamitu wewnątrz małej gabloty stojącej pod ścianą, obok innych przedmiotów prawdopodobnie większej wartości i wzbudzających większe zainteresowanie, leżał mały przedmiot: włócznia, taka sama, jak mi ją opisywał Laf, taka sama, jak ją zapamiętał z tamtej wizyty w dzieciństwie prawie osiemdziesiąt lat temu – grot z byle jak wytrawionego żelaza i drzewca, związane razem czymś, co wyglądało jak katgut. I cienka mosiężna tuleja pośrodku drzewca.

– Nie wygląda na coś szczególnego, prawda? – odezwał się Dacian, stając obok mnie.

Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w szklaną gablotę. Wolfgang, stojący z mojej drugiej strony, powiedział:

–A jednak przypuszcza się, że jest to słynna włócznia Longinusa. Na jej temat napisano wiele książek. Podobno właśnie nią Gajusz Kasjusz Longinus, centurion rzymski, przekłuł bok Chrystusa. Podobno pod mosiężnym kołnierzem jest jeden z gwoździ usuniętych z ciała Ukrzyżowanego. Mówi się także, że miecz Karola Wielkiego wystawiony w sąsiedniej gablocie, uważany za miecz Attyli, jest tym samym, którym dwa tysiące lat temu w ogrodzie Getsemani posłużył się święty Piotr.

–Kompletny nonsens – skrzywił się Dacian. – Ten tutaj miecz jest średniowieczną szablą, a nie jakimś dawnym hebrajskim czy rzymskim orężem. A ta włócznia przed nami to jedynie replika. I nie o niej, lecz o pierwowzorze pisano książki. Była obiektem pożądania wielu ludzi, łącznie z Adolfem Hitlerem,

* Z niem. „skarbiec”.

ponieważ przypisywano jej tajemnicze moce. Mówiono, że kiedy Hitler zabrał prawdziwą włócznię Longinusa do Norymbergi, razem z podobnymi skarbami, zrobił repliki każdego przedmiotu – i to właśnie owe repliki oglądamy dzisiaj. Od tamtego czasu każdy, żądny władzy czy sławy, szukał tych prawdziwych, łącznie z Windsorami podczas ich długiej banicji i z amerykańskim generałem George'em Pattonem, który interesował się historią starożytną i gdy pod koniec wojny pojawił się w Norymberdze, gotów był ją przewrócić do góry nogami, byleby tylko zdobyć jakiś stary, historyczny przedmiot. Ale to, co było autentyczne, przepadło bez śladu.

– Chyba nie wierzysz w te wszystkie historie o życiu Hitlera po wojnie i przechowywaniu przez niego świętych świętości? – spytał Daciana Wolfgang.

– Jak widzisz, moja droga – Dacian zwrócił się do mnie z uśmiechem – oto jedna opowieść goni drugą, a w każdym razie

I krąży ich wiele. Niektóre mają bardzo długi żywot, o wiele dłuższy niż ich bohaterowie, ci, którzy w ciągu wieków byli związani z tymi obiektami, począwszy od Hitlera, a skończywszy na Jezusie Chrystusie. Ponieważ religie i mechanizmy polityki – a przyznaję, że jedno i drugie często są dla mnie nie do odróżnienia – w dużej mierze opierają się na takich opowieściach, ja odmawiam komentarza. Uważam ten temat za nieważny i nieinteresujący. Natomiast interesujące jest to, dlaczego osobnicy tacy jak Hitler czy Patton w ogóle pożądali tych tak zwanych świętości. Ale na to pytanie może dać odpowiedź tylko jedna osoba.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wiesz, gdzie się znajdują święte świętości? – spytał Wolfgang.

Naturalnie ja też byłam ciekawa odpowiedzi, ale Dacian nie wpadł w zastawione sidła.

– Na ogół bywa tak – powiedział spokojnie – że ważniejsza jest pogoń za celem niż sam cel.

– Lecz jeśli w sprawie, o której mówimy, świętości nie są sednem rzeczy – powiedział Wolfgang, wyraźnie nie usatysfakcjonowany – to co nim jest?

Dacian zachmurzył się i potrząsnął głową.

– Nie co – powtórzył za Wolfgangiem. – Nie kto, nie jak, nie gdzie, nie kiedy, lecz dlaczego: oto właściwe pytanie. Ale po

nieważ wyglądacie na takich, którzy lubią się trzymać faktów, podzielę się z wami tym, co sam wiem. W gruncie rzeczy już wcześniej postanowiłem, że tak zrobię, jak tylko wyjdziemy ze skarbcza. – Podparł mi palcem podbródek. – W chwili, kiedy dowiedziałem się od Wolfganga, co prawdopodobnie taszczysz ze sobą, zadzwoniłem z kawiarni i zarezerwowałem dla nas na Josefplatz, zaledwie parę kroków stąd, pewne miejsce. Od trzeciej do czwartej. Myślę, że godzina nam wystarczy, raczej musi wystarczyć, bo o czwartej to miejsce zamykają. I myślę też, że nasz przyjaciel Wolfgang nie będzie rozczarowany, że historia, którą wam opowiem, nie będzie się składać z samych niepodważalnych faktów, że będą w niej różne dalsze plany, trochę nie sprawdzonych pogłosek i kilka moich własnych domysłów. A opowiem dlatego, że tak czy inaczej oboje rozporządzacie tymi niebezpiecznymi papierami...

–Rozporządzamy oboje! Dobrze sobie! – Zatkanęło mnie; zacisnęłam palce na torbie. Wolfganga chyba też zatkanęło.

–Moja droga, bądźże rozsądna – mitygował mnie Dacian. Takich rzeczy nie wwozi się do Związku Sowieckiego. Tamtejsi celnicy konfiskują wszystko, czego nie da się zidentyfikować, łącznie z biletami z parkometrów. Takich rzeczy nie rozrzuca się po ulicach Wiednia. Z kolei ja jutro opuszczam Austrię, więc też się nimi nie zajmę. Dlatego radzę – rozwiążmy problem w sposób jedyny, jaki mi z braku czasu przychodzi do głowy ukryjmy tę twoją bombę w miejscu, gdzie prawdopodobnie nikt jej szybko nie znajdzie: między cymeliami Austriackiej Biblioteki Narodowej.

Österreichische Nationalbibliothek, zbudowana w 1730 roku, jest jedną z najbardziej imponujących bibliotek w świecie nie z powodu rozmiarów czy majestatu, lecz z powodu niezmiernie bajecznej urody i egzotycznej natury jej kolekcji rzadkich książek, od spuścizny Zenona z Elei do dzieł Awicenny, kolekcji, która pod względem znaczenia plasuje się zaraz za zbiorami watykańskimi.

Jako dziecko bywałam tutaj nieczęsto, mimo to zachowałam w żywej pamięci napuszoną barokową architekturę i zadziwiające pastelowe iluzjonistyczne malowidła na ogromnej kopule wznoszącej się nad długą na prawie osiemdziesiąt metrów, najpiękniejszą salą biblioteczną świata. Rzecz nie mniej ważna – najcudniejsza niespodzianka, jaka może spotkać małe dziecko – szafy biblioteczne, wyobraźcie sobie, były drzwiami obłożonymi książkami z obu stron, a za tymi drzwiami kryły się sekretne sale z rzędami książek wokół ścian, z dużym stołem i z krzesłami, i z wielkimi oknami wychodzącymi na dziedziniec, sale, w których można się było odizolować od świata i spokojnie pracować. I właśnie jedną z takich sal Dacian zarezerwował dla nas.

– To dobry pomysł – zapewnił mnie Wolfgang, kiedy wpuszczono nas do niej. – Sam w tak krótkim czasie nigdy bym na coś takiego nie wpadł.

Kiedy przemyślałam całą sprawę, zgodziłam się, że – choć do pewnego stopnia ryzykowny – był to całkiem niezły sposób na zabezpieczenie manuskryptów; jedno rzucenie okiem na tablicę informacyjną przy wejściu powiedziało mi wyraźnie, że biblioteczne zbiory książek, foliów, rękopisów, map, periodyków i inkunabułów liczą razem około czterech milionów pozycji. Nawet gdyby ktoś się dowiedział, że są tu ukryte, to ile by czasu potrzebował, aby je odnaleźć? No, ile? Nie

mówiąc o tym, że tutejsze zbiory były niedostępne dla człowieka z ulicy.

Wypełnienie rewersów dziesiątkami tytułów zajęło nam dziesięć minut. Następnie wręczyliśmy te rewersy bibliotekarzom i czekaliśmy na przyniesienie książek. Kiedy zostaliśmy sami, na dobry początek wyciągnęłam z torby parę kartek mojego spadku i wsunęłam je w książki stojące na półkach w naszej sali. A także wymyśliłam dalsze zabezpieczenie. Mianowicie zaproponowałam, by po całej robocie podrzeć wszystkie rewersy i nie zostawić sobie żadnego spisu książek.

– No dobrze, a jak potem odnajdziemy to, co schowaliśmy? sprzeciwił się Wolfgang. – Przerzucenie tysięcy książek w poszukiwaniu tysiąca ukrytych między nimi luźnych kartek zajmie lata tysiącom ludzi.

– Na to właśnie liczę – powiedziałam.

Nie uznałam za stosowne wykluwać Wolfgangowi oczu moją fotograficzną pamięcią, niemniej byłam pewna, że listę pięciuset pozycji – autorów i tytuły książek, w których ukryliśmy manuskrypty – mogę mieć w głowie przez jakieś trzy miesiące. Po trzech miesiącach, gdybym jakimś zrządzeniem losu nie

zdążyła wrócić po swój skarb, najnormalniej w świecie spiszę sobie tę listę, dla odświeżenia pamięci i... ponownie ją zniszczę. Martwiłam się czym innym. Otóż Dacian zapowiedział jeszcze w skarbcu, że lada moment wraca do Paryża, tak więc nasza sesja w bibliotece prawdopodobnie była ostatnią na niewiadomo jak długo, a ja musiałam się jeszcze sporo od niego dowiedzieć. Tymczasem chodziłam tam i z powrotem, żułam gumę, myślałam o Dacianie, no i oczywiście cały czas notowałam w pamięci kolejne tytuły i kolejnych autorów książek. W końcu przysunęłam sobie krzesło do jego krzesła, pod okno. Wolfgang zajął stanowisko przy drzwiach i odbierał od bibliotekarzy nowe dostawy książek, a także miał oko na to, czy nikt nas nie podsłuchuje. Ja, wtykając którąś z kolei kartkę któregoś z manuskryptów w któryś z kolei tom, kiwnęłam na Daciana, aby mówił dalej.

– Spróbuję zadowolić was oboje – zaczął – spróbuję powiedzieć o trzynastu świętościach, które interesują Wolfganga, i o znaczeniu dokumentów Pandory, które dostały się w ręce Ariel. Odpowiedź na obie kwestie prowadzi do odległej części świata, rzadko dzisiaj odwiedzanej, a zatem niezbyt znanej i rozumianej. Kiedyś był to region o bogatej i ciekawej kulturze, ale teraz jego przeszłość pokrywa gruby pył stuleci. Na przestrzeni dziejów był najeżdżany i podbijany raz za razem, a jego granice nawet teraz są kwestionowane. Ale jak niektórzy przekonali się na własnej skórze, ta ziemia jest tak nieprzyjazna obcym i tajemnicza, że zamieszkujący ją naród, na podobieństwo dzikiej pantery, nigdy nie zostanie ujarzmiony. Dacian urwał i odwrócił się, aby popatrzeć na mnie swymi ciemnymi purpurowozielonymi oczami. Po chwili podjął wątek: Mówię o tym miejscu, bo jak rozumiem, podczas podróży do Rosji będzie ono leżało w sferze waszych dociekań. Zatem szczęśliwie się składa, że spotykamy się właśnie dzisiaj. Szczęśliwie, bo jestem jednym z niewielu, którzy mogą opowiedzieć o jego historii i, co ważniejsze, o głębszych pokładach tej historii: ja się tam urodziłem, prawie sto lat temu.

– Urodziłeś się w Azji Środkowej? – spytałam zaskoczona.

– Tak. A sanskryt był pierwotnym językiem tego skrawka globu, co ma istotne znaczenie.

Pozwólcie, że przedstawię wam wyraźniejszy obraz mojej ojczyzny.

Dacian wyjął ze swojej torby cienki zwitek skóry przewiązany zamszowym rzemykiem. Rozsupłał rzemyk, przesunął zwitek w moją stronę, ale skóra wyglądała na tak kruchą, że zachnęłam się z lęku, by mi się nie rozsypała przy pierwszym dotknięciu. Wtedy Dacian sam rozłożył ją na stole. Zaciekawiony Wolfgang opuścił swój posterunek przy drzwiach i przysiadł się do nas.

Mieliśmy przed sobą starą mapę, starannie wykreśloną i ręcznie cieniowaną, tyle że bez jakichkolwiek podziałów administracyjnych i podpisów. Ale ponieważ przez cały ranek dane mi było studiować mapę przedstawiającą mniej więcej ten sam teren, więc teraz bez trudu odgadywałam, że wielkie zbiorniki wodne w głębi lądu to Jezioro Aralskie i Morze Kaspijskie, że główne rzeki to Amu-daria i Indus, a łańcuchy górskie to Hindukusz, Pamir i Himalaje. Linie kropkowane prawdopodobnie wyznaczały główne szlaki komunikacyjne. Małe kółeczka I zaznaczały góry; rozpoznałam kilka z nich, między innymi Mount Everest, lecz inne kółka, bez sztucznie wykreślonych granic, do których tak bardzo nas przyzwyczajono, były trudne do zidentyfikowania. Dacian, przewidując to, rozwinął kawałek przezroczystej tkaniny, z naniesionymi obecnymi granicami państw, i nałożył go na mapę.

– Przez stulecia żyło tutaj tak wiele narodów, że z wolna zacierała się ludzka świadomość rzeczy najistotniejszych wyjaśnił. – Te nierozpoznawalne przez was kółka na mapie to miejsca legendarne, miejsca pełne magii, która się nie poddaje żadnym zmianom politycznym. Na przykład tutaj.

Wskazał na długi wąski strączek Afganistanu, wsuwający się między górskie regiony rosyjskiego Tadżykistanu i Pakistanu i sięgający zachodniej granicy Chin.

– To nie przez przypadek – powiedział Dacian – pierwsze poważne wstrząsy etniczne i polityczne, zapowiadające nasze wkroczenie w nowy eon, miały nastąpić w tym specyficznym zakątku świata. Od starożytnych czasów to właśnie tu, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi, przenikały się nawzajem cywilizacje Wschodu, Zachodu, Północy i Południa i to właśnie dlatego zbliżająca się ku nam nowa era odbija się w tym zakątku jak w lustrze.

– Czegoś tu nie rozumiem – wtrącił Wolfgang. – Podobno nowa era ma być falą kruszącą wszelkie mury i mieszającą kultury. Nie rozumiem więc jej związku z tą częścią świata. W końcu wojna w Afganistanie, rozpętana przez Rosjan, dotyczy zaledwie jednej kultury jednego narodu i chociaż krwawa, niewiele znaczy.

– Nie tak znowu niewiele. I tak czy inaczej, punkt zwrotny został osiągnięty – odparł Dacian. – Być może myślisz, że to zwykłym zbiegiem okoliczności dopiero teraz, w lutym, Sowieci wycofali się z tej niefortunnej wojny, w dziesięć lat po inwazji? Wycofanie nastąpiło w momencie, kiedy wschód słońca podczas równonocy wiosennej, jak to już opisywałem, od wejścia w konstelację Wodnika dzieliła zaledwie jedna dziesiąta stopnia dokładnie jedenaście lat i jedenaście miesięcy przed oficjalnym świtem nowego eonu, spodziewanego w 2001 roku.

– Zgadzam się z Wolfgangiem. – Upchnęłam kolejną kartkę do kolejnej książki. – Nie wygląda na to, by wojsko, które maszeruje do domu po niepomyślnej wojnie, miało być siłą napędową nowego dwutysięcznego cyklu. Wycofanie się Rosjan z Afganistanu było zwykłym politycznym posunięciem,

pilnowaniem własnych interesów.

– Powiedzmy, tyle że żadne z was nie zadało właściwego pytania: dlaczego byli tam właśnie Sowieci? – zauważył Dacian. – No cóż, odpowiedź jest prosta. Dlatego, że tak jak Hitler pięćdziesiąt lat temu, tak teraz oni szukali świętego miasta.

Oboje z Wolfgangiem zastygliśmy w bezruchu i wlepiliśmy oczy w Daciana. Ten postukał palcami po mapie, jakby się nad czymś namyślając, a następnie obdarzył nas enigmatycznym uśmiechem.

– Ten rejon świata słynie z dawno zaginionych legendarnych miast – podjął. – Niektóre z nich faktycznie istniały, niektóre były jedynie wytworem ludzkiej fantazji lub mitów. Choćby takie Szangtu, stolica mongolskiego chana Kubilaja, opisane przez Marco Polo, czy mityczna himalajska Utopia, Szangri-la, która, jak głosi legenda, pojawia się w każdym milenium. Z kolei w baśniach azjatyckich, opowiadanych od Kaszmiru przez Tybet aż po chiński Sinciang, a zebranych przez żyjącego na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia rosyjskiego mistyka i archeologa Mikołaja Roericha, w najdalej na zachód wysuniętej chińskiej prowincji Sinciang-Ujgur miała istnieć legendarna Szambhala, wschodnia wersja Atlantydy. Powiada się, że to cudowne miasto zostało kiedyś pochłonięte przez ziemię, lecz że może podnieść się raz jeszcze, i to całkiem prędko, aby uczestniczyć w narodzinach nowego eonu.

Dacian przesuwiał palcem po mapie na ślepo, z zamkniętymi oczami. Trafiał dokładnie tam, gdzie powinien. I mimo zamkniętych oczu zdawał się widzieć każde dotykane miejsce. I mimo początkowych zastrzeżeń, że nie wszystko, co powie, będzie odpowiadało prawdzie, w głębi duszy zdawał się wierzyć w te historie. Byłam zafascynowana. A czas mijał. Przez zwykły rozsądek należało wrócić do przerwanej zajęcia.

– To tu, w Nepalu – mówił dalej Dacian – od tysięcy lat buddyści wierzą, że pod Kanczendzongą jest zagrzebane zaginione miasto Agharti. Kanczendzongą to trzecia, pod względem wysokości, góra świata, a jej imię tłumaczy się jako „pięć świętych skarbów śniegu”. Dalej, południowe stoki drugiej góry świata, K2 – leżącej w spornej strefie, między Chinami, Indiami

i Pakistanem – strzegą innych tajemniczych skarbów i świętych manuskryptów. Legendarny okultysta Aleister Crowley, który pierwszy pokusił się o wejście na tę górę, w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, wybrał się tam właśnie po nie. A najbardziej tajemnicza góra w tym rejonie świata to Pik Komunizmu, góra w tadżyckim Pamirze. Ze swoimi siedmioma tysiącami i prawie pięciuset metrami jest najwyższą górą w Związku Sowieckim. Wyznawcy zoroastryzmu w Persji postrzegali ją jako główną oś potężnej siatki łączącej święte punkty Europy i Morza Śródziemnego ze świętymi punktami na Bliskim Wschodzie i w Azji – jako przekaźnik, który, w co wielu wierzy, może zostać pobudzony do działania tylko w stosownych okolicznościach, powiedzmy takich, jakie zaistnieją wraz z początkiem nowego eonu.

Ale najbardziej interesującym ze wszystkich świętych miejsc było miasto założone przez Aleksandra Wielkiego około trzystu trzydziestu lat przed naszą erą, w pobliżu dzisiejszej granicy rosyjsko-afgańskiej. Według legendy to czarodziejskie i tajemnicze miasto było ostatnim z siedmiu baśniowych miast Salomona.

– Króla Salomona? – spytał jakimś dziwnym tonem Wolfgang. – Czy to możliwe? – Wstał, szepnął coś bibliotekarzowi w sali przylegającej do naszej, zamknął wyłożone książkami drzwi i na powrót usiadł koło mnie.

Upychałam zawzięcie dokumenty Pandory do kolejnych wolumenów, z nisko pochyloną głową, tak by nikt nie mógł zobaczyć mojej twarzy. Wiedziałam, że imię Salomona w ustach Daciana nie jest czymś przypadkowym, podobnie jak liczne aluzje Sama: węzeł Salomona na lusterku w moim samochodzie, anagramy i telefoniczne napomknienia odsyłające mnie do *Pieśni nad Pieśniami*. Mnóstwo danych, lecz czemu miały służyć i co znaczyły? Czułam się jak reaktor tuż po osiągnięciu masy krytycznej. Siedziałam tam, próbując wyciągnąć moje pręty regulacyjne i skupić się na powiązaniach. Odsunęłam stertę „przerobionych” książek do Wolfganga, a on przysunął mi następną.

– Ta część świata przez niewielu jest kojarzona z Salomonem – przyznał Dacian. – A przecież cały łańcuch górski między doliną Indusu a Afganistanem, prosto na południe od

miejsca, gdzie rzekomo miało znajdować się ukryte miasto, jest nazwany od jego imienia: Góry Sulejmańskie. To tam, w kraterze wygasłego wulkanu, stoi tron Salomona – *tacht-i-Sulejman* – uważany przez starożytnych za jeszcze jedną oś łączącą niebo z ziemią.

Prawdziwa historia Salomona często miesza się z fikcją. Według przekazów, król Salomon był magiem panującym nad wodą, ziemią, wiatrem i ogniem; że rozumiał język zwierząt i zatrudnił mrówki i pszczoły do budowy świątyni w Jerozolimie; że gołębie i duchy wyznaczyły miejsce pod jego magiczne miasto słońca w Azji Środkowej, miasto poszukiwane przez Aleksandra Wielkiego przez wiele lat i w wielu krajach; że aby się pochwalić zbudowanymi przez siebie miastami, zabrał na przejażdżkę latającym dywanem Balkis, królową Saby, a kiedy ta obejrzała się na swój kraj, kazał posłusznym sobie dżinnom wydrążyć dziurę w szczycie mijanej góry i ustawić tam tron, dla I wygody królowej. Prawdziwy Tacht-i-Sulejman został zarejestrowany przez ekspedycję badającą ten region w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku. Na tym samym miejscu odnotowano także perską świątynię ognia z czasów Aleksandra Wielkiego, a musicie wiedzieć, że kult ognia odgrywa ważną rolę w naszej opowieści. Aleksander Wielki i król Salomon, jeden i drugi należący po części do historii, a po części do legendy, są powiązani ze sobą w różny sposób, także w hinduizmie, buddyzmie, tybetańskim tantryzmie, nestorianizmie, a nawet w świętej księdze islamu, Koranie.

– Król Salomon i Aleksander Wielki są wymieniani w Koranie? – spytałam wielce zdziwiona.

– W samej rzeczy – oznajmił Dacian. – Jedna ze świętości tak intrygujących Wolfganga jest opisana w Koranie: magiczny, świecący zielony kamień, który podobno spadł z nieba miliony lat temu. Król Salomon, nowicjusz w sekretach perskiej magii, kazał oprawić jego odłamek w pierścień, który nosił zawsze, aż do śmierci. Później Aleksander Wielki poszukiwał tego kamienia, aby za jego pomocą osiąść władzę nad niebem i ziemią.

Robiłam to, co do mnie należało. Ledwo co odziedziczonym spadkiem wzbogacałam i tak drogocenne zbiory austriackiej biblioteki. Dacian też robił to, co do niego należało. Opowiadał nam swoją historię.

KAMIENÍ

Urodził się o północy, w samym środku kanikuły roku trzysta pięćdziesiątego szóstego przed naszą erą, w macedońskiej Pełli. Nadano mu imię Aleksander.

Przed jego narodzinami księgi sybillińskie przepowiedziały krwawą masakrę w Azji, dokonaną przez tego, który właśnie miał nadejść. Powiadano, że kiedy dziecko wydało pierwszy krzyk, świątynia Artemidy w Efezie stanęła w płomieniach i doszczętnie się wypaliła. Magowie Zaratustry, którzy byli świadkami tego nieszczęścia, jak relacjonuje Plutarch, uderzyli w płacz i bili się po twarzach, przepowiadając upadek rozległego imperium perskiego, który rozpoczął się właśnie w tej godzinie.

Matka Aleksandra, Olimpias, księżniczka Epiru, była kapłanką orfickich misteriów życia i śmierci. Jego ojca, Filipa Macedońskiego, poznała jako trzynastoletnia dziewczyna, na Samotrace, podczas obrzędu wtajemniczenia w mroczniejsze od orfickich misteria dionizyjskie, które odbywały się w miesiącach zimowych. Do czasu małżeństwa z Filipem, pięć lat później, Olimpias była także jedną z bachantek, czcicielek Dionizosa, boga wina, w jego trackiej ojczyźnie nazywanych *bassańdes*, z powodu lisich skór, w które (skąpo) się przyodziewały podczas orgiastycznych nocnych tańców na wzgórzach, pijane mocnym winem i rozpalone namiętnością i pożądaniem. Wprowadzone przez Dionizosa w stan ekstazy, *bassańdes* chwyciły dzikie zwierzęta gołymi rękami i rozrywały je zębami. Wówczas zwano je menadami, czyli szalonymi.

Olimpias podobno dzieliła łożę z proroczym wężem, potężnym pytonem – a był to zwyczaj, który przerażał jej męża do tego stopnia, że opóźniało się poczęcie dziecka. Ale w końcu wyrocznia powiedziała Filipowi, że powinien odwrócić oczy w chwili kopulowania żony ze świętym gadem, bowiem w ten sposób dopuści do mistycznego wydarzenia: z otwartej piorunem Zeusa macicy Olimpias buchnie płomień, płomień będzie zwiastunem dziecka, a dziecko pewnego dnia podpali Wschód. Wyrocznia powiedziała, że ich małżeństwo powinno być dopełnione przez nich samych. Powiedziała też, że ich dziecko zjednoczy cztery strony świata i przebudzi ukrytego w głębi ziemi potężnego smoka, przynosząc świt nowej ery.

Aleksander był jasnowłosy i różanolicy. Przystojny, o boskich kształtach, jednym oku niebieskozielonym, a drugim ciemnobrązowym. Miał melancholijne spojrzenie, z jego ust płynął cudowny zapach, a z ducha – gwałtowność i zapalczliwość. Arystoteles, nauczyciel i wychowawca młodego księcia, wprowadził go między innymi w świat filozofii, metafizyki i tajemnic perskich magów. Wiedza i mądrość młodzieńca szybko przerosły granice jego wieku. Znajomość misteriów zawdzięczał matce. Był nieprześcignionym biegaczem, doskonałym jeźdźcem, utalentowanym wojownikiem. Był uwielbiany w całym królestwie ojca.

Jednak kiedy skończył osiemnaście lat, jego życie się odmieniło. Ojciec rozszedł się z matką, skazał ją na wygnanie i ożenił się z młodą Macedonką, Kleopatrą. Kiedy ta szybko postarała się o konkurencyjnego dziedzica tronu, Olimpias wpadła w niepohamowany gniew i za pomocą magii, klątw i podstępów I zabiła Filipa rękoma jednego z jego kochanków. Aleksander miał dwadzieścia lat, kiedy po śmierci ojca został królem Macedonii.

I kiedy z miejsca ruszył do ataku. Najpierw wcielił do Macedonii jej sąsiadów – Ilirię i Trację. Następnie podpalił zbuntowane Teby w centralnej Grecji i zniewolił Tebańczyków. Na egejskim

wybrzeżu Azji Mniejszej przez sto pięćdziesiąt lat z górą greckie miasta ugięły się pod perskim – jarzmem. Aleksander pokonał Persów i przywrócił poprzednim greckim koloniom demokrację, a niektóre z nich obdarzył autonomią. Jego początkowa misja, mająca na celu przełamanie perskiej dominacji nad Wschodem i Zachodem, szybko przekształciła się w chęć panowania nad całym światem. Jego ostatnią misją miało być wejście w związek z boskimi fluidami – Aleksander miał się stać żyjącym na ziemi bogiem.

Armie Aleksandra wkroczyły do Azji przez Frygię – i podeszły do miasta Gordion. W ósmym wieku przed naszą erą, czterysta lat przed Aleksandrem, wyrocznia przepowiedziała Frygijczykom, że nadejdzie taki dzień, kiedy zjawi się przed nimi prawdziwy król ich narodu, a rozpoznają go po tym, że kiedy wkroczy w miejskie mury, na jego wozie będzie siedział kruk. Pewnego razu drogą ze wschodu szedł pastuch Gordios. Kiedy zjawił się w pierwszym frygijskim mieście, przepowiedziany kruk przysiadł na jarzmie jego wołu, a wówczas radosny tłum zaprowadził go wprost do świątyni i obdarzył królewską koroną. Wkrótce się okazało, że nikt nie potrafi rozwiązać zaplątanego węzła z dereniowego łyka, łączącego jarzmo z dyszlem wozu Gordiosa. Przepowiednia głosiła, że ten, kto ów węzeł rozwiąże, zapanuje nad całą Azją. Cztery wieki później Aleksander wyjął z pochwy miecz i po prostu przeciął węzeł gordyjski.

Gordios ożenił się z prorokinią bogini Kybele – imię oznaczające grootę, a także sześcian – Wielkiej Macierzy, bogini wszelkiego stworzenia od czasów epoki lodowcowej. Miejscem narodzin Kybele była góra Ida na wybrzeżu egejskim, ta sama, z której bogowie obserwowali przebieg wojny trojańskiej, lecz jej główna świątynia znajdowała się w Pessinus, niedaleko Gordion, gdzie bogini była czczona pod postacią czarnego kamienia, odłamka meteorytu. Sto dwadzieścia lat po śmierci Aleksandra ten czarny kamień, uważany za tarczę chroniącą przed Hannibalem i jego wojskami podczas wojen kartagińskich, został przewieziony do Rzymu i osadzony na Palatynie, gdzie, jako symbol władzy Frygijczyków, przetrwał republikę.

Gordios i jego żona prorokini adoptowali syna Kybele, pół człowieka, pół boga, chłopca o imieniu Midas, ponieważ, tak jak sama bogini, urodził się na górze Ida. Midas został kolejnym królem Frygii. Któregoś dnia sylen, wymknąwszy się potajemnie z orszaku boga Dionizosa, pojawił się na dworze Midasa i opowiedział mu cudowną historię o mitycznej krainie Hyperborejczyków, leżącej „pod Boreaszem”, wiatrem północnym, związanej z Gwiazdą Polarną i osią świata. Dionizos, w zamian za zwrot sylena, obiecał Midasowi spełnić każde jego życzenie. Wówczas Midas poprosił, by wszystko, czego dotknie, zamieniało się w złoto. I tak się stało. Jeszcze dzisiaj Paktol, rzeka, w której się niegdyś kąpał, spływa złotem.

W trzysta trzydziestym trzecim roku przed naszą erą, po przecięciu węzła gordyjskiego, Aleksander odwiedził grób króla Midasa, następnie świątynię Kybele, aby zobaczyć czarny kamień, i na koniec świątynię boskiego patrona królów frygijskich, Dionizosa. Odświeżywszy się wodami ze źródeł i studni wschodnich bóstw, kontynuował podbój Wschodu: Syrii, Egiptu, Mezopotamii, Persji, Azji Środkowej i Indii.

mieście zbudowanym na skalnej baszcie wznoszącej się na wysokość dwóch tysięcy metrów, które, jak wierzą, było filarem podtrzymującym niebo, tak wysokim, że nie miały się go pociski miotane z katapult. Aleksander wybrał trzystu żołnierzy pochodzących z górskich okolic Macedonii i zaprawionych w skalnych wspinaczkach. Żołnierze wspięli się po skale jedynie za pomocą rąk, stanęli na murach miasta i zaatakowali strzałami oblężonych obrońców.

Gdzieś w pobliżu tego miejsca, na Kaukazie, Aleksander zbudował długi mur, aby zamknąć górskie przełęcze przed Gogiem i Magogiem, sprzymierzeńcami indyjskiego króla Porosa, również wspomnianymi w Koranie. To także w tych okolicach, a na fundamentach siedmiu miast króla Salomona, wzniesiono święte miasto Aleksandra. Legenda powiada, że święty kamień Salomona zakopano w ziemi w charakterze kamienia węgielnego i że to on umożliwia miastu ponowne powstawanie o brzasku każdego nowego eonu.

Kiedy region świata na wschód od dzisiejszej Amu-darii został spacyfikowany, z Nysy, doliny po drugiej stronie Hindukuszu, przybyła do Aleksandra grupka szlachetnych mężów. Aleksander wciąż jeszcze był w zbroi, jeszcze nie zdążył obmyć się z kurzu, lecz szlachetni posłańcy, ledwo na niego spojrzawszy, oniemieli i przypadli ze strachu do ziemi; rozpoznali w nim bowiem te same boskie cechy, które już wcześniej wprawiły w zdumienie egipskich kapłanów, a także perskich magów. Następnie zaprosili Aleksandra i jego ludzi, by odwiedzili ich ojczyznę, miejsce – w ich przekonaniu – narodzin „boga Nysa” – Dionizosa, tego samego, który był najważniejszym bogiem Macedonii.

Powiadają, że odwiedziny Aleksandra w Nysie były punktem zwrotnym jego krótkiego, lecz pełnego sławy życia. Dotarcie do tej zielonej doliny rozciągającej się między górkami łańcuchami było niczym wejście do zagubionego w kosmosie i baśniowego królestwa. Dolina nie tylko szczyciła się wprost niespotykanymi winnicami i mocnym winem, ulubionym napojem Aleksandra, ale także była jedynym miejscem w tej części świata, gdzie rósł poświęcony bóstwu bluszcz.

Wino to symbol podróży w świat zewnętrzny, symbol poszukiwania. Bluszcz to podróż do wewnątrz, to labirynt. Aleksander i jego wojska, jak zwykle gotowi wnieść toast najważniejszego boga swej ojczyzny, opłeli bluszczem czoła i pili, i zabawiali się wesoło, i tańczyli po okolicznych pagórkach, czcząc ten nowy podbój, podbój Indii – bo przecież legendy głosiły, że bóg Dionizos we własnej osobie pierwszy przekroczył Indus, siedząc okrakiem na grzbiecie swojej ziejącej wyziewami puszczy pantery.

Aleksander zmarł w Babilonie, w wieku trzydziestu trzech lat. Jego kariera, zgodnie z przepowiednią wyroczni, była krótka. Niemniej w trzynastu latach i podczas wielu wypraw zdołał podbić większość ziem znanego wówczas świata. Ale zdobyte ciężkim żołnierskim trudem rozległe imperium rozpadło się zaraz po jego śmierci, a według historyków, jedyne, co po nim zostało, to złota legenda. Tyle że w tym wypadku historycy się mylą. Podczas trzynastu lat rządów Aleksander osiągnął wszystkie swoje cele: połączył Wschód z Zachodem, ducha z materią, filozofię z liniami genetycznymi. W każdej podbitej stolicy jego macedońsko-grecka starszyzna wojskowa musiała wstępować w związki małżeńskie z miejscowymi szlachetnie urodzonymi kobietami; on sam wziął kilka żon z perskich rodów.

Wiadomo także, że Aleksander został wprowadzony we wschodnie tajemne misteria. W Egipcie

arcykapłani ZeusaJowisza-Ammona rozpoznali w nim wcielenie tamtego boga i dali mu przydomek Dwurożnego, od rogów barana, który na wszystkich trzech kontynentach był łączony z Marsem, planetą wojny, i ze współczesną erą *Ariesa*, Barana. Daleko na północy, w krainach Scytów – w Azji Środkowej, części świata, o której właśnie mówimy – był znany pod nazwą występującą w Koranie, *Dhul Karnain*: dwurogi bóg. Ten termin oznacza również władcę dwóch stron świata lub dwóch epok – czyli tego, którego rządy przypadają na okres przejściowy między dwoma eonami.

– Matka Aleksandra, Olimpias – kończył Dacian – powiedziała mu, że urodził się z nasienia potężnego węża, siły kosmicznej. Ambicje, którymi go karmiła w dzieciństwie, przerodziły się w nim w nieugaszone pragnienie dominowania nad całym światem. To dlatego budował święte miasta w każdym „newralgicznym punkcie” siatki ziemskiej energii. Sądził, że

naszpikowanie takimi miastami całego kręgosłupa planety, na podobieństwo wbijania gwoździ w drzewo, pozwoli mu zaprząć do swego zwycięskiego rydwanu smocze siły ziemi – i że ten, kto posiada święty kamień nowego wieku i umieści go w samym środku siatki, wprawi w ostatni obrót koło eonu i zapanuje nad całym światem. Aleksander traktował ową sprawę na tyle poważnie, że przed rozpoczęciem każdej kampanii zatrzymywał wojska, aby dokładnie przyjrzeć się terenowi i wybrać odpowiednie miejsca pod przyszłe miasto, a także, przygotowując się na śmierć, upierał się, by samemu nazwać każde z tych miast. A było ich siedemdziesiąt.

– Siedemdziesiąt? – zdziwił się Wolfgang, podnosząc wzrok znad książki, w którą wkładał kolejną kartkę.

– Przyznasz, że to interesująca liczba – zgodził się Dacian. – Razem z poprzednimi siedmioma miastami króla Salomona, na siatce powstaje siedemdziesiąt siedem punktów, zdecydowanie

I magiczna liczba.

Nie byłabym sobą, gdybym natychmiast nie skojarzyła owych siedemdziesięciu siedmiu miast Aleksandra i Salomona z grupą siedemdziesięciu siedmiu neutralnych państw, o których się dowiedziałam w czasie porannego briefingu. Tymczasem nadszedł koniec pracy i opowieści, bo oto uchylły się drzwi i pokazała się w nich głowa bibliotekarza. Zamykano bibliotekę. Dacian zwinął skórzaną mapę i włożył ją do swojej torby, a Wolfgang ułożył w porządku stos wypchane manuskryptami książki i skierował się z nimi ku drzwiom.

– Nawet jeśli faktycznie istniała ta jakaś twoja siatka, sprzęgająca czy ujarzmiająca tajemnicze energie ziemi, jaki mógłby być pożytek z jej kontrolowania? – spytałam Daciana.

– Moja droga, pamiętaj, że król Salomon był postrzegany jako pan czterech stron świata i władca czterech żywiołów odparł. – Czyli że posiadał moce właściwe istotom nieśmiertelnej. A Aleksander Wielki był pierwszym człowiekiem Zachodu, którego nazwano bogiem jeszcze za jego życia.

– Nie wierzysz, że są bogowie, którzy przychodzą na ziemię pod ludzką postacią? – spytałam. – Uwielbiam te stare mity, niemniej teraz jest koniec dwudziestego wieku.

– Czyli odpowiedni moment na ich przyście – podsumował Dacian.

Drzwi biblioteki zamknęły się za nami. Wyszliśmy na ulicę ogarniętą wczesnym zmierzchem. Dacian, stojąc w złotym kręgu światła latarni, która właśnie zapaliła się nad naszymi głowami, sprawiał wrażenie krańcowo wyczerpanego – choć jego twarz była równie przystojna jak parę godzin wcześniej.

– Na razie musimy się rozstać; jestem zmęczony – powiedział. – Ale przy dobrej woli bogów, o których mówiliśmy, jeszcze się z wami zobaczę. I chociaż moja historia ledwo zadrasnęła powierzchnię tego, co powinniście wiedzieć, to przynajmniej jest to zadrażnienie, do którego możecie przyłożyć oko jak do dziurki od klucza. Co do manuskryptów Pandory, powiem tyle: nie skupiłem się na nich, bo same w sobie są niewiele warte. A poza tym nie wystarczy ich przeczytać; należy je także zrozumieć. A żeby zrozumieć, trzeba mieć otwarty umysł... i coś ponadto.

– Coś ponadto? Czyżby umiejętność zadawania właściwych pytań? – powtórzyłam jego wcześniejszą kwestię. – Ale przedtem, w Hofburgu, powiedziałaś nam, że jesteś jedyną osobą, która potrafi wytłumaczyć, dlaczego wszyscy pożądamy tych rękopisów, a także tych świętych przedmiotów, i że tylko ty potrafisz odpowiedzieć na pytanie, co jest w nich niebezpiecznego. No więc... dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Powiedziałem, że tylko jedna osoba może odpowiedzieć na te pytania, a nie że ja nią jestem – uściślił Dacian. – Powiedziałem także, że kluczem do tej tajemnicy jest sanskryt. I że dawna świątynia ognia zbudowana na miejscu tronu Salomona, w Afganistanie, także ma znaczenie. To te dwie rzeczy, sanskryt i ta świątynia, są związane z tym, co nazwałem „czymś ponadto”. Najlepiej opisuje to sanskryt, słowem *salubha*, co oznacza „droga ćmy” – pędzenie do ognia, pędzenie na oślep ku zagładzie, tak jak salamandra. Tańczenie w górę strumienia jak łosoś. Posiadanie mocy, którą rozporządza sól.

– Sól? – powtórzyłam jak echo.

– No cóż, sól była najcenniejszym towarem w starożytnym świecie – ciągnął niestrudzenie Dacian. – Rzymianie płacili solą swoim legionom: słowo *salarium*, wywodzące się od słowa *sol*, czyli sól, oznaczało żołnierski żołd. Najstarszą celtycką osadą w Austrii, jedną z najwcześniejszych i najbogatszych w Europie, było Hallstatt, położone wysoko w górach Salzkammergut, czyli w „hrabstwie żup solnych” – całkiem blisko miejsca przyjscia na świat naszego przyjaciela Szczęściarza, tego samego miejsca, gdzie pomieszkiwał, doszedłszy do władzy. Jego nazwa ujawnia źródło bogactwa: jak niemiecka *Salz* i staroniemiecka *Halle*, *hal* to celtycka nazwa soli.

Zadrzałam. Przypomniały mi się słowa Szczęściarza skierowane do Daciana, te z opowieści Lafa: że przesłanie do potomnych, zapisane pismem runicznym dawnego ludu, zostanie odnalezione „tu, nad rzeką, albo tam wysoko, w Salzkammergut”... W porządku – tylko jak je odnaleźć? Wiedziałałam o słonych jeziorach i słonych źródłach wysoko w austriackich Alpach, i o tajemniczych, krystalicznych podziemnych korytarzach kopalń soli tyle samo, co o grocie Merlina – a teraz o tamtych siedemdziesięciu siedmiu baśniowych miastach.

– Chcesz powiedzieć, że Hitler, budując swój dom w Obersalzburgu, próbował dobrać się do jakiejś mocy, czegoś w rodzaju ukrytych miast Aleksandra Wielkiego i króla Salomona? –

drażylałam. – Ale co to było?

– Wszystkie te rzeczy – powiedział Dacian – Salomon, salamandra, nawet samo miasto Salzburg, mają w nazwie wspólny rdzeń. *Sal, salz, sau, sault* – to wszystko pochodzi od łacińskiego słowa *saltatio*, które oznacza taniec, pląsy, podskakiwanie...

– Obawiam się, że niewiele rozumiem – westchnęłam.

– Święty składnik, o który cały czas mi chodzi, to nic innego jak *sal sapientiae*, sól mądrości – wyjaśniał cierpliwie Dacian. – Zażyj jej trochę, a natchnie cię intuicją, z której słynął król Salomon, da ci tańczący umysł, wypełniony iskrzącą energią. *Sal sapientiae* to łosoś płynący pod prąd, w górę strumienia... to impuls wiary.

„Głos miłego mego!”, odpowiedziało mi echo Salomonowej *Pieśni nad Pieśniami*, „oto on idzie, skacząc po górach, a poskakując po pagórkach”.

Dacian stanął ze mną twarzą w twarz i uroczystym gestem położył mi dłonie na ramionach. Wyglądało to na ceremoniał dekorowania odznaką dębowych liści czy na przekazywanie pierwotnemu dziecku rodzinnej tradycji. Następnie spojrzał ponad moim ramieniem nad Wolfganga i uśmiechnął się zagadkowo.

– Moja droga, pozostaje ci tylko jedno... nauczyć się tańczyć! – Tyle zdążyłam usłyszeć, nim pochłonęły go cienie nadchodzącej nocy.

– Wybacz – odezwał się Wolfgang, kiedy zostaliśmy sami ale ten mężczyzna tak mnie zahipnotyzował, że aż zapomniałem ci o czymś powiedzieć. Kiedy wy jedliście lunch, ja wróciłem do biura. Był tam faks do ciebie, ze Stanów. Mam nadzieję, że to nic pilnego. – Sięgnął do kieszeni i wręczył mi złożony kawałek papieru. Rozłożyłam go w żółtym świetle ulicznej latarni.

Pierwsza faza naszego projektu zdecydowanie dobiegła końca, a druga, dotycząca archiwum, jest w toku. Proszę o wskazówki co do dalszego sposobu wymiany korespondencji. Nasz zespół może być osiągalny pod powyższym numerem, począwszy od jutra.

Pani oddany R.F. Burton, Quality Assurance

Sir Richard Francis Burton, nieustrudzony badacz i orientalista, był w dzieciństwie jednym z moich ulubionych autorów. Przeczytałam wszystko, co napisał czy przetłumaczył, łącznie z szesnastotomowym wydaniem *Tysiąca i jednej nocy*. Wia – i domość, oczywiście, pochodziła od Sama. Chociaż tu, pod wiedeńską uliczną latarnią, ze sterczącym obok Wolfgangiem, trudno mi było skupić się na jej treści, to i tak ta treść mówiła sama za siebie.

Faza pierwsza, która „zdecydowanie dobiegła końca”, miała znaczyć, że Sam spotkał się ze swoim dziadkiem, Posępnym Niedźwiedziem, w rezerwacie Nez Perce w Lapwai i dowiedział się czegoś ważnego o swoim ojcu Earneście – inaczej, mimo mego przyzwolenia, nie komunikowałby się ze mną aż tak otwarcie. Co do fazy drugiej: Sam doskonale wiedział, co robi, podpisując wiadomość nazwiskiem sir Richarda Burtona. Na dodatkę do wielu książek, które Burton napisał o swoich podróżach do egzotycznych miejsc, takich jak Medyna, Mekka i źródła Nilu, napisał także jedną o

pielgrzymce do Miasta Świętych – Świętych Dnia Ostatniego, oczywiście.

Tak więc dowiedziałam się z faksu, że jutro o tej porze Sam będzie sprawdzał resztę naszej rodzinnej historii na innym słynnym zasolonym łądzie, amerykańskiej wersji Salzburga: w Salt Lake City w stanie Utah.

WINNICA

Wychodząc naprzeciw prorocctwu wyroczni bogini [Kybele], Dionizos nauczył się od węża właściwego korzystania z winogron. Po czym wymyślił pierwszą z pierwszych metodę robienia wina.

Karoly Kerenyi, *Dionysos*

Jam jest ona winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest ci wimarzem.

Jezus z Nazaretu, Ewangelia świętego Jana 15,1

Tedy rzekł Bóg... Łuk mój położyłem na obłoku, który będzie na znak przymierza między mną i między ziemią... I wspomnę na przymierze moje... i me będzie więcej wody na potop, ku wytraceniu wszelkiego ciała... Tedy Noe począł uprawiać ziemię, i nasadził winnicę. Potem pił wino.

przymierze między Bogiem a Noem, Księga Rodzaju 9,12-21

Rano wstaniemy do winnic; oglądamy, jeśli kwitnie winna macica, jeśli się zawiązują gronka, kwitną jabłka granatowe; tam ci oświadczę miłości moje.

Pieśń nad Pieśniami 7,12

tl už było po zmierzchu, kiedy Wolfgang i ja znaleźliśmy się za miastem, na drodze wzdłuż Dunaju. Głęboki fiolet nieba złociły pierwsze gwiazdy, a za nami, znad Wiednia, sunęła w górę żółta misa księżycyca.

Nie rozmawialiśmy wiele. Ja, choć byłam kompletnie wypompowana, nie potrafiłam zamknąć oczu choćby na moment. Wkrótce światła miasta zniknęły, a rzeka łagodnym łukiem skręcała na zachód, ku Wachau, krainie wina. Prowadzony przez Wolfganga samochód zdawał się unosić w powietrzu, tak samo jak Wolfgang na nartach na górskim stoku. Przyglądałam się rozległej, błyszczącej wstędze wody z jednej strony drogi, a z drugiej wtopionym w noc pagórkom i wioskom o domach przycupniętych jeden obok drugiego jak domki hobbitów.

Po godzinie takiej jazdy skręciliśmy w boczną drogę, prowadzącą pod górę, do uroczego, otoczonego murami Kremisu, z jego interesującą kolekcją bielonych kamieniczek, których mieszanina stylów – renesansu, gotyku, baroku, romańskiego – wyraźnie wydobywała jasna księżycowa poświata. Przejechaliśmy przez miasto i Hoher Markt, minęliśmy rząd okazałych rezydencji i muzeów, ale ku mojemu zdziwieniu Wolfgang skręcił w kolejną wąską krętą drogę, która pięła się coraz wyżej, w okolicę gęsto usianą winnicami.

Księżyc był już wysoko, zalewając światłem okoliczne wzgórza. Popatrzyłam na profil mojego

współtowarzysza podróży, co chwila wydobywany z mroku nikłym zielonym blaskiem mijanych świateł.

– Zdawało mi się, że przede wszystkim mieliśmy wpaść do twojego biura, aby przejrzeć jutrzejszy rozkład dnia – zauważyłam.

– To prawda, tylko że moje biuro mieści się w moim domu – wyjaśnił Wolfgang, nie odwracając oczu od drogi. – To niedaleko, jeszcze tylko kilka kilometrów. Będziemy tam lada moment.

Droga zwęziła się jeszcze bardziej i chyba z brukowanej przeszła w polną, podczas gdy my wciąż wspinaliśmy się na strome wzgórze, coraz bardziej oddalając się od rzeki i przycupniętych nad nią przysiółków. Minęliśmy maleńką, krytą strzechą lepiankę, wbudowaną w stok obok drogi, jedną z tych, gdzie podczas zbioru winogron przechowuje się kosze i narzędzia i gdzie można znaleźć schronienie przed nagłym ulewnym deszczem, tak typowym dla tutejszych górzystych okolic. Ta lepianka była ostatnim dowodem na istnienie cywilizowanego świata – poza, oczywiście, równymi szpalerami winnych krzewów.

Kiedy znaleźliśmy się na szczycie wzgórza, winnice nagle się *ł* urwały, a droga skończyła się ślepo przy mostku spinającym brzegi szerokiego strumienia. Chmura przesłoniła na sekundę księżyc i jedyne, co mogłam zobaczyć, to nikły zarys poszarpanego i bardzo wysokiego kamiennego muru – prawdopodobnie otaczającego górskie pastwisko – wyrastającego tuż za mostkiem.

Wolfgang zatrzymał samochód tuż przed mostkiem i wysiadł. Pomyślałam, że chyba powinnam zrobić to samo, gdy nagle na zewnątrz buchnęły światła reflektorów, zalewając krajobraz złotym światłem niczym podczas nocnego przedstawienia na świeżym powietrzu. Wybałuszyłam oczy w grozie niedowierzania na widok, jakiego dostarczała mi przednia szyba samochodu.

To, co wzięłam za wysoki mur pastwiska, było zwieńczonym blankami wałem obronnym starego austriackiego *Burgu*, kamiennej fortecy, a to, co wzięłam za strumień, było w rzeczywistości fosą do połowy wypełnioną wodą, podchodzącą aż pod omszałe granitowe mury. W wale obronnym znajdowały się wysokie drewniane wrota. Były otwarte, więc zobaczyłam to, co znajdowało się za wałem: szeroki, porośnięty trawą dziedziniec, stary dąb rozpinający konary nad połacią trawnika, a za nim okrągłą masywną bryłę prawdziwego średniowiecznego zamku.

Wolfgang wrócił do samochodu bez słowa, włączył pierwszy

bieg i powoli przejechał przez most zwodzony i przez otwarte wrota. Zaparkował na trawie pod dębem, tuż obok starego kamiennego muru. Wyłączył silnik i popatrzył na mnie, powiedziałabym, z pewną nieśmiałością.

– To coś ma być twoim domem? – spytałam zdumiona.

– Mój dom jest moją twierdzą. Tak to się u was mówi? – spytał. – Tylko że to, co mnie przypadło w udziale, było całkiem sympatyczną stertą skał i kamieni, które prawie tysiąc lat temu faktycznie miały kształt zamku, właśnie w tym miejscu, właśnie nad czymś, co w przyszłości miało stać się miasteczkiem, nad dzisiejszym Kremsem. Straciłem dziesięć lat i większość mojego wolnego czasu, a także, przyznaję, większość przychodów, na wynajdywaniu znających się na rzeczy fachowców i

ekspertów, którzy pomagali mi w odbudowie. Z wyjątkiem tych kilku zapaleńców... i Bettiny, która uważa mnie za szaleńca porywającego się z motyką na słońce, ty jesteś jedyną osobą, którą tu przywiozłem. Powiedz, proszę, podoba ci się?

– Twój dom jest nieprawdopodobny! Jest fantastyczny!

Wysiadłam z samochodu. Wolfgang dołączył do mnie, kiedy

szłam wokół dziedzińca, przyglądając się uważnie każdemu detalowi budowli. Takie ruiny zamków zdobiły prawie każde wzgórze w całych Niemczech i Austrii; były tak urocze i położone w tak widokowych miejscach, że niejednokrotnie zastanawiałam się, dlaczego nikt nie dba o ich odbudowę. Tym bardziej doceniłam wysiłek, jaki niewątpliwie włożono w odbudowę Wolfgangowego zamczyska. Nawet kamienie wałów obronnych były najwyraźniej ciosane, kładzione i wiązane zaprawą wyłącznie ludzką ręką. Kiedy Wolfgang otworzył drzwi zamku, przepuścił mnie przodem, a następnie zapalił światła, zdumiałam się jeszcze bardziej.

Staliśmy na łupkowej podłodze wielkiej, okrągłej wieży; sufit zdawał się wisieć nad nami jakieś sześćdziesiąt stóp wyżej, zwieńczony kopułą świetlika, w którym nocne niebo odbijało się jak w lusterkach kalejdoskopu. Kamienne ściany też świeciły gwiazdami, tyle że nie były to gwiazdy, a lampy wbudowane w ustronne nisze. Dalej, niby abstrakcyjna rzeźba, od podłogi aż po wierzchołek wieży wznosiło się metalowe rusztowanie podtrzymujące konstrukcje o różnych kształtach; przypominało domki nadrzewne, choć nie zbudowano ich na drzewach, tylko

„przyklepiono” do kamiennych murów. Każdy „domek” miał ściany z ręcznie polerowanego drewna w ciepłych, stonowanych odcieniach. I w każdym część jednej ze ścian była prześwietlona pleksiglasowym oknem, sięgającym od podłogi do sufitu, wychodzącym na centralną otwartą przestrzeń i zachodzącym na sufit, aby wewnątrz domku oświetlało światło słoneczne. Zabrało mi dobrą chwilę, nim się zorientowałam, że do tych „domków” wchodzi się podwieszonymi, kręconymi drewnianymi schodami, które biegnęły wokół ścian wieży. Całość absolutnie zapierała dech w piersi.

– Ależ twoja wieża przypomina mi podziemne miasta z opowieści Daciana – powiedziałam. – Albo magiczne pieczary ukryte w głębi góry.

– To prawda, tylko że w dzień zalewa ją niebiańskie światło – dodał Wolfgang. – Jak widzisz, w tych podrasowanych na średniowieczne okiennych otworach, machikułach i prześwitach zainstalowałem szkło i dodałem wszędzie świetliki. Jutro przy śniadaniu zaleje nas słońce...

– To zostajemy tu na noc? – spytałam, starając się nie okazać podniecenia, spowodowanego takim obrotem sprawy.

– Jesteś zanadto zmęczona, aby wracać wieczorem do stryja Lafcadia, tak jak planowałaś – uznał. – A poza tym stąd jest bardzo blisko do klasztoru w Melku...

– Świetnie – przerwałam. – Pod warunkiem że nie sprawi ci to kłopotu.

– Absolutnie. Wszystko przebiega zgodnie z planem. To znaczy z moim. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Kolację zjemy w małej przytulnej gospodzie tuż poniżej zamku, na skraju winnicy.

Widać z niej Dunaj. Ale najpierw chciałbym ci pokazać resztę mojego królestwa... to znaczy, jeśli sobie życzysz.

– Z przyjemnością – rzekłam. – Coś takiego widzę po raz pierwszy.

Łupkowa podłoga na parterze wieży miała średnicę długości około czterdziestu pięciu stóp. Środkowa przestrzeń najwyraźniej była jadalnią, z niskim dębowym stołem i z miękko wyściełanymi krzesłami. Za stołem, naprzeciw wejścia, przy którym wciąż staliśmy, za całymi jardami otwartych półek zastawionych przeróżnym szkłem, naczyniami i przyprawami, znajdowała się kuchnia, z solidną drewnianą ladą i z wielkim

staroświeckim piecem z kamiennym kominem wbudowanym w zewnętrzny mur, piecem takim, jakiego można się spodziewać jedynie w starych zamkach. Tuż obok nas znajdowały się schody. Prowadziły na pierwsze piętro, do biblioteki.

Biblioteka, trochę większa niż wyżej usytuowane komnaty, miała kształt wachlarza, i podobnie jak pozostałe konstrukcje była podtrzymywana przez rusztowanie i przytwierdzona do zewnętrznego muru. Prawie całą kamienną ścianę zajmował wielki kominek z już przygotowanym stosem drewna i szczapami do podpałki. Wolfgang ukląkł na jedno kolano, otworzył szyber i długą słomką podpalił szczapy.

Przed kominkiem stała sofa z delikatnej skóry z całym mnóstwem poduszek i stolik do kawy w kształcie bumerangu, zarzucony ciężkimi tomami książek. Na podłodze leżały grube tureckie dywany w wyblakłych kolorach. I chociaż nie było tu żadnej szafy czy półek na książki, wielkie biedermeierowskie biurko wprost się ugięło pod stosem papierów, przyborów do pisania, a same książki piętrzyły się na stołach, krzesłach nawet na podłodze – jak pokój długi i szeroki.

Na kolejnym zakręcie schodów, na drugim piętrze, był pokój, który Wolfgang przeznaczył dla mnie, z wielkim wygodnym łóżkiem, z ozdobną szafą, z sofą i sąsiadującą z nim łazienką. Dwa pokoje powyżej mogły mieć różne przeznaczenie. Mogły służyć do spania, pracy i odpoczynku, ale sądząc z obfitości | różnych papierów, segregatorów, komputera i innego wyposażenia typowego dla biura w jednym z nich, służył on Wolfgangowi wyłącznie do pracy. Za to każdy pokój miał wycięte w murze wysokie, wąskie otwory, oszklone i z widokiem na szeroki, zielony dziedziniec.

Najwyższe piętro, tuż pod świetlikiem, zajmował apartament Wolfganga, który podobnie jak mój pokój pysznił się obszerną prywatną łazienką. Ale pod innymi względami był jedyny w swoim rodzaju. Zawieszony prawie pięćdziesiąt stóp nad łupkową podłogą parteru, wił się wokół murów wieży szeroką na jakieś dwanaście stóp wstęgą, z otwartą przestrzenią w środku, opatrzoną ochronną drewnianą balustradą, która niewątpliwie wyszła spod ręki nie byle jakiego mistrza stolarskiego. Wieczorem, tak jak teraz, dochodziło tu migotliwe światło lamp osadzonych w niszach na parterze, a także łaW»!»*, U . i.

– .MMBlAMflnHM

godne światła przenikające przez szklane ściany pokoi położonych niżej, które zdawały się unosić pod nami w powietrzu, jakby podtrzymywane przez chmury.

Obeszliśmy wszystko wokół, więc wszystkiemu mogłam dobrze się przyjrzeć. Po jednej stronie, na podwyższeniu, stało łóżko, po drugiej były szafy i garderoba, a pośrodku – olbrzymi mosiężny teleskop mierzący prosto w niebo.

Kamienny mur wieży wyrzusał się na zewnątrz w połowie wysokości, ozdobiony koronkami machikułów – tych wysuniętych ganków powszechnie stosowanych w wieżyczkach średniowiecznych fortyfikacji, z których oblężeni mogli spuszczać deszcz ciężkich kamieni na oblegających. Machikuły Wolfganga były zaopatrzone w okna, które otwierały się do wewnątrz i w razie potrzeby mogły być zamykane jak okiennice.

Apartament Wolfganga był o wiele wyższy niż inne pomieszczenia, a jego sufit stanowiły grube belki krzyżujące się pod kopułą świetlików. Jak Wolfgang zauważył, za dnia wielki * przeszklony dach dostarczał dodatkowego światła całej wieży. Teraz gwiazdny szyk wieczornego nieba rozkładał się wachlarzem jak olbrzymia czasza światła, przez którą przeświecał cały usiany gwiazdami kosmos. To było naprawdę fantastyczne miejsce.

– Czasami, kiedy tu jestem – odezwał się Wolfgang – kiedy leżę nocą w łóżku, próbuję wyobrazić sobie, co czuł Odyseusz... zagubiony i tułający się przez te wszystkie lata, mając za towarzystwo jedynie ciszę rozległej przestrzeni i zimną, zatwardziałą obojętność gwiazd.

– Ale w miejscu takim jak to – zauważyłam – jeśli wokół panuje cisza, można chyba usłyszeć śpiew konstelacji: muzykę nieba.

– Jeśli o mnie chodzi, wolę muzykę ludzkich głosów – oznajmił Wolfgang.

Ujął moją dłoń i poprowadził mnie przez pokój. W ścianie wychodzącej na dziedziniec i dalej, na winnicę, otworzył jedno z okien, aby wpuścić do środka świeże, chłodne powietrze, którym oddychała płynąca w dole rzeka. Następnie wyłączył zewnętrzne światła, od chwili naszego przyjazdu iluminujące wały i cały zamek. Staliśmy obok siebie i spoglądaliśmy na rozlewające się po łagodnych wzgórzach światła ludzkich

siedzib, na podwójną serpentynę światełek znaczących bieg Dunaju. I na okrągłe odbicie księżyca, rozpadające się w falach rzeki na dziesiątki srebrnych wstążek i rozświetlające jej głęboką ciemną toń. A ja, wtopiona dziwnym zrzędzeniem losu w to magiczne miejsce, po raz pierwszy od wielu tygodni poczułam, że czasami da się żyć na stopie pokojowej, jeśli nie z całym światem, to przynajmniej z samą sobą.

Wolfgang, nie mówiąc ani słowa, obrócił się do mnie. Położył mi dłonie na ramionach. Na tle wieczornej czerwonej poświaty jego oczy załamywały światło jak przezroczyste kryształy akwamaryny. Między nami powoli zaczęła narastać fala przypiływu; już szumiała mi w uszach, już się bałam, że ogarnie mnie cała. To Wolfgang ją powstrzymał, mówiąc:

– Wiesz, że kiedy patrzę na ciebie, czasami mam ochotę odwrócić wzrok? Jesteś zadziwiająco taka sama jak ona, a to może okazać się zgubne.

Jaka ona? To znaczy kto? Tymczasem on mówił dalej:

– Mój ojciec zabrał mnie, abym ją zobaczył, kiedy byłem małym chłopcem. – Jego dłonie wciąż spoczywały na moich ramionach, ale oczy patrzyły w dół, na rzekę, a on sam wyglądał jak ktoś, kto śni na jawie. – Pamiętam, że śpiewała *Das himmmlische Leben* Mahlera. Potem, kiedy poszliśmy za kulisy, bym mógł podarować jej małe bukietki kwiatów, popatrzyła na mnie tamtymi oczami – powiedział dziwnym, zduszonym głosem. – Twoimi oczami. Kiedy pierwszy raz na ciebie spojrzałem, tam, w Idaho, choć byłaś opatulona jak niedźwiedź polarny, to one, te twoje oczy, z miejsca przykuły moje.

Do świętego gówna! Czy coś takiego mogło się zdarzyć? Czyżby mężczyzna, który był moją ostatnią obsesją, kochał się w mojej babce? Wziąwszy pod uwagę wszystko, przez co właśnie przeszedłem, nie pozostawało mi nic innego jak wystrzelić się przez otwarty machikuł na podobieństwo średniowiecznej kuli armatniej.

Na domiar złego czułam, jak moja durna, nijak nie dająca się okiełznać irlandzko-cygańska krew po raz któryś zdradziecko zalewa mi policzki. Odwróciłam się gwałtownie od Wolfganga, otrząsając z ramion jego dłonie.

– Powiedziałem coś nie tak? – spytał zdziwiony i nim zdążył

złamać się w garść, odwrócił mnie z powrotem do siebie i popatrzył na mnie poważnie. Z zakłopotaniem. – To nie jest tak, jak myślisz. Przecież byłem wtedy małym chłopcem. I czy mogłem przeczuwać, jaką nagrodę zgotuje mi los, kiedy zamienię się w dojrzałego mężczyznę? – Przeczesał palcami włosy i dodał udreńczonym głosem: – Ariel, ja chyba nigdy nie potrafię wytłumaczyć się przed tobą. Bo gdybym potrafił...

Ale w tym momencie wziął w żelazny uścisk moje ramiona, a ja syknęłam. Czułam, jak z bólu wykrzywia mi się twarz.

– Co ci się stało? – spytał niespokojnie, zwalniając uścisk.

– Ostrożnie dotknęłam ramienia i uśmiechnęłam się przez łzy.

– Wielki Boże! Chyba już nie masz tamtych szwów?

– No cóż. Byłam umówiona z lekarzem na wczoraj rano. Tylko że wczoraj rano odlatywał nasz samolot.

– Trzeba mi to było powiedzieć wcześniej, w Wiedniu. Coś by się przecież zaradziło. – Potrząsnął głową. – Szwy to szwy i trzeba je usunąć. Możliwe, że same się rozpuszczą, ale jak nie, może wdać się jakaś infekcja albo coś gorszego. Do wyjazdu do Rosji pozostało nam strasznie mało czasu i strasznie dużo do zrobienia. Może zajmę się nimi sam? Od razu?

– Ty? – popatrzyłam na niego z prawdziwym przerażeniem.

– Ja. Szkoda tylko, że nie widzisz własnej twarzy – zaśmiał się. – Mam tu wszystko, co potrzeba, środki dezynfekujące i maść, i szycyki, i nożyce. To naprawdę prosta operacja. Pracowałem w szpitalu przy szkole z internatem, a chłopcom zawsze zakłada się szwy, no a potem zdejmuję. Zapewniam cię, że robiłem coś takiego setki razy. Pozwól tylko, że zacznę od przyniesienia z

samochodu naszych rzeczy. – Otworzył drzwi najbliższej szafy i wyciągnął z niej gruby, miękki szlafrok. Proszę, to dla ciebie. Masz się przebrać, zejść na dół i poczekać na mnie w bibliotece, już powinno tam być ciepło. Z biblioteki bliżej do kuchni, no i tam jest najjaśniej.

Wolfgang odszedł, a ja, szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czego spodziewałam się po tym wieczorze – ale „Zakochałem się w twojej babce”, a następnie „Szwy to szwy i trzeba je usunąć” nie zmierzało dokładnie w tym kierunku, jaki ewentualnie mógłby mi przyjść na myśl.

Z drugiej strony, pozbycie się swędzenia i pulsującego, przez cały tydzień nękającego mnie bólu nie byłoby takie złe. Poza

tym, samo usuwanie szwów mogłoby mi dostarczyć okazji do zrozumienia następującego fenomenu: dlaczego mężczyzna, który mnie tak pociąga, zdaje się mieć więcej osobistych powiązań z każdym członkiem mojej rodziny niż ze mną. Przynajmniej na razie.

Poszłam do łazienki Wolfganga, zdjęłam lekką wełnianą sukienkę i obejrzałam w lustrze sinawą bliznę, która biegła od łokcia do ramienia, utkana pajęczyną czternastu czarnych szwów. Miałam spuchnięte powieki i czerwony koniuszek nosa od tych zupełnie niespodziewanych łez. Byłam wrakiem. Życiowym rozbitkiem. Wzięłam szczotkę z drewnianą rączką, przeciągnęłam nią kilka razy po włosach, obmyłam twarz wodą, narzuciłam na siebie puszysty szlafrok i zeszłam na dół.

W bibliotece rzeczywiście było ciepło, płonące drwa trzeszczały wesoło, a w powietrzu unosił się aromat sosnowych szyszek. Podeszłam do biedermeierowskiego biurka i postukałam palcami w stertę książek. Zauważyłam, że jedna wyglądała na rzadki i stary egzemplarz. Miała złote zdobienia i piękne okładki z delikatnej skóry, o odcieniu niemal identycznym ze skórzanym obiciem stojącej w pobliżu sofy. I miała skórzaną zakładkę. Wyciągnęłam książkę z całej sterty i otworzyłam ją.

Na pierwszej stronie widniał iluminowany tytuł:

Legenda aurea

Złota legenda: Żywoty świętych

Jacopo da Voragine

A.D. 1260

No cóż. *Złota legenda* nie skąpiła makabrycznych pozłacanych obrazków mężczyzn i kobiet w różnych stadiach tortur czy krzyżowania. Przewróciłam strony do miejsca, w którym znajdowała się zakładka: numer 146, święty Hieronim. Zdziwiłam się, przeczytawszy, że jego łacińskie imię brzmiało: Hieronymus, jak imię mężczyzny, którego aż do dzisiaj uważałam za ojca mego ojca.

Oprócz sławy, którą zdobył dzięki łacińskiemu przekładowi Biblii tysiąc sześćset lat temu, za panowania cesarza Teodozjusza, święty Hieronim – podobnie jak Androkles, jego poprzednik ze słynnej rzymskiej przypowieści – wyleczył łapę rannemu

lwu. To zdawało się bić na alarm w związku z czymś, co Dacian powiedział parę godzin wcześniej. Ale w tej chwili nie miałam czasu na dokładne prześledzenie sprawy.

Właśnie wrócił Wolfgang, niosąc na tacy tubki z lekarstwami, naczynie z instrumentami chirurgicznymi zanurzonymi w płynie dezynfekcyjnym, butelkę koniaku i dwie koniakówki. Miał podwinięte rękawy, poluźniony krawat, rozpięty kołnierzyk koszuli. W zgięciu łokcia ręczniki. Postawił tacę na niskim stoliku przy sofie, na której już zdążyłam usiąść. Położyłam książkę obok. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się i powiedział:

– Trochę stosownej lektury przed udaniem się na męki, jak widzę.

Przysunął stojącą na podłodze lampę do sofy, przykrył poduszki ręcznikami i usiadł przy mnie. Następnie jednym szybkim pociągnięciem rozwiązał pasek mojego szlafroka – i wszystko skąpe, co miałam na sobie, nagle się odsłoniło. Spojrzał mi w twarz i uśmiechnął się ironicznie.

– Czy w trakcie zabiegu mam mieć zamknięte oczy? – zapytał uprzejmie, choć kpiąco, obnażył mi ramię i na powrót dyskretnie zamknął połę szlafroka. – A teraz profesor Hauser obejrzy sobie ciekawy przypadek chorobowy. – Podniósł moje ramię do światła i ostrożnie je zbadał.

Był tak blisko, że jakbym chciała, tobym wyczuła zapach sosny i cytryny – ale bardziej od zapachów interesowała mnie jego mina.

– Przykro mi, ale to rzeczywiście wygląda niedobrze. Skrzywił się. – Za prędko odstawiłaś lekarstwa. W wielu miejscach dorobiłaś się przerostów skóry. Jeśli zaraz nie zdejmujemy szwów, sprawa może się jedynie pogorszyć. Niestety to zajmie trochę więcej czasu, niż myślałam, a także może bardziej boleć. Muszę wyciągać nitkę po nitce, ostrożnie, żeby rana się nie otworzyła. Za środek znieczulający niech ci posłuży alkohol. I nie mdlej mi z bólu, tylko zaciskaj zęby. Na ręczniku.

– Może nie powinniśmy robić tego dzisiaj? – próbowałam się wywinąć.

Wolfgang potrząsnął głową. Delikatnie złożył na poduszce moją rękę, nalał sporą miarkę koniaku z karafki stojącej na tacy i podał mi kieliszek.

– Posłuchaj, proszę, przyniosłem dość ręczników, żebyś

miała się w co owijać, ale tak czy inaczej musisz położyć się na boku, żebym miał dobry dostęp do ramienia. No więc, zacznijmy od koniaku; dobrze ci zrobi.

Żołądek wywracał mi się na drugą stronę, ale swoje wypiałam, tak jak mi przykazano. Następnie położyłam się na wyścielonej ręcznikami sofie, miękkiej jak kołyska niemowlęcia, i dałam się przykryć kolejną porcją ręczników. Wolfgang ostrożnie wyjął chore ramię na wierzch. Zamknęłam oczy; ogień w kominku był tak kojący i ciepły, że prawie czułam jego płomienie na powiekach. Spróbowałam się odprężyć.

Najpierw ból był odległy i zimny, kiedy krople płynu antyseptycznego kapnęły na moją skórę – lecz szybko zamienił się w parzący wrzątek. Pewnie, pomyślałam, czując lekkie szarpnięcie szczypczyków, to samo czuje ryba, kiedy haczyk zaczyna drażnić jej ciało – nie głęboki ból, nawet jeszcze nie strach, tylko mgliste przeczucie, że jeszcze chwila, a stanie się coś strasznie, potwornie złego.

Moje zmysły zareagowały już na pierwsze szarpnięcie jak na zgrzyt gwoźdźcia po szkle. Nieznośny

ból przeniknął moje ciało głęboko, aż do kości. Staralam się głęboko oddychać, leżeć spokojnie i nie pogarszać sprawy, lecz tępe, rytmiczne pulsowanie było prawie nie do zniesienia, a pod zamkniętymi powiekami zbierało mi się prawdziwe morze łez.

Po chwili, która na pewno nie była chwilą, tylko całą wiecznością, wyciąganie się skończyło. Kiedy otworzyłam oczy, moje morze łez spłynęło strumyczkami po policzkach i po wymoszczonych rącznikach sofie. Zęby miałam wciąż zaciśnięte z bólu, a żołądek związał mi się w kokardkę. Wiedziałam, że wystarczy jedno głupie słowo, a rozszlocham się na dobre. Zrobiłam kolejny wdech i kolejny wydech.

– No, z pierwszym jak to z pierwszym, było trochę kłopotu, ale za to usunąłem go do czysta – powiedział Wolfgang.

– Z pierwszym! – zaprotestowałam, usiłując się podeprzeć na zdrowym łokciu. – To już raczej utnij mi ramię jednym szybkim cięciem i będzie po wszystkim.

– Nie chcę cię skrzywdzić, moja droga – zapewnił mnie. Ale musimy wyciągnąć wszystkie. I tak siedziały tam o wiele za długo.

Wolfgang przystawił mi do warg koniak. Pociągnęłam dobry

nn

łyk i przy okazji trochę się zakrztusiłam. On otarł mi łzy palcem i czekał, aż wypiję więcej. Wypiłam jeszcze parę łyków i oddałam mu kieliszek.

– Wiesz, kiedy Bettina i ja byliśmy mali, nasza matka miała takie swoje powiedzonko: buziak jest dobry na wszystko, i posługiwała się nim za każdym razem, kiedy musiała zrobić coś, co nie było dla nas przyjemne.

Pochylił się i dotknął ustami miejsca, z którego przed chwilą wyciągnął nić. Zamknęłam oczy. Moje obolałe ramię zalała fala ciepła.

– I co? Poskutkowało? – zapytał łagodnie. Kiedy potaknęłam w milczeniu, rzekł pogrzipiająco: – No, więc pozostałe też muszę pocałować. Bierzemy się do roboty.

Położyłam się posłusznie, gotowa stawić czoło kolejnemu atakowi. Wolfgang wziął do rąk szczypczyki. Szarpnięcie, zgrzyt gwoździem po szkło, oczyszczenie skóry, ostry, krótki szczęk nożyczek i – po kolejnym szwie. A po kolejnym szwie kolejny buziak. Próbowalam je liczyć, ale po pięciu czy dziesięciu minutach przestałam. Byłam pewna, że mój chirurg usunął mi trzydzieści albo trzysta, zamiast pozostałych trzynastu szwów. Ale te jego „buziaki” w jakiś cudowny sposób naprawdę zdawały się pomagać.

Kiedy szczęśliwie przeszłam swoją próbę ognia, Wolfgang łagodnie rozmasował mi ramię i przetrął je płynem dezynfekcyjnym, który pachniał świeżym wrzoścem. Kiedy skończył, podciągnęłam się do pozycji siedzącej, a on pomógł mi wsunąć chore ramię w rękaw i na powrót związał pasek szlafroka.

– To nie było przyjemne, wiem. I wiem, że byłaś bardzo dzielna przez cały ostatni tydzień, ale teraz już po wszystkim. Pociągnął mnie lekko za zdrowe ramię. – Minęła dopiero siódma, więc masz mnóstwo czasu, żeby się wykąpać i odpocząć, zanim pomyślimy o kolacji. Jak się czujesz?

– Świetnie... to znaczy prawie świetnie – powiedziałam, bo mimo szczerych chęci trudno mi było choćby się poruszyć.

Wolfgang popatrzył na mnie z dziwnie nieodgadnionym wyrazem twarzy. To prawda, kręciło mi się w głowie od potężnej porcji koniaku zmieszanego z megadawką naturalnych endorfin, które w moim ośrodkowym układzie nerwowym uaktywniał trwający przez prawie pół godziny tępy, zgrzytający ból.

Odchyliłam się do tyłu, na poduszki, i próbowałam się pozbierać. Mój gospodarz tymczasem okręcał sobie wokół palca pasemko moich włosów. Po chwili przemówił, jakby doszedł do jakiegoś wniosku:

– Ariel, to na pewno niezbyt odpowiednia pora, ale kto mi zaręczy, że taka kiedyś nadejdzie? Jeśli nie teraz, być może nigdy... – Urwał i zamknął na moment oczy. – Mój Boże, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Daj mi łyk twojego koniaku.

Przechylił się nade mną, chwycił ze stołu mój do połowy opróżniony kieliszek, wypił do dna i znowu popatrzył na mnie tymi niezgłębionymi turkusowymi oczami.

– Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, w Pawilonie Nauk Technicznych waszego ośrodka... czy usłyszałaś słowo, które rzuciłem pod twoim adresem?

– Niezupełnie – odpowiedziałam, choć wciąż dzwoniło mi w uszach płonną nadzieją tamto „urocza” czy „przepiękna”. Nie wierzyłam, zwłaszcza teraz, by to było banalne „przepraszam”. Ale tego, co miało właśnie nastąpić, w życiu bym się nie spodziewała.

– Powiedziałem wtedy „przeznaczenie”. Moje przeznaczenie. W tamtym momencie naprawdę pomyślałem o odstąpieniu od całej misji. I zapewniam cię, są tacy, którzy woleliby jeszcze teraz, żebym rzeczywiście to zrobił. Moja reakcja na ciebie była tak... jak by to powiedzieć... tak spontaniczna. Chyba zgadujesz, do czego zmierzam tym niezdarnym wyznaniem.

Zamilkł, ponieważ poderwałam się gwałtownie, kompletnie wzburzona. Oto mnie – dziewczynę, która stanęła okoniem wobec jazdy po głębokim puchu – czy tego chciałam, czy nie, zapraszano do skoku w kolejną niebezpieczną przepaść. Poczułam, jak ogarnia mnie panika, i to akurat wtedy, kiedy nijak nie było mi z nią do twarzy. Być może byłam skołowana, być może jak wszyscy diabli, ale zaiste niepotrzebny był Albert Einstein, aby wpaść na to, czego pragnęłam dokładnie w tej chwili i czego najwyraźniej pragnął również Wolfgang.

Spróbowałam myśleć racjonalnie. Jaki inny mężczyzna wiózłby mnie przez pół świata i zapraszał do spędzenia nocy we własnym zamku? Jaki inny mężczyzna patrzyłby na mnie tak, jak patrzył Wolfgang właśnie tu i teraz – na mnie potarganą, brudną i poobijaną po moich wszystkich podróżach i ciężkich przejściach – i do tego by mnie pragnął? Jaki inny mężczyzna wydzielaliby ten odurzający zapach sosny i cytryny, i skóry, zapach, który sprawiał, że chciałam się nim upić i w nim zatonać? No

więc, z czym, na litość boską, mam problem?

W głębi duszy oczywiście wiedziałam z czym.

Wolfgang stał przede mną, nie dotykając mnie. Patrzył na mnie tymi swoimi rentgenowskimi oczami, które działały na mnie z takim samym skutkiem, z jakim kamień z wymyślonej planety działał na Supermana: kolana robiły mi się miękkie, a głowa pusta. Nasze wargi dzieliła odległość kilku cali.

Bez słowa wziął mnie w ramiona i ukrył twarz w moich włosach. Moje usta dotknęły jego ust, jego napały na moje, tak jakby chciały mi wypić duszę, wypłukać mózg, bym nie czuła nic poza ich miękkim ciepłem, ciepłem, które powoli przesuwało się w dół, ku szyi. Szlafrok zsunął mi się z ramion i spłynął na podłogę, na moje białe nogi. Zęby Wolfganga muskały moje ramię, jego dłonie pracowicie ściągały ze mnie bieliznę, a ja wprost nie mogłam oddychać.

Mimo to cofnęłam się. Wyszeptałam:

– Wiesz, ja się boję.

Wolfgang ujął mój nadgarstek i pocałował wewnętrzną stronę dłoni.

– A myślisz, że ja nie? – spytał, patrząc na mnie bardzo poważnie. – Ale jedno, o czym powinniśmy pamiętać, Ariel, to nie oglądać się za siebie.

Nie oglądać się za siebie – to właśnie to, co bogowie nakazali Orfeuszowi, nim zanurzył się w podziemny świat, aby wyprowadzić stamtąd swoją ukochaną Eurydykę, pomyślałam, i przeszedł mnie dreszcz.

– Nie oglądam się na nic – skłamałam i opuściłam oczy... sekundę za późno.

– Ależ tak, oglądasz się, moja ukochana. – Wolfgang podniósł moją twarz ku swojej. – Oglądasz się za cieniem, który stoi między nami od chwili naszego poznania... za cieniem twojego nieżyjącego kuzyna Sama. Ale kiedy minie dzisiejsza noc, mam nadzieję, że już nigdy, choćby raz, nie obejrzyysz się za siebie.

W porządku, nazwijcie mnie szaloną albo i gorzej. W gruncie rzeczy tamtej nocy sama myślałam, że nazwać mnie szaloną to za mało. Rana zszyta na moim ramieniu w końcu jakoś się zamknęła, ale Wolfgang otworzył we mnie inną ranę. Ranę, która zapuściła korzenie tak głęboko i krwawiła w takim milczeniu, że nie bardzo byłam pewna, jak wielką, tak naprawdę, wyrządziła mi krzywdę. Ta nie wyleczona trauma, którą usiłowałam ukrywać nawet przed sobą, polegała na tym, że prawdopodobnie kochałam mojego kuzyna Sama więcej niż trochę. A co to ze mnie zrobiło? Proszę bardzo – nieźle poplątany „reaktorek”.

Ale te mieszane uczucia, które w moim sercu urządziły sobie grę w podchody, tamtej nocy zostały stłumione przynajmniej po części – razem ze wszystkim innym – przez coś, co się otworzyło dzięki Wolfgangowi, przez coś, co istniało we mnie, a ja nawet nie byłam świadoma, że to w sobie noszę. Kiedy nasze dwa ciała spotkały się i zlały w jedno, w żarliwej namiętności, nieoczekiwanie dla mnie samej wezbrała we mnie jakaś dziwna mieszanina bólu i tęsknoty, i pożądania, która zadziałała w

moich żyłach jak narkotyk, i tak jak narkomani czują głód narkotykowy, tak ja nie miałam dość Wolfganga. Podsycałiśmy w sobie ogień z opętańczą zachłannością, aż każdy miesiąc w moim ciele drżał z wyczerpania.

W końcu Wolfgang wyciągnął się nieruchomo w poprzek mnie, z policzkiem przytulonym do mojego brzucha. Leżeliśmy na tureckim dywanie, przed kominkiem. Nasza skóra ociekała wilgocią. Przyglądałam się temu drugiemu, doskonale umięśnionemu ciału, które w migotliwym blasku ognia sprawiało wrażenie odlanego z brązu. W pewnej chwili przesunęłam dłonią wzdłuż łuku tych drugich pleców, od ramion aż po pas. Wolfgang wzdrygnął się, uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Ariel, proszę! Lepiej nie zaczynaj! Czy wiesz, co robisz? Jesteś czarodziejką, która rzuciła na mnie jakieś czary.

– To ty władasz czarodziejską różdżką – odpowiedziałam i oddałam mu uśmiech.

Wolfgang przysiadł na piętach i mnie także podciągnął do pozycji siedzącej. Żarzące się węgle powoli dogasały. Mimo naszych gorących starań w bibliotece robiło się coraz zimniej.

– Ktoś tu powinien zachować rozsądek. – Wolfgang, naciągnął mi na ramiona szlafrok. – Należy ci się trochę relaksu.

– Tym, co właśnie robiłeś, jakkolwiek to nazwać, chyba dosyć się zrelaksowałam – zapewniłam go.

Wolfgang potrząsnął głową i uśmiechnął się. Postawił mnie na nogi, wziął na ręce i zaniósł do mojego pokoju, i dalej, do łazienki. Tam mnie znów posadził i przygotował gorącą kąpiel na dwie osoby. Dodał do wody mnóstwo soli mineralnych, następnie przyniósł świeże ubranie i położył je obok wanny. Kiedy zanurzyliśmy się w aromatycznej wodzie, namoczył grubą morską gąbkę i skropił mi ciepłą wodą ramiona i piersi.

– Jesteś najbardziej pociągającą istotą na świecie – powiedział, całując moje plecy i ramiona. – Ale bądźmy praktyczni. Właśnie minęła dziewiąta. Nie jesteś głodna?

– Owszem, jak wilk – powiedziałam, uzmysławiając to sobie po raz pierwszy.

Po kąpeli ubraliśmy się w coś ciepłego i poszliśmy przez winnice do małej gospody, tej z widokiem na rzekę. Gospoda była otwarta, a w kominku płonął wesoło ogień.

Poprosiliśmy o gorącą zupę i sałatkę ze świeżej zieleńnicy, i *raclette*, danie ze stopionego sera o bogatym zapachu dębiny i gorących, jeszcze parujących ziemniaków, i pikantnych korniszonów. Maczaliśmy w nim kawałki chleba z chrupiącą skórką, oblizywaliśmy palce ociekające sosem z pikli, a na koniec zapiliśmy wszystko doskonałym wytrawnym rieslingiem.

Wracaliśmy do siebie, przez winnice, tuż po dziesiątej. Znad rzeki podnosiła się mgła; jej opary krążyły, jak białe widma, między rzędami winnych krzewów, które właśnie puszczały pierwsze tegoroczne pędy. Powietrze było ostre, ziemia pachniała świeżością i tym swoistym aromatem wilgotnych nocy, które zwiastują nadejście wiosny. Wolfgang ściągnął mi rękawiczkę i wziął w rękę

moją nagą dłoń, a ja poczułam, jak znów przenikamnie fala ciepła, ta sama, która przepływała za każdym razem, kiedy mnie dotykał. Uśmiechnął się, ale w tym samym momencie przez dysk księżycy przemknęła ławica mgły i pograżyła i nas, i naszą drogę, i winnice w ciemnościach.

Przez moment mi się zdawało, że słyszę trzask gałęzi i odgłos stóp w pobliżu, gdzieś odrobinę poniżej. Nagle ogarnął mnie blady strach, choć nie umiałabym powiedzieć dlaczego.

Zatrzymałam się, wyciągnęłam dłoń z dłoni Wolfganga i zaczęłam nasłuchiwać. Kto o tak późnej porze mógłby tędy chodzić?

Wolfgang uściśnął mi ramię: on słyszał to samo.

– Zaczekaj tu i nigdzie się nie ruszaj – powiedział cicho. Zaraz wracam.

Nie ruszaj się? Byłam przerażona – lecz nim zdążyłam zareagować, jego już pochłonęły ciemności.

Przycupnęłam między dwoma winnymi krzewami i nadstawiłam uszu na nocne dźwięki, tak jak nauczył mnie Sam. Na przykład teraz z łatwością potrafiłam odróżnić szelest dziesiątek albo i więcej owadów od leniwego chlupotu rzeki niesionego w powietrzu od dna doliny. Ale na tym nie koniec; udało mi się także wyłowić inny dźwięk: odległy szept dwóch męskich głosów. Niewiele z tego szeptu do mnie dotarło, ale jednak: oto ktoś wypowiedział słowo „ona”, a ktoś drugi „jutro”.

Właśnie kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, mgła rozstała się i stok wzgórza zalało srebrne światło księżycy. Jakieś dwadzieścia jardów poniżej miejsca, gdzie przycupnęłam, między dwoma rzędami winorośli bardzo blisko siebie stali dwaj mężczyźni. Jednym z nich był na pewno Wolfgang; kiedy się podniosłam, zauważył mnie, podniósł rękę i zamachał, po czym zostawił tego drugiego i zaczął iść ku mnie. Popatrzyłam za tym drugim. Rondo podniszczonego kapelusza rzucało cień na twarz. Nie udało mi się, mimo pełni, wypatrzeć rysów, lecz kiedy odwrócił się plecami i poszedł w dół, było coś znajomego w jego ruchach, w nie za wysokiej i raczej żylastej sylwetce...

W tej samej chwili Wolfgang dobił do mnie. Chwycił mnie w tali, poderwał w górę i zakręcił dookoła. Następnie postawił na ziemi i pocałował prosto w usta.

– Szkoda, że nie możesz przejrzeć się w lusterku teraz, cała w srebrnym świetle – rzekł. – Jesteś niewiarygodnie piękna. Trudno mi uwierzyć, że istniejesz naprawdę i że jesteś moja.

– Kim był tamten człowiek, który szedł za nami? – spytałam. – Wyglądał mi dziwnie znajomo.

– Och, skądże znowu, to tylko mój dozorca, Hans – wyjaśnił. – Za dnia pracuje w sąsiedniej wiosce, a wieczorem, w drodze powrotnej, rzuca okiem na zamek. Na ogół późno, tak jak i dzisiaj. Zresztą dzisiaj ktoś mu powiedział, że wieczorem

w zamku paliło się światło. No więc przyszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jakoś wyleciało mi z głowy, żeby go uprzedzić o naszym przyjeździe, a poza tym nie jest przyzwyczajony, bym przywoził tu gości. – Popatrzył na mnie i objął mnie ramieniem. Znowu ruszyliśmy pod górę. – A teraz, mój drogi, mały gościu – dodał, przyciskając mnie mocniej do siebie – pora udać się do

łóżka... choć niekoniecznie po to, żeby spać.

Ale w końcu kiedyś zasnęliśmy – co prawda dobrze po północy – pośród stosu puchowych poduszek i puchowych kołder, w łóżku Wolfganga, wysoko na szczycie wieży, pod wielkim baldachimem mrugających gwiazd. Ta trwająca jedną noc odyseja burzliwej namiętności z pewnością oczyściła mój umysł – nie mówiąc o porach skóry. Wreszcie ogarnął mnie spokój, wbrew temu, że nie miałam pojęcia, co może mi przynieść jutro, a tym bardziej cała reszta mojego życia.

Wolfgang, wyczerpany, leżał na poduszkach, z jedną ręką przerzuconą ukośnie przez moje żebra, drugą pieścił lok moich włosów. Powoli odpływał w spokojny sen. Ja leżałam na plecach i patrzyłam na nocne niebo usiane gwiazdami. Tuż nad naszymi głowami błyszczała konstelacja Oriona, niebiańska „ojczyzna Romów”, Daciana, a w niej trzy jasne gwiazdy w samym środku klepsydry: Kasper, Melchior i Baltazar.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętały moje oczy, był wielki wijący się wąż światła, który, jak powiedział mi kiedyś Sam, według starożytnych wierzeń został stworzony z mleka tryskającego z piersi pierwotnej bogini Rei: Droga Mleczna. Przypomniałam sobie, jak dawno, bardzo dawno temu czuwałam całą noc, by ją zobaczyć. Tamtą noc, kiedy Sam odprawiał swoje *tiwa-titmas*. A potem, sama nie wiem kiedy, powróciłam do tamtego snu...

Na pewno minęła północ, ale do świtu jeszcze było daleko. Sam i ja czuwaliśmy przez większą część nocy, podtrzymując ognisko, w oczekiwaniu na duchy totemów. Przez ostatnią godzinę zachowywaliśmy się bardzo cicho. Siedzieliśmy po turecku, na ziemi, tak blisko siebie, że stykały się czubki palców naszych dłoni. Żywiliśmy nadzieję, że nim minie noc, Sam dostąpi wizji, na którą czekał pięć lat. Księżyc wisiał nisko nad

zachodnim horyzontem. Węgłe w naszym ognisku ledwo się tliły.

I wtedy to usłyszałam. Nie byłam pewna, ale wydało mi się odgłosem oddechu, i to tuż obok. Zadrżałam, lecz Sam ostrzegawczo ścisnął mi czubki palców: miałam być cicho. Wstrzymałam oddech. Teraz to chyba przysunęło się bliżej – tuż za moje ucho – ciężki, równy oddech, po którym przyszedł ciepły, odurzający zapach czegoś niewyobrażalnie dzikiego. Sekundę później kącikiem oka zauważyłam jakiś błysk. Uparcie patrzyłam prosto przed siebie, bojąc się poruszyć choćby rzęsą, chociaż serce biło mi jak oszalałe. Kiedy plama ruchu zastygła w moim polu widzenia, nieomal zemdlalam ze strachu: to była dorosła puma – lew górski! – i to tylko kilka stóp ode mnie.

Sam ścisnął mi palce mocniej. Chciał być pewien, że nie zrobię niczego niewłaściwego, że się nie poruszę, że nie drgnę, ale ja i tak bym nie drgnęła, ja ze strachu zeszywniałam. Zresztą gdybym chciała podnieść się na nogi, te pewnie odmówiłyby mi posłuszeństwa – a nawet gdyby nie odmówiły, to co mogłabym zrobić? Dzikie kot przemierzył krąg niespiesznie, nie wydając żadnego głosu – poza tym swoim równym, gardłowym oddechem, prawie mruczeniem. Potem zatrzymał się obok dogasającego ognia i powoli, z wdziękiem obrócił się, aby popatrzeć prosto na mnie.

W tamtej chwili zdarzyło się wiele rzeczy naraz. W dalekim krańcu naszego kręgu, w zaroślach, rozległ się głośny trzask. Puma rzuciła do tyłu krótkie spojrzenie. Zawahała się. Sam nie przestawał ścisnąć mi palców, kiedy jakiś ciemny cień przedarł się przez krzaki i potykając się, wpadł do kręgu;

to było małe niedźwiedziątko!

Puma jakby tylko na to czekała. Parsknęła wściekle i ruszyła w jego stronę. Nagle z krzaków poniżej wyskoczyła, jak wyrzucona z katapulty, olbrzymia niedźwiedzica. Jednym machnięciem łapy zgarnęła niedźwiedziątko za siebie i na tylnych nogach dźwignęła się w górę. I zogromniała tak, że zasłoniła sobą księżyc. Zaskoczona puma uskoczyła bokiem, dała susa za krawędź wzgórza i zniknęła w ciemnym lesie. Sam i ja siedzieliśmy jak skamieniali, wstrzymując oddech, podczas gdy niedźwiedzia matka powoli opuściła się na cztery łapy i ruszyła do dogasającego paleniska. Obwąchawszy dokładnie mój plecaczek, pogrzebała w nim i znalazła jabłko; wzięła je w pysk i odwróciwszy się, dała swemu dziecku. W końcu popchnęła niedźwiedziątko nosem przed siebie, z powrotem w leśny gąszcz. Sam i ja milczeliśmy przez następne pół godziny, aż do czasu, kiedy niebo zaczęło blednąć. On pierwszy się poruszył, jeszcze raz ścisnął moją dłoń i wyszeptał:

– Myślę, bystrzaku, że dzisiaj w nocy ty też miałeś swoje *tiwa-titmas*. Bez względu na to, na kogo ten lew górski przyszedł zapolować, na pewno znalazł właściwą istotę... Ariel Lwie Serce.

– A one, twoje niedźwiedzie totemy, przyszły dla ciebie! odwzajemniłam mu się, również szepem.

Sam wstał, podciągnął mnie na nogi i wziął w prawdziwie niedźwiedzi uścisk.

– Weszliśmy w magiczny krąg razem, Ariel, i oboje je widzieliśmy... Lwa i Wielką i Małą Niedźwiedzicę. Czy wiesz, co to znaczy? Nasze totemy przyszły nam powiedzieć, że rzeczywiście są naszymi totemami. O świcie zacieśnimy nasze więzi przez zmieszanie naszych soków żywotnych. Zawrzemy braterstwo krwi. Potem wszystko potoczy się inaczej dla nas obojga – zapewnił mnie. – Zobaczysz.

I wszystko rzeczywiście potoczyło się inaczej, tak jak Sam obiecał. Ale to było prawie osiemnaście lat temu, a dzisiaj w nocy, w łóżku Wolfganga, pod obracającym się kręgiem nieba, po raz pierwszy od czasów mego dzieciństwa odwiedził mnie we śnie mój totem.

Wtedy, w godzinach przedświt, tuż przed odpłynięciem w sen, nagle pojęłam coś, co mi umykało wczorajszego wieczoru, to coś dotyczące świętego Hieronima i jego rannego lwa. Jak Dacian wczoraj zauważył, znak zodiaku, leżący po drugiej stronie „władcy” każdego nowego eonu był uważany przez starożytnych za symbolicznego „współwładcę” każdego nadchodzącego wieku – tak jak Dziewica Maria, Panna, która współwładowała z ławicą chrześcijańskich Ryb. Ponieważ znak zodiaku leżący naprzeciw Wodnika to Lew, być może mój sen oznaczał, że mój totem, lwica, przyszedł do mnie wciągnąć mnie raz jeszcze do magicznego kręgu.

Obudziłam się skąpana w słonecznym blasku. Od razu

wiedziałam, że nie jestem z Samem na szczycie tamtej góry i że to nie z nim oglądam wschód tamtego słońca. Wiedziałam, że leżę w łóżku na najwyższym piętrze zamku Wolfganga, pośród puchowych poduszek i kołder. Która to godzina? Usiadłam wystraszona.

Właśnie wtedy zjawił się Wolfgang, ubrany w luźne spodnie i miękki zielony kaszmirowy golf, z tą samą co wczoraj tacą, na której teraz stały filiżanki i talerzyki, dzbanek parującego kakao,

koszyczek bułek i gorących rogalików. Poczęstowałam się wypieczoną, chrupiącą bułeczką, podczas gdy Wolfgang usiadł na łóżku i rozlał do filiżanek kakao.

– Więc co robimy dzisiaj? – zapytałam go. – Jak do tej pory jakoś nie udało nam się przedyskutować naszych planów.

– Odlatujemy do Leningradu o piątej po południu, a klasztor w Melku otwierają o dziesiątej rano, za godzinę z kawalkiem, więc zostaje nam parę godzin na przejrzenie tamtejszych zbiorów.

– Czy masz jakieś wskazówki od Zoe? Wiesz, czego właściwie mamy szukać?

– Tak. Jakiegoś tropu, który połączy ze sobą ocalone i gromadzone przez twoją babkę dokumenty – poinformował Wolfgang. – Klasztor w Melku to skarbiec licznych średniowiecznych zbiorów, które być może dostarczą nam tego śladu.

– Ale jeśli klasztorna biblioteka ma tyle samo książek jak tamta wczoraj, to jak w ciągu kilku godzin dokopiemy się do czegokolwiek? – spytałam.

– Mam nadzieję, podobnie jak twoi krewni, że tobie się to uda.

Odpowiedź była bądź co bądź enigmatyczna, lecz nie drążyłam dalej, gdyż czasu do otwarcia klasztoru pozostało niewiele. Szybko wzięłam prysznic, ubrałam się i już byłam gotowa do drogi, kiedy nagle coś mi się przypomniało: poprosiłam Wolfganga, by mi pozwolił przefaksować odpowiedź do Stanów.

Weszłam do małego biura i spróbowałam pozbierać myśli. Chciałam zakomunikować Samowi wczorajsze co istotniejsze wydarzenia, ale wiedziałam, że jest coś, z czym muszę stanąć twarzą w twarz, zanim zrobię cokolwiek innego. Zważywszy na okoliczności, w jakich się znalazłam, i aktywność, jaką się

wykazałam ostatniej nocy, już sama myśl o Samie sprawiała, że czułam się niezręcznie. Więc jak tu do niego pisać? Może się to wydać śmieszne, ale wiedziałam doskonale, że jeśli ktokolwiek przechwyci moje wibracje, wzmożone, płomienne czy jakiegokolwiek – nawet po drugiej stronie tysięczmilowego światłowodu będzie to Sam. Przyszło mi na myśl, że być może już je przechwycił. Nie mogłam nie zauważyć, że w moich snach z ostatniej nocy pojawiła się nie tylko lwica. Obok mnie, na moim mokasynowym szlaku przez świat snów, siedł także Sam i jego zwierzęce totemy.

Odsuwając te kłopotliwe myśli na bok, usiłowałam wykombinować jakiś dwuznaczny tekst – w miarę krótki, możliwie niewinny, do tego trafny i wiele mówiący. Przypomniawszy sobie, że Sam nazwał się sir Richardem Francisem Burtonem, napisałam jak poniżej:

Drogi doktorze Burton,

Dzięki za pańską notkę. Rozumiem, że pański zespół osiąga cel. Ja także jestem do przodu, jeśli chodzi o nasze ustalenia z ostatniego spotkania: już odwaliałam robotę na miarę wieloryba. Jeśli pod moją nieobecność wynikną jakieś problemy, proszę o kontakt via IAEA, numer poniżej. Odlatuję do Rosji dzisiaj, piąta po południu czasu wiedeńskiego.

Serdecznie pozdrawiam, Ariel Behn.

Większość z tego dla Sama powinna być jasna, w końcu ja zrozumiałam treść jego faksu. Jedyną rzeczą, którą „ustaliliśmy” podczas ostatniego spotkania – jeszcze nie wiedząc, gdzie są dokumenty Pandory – było to, że spróbuję się osobiście skontaktować z Dacianem Bassaridesem i wyciągnąć z niego informacje. Tak więc stwierdzenie, że jestem do przodu, Sam chyba powinien odczytać właściwie. Natomiast odwołanie się do wieloryba (wieloryb był pływającym powiernikiem totemowej pamięci klanu) powinno powiedzieć Samowi, że bezpiecznie ukryłam „dar”, którego, jak doniosłam w moim ostatnim faksie, stałam się posiadaczką.

Choć bardzo pragnęłam podzielić się z nim innymi wiadomościami, to jednak, kiedy zaczęłam rozmyślać nad szyfrem

adekwatnym do złożoności naszej rodzinnej historii – pomijając święte świętości i znikające miasta, i zodiakalne gwiazdozbiory – przyznaję, że się poddałam. Na coś takiego nijak by mi nie starczyło darowane przez Wolfganga krótkie pięć minut. Pozostawało się cieszyć, że Sam będzie wiedział przynajmniej tyle: weszliśmy do gry. Po porwaniu na strzępy i spaleniu w kominku oryginału mojej notatki, i rozrzuceniu jej popiołów między wystygłymi popiołami z wczorajszego wieczoru – przezorności nigdy za wiele – wyszłam na trawnik i wpadłam wprost na Wolfganga, który wracał od samochodu, aby mnie ponaglić.

– Jesteśmy gotowi – powiedział. – Zabrałem nasz cały bagaż. Prosto z Melku udamy się na lotnisko. Claus ma klucz i doprowadzi pokoje do porządku.

– Kto to jest Claus? – spytałam.

– Mój dozorca. – Wolfgang usłużnie otworzył moje drzwi, obszedł samochód od tyłu, zamknął bagażnik i usiadł za kierownicą.

– Zdawało mi się, że ma na imię Hans – rzuciłam niedbale.

– Niby kto? – zdziwił się Wolfgang. Właśnie wyprowadził samochód spod drzewa, przeciął trawnik i ostrożnie pokonywał zwodzony most.

– Gość, którego właśnie nazwałaś Clausem. Wczoraj wieczorem, kiedy twój dozorca skradał się za nami po nocy, na wzgórzu, powiedziałaś mi, że nazywa się Hans. – Uwagę, że w tamtym typie było coś podejrzanego, wolałam zachować dla siebie.

– Owszem: to Hans Claus – usłyszałam w odpowiedzi. W tych okolicach utarło się nazywanie takich ludzi po nazwisku. Ale możliwe, że wczoraj wieczorem posłużyłem się imieniem.

– Jesteś pewien, że to nie Claus Hans? – zasugerowałam.

Wolfgang popatrzył na mnie. Jedną brew miał uniesioną do góry, a na ustach zakłopotany uśmiech.

– Czy to przesłuchanie? Przykro mi, nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajony, ale dla twojego

świętego spokoju mogę cię zapewnić, że dobrze znam imiona i nazwiska własnej służby.

– W porządku – ustąpiłam. – A co z twoim własnym imieniem? Nigdy mi nie wspomniałeś, że Kaspar Hauser to postać autentyczna.

– Myślałem, że znasz jego historię – rzekł, zjeżdżając ze wzgórza drogą między winnicami. – Historię dzikiego chłopca z Norymbergi, jak go nazywano. Swego czasu w Niemczech żyło się legendą o Kasparze Hauserze.

– Och wiem, oczywiście. Poczytałam sobie to i owo. I choć ciebie nazwano na cześć jednego z biblijnych magów, możliwe, że o autentycznym Kasparze Hauserze wiesz więcej niż ja, niemniej odnoszę wrażenie, że nasz bohater zawdzięcza swoją sławę wyłącznie zagadkowej przeszłości i nie wyjaśnionemu morderstwu. To dziwne, że historii jakiegoś biednego dzieciaka ludzie przypisują Bóg wie co.

Wolfgang roześmiał się głośno.

– Możesz być pewna, że i ja o nim myślę! Wczoraj zdumiała mnie historia Daciana Bassaridesa o tamtych siedmiu ukrytych miastach Salomona. Podejrzewam, że i Kaspar Hauser, i sama Norymberga są związane z tamtymi miastami, a być może także z Adolfem Hitlerem i świętymi świętościami poszukiwanymi przez niego w Melku. Chciałem o tym z tobą wczoraj porozmawiać, ale sama rozumiesz... trochę zboczyliśmy z tematu. Tak czy owak, od wczoraj, od wysłuchania opowieści Daciana, wszystkie te rzeczy nasuwają mi myśl o *Hagelrune*.

– *Hagelrune*?

– *Hagel*po niemiecku znaczy grad, kulki lodu, czyli jest jednym z dwóch najważniejszych aryjskich symboli: ognia i lodu – oznajmił Wolfgang. – Swastyka od najdawniejszych czasów symbolizowała potęgę ognia. Wykuwano ją na wielu wschodnich świątyniach, na tych, o których wspominał Dacian. Co więcej, Norymberga, miasto, gdzie Kaspar Hauser pojawił się po raz pierwszy, jest uznawana przez geomantów za geograficzny środek Niemiec: trzy linie formujące runiczny *Hagel*, biegnące z innych części Europy i Azji, spotykają się w Norymberdze, aby utworzyć kocioł, w którym warzy się potęga.

Przeszedł mnie dreszcz, bo oto Wolfgang, puszcżając jedną ręką kierownicę, narysował palcem w powietrzu ten sam znak graficzny, który pokazał mi się na monitorze mojego komputera tamtej nocy, kiedy Sam zaczął przysyłać mi szyfry:

Serce waliło mi jak młotem. Żałowałam, że nie mogę porozmawiać z Samem. Żeby zająć czymś ręce, postawiłam kołnierz płaszczu. Wolfgang zdawał się niczego nie zauważać; na powrót wziął kierownicę w obie dłonie i mówił dalej:

– To umiejscowienie runicznego *Hagel* w Norymberdze jest punktem odniesienia wszystkiego, co Adolf Hitler kiedykolwiek powiedział czy zrobił. Kiedy tylko został kanclerzem Niemiec, swoim pierwszym aktem powołał do życia szkołę *Rutenganger*. Wy ich nazywacie wróżbiarzami, którzy wróżą z wody, tak?

– My ich nazywamy różdżkarzami – sprostowałam. Różdżkarstwo to stara indiańska praktyka. Indianie wykrywają podziemny nurt wody za pomocą rozwidlonych gałązek, w kształcie litery Y, czy leszczynowych witek umieszczonych między palcami. Wyczuwając wodę, te witki się wychylają.

– No właśnie – przytaknął Wolfgang. – Tyle że ci ludzie ze szkoły różdżkarstwa w Niemczech szukali nie tylko wody; szukali w ziemi źródeł siły i energii, które *Fiihrer* miał wykorzystać dla wzmocnienia własnej potęgi. Obejrzyj jakiś stary film o Hitlerze, to zrozumiesz, co staram ci się opisać. Hitler stoi w odkrytym samochodzie, samochód jedzie ulicami pośród wiwatujących tłumów, ale nim na dobre się zatrzyma, najpierw się zakołysze – do przodu i do tyłu – aż znajdzie odpowiednie miejsce na postój. Chodzi o to – ciągnął – że różdżkarze Hitlera najpierw robili rachunek sił, aby wybrać najkorzystniejsze miejsce do zatrzymania samochodu – i znaleźć właściwy budynek, okno czy balkon, z którego Hitler miał przemawiać. Te siły miały go chronić przed aktami sabotażu, a poza tym zwiększały jego własną energię. Żaden z zamachów na jego życie się nie powiódł – łącznie z podkładaniem bomb w jego bunkrach a dlaczego? Dlatego, że osłaniała go siatka nadnaturalnych mocy. Już starożytni wiedzieli, że nie ma nic silniejszego niż siły, które Hitler później usiłował zaprząć do swego rydwanu w Norymberdze.

– Chyba nie przypuszczasz, że Hitler przeżył wszystkie zamachy tylko dzięki jakiejś czarodziejskiej mocy w rodzaju „gradowych runów”? – spytałam.

– Mówię o tym, w co Hitler wierzył, a na to, w co wierzył, mam mnóstwo dowodów – zapewniłam mnie. I w drodze do Melku zaczął swą opowieść.

GRADOWE RUNY

Jeszcze pod koniec wojen napoleońskich, wychowywanie w klatce porzuconego chłopca, takiego jak Kaspar Hauser, nie było czymś nadzwyczajnym czy niesłychanym. Znano wiele przypadków dzieci, które rosły jak dzikie zwierzęta. Ale do czasów Kaspara Hausera tylko nieliczne były poddawane naukowym badaniom.

Powszechnie stosowano, w wielu zakonach czy tajnych stowarzyszeniach, pewien rytuał, który wymagał rozlewu królewskiej krwi. Śmierć zadawano na trzy sposoby, dla przebłagania bóstw trzech żywiołów – ognia, powietrza i wody. Symbolizowały je ciosy w głowę, piersi i genitalia. W przypadku Kaspara Hausera wiemy, że wypraktykowano tylko dwa pierwsze.

Po jego śmierci panowało powszechne przekonanie, że chłopiec pochodził ze szlacheckiego czy

królewskiego rodu, że porwano go z kołyski i że został wychowany przez chłopów w co najmniej dziwnych warunkach i w tak ograniczonej przestrzeni, że nawet nie mógł stać, a karmiono go zaledwie chlebem i wodą – co jest dość interesujące, ponieważ w dawnych czasach taki pokarm podawano zwierzętom przeznaczonym na ofiarę. Innymi słowy, Kaspar Hauser był prawdopodobnie ofiarą tajemniczego pogańskiego rytuału, który nagle zaczęto praktykować w Norymberdze na początku nowej ery. Sto lat później Adolf Hitler był absolutnie zafascynowany ukrytym sensem tej historii.

Pod koniec ostatniego wieku, około tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, roku urodzenia Hitlera, w całych Niemczech został wskrzeszony ruch, który miał na celu dokopanie się do *vóJkisch** korzeni narodu germańskiego, prostego ludu, tego z nordyckich legend i niemieckich baśni. Ów ruch miał na celu powrót do tradycyjnych wartości i obyczajów, co do których wierzone, że są jądrem duszy Teutonów i że przywrócą na ziemi złoty wiek.

W tym czasie niemieckojęzyczne narody powszechnie wierzyły, że przez tysiące lat knuto przeciw nim tajny spisek, za* Z niem. „ludowy”.

korzeniony w dążeniu plemion pochodzenia śródziemnomorskiego – na przykład Rzymian z czasów cesarstwa, Maurów ze średniowiecznej Hiszpanii – do podbicia wszystkich północnych ludów, tak zwanych Aryjczyków, i popełnienia na nich ludobójstwa. Niemieckojęzyczne narody utrzymywały także, że ich teutońscy przodkowie posiadali wyższą kulturę niż przodkowie tamtych znad Morza Śródziemnego, i że one same zachowały czystość krwi, ponieważ nie kontaktowały się z innymi grupami – coś w rodzaju dzisiejszej kasty braminów w Indiach.

Wbrew tej rzekomej nordyckiej wyższości, runiczny alfabet powstał dość późno – jakieś trzysta lat przed naszą erą i prawdopodobnie był zapożyczony przez Teutonów od Celtów lub innej społeczności. Jednakże, jak to się działo w starych kulturach, umiejętności pisania i samym runom przydawano magiczne, a nawet boskie znaczenie.

Hagelrune to dziewiąta litera runicznego alfabetu. Dziewiątka jest bardzo wymowną nordycką cyfrą: *Havamal*, jedna z islandzkich pieśni epickich zamieszczonych w zbiorze zwanym *Eddą*, powiada, że nordycki bóg Wotan musiał wisieć na drzewie wszechświata przez dziewięć dni i dziewięć nocy, aby dostąpić wtajemniczenia w potęgę i misterium runów.

Dziewiątka była najważniejszą cyfrą dla Hitlera, gdyż data dziewiąty listopada miała dla niego mistyczne znaczenie. Hitler powiedział: „Dziewiąty listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku był najważniejszym dniem w moim życiu”. Mówiąc to, miał na myśli dzień puczu w Monachium, dzień, w którym wsadzono go do więzienia, gdzie napisał *Mein Kampf*. A w ogóle dziewiąty listopada jest ważną datą w historii naszej części świata. Dziewiąty listopada to data mistrzowskiego uderzenia Napoleona, kończącego rewolucję francuską; data śmierci Charles'a de Gaulle'a; data niemieckiej rewolucji, przynoszącej abdykację cesarza Wilhelma pod koniec pierwszej wojny światowej; data abdykacji Ludwika II Bawarskiego, jednego z twórców Drugiej Rzeszy; data „nocy kryształowej”, w trzydziestym ósmym, podczas której przez Austrię i Niemcy przewaliła się fala rozruchów skierowanych przeciwko Żydom.

Ale runiczna litera *Hagel* ma także inne ważne znaczenie. Uchodzi za znak odpowiadający naszej

literze „h” – literze, która nie istnieje w greckim alfabecie. Od tej litery wcale nieprzynajmniej

padkowo zaczynają się nazwiska Adolfa Hitlera i Kaspara Hausera. To, że owa runiczna litera była magicznym talizmanem dla Hitlera, potwierdza dziwny fakt: mianowicie nazwiska wielu postaci z najbliższego mu kręgu także zaczynały się od litery „H”:

Heinrich Himmler, okultysta, szef wzbudzającego grozę *Schutzstaffel*, czyli SS. „Putzi” Hanfstaengl, szef propagandy nazistowskiej. Reinhard Heydrich, kat Pragi, szef SD, który zginął w zamachu w Pradze i którego śmierć spowodowała masakrę ludności w całej Czechosłowacji. A weźmy takiego Rudolfa Hessa, najbliższego przyjaciela *Fuhrera*, tego, który pomógł mu napisać *Mein Kampf*, a później stał się jego zastępcą. Hess urodził się i wychował w Egipcie, gdzie przyswoił sobie sporą wiedzę okultystyczną. I to Hess przedstawił Hitlera swojemu byłemu profesorowi Karlowi Haushoferowi, twórcy germańskiej geopolityki i cenionemu teoretykowi nazizmu. A także osobisty fotograf Hitlera Heinrich Hoffmann, który przyczynił się do rozwoju jego kariery i który przedstawił *Fuhrerowi* swoją asystentkę, Ewę Braun; Hitler poślubił ją tuż przed śmiercią. Z kolei w dziedzinie nukleoniki fizyk i chemik Otto Hahn, który razem z Fritzem Strassmannem przeprowadził pierwszą reakcję rozszczepienia jądra atomu; i Werner Heisenberg, który z polecenia Hitlera kierował pracami nad bombą atomową.

Było wielu, którzy podzielali wczesne zainteresowania Hitlera, między innymi Hans Horbiger, twórca *Welteislehre*, czyli teorii powstawania lodowców – koncepcji, według której przyczyną epoki lodowcowej miało być zderzenie się planet – i drugiej, głoszącej, że przed każdym nowym wiekiem zostają zatopione lub zapadają się pod ziemię razem z mieszkańcami jakieś legendarne miasta, takie jak Atlantyda, czy legendarne krańce świata, takie jak Ultima Thule i kraina Hyperborejczyków. Podczas tego rodzaju kataklizmów wielkie morza zamieniają się w pustynię, w taką, powiedzmy, Gobi, gdzie wciąż jeszcze egzystują i rozwijają się podziemne królestwa, zagubione miasta króla Salomona, o których mówił Dacian. Horbiger utrzymywał, że Pan Świata powstanie wraz ze świtem nadchodzącego eonu – co stało się na tyle popularną teorią, że naziści wprowadzili ją do kanonu obowiązującej nauki.

Innym łącznikiem Hitlera z runicznym *Hagel* był astrolog i jednocześnie medium Erik Jan Hanussen, który postawił Hitlerowi horoskop na Boże Narodzenie trzydziestego drugiego. On i Hitler poznali się parę lat wcześniej, w dwudziestym szóstym, w pewnym zamożnym berlińskim domu, i od tej pory Hanussen służył Hitlerowi radami – zwłaszcza w kwestii przemawiania i posługiwania się ciałem w celu hipnotyzowania olbrzymich tłumów. W postawionym pod koniec roku horoskopie Hanussen przepowiedział Hitlerowi sukces, ale tylko pod warunkiem że przeciwstawiające mu się aktualnie „wrogie siły” – a było ich wiele – zostaną pokonane. Hitler miał zatriumfować dzięki zjedzeniu korzenia mandragory, wyciągniętego podczas pełni księżyca z ogrodu w miejscu swego urodzenia, Braunau am Inn. Hanussen sam wyprawił się w podróż, sam wykopał korzeń i własnoręcznie dostarczył go Hitlerowi w dzień noworoczny, do wiejskiego domu w Obersalzburgu.

Hitler zjadł korzeń mandragory, a następnie, wieczorem, poszedł z Ewą Braun, Putzi Hanfstaenglem i kilkoma innymi przyjaciółmi na operę Richarda Wagnera *Śpiewacy norymberscy*. Po operze, jak Hanfstaengl zanotował w swoim dzienniku, Hitler wprowadził przyjaciół w szczegóły ukrytego sensu libretta. To, że znał dzieła Wagnera na pamięć, było dla wszystkich oczywiste.

Następnie, po kolacji u Hanfstaenglów, podpisywał ich gościom książkę, wybijając na pierwszy plan datę: 1 stycznia 1933.

Powiedział Putziem: „Ten rok należy do nas”.

Od tego momentu losy Hitlera rzeczywiście się odmieniły. Już w pierwszym miesiącu trzydziestego trzeciego Adolf Hitler przestał być powszechnie karykaturowanym historycznym błaznem, kierującym skłóconą i niepopularną partią polityczną, i już w pierwszym miesiącu, dokładnie trzydziestego stycznia, został zaprzysiężony na kanclerza Niemiec. Działo się to sto lat po tym, jak ziemia niemiecka została poświęcona, w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim, „królewską krwią” Kaspara Hausera.

Opowieść Wolfganga dobiegła końca, a my znaleźliśmy się u kresu długiej drogi prowadzącej przez pofalowane wzgórza i górskie łąki ku biało-złotym murom klasztoru w Melku, usy

tuowanego nad szeroką, urodzajną doliną Dunaju. Zatrzymaliśmy się na okazałym zwirowanym podjeździe. Wolfgang zgasił silnik i zwrócił się do mnie.

– Jest jeszcze jedno „H”, które wiąże moc runicznego *Hagel*, być może to najważniejsze – powiedział. – W okresie, kiedy młody Adolf Hitler mieszkał w Wiedniu jako borykający się z życiem artysta, mieszkał tam także słynny ojciec duchowy germańskiego pogaństwa, Guido von List. List przeżył mistyczne doświadczenie w roku tysiąc dziewięćset drugim, jako pięćdziesięciolatek. Po pomyślnym przejściu operacji katarakty oślepnął na jedenaście miesięcy. Wówczas to doszedł do przekonania, że dzięki nadprzyrodzonej intuicji udało mu się odszyfrować dawno zapomniane znaczenia runów, poznać tajemnicę ich pochodzenia i mocy. Twierdził także, że dowiedział się o elitarnym zakonie kapłanów Wotana istniejącym w dawnych czasach w Niemczech, i wkrótce ustanowił współczesny zakon

■ ■ takiego kapłaństwa.

W pierwszym wieku naszej ery historyk Tacyt podzielił Germanów na trzy plemiona. List utrzymywał, że te „plemiona” w rzeczywistości były kastami: zewnętrzny krąg tworzyli Ingaevoni, chłopstwo, kolejny – Istaevoni, wojsko, a wewnętrzny – Hermionowie, kapłani-królowie, którzy strzegli sekretu runów.

Ideologią Lista przesiąkło, i to gruntownie, tak wielu, że w tysiąc dziewięćset ósmym powstało Towarzystwo Zachowania Dziedzictwa Germańskiego, w którego poczet weszło kilku najbogatszych, najbardziej prominentnych ludzi w niemieckojęzycznym świecie. Nowy ruch był niczym nowa religia. Później stał się siłą napędową żarliwego niemieckiego nacjonalizmu, który doprowadził do wybuchu pierwszej wojny światowej. W tysiąc dziewięćset jedenastym List stworzył doborowy wewnętrzny krąg w samym towarzystwie, oparty na pogańskim kapłaństwie, i nadał mu nazwę Armanenschaft, dobrze oddającą brzmienie języka niemieckiego. Jedyne członkowie tego nowego kapłaństwa byli w pełni świadomi, że w tej nazwie zawiera się tajemna, niewymawialna siła runicznej litery *Hagel*...

Wolfgang przerwał i popatrzył na mnie, jakby w oczekiwaniu na moją reakcję.

– Masz na myśli imię Hermione? – spytałam ostrożnie.

Zauważyłam, oczywiście, podobieństwo powstałego na przełomie wieków teutońskiego Armanenschaft do imienia żeńskiego przodka w mojej rodzinie, Hermione. A także zrozumiałam, z jakimś rozczarowaniem, że dawna holenderska sierota i wygnanka okazała się, jak dotąd, niewiele znaczącą postacią, której podobno porażająca uroda nie przyniosła niczego poza dwukrotnym małżeństwem, ogromnym spadkiem i przedwczesną śmiercią.

– Interesujące imię, nie sądzisz? – Wolfgang jakoś dziwnie się uśmiechnął. – W mitologii greckiej Hermione była córką pięknej Heleny, porzuconą w wieku dziewięciu lat, kiedy Helena uciekła z Parysem, stając się przyczyną wojny trojańskiej. W języku greckim słowo *herma* znaczy słup – a właśnie taką nazwą ochrzczono dawne plemiona w geograficznym środku Niemiec, a także runiczny stan kapłański: filary. Widzisz więc, jeśli imię Hermione znaczy tyle co Królowa Filaru, to jest kobieta, wokół której wszystko się obraca. Ta, która jest Osią.

MATKI

Mefistofeles: *Nierad tajemnic tych uchylam wieka*

Boginie cne królują w samotności. Przestrzeń

Wokół nich nie istnieje, a czas? Czas mniej jeszcze.

Rozmowa sama o nich już przejmuje dreszczem.

A to są Matki!

Faust: *Matki!*

Mefistofeles: *Straszno ci?*

Faust: *Matki! tak, Matki! – jak to dziwnie brzmi!...*

A droga tam?

Mefistofeles: *Dróg brak w to stopą nie tykane,*

Wiecznie niedotykalne; szlak w nieubłagane,

W nieubłagalne jest. Czy na to stać cię?

Gotówżeś iść? Tam rygli nie trzeba odsuwać,

Samotnie wielkie będą cię zasnuwać.

Wiesz ty, czym są samotnie wielkie ipustacie?...

Ten oto klucz wiesz!...

Zmiarkujesz wnet, co wraz z nim dano ci.

Ten mały klucz osiągnąć to zadatek.

Schodź za nim w dół, zawiedzie cię do Matek.

Johann Wolfgang Goethe, *Faust* przeł. Feliks Konopka

*Kto nie lęka się [kochać] niedoli Ramiona śmierci otworzyć Tańczyć taniec rozwianych nadziei
Do niego przyjdzie Matka.*

Vivekananda

Moja babka Pandora mogła nadać bieg rzeczom przez obdzielenie zawartością swojego kuferka różnych członków mojej rodziny, ale teraz zaczęłam odnosić wrażenie, że nie była jedynym graczem w toczącej się grze. Teraz dotarło do mnie, że tych, którzy zostali obdarowani spuścizną po mojej babce, spłodziły dwie matki – Pandora i Hermione. I że ta nowa oś, królewski filar Hermione, podobnie jak gwoździe wbite w Stock-im-Eisen, może mieć istotne znaczenie w całej rodzinnej sadze.

Prawdę powiedziawszy, co ja właściwie wiedziałam o Hermione Behn, matce Zoe, Earnesta i Lafcadi? I jakie to miało znaczenie, czy jedna, czy wszystkie historie, które o niej słyszałam, były prawdziwe? Czy, jak utrzymywał Laf, była biedną holenderską sierotą, a później bogatą południowoafrykańską wdową, czy, jak powiedział Wolfgang – imienniczką tajnego wotanistyczno-runiczno-aryjskiego kapłaństwa, Armanenschaftu. Jak dotąd wszystko, co jej dotyczyło, od początku do końca, było dla mnie zwykłą chińszczyzną.

Ale oczywiście był jeden trop, na który mogłam wpaść na podstawie wszystkich opinii, mitów i być może absolutnie zmyślonych informacji, którymi karmiono mnie przez kilka ostatnich dni – ten sam trop, który doprowadził Hitlera aż do klasztoru w Melku. Jeśli Hermione w grece oznaczała „oś” i jeśli naprawdę istniały jakieś geograficzne odniesienia do mitologii, jak każdy sądził, to Hermione, której powinnam szukać, na pewno nie figurowała w żadnej książce telefonicznej, w albumie rodzinnym czy w historii wczesnych germańskich plemion. Tę Hermione powinno się znaleźć na mapie.

Kiedy Wolfgang i ja stanęliśmy w hallu prowadzącym do biblioteki, zobaczyłam to od razu: na odległej ścianie, w oszklonej ramie wisiała ręcznie cieniowana stara mapa Europy, z gotyckimi napisami. Podeszliśmy do niej oboje. Czy wisiała na tym samym miejscu siedemdziesiąt pięć lat temu, kiedy przed młodym Adolfem Hitlerem, tak jak dzisiaj przed nami, otworzyły się klasztorne furty?

Legenda obok, w języku niemieckim, francuskim i angielskim powiadała, że mapa pochodzi z dziewiątego wieku, z czasów Karola Wielkiego, i przedstawia miejsca kultów religijnych w całej Europie – kościoły, kaplice i sanktuaria wznoszone od początku naszej ery. Ponieważ imię Hermione zdawało się wskazywać na greckie pochodzenie, wystarczył mi jeden rzut oka, abym je wypatrzyła.

Miejscowość Hermione była portem na południowym wybrzeżu Peloponezu. Na tej mapie kościół chrześcijański był zaznaczony maleńkim krzyżykiem i cyfrą odpowiadającą wiekowi. Co ; ciekawe, w pobliżu zaznaczono cztery inne miejsca, identyfikowane z kultem boga słońca, Apollinem. Zatem

to, co wyraźnie było ważnym ośrodkiem pogańskim, być może przekształcono, jak to wczoraj opisał Dacian, z kultu bogów władających poprzednim eonem, w kult władających nowym. Jeśli jego wywód był słuszny, święte miejsca wieku Barana zostały zastąpione ośrodkami kultowymi nowego wieku, który właśnie świtał dwa tysiące lat temu: epoki Ryb, rybaka ludzi i jego matki Dziewicy, Panny ze zwierzyńca niebieskiego.

Jeśli Hermione wyobrażała oś w siatce świata jeszcze przed powstaniem chrześcijaństwa, powinna być związana z wcześniejszymi pogańskimi centrami, symbolizującymi Barana czy Byka. Popatrzyłam na mapę: Hermione zwracała oblicze ku Krecie, gdzie swego czasu kwitła kultura minojska, współczesna kulturze dawnego Egiptu. Poszłam za linią łączącą Hermione z Kretą, z górą Idą, gdzie Zeus, ojciec mitologicznych bogów, miał za opiekunkę i mamkę kozę Amalteję, tę samą, którą później w dowód wdzięczności wyniósł na niebiosa i umieścił między gwiazdami jako konstelację Koziorożca. Ale wiedziałam także, że był tam inny bóg, którego czczono pod postacią byka i który był równie wpływowy na Krecie; ów bóg stryja Lafa, ten sam, którego – jak mnie stryj zapewniał mogłam zaważać w jakiejś złej godzinie: bóg Dionizos.

Zważywszy na to wszystko, kiedy śledziłam oś Kreta-Hermione-północny zachód, podczas gdy Wolfgang mi kibicował, uznałam za więcej niż interesujące to, że biegła prosto jak z bicza strzelił w samo serce najpotężniejszego ośrodka religijnego starożytności, miejsca dzielonego przez dwóch wielkich bogów: Apollina latem i Dionizosa podczas długich, mrocznych zimowych miesięcy, do czasu powrotu słońca z krainy zmarłych. Tym miejscem, naturalnie, były Delfy.

To tu znajdowała się strzeżona przez węża wyrocznia delficka.

Przez tysiące lat prorocze rzeczniczki Apollina, zwane Pytiami, przepowiadały wydarzenia i zalecały działania, które uzależniały Greków od religii. Żaden starożytny pisarz nie wątpił, że wyrocznia delficka widziała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jako jedną tkaninę czasu. Tak więc miejsce o nazwie Hermione, łączące ośrodki takie jak Delfy i Ida kretańska, z powodzeniem mogło być tą właściwą osią.

Narysowałam palcem niewidzialne X przez oś, robiąc sześciopunktową gwiazdkę, runiczne *Hagel*, jak tamto, które wcześniej, w samochodzie narysował w powietrzu Wolfgang.

Niewątpliwie nie było zwykłym zbiegiem okoliczności, że

pierwsza linia przeszła przez Eleusis, ojczyznę misteriów eleuzyńskich, i pobiegła dalej, do Półwyspu Chalcydyckiego, gdzie wystaje ponad Morze Egejskie góra Atos – miejsce pokryte na mapie dziesiątkami maleńkich krzyżyków. Słynny zespół dwudziestu monastyrów, zbudowany przez cesarza Teodozjusza, protektora świętego Hieronima, był kiedyś główną składnicą starożytnych manuskryptów, wielokrotnie plądrowaną przez Turków i Słowian podczas niezliczonych wojen bałkańskich. Sama góra, jednakowo oddalona tak od greckiego Olimpu, jak od Troi, była widoczna z obydwu stron. Czyżby góra Atos była jeszcze jedną osią?

Druga linia mojej gwiazdki była jeszcze bardziej interesująca. Prowadziła do leżącej nad Alfejosem Olimpji, ojczyzny igrzysk olimpijskich. Spędziłam tam weekend po koncercie Jersey w Atenach. Zrobiłyśmy sobie wycieczkę po kamienistych stokach góry Kronosa. Obok innych słynnych

ruin Olimpii, takich jak świątynia Zeusa, utkwił mi w pamięci Herajon, poświęcony bogini Herze, siostrze i żonie Zeusa, liczący trzy tysiące lat, jedno z najstarszych sanktuariów Grecji.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego (pomijając związki rodzinne), nazwa Hermione zdaje mi się tak znajoma. W mitologii greckiej na tym skrawku lądu wylądowali Hera i Zeus, kiedy przybyli do Grecji z Krety; stąd zaczął się szerzyć ich kult na kontynencie europejskim.

Wolfgang, obserwujący w milczeniu mój palec tropiący kolejne punkty na mapie, teraz zwrócił się do mnie.

– To zdumiewające – stwierdził. – Wystarczyło ci jedno spojrzenie, by dojść do takich skojarzeń, podczas gdy mnie samemu ta mapa nic na dobrą sprawę nie mówiła, mimo że się jej często przyglądałem.

Pojawił się umundurowany strażnik i otworzył nam zabezpieczone solidnymi zamkami wysokie wewnętrzne drzwi. Weszliśmy do złoto-białej barokowej biblioteki opactwa w Melku. Ściana z francuskimi oknami na jej dalekim końcu wychodziła na szeroki terakotowy taras; poranne słońce załamywało się w falach Dunaju jak w najczystszej kryształce i zalewało wielką salę biblioteczną promiennym światłem. Pomocnik muzealny przecierał z kurzu jedną ze szklanych gablot, dzielących salę na mniejsze salki, a jakiś żyłasty, siwowłosy mężczyzna w księżej sutannie, który właśnie poprawiał krzywo stojącą na

półce oprawioną w skórę książkę, obrócił się, uśmiechnął i podszedł do nas.

– Mam nadzieję – odezwał się Wolfgang, ujmując mnie za ramię – że ksiądz nie ma mi za złe prośby o pomoc.

Podeszliśmy bliżej, by się z nim przywitać.

– Profesorze Hauser – angielszczyzna księdza była okraszona włoskim akcentem – jestem szczęśliwy, że tobie i twojej amerykańskiej znajomej udało się przybyć wcześniej, tak jak prosiłem. Już przygotowałem dla was kilka rzeczy. Ale *scusa, signorina**, zapomniałem się przedstawić: jestem ojciec Virgilio, archiwariusz biblioteczny. Proszę mi wybaczyć mój ubogi angielski. Pochodzę z Triestu. – Po chwili dodał z nieco zażenowanym uśmiechem: – Virgilio to dość stosowne imię dla przewodnika: podobnie jak Wergiliusz w *Boskiej Komedii*, prawda?

– Czy to on oprowadzał Dantego po Raju? – spytałam.

– Nie, to była Beatrycze, śliczna młoda kobieta. Wyobrażam sobie, że bardzo podobna do ciebie, dziecko – dodał łaskawie. Poeta Wergiliusz, jeśli wolno mi przypomnieć, oprowadzał go po Czyśćcu, Przedsionku Piekła i po Piekło. Mam nadzieję, że ze mną doświadczyście czegoś lepszego! – Zaśmiał się i dodał jakby po namyśle: – Lecz Dante miał trzeciego przewodnika, o czym pamięta niewiele, tego, którego dzieła są przechowywane wśród naszych zbiorów.

– Kto to był? – zainteresowałam się.

– Święty Bernard z Clairvaux. Postać wielce interesująca wyjaśnił ojciec Virgilio. – Choć był kanonizowany, wielu traktowało go jak fałszywego proroka, a nawet jak Księcia Ciemności, samego

diabła. To on zainicjował drugą wyprawę krzyżową, zakończoną rozbiciem armii krzyżowców i przejściem Ziemi Świętej na powrót w ręce władców muzułmańskich. Święty Bernard przyczynił się także do powołania niesławnego zakonu templariuszy, mającego w swych założeniach bronię świątyni Salomona w Jerozolimie przed zakusami Saracenów, a rozwiązanego dwieście lat później za głoszenie herezji. Tutaj, w Melku, mamy iluminowane teksty wielu kazań, które święty Bernard wygłaszał na podstawie *Pieśni nad pieśniami*, przypisywanych królowi Salomonowi.

* Z wł. „Przepraszam, panienko”.

Ale gdy ojciec Virgilio odwrócił się i ruszył przez długą salę, w mojej głowie rozdzwoniły się odległe dzwony, i to nie z powodu wzmianki o *Pieśni nad pieśniami*. Idąc za naszym pasterzem, obrzucałam spojrzeniem półki z książkami po prawej stronie i zasoby imponujących szklanych gablot po lewej. I łamałam sobie głowę: co takiego jest w tym na czarno ubranym księdzu, co maści mój wewnętrzny spokój. Przede wszystkim Wolfgang, planując dzisiejszy rozkład zajęć, w ogóle nie wspominał o jakimkolwiek duchowym przewodniku ani o zakonach rycerskich, o których powinnam posiadać jaką taką wiedzę. Najeżona, przyglądałam się ojcu Virgiliowi, idącemu przodem, i szukałam dziury w całym.

Bez tych księżowskich szat – za to w ciemnym, podniszczonym kapeluszu – ojciec Virgilio mógłby być żywym odbiciem kogoś innego. Wtedy przypomniałam sobie, że tamte dwa wyszeptane w winnicy słowa, z wczorajszego wieczoru, zostały wypowiedziane po angielsku, nie po niemiecku. Nim ojciec Virgilio zdążył się zatrzymać przed wielką oszkloną gablotą przy końcu sali i odwrócić się do nas, mnie ogarnęła zwyczajna wściekłość.

– Czyż nie jest to wspaniałe dzieło sztuki? – Ojciec Virgilio wskazał na ręcznie iluminowany, dopracowany w każdym szczególe manuskrypt za szkłem, patrząc na mnie zza Wolfganga niewinnymi oczami i obracając w palcach swój krucyfiks.

Kiwnęłam głową z wymuszonym uśmiechem i powiedziałam swoim chropawym niemieckim:

– *Also, Vater, wenn Sie nun hier mit uns sind, was tut heute Hans Claus?**

Ksiądz popatrzył zmieszany na Wolfganga, – a ten odwrócił się do mnie i rzekł:

– *Ich wuBte nicht, daB du Deutsch konntest***.

– *Nicht sehr viel, aber sicherlich mehr als unser österreichischer Archivar hier**** – odparowałam chłodno.

– Myślę, że na razie nie potrzebujemy twojej pomocy, ojciec powiedział Wolfgang do księdza. – Czy mógłby ojciec poczekać gdzieś w pobliżu, a my tymczasem porozmawiamy chwilę?

* Zatem ojciec, jeśli ojciec jest tu teraz z nami, co porabia dzisiaj „Hans Claus”?

** Nie miałem pojęcia, że mówisz po niemiecku.

*** Nie za wiele, ale na pewno lepiej niż ten tutaj austriacki archiwariusz.

Virgilio skłonił się dwa razy, kilka szybkich *scusa*, i już go nie było.

Wolfgang oparł się o szklaną gablotę, skrzyżował ramiona i jakby nigdy nic przyglądał się pozłacanemu manuskrypcy. W szybie odbijał się zarys jego przystojnej, patrycjuszowskiej twarzy.

– Wspaniałe, prawda? – zauważył nonszalancko. – Choć oczywiście, tę kopię zrobiono kilkaset lat po śmierci świętego Bernarda...

– Wolfgang – wkroczyłam ostro w tę jego nonszalancję.

Wyprostował się i spojrzał na mnie czystymi, szczerymi turkusowymi oczami.

– Tamtego ranka w moim mieszkaniu w Idaho zapewniłeś mnie, o ile dobrze pamiętam, że zawsze będziesz mi mówił prawdę. Właściwie o co tu chodzi?

Sposób, w jaki patrzył na mnie, mógłby z powodzeniem stopić górę lodową *Titanica* i przyznaję, że to zadziałało. Co więcej – za chwilę miało się okazać, że Wolfgang jeszcze nie wystrzelił całej swojej amunicji.

– Kocham cię, Ariel – rzekł prosto z mostu. – Jeśli mówię, że są pewne sprawy, co do których powinnaś mi po prostu zaufać, spodziewam się, że to właśnie zrobisz. Że mi zaufasz... że uwierzysz we mnie. Czy wyrażam się jasno?

– Obawiam się, że nie – powiedziałam twardym tonem.

Muszę mu oddać sprawiedliwość: nie był zaskoczony. Był

wyciszony, skupiony i zdawał się na coś czekać. Nie byłam pewna, jak wyrazić to, co powinnam.

– Tej nocy zdawało mi się, że ja też cię kocham – wyznałam szczerze. Jego oczy zwęziły się tak samo jak wtedy, kiedy mijał mnie w hallu w mojej robocie. Mimo to nie potrafiłam ukryć rozczarowania. – Jak mogłeś kochać się ze mną tak, jak się kochałeś – obejrzałam się za siebie, czy nikt nas nie podsłuchuje – a potem nagle zmienić front i okłamywać mnie, tak jak tam, w winnicy? Kim jest ten przeklęty „ojciec Virgilio”, snujący się za nami wszędzie niczym widmo?

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienie. – Potarł dłonią oczy i znów popatrzył na mnie. – Ojciec Virgilio naprawdę jest księdzem z Triestu; znam go od lat. I faktycznie pracuje dla mnie, choć nie w takim charakterze, jak ci to wczoraj przedstawiłem. Ostatnio właśnie tutaj, w tej bibliotece. I naprawdę chciałem, żebyś go poznała... ale nie w ten sposób i nie o takiej późnej porze jak wczoraj, kiedy ja... kiedy moje myśli były zaprzątnięte czymś zgoła innym. – Uśmiechnął się skromnie. W końcu to przecież ksiądz.

– Więc po co rano zawracałeś mi głowę tym całym Hansem-Clausem, wiedząc, że i tak go spotkamy?

– Przejąłem się wczoraj wieczorem, słysząc, że Virgilio kogoś ci przypomina – wyjaśnił Wolfgang. – Więc rano, gdy przyłapałaś mnie na tym drobnym przejęzyczeniu, już było za późno na odkręcanie wszystkiego. No i czy mogłem przypuszczać, że rozpoznasz go jedynie po zarysie

sylwetki, z daleka, i do tego po nocy?

Wciąż prześladowało mnie to uczucie dejawu, że ja już widziałam ojca Virgilia wcześniej niż ostatniej nocy. Ale powstrzymałam się od dalszych pytań.

– Masz prawo pogardzać mną za to, co zrobiłem – rzekł Wolfgang przeprasząco. – Ale o tym, że nie będę towarzyszył tobie i Dacianowi Bassaridesowi podczas lunchu, dowiedziałem się w ostatniej chwili... ten człowiek jest tak nieprzewidywalny! Nie byłbym zaskoczony, gdyby cię w jakiś sposób zaczarował i porwał, i to na zawsze. Na szczęście wybrałem kawiarnię, gdzie wszyscy znają mnie wystarczająco dobrze, by przyjąć Virgilia w charakterze „chwilowego pracownika” – aby miał oko na ciebie...

A więc to tak! Nic dziwnego, że wydał mi się znajomy tam, w winnicy. W moim szaleńczym zaambarasowaniu wczorajszego popołudnia w Cafe Central prawie nie zauważałam twarzy wokół siebie, a jednak w jakiś sposób pewnie utkwilo mi w pamięci, że raz po raz zjawiała się przy naszym stole z drobnymi posługami ta sama osoba. Teraz, rozdarta między uczuciem ulgi a niepewnością, zastanawiałam się w cichości ducha, jak dużo nasz naprędce przeszkolony młodszy kelner podsłuchał z mojej i Daciana rozmowy. Chociaż wyglądało na to, że Wolfgang starał się jedynie mnie ochronić przed dziwactwami mojego nie znanego dziadka, to jednak skłęłam się za brak czujności. Za brak tego, czego Sam uczył mnie przez całe dzieciństwo.

Tak czy inaczej, nie była to właściwa pora na snucie domysłów czy zapuszczanie się w próżne rozmyślenia. Ojciec Virgilio, zerkając przez drzwi wejściowe, wyraźnie dawał nam do zrozumienia, że minęło dość czasu, aby zapomnieć o całym zamieszaniu, i że powinien do nas wrócić. Zobaczywszy go, Wolfgang nachylił się do mnie i powiedział szybko:

– Jeśli czytasz po łacinie choć w połowie tak dobrze, jak mówisz po niemiecku, nie powinienem komentować w obecności Virgilia pierwszego wersu z manuskryptu świętego Bernarda: to mogłoby uprawić go w zakłopotanie.

Popatrzyłam na otwartą książkę i potrząsnęłam głową:

– Co to znaczy?

– Miłość niebiańska jest osiągalna przez miłość cielesną odpowiedział mi z konspiracyjnym uśmiechem. – Wiesz, w jakiejś sposobnej chwili, chętnie bym to z tobą przetestował...

Ojciec Virgilio przyniósł ze sobą mapę Europy, współczesnej Europy. Rozłożył ją na stole na krzyżakach i powiedział:

– Godne odnotowania jest to, że od najdawniejszych czasów totemem tajemniczego plemienia w tym regionie świata była niedźwiedzica i że to plemię wręcz mistycznie czciło pewną substancję o wielu alchemicznych właściwościach: sól.

NIEDŹWIEDZICE

Kiedy miałam siedem lat, nosiłam święte naczynia... kiedy miałam lat dziesięć, byłam młodą niedźwiedzicą Artemidy braurońskiej, ubraną w krótką jedwabną tunikę w kolorze szafranu.

Bernard Sorrel – rodowe nazwisko świętego – urodził się w roku pańskim tysiąc dziewięćdziesiątym pierwszym, u zarania wojen krzyżowych. Pochodził z bogatej szlachty z Franche-Comte, przez matkę był spokrewniony z burgundzkimi diukami z Montbard – „Niedźwiedziej Góry”. Rodowy zamek, Fontaines, był usytuowany między Dijon w północnej Burgundii a Troyes w Szampanii – regionie winnic, dokąd winny krzew został sprowadzony z Italii i gdzie uprawiano go od czasów starożytnych.

Ojciec Bernarda zmarł podczas pierwszej krucjaty. Kiedy wkrótce zmarła jego ukochana matka, chłopiec, który jeszcze nawet nie ukończył szkół i zawsze był słabego zdrowia, załamał się nerwowo. W wieku dwudziestu dwu lat wstąpił do zakonu benedyktynów. Gdy się poważnie rozchorował, zamieszkał w pobliskim majątku, w małym domku podarowanym mu przez jego protektora Hugues'a de Paynsa, rycerza z Troyes w Szampanii, gdzie odzyskał siły. W następnym roku Hugues de Payns odwiedził Ziemię Świętą, by na własne oczy zobaczyć nawrócone na wiarę chrześcijańską Królestwo Jerozolimskie, które założono po pierwszej krucjacie. Po powrocie do ojczyzny przekazał Kościołowi część majątku: dziką dolinę Glairvaux, sąsiadującą z rzeką Aube. Tam, w wieku dwudziestu czterech lat, Bernard Sorrel założył opactwo i został pierwszym opatem Clairvaux.

Znamienne dla naszej historii jest to, że Clairvaux leży w samym sercu regionu, który w dawnych czasach obejmował dzisiejszą francuską Burgundie, Szampanię, Franche-Comte, Alzację i Lotaryngię i graniczące z nimi ziemie Luksemburga, Belgii i Szwajcarii. Kiedyś tym regionem władali Saliowie, „ludzie soli”. Owi Saliowie, czyli Frankowie saliccy, utrzymywali, że ich przodek – Meroweusz Narodzony z Morza – był synem dziewicy, która została zapłodniona podczas kąpieli w słonej wodzie. Jego potomkowie, Merowingowie, żyli w czasach króla Artura. Wierzono, że podobnie jak legendarny król celtyckich Brytów, posiadają magiczne moce związane z osią biegunową i dwiema niebiańskimi niedźwiedzicami. Imię Artur znaczy „niedźwiedź”, a na wojennym proporcu Merowingów widniała postać stojącej na tylnych łapach groźnej niedźwiedzicy.

Ten związek między solą i niedźwiedziami wywodzi się od dwóch bogiń starożytnych misteriów. Pierwsza to Afrodyta, która podobnie jak Meroweusz narodziła się z morskiej piany, ze słonej morskiej wody. Afrodyta włada Gwiazdą Poranną i Wieczorną. Druga to Artemida, dziewicza bogini niedźwiedzica, której symbolem jest księżyc, kierujący nocą przyływami morza. To tworzy oś między świtem a nocą, a także między niebiańskim biegunem niedźwiedzicy a niezgłębionym morzem.

Nie jest przypadkiem, że wiele nazw miejscowości w omawianym regionie ma związek z tymi dwoma aspektami. Nazwa

Clairvaux, łacińska *clara vallis*, znaczy „jasna dolina”, a Aube, tamtejsza rzeka, to po francusku „świt”, „jutrzienka”. Porównywalne lub może większe znaczenie mają nazwy zaczynające się od *arc-*, *ark-*, *art-*, jak Ardeny, nazwane od *Arduinna*, belgijskiej wersji Artemidy – i germańskie *bar* lub *ber*, zawarte w takich nazwach jak Berno czy Berlin. Wszystkie te nazwy, oczywiście, podobnie jak samo imię Bernard, mają związek ze słowem „niedźwiedź”.

Przez pierwszych dziesięć lat kierowania opactwem Bernard de Clairvaux szybko – ktoś by

powiedział: w cudowny sposób doszedł do szczytu potęgi, stał się pierwszą osobistością wśród francuskiego duchowieństwa i powiernikiem papieża. Kiedy wybrano dwóch papieży na dwóch oddzielnych konklawe, włoskim i francuskim, to właśnie opat Clairvaux przyczynił się do zakończenia schizmy i on też osadził na papieskim tronie własnego kandydata, Innocentego II. Po pierwszym sukcesie przyszedł kolejny: za namową Bernarda papież Eugeniusz III, były mnich z Clairvaux, ogłosił podjęcie drugiej krucjaty. Bernard przyczynił się także do usankcjonowania przez Kościół zakonu templariuszy, duchownego zakonu rycerskiego, założonego przez jego wuja Andre de Montbard i jego protektora, rycerza Hugues'a z Troyes.

Wyprawy krzyżowe rozpoczęły się wraz z nowym milenium i ciągnęły przez dwieście lat. Ich celem było uwolnienie Ziemi Świętej spod jarzma „niewiernych”, czyli wyznawców islamu, i zjednoczenie Wschodniego i Zachodniego Kościoła, Konstantynopola i Rzymu we wspólnej walce o Jerozolimę. Szczególnie ważne było przejęcie przez Zachód kontroli nad głównymi ośrodkami kultów religijnych, takimi jak świątynia Salomona.

Prawdziwą, pierwszą świątynię Salomona, wzniesioną tysiąc lat przed Chrystusem, niecałe pięć wieków później zburzyli Babilończycy. Chociaż sama świątynia została odbudowana, to jednak wiele świętych obiektów przepadło bez wieści, łącznie z Mojżeszową Arką Przymierza, którą sprowadził do Jerozolimy ojciec Salomona, król Dawid. Ta odbudowana, zwana Drugą, ta, którą tuż przed przyjściem na świat Chrystusa powiększył i której dodał blasku Herod Wielki, została z kolei zrównana z ziemią przez Rzymian w siedemdziesiątym roku naszej ery i już nigdy nie podniosła się z ruin. Tak więc „świątynia” strzeżona przez templariuszy podczas krucjat, to były właściwie dwie islamskie budowle wzniesione w ósmym wieku, a mianowicie meczet al-Aksa, czyli „położony najdalej od Mekki”, i meczet Kubhat as-Sachra, czyli „Kopuła na Skale”, wzniesiony w miejscu dawnego klepiska Dawida i pierwszego w Ziemi Świętej hebrajskiego ołtarza.

Poniżej tych dwóch meczetów biegnie cały system akweduktów, podziemnych grot i tuneli, których budowę rozpoczęto jeszcze przed czasami króla Dawida i o których wspominano wielokrotnie w Biblii jak o czymś, co niby plaster miodu pokrywa całe Wzgórze Świątynne. W tych katakumbach znajdują się także „stajnie Salomona”, grotty używane przez templariuszy, rzekomo mogące dać schronienie dwu tysiącom koni. Jeden ze zwojów ąmrańskich znad Morza Martwego, zwój miedziany, wymienia pozycje skarbu, który kiedyś ukryto w tych grotach, między innymi starożytne hebrajskie święte przedmioty i manuskrypty oraz włócznię, którą przekłuto bok Chrystusa.

Włócznię tę znaleźli krzyżowcy podczas oblężenia Antiochii syryjskiej. Więzieni przez Saracenów przez miesiąc między zewnętrznymi i wewnętrznymi murami miasta, z głodu zabijali własne konie i zwierzęta juczne. Pewien mnich doznał wówczas wizji, że legendarna włócznia została ukryta w podziemiach kościoła św. Piotra, tuż pod ich stopami. Krzyżowcy wydobyli z ziemi włócznię i ponieśli ją jak proporzec. Jej moce dopomogły im zdobyć Antiochię i podjąć zwycięski marsz na Jerozolimę.

Nazwa Frankowie, czyli *Franko* w staro-górnoniemieckim, znaczy „włócznia”. Plemiona germańskich wojowników okazały się tak potężne i budzące grozę, że kronikarze arabscy nazywali wszystkich krzyżowców Frankami.

Chociaż druga wyprawa krzyżowa, zainicjowana przez Bernarda de Clairvaux, okazała się katastrofą – ojciec Virgilio zmierzał do końca swojej opowieści – za jego życia templariuszom wciąż wiodło się świetnie. Co do samego opata, ten zadał sobie osobliwy trud napisania setki alegorycznych i mistycznych kazań, opartych na starotestamentowej *Pieśni nad Pieśniami*. Zdążył napisać ich osiemdziesiąt sześć. Jeszcze osobliwszą sprawą jest to, że Bernard identyfikował się z Sulamitką, smagłą oblubienicą z winnic, podczas gdy Salomona, jej ukochanego

króla, utożsamiał z Kościołem. Niektórzy są przekonani, że *Pieśń* jest zaszyfrowaną formą starożytniej ezoterycznej inicjacji, tajemniczego rytuału, który ongiś dostarczał klucza do tajemniczych obrządków religijnych, i że Bernard rozszyfrował jej znaczenie. A Kościół? Kościół kanonizował Bernarda już dwadzieścia lat po jego śmierci, w tysiąc sto pięćdziesiątym trzecim roku.

– A co z zakonem templariuszy, do którego założenia się przyczynił? – spytałam. – Powiedziałeś nam, ojcze, że później ów zakon został oskarżony o herezję i rozwiązany.

– O jego losie napisano setki książek – podjął wątek Virgilio. – Porównywało się go do gwiazdy, która nagle pojawia się na niebie, płonie jasnym blaskiem przez dwa stulecia, następnie równie nagle znika. Pierwotnym zadaniem templariuszy, wyznaczonym przez papieża, była ochrona pielgrzymów podróżujących do Ziemi Świętej i ochrona Wzgórza Świątynnego. Ale ci Biedni Rycerze Chrystusa wkrótce przeistoczyli się w pierwszych bankierów Europy, co zapewniło im ogromne wpływy polityczne. Pod koniec XIII wieku przenieśli się do Francji, a ich finansowa potęga, ich przywileje, wpływy i zeświecczenie wzbudziły zawiść wśród koronowanych głów Europy. Ostatecznie templariusze zostali oskarżeni tak przez Kościół, jak i państwo w osobie Filipa IV Pięknego, o herezję, zdradę i satanistyczne dewiacje seksualne. Zostali wyłapani co do jednego, torturowani i spaleni na stosie inkwizycji.

Co do wielkiego skarbu templariuszy – dodał jeszcze – wśród jego inwentarza miały się rzekomo znajdować święte przedmioty o nadzwyczajnych mocach, takie jak miecz świętego Piotra i włócznia Longinusa, no i oczywiście sam święty Graal... czyli przedmioty, których poszukiwało rycerstwo średniowieczne, łącznie z Parsifalem i sir Galahadem. Jednakże aż do dzisiaj miejsce przechowywania skarbu jest okryte tajemnicą.

Oczywiście nie przeoczyłam paraleli między średniowiecznym dreszczowcem ojca Virgilia a detalami z poprzednich opowieści, którymi raczyli mnie wszyscy inni. Mam na myśli wzmianki o królu Salomonie i jego świątyni, od czasów królowej Saby aż do krzyżowców. Ale opowieść ojca Virgilia zdawała się prowadzić także gdzie indziej, czyli ponownie do mapy. Chociaż nie zdołałam zrozumieć całego wzoru, miałam przynajmniej nadzieję, że powiązę kilka luźnych nici. Zresztą zrobił to za mnie Wolfgang. Przed nami, na stole na krzyżakach, wciąż leżała rozłożona mapa.

– To nie do uwierzenia – powiedział ze zdumieniem – ile można wyczytać z mapy, kiedy się jej człowiek dobrze przyjrzy. Teraz widzę, jak wiele z pradawnych eposów bohaterskich... choćby *Edda*, a nawet pierwsze legendy o świętym Graalu, spisane przez Chretien de Troyes... opisuje bitwy i wydarzenia z tego rejonu świata. Richard Wagner, tworząc słynny cykl *Pierścienia*, który zresztą tak bardzo podziwiał Hitler, sięgnął do germańskiego eposu *Pieśń o Nibelungach*. Opowiadał on o odparciu Hunów pod wodzą Attyli przez dzielnych Nibelungów... czyli

Merowingów.

– Ale to wszystko zdarzyło się na długo przed wyprawami krzyżowymi – zauważyłam. – Nawet jeśli mówimy o jednym i tym samym kawałku ziemi, jak powiązać go z Bernardem czy templariuszami, żyjącymi setki lat później?

– Historia – rzekł ojciec Virgilio – to materia, która jest przykrawana według wcześniejszej miary. W tym wypadku nawiązuje do trzech królestw: jedno tkwi fundamentami w Jerozolimie, ustanowione przez Dawida, ojca Salomona; drugie założyli Merowingowie w piątym wieku w Europie; i trzecie, chrześcijańskie Królestwo Jerozolimy, ustanowione pięć wieków później przez krzyżowców, przez mężów, którzy pochodzili z tego samego regionu Francji. Istnieje na ten temat wiele teorii, ale spoiwem wszystkich jest krew.

– Krew? – powtórzyłam.

– Niektórzy twierdzą, że Merowingowie wnieśli w swych żyłach świętą krew – wyjaśniał niestrudzenie ojciec Virgilio. – Krew, która być może płynęła w żyłach brata Chrystusa, Jakuba, czy nawet potomkach tajemnego małżeństwa zawartego między Magdaleną a Jezusem. Inni powiadają, że krew Zbawiciela została zebrana przez Józefa z Arymatei do świętego Graala, kielicha, który później Magdalena przywiozła do Francji i który miał przetrwać do czasów, kiedy nauka potrafi przywrócić istotę ludzką do życia.

– Ojciec ma na myśli coś w rodzaju DNA czy klonowania? – spytałam, krzywiąc się.

– Takie poglądy, oczywiście, są nie tylko heretyckie, lecz, niech mi będzie wolno zauważyć, po prostu głupie – powiedział ojciec Virgilio, uśmiechając się z przymusem. – Jeśli chodzi o linię genetyczną, naprawdę wiemy tylko jedno: wszyscy królowie Jerozolimy podczas chrześcijańskich nad nią rządów pochodzili od jednej kobiety, Idy z Lotaryngii.

Do tej pory słyszałam jedynie o górze Idzie. A właściwie o dwóch górach. Pierwsza, na Krecie, była miejscem narodzin Zeusa, głównym ośrodkiem kultu Dionizosa, i miejscem związanym z Hermionie na Peloponezie. Na drugiej, na wybrzeżu dzisiejszej Turcji, odbył się sąd Parysa, stąd także bogowie obserwowali przebieg wojny trojańskiej. A oto teraz pojawiała się trzecia Ida, kobieta, która według księdza z Triestu była żeńskim przodkiem wszystkich chrześcijańskich królów panujących w Jerozolimie przez dwieście lat. Kobieta z tego regionu świata, o którym właśnie mówiliśmy. I najwyraźniej nie był to koniec opowieści ojca Virgilia.

– Historia przez duże „H” w czasach rozkwitu średniowiecza w Europie – ciągnął duchowny – nie sprowadzała się do wypraw krzyżowych, lecz raczej do krwawej wendety między dwoma rodami, którym historycy przydali nazwy włoskie, choć chodziło o książąt szwabskich i saskich. Pierwszych nazwali gibelinami, od zamku Weiblingen, rezydencji Hohenstaufów, drugich gwelfami, od imienia założyciela dynastii, Welfa I, a We//po niemiecku znaczy szczenię czy w ogóle młode dzikich zwierząt, także niedźwiedzia. Krew tych adwersarzy, dzięki małżeństwu, połączył jeden człowiek, przez przypadek także protegowany Bernarda z Clairvaux. Tym człowiekiem był Fryderyk Barbarossa, który przeżył klęskę drugiej krucjaty, by wkrótce stać się władcą Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Jako pierwszy władca, który połączył w swoich żyłach potężne linie genealogiczne dwóch germańskich plemion, znaczących historię średniowiecza śladem własnej krwi, Barbarossa był uważany za zbawcę narodu niemieckiego, kogoś, kto pewnego dnia miał go zjednoczyć i zapewnić mu przywództwo nad światem.

Aby przysporzyć Niemcom potęgi i chwały, doprowadził do trzeciej krucjaty. Miał wtedy sześćdziesiąt trzy lata. Ale w drodze do Ziemi Świętej utonął w tajemniczych okolicznościach podczas przeprawy przez rzekę Salef w Cylicji. Legenda głosi, że Barbarossa nie umarł, lecz że śpi do dzisiaj w jaskini w górach Kyffhauser w Turynii, w samym sercu Niemiec, i że w krytycznej dla narodu niemieckiego chwili powstanie i przyjdzie mu z pomocą. – Dziecko – ojciec Virgilio zwrócił się do mnie czy przypomina ci to inną historię?

Potrząsnęłam głową, gdy tymczasem Wolfgang położył palec na mapie i powoli zaczął zakreślać nim kółko wokół regionu, o którym opowiadał Virgilio. Zamarłam, kiedy się odezwał.

– Według architekta Hitlera, Alberta Speera – powiedział, też zwracając się do mnie – to ta sama okolica, gdzie Heinrich Himmler chciał stworzyć po zwycięskiej wojnie „państwo SS”. Himmler zamierzał osadzić tam swoje doborowe oddziały szturmowe, pożenić żołnierzy z rasowo czystymi kobietami dobrany –

mi przez ośrodek badań genetycznych przy SS i stworzyć z nich i ich dzieci oddzielną Rzeszę. Chciał oczyścić germańską krew i odnowić mistyczne więzi z dawną germańską ziemią. Popatrzyłam na niego przerażona, ale on mówił dalej: – Hitler nazwał swoją napaść na Rosję Planem Barbarossy zapewne dlatego, by obudzić ducha cesarza Fryderyka. Chciał odwołać się do magicznej krwi dawnych Merowingów. Zamierzał zaprowadzić nowy porządek w świecie, nową utopię opartą na czystości krwi.

fe.

KREW

Panuje przekonanie, że krew płynąca w żyłach [Merowingów] obdarzała ich magiczną mocą: mogli samym przejściem przez pola sprawiać, że ziemia rodziła plony, rozumieli pieśń ptaka i odgłosy dzikich zwierząt i byli niepokonani w walce, pod warunkiem że nie obcinali włosów...

Pepinowi [pierwszemu z dynastii Karolingów] brakowało magicznych sił właściwych królewskiej krwi. Pepin zabiegał o błogosławieństwo Kościoła... aby wykazać, że rządzi z nadania boskiego, nie z dziedzictwa krwi. Tak więc Pepin był pierwszym monarchą, który rządził z łaski Boga. Dla podkreślenia ważności tego aktu Pepin został namaszczony dwa razy, drugim razem wspólnie z dwoma synami [Karolem Wielkim] i Karlomanem, [by połączyć] nową koncepcję monarchii, tę z nadania boskiego, z niemiecką – z nadania przez krew.

Martin Kitchen, *Cambridge Illustrated History of Germany*

w

Tyberiada w Galilei wiosna A.D. 39

INTROIT

W owym czasie [Herod Antypas] był prawie całkowicie pod wpływem kobiety, która sprowadziła na niego całą serię nieszczęść.

Emil Schiirer, *The History of the Jewish People in the Age of Jesus*

Christ

Przyczyną nieszczęść nam zadanych Zawsze bywają jakieś damy

Gilbert and Sullivan

Herod Antypas, tetrarcha Galilei i Perei, stał z szeroko rozłożonymi ramionami pośrodku swoich królewskich komnat, tak jak każdego ranka, podczas gdy trzech niewolników przygotowywało go do wyjścia na sale audiencyjne. Niewolnicy wiązali rzemienie ciężkiego od paradnych łańcuchów złotego napierśnika i drapowali na ramionach tetrarchy czerwone szaty. Dokończywszy porannej garderoby, przyklękli i zostali odprawieni przez wyzwolenca Heroda, Attyka. Ten z kolei ruszył ku rozstawianym na zewnątrz strażom, pilnującym przemarszu tetrarchy z prywatnych apartamentów do imponującego pałacu w Tyberiadzie.

i UMiii

Ten długi, odbywany w milczeniu spacer był jedyną okazją w ciągu całego dnia, kiedy Herod Antypas miał czas na myślenie. A tym razem z pewnością miał o czym myśleć. Zdążył się już bowiem dowiedzieć, jaki koszmar czeka go w salach audiencyjnych: dopiero co przybyły wysłannik z letniej cesarskiej rezydencji w Bajach, wysłannik Kaliguli, cesarza, który – o czym Antypasowi nie wolno było zapomnieć ani na chwilę – uważał się za boga.

Ze wszystkich nieszczęść, które spadły na Antypasa ostatnio, to, jak podejrzewał, mogło się okazać najgorszym. I, podobnie jak w czasie poprzednich kryzysów, na pewno miało dotknąć jego rodzinę. Możliwe, pomyślał nagle ogarnięty wisielczym humorem Antypas, że podatność na nieszczęścia to kod genetyczny naszej krwi. Według dość rozpowszechnionej opinii, w niedługiej historii dynastii Herodów nie brakowało problemów wynikających z rodzinnych koligacji. Małżeństwa między krewnymi, spory wewnętrzne, przelewanie krwi czy masakry wyglądały na coś, w czym Herodowie znajdowali szczególne upodobanie.

To zrakowacenie linii genetycznej Herodów sięgało korzeniami do ojca Antypasa, Heroda Wielkiego, człowieka pogrążonego w zmysłowości, chciwego i zachłannego, człowieka, który gasił żądzę bogactw i władzy krwią własnych bliskich, który miał dziesięć żon i dziesiątki potomstwa, i który kazał wielu z nich stracić na podobieństwo składanych w ofierze zwierząt.

Herod Antypas swego czasu raczej nie miał wielkich nadziei na sukcesję. Jednak czterdzieści lat temu, po śmierci ojca, w związku z niespodziewanym deficytem spadkobierców królestwo przypadło w udziale jemu, jego bratu Archelausowi i jego przyrodniemu bratu Filipowi z Jerozolimy. Teraz, po śmierci obu braci, sześćdziesięcioletni Antypas był ostatnim Herodem, wciąż władającym prowincjami żydowskimi. Ale również teraz wszystko się zmieniło – wskutek, po większej części,

intryg jego ambitnej żony Herodiady.

Antypas wiedział od dawna, od samego początku, że przez tę miłość, to pożądanie, tę obsesyjną namiętność do Herodiady jego żony i bratanicy, która, kiedy się poznali, była poślubiona innemu z braci przyrodnich Heroda, Herodowi Filipowi z Rzymu – ciąży na nim klątwa. I że odbicie legalnej żony brata nie spodobało się jego poddanym tu, w Galilei; że było raną na tkance ich moralności, rozjątrzoną następnie przez rozwód Antypasa z pierwszą żoną, księżniczką królewskiej krwi.

Na domiar złego dziesięć lat temu, na żądanie Herodiady i jej córki Salome, Antypas skazał na śmierć żydowskiego duchowego przywódcę, wywodzącego się ze społeczności esseńczyków, jedynie za to, że ten publicznie nazwał żonę tetrarchy wszeteczną. Nie usatysfakcjonowana ścięciem głowy człowieka jedynie dla ratowania własnej reputacji, żadna władza Herodiada znów upominała się o to samo – tym razem wewnątrz ich własnej rodziny.

Ponad czterdzieści lat temu, kiedy jej ojciec został stracony przez Heroda Wielkiego, mała Herodiada i jej brat Herod Agryppa zostali wywiezieni przez matkę do Rzymu, gdzie dorastali razem z dziećmi rodziny cesarskiej. Agryppa był rozpieszczony i zepsuty do granic możliwości. Teraz, prawie pięćdziesięcioletni hulaka i rozpustnik, uwierzył, że powinien być królem. I właśnie tu tkwił problem. Zawdzięczając to przyjaźni z Kaligulą, Agryppa faktycznie stał się królem.

Z chwilą śmierci Tyberiusza Kaligulą – ten niegodziwy dzieciak-tancerz, który odziedziczył cesarstwo – uwolnił Agryppę z więzienia i obsypał go darami, prowincjami i tytułami, z taką samą rozrzutnością, z jaką szybko, bo w mniej niż rok, roztrwonił fortunę Tyberiusza: dwadzieścia siedem milionów aureusów. Pośród innych darów Kaligulą dał Agryppie prowincje, które według Herodiady powinny przypaść jej mężowi Antypasowi, łącznie z uświęconą ziemią, tą z grobem Abla, syna Adama i Ewy – z miejscem, gdzie została przelana pierwsza człowiecza krew.

Hebrajczycy zawsze zmagali się z paradoksem krwi, bo czyż ich bóg – przykazaniem „Nie zabijaj” – nie zakazywał przelewu krwi w ogóle? Choć Antypas był tylko nawróconym żydowskim synem matki Samarytanki, nieważne, czy liczył się z przykazaniami Hebrajczyków, czy nie, i tak wychodziło na to, że ów zakaz okazał się dla niego próbą i zarazem przekleństwem. A teraz nadchodziła chwila, kiedy miał raz jeszcze przejść podobną próbę i raz jeszcze ściągnąć na siebie klątwę.

Herod Antypas dobrze znał truciznę żądzdy władzy wciąż krążącą w żyłach jego ambitnych krewnych, zwłaszcza jego żony. Upokorzona tym, że jej brat został królem, podczas gdy mąż

wciąż był zaledwie tetrarchą, Herodiada nie dawała mu spokoju tak długo, aż zgodził się wysłać posłannictwo z Galilei do Rzymu z darami dla chciwego młodzieńczego cesarza, aby go nimi przekupić i zjednać. Ale takie posunięcie niestety jedynie obróciło się przeciwko nim: wysłaniec Kaliguli, właśnie przybyły z Bajów, przywoził listę kolejnych darów, których życzył sobie Kaligula. Na tej liście było coś, od czego serce Antypasa nagle się skurczyło: był to przedmiot owszem, wartościowy, ale przede wszystkim miał on wielkie znaczenie dla niego i tylko dla niego.

Cofnijmy się do dnia, kiedy Herod Antypas i Herodiada wybrali się do położonej na wschód od Morza Martwego twierdzy Macheront, ufortyfikowanej przez Heroda Wielkiego, aby tam uczcić

urodziny tetrarchy. Była z nimi Salome, młoda, piękna córka Herodiady. Zachwycony czarującym tańcem pasierbicy Antypas przyrzekł spełnić każde jej życzenie. Oczywiście wybór miejsca nie był przypadkowy; Herodiada dobrze wiedziała, że właśnie w tej twierdzy jest uwięziony, i to od dawna, jej znenawidzony wróg. Za poduszczeniem matki właśnie jego głowy, jako zapłaty za taniec, zażądała Salome.

Tamta okropna scena wciąż nawiedzała sny Antypasa. Nawet teraz, po tylu latach, robiło mu się niedobrze na samo jej wspomnienie. Herodiadzie, ogarniętej furją, nienasyconej tą makabryczną śmiercią, potrzebny był następny triumf. Rozkazała ściętą głowę ofiary wnieść do wielkich podcieni, tam, gdzie ucztowano – i mój Boże, wniesiono ją, a jakże, niczym przystrojoną głowę świni! Jednak – wbrew całemu koszmarnowi i niesmakowi – było w tym widowisku coś głębszego, coś ukrytego, coś, o czym Antypas nigdy nawet się nie zająknął przez te wszystkie lata, chociaż to niejednokrotnie zaprzętało jego myśli. Chodziło o samą tacę.

Antypas znał ją z czasów swojej młodości. Wykopano ją spod Wzgórza Świątynnego w czasie kosztownej ośmioletniej rozbudowy Drugiej Świątyni, dokonywanej na zlecenie jego ojca, Heroda Wielkiego. Uznano ją wówczas za część skarbu króla Salomona, prawdopodobnie zakopanego w wielkim pośpiechu podczas zburzenia Pierwszej Świątyni. Jego ojciec zaś zwykł dowcipkować – Antypasa przenikały dreszcze, ilekroć sobie to przypomniał – że to nie taca, lecz tarcza, którą Perseusz, aby nie

dać się zamienić w kamień, osłaniał się przed wężogłową Meduzą.

Właśnie ten budzący grozę przedmiot już na zawsze miał mu się kojarzyć z obciętą głową ofiary jego żony – z tamtą wymizerowaną, ekstatyczną twarzą, z tamtymi otwartymi oczami, z włosami ociekającymi krwią.

Ciekawe, pomyślał Herod Antypas, jak Kaligula dowiedział się o złotej tacy? I dlaczego, na litość boską, ten chłopiec, który teraz uważał się za boga, żądał jej jako części należnej sobie daniny?

Rzym

południe 24 stycznia A.D. 41

DUCH I MATERIA

To nie paradoks, ale wielka prawda potwierdzona przez historię, że rozwój kultury jest możliwy tylko dzięki sprzecznym poglądom.

J. J. Bachofen

Wyścigi konne odbywają się dzięki różnicy zdań.

Mark Twain

Herod Agryppa z trudem wspinał się pod górę, serce tłukło mu się między żebrami, po czole spływał pot – a jego trudy dzielił tylko jeden żołnierz ze straży pretoriańskiej. Agryppa bał się, by ich nie rozpoznało. W końcu działo się to wszystko w jasnym świetle dnia. A bał się jeszcze

bardziej, że ktoś mógłby się domyślić, jaki to ciężar niosą pod derką.

I któż by przypuszczał, pomyślał Agryppa, że ktoś tak delikatny i wdzięczny, tancerz, młodzieniec, ktoś, kto właściwie został okrzyknięty bogiem czy inną nieziemską istotą, jest tak ciężki jak worek kamieni? Ale czyż te trzydzieści ran zadanych nożem w twarz, brzuch i genitalia zmarłego właśnie Gajusza Cezara – który zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, w krytej

galerii, był żywy i czuł się świetnie – nie były wystarczającym dowodem na zwykłe człowieczeństwo rzekomego boga?

Ciało było wciąż ciepłe, kiedy taszczyli je do ogrodów Lamii na stoku Eskwilinu, za to nasiąknięta krwią toga już zeszywniała w styczniowym chłodzie i przylgnęła do derki. Agryppa zdawał sobie sprawę, że w tych warunkach, wobec gwałtownej śmierci cesarza, oficjalny pogrzeb jest raczej niemożliwy, i się modlił, by przynajmniej udało im się go szybko i potajemnie pogrzebać. Wiedział, że kiedy oszalały motłoch znajdzie ciało, pofolguje sobie w ulubionym sporcie Rzymian: profanacji zwłok.

Do tego brutalnego morderstwa doszło na oczach Agryppy. Właśnie opuścił audytorium z Klaudiuszem i Kaligulą, gdzie wszyscy trzej obserwowali igrzyska na cześć Augusta na Palatynie. Kaligulą przystanął w galerii, aby przyrzeć się chłopcom odbywającym próbę przed popisami tanecznymi, obrazującymi wojnę trojańską, a miały się odbyć po powrocie cesarza z krótkiego odpoczynku. Wtedy właśnie nastąpił atak.

Spora grupa spiskowców – grupa, wśród której, ku zaskoczeniu Agryppy, znaleźli się dwaj osobiście wybrani przez Kaligulę przybocznicy gwardziści, germański i tracki – napadła na niego z włóczniami i oszczepami, i ze stekiem bluźnierstw, a kiedy wciąż żył i oddychał, poćwiartowała go uderzeniami mieczy na kawałki. Klaudiusza, który uciekł i schował się za kurtyną w pawilonie zwanym Hermeum, odnalazła straż pretoriańska i dla bezpieczeństwa wyprowadziła za mury miasta.

W istnym pandemonium, które po chwili nastąpiło, część napastników ruszyła w pośpiechu rozprawić się z żoną i córeczką Kaliguli, gdy tymczasem rzymscy senatorowie należący do spisku popędzili do Senatu, aby zwołać nadzwyczajne posiedzenie i głosować za przywróceniem republiki. To wszystko wydarzyło się tak nagle i niespodziewanie – zaledwie w kilka chwil – że Agryppie wciąż jeszcze kręciło się w głowie, kiedy wspinał się na wzgórze i kiedy wreszcie znalazł jakiś ciemny, odosobniony kąt w ogrodzie, gdzie mógł złożyć swój ciężar. Usiadł na kamieniu i otarł pot z czoła, podczas gdy towarzyszący mu żołnierz zaczął odrzucać darń.

W rzeczywistości tego fatalnego dnia Herod Agryppa znalazł się w Rzymie przez zwykły przypadek.

Dwa lata wcześniej Herod Antypas i jego żona Herodiada, siostra Agryppy, zostali przez Kaligulę skazani na wygnanie do Lugdunum w południowej Galii, za upominanie się o zbyt wiele łask i przywilejów. Teraz jego stryj i Herodiada nie żyli, a Agryppie dostało się w ręce królestwo, choć porządnie rozczłonkowane, ale rozmiarami dorównujące tamtemu, którym swego czasu rządził jego dziad, Herod Wielki. Tyle że razem z królestwem Agryppa odziedziczył także całe mnóstwo kłopotów. Do nie najmniejszych należały ustawiczne konflikty między jego rzymskimi protektorami z

Rzymu a poddanyimi, żarliwie religijnymi Żydami.

Zamieszki najświeższej daty, te, które teraz sprowadziły Agryppę do Rzymu, zostały wywołane ostatnim postanowieniem Kaliguli. Mianowicie, aby „dać nauczkę Żydom” za to, iż wiecznie niepokoją swoich rzymskich władców, Kaligula zaplanował wystawienie swojego olbrzymiego posągu – posągu boskiego Gajusza – w obrębie Świątyni Jerozolimskiej!

Posąg jakoby już był na okręcie i płynął do portu w Jaffie. Nietrudno było przewidzieć, że z chwilą wyładowania go na żydowskiej ziemi jej mieszkańcy podniosą gwałt i że tak czy owak cała sprawa skrupi się na nim. Agryppa nie miał czasu do stracenia: pośpieszył do Rzymu, aby zobaczyć, czy uda mu się odmienić bieg wydarzeń.

Ostatecznie czyż nie dorastał u boku stryja Kaliguli, Klaudiusza, na łonie cesarskiej rodziny? I czy przez te wszystkie lata nie pozostawał w tak bliskich stosunkach z Kaligulą, że pozwoliło mu to zebrać plon złotych łańcuchów i klejnotów, żeby nie wspomnieć o samym królestwie? Dlatego teraz mógł żywić nadzieję, że – przy pomocy Klaudiusza – uda mu się przywieść młodego cesarza do rozsądku. Rzeczywistość miała się jednak inaczej: po przybyciu do Rzymu Agryppa znalazł w osobie cesarza człowieka całkowicie odmiennego od swych wyobrażeń.

Doświadczył tego już pierwszej nocy. Ledwo zdążył zasnąć, kiedy wybudzony przez straż pałacową, musiał się czym prędzej ubrać i bez chwili zwłoki, a pod eskortą udać do pałacowego audytorium. Tam zastał grupę senatorów i szlachetnie urodzonych mężów, w tym stryja cesarza, Klaudiusza. Wszyscy, podobnie jak on, zostali wyrwani ze snu i wyprowadzeni z bezpiecznego zacisza swych domów w samym środku nocy.

I wszyscy się trzęśli ze strachu, kiedy żołnierze zapalili

knoty kaganków oliwnych na froncie cesarskiego podium. Klaudiusz właśnie zaczynał coś mówić, kiedy – z głośnymi fanfarami, przy dźwiękach fletów i cymbałów – pojawił się cesarz, ubrany jak Wenus w krótką jedwabną togę i w perukę długich blond włosów.

– Od śmierci jego siostry Druzylli takie sceny to rzecz normalna – wyjaśnił Agryppie Klaudiusz, kiedy było po wszystkim i wyszli na zewnątrz. – Śpi nie dłużej niż trzy godziny, następnie rozbudza pałac i wyje w niebo, przywołując boginię księżycy do swojego łóżka, aby wziąć ją w ramiona, jak kiedyś siostrę. Druzylla umarła, jak sobie przypominasz, dziesiątego czerwca niecałe trzy lata temu. Był niepokieszony, spał przy jej zwłokach przez kilka dni; nie można go było od nich oderwać. Potem przeleciał sam na rydwanie przez Kampanię, przepłynął się statkiem do Syrakuz i przepadł tam na miesiąc. Nie strzygł włosów ani brody; po powrocie wyglądał i zachowywał się jak szaleniec. Od tamtej pory wszystko miało się jedynie ku gorszemu.

– Wielkie nieba – jęknął Agryppa. – Czy ponad to, co powiedziałaś, mogło zdarzyć się coś gorszego?

– I to całe mnóstwo – odparł Klaudiusz. – Podczas oficjalnej żałoby po Druzylli zabronił Rzymianom śmiać się, myć czy obiadować z własną rodziną, a następnie zażądał, by wszyscy składali przysięgi tylko na jej bóstwo. Dwie pozostałe siostry oskarżył o zdradę, zesłał na Poncję,

sprzedził domy i klejnoty, i niewolników jednej i drugiej, a pieniądze zgarnął dla siebie. W końcu zbudował marmurową stajnię i żłób z kości słoniowej i drogich kamieni dla swojego konia Incitatusa. Często urządza tam wystawne przyjęcia, z Incitatusem, jedzącym złoty owies, w roli honorowego gościa. Konfiskuje majątki obywateli pod byle jakim pretekstem. Co poza tym? Poza tym otworzył dom publiczny w zachodnim skrzydle cesarskiego pałacu. Poza tym, co sam, na własne oczy często widuję, depta bosko albo wręcz tarza się w stosach złotych monet, które wciąż gromadzi i których wciąż mu nie dość.

Rok temu podjął wielką wyprawę przez Galię i Germanię, chcąc błyskawicznie podbić Brytanię. Ale po długiej, ciężkiej zimie i sześciomiesięcznym marszu, kiedy legiony w końcu dotarły do wybrzeży Galii, kazał im zebrać tysiące muszelek i zawrócić do Rzymu!

– Jak to! Przecież planował tę wyprawę od chwili śmierci Tyberiusza, od momentu, kiedy został cesarzem! – wykrzyknął Agryppa. – Dlaczego zatem jej zaniechał, i to w tak dziwny sposób? Czyżby postradał zmysły?

– Nie, raczej chodziło o znaki wróżebne – odpowiedział Klaudiusz. – Ostatnio nie były najlepsze. W sam dzień id marca w Kapitol kapuański uderzył piorun; Sulla, astrolog stawiający mu horoskop w rocznicę jego urodzin, w przeddzień kalend wrześniowych, przepowiedział, iż zbliża się niechybny mord. Następnie, kiedy Gajusz składał ofiarę z flaminga, został obryzgany jego krwią. Tego samego wieczoru Mnester wystąpił z popisem tanecznym w tej samej tragedii, którą wystawiono w noc zabójstwa Filipa Macedońskiego, ojca Aleksandra.

– Chyba nie wierzysz, że tego rodzaju gusła w ogóle coś znaczą? – spytał Agryppa, przypominając sobie zarazem, z czasów dzieciństwa i młodości, obsesję rodziny cesarskiej – jak i większości Rzymian – na punkcie wróżb odczytywanych z wnętrzości ptaków i zwierząt, a także wszystkich innych rodzajów prorocत्व. Czyż nie przechowywali oprawnych w złoto dawnych ksiąg z przepowiedniami Sybilli?

– A jakie to ma znaczenie, w co ja wierzę? – rzucił z goryczą Klaudiusz. – Zrozum jedno: jeśli mój bratanek umarłby właśnie teraz, jak to zapowiadają wszelkie znaki na niebie i ziemi, prawdopodobnie to ja musiałbym wyruszyć na Brytanię!

Antiochia syryjska Pascha AD. 42

LISTY APOSTOLSKIE

Do Mariam Jerozolima w Judei

Od Jana Marka Antiochia syryjska

Czcigodna i ukochana Matko,

Co mam Ci powiedzieć? Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatniego roku w naszym Kościele w Antiochii, że aż nie wiem, od czego zacząć. A do tego – pomyśl – właśnie mija dziesiąta Pascha od śmierci Mistrza. To straszne, to nie do uwierzenia. Choć w tamtych dniach byłem chłopcem zaledwie, wciąż mam przed oczami jego obraz, mam przed oczami Jego, tamtego, który stale nas

odwiedzał. A zwłaszcza wciąż odżywa w mojej pamięci ostatnia wieczerza, którą wraz z uczniami jadł w naszym domu.

Czy wiesz, jaki byłem dumny, że to właśnie mnie wybrał, abym pobiegł do studni z dzbanem wody, tak, by kiedy jego uczniowie nadejdą, mogli pójść za mną i poznać miejsce naszego spotkania? Lecz jeśli mam być szczery, to właśnie pamięć o tamtej chwili skłania mnie dziś do napisania do Ciebie.

Wuj Barnaba – który jak zwykle prosi o przekazanie Ci najgorętszych braterskich pozdrowień – powiada, że najbliższego lata, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, będę wiedział wystarczająco dużo o dziele Mistrza i będę wystarczająco biegły w łacinie i grece, bym wreszcie mógł mu towarzyszyć w oficjalnej misji nawracania pogan. Oczywiście to wielka dla mnie radość i wiem, że Ty też będziesz dumna, że doszedłem tak daleko w tym naszym drugim pod względem znaczenia Kościele poza Jerozolimą. Jest jednak coś, co mnie niepokoi, małe ziarnko gorczy, i dlatego zwracam się do Ciebie o radę. Proszę, nie mów o tym nikomu, nawet najbliższym przyjaciołom, takim jak Szymon Piotr. Proszę o to z powodów, które Ci za chwilę wyłuszcę.

Otóż jest pewien człowiek, który przybył do Antiochii, do pracy w naszym Kościele, na wyraźne żądanie wuja Barnaby. To Żyd z diaspory, z plemienia Beniamina, który dorastał na północy, w Cylicji. Jako młodzieniec, uczył się u rabba Gamaliela w Świątyni Jerozolimskiej, możliwe więc, że go znałaś. Nazywa się Szaweł z Tarsu – i, Matko, to on jest tym ziarnkiem gorczy. Lękam się, że jeśli nic się w tej materii nie zrobi, sprawy obrócą się jedynie na gorsze.

Na samym początku śpieszę dodać, że Szaweł z Tarsu ma wiele zalet: nie tylko posiadał głęboką wiedzę z zakresu Tory, Miszny i klasycznego hebrajskiego, lecz także biegle włada łaciną, greką, fenickim, a nawet rozumie aramejski. Pochodzi z bogatej i szanowanej rodziny zajmującej się tkactwem, tej, która ma większość koncesji na zaopatrywanie stacjonujących na Wschodzie legionów rzymskich w mocne, wyrabiane z kozłej

sierści tkaniny zwane cylicyjskimi, używane do wszystkiego od namiotów do butów. W efekcie rodzina ma dziedziczne prawo do rzymskiego obywatelstwa. Cóż, nic dziwnego, że wuja Barnabę pociąga ten właśnie człowiek.

I tu pojawia się istotny dla mnie problem. Dlatego, Matko, że najwyraźniej i przede wszystkim Szaweł z Tarsu jest postrzegany jako człowiek uprzywilejowany od urodzenia: bogaty, wykształcony, obyty w podróżach, obywatel rzymski. A jakiej to rzeczy Mistrz najbardziej się przeciwstawiał, rzeczy będącej w sprzeczności z królestwem bożym? Można ją nazwać jednym słowem: przywilej – zwłaszcza przywilej tego szczególnego rodzaju. Żeby wykazać jaskrawe przeciwieństwo, muszę Cię wprowadzić bardziej szczegółowo w wydarzenia poprzedzające nawócenie Szawła na nasz obrządek – zauważ, że nie mówię „na naszą wiarę”, a nie mówię, ponieważ on ma własne przekonania co do wiary. Zapewniam Cię, że wszystko, o czym piszę, powtarzam wprost za jego słowami.

Podczas nauk pobieranych od Gamaliela w Jerozolimie Szaweł pierwszy raz zetknął się z wieloma najbardziej aktywnymi sektami w tym regionie – z zelotami, sykaryjczykami, esseńczykami – które agitowały za uwolnieniem Żydów spod panowania Rzymu. Szaweł nie darzył ich sympatią, tak samo jak tych, którzy na podobieństwo kuzyna Mistrza, Chrzciciela, „wracali do natury” – czyli

ubierali się w skóry zwierzęce, jak ludzie pierwotni, i żywili się szarańczą i miodem. Spośród i wszystkich najbardziej godnymi pogardy, w opinii Szawła, byli \ zwolennicy Mistrza i sam Mistrz.

Jako człowiek nowoczesny, z kosmopolitycznej Cylicji, Szaweł czuł okropną niechęć do owych przyprawiających go o mdłości prymitywnych prostaków. Czyż jemu samemu, Żydowi przecież, nie przypadł najwyższy zaszczyt na ziemi – obywatelstwo cesarstwa rzymskiego, jedyna przepustka do cywilizowanego świata? W oczach Szawła tamci Judejczycy nie byli niczym lepszym od terroryzujących spokojnych obywateli szumowin, a ich historyczne praktyki, tak religijne, jak i polityczne, zmierzające do uwolnienia się spod rzymskich rządów, doprowadzały go wprost do szału. Żeby dla lichej wolności podrywać do walki Żyda w każdym zakątku kraju, i to do walki z całym olbrzymim cesarstwem? Coś takiego przerastało zdolność pojmowania Szawła. Szaweł uznał, że należy położyć temu kres.

Błagał więc Gamaliela o pozwolenie, mocą którego miano

ich pojmać, zawlec do świątyni, osądzić – zgodnie z prawem rzymskim – jako heretyków i skazać na śmierć przez ukamienowanie. Jednakowoż Gamaliel mądrze odpowiedział, że czegoś takiego kategorycznie zabrania prawo żydowskie, ustanowione jeszcze za czasów jego dziada, mędrca Hillela. Na to Szaweł, wielce rozgoryczony i rozgniewany, zrezygnował z nauk i wystąpił ze swoją prośbą do arcykapłana Kajfasza, wyznaczonego przez Rzymian na *przewodniczącego Wysokiej Rady*. Ten, *toczący* prywatną wojnę z buntownikami sprzeciwiającymi się rządowi Rzymu, ucieszył się z nieoczekiwanego pomocnika. A sam Szaweł, jak wkrótce miało się okazać, odegrał niebagatelną rolę w znanych Ci krwiożerczych prześladowaniach.

Matko, nie dasz wiary, kiedy ci powiem, że Szaweł z Tarsu znalazł się wśród tłuszczy nawołującej do przelania krwi, tam, przed pałacem Piłata, w noc sądu nad Mistrzem! I że niedługo potem znalazł się tam powtórnie, też wśród tłuszczy, która tym razem ukamienowała naszego ziomka Szczepana – choć teraz zarzeka się, że sam nie rzucił ni jednego kamienia, jedynie trzymał płaszcze innych, żeby łatwiej trafiali do celu! Ten człowiek nie wie, co to sumienie – a historia jego własnego „nawrócenia” brzmi najmniej wiarygodnie ze wszystkiego, co o nim wiadomo.

Wbrew licznym zaletom umysłu, Szaweł z Tarsu ma poważną niedomogę fizyczną. Mianowicie cierpi na chorobę, z której słyną cesarze, a którą Grecy nazywają epilepsją i nad którą panują jakieś obce moce. Widziałem taki atak sam, a zapewniam Cię – nie był to wcale najprzyjemniejszy widok. W jednej chwili przemawiał – w istocie, to człek złotousty – a już w następnej leżał na ziemi, tocząc pianę, przewracając oczami, bełkocząc niezrozumiale, jak opętany przez demony. Doszło do tego, że nawet podróżuje z lekarzem.

Historia jego nawrócenia i pójścia w ślady Mistrza, bogata i dziwna, i całkowicie nie do sprawdzenia, zawiera jeden z takich ataków epilepsji. Szaweł utrzymuje, że wkrótce po ukamienowaniu Szczepana wyruszył do Damaszku, by w imieniu Kajfasza szpiegować kogoś spośród nas. Ale w chwili, kiedy przekraczał bramy miasta, dopadła go owa nieszczęsna choroba. Upadł na ziemię i podobno oślepiło go jasne światło. Podobno usłyszał głos Mistrza, pytający, dlaczego go prześladowuje!

Dalej było tak, że ktoś z naszych ludzi znalazł Szawła na drodze, wniósł w mury miasta i się nim

zajął. Szaweł oślepił na dobrych parę dni, ale w końcu jego opiekunowie jakimś cudem

przywrócili mu zdolność widzenia. Wtedy poszedł na pustynię, gdzie pozostawał przez kilka lat. O tym, co na pustyni porabiał, wzbrania się mówić.

Niemniej od tamtej pory Szaweł nabrał przekonania, iż Mistrz zwrócił się do niego osobiście i obdarzył szczególną intuicją. Tak więc poszedł do Jerozolimy, aby spotkać się z bratem Mistrza, Jakubem, i z Szymonem Piotrem, i aby obwieścić swój zamiar zostania przywódcą naszego Kościoła, mocą jedynie tej wielce podejrzanej wizji. A kiedy ci, jak słyszałem, po prostu go wyrzucili – wtedy zwrócił się do wuja Barnaby, prowadzącego naszą misję w Antiochii.

Chcę powiedzieć, Matko, że tak zręczną historyjkę potrafi utkać tylko mistrz tkacki w rodzaju Szawła z Tarsu! Bo czyż może być coś zmyślniejszego niż okopanie się wewnątrz społeczności, którą się wcześniej atakowało? Niż przedstawienie się w charakterze cudownego daru i wdarcie się w mury Damaszku jak koń trojański? Niż podgryzanie od środka, jak to czyni nędzny robak? Więc, Matko, jak to jest, że Barnaba mógł dać się nabrać tak oczywistemu szarlatanowi czy uwierzyć w tak grubymi nićmi szytą intrygę?

Lecz, Matko, gdyby w istocie rzeczy tak się miały, wówczas nie powinienem pisać tego listu. To coś znacznie gorszego, coś, co według mnie, jest prawdziwie złą wróżbą.

Czy przypominasz sobie jak jakieś osiem czy dziewięć lat temu, niedługo po śmierci Mistrza, Miriam z Magdali na żąda – j nie Józefa z Arymatei odwiedzała każdego z nas i prosiła, byśmy opowiadali o ostatnim tygodniu Mistrza na ziemi? Chociaż byłem wówczas dzieckiem, nawet ja powiedziałem wszystko, co było mi wiadome – co, jak się zdaje, okazało się szczęśliwym posunięciem.

Nie dalej jak zeszłego roku otrzymałem od Miriam list, tuż przed jej wyjazdem z Efezu, kiedy to śpieszyła do Galii, aby dołączyć do brata i siostry w rozpoczynającej się tam misji. Miriam mi donosiła, że zwoje ze spisnymi relacjami naocznych świadków włożyła do glinianych amfor, że amfory zalakowała i za pośrednictwem Jakuba Zebedeusza wysłała przebywającemu w Brytanii Józefowi z Arymatei. Najpierw reszta jej listu wydała mi się bez znaczenia. Dopiero kiedy Szaweł z Tarsu wyjawiał, że wie o istnieniu tych dokumentów, i kiedy zaczął o nie przepytować, przeczytałem wszystko dokładnie, od początku do ostatniej linijki.

Odpowiedź, którą Miriam otrzymała od Józefa, była tej treści, że jej dokumenty, razem z informacją, którą on sam zdobył, wreszcie otworzyły mu szerzej oczy na wydarzenia towarzyszące śmierci Mistrza. Chociaż odmówił wyluszczenia całej rzeczy, obiecując opowiedzieć jej o wszystkim, kiedy znajdzie się u jego boku, w krainie Celtów, Miriam napisała do mnie o tym, czego się Józef faktycznie dowiedział: okazuje się, że jako chłopiec z dzbanem wody, podczas owej ostatniej wieczerzy paschalnej, mogłem zobaczyć albo usłyszeć, albo może nawet zrobić kilka rzeczy pomocnych w rozwianiu mroków tamtej tajemnicy. Chodzi o wskazówki, których Mistrz mi udzielił dokładnie dziesięć lat temu, tamtego fatalnego wieczoru, i o ich prawdziwe znaczenie.

Otóż Mistrz powiedział mi, że mam się udać do Sadzawki Wężów, z dużym dzbanem wody na ramieniu, i kiedy inni przybędą i pójdą za mną, mam przejść przez Bramę Esseńską i poprowadzić

ich do naszego domu na górze Syjon. Im powiedziano tylko tyle, że mają poczekać na kogoś z dzbanem i pójść za nim bez zbędnych pytań. Ale z czego nie zdawałem sobie sprawy, a na co wskazała mi Miriam – Nosiciel Wody to Wodnik, gwiazdozbiór, jak również symbol epoki, która nastąpi po naszej. „Ponieważ jestem Alfa i Omega, pierwszy i ostatni”, powiedział Mistrz. Czy zatem powiedział, że na nim się zaczyna i na nim kończy obecny eon?

Ta sprawa sprowadza mnie znów do Szawła z Tarsu, Matko. Chociaż żyłem obok tego człowieka na co dzień prawie przez rok, nadal jest dla mnie kimś nieprzeniknionym. Ale teraz ufam, że pojawiła się pewna wskazówka: Szaweł zmienił imię. Nazwał się Pawłem. Niektórzy myślą, że on zaledwie naśladowuje dobrze znaną grę słów, którą uprawiał Mistrz, nadając przydomki wszystkim swoim uczniom. Natomiast ja, jak mi się zdaje, rozszyfrowałem prawdę – że, mianowicie, ta zmiana imienia ma coś wspólnego z zamiłowaniem Mistrza do znajdowania ukrytych znaczeń w liczbach: do numerologii. Ja sam doszedłem do tego, jakie ukryte znaczenie kryje się pod tak symboliczną zmianą.

Numeryczna wartość Szawła – Saula – w hebrajskim piśmie wynosi dziewięćdziesiąt, co równa się literze sade, literze, która odpowiada gwiazdozbiorowi Wodnika. Lecz Paweł – Paul w hebrajskiej numerologii ma wartość stu dziesięciu, qóf-jód, liter odpowiadających znakom ryby i dziewicy – czyli erze Ryb i Panny, w którą właśnie wkroczyliśmy.

W greckiej numerologii znaczenie liter jest podobne: „Saulos”, przy wartości dziewięćset jeden, przedstawia lakkhos Bachusa czy Dionizosa – nosiwody, który wprowadza świat nie w ten wiek, lecz w następny po nim, natomiast „Paulos” – siedemset osiemdziesiąt i osiemdziesiąt jeden, symbolizuje Sopię czy Virgo z jednej strony i Ophis, węża czy morskiego stwora, to jest rybę, z drugiej.

Dlatego, Matko, jestem przekonany, że przez zmianę imienia z Szawła na Pawła Szaweł z Tarsu zamierza ogłosić siebie, nie Mistrza, uosobieniem nowo narodzonego wieku.

Do Miriam z Magdali Massalia w Galii rzymskiej

Od Mariam, matki Jana Marka Jerozolima w Judei

Najdroższa Miriam,

Przepraszam za nieporządne pismo i za chaos myśli. Chociaż statek z Jaffy do Massalii odplywa teraz co tydzień, wiem, że nie planujesz dłuższego postoju w Galii, że wkrótce wyruszysz na północ, aby dołączyć do twojej rodziny w Pirenejach dlatego mi spieszo wyprawić ten list.

Dołączam do niego drugi, ten, który właśnie otrzymałam od *i* syna. Jak sama zobaczysz, mój syn prosi, bym nie powierzała 1 nikomu jego słów. Cóż, kiedy to, co pisze, przyprawia mnie o wielkie pomieszanie uczuć.

Są takie sprawy, o których chyba należało powiedzieć ci I wcześniej, kiedy pełniłaś godność apostoła czy wysłannika. Jednakże przyznaję, że niewiele one dla mnie znaczyły aż do ostatniego listu, tego, który wzbudził we mnie tak wiele wspomnień o wydarzeniach z ostatniego tygodnia życia Mistrza. Zwłaszcza o tym, co się stało ostatniej nocy.

Jak już z pewnością wiesz, choćby z relacji innych, ostatnia paschalna wieczerza, na której obecny był Mistrz, odbyła się w moim domu na górze Syjon. Ale prawdopodobnie nikt o tym nie wie poza mną, że Mistrz przywiązywał ogromną wagę do planowanego posiłku. Zapowiedział mi wyraźnie, jak mam wyposażyć komnatę na poddaszu mojego domu, tę przeznaczoną przez niego na miejsce spotkania: niektóre sprzęty miały być

tak luksusowe, że aż mnie samą to zaskoczyło. Jednak najważniejsze, co Mistrz nieustannie podkreślał, było to, by wszystko przed posiłkiem, w czasie posiłku i potem odbywało się zgodnie z jego życzeniem. Następnie dodał, w największej tajemnicy, że ma nadzieję, iż zaraz po wieczerzy odejdzie do groty w posiadłości Józefa, do Getsemani, dla odbycia obrządku wtajemniczenia. To teraz zdaje się wielce znaczące.

Ustaliliśmy, także na życzenie Mistrza, że wieczorem w dniu wieczerzy Rosa i wszyscy moi służący wcześniej przygotowują potrawy i zaniosą je na górę, a następnie wyjdą z domu, aby nie kępować zebranych. Do obsługi przy stole miałam pozostać wyłącznie ja i mój syn Jan. To wyjaśnia, dlaczego szczęśliwie zobaczyłam i usłyszałam wszystko, co zaszło podczas tak godnego uwagi wydarzenia. Opisałam to wkrótce. Jednak dopiero teraz, po raz pierwszy, widzę tamten wieczór w całkiem nowym świetle. I, Miriam, choć Ciebie tam wówczas nie było, i choć to, co zamierzam powiedzieć, może Tobą wstrząsnąć, wiedz, że kiedy ponownie, z perspektywy dziesięciu lat przypatruję się tamtym godzinom, uzmysławiam sobie, jak wiele z tego, co się wydarzyło podczas tamtej dziwnej kolacji, w istocie obracało się wokół Ciebie.

Oczywiście, długo głowiłam się nad jakimś rozsądnym wyjaśnieniem, dlaczego pominięto właśnie Ciebie, dlaczego to Ty nie zostałam zaproszona na wieczerzę, o której Mistrz z pewnością myślał jako o ostatniej – jego i uczniów. W końcu wszyscy wiedzieli, że jesteś jego wybraną uczennicą. Ciebie nazywał „alfą i omegą”, nieprawdaż? A po jego śmierci Ty byłaś pierwszym świadkiem jego wskrzeszenia w Bogu. Cóż, tak jak to teraz widzę, Miriam, rozstrzygającym czynnikiem było to, że przed Tobą – właśnie przed Tobą – odsłonięto Tajemnice o wiele wcześniej!

Niewątpliwie nasłuchiwałaś się dość opowieści o tamtych wydarzeniach od innych, obecnych przy wieczerzy. Ale ich być może poniosły emocje, z racji samego uczestnictwa; oni być może z jednej strony podkoloryzowali swe relacje, z drugiej nie zauważyli rozstrzygającego o wszystkim momentu. W rzeczywistości możliwe, że cały posiłek i towarzyszące mu wydarzenia były, jak mój syn kiedyś spekulował, sprawdzianem zaplanowanym przez Mistrza, sprawdzianem, który miał oddzielić ziarno od plewy: to znaczy miało się okazać, który z uczniów – pod koniec wieczoru i pod koniec życia Mistrza – okaże

się godny przeobrażenia, jakie Mistrz zawsze obiecywał tym, którzy taki sprawdzian przejdą pomyślnie. Opiszę tę historię jako postronny obserwator. Proszę, osądź ją sama.

OSTATNI POSIŁEK

Kilka dni przed Paschą, tamtej nocy, z powodów wiadomych tylko sobie Mistrz powiedział uczniom, w jaki sposób mają wejść do miasta, aby znaleźć miejsce wspólnej wieczerzy: mają czekać przy Sadzawce Węży w pobliżu Bramy Esseńczyków, od południa Jerozolimy, na człowieka niosącego dzban wody. Ten ma ich zaprowadzić, jednego po drugim, do wyznaczonego domu. W ten sposób Mistrz się upewnił, że przy posiłku będzie jedynie owych Dwunastu. Trzynastym miał być sam Mistrz, i miał przybyć ostatni.

Oczywiście było sporo kontrowersji z powodu takiej tajemniczości, tak nieortodoksyjnego potraktowania rytualnego posiłku, którego przepisy, co tu dużo mówić, zostały przekazane Mojżeszowi wprost od Boga ponad tysiąc lat temu. Na przykład skąd mieli wiedzieć, czy posiłek został przygotowany zgodnie z Torą, z zachowaniem właściwych przepisów dotyczących czystości i sposobu gotowania? I czy, zgodnie z Miszną, przeszukano zakamarki, w których mogłyby się kryć choćby okruszyny wszelkiego zakwasu, i czy je usunięto... No, czy ktoś to zaręczy? pytali... Mistrz zignorował te utyskiwania. Mistrz jedynie wzruszył ramionami i odpowiedział, że wszystko jest przygotowane.

Byli zaskoczeni, że nosiwodą okazał się młody Jan Marek, dziesięcioletni syn Mariam. Ona i jej brat Barnaba z Cypru byli jednymi z najbogatszych protektorów Mistrza. Jej pałacowa rezydencja na zachodnich stokach Syjonu przez lata była drugim domem dla Szymona Piotra, kiedy przebywał poza Galileą, a dla Mistrza miejscem „rozmów przy ogniu”, prowadzonych z uczniami, często do poranka, zawsze w otoczeniu troskliwej służby i przy sutych posiłkach.

Ale tym razem przygotowano niespodziankę. Po powitaniu przy bramie przez Rosę, gospodynię Mariam, każdy uczeń został odprowadzony przez innego służącego, nie do sali jadalnej, ale kilka pięter wyżej, do pokoju, w którym żaden z nich nigdy

nie bywał, tuż pod krokwiami dachu. Co więcej, ten pokój był umeblowany niezwykle kosztownie. Takich bogactw nie widywało się w prywatnych domach: niskie marmurowe stoły, egzotycznie inkrustowane kolorowymi kamieniami, błyszczącymi tajemniczo w żółtym świetle wiszących perskich lamp; grube dywany z Wybrzeża Jońskiego i różnobarwne gobeliny, z których niemal się unosił aromat północnego wybrzeża Afryki; porozstawiane wokół ścian wielkie dzbany pianistego wina.

Choć wielu z tych Dwunastu powodziło się świetnie i byli ludźmi z pozycją – Mateusz, poborca podatkowy; Szymon i Andrzej, i obaj Zebedeusze, zamożni właściciele flotylli rybackich i tak dalej – im także odebrało mowę na widok tak ekstrawaganckiego luksusu, podobnego temu, którym się otaczał dekadentcki Rzym. Skrępowani rozglądali się po komnacie Mariam, po rzymskich sofach, służących do odpoczynku i ucztowania, zbyt wystraszeni, by poczęstować się winem lub rozmawiać – kiedy wreszcie pojawił się Mistrz.

Wyglądał na pogrążonego we własnych myślach. Ruchem ręki nakazał im zająć miejsca. Sam nie od razu usiadł, lecz zaczął przemierzać komnatę, jakby czekając, że coś się wydarzy. Służący przynieśli misy z wodą i lniane płótno do wytarcia. Kiedy odeszli i kiedy drzwi się za nimi zamknęły, owinał się kawałkiem płótna w pasie, ukląkł na podłodze przed Judaszem i zaczął myć mu nogi. Pozostali wymienili zmieszane spojrzenia. To był szok. Szok tym większy, kiedy się okazało, że

Mistrz zamierza spełnić tę posługę przy każdym z nich. Oto podszedł do drugiego, do trzeciego – myjąc każdemu stopy i wycierając je do sucha, a oni popatrywali niespokojnie, co będzie dalej. Lecz kiedy Mistrz stanął przed Szymonem Piotrem, uczeń poderwał się na równe nogi i krzyknął:

– Nigdy, przenigdy! To nie ty mnie powinieneś myć stopy! Nie ty mnie!

– Zatem zdaje się, że nie mamy ze sobą nic wspólnego odrzekł Mistrz spokojnie. Nie uśmiechał się. – Jeśli wierzycie, że jestem Mistrzem, powinniście brać ze mnie przykład. Ufam, że będziecie robić to samo, kiedy mnie pośród was zabraknie, kiedy przestanę udowadniać, czym jest miłość. To butny sługa, Piotrze, ten, który niczego się nie uczy i wynosi się ponad tego, który go posłał. Kiedy odejdę, mam nadzieję, że moi naśladowcy będą rozpoznawani przez to, że służą jeden drugiemu i kochają ród ludzki.

– Zatem myj moje stopy, Mistrzu! – Piotr zakrzyknął entuzjastycznie, siadając w pośpiechu. – I nie tylko stopy... umyj mi dłonie, także, i głowę...

Mistrz wybuchnął śmiechem.

– Myje się to, co jest brudne – powiedział. A patrząc na Judasza z zagadkowym uśmiechem, dodał: – Sporo z tego, co tu widzę, jest czyste, choć nie wszystko.

Ten komentarz był potem interpretowany przez wielu jako nawiązanie do „brudnych” pieniędzy, które Judasz przyjął za wydanie Mistrza.

Kiedy Mistrz na powrót włożył swoją lnianą suknię, spoczął na sofie między Szymonem Piotrem i młodym Janem Zebedeuszem, którego czule przezywał *parthenos*, niewinną dziewczką, za jego często dziecinne niesforne zachowanie. Mówił prawie przez cały wieczór, w napięciu, nie szczędząc słów. Wypił kilka oszczędnych łyków rytualnego wina i zjadł niewiele ponad kilka kęsów tradycyjnej symbolicznej stawy.

Wracając do tego, o czym mówił: otóż można by było sądzić, że przede wszystkim leży mu na sercu wyrecytowanie – jak nakazywała tradycja – historii Paschy i wyjścia naszego narodu z Egiptu. A jednak uczestnicy wieczerzy odnieśli wrażenie, że zamiast podkreślać znaczenie prawa rabinicznego, Mistrz położył wyjątkowy nacisk na potrawy i napój tego rytualnego posiłku, a zwłaszcza – na rzeczy zakazane przez Boga, zwłaszcza na zaczyn. Posłuchaj, co powiedział.

ZACZYN

Oto są rzeczy, którymi człowiek spełnia obowiązek paschalny: jęczmień, pszenica, orkisz, żyto i owies.

Miszna: rozdział 2., lekcja 5.

W dawnych czasach dwa święte dni, zwane Pesach i Macot – Pascha i święto praśnego, nie wyrośniętego chleba (macy) – obchodzono oddzielnie, nie tak jak dzisiaj. To drugie, datowane od czasów Abrahama i Noego, dopiero później włączono do obchodów paschalnych, na pamiątkę ucieczki z niewoli egipskiej.

Posiłek pierwszego Pesach był jedzony w pośpiechu, nasz lud bowiem przygotowywał się do opuszczenia domów. Na nadprożach widniały, jak nakazano, znaki namalowane krwią jagnięcia. Znaki dla Anioła Zagłady, by ten, zabijając pierworodnych synów Egipcjan, pomijał domy Izraelitów. Także, jak nakazano, tuż przed ucieczką nie należało zaczynać chleba.

Prawo mówiło o pięciu rodzajach zbóż: o jęczmieniu, pszenicy, orkiszu, życie i owsie. Mąka z ich ziarna, zmieszana z wodą i pozostawiona na jakiś czas, staje się zaczynem. Bóg przykazał Mojżeszowi i Aaronowi, by: „nie jeść zaczynu, nie dotykać zaczynu, nie czerpać zysku z zaczynu, ani nie przetrzymywać zaczynu w swoich domach” przez siedem pełnych dni, począwszy od , czternastego dnia miesiąca nisan, skończywszy na nocy dwudziestego pierwszego, kiedy opuszczają Egipt. Tego, kto by nie usłuchał przykazania, Bóg obiecał wyrzucić z narodu Izraela, na zawsze.

Dlaczego to dziwne przykazanie było aż tak bardzo ważne? A ponieważ święto przasnych chlebów jest starsze niż wyjście Mojżesza z Egiptu, to i rytuał poszukiwania zaczynu w domach datuje się wcześniej niż poznanie przez Hebrajczyków prawdziwego Boga. Co to ma znaczyć?

Liczba zbóż potrzebnych do zaczynu, pięć, była ważna dla Greków. Nazwali ją *pempte ousia*, po łac. *quinta essentia*: piąta esencja, najwyższy poziom rzeczywistości, do której wszystko dąży. Pięcioramienna gwiazda – pentagram, z pięciokątem wpisanym w środek – to symbol Pitagorasa, a także króla Salomona. To symbol mądrości, odbity w gnieździe jabłka, któremu kształt nadała sama natura. A w tym symbolu – prawdziwej pieczęci Salomona – tkwi sekret wiecznego ognia.

Proces zaczyniania, przetwarzając coś, podnosi to na wyższy poziom. Otóż podczas pierwszej Paschy Bóg nakazał Żydom porzucić ziemski zaczyn, byśmy mogli osiągnąć wyższy stan, byśmy potrafili sięgnąć po tamten boski chleb, który Pitagoras nazywał Wiecznym Zaczynem, po pokarm znany nam także jako *manna*, mądrość, *sapientia*, Słowo Boże. Ten pokarm zwią

zany jest z tajemniczym niewidzialnym pierwiastkiem, piątym żywiołem, „eterem”, który starożytni wyobrażali sobie jako spoiwo całego kosmosu: oś.

Miriam, uwierz mi, że kiedy Mistrz skończył tę historię, nikt w komnacie na poddaszu mojego domu nie drgnął ani się nie odezwał. Mistrz popatrzył wokół, po twarzach uczniów, i w absolutnej ciszy zadał nieoczekiwane pytanie:

– Czy ktoś z was zna prawdziwą tożsamość Sulamitki? I dodał: – Mówię o mrocznie pięknej i tajemniczej miłości króla Salomona z *Pieśni nad Pieśniami*. Sulamitka oznacza mieszkankę Salem, a Salem było dawną nazwą Jerozolimy. Kiedy Salomon chciał ją poślubić, kiedy poprosił Boga o jej rękę, być może była starsza od samego miasta. Więc kim tak naprawdę była?

Po chwili kłopotliwego milczenia odezwał się Szymon Piotr:

– Ależ Mistrzu – zaprotestował w imieniu wszystkich – od czasów Salomona dzieli nas tysiąc lat, i przez te tysiąc lat rabbani i kapłani wciąż rozważają kwestię tożsamości kobiety, która ani nie była królową, ani oficjalną królewską nałożnicą, jedynie pilnowała winnic. I jeśli ci wszyscy mędracy nie rozwikłali jej zagadki, to jakże możesz spodziewać się odpowiedzi po nas, którzy nie jesteśmy kształceni w Torze?

Kolejne słowa Mistrza, choć wypowiedziane tym samym co poprzednio, łagodnym tonem, poraziły Szymona Piotra tak wyraźnie, że ten aż się cofnął.

–Miriam z Magdali zna tę odpowiedź. Ale to zawiła sprawa. – Mistrz się uśmiechnął. – Być może przypominacie sobie, że w noc przed rozpoczęciem przez Salomona budowy świątyni pojawił mu się we śnie Bóg i powiedział: „Proś, o co chcesz”. Młody król odpowiedział, że jedyne, czego pragnie, to ręki Sulamitki, małżeństwa...

–Wybacz, Mistrzu – przerwał Jan Zebedeusz – ale chyba to nie jest tak. Jak wszyscy wiemy, jego pierwszą żoną była córka faraona. Ponadto Salomon poprosił tamtej nocy nie o małżeństwo, lecz o mądrość.

–Właśnie, o mądrość – zgodził się Mistrz, wciąż z tym swoim nieodmiennym uśmiechem. – I chociaż Salomon miał wiele żon, ta, którą pierwszą nosił w swoim sercu, jak słusznie

·"m*v*~zauważyłeś, była ciemną, tajemniczą pięknnością, z którą świętował swoje zaręczyny w *Pieśni nad Pieśniami*. Bo czyż mogła być jakaś piękniejsza panna młoda, której król chciałby się dać ujarzmić do końca dni swoich, niż Mądrość? W *Pieśni nad Pieśniami* Sulamitka sama mówi, że jej symbolem jest pięcioramienna gwiazda, którą Salomon później przyjmuje za własną pieczęć: „Przyłóż mnie jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego: albowiem miłość mocna jest jako śmierć... węgle jej jako węgle ogniste...”

Oto sekret ognia, wiecznego zaczynu – mówił dalej Mistrz. – Dla Greków Gwiazdą Poranną była Artemida lub Atena, dziewice znane z mądrości. Gwiazdą Wieczorną była Afrodyta, bogini miłości. A ponieważ wiemy, że obie te gwiazdy to jedna i ta sama, okazuje się, że ród ludzki od najdawniejszych czasów posiada klucz do najgłębszej tajemnicy: wiedzy o tym, że mądrość i miłość to jedno, wiedzy pozwalającej nam pokonać nawet śmierć.

Słuchacze milczeli jak zaczarowani. Tymczasem Mistrz niedbałym ruchem zmierzwił włosy młodego, wyraźnie zmieszanego Jana Zebedeusza, wpołleżającego przy nim na sofie, i gestem wskazał mojemu synowi, by nalał mu więcej wina.

– Mistrzu, wybacz mi – odezwał się Filip z Betsaidy. – Twoje słowa zdają się dotyczyć przeszłych, teraźniejszych i przyszłych wydarzeń, i niezupełnie wiem, jak należy je interpretować. Lecz co do miłości, jak rozumiem, chcesz powiedzieć, że nasza miłość duchowa, jeśli się ją właściwie pojmuje i pielęgnuje, może sprawić, że zwyciężymy nawet śmierć, czy tak? A chyba należałoby się zgodzić, że *Pieśń nad Pieśniami*, podobnie jak postać samego króla Salomona, mogą sugerować inny, zmysłowy, wręcz cielesny wizerunek miłości, z trudem odpowiadający obrazowi nadchodzącego królestwa, które ty sam przepowiedziałeś.

– Rzeczywiście, Filipie – rzekł Mistrz. – I w tym właśnie tkwi tajemnica.

wyspa Mony, Brytania jesień A.D. 44

Do Miriam z Magdali Lugdunum w Galii

Od Józefa z Arymatei

wyspa Mony, Morze Irlandzkie, Brytania

Najdroższa Miriam,

Jak widzisz, Twoja ostatnia przesyłka dotarła do mnie, chociaż trochę to trwało. W związku z ubiegłorocznym „podbojem” południowej Brytanii przez cesarza Klaudiusza, chwilowo przeniosłem się z naszą działalnością na północ, do druidzkiej warowni, gdzie otrzymaliśmy spodziewane wsparcie. Choć mnie samemu nic nie zagrażało – lądowanie Rzymian obyło się bez rozlewu krwi, bez walki, bez żadnych strat w ludziach, a Rzymianie jak przyszli, tak poszli, zaledwie w kilka miesięcy, zostawiwszy jedynie kilka legionów, aby te rozpoczęły budowę – to wciąż boję się o bezpieczeństwo rzeczy, które są w moim posiadaniu, a które, jak wiesz, mają pewną wartość. Tu oczywiście wracam do myśli przewodniej Twojego listu.

Co się tyczy Twojej propozycji – bez względu na to, jak bardzo pragnąłbym Cię zobaczyć, nie jest to, jak sądzę, najodpowiedniejsza pora na podróżowanie z Galii. Pomówimy o tym bardziej szczegółowo pod koniec listu. Teraz, przede wszystkim, powinienem Ci serdecznie podziękować za najświeższe wiadomości, na których tak bardzo mi zależało i nad którymi teraz poważnie się zastanawiam.

Coraz bardziej, w miarę jak nasze szeregi są dziesiątkowane przez Rzymian czy ich marionetki – że wspomnę o okrutnej śmierci Jakuba Zebedeusza zadanej ręką Heroda Agryppy, zesłej wiosny, czy uwięzieniu Szymona Piotra, a następnie jego dobrowolnym wygnaniu na północ – coraz bardziej zdaję sobie sprawę, jak wiele dla nas znaczy uzyskanie jak najpełniejszego obrazu tego, co Mistrz usiłował dokonać w ostatnim tygodniu ziemskiego żywota.

Mimo jego własnych przestróg przed fałszywymi prorokami, wydaje się oczywiste, że Jezus przewidział pojawienie się po swojej śmierci kogoś takiego jak ten Szaweł z Tarsu, o którym Jan Marek donosi w swoim liście, kogoś, kto może chcieć odmienić całe jego posłannictwo. Tak więc spróbowałem połączyć w jedno – tę nową relację, przysłaną mi przez Ciebie, dotyczącą ostatniej wieczerzy Mistrza z uczniami, i informacje, które zebraliśmy poprzednio. I rzeczywiście się zgadzam, że teraz widać wyraźniej, dokąd kierował swoje przesłanie.

Po pierwsze, przedstawienie się Mistrza jako sługi bożego, którego głównym zadaniem jest rytualne oczyszczenie świątyni i wszystkich, którzy zamierzają wkroczyć w jej progi. Pokora. A następnie przyrównanie własnego ciała i krwi do chleba i wina – gest Izaaka, prawdopodobnie mający świadczyć, że ofiaruje siebie, tak ciało, jak i ducha, zamiast rytualnej ofiary składanej przy takich okazjach. Samopoświęcenie.

Gdyby tylko jego uwięzienie nie nastąpiło tak prędko, tamtej nocy w moim ogrodzie, i gdyby zgodnie ze swym zamiarem zdążył dopełnić wtajemniczenia młodego Jana Zebedeusza... (doskonale rozumiem dzisiejszą niechęć Jana do Ciebie, bo teraz to ty jesteś jedynym uczniem, który kiedykolwiek dostąpił pełnej inicjacji z rąk Mistrza).

I w końcu, czego się pewnie – podobnie jak ja – domyśliłaś z listu Mariam, matki Jana Marka, jeśli Mistrz zaplanował każdy szczegół tamtej wieczerzy, tak samo rzecz się miała z innymi wydarzeniami tamtego tygodnia. Być może jego upieranie się przy takim wyposażeniu komnaty na

poddaszu miało na celu ukrycie kilku wiele znaczących dla niego przedmiotów – na przykład kielicha, z którego pił wówczas, a który na jego prośbę Mariam później powierzyła Tobie.

Teraz przychodzi mi do głowy, że Mistrz w skrytości ducha zamyślał obdarzyć każdego z nas jednym z przedmiotów, których dotykał – czy które dotykały jego – w ostatnich godzinach na ziemi, abyśmy je przechowali gdzieś w ukryciu aż do jego powrotu. Na przykład szata, którą nosił, a którą zachował Nikodem, po tym jak umyliśmy ciało. Albo czubek grotu, który utkwił w jego boku, grotu, który ja miałem odłamać od drzewca włóczni tamtego centuriona i zachować, co uczyniłem. Wierzę, że te przedmioty mogą być obdarzone jakąś świętą mocą i możliwe że starszą, niż przypuszczamy.

No i jak wiesz, mam tych przedmiotów niemało. Powierzyli mi je inni, ponieważ Brytania była jedną z nielicznych krain, które zachowały niezależność od rzymskiej okupacji czy rzymskich wpływów – to znaczy, aż do teraz. Już samo to, Miriam, że mogłabyś tu przyjechać i przywieźć kielich, napawa mnie lękiem.

Chyba nadszedł czas, bym podzielił się z Tobą czymś, o czym powinnaś wiedzieć, na wypadek gdyby coś się ze mną stało.

Przypominasz sobie, jak dwanaście lat temu, tuż przed śmiercią Mistrza, wróciłem z pewnej podróży? Na prośbę sanhedrynu przebywałem na Kaprei ze specjalną misją, aby wybłagać u cesarza Tyberiusza pozwolenie na powrót wypędzonych Żydów do Rzymu, misją zakończoną pomyślnie. Otóż wtedy, o czym pewnie nie wiesz, moją eskortą i jednocześnie moim adwokatem w sprawie był człowiek, który właśnie dokonał podboju Brytanii: Klaudiusz.

Co więcej – czego nasz wybrany właśnie cesarz zapewne jest świadomy – to spotkanie z jego stryjem Tyberiuszem nie miało być dla mnie ostatnie. Otóż we dwóch z Tyberiuszem odwiedziliśmy wyspy Paksoj, niecały tydzień przed jego śmiercią. I jeśli Klaudiusz się dowiedział, cośmy tam robili, należałoby się zastanowić, czy do wyprawy na Brytanię skłonił go tylko jeden powód. Jak wiadomo, zostawił tu trzy legiony, teraz bardzo zajęte budowaniem dróg i ustanawianiem okręgów miejskich, najwidoczniej w celu długotrwałej okupacji kraju. Rzymianie zmuszają miejscową ludność do budowania świątyni w Camulodunum*.

Cesarzowi Klaudiuszowi być może nie udało się znaleźć tego, czego tu szukał. Ale wygląda na to, że planuje dłuższą wizytę.

Rzym

wiosna A.D. 56

POŻAR

*Z moją śmiercią zgiń, ziemio, w płomieniach***

Neron

Słudzy rozsypali papiloty, długie blond włosy, lok po loku opadły niesforną masą na obnażone ramiona cesarza. Neron siedział nago przed lustrem odbijającym całą jego postać, oceniając swój wygląd chłodnymi niebieskimi oczami.

Tak, prawdę powiadali inni. Teraz zaczynał przypominać

* Dzisiejsze Colchester.

** Prawdopodobnie cytata z tragedii Eurypidesa *Bellerofont*.

boga słońca, Febusa, Apolla. Rysy jego twarzy były tak cyzelowane, że można ją było uznać za niemal piękną. Położył trochę rózu na wargi, aby stały się jeszcze bardziej zmysłowe. W nich właśnie tkwił jego urok, praktycznie od niemowlęctwa, urok, któremu się poddawali i mężczyźni, i kobiety.

Potrząsnął włosami – opadły wielką falą prawie do pasa i wstał, by móc lepiej podziwiać swoją wspaniałą figurę odbitą w lustrze: owe twarde mięśnie zbrązowiały przez lata zapasów na greckich olimpiadach, na których, nie przechwalając się, zdobył kilka przednich medali. Ach, tak, nie należy tego przeoczyć. I dla przypomnienia pochylił się do przodu i zanucił: „Zwróć miastu Olimpi wolność”.

Pomyśleć tylko, jeszcze nie ma dwudziestu lat, a już jest władcą największego imperium w historii świata – i niewątpliwie jedynym cesarzem obdarzonym anielskim głosem i boskim ciałem. A wszystko dzięki temu, że jego piękna matka Agryppina była wystarczająco bystra, by poślubić swojego stryja Klaudiusza, który – zjadłszy misę przypadkowo zatrutych grzybów zmarł, nie czyniąc nijakiego kłopotu. Wkrótce potem Neron go deifikował, czyn ów uzasadniając w mowie pochwalnej tym, że grzyby są uznane za pożywienie bogów.

Słudzy właśnie naciągnęli mu przez głowę purpurową jedwabną togę, ułożyli loki i skończyli drapować na ramionach nakrapianą złotymi gwiazdami pelerynę, kiedy w prywatnych komnatach Nerona pojawiła się jego matka. Wyglądała przepięknie jak zawsze, toteż wziął ją w ramiona, uściśnął czule i jeszcze czulej pocałował w usta.

– Najdroższa, nie uwierzysz, co planuję dla nas na dzisiejszy wieczór – oznajmił, odsuwając ją od siebie, dla lepszego widoku.

Rozwiązał szarfę jej togi i odsłonił piękne piersi. Doprawdy, dwie bliźniacze złote kule bogini, pomyślał – lecz czyż jego matka nie ma zaledwie trzydziestu paru lat? Podczas gdy słudzy i niewolnicy dyskretnie odwracali wzrok, Neron pochylił blond głowę ku matczynym piersiom i językiem, szybkim niby język węża, polizał jedną i drugą. Widząc, że brodawki podnoszą się i twardnieją, pozwolił delikatnej dłoni wsunąć się pod jego togę i dotknąć go w sposób, jaki uwielbiał. Jedyne matka wiedziała naprawdę, co go podnieca. Ale po chwili uwolnił się od czulej dłoni.

– Nie dzisiaj, najdroższa – rzekł. – A przynajmniej nie teraz. Właśnie czeka na nas kolacja w wieży w ogrodach Mecenasa, tylko ciebie i mnie, w komnacie pod samym dachem. Przygotowałem widowisko, które się zacznie tuż po zmierzchu, i jeśli dłużej będziemy się zabawiać, stracimy pierwszą odsłonę.

Neron był zachwycony pięknem płomieni. Kiedy wpadł na pomysł pozbycia się nędznych drewnianych ruder rozrzuconych po całym Rzymie, szpecących widok z nowego pałacu, nawet nie

przypuszczał, że ogień może być tak wdzięczny i uroczy. Musi pamiętać o zapisaniu w dzienniku swoich wrażeń. Przypomniało mu się nagle coś, o czym zamierzał porozmawiać z Agryppiną.

– Matko, wczoraj przejrzałem gruby plik papierów, które zostały po Klaudiuszu, i czy wyobrażasz sobie, co znalazłem? – zagaił. – Stary kozioł prowadził dziennik! Naprawdę! I jest w nim każdy rodzaj lubieżnych myśli, za to prawie ani śladu rzeczywistych czynów. Czytałem go całą noc i dowiedziałem się czegoś niezwykle interesującego. Zdaje się, że twój brat Kaligula, przed swoją przedwczesną śmiercią, był na tropie potężnej tajemnicy. Nie zdradził się z tym nawet przed twoją siostrą Druzyllą, chociaż byli sobie bardzo bliscy. Natomiast, a jakże, wygadał się Klaudiuszowi, co wiem właśnie z tego dziennika. No więc, chociaż ty i Julia byłyście na wygnaniu... za to, jak utrzymujesz, że nie należałyście do kręgu powiernic Kaliguli... to jednak myślę, że mogłaś się czegoś dowiedzieć od Klaudiusza.

– Od Klaudiusza? Niczego – stwierdziła spokojnie matka Nerona, sącząc wino i patrząc na miasto siedmiu wzgórz leżące w ciemnościach, coraz bardziej rozjaśnianych przez liczne ogniska. – Choć jak chcesz wiedzieć – dodała – w istocie coś wiem. Ale moim informatorem nie był Klaudiusz, tylko mąż Druzylli, Lucjusz. Rozmawiałam z nim po powrocie do Rzymu, po śmierci Kaliguli. Otóż z górą dwadzieścia lat temu, za Tyberiusza, brat Lucjusza Gajusz był centurionem w Judei i doglądał egzekucji jednego z tych irytujących żydowskich religijnych fanatyków, których ostatnio rzucałeś na pożarcie lwom. Już wtedy mówiło się o nich, że to zwykła buntująca się tłuszcza, a ich osobliwy prowodyr został przez tego poczciwca Gajusza ukrzyżowany. Ale co interesujące, ów prowodyr, jak się zdaje, nie umarł przez ukrzyżowanie, lecz od uderzenia włóczni Gajusza, która

potem znikła, i to w nie wyjaśniony sposób. Najwidoczniej Żydzi wierzyli, że tkwią w niej jakieś tajemnicze religijne moce. Cała reszta jest dla mnie niejasna, więc obawiam się, mój synu, że więcej się ode mnie nie dowiesz.

Agryppina odstawiła kieliszek, zbliżyła się do Nerona i usiadła mu na kolanach – tak, jak to zwykle robiła z Klaudiuszem, chcąc na niego wpłynąć lub wyłudzić coś, na czym jej szczególnie zależało. Neron natychmiast stał się nieufny. Ale kiedy matka potarła dłońmi jego przyrodzenie i przyssała się do szyi, wprost zeszywniał.

Diabli nadali: właśnie w chwili, kiedy najbardziej ze wszystkiego pragnął skupić uwagę nie tylko na cudownym widowisku, jakie urządził tam, na zewnątrz, lecz, co ważniejsze, na głównym temacie rozmowy, ta chutliwa niewiasta bezceremonialnie krzyżuje mu plany. Tymczasem Agryppina, na nic nie bacząc, rozsunęła przód sukni i raz jeszcze dwa bliźniacze złote jabłka kusząco wyskoczyły z koszyka. Prawdę mówiąc, wprost na jego twarz. Neron zaczerpnął powietrza, przełknął je i podrywając się na nogi, cisnął wiedźmę i jej jedwabie o podłogę.

– Nie uwierzę, byś wiedziała tylko tyle. – Rozdrażniony, potrząsając blond grzywą, popatrzył na nią lodowatymi niebieskimi oczami. – Klaudiusz pisze w dzienniku, że Kaligula zebrał te wszystkie informacje nie tylko od twojego szwagra, jak powiadasz, lecz również od Tyberiusza. Wymienia nazwy przedmiotów, pisze, że jest ich trzynaście i że nie stanowią skarbu w sensie materialnym, za to są obdarzone jakąś wewnętrzną mocą. Klaudiusz nawet najechał na Brytanię, parę lat temu, żeby tylko dostać je w swoje ręce! Musisz wiedzieć o nich... może także znasz ich wartość.

Pochylił się, chwycił Agryppinę za ramiona, podciągnął do góry i postawił przed sobą. Usiłował skupić spojrzenie na jej twarzy, a nie na pięknych zarysach złocistej, półobnażonej skóry – nie na ciepłym zmysłowym cieple, po którym pełzały płomyki światła rzucanego przez huczący, omiatający wzgórza Rzymu pożar. Agryppina uśmiechnęła się chytrze jak kot, po czym chwyciła ustami jego kciuk i zaczęła ssać go zmysłowo, tak jak kiedyś, kiedy cesarz był jeszcze dzieckiem. Neron poczuł zwykłą słabość w kolanach, mimo to był zdecydowany doprowadzić zamierzoną rozmowę do końca. Wyszarpnął kciuk z ust matki.

– Potrzebuję nowego okrętu, abym mogła szybko i bez trudu wyruszyć z mojej posiadłości w Bauli – rzuciła obojętnie Agryppina, podnosząc swój kielich, jakby między jednym a drugim łykiem wina nic się nie wydarzyło.

– Jest twój – odrzekł Neron, jednocześnie zastanawiając się w duchu, jak znaleźć kogoś, kto potrafi, i to szybko, zbudować łatwo rozpadający się statek.

Ta kobieta miała nad nim zbyt dużą władzę i, co więcej, wiedziała o tym doskonale. Ale jeśli on potrafił wysłać na tamten świat Klaudiusza, dlaczego miałby nie poradzić sobie z Agryppina? W końcu raz na zawsze uwolniłby się od niej, i tym samym posiadał więcej władzy niż ktokolwiek na świecie. To znów naprowadziło go na trop zasadniczego tematu.

– Czy Lucjusz powiedział ci, w jakież to religijne moce wierzą Żydzi, jeśli chodzi o tę włócznię? – spytał matkę.

– Och, Lucjusz zebrał o niej sporo wiadomości – odrzekła. Należy do przedmiotów, które Żydzi przynieśli ze sobą z Babilonu lub z Egiptu, a także jest związana z jakimiś sekretami ich religii. A wszystko razem ma coś wspólnego z odrodzeniem; jak mi się zdaje, chodzi o to, by te przedmioty zebrać razem i by trafiły do właściwych rąk.

– Czy ci Żydzi faktycznie w to wierzą? – ciągnął swoje Neron. – I w jaki sposób, według Lucjusza, mogłoby się to stać?

– Wygląda na to, że owe przedmioty muszą się znaleźć we właściwym miejscu – powiedziała Agryppina. – Miejscu promieniującym potężną mocą, jak groty eleuzyjskie czy ta w Subaico pod Rzymem, naprzeciw miejsca, gdzie budujesz swój letni pałac. I oczywiście, chodzi także o właściwy czas.

– O czas? – zdziwił się Neron. – Masz na myśli ranek, popołudnie czy północ? Czy porę roku, wiosnę albo jesień?

– Ależ nie. – Agryppina potrząsnęła głową. – A w ogóle, jak Lucjusz utrzymuje, Żydzi przejęli ten pogląd od Persów lub Egipcjan. – Poglaskała go po ramieniu i dodała z uśmiechem: Myślę, że coś takiego musi się dokonać podczas przejścia jednego eonu w drugi, na styku dwóch niebiańskich epok.

– A więc – Neron patrzył na szalejący ogień, który właśnie pochłaniał Wieczne Miasto – to mogłoby znaczyć, że owe przedmioty powinny być zebrane teraz i tylko teraz!

W takich momentach, takie szczególne spojrzenia w odległą perspektywę nieosiągalnego... frazy jak domaine perdu / pays sans nom** [mówią] znacznie więcej niż jakiś archetypowy krajobraz czy emocjonalne doń podejście... Dopiero wówczas pojmujemy mroczny paradoks istoty ludzkiej kondycji [kiedy uzmysłowimy sobie] że spełniając nasze pragnienia, zabijamy je.*

John Fowles, posłowie do *Mojego przyjaciela Meaulnesa* Alaina– Fourniera

* Z franc. „stracone dobra”.

* Z franc. „kraj bez nazwy”.

Upiero po zakończeniu naszej dwugodzinnej podróży na lotnisko, położone daleko za Wiedniem, po zaparkowaniu samochodu, po odprawie paszportowej i celnej i po zajęciu miejsca w samolocie odlatującym do Leningradu – dopiero wtedy miałam okazję zebrać myśli i zastanowić się, co tak naprawdę wiem o tajemnicy Pandory.

Czułam się jak zawodnik w tysiącletnich wyścigach, w których chodzi o zebranie właściwych wskazówek, rozrzuconych na przestrzeni różnych kontynentów i kilku eonów. Ale to, co miało początek w przyprowadzającej o zawrót głowy masie nie powiązanych ze sobą faktów, teraz stawało się wyraźniejszym tropem łączącym punkty geograficzne na mapie ze zwierzęcymi totemami, zwierzęta z konstelacjami gwiazd na nocnym niebie, konstelacje z bogami, a imiona tych ostatnich dostarczały klucza. Tak więc kiedy popatrywałam przez okno samolotu na Leningrad, miasto na wodzie, przepływające tuż pod naszymi skrzydłami, wydawało mi się właściwe, że symbolem, maskotką tego kraju, do którego opadaliśmy z nieba, jest zwierzęcy totem rosyjskiego niedźwiedzia.

Pierwszy raz uzmysłowiłam sobie, w iluż to bywałam miastach bez przyjrzenia się im tak, jak to czynią ich mieszkańcy czy choćby turyści. Z powodu statusu Jersey i Lafa, statusu światowej sławy artystów, nawet w Rosji, w samym środku szaleństwa wygasającej obecnie zimnej wojny, ich życie w podróży było nie kończącą się karawaną limuzyn z szoferami i szampanem.

Z kolei, kiedy zdarzało mi się czasem dołączyć do zagranicznych wojaży mojego ojca, ten wołał zamykać się za murami fort-c-hoteli, ponieważ prywatność, jak mawiał, miewa się wyłącznie za pieniądze – tak jak to było podczas mojego ostatniego pobytu w San Francisco. Zatem choć dane mi było poznać złocone fasady utkanych przez historię, tajemnicę i magię wielu miejsc naszej planety, z brudem i mazołem, i wszelkimi niewygodami, które owe fasady zasłaniały – z tym prawdziwym portretem każdego miasta – jak do tej pory ani razu nie stanęłam oko w oko.

Tego wieczoru, kiedy Wolfgang i ja utknęliśmy na granitowych schodach leningradzkiego lotniska, w smętnej mżawce, razem ze stłoczonym tłumem bezbarwnych obywateli bloku wschodniego, oczekujących na odprawę przez jedyny na lotnisku, otoczony szklanymi ścianami posterunek graniczny, moim oczom po raz pierwszy ukazał się całkiem odmienny obraz.

To był Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, opisany w książkach statystycznych amerykańskiego Departamentu Stanu, które wypożyczył dla mnie Wolfgang – kraj o populacji o trzydzieści procent przekraczającej liczbę ludności w Stanach, zamieszkującej ponaddwukrotnie większe terytorium i żyjącej jedynie z jednej czwartej naszego rocznego dochodu na głowę, kraj o

zaledwie jednej trzeciej naszego narodowego produktu brutto, kraj o znacznie wyższym od naszego wskaźniku urodzeń i przypuszczalnie znacznie niższym poziomie życia.

A Leningrad – dawny olśniewający Sankt Petersburg Katarzyny Wielkiej i Piotra I, odbijający się w swoich kanałach niby Wenecja Północy – teraz sprawiał wrażenie na powrót zatopionego w epidemiczne bagna, z których kiedyś został wydobyty. Jak w większości rosyjskich miast, mieszkańcy Leningradu spędzali wolny czas na staniu w ogonkach i czekaniu, co w oczach ludzi Zachodu wyglądało na niewytłumaczalną, zaraźliwą masową atrofię.

Od czasu rewolucji październikowej upłynęło prawie trzy czwarte wieku. Ciekawe, myślałam sobie, jak długo jeszcze ludzie tak zmęczeni własną egzystencją będą znosić dławiący ich wolność i przekonania reżim; reżim, którego nie aprobują. Być może, myślałam, mój pobyt tutaj pozwoli mi zrozumieć ich mentalność i dostarczy odpowiedzi na wcale niełatwe pytania.

Wolfganga i mnie zabrała z lotniska i odtransportowała na miejsce przeznaczenia zdecydowanie nadgorliwa w wykonywaniu swoich obowiązków młoda kobieta w mundurze, z Inturista, organizacji, o której się mówiło, że jest komórką KGB zajmującą się zagranicznymi gośćmi. Po drodze Wolfgang w zawołany sposób dał mi do zrozumienia, że sowieckie władze być może nie tolerują w swoich lokalach nieżonatych par, praktykujących to, co on i ja wypraktykowaliśmy, i to niemal perfekcyjnie, w jego zamku ostatniej nocy. Miałam zapowiedź, ale cały spektakl miał się dopiero rozegrać.

Barak, noszący dumną nazwę hotelu, który gospodarze sowiecki zakład nuklearny – łaskawie zaoferowali nam na czas naszego pobytu, miał urok przeciętnego federalnego więzienia w Stanach. Było tam wiele identycznie wyglądających pięter i tyle samo długich korytarzy z szarym linoleum i świetłówkami, które, sądząc po bzyczeniu i częstotliwości migotania, nie miały wymienianych rurek od czasu zainstalowania.

Najpierw nas pobieżnie zaznajomiono z jutrzejszym rozkładem dnia, a potem rozdzielono. Mnie do mojego skrzydła poprowadziła muskularna strażniczka o wyglądzie esesmanki i o imieniu bodajże Świetlana. Kiedy znalazłyśmy się w moim *boudoir du soir*, zapewniła mnie łamaną angielszczyzną, że będzie trwała na posterunku na dole przez całą noc, następnie pokazała mi aż trzy razy, jak mam się zamknąć od środka, i odczekała na zewnątrz do chwili, kiedy usłyszała, że to zrobiłam.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że jestem głodna. Że nie jadłam niczego od porannego kakao i rogalików. Rzuciłam się do torby. Przejrzawszy jej wszystkie zakamarki, trafiłam w końcu na okruchy jakichś ciastek i butelkę wody. Pochłonęłam wszystko naraz, aby uciszyć wyposzczone kiszki, rozebrałam się w wilgotnym, nie ogrzanym pomieszczeniu, rozpakowałam parę niezbędnych drobiazków i poszłam do łóżka.

Obudziło mnie ciche pukanie do drzwi. Popatrzyłam na podróźny budzik stojący na biurku, chyba jedynym meblu, poza łóżkiem, w mojej lodowatej sypialni. Budzika nie przestawiałam od wylotu z Wiednia, zatem środkowoeuropejska dziesiąta trzydzieści oznaczała w Leningradzie mniej więcej północ. Wolfgang dał mi wyraźnie do zrozumienia, że uganianie się po korytarzach w sprawach damsko-męskich w sowieckiej etykiecie absolutnie nie wchodzi w grę. No więc kogo tam diabli nadali? O tej porze, głęboką nocą?

Zarzuciłam szlafrok na piżamę i poszłam otworzyć drzwi. Na zewnątrz stała Świetlana. W porównaniu z poprzednim zachowaniem kaprała na musztrze, teraz sprawiała wrażenie dziwnie zawstydzonej i skrępowanej. Rozejrzawszy się szybko na boki, spojrzała na mnie i ściągnęła usta, co uznałam za sowiecką wersję uśmiechu.

– Proszu – powiedziała cicho, niemal konfidencjonalnie. Proszu... ktoś chce mówić do pani. – Wskazała ręką koniec korytarza, jakby oczekując, że wyjdę za drzwi, opuszczę moją średnio komfortową, choć względnie bezpieczną lodownię, i pójdę za nią w samym środku nocy na jakąś bliżej nie określoną randkę.

– Jaki „ktoś”? – Otuliłam się szczelniej szlafrokiem, aż po brodę, i cofnęłam się o krok do pokoju, wciąż z dłonią na klamce.

– Ktoż – nalegała szeptem Świetlana, rozglądając się wokół nerwowo. – Jemu kanieszno mówić do pani teraz, natychmiast. Proszu iść za mnoju – on stoit na samom dole...

– Nie pójdę na dół ani nigdzie indziej, chyba że powie mi pani, kim jest ten ktoś, kto chce ze mną mówić – zapewniłam ją, potrząsając stanowczo głową. – Czy profesor Hauser wie o tym?

– Nie! On nie może wiedzieć niczego! – powiedziała tonem, którego bez względu na bariery językowe nie dałoby się zinterpretować inaczej jak prawdziwy strach. Na litość boską, o co w tym wszystkim chodzi?

Świetlana pogrzebała w kieszeni, wyciągnęła z niej wizytówkę na grubym papierze, pomachała mi nią przed nosem i natychmiast wsunęła na poprzednie miejsce. Ledwo zdążyłam przeczytać dwa słowa: Wołga Dragonów.

Wielki Boże! Wołga, służący mojego stryja Lafa! Czyżby coś się z Lafem stało? I to w ciągu tych kilku dni, od kiedy pożegnałam jego i jego trzódkę w Sun Valley? Lecz czyż z innego powodu Wołga polowałby na mnie o północnej porze na północy Rosji? A w ogóle to czym oczarował panią Klucznicę Królestwa, że dla niego aż odstąpiła od regulaminu?

Na domiar złego, moja krzepka sowiecka strażniczka działała bardzo podejrzanie. Jej rozbiegane oczy strzelały wszędzie, a jej gest „proszu-iść-za-mnoju”, co tu mówić, zdenerwował mnie jak wszyscy diabli. Uznawszy jednak, że będzie lepiej, jak

sama dokładnie rozpoznam sprawę, chwyciłam stojące obok drzwi podróżne buty z futrzaną lamówką, wcisnęłam je na nogi, na piżamę i szlafrok naciągnęłam gruby płaszcz, wyszłam na korytarz i pozwoliłam Świetłanie „przepisowo” zamknąć za mną drzwi. Następnie poszłam za nią i za parą własnego oddechu, widoczną nawet w ledwo mrugającej świetlówce; dwa piętra niżej naciągnęłam rękawiczki.

Wołga czekał na mnie w hallu, przezornie omotany w ciemny, gruby płaszcz. Kiedy podeszłam, by się z nim przywitać, i spojrzałam w jego nieprzenikloną, śmiertelnie poważną twarz, która się nigdy nie uśmiechała, zdałam sobie sprawę, że podczas dwudziestoletniej znajomości z tym służącym, z tym faktotum i nieodłącznym towarzyszem mego stryja, oboje wypowiedzieliśmy do siebie pewnie nie więcej niż dwa tuziny słów co czyniło z tej niespodziewanej nocnej schadzki rzecz jeszcze bardziej

osobliwą.

Wołga skłonił się, spojrzął na zegarek i rzucił kilka rosyjskich słów pod adresem mojej eskorty. Ta przeszła przez hall, otworzyła jakieś drzwi, zapaliła rząd nikłych świateł, po czym nie wiadomo gdzie i kiedy znikła mi z pola widzenia. Podeszliśmy do otwartych drzwi, Wołga przepuścił mnie pierwszą i weszliśmy do środka. Do przestronnej jadalni, wypełnionej po brzegi długimi stołami już przygotowanymi do jutrzejszego śniadania. Wołga odciągnął jedno krzesło dla mnie, po czym sam usiadł i wyjął z kieszeni butelkę. I mi ją podał.

– Napij się. To śliwowica zmieszana z gorącą wodą; będzie ci ciepło podczas naszej rozmowy.

– Dlaczego zjawiasz się tutaj w środku nocy, Wołga? – spytałam, przyjmując zaofiarowaną butelkę, choćby dla samego ogrzania rąk. – Czyżby coś się przydarzyło stryjowi Lafowi?

– No cóż. Przez cały wczorajszy dzień nie dałaś znaku życia ani nie zjawiłaś się wieczorem w domu maestra w Wiedniu, jak oczekiwaliśmy, więc maestro poczuł się zaalarmowany – wyjaśnił Wołga. – Dziś nawet byliśmy gotowi skontaktować się z twoim kolegą w Idaho, z panem Olivierem Maxfieldem, przez wasze biuro. Ale ze względu na różnicę czasu – osiem godzin daliśmy sobie spokój, a poza tym poinformowano nas, że już wyleciałaś z Wiednia do Leningradu.

– Więc gdzie jest stryj Laf? – zapytałam, wciąż trzęsąc się

z zimna. Otworzyłam butelkę i pociągnęłam łyk gorącego napoju; chyba zadziałało.

– Maestro szczerze żałuje, że nie może przybyć tutaj osobiście, aby wyjaśnić pilność i powagę sytuacji – zapewnił mnie Wołga. – Niestety jego rosyjska wiza okazała się przedawniona. Ale tak się składa, że ja jestem Transylwańczykiem, a rząd rumuński zawarł „pakt przyjaźni” ze Związkiem Sowieckim, dzięki czemu mnie udało się dostać wizę od ręki. Tyle że zdążyłem jedynie na ostatni samolot, a do tego procedury paszportowo-celne spowodowały dalsze opóźnienie. Przepraszam, ale maestro nalegał, bym spotkał się z tobą bez chwili zwłoki. Na potwierdzenie moich słów przysłała ten bilecik.

Wołga podał mi kopertę. Wyjmując z niej złożoną kartkę papieru, zapytałam:

– Jak u licha przekonałeś tę esesmankę, by wypuściła mnie z mojej klatki na randkę z tobą, i to o tej porze?

– Strach zawsze robi swoje – odpowiedział tajemniczo Wołga. – Znam tych ludzi; doskonale rozumiem ich psychikę.

Darowałam sobie komentarz. Rozłożyłam list Lafa i zaczęłam czytać.

Najdroższa Gavroche,

Twoje niepojawienie się tutaj nasuwa mi myśl, że zignorowałaś moją radę i ostatniej nocy być może zrobiłaś coś głupiego. Niemniej przesyłam Ci pozdrowienia.

Proszę, wysłuchaj z największą uwagą wszystkiego, co Wołga ma Ci do powiedzenia, ponieważ

to bardzo ważne. Powiniennem sam to zrobić, jeszcze w Sun Valley, lecz przecież nie przy osobie, która Ci towarzyszyła – no a potem okoliczności zmusiły Cię do nagłego wyjazdu.

Twój kolega, pan Olivier Maxfield, donosi mi, że również chciałby się z Tobą skontaktować. Prosi, bym Ci przekazał, że musi porozmawiać z Tobą osobiście na inny temat, i to prędko.

Twój stryj Lafcadio

– Czy Olivier wspomniał, o czym chce ze mną rozmawiać? spytałam Wołgę, mając nadzieję, że nie chodzi o jakąś krzywdę Jazona, mojego kota.

– Chodzi o sprawy służbowe, jak przypuszczam – odpowiedział. – Mam mało czasu i wiele do powiedzenia. I nie chciałbym, byś rozchorowała się z zimna, dlatego muszę się śpieszyć. A ponieważ rosyjskie ściany, jak te tutaj, często mają uszy, proszę, nie zadawaj żadnych pytań, dopóki nie skończę, i potem też uważaj na to, co mówisz.

Potaknęłam, pociągnęłam kolejny łyk ciepłego wysokowego napoju i jak najszybciej opatulłam się płaszczem. Byłam gotowa do wysłuchania czegoś, co, jak mogłam się spodziewać, miało być najdłuższą mową w tym niemal zakonnym życiu Wołgi.

–Po pierwsze – zaczął Wołga – powinnaś wiedzieć, że to nie maestro Lafcadio był moim pierwotnym opiekunem: to twoja babka, *daeva*. Przygarnęła mnie, kiedy już była sławną śpiewaczką, a ja zaledwie małym chłopcem osieroconym podczas pierwszej wojny światowej, pracującym na paryskich ulicach za parę centymów.

–Chcesz powiedzieć, że Pandora przygarnęła cię jako dziecko? – spytałam zaskoczona. Pandora miała Lafa i Zoe i przygarnęła jeszcze jedno dziecko? To mi wyglądało na zbyt ciężar, jak na młodą kobietę, jak na dziewczynę, bo jeśli Dacian nie mylił się w datach, pod koniec wojny moja babka nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. – A jak Pandora dostała się do Paryża? Myślałam, że mieszkała w Wiedniu?

–Żeby zrozumieć charakter naszego związku, muszę powiedzieć ci coś o sobie samym i o moim narodzie – rzucił przepaszająco Wołga. – To zresztą część całej opowieści.

Nagle mnie oświeciło: wyniośle uprzejmy Wołga Dragonów istotnie mógł wiedzieć więcej – a przynajmniej chcieć zdradzić więcej z tego, co sam wiedział – niż inni gracze mojej skrajnie powściągliwej, małomównej i podejrzliwej rodziny. Będąc z nim sam na sam, tak jak teraz, o północy w jadalni lodowatego, wyludnionego baraku, miałam najlepszą okazję, by zajrzeć pod pokrywę rodzinnego kotła.

–Ależ Wołga, chyba nie po to przebyłeś taki szmat drogi w pośpiechu i niewygodzie, żeby jak zwykle milczeć. Opowiadaj, proszę. Zamieniam się w słuch – zapewniłam go szczerze, ściągając jedną rękawiczkę i chuchając na palce, aby je rozgrzać.

–Urodziłem się w Transylwanii, w ojczyźnie mojej matki, nie ojca – zaczął Wołga. – Mój ojciec pochodził z trójkąta leżącego między Araratem, przy turecko-irańskiej granicy, a gruzińskim Kaukazem i Armenią. I podczas gdy w Europie skończyła się era wędrownych bardów i poetów, na

tym małym skrawku ładu tacy bardowie, zwani z turecka aszykami, byli otoczeni powszechnym szacunkiem, a ich zadanie polegało na przekazywaniu kolejnym pokoleniom całej historii i genealogii naszego narodu, sięgającej wstecz aż do Gilgamesza, króla Sumerów.

Przez dzieciństwo mojego ojca przewinęło się kilka postaci, które później – w momentach i przez wiele lat – krzyżowały swoje ścieżki ze ścieżkami naszej rodziny i twojej. Jeszcze będąc dzieckiem, mój ojciec zaczął pobierać nauki w Aleksandrupolis, pod kuratelą znanego aszyka, ojca chłopca w tym samym wieku. Syn aszyka wyrósł pewnego dnia na słynnego tajemniczego Georgi Iwanowicza Gordijewa. Kilka lat później u Gordijewow zamieszkał razem z moim ojcem inny chłopiec, chłopiec z Gori, miasteczka leżącego w Gruzji. Był to młody Josif Dżugaszwili, I który zamierzał zostać prawosławnym popem, ale szybko odstąpił od swoich zamiarów, a później zasłynął pod przybranym nazwiskiem „męża ze stali”, Stalina.

– Chwileczkę, Wołga, chwileczkę. – Położyłam mu dłoń na ramieniu. Musiałam mieć trochę czasu na oswojenie się z myślą, że przodkowie Wołgi w jakikolwiek sposób mogliby przewyższać klasą moich własnych. – Twierdzisz, że twój ojciec dorastał razem z Gordijewem i Stalinem?

– Możliwe, że trudno ci to pojąć – odparł Wołga. – Ale cóż, ten mały spłachetek świata był prawdziwie wybuchową mieszkanką... jak to się mówi...? był zaczynem wszelkiego fermentu. Mój ojciec żył tam prawie czterdzieści lat. Podczas rewolucji w tysiąc dziewięćset piątym przepłynął przez Morze Czarne do Rumunii, gdzie spotkał moją matkę i gdzie ja się urodziłem...

– Ależ Wołga, rosyjska rewolucja zaczęła się dopiero w siedemnastym – sprostowałam. Tyle o historii dwudziestego wieku dane było wiedzieć nawet mnie – a przynajmniej tak mi się zdawało.

– Mówisz o drugiej rosyjskiej rewolucji – sprostował. Pierwsza, ze stycznia dziewięćset piątego, zaczęła się buntem chłopów i generalnym strajkiem, a skończyła „krwawą niedzielą”, kiedy to bezwzględny carski program rusyfikacji wszystkich poddanych doprowadził do tego, do czego najwidoczniej zamierzał doprowadzić – do masakry. Mój ojciec musiał uciekać z Rosji. Jednakże będąc aszykiem, nigdy nie zapomniał swoich korzeni.

Kiedy się urodziłem, nadano mi imię Wołga, to samo, którym Słowianie nazywają najdłuższą rzekę Rosji, a może nawet Europy. W najdawniejszych czasach Wołga nazywała się Rha – jak Amon Ra, egipski bóg słońca. Z kolei tatarska nazwa tej rzeki, Attyła, znaczy żelazo, od czego Bicz Boży* także wywodzi swoje imię...

– Twoje imię znaczy to samo co Attyła, król Hunów? Jak w *Pieśni o Nibelungach* P.

Przywołałam w pamięci odrobinę danych z ostatniego popołudnia. To przeciw Attyli walczyli Merowingowie-Nibelungowie na tym samym skrawku darni, o który później upominało się SS Heinricha Himmlera – powiązanie, które zdawało się wystarczająco istotne, aby iść dalej jego tropem. W palcach mi mrowiło, ale już nie wyłącznie z zimna; ciekawość, dokąd prowadzi opowieść Wołgi, powoli przemagała wyjący we mnie głód i koszmarny zmęczenie.

– Właśnie. – Wołga kiwnął głową. – Twoja babka pochodzi z tej części świata, którą od niepamiętnych czasów każdy pragnął posiadać. Nawet dzisiaj nie widać końca przeróżnym

zmaganiom. Od ponad stu lat Niemcy, Francuzi i Turcy, jak również Brytyjczycy i Rosjanie walczyli o prawo do ziem, które Dżyngis-chan, a przed nim mój imiennik Attyla podbił całe wieki temu: o Azję Środkową. Mojego ojca zabiła bardziej współczesna wersja takiej walki i połączyła mnie z twoją babką Pandorą, w Paryżu, kiedy miałem zaledwie dziesięć lat.

– Masz na myśli zmagania o Azję Środkową? – Czułam, że jestem bliska jakiegoś tropu. Przełknęłam ślinę i postanowiłam zaryzykować. Nawet gdyby Wołga nie był zorientowany w temacie, niewiele traciłam. – Wołga, czy wiesz, jak ta cała historia, geografia, jak te mity i legendy są powiązane z moją babką? Czy wiesz, co jest w jej manuskryptach?

Wołga skinął głową. Nie uśmiechnął się ani nie okazał zdziwienia, nie odpowiedział też wprost.

* Przydomek króla Hunów, którego zaborcze wyprawy budziły przerażenie w Europie (łac. *ilagellum Dei*).

■

– Dobrze znam niepisaną historię naszego narodu – powiedział Wołga. – Tak jak ojciec miałem być aszykiem; przygotowywano mnie do tego od kołyski. Ale potem nadszedł dwunasty rok i tak zwany kryzys bałkański. Świat stanął w płomieniach; moich rodziców zabito, a mnie, dziecko, zabrał uciekający cygański tabor. Podobnie jak inne cygańskie dzieci, żyłem z żebraniny o drobne pieniądze. Preromańskich mieszkańców Transylwanii nazywano Dakami albo Wilkami, więc nic dziwnego, że dwudziestoletni młodzieniec, który przyjął mnie do plemienia, używał imienia Dacian. Okazał się on wirtuozem w grze na skrzypcach i uczył tamtego chłopca, którego zabraliśmy z Salzburga pod koniec wojny, Lafcadio Behna.

Już miałam się odezwać, lecz zacisnęłam usta i pozwoliłam mu mówić dalej.

– Kiedy Dacian zaczął pojmować, do czego mnie przyuczono, że mimo młodego wieku mogę opowiedzieć starą legendę, o której mało kto słyszał, powiedział mi, że musimy wyjechać do Francji i spotkać się z jego „kuzynką” Pandorą. Że muszę opowiedzieć jej wszystko, co wiem, a ona będzie wiedziała, co z tym zrobić.

– No i co? Opowiedziałeś? – Wstrzymałam oddech.

– Tak. Świat nie byłby dzisiaj taki, chyba to rozumiesz, gdybym nie spotkał wtedy twojej babki albo gdybyśmy wszyscy razem nie zgodzili się pomóc Pandorze w jej najważniejszej misji.

Panujący zwykle nad emocjami Wołga Dragonów pochylił się ku mnie i ścisnął mi dłonie, podobnie jak Dacian w Wiedniu. Jego silne ręce, choć bez rękawiczek, były ciepłe, a ja po raz pierwszy od tygodni poczułam się bezpiecznie i ufnie.

– Powiem ci teraz coś, o czym nie wie nikt, może nawet twój stryj – powiedział. – Nie noszę nazwiska mojego ojca; nazywał się Ararat, tak jak góra. Nazwisko Dragonów wymyśliła dla mnie twoja babka, jako coś w rodzaju tytułu czy zaszczytu. „Od dziś”, powiedziała mi któregoś dnia, „będziesz się nazywał jak ojciec króla Artura, Uther Pendragon. Czyli ktoś, kto może zaprząć do swego rydwanu wszechpotężne moce smoków ukrytych pod powierzchnią ziemi i zapanować nad

nimi".

– Dlaczego wybrała właśnie ciebie? – zniżyłam głos niemal do szeptu.

Nie odpowiedział mi od razu. Patrzył na mnie, ale ja wiedziałam, że patrzy przeze mnie. Na coś odległego w czasie i przestrzeni. Na coś mglistego. Na coś, co dla moich oczu było niewidzialne.

– Dlatego – odezwał się w końcu – że odsłoniłem przed nią to, co teraz odsłonię przed tobą. – Rzuciłam szybkie spojrzenie na drzwi, ale on dodał: – Nie lękaj się cudzych uszu: tylko wtajemniczony potrafi zgłębić prawdziwy sens mojej opowieści.

– W takim razie szkoda twojego zachodu. Nie jestem wtajemniczona. I to w nic.

– Jesteś, a jakże – rzekł z czymś, co bym nazwała cieniem cienia uśmiechu. – Masz pewne cechy, które kiedyś posiadała twoja babka. Przed chwilą znalazłaś wspólny trop prowadzący przez historię starożytną, średniowieczne legendy i współczesną politykę. A taka umiejętność przerzucania jednego przęsła nad wieloma rwącymi potokami jest wymagana od aszyka. Jednak wrodzone umiejętności to nie wszystko, pożądany jest także właściwy trening umysłu. Widzę, że przeszłaś taki trening, i to na zaawansowanym poziomie, chociaż może jeszcze nie jesteś tego świadoma. Zobaczmy, czy potrafisz odkryć ukrytą warstwę historii, którą zamierzam ci opowiedzieć.

TAJNA HISTORIA

Był ongiś szary wilk, którego narodziny wyznaczyły Niebiosą. Jego żoną była płowa łania. Przyszli oni [na ziemie mongolskie]po przepłynięciu się przez jezioro Tengis... [Ich daleki prapraprotomek] w chwili urodzenia ścisnął w prawej dłoni skrzep krwi wielkości kłykcia. [Nadano mu]imię Temudżyn [kował].

Tajna historia Mongołów, przeł. z mongolskiego Francis Woodman Cleaves

Wśród plemion koczowniczych zamieszkujących stepy Mongolii rozpowszechniony był kult bóstwa nieba, Tengri. Osią, na której według nich obracał się świat, była Gwiazda Polarna świecąca na końcu ogona Małej Niedźwiedzicy, a przeznaczeniem wodza było opanowanie i zjednoczenie „czterech rogów” –

czterech stron świata na ziemi, odpowiadających czterem sferom nocnego nieba.

Najważniejszy w świecie nomadów był zawód kowala; jego kunszt wyrabiania narzędzi, broni i przedmiotów niezbędnych w surowej stepowej egzystencji traktowano jako dar od bogów. W tamtejszych wierzeniach ci, którzy w przyszłości mieli zostać przywódcami, przychodzili na świat jako kowale, i podobnie jak grecki Hefajstos, uważani byli po części za magów, po części za bogów. Długie panowanie dynastii mongolskiej było znane samym Mongołom jako Monarchia Kowali.

W roku tysiąc sto sześćdziesiątym, przy źródle słodkiej wody obok rzeki Onon, pośród pastwisk mongolskich stepów, urodziło się tajemnicze dziecko. Jego praprzodkami, jak powiada legenda, był szary wilk i płowa łania. Nadano mu imię Temudżyn, które znaczyło tyle samo co kowal.

Kiedy Temudżyn miał dziewięć lat, jego ojciec wybrał się do I sąsiedniego plemienia i ustalił

zrękowiny syna z jedną z tamtejszych dziewczynek. W drodze powrotnej zatrzymał się w stepie, na wspólną ucztę z kilkoma Tatarami, przez których został otruty. Wtedy plemię zabrało jego trzody i ruszyło na dalsze pastwiska, zostawiając chłopców i ich matkę bez środków do życia. Rodzina przeniosła się w pobliże świętej góry zwanej Burkan Kałdun, u źródeł rzeki Onon, i tam poszukiwała jakiegoś pożywienia. Młody Temudżyn każdego dnia wznosił oczy i modlił się do swojego boga:

„O wiekuisty Tengri, jestem dość silny, aby pomścić krew moich przodków... Jeśli pochwalasz to, co robię, przelej na mnie swą moc”.

I Tengri przemówił do niego. Tymczasem Temudżyn dorósł i ożenił się ze swoją narzeczoną. Następnie zebrał liczne plemiona Mongołów, a swoich wrogów Tatarów zamienił w sterty kości zdobiących kolejne pola bitewne. Podbił trzecią część Chin i większą część wschodniego stepu. Szaman Kokczu objawił ludowi mongolskiemu, że przeznaczeniem Temudżyna jest zapanowanie nad światem i że to on zostanie wielkim wodzem, który zjednoczy cztery strony świata.

I stało się tak, jak było przepowiedziane u zarania dziejów. Mając trzydzieści sześć lat, po wielu zwycięskich bitwach, Temudżyn-kowal został obwołany pierwszym Wielkim Chanem, i jemu przypadła rola zjednoczenia wszystkich plemion mongolskich pod jednym sztandarem. Przydano mu tytuł Dżyngis, od ujgurskiego słowa *tengiz* – które, podobnie jak tybetańskie *dala*, oznacza morze. Jego następcy nazywali siebie Błękitnymi Mongołami, od Wiecznego Błękitnego Nieba – Móngke Kokę Tengri. Magiczny Biały Sztandar, za którym szli, z jego dziewięcioma ogonami jaków, miał rzekomo posiadać *sulde* – duszę czy własnego džina – coś, co prowadziło Dżyngis-chana i Błękitnych Mongołów na podbój osiadłego cywilizowanego świata.

Później powiadano, że już w chwili narodzin Dżyngis-chana pojawiły się zapowiedzi, iż pod jego przywództwem Wschód i Zachód niczym osnowa i wątek splecą się razem w tkaninę o tak zawitym wzorze, żeby w przyszłości jeden i drugi stały się nierozłączne. Zanim do tego doszło, imperium Mongołów rozciągało się od śródlądowych szlaków wodnych Europy Środkowej aż po Ocean Spokojny. Dżyngis-chan zasłużył na tytuł Władcy Mórz.

Podbił ludy wyznające hinduizm, buddyzm i taoizm, podbił ziemie muzułmanów, chrześcijan i żydów, mimo to do końca był wierny własnej animistycznej wierze i kultowi rzek i gór. Potępiał kosztowne pielgrzymki i religijne spory o miejsca takie jak Mekka i Jerozolima, uznając je za bezsensowne, ponieważ bóg Tengri jest wszechobecny. Zabronił chrztu i rytualnych ablucji, uznając je za plugawienie otoczonego najwyższą czcią źródła I wszelkiego życia: wody. Zniszczył wielkie obszary Chin i Iranu, zrównał z ziemią wszelkie ślady wcześniejszych cywilizacji, wy – j ciał w pień ludzi i wytrzebił zwierzęta, zniszczył sztukę, architekturę i książki. Nienawidząc zniewieściałości i dekadencji życia miejskiego, spalił rozległe połacie ziemi uprawnej, przywracając jej wygląd swoich ukochanych surowych, bezkresnych czystych stepów.

Dżyngis-chan, choć nie umiał czytać ani pisać, doskonale rozumiał potęgę pisma. Przestrzegął własnego kodeksu moralnego, spisano go w kodeks prawny, i tak bezwzględnie egzekwowanego, że podobno za jego życia dziewczyna niosąca na głowie złotą tacę mogła pokonać cały Jedwabny Szlak przez nikogo nie napastowana. Zakodował historię i genealogię Mongołów w świętych Niebieskich Księgach i umieścił je w grotach dla przyszłych pokoleń. Dawną mądrość szamanów, magów i

kapłanów ze wszystkich podbitych krajów starannie badał i kazał spisywać, a spisane umieszczać w grotach.

Powiada się, że te dokumenty, gdyby je odczytano jednocześnie, dostarczyłyby klucza do starożytnych tajemnic o wielkiej mocy – tajemnic natury tak organicznej, że wydobyte z mroku zapomnienia, mogłyby obalić dzisiejsze wielkie religie, które wpadły w pułapkę własnych nie dostosowanych do życia dogmatów, skostniałych obrządków i rytuałów.

To, co Dżyngis – kowal, który stał się wielki jak ocean – rzeczywiście ukrył w grotach, jest, jak powiadają, tradycją o większym znaczeniu niż wszystkie wierzenia i religie, ponieważ jest to esencja esencji; jądro wszystkich wierzeń i religii. Czasy Dżyngis-chana przeminęły dawno, ale nadal ci, którym marzy się poznanie starożytnych tajemnic i ujarzmienie smoczych sił ziemi, szukają tych grot i ich zawartości.

Gordijew twierdził, że kilka dokumentów dawnego kowala, Władcy Mórz, odnalazł podczas podróży przez Sinciang i Tadżykistan, gdzieś w grotach w Pamirze, na przełomie wieków. Słynny brytyjski znawca czarnej magii i okultysta Aleister Crowley, wydany z Niemiec przez Hitlera i z Włoch przez Mussoliniego, dwóch ludzi, którzy bali się, że jego mroczna wiedza może pokrzyżować ich plany, na wiosnę tysiąc dziewięćset pierwszego kierował anglo-austriacką ekspedycją podczas dziewiczego wejścia na Czogori, czyli K2, na granicy chińsko-pakistańskiej. Jego głównym, choć nie osiągniętym celem, było zlokalizowanie grot wskazanych przez Gordijewa.

Po rewolucji październikowej najpierw Lenin, a potem Stalin podejmowali próby odzyskania terytoriów, którymi kiedyś władał car, a Rosja utraciła podczas rewolucji. Potem, w latach dwudziestych, rosyjski mistyk Mikołaj Roerich dopytywał się o te same dokumenty, podróżując przez Mongolię, Tybet i Kaszmir. Powiedziano mu, że są rozrzucone po całej Azji Środkowej, Afganistanie i Tybecie i że kiedy ujrzą światło dzienne, pozostające w ukryciu miasta Szangri-la, Szambhala i Agharti podniosą się i wrócą do dawnego blasku. Ale podobno istnieje jeszcze inne ukryte miasto, takie, które zatoneło na dnie tajemniczego jeziora w czasie pierwszego najazdu Mongołów na Ruś – Kiteż, rosyjskie miasto świętego Graala – a które także powstanie na nowo, aby zapoczątkować przejście w kolejną erę.

„Zobaczmy, czy potrafisz odkryć inną, ukrytą warstwę historii, którą zamierzam ci opowiedzieć”, powiedział Wołga przed rozpoczęciem swojej opowieści. Teraz nagle zamilkł; niewątpliwie moja twarz mówiła sama za siebie. Już nie ścisnął mi dłoni, tylko bacznie mi się przyglądał.

Historię Kiteża opowiedział w jednej ze swoich oper Rimski-Korsakow. Za naszego ostatniego pobytu w Leningradzie Jersey grała w niej Fiewronię, wybawicielkę miasta. Ta opera to baśń o dwóch miastach. Pierwsze zostało zniszczone przez wnuka Dżyngis-chana podczas dziesięcioletnich najazdów i grabieży krain leżących między Wołgą a Dunajem, okrutnego podboju, po którym nastąpił długi okres zniewolenia Rusi, najpierw przez hordy mongolskie, a później przez Turków.

Drugie, Wielki Kiteż, wkracza na scenę trzysta lat później, kiedy to Iwan Groźny spełnia nadzieje Rusi chrześcijańskiej na samodzielność i zjednoczenie. Fiewronia, niewinna dziewczyna żyjąca w lasach, wybłągała zagrożonemu miastu w modlitwach opiekę Marii Dziewicy. Maria przykryła je taflą jeziora, przez którego czyste wody można je ujrzyć, lecz nie można się do niego dostać ani go

zniszczyć. Kiteż, podobnie jak święty Graal, jest osiągalny jedynie dla wierzących, takich jak Fiewronia, którzy potrafią zaakceptować pojęcie „życia wiecznego” i którzy w przyszłości będą żyli w przywróconym do istnienia mieście – i kiedy ociekając wodą, podniesie się, o brzasku nowego wieku, ni-1 czym Nowe Jeruzalem. I tak dzieje się w ostatnim akcie opery.'

Wiedziałałam, że w tym wypadku zagubione miasto nie było jedynie krajobrazem baśniowym. Bo przecież właśnie w tamtym regionie całkiem niedawno odkryto zagubione miasta Cha – j żarów, pogrzebane przez Stalina pod wodą w czasie akcji odwracania biegu rzek. Obraz, który w moim umyśle nabierał coraz wyraźniejszych barw, dotyczył tego czegoś, co zdawało się po – | jawiać przy każdym metafizyczno-metaforyczno-mityczno-mistycznym zakręcie w tym tysiącletnim polowaniu na „święte świętości” – czegoś, o czym byłam przekonana, że jest jądrem prawdy ukrytej w manuskryptach Pandory.

– Wszystkie te legendy... rosyjski Kiteż, islandzka *Edda*, Nibelungowie, sagi o Graalu Wolframa von Eschenbacha i Chretien de Troyes... wszystkie są jakoś ze sobą powiązane, prawda, Wołga?

Wołga Dragonów kiwnął głową z namysłem, nie przestając mi się przyglądać. Mówiłam dalej:

– No więc... niby to jedynie legendy, a okazuje się, że każda po kolei jest osadzona w dających się sprawdzić historycznych realiach. I, jak mi się zdaje, za miejscami tych wydarzeń i związanymi z nimi przedmiotami uganiają się przez wieki wszyscy, począwszy od wszelkiego autoramentu przywódców politycznych, skończywszy na mistykach... – W czarnych oczach Wołgi zauważyłam jakiś dziwny błysk. – Oczywiście, wiem o co chodzi. – Poderwałam się z miejsca. Choć wciąż w powietrzu unosił się szary obłoczek mojego oddechu, nie pociągnęłam kolejnego łyka śliwownicy; zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Wołga dalej milczał. – Skandynawskie, teutońskie, słowiańskie, celtyckie, semickie, indoeuropejskie, aryjskie, greko-romańskie, drawidyjskie, trackie, perskie, aramejskie, ugaryckie – wyliczyłam jednym tchem. – Dużo tego, prawda? Ale Pandora odgadła, jak są powiązane, tak czy nie? Odgadła i dlatego rozdzieliła P manuskrypty między czworo ludzi w jednej rodzinie, ludzi, którzy nigdy nie rozmawiali ze sobą: w ten sposób, nie dysponując całością, nikt nie mógł zobaczyć tego, co ona zobaczyła.

Zatrzymałam się i wpatrzyłam w Wołgę, uzmysławiając sobie, że być może wyjawiałam zbyt wiele z tego, co wiedziałam, czy z tego, czego nie wiedziałam. W końcu czyż Laf nie wysłał go za mną, żeby to on przede mną odkrywał karty, a nie na odwrót? Wołga miał zdecydowanie dziwny wyraz twarzy.

– W tym, co powiedziałaś, jest jedna bardzo ważna rzecz... ważniejsza od całej reszty – rzekł wreszcie. – Czy wiesz, co to jest?

Za Boga, nie wiedziałam.

– Liczba cztery. Czworo ludzi, cztery strony świata, cztery pory roku, cztery zestawy dokumentów. Liczy się czas, ponieważ nowy eon jest tuż-tuż. A ty wciąż nie znasz całości zbiorów Pandory.

– O ile mi wiadomo, całości nie zna nikt – zauważyłam.

– I właśnie z tego powodu przyleciałem tej nocy do Rosji powiedział Wołga, cicho, lecz dobitnie.

Kiedy siadałam, serce waliło mi w piersiach jak oszalale. – W Idaho nie byłaś przygotowana na podjęcie się tej misji, natomiast teraz – tak; widzę to po twoich oczach. I mam nadzieję, że nie jest za późno. Otóż jest

ktoś, kto miał dostęp do wszystkich dokumentów, i to przez wiele lat... albo przynajmniej do osób, które je posiadały. Chociaż, jak sama zasugerowałaś, ta czwórka ludzi, Lafcadio, Augustus, Earnest i Zoe – byli sobie wrodzy, nie byli wrogo nastawieni do tej osoby.

Wytrzeszczyłam oczy, nie wierząc własnym uszom. On mógł mówić tylko o jednej jedynej osobie. Ale szybko pomyślałam, że na szczęście dla mnie jest tu pewien szkopuł.

– To prawda, że Jersey była żoną mojego ojca, Augustusa, a następnie stryja Earnesta – przyznałam. – I to prawda, że kiedy byłam dzieckiem, przez lata utrzymywałyśmy kontakty ze stryjem Lafem. Ale Jersey nigdy nie miała do czynienia z moją wstrętną ciotką Zoe. O ile wiem, te dwie nigdy się nawet nie poznały.

Jeśli rosyjskie ściany mają uszy, zrozumiały odpowiedź Wołgi bez pomocy tłumacza.

– Przykro mi, że to ja przychodzę z taką wieścią, ale czas nagli i pora, byś poznała prawdę – powiedział stanowczo. Jersey, twoja matka jest córką Zoe Behn.

am^mma&am

WĄTEK I OSNOWA

[Kiedy Mojry tkają los] długość życia człowieka... jest przedstawiona za pomocą... linii wertykalnej, to jest nici osnowy. [Ale] co z wątkiem, niciami, które są... związane wokół nici osnowy? W nich, w niciach wątku powinny się odbijać różne fazy losu, przez które przechodzi człowiek za życia i z których ostatnią jest śmierć.

Dawne skandynawskie boginie, nomy, przędły człowiekowi los w momencie, kiedy się rodził... Słowianie także mieli [takie] boginie... podobnie jak dawni Hindusi i Cyganie... Norny nie tylko przędły i wiązały, lecz także tkwały. Ich tkanina wisi nad każdym człowiekiem.

Richard Brcotton Onians, *The Origins of European Thought*

Buddyzm jest zarówno filozofią, jak i sposobem na życie. Filozofia buddyjska jest bogata i głęboka. Praktyki buddyzmu są zawarte w księgach zwanych tantrami. Sanskryckie tantra znaczy tkanina, spoistość.

...Najznakomitsi myśliciele indyjskiej cywilizacji odkryli, że słowa i pojęcia są jedynie słowami i pojęciami. Dopiero od nich zaczyna się właściwa praktyka, której doświadczenie jest czymś niewysłowionym.

...Na tantrach nie kończy się racjonalna myśl. Tantry oznaczają integrację myśli... w szersze spektrum świadomości.

Gary Zukav, *Tańczący Mistrzowie Wu Li*

A o raz pierwszy na wiadomość o kolejnym rodzinnym skandalu nogi się pode mną nie ugięły ani nie dostałam mdłości. Bo też, jak mam być szczerą, rewelacje Wołgi Dragonowa nie brzmiały (a podpowiadała mi to jako taka wiedza o rodzinie ze strony matki) całkiem niewiarygodnie. Co więcej, miałam nadzieję, że wpasują się doskonale w rodzinną łamigłówkę.

Kiedy miałam dwa lata, matka spakowała mnie i odeszła od ojca. Przez kolejne dwadzieścia lat z okładem Augustus dzielił swój czas między posiadłość w Pensylwanii i eleganckie biura w Nowym Jorku, które były duszą rodzinnego imperium wyrosłego na kopalniach minerałów, odziedziczonych po Hieronimie Behnie.

Jersey wróciła na sceny najważniejszych stolic Europy. Ciągała mnie ze sobą przez kolejne sześć lat, do czasu, kiedy^ powtórnie wyszła za męża. Za stryja Earnesta. Po rozłące ro-* dziców rzadko widywałam ojca, a poza tym Augustus nigdy nie był gadatliwy i nie rozmawiał ze mną o rodzinnych sprawach, tak więc wszystko, co wiedziałam o małżeństwie moich rodziców czy o przedmałżeńskim życiu matki, zostało przefiltrowane przez lodowatobłękitne oczy Jersey.

Jersey urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym, z matki Francuzki i ojca Irlandczyka, na jednej z brytyjskich Wysp Normandzkich, po której nosiła imię. W czterdziestym roku, kiedy Francja poddała się Niemcom, leżące u wybrzeży Normandii wyspy stały się bezbronne. Część mieszkańców Brytyjczycy zdążyli ewakuować, lecz wielu wolało pozostać na miejscu. Na wyspie Jersey odmówiło wyjazdu aż osiemdziesiąt procent ludności. Kiedy Niemcy zajęli i ufortyfikowali wyspy, aby stworzyć „zagrożenie militarne w murze zachodnim”, zaczęły

się przymusowe deportacje i różnego rodzaju represje. Wyzwolenie przyszło dopiero pod koniec wojny. Ale do tej pory mojej matki już tam nie było.

Na początku inwazji na Francję, jak wieść rodzinna głosi, matka Jersey pośpieszyła na pomoc swojej rodzinie i utknęła gdzieś w głębi kraju. Ojciec Jersey, irlandzki pilot, który ochraniał angielskie niebo podczas bitwy o Wielką Brytanię, został zestrzelony przez Luftwaffe. Dziesięcioletnią Jersey, jako dziecko pozbawione opieki rodziców, Brytyjczycy ewakuowali do Londynu. Podczas *Blitzkriegu*, który zesłał niemiecki ogień z nieba na cywilną ludność Anglii, Jersey, dla bezpieczeństwa, została na czas wojny odesłana wraz z innymi angielskimi dziećmi – „tobołkami z Brytanii” – do rodzin w Stanach. Jej matka zaś, członkini francuskiego ruchu oporu, została uznana za „zaginioną podczas akcji”.

Historia, powtarzana przez wiele lat, zawsze kończyła się I tym samym: szlochem Jersey uchylającej się od dalszych kome* tarzy i nakazującej nam pamiętać o bohaterstwie jej nieszczęsnych rodziców, a także o bólu, jaki jej sprawia rozpamiętywanie tamtych ciężkich chwil.

Na poparcie takiego wizerunku dom był wprost zarzucony okolicznościowymi drobiazgami, łącznie z plakatami, afiszami teatralnymi i recenzjami świadczącymi o niewiarygodnie wczesnie rozpoczętym życiu scenicznym w Ameryce. Dziesięcioletnią Jersey wzięła na wychowanie pewna rodzina z Nowej Anglii; kiedy dziewczynka miała dwanaście lat – czyli w wieku, w którym ujawnia się wiele talentów muzycznych – owa rodzina odkryła w niej niezwykle głos. W lecie czterdziestego piątego, kiedy wojna miała się ku końcowi, Jersey skłamała co do swego wieku (miała wtedy lat piętnaście) i poszła na przesłuchanie, aby zaśpiewać partię Margot w *The Desert Song* Sigmunda

Romberga, operetce, która od dawna objeżdżała prowincję i której potrzebny był dopływ świeżej krwi. Taka trudna, eksponowana rola była idealna dla młodej dziewczyny dysponującej koloraturą Jersey.

W premierową noc, gdzieś w zapadłej dziurze, naszego Kopciuszka odkrył przysłowiowy nowojorski poszukiwacz młodych talentów, który poznał się na głębi i skali czystego, brzmiącego jak dzwon głosu, którym Jersey zdystansowała dziesiątki

447

innych młodych śpiewaczek. Agent uznał, że czeka ją wspaniała kariera, zabrał ją z trupy objazdowej, twierdząc, że dziewczyna najpierw powinna pójść do szkoły. I rzeczywiście zdobył dla niej profesjonalnego nauczyciela śpiewu. Cała reszta, jak to się mówi, była zwykłą historią.

Teraz zaś potrzebna mi była historia sekretna, jak nazwałby! ją Wołga Dragonów; ta, która kryła się za wystawionym na widok publiczny życiorysem mojej matki. Lecz mówiąc uczciwie i rozpatrując fakt po fakcie, w dobrze udokumentowanym życiu Jersey niewiele było szczegółów, które mogłyby zaprzeczyć temu, co utrzymywał Wołga: że wywołująca sensację tancerka i *demi-mondaine** Zoe Behn naprawdę jest matką Jersey.

Zrobiłam szybki rachunek: jeśli Laf urodził się na przełomie wieków i jeśli Zoe miała sześć lat, kiedy on miał dwanaście, to kiedy moja matka przyszła na świat na wyspie Jersey w roku trzydziestym, Zoe była dwudziestoczteroletnią dziewczyną; czyli w wieku jak najbardziej odpowiednim, by uciec na wyspę z przystojnym irlandzkim pilotem i mieć z nim dziecko. I czyż Wolfgang nie powiedział, że Zoe należała do francuskiego ruchu oporu? Równie wiarygodne było to, że Zoe, która większość swojego bujnego życia spędziła we Francji, mogła zostawić dziesięcioletnią córkę na stosunkowo bezpiecznych Wyspach Normandzkich, aby ratować kogoś zagrożonego przez niemieckiego okupanta. Zatem pierwsze pytanie na długiej liście moich pytań brzmi: kim był ten ktoś?

A dalej – chociaż wojna rozdzieliła tysiące rodzin i poszukiwania zaginionych krewnych trwały przez dziesięciolecia, to jednak od opisywanych wydarzeń upłynęło prawie pół wieku. Było więc bardzo podejrzane, i wręcz niewyobrażalne, by przez cały ten czas ani Jersey, ani Zoe, wiodąc wystawne życie w Wiedniu czy Paryżu, nic o sobie nie wiedziały.

No i znaczący fakt – moja matka wyszła po kolei za dwóch mężczyzn o nazwisku Behn, a także żyła z trzecim, moim stryjem Lafem. Bez względu na to, czy rzeczywiście mało wiedziała o swoich korzeniach, czy też wolała o nich nie mówić, jak mógł ujść jej uwagi drobny szczegół, i to przez te wszystkie lata, że trzech mężczyzn, z którymi żyła, byli braćmi jej matki – zatem

* Z franc. „należąca do półświatka”.

jej wujami? A jeśli Wołga i Laf wiedzieli aż tyle o aferach w mojej rodzinie, to co z dwoma mężami Jersey – stryjem Earnestem i moim ojcem Augustusem? Czyżby byli ślepi i głusi?

Jednakże na tego rodzaju pytania nie otrzymałam od Wołgi żadnej odpowiedzi. Albo sam niczego więcej nie widział, albo przez zwykłą powściągliwość nie chciał mówić.

– Musisz zapytać matkę – powtarzał w kółko, kiedy go przyciskałam. – To od niej zależy, co zechce ci powiedzieć. Możliwe, że miała powody, by milczeć.

Byłam prawie u kresu wytrzymałości, kiedy w drzwiach stanął mój cerber, Świetlana. Rozpacзлиwa gestykulacja rosyjskiej damy wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jeszcze trochę, a nie daj Bóg ktoś przyłapie nas na nocnej schadzce, najwyższa pora zatem, bym wróciła pod klucz. Zanim się rozstaliśmy, podziękowałam Wołdze za to, co mi ujawnił. Skreśliłam w pośpiechu parę słów do stryja Lafa, z zapewnieniem, że wpadnę do niego w drodze powrotnej. Dodałam, tytułem wytłumaczenia, że nie 'dotrzymałam wcześniejszej obietnicy wyłącznie z powodu napiętego programu i sporej odległości między IAEA a Melkiem.

Wróciłam do pokoju, ale zasnąć i tak nie mogłam – nie tylko dlatego, że z głodu burczało mi w brzuchu, że moja tak zwana sypialnia była lodowato zimna i byłam wykończona psychicznie. Wprost przeciwnie, moja bezsenność była wynikiem nadmiernego pobudzenia szarych komórek. Miałam sporo do przemyślenia w kwestii wzoru utkanego z błędów, przeoczeń, mitów i kłamstw – wzoru, który wykreślał szlak mojego życia. O brzasku dnia, co do tego nie miałam wątpliwości, zostanę poderwana do akcji przez jakąś kolejną nieprzyjemną niespodziankę losu łomoczącą do moich drzwi. Tyle że nie powinnam rozpoczynać nowej batalii bez właściwego przegrupowania starych wojsk i rozpoznania nowego pola bitwy.

Kiedy Wołga wspomniał, że moja matka może być ewentualnym uczestnikiem w grze, od razu mnie olśniło, że podobnie jak Hermione, Jersey to nie tylko imię czy nazwa, lecz także miejsce – miejsce, o ile mogłam zdać się na własną pamięć, z wystarczającą liczbą celtyckich megalitycznych miejsc kultu, aby dało się je uznać za klucz wskazujący na tajemniczą siatkę sił. A w związku z tym – że prawdopodobnie przez cały czas spoglądałam w niewłaściwym kierunku: na dół zamiast do góry.

Dawni budowniczości, którzy wznosili egipskie piramidy; czy świątynię Salomona, nie potrzebowali map, cyrkli czy! kątomierzy, aby wyznaczyć miejsce pod swoje budowle. Używali tego samego zestawu narzędzi przez tysiąclecia, czy to żeglo-j wali po oceanie, czy po pustyni. I tylko jedno pomagało im precyzyjnie lokalizować miejsca na ziemi – baldachim gwiazdy zapalonych na nocnym niebie. Tak więc raz jeszcze cała ta his-] toria, tajemnice, legendy i mity zdawały się zmierzać do jednego punktu, wskazując mi zarazem właściwy kierunek. Ku gwiazdom.

Kiedy szukałam butelki z wodą mineralną, aby przed snem umyć zęby, zauważyłam na dnie torby Biblię, tkwiącą tam; jeszcze od wyjazdu do Sun Valley. Przywiodło mi to na pamięć rozmowę z Samem, pod gwiazdami, w noc przed moim wyjazdem do szkoły. Choć wtedy nie mogłam przypuszczać, że tak się stanie – była to nasza ostatnia rozmowa, nie licząc tej z zeszłego tygodnia, na innej górze w Idaho.

Wyciągnęłam Biblię, oparłam ją o wyszczerbiony porcelano-1 wy brzeg umywalki i zaczęłam przerzucać kolejne strony, aż doszłam do Księgi Hioba, cały czas przy wtórze głosu Sama:

– Czy pamiętasz historię Hioba? – zapytał, kiedy staliśmy obok siebie, patrząc na nocne niebo.

Jego pytanie zabrzmiało dziwnie w uszach kogoś, kto nie czytał Biblii. Przypomniałam sobie tylko, że Jahwe potraktował, biednego Hioba niesprawiedliwie, dając szatanowi carte blanche na

torturowanie „sługi bożego”; wydawało mi się to potwornie okrutne. I właśnie tak odpowiedziałam Samowi.

– A przecież, co jest dość interesujące, wbrew cierpieniom, przez które przeszedł – zauważył Sam – Hiob tylko raz pozwolił sobie na konfrontację z Bogiem. Zadał mu słynne pytanie: „Ale mądrość gdzież może być znaleziona? a kędy jest miejsce roztropności?”* Czy pamiętasz, jaka była odpowiedź Boga na zwykłą prośbę o zrozumienie bożych wyroków i o roztropność?

Kiedy potrząsnęłam przecząco głową, Sam ujął mnie za rękę, a drugą dłonią zakreślił szeroki łuk obejmujący całe nocne niebo – tamten świetlany gwiazdny szyk, który pozostawał jednakowo odległy i niezmienny przez miliony lat.

* Księga Hioba 28,12 i 36,4-5.

– Proszę, właśnie taka – powiedział. – Bóg przybywa spowity mgłą potwornej trąby powietrznej, i punkt po punkcie wylicza to, czego dokonał: „Stworzyłem wszystko – grad i konie, i strusie jaja – nie mówiąc o samym wszechświecie”. Hiobowi, zalanemu potokiem wielkich słów, odebrało mowę, a zresztą, po tym wszystkim co przeszedł, czy mógł mieć ochotę na dalszą dyskusję? Zachowanie Boga w takich okolicznościach wydaje się niezrozumiałe, toteż nic dziwnego, że filozofowie rozważają ten problem od tysięcy lat. Lecz ja chyba znalazłem interesującą wskazówkę...

Sam popatrzył na mnie, a jego oczy w świetle gwiazd błyszczały czystą zielenią, i zacytował:

– „Gdzieżeś był, kiedym ja zakładał grunty ziemi?... Któż uczynił rozmierzenie jej?... albo kto sznur nad nią rozciągnął?... I znaszże porządek nieba? A mozeszże rozrządzić panowanie jego na ziemi?” – Ponieważ milczałam, Sam dodał: – To była dość specyficzna odpowiedź na dość specyficzne pytanie, zgodzisz się ze mną?

– Przecież podobno pytanie Hioba dotyczyło znalezienia mądrości, tak czy nie? – zaprotestowałam. – Jak popisywanie się stworzeniem kosmosu mogło być odpowiedzią?

– I właśnie tak samo jak ty zapytują mędrzy-filozofowie eon po eonie: o co Bogu tak naprawdę chodziło? – przyznał Sam, uśmiechając się. – Ale jak powiada mój ulubiony poeta-filozof, filozofowie zawsze dochodzą do punktu, z którego startowali. Z drugiej strony przypuszczam, że dla kogoś, kto potrafi czytać mapę, odpowiedź Boga była właściwa. Zastanów się chwilę. Bóg zdaje się mówić, że współrzędne wykreślone w niebie kierują ludzką mądrością tu, na ziemi... „jak w górze, tak na dole”, rozumiesz?

Możliwe, że wtedy nie rozumiałam, ale teraz chyba tak. Jeśli rozmieszczenie świętych miejsc, w jakiejś wzajemnej relacji, w rzeczywistości odpowiadało układowi gwiazdozbiorów na niebie, nietrudno sobie wyobrazić, jak przez wieki tamta niebiańska mapa stopniowo stawała się mapą ziemi – która z kolei spletała geografie „na dole” z archetypowymi znaczeniami konstelacji „na górze”: totemami i ołtarzami ofiarnymi, i bogami.

Rozumiałam coś ponadto: że nim zdążę się dowiedzieć, jak się to wszystko spleta ze Związkiem Sowieckim, energią jądrową i Azją Środkową, mam przed sobą jedyne trzy godziny

snu. I na szczęście poczułam, że choć raz wątek i osnowa splatają mi się w jeden wzór.

Wolfgang zadzwonił do mnie przez wewnętrzny telefon w samą porę, byśmy zdążyli odbyć krótkie tete-a-tete przy śniadaniu, przed spotkaniem z sowieckimi „reaktorkami”. Znalazłam go w kącie jadalni, gdzie parę godzin temu miałam randkę z Wołgą. Siedział u szczytu jednego z długich stołów, plecami do ściany.

Przeszłam wzdłuż ciasnych rzędów rosyjskich biznesmenów w przyciasnych, źle skrojonych czarnych garniturach, w milczeniu zajadających gęstą gorącą owsiankę i popijających tę ich czarną kawę. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, położył na stole serwetkę, nalał mi tej „czarnej”, gotowanej kawy i aby mnie posadzić obok siebie, uprzejmie się podniósł. Ale jego ton był zaskakująco chłodny.

– Pewnie nie zdajesz sobie sprawy z naszego statusu tu, w Rosji – usłyszałam na dobry początek. – Jak również, że zaproszenie do otwartej dyskusji z Rosjanami, i to na tak drażliwy temat, to dla kogoś z Zachodu wyjątkowa gratka. Ostrzegałam cię, że nasze zachowanie może być obserwowane. No więc, co ty sobie, u diabła, myślisz, urządzając jakieś niewydarzone nocne schadzki, i to właśnie tu, w hotelu? Kim on był?

– Sama się zdziwiłam na jego widok. Byłam już w piżamie wyznałam skromnie. – To był lokaj mojego stryja, Wołga. Laf się przejął, że nie zadzwoniłam do niego z Wiednia, choć obiecałam.

– Lokaj twojego stryja? – zdziwił się Wolfgang. – Ależ powiedziano mi, że spędziliście razem kilka godzin, prawie do świtu! Niby o czym można rozmawiać tak długo?

Nie byłam pewna, jak wiele chcę powiedzieć Wolfgangowi o pogawędce z minionej nocy, a po za tym uraził mnie jego ton. Czy nie dość, że spędziłam tydzień prawie bez snu, a ostatni wieczór bez kolacji, bym przy śniadaniu stawała twarzą w twarz z hiszpańską inkwizycją? Więc kiedy gburowaty wąsaty babsztyl podszedł do naszego stołu z wazą i koszykiem chleba, zaczerpnęłam chochlę gorącej owsianki, wcisnęłam do ust kawałek wyschniętej grzanki i nic nie odpowiedziałam. Chociaż, kiedy kiszki mi się rozgrzały, trochę zmięklam.

– Wolfgang, przykro mi, ale chyba wiesz, że stryj Laf raczej za tobą nie przepada – wyjaśniłam. – Niezbyt mu się podoba

ła nasza wspólna wyprawa i pobyt w Wiedniu sam na sam i w ogóle. Nie mając ode mnie znaku życia, zadzwonił do biura w Idaho z pytaniem, co się ze mną dzieje...

– Dzwonił do twojego biura? – przerwał Wolfgang. – A z kim rozmawiał?

– Z moim gospodarzem, Olivierem Maxfieldem. Poznali się przed naszym wyjazdem – przypomniałam mu. – Zdaje się, że Laf miał ochotę porozmawiać ze mną na osobności. W Sun Valley było nas za wiele, w Wiedniu ja nawaliłam, więc w końcu przysłał do mnie Wołgę, z paroma sprawami.

– Mogę wiedzieć, z jakimi? – spytał Wolfgang obojętnym tonem, sącząc swoją kawę.

– Z rodzinnymi – ucięłam krótko. – Osobistymi.

Spuściłam wzrok na miskę zastygłej na beton owsianki.

Nauczona doświadczeniem wczorajszego wieczoru, że szanse na coś do jedzenia w tutejszym baraku-hotelu są mniej więcej *t* takie same jak na szczęśliwy los na loterii, zmusiłam się do przełknięcia jeszcze jednej łyżki i wypicia całego kubka gorzkiej kawy. Nie bardzo wiedząc, jak to powiedzieć, wypaliłam bez zastanowienia:

– Wolfgang, po powrocie do Wiednia, zamiast lecieć bezpośrednio do Idaho, chcę zboczyć z drogi. Tylko na jeden dzień. – Przerwałam. Mierzyliśmy się wzrokiem. – Chcę, żebyś umówił mnie na spotkanie z moją ciotką Zoe, w Paryżu.

Po śniadaniu zabrano nas sprzed uroczej karnej kolonii, naszego obecnego miejsca pobytu, vanem przypominającym czołg wyposażony w okna, w kierowcę, a także w nową żeńską „eskortę” z Inturista, dla podwójnej gwarancji, że znajdziemy się tam, gdzie powinniśmy. Aby odświeżyć pamięć, dogrzebałam się do zabranych z IAEA akt i sprawdziłam rozkład dnia oraz dołączoną mapę.

Nasze pierwsze spotkanie miało się odbyć w ośrodku nuklearnym usytuowanym w Sosnowym Borze, w pobliżu letniego pałacu Katarzyny Wielkiej, jakąś godzinę jazdy na zachód od Leningradu, w stronę Bałtyku, zgodnie z programem mieliśmy zwiedzać coś, co w Ameryce nazywamy reaktorem przemysłowym, czyli takim, który produkuje energię elektryczną do powszechnej konsumpcji.

W czasie jazdy przyszło mi na myśl, że po raz pierwszy od pobytu w San Francisco nie przeszkadza mi mżawka, mgła, lód czy śnieg – że mogę się swobodnie rozejrzeć po okolicy, a było po czym. Miałam rozległy widok na Ermitaż i jego odwrócone do góry nogami odbicie w Newie, odbicie brylantowozielone, jak tamto baśniowe miasto Kiteż z opowieści Wołgi, migoczące w głębinach jeziora aż do Dni Ostatnich, aż do czasu, kiedy ociekając wodami, powstanie raz jeszcze. Po turkusowym niebie płynęły wełniste chmury. Wzdłuż drogi biegł szpaler nagich po zimie drzew, o gałęziach usianych brylantami kropel porannego deszczu. Do naszego vana przez na pół opuszczone szyby napływały bogate aromaty budzącej się do nowego życia, wilgotnej ziemi.

O tym, co właściwie skłoniło Rosjan, aby zaprosić nas do siebie, dowiedziałam się zaraz pierwszego ranka, kiedy eskortowani przez grupę świątecznie odstawionych inżynierów i fizyków o imionach w rodzaju Jurij i Borys zwiedzaliśmy potężną elektrownię w Sosnowym Borze. Otóż tydzień czy dwa wcześniej, również w kwietniu, bawiąc z wizytą w Londynie, Michaił Gorbaczow – być może na fali świeżo zaprowadzonej głośności i pierestrojki – zadziwił cały świat, ogłaszając decyzję Związku Sowieckiego co do jednostronnego zaprzestania produkcji wy – j soko wzbogaconego uranu, stosowanego w głowicach nuklearnych, i zamknięcia kilku sowieckich reaktorów powielających, *i*

A tamtego popołudnia, podczas pierwszego osobistego kon –] taktu z trustem mózgów Leningradzkiego Instytutu Fizyki Jądrowej, historia przypuściła na mnie, że tak powiem, atak frontalny. Na przeciągającym się w nieskończoność briefingu, tym razem nie austriackim, lecz rosyjskim, czyli na jednej z nasiadówek uwielbianych, jak widać, przez „reaktoriki” całego świata, dyrektor Instytutu, niejaki Jewgienij Mołotow – gość o długiej, posępnej twarzy i nieokreślonym podobieństwie do Beli Lugosiego* (a poza tym całkiem przystojny), zaprezentował nam tak zwany rys historyczny.

Ów rys zaczynał się od tych samych zmagania, do których ostatniej nocy robił aluzje Wołga Dragonów, zmagania toczących się przez minione dwa tysiąclecia – do dzisiaj. Uwikłana w nie

* Węgierski aktor grający min. w amerykańskim filmie *Dracula*.

od dwóch tysiącleci spora część świata – oczywiście Azja Środkowa – jak dotąd niewiele straciła ze swej tajemniczości. Brytyjczycy, którzy razem z Rosjanami i innymi nacjami angażowali się w te zmagania przez minione pięćset lat, ukuli dla nich nazwę. Nazwali je Wielką Grą.

WIELKA GRA

W czasie całej historii poznania powstały dwie teorie rozwoju wszechświata, teoria metafizyczna [idealistyczna] i teoria dialektyczna [materialistyczna], tworzące dwa przeciwstawne światopoglądy. [W materializmie dialektycznym] fundamentalna przyczyna rozwoju rzeczy jest nie zewnętrzna, lecz wewnętrzna; tkwi w sprzecznościach rzeczy samej w sobie.

Mao Tse-tung

Wschód jest Wschodem, a Zachód Zachodem, i tych dwoje nigdy się ze sobą nie zejdzie.

Rudyard Kipling

Wschód pomoże nam podbić Zachód.

Włodzimierz Iljicz Uljanow (Lenin)

Iwan III, car Rosji, potomek Aleksandra Newskiego, po raz pierwszy od dwustu pięćdziesięciu lat naruszył porządek rzeczy, odmawiając, w tysiąc czterysta osiemdziesiątym roku, płacenia trybutu Złotej Ordzie. Tymczasem gdzie indziej także zachodziły zmiany. Przestało istnieć cesarstwo bizantyjskie, a Konstantynopol opanowali Turcy. Po poślubieniu Zoe, jedynej bratanicy ostatniego chrześcijańskiego cesarza Bizancjum, Iwan przypisał sobie prawo duchowego przywództwa Kościoła wschodniego i nazwał się obrońcą Wiary.

Te politycznie sprytnie zaślubiny Kościoła i państwa odbyły się w roku, który stał się ważnym historycznym momentem dla zachodniej Europy: w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim, kiedy to „Kolumb wypłynął na niebieski ocean”, a Ferdynand i Izabela wypędzili Maurów i Żydów z Hiszpanii, kładąc kres siedmusetletnim wpływom południowych i wschodnich kultur i ukierunkowując Europę na Zachód. W roku, który wyznaczał początek rozkładu systemu feudalnego i podpalił lont nacjonalizmu i wynikającej z niego gorączki ekspansji kolonialnej.

Wyspa na północy Europy spóźniała się z dołączeniem do tej grabieżczej gry. Kompania Wschodnioindyjska została oficjalnie utworzona przez angielską królową Elżbietę I dopiero trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc sześćsetnego roku. Jej celem miało być współzawodnictwo z Holendrami, którzy, już konkurując z Hiszpanami i Portugalczycami, wciąż mieli monopol na handel przyprawami sprowadzanymi z Malajów i Wysp Korzennych. W ciągu piętnastu lat wschodnioindyjskie kompanie handlowe powstawały także w Danii, Francji, Szwecji i Szkocji. „Perłą w koronie” Anglii były Indie, z ich rozległymi złożami bogactw, pozornie niewyczerpanych, i z ciepłowodnymi portami.

W końcu Rosjanie także zauważyli te atrybuty.

Przed reformami zaprowadzonymi przez Piotra Wielkiego w osiemnastym wieku, sami bardziej przypominali Azjatów niż Europejczyków; z tymi ich długimi, luźnymi rubaszkami, z nie strzyżonymi włosami i brodami, z tym typowo wschodnim izolowaniem kobiet, no i z barwną obrzędowością cerkiewną. Przecież jednak, powodowani paranoicznym lękiem, by ponownie nie stać się narodem poddanym, tak jak za czasów mongolskiej dominacji, ci ongiś zacofani feudalni panowie rozszerzali swoje granice w imponującym tempie dwudziestu tysięcy mil kwadratowych w ciągu roku. W dwa stulecia od śmierci Piotra Wielkiego w tysiąc siedemset dwudziestym piątym, wchłonęli prawie wszystkie, w ogromnej mierze odmienne kultury istniejące w kilkutyśiecznomilowym pasie otaczającym rdzenną Rosję, prac na wschód przez Syberię aż po Morze Beringa, a na zachodzie zawłaszczając całe albo co najmniej znaczne połacie Litwy, Polski, Finlandii, Łotwy, Estonii, Inflantów, Karelii, Laponii.

Brytyjczycy, aby nie pozostać w tyle, rozszerzyli swe wpływy na północ i na wschód do Pendżabu i Kaszmiru, anektując Birnę, Nepal, Bhutan, Sikkim i Beludżystan, a także zapuścili się do Afganistanu i Tybetu. Zajęli Egipt i Cypr, Kompania

p

Wschodnioindyjska została rozwiązana, a Wiktoria, koronowana cesarzowa Indii, doczekała się cesarstwa tam, gdzie słońce nigdy nie zachodzi.

W ramach kontrposunięcia, na początku pierwszej wojny światowej, Rosja poszła na południe i zachód i zajęła Ukrainę, Kaukaz, Krym i zachodni Turkiestan – dzisiejszą Azję Środkową – aż po granicę hindusko-perską. Teraz granice obu mocarstw, kiedyś oddzielonych tysiącami mil, w niektórych miejscach biegły prawie przez miedzę.

Rosyjska ekspansja bynajmniej nie skończyła się wraz z rosyjską rewolucją. Lenin, nawołując do ogólnoświatowego powstania mas przeciw kolonialnym ciemnościom, zachęcał zwłaszcza narody Indii, aby zrzuciły (brytyjskie) jarzmo imperialistycznej niewoli. Ale sami bolszewicy, jak się wkrótce okazało, nie przejawiali chęci przywrócenia autonomii kolonialnym włościom, zdobytym w ciągu czterech wieków rosyjskiego imperializmu. Regionom usiłującym odzyskać niepodległość podczas późniejszych wojen domowych i powstań chłopskich szybko utarło nosa.

W skład utworzonego w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich weszły: Białoruś, republiki zakaukaskie (Gruzja, Armenia i Azerbejdżan), Ukraina i Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka, czyli ta, która wchłaniała całą resztę. Dopiero później, kiedy Turkiestan Zachodni, w większości muzułmański, zapragnął stać się samodzielną i niezależną republiką, nakreślono sztuczne granice, dzielące go na pięć „etnicznych” obwodów. Tę decyzję podjęto w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku; w roku tym zmarł Lenin i sukcesję po wodzu rewolucji przejął Stalin, pozostający przez następne trzydzieści lat u władzy i w charakterze stalowej pięści partii komunistycznej.

Poczynając od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, Związek Sowiecki rozpoczął „pacyfikację i wchłanianie” całej Polski, Czechosłowacji, Rumunii i państw bałtyckich: Łotwy,

Litwy i Estonii, a także części Niemiec i Laponii.

Jewgienij Mołotow z Leningradzkiego Instytutu Fizyki Jądrowej nie musiał domalowywać całej reszty obrazu; sama to zrobiłam. Po drugiej wojnie światowej Wielka Gra zmieniła nazwę

457

na zimną wojnę, jednakowoż gracze pozostali ci sami. Nową zabawką, pożądaną przez wszystkich głównych graczy, były nuklearne „klocki”, a dyplomatyczna strategia zaczęła odwzorowywać grę w „puszczanie nerwów”: Dwa samochody pędzą na siebie, na pełnym gazie. Przegrywa kierowca, który dla uniknięcia zderzenia odbije kierownicą w bok. A Stany Zjednoczone dociskały gaz do dechy mocniej niż ktokolwiek inny. Jedyna różnica, którą widziałam między dwiema wersjami tej samej gry – rozpędzonymi samochodami a zimną wojną – była taka, że w przeciwieństwie do pierwszej, w drugiej raczej nikt nie miał szans na zwycięstwo. .

W naszym tygodniowym rozkładzie zajęć Wolfgang i ja przemierzyliśmy szerokie przestrzenie Rosji centralnej, oglądając różne urządzenia i spotykając się z grupami i pojedynczymi ludźmi, pracującymi na polu nukleoniki w różnym charakterze, a ja przy okazji odkryłam, że największym zmartwieniem sowieckiego rządu nie jest kwestia bezpiecznego eksploataowania elektrowni jądrowych, lecz coś, z czym – tak się składało właśnie ja miałam do czynienia: kwestia właściwego składowania czy przetwarzania odpadów nuklearnych. Większość z nich, w wypadku Związku Sowieckiego – jak się również składało była „wyrzucana” poza granice samej Rosyjskiej Federalnej Republiki. I to właśnie tu domalowałam sobie całą resztę obrazu.

Przez prawie pięć lat Olivier i ja tworzyliśmy bazę danych przeznaczoną do lokalizowania, klasyfikowania i monitorowania wszelkich toksycznych i radioaktywnych odpadów, produkowanych przez przemysł nuklearny Stanów Zjednoczonych i pokrewne mu działy. Cały program obejmował liczne ośrodki badawcze rozrzucone po kraju i świecie, a wszyscy razem dzieliliśmy się ekspertyzami w myśl głośności i pierestrojki, tyle że w jankeskim wydaniu. Współpracowaliśmy z IAEA i z bazami danych od Monterey po Massachusetts, które monitorowały handel materiałami nuklearnymi, wyposażeniem i technologią. Lecz wszelkie nasze wysiłki jak na razie sprowadzały się do penetrowania jedynie powierzchni bardzo głębokiej rany.

Skrytość i wzajemna nieufność czasów zimnej wojny, wreszcie powoli dogasającej, pozostawiły blizny, które trudno usunąć – zwłaszcza z tkanki naszej Matki Ziemi. Budzących grozę historii było wiele, nic więc dziwnego, że ludzie parający się badaniami jądrowymi przez lata trawestowali biblijne: „Nie wie lewica, co czyni prawica”, używając je jako swojego motta. Wojskowe śmietniki, na których później budowano osiedla; płynne odpady z reaktorów odprowadzane do podziemnych łożysk rzek i tak dalej. Ale – jak się teraz dowiadywałam – nasze zachodnie wojskowo-przemysłowe „wpadki” i tak wydawały się niewinne niczym przysłowiowa lilia, w porównaniu z ich rosyjskimi odpowiednikami. Z tym, co się w Rosji działo przez ostatnie czterdzieści lat.

Podczas gdy my między sobą długo się wyklócaliśmy, jak lokalizować i odkopywać odpady – pomijając to, co potem z nimi robić – dowiedziałam się, w ciągu zaledwie tygodniowej podróży po Rosji, że Sowieci dysponują piekielnymi międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi i bombami wodorowymi i że magazynują tysiące strategicznych głowic bojowych. Że mają liczne urządzenia do

przetwarzania zużytych zespołów paliwowych; że wzbogacają uran metodą laserową albo metodą dyfuzji gazowej; że stosują różne techniki wydobywcze uranu: kopalnie otworowe, wydobywanie z osadów czy wylugowywanie *in situ* z głęboko położonych złóż. I że składowanie na Arktyce i w Pacyfiku wodoru ciężkiego i cyrkonu praktykują, jak się zdaje, od dziesięcioleci.

Z grubsza biorąc, w sowieckim przemyśle nuklearnym i w co najmniej dziesięciu wyłączonych miastach – zatrudniano dziewięćset tysięcy ludzi. W Rosji było więcej niż sto pięćdziesiąt ośrodków, gdzie używano materiałów rozszczepialnych lub je produkowano, a zgodnie z przewidywaniami, liczbę reaktorów przemysłowych miano podwoić w ciągu kolejnych dwudziestu lat. Był to dopiero początek.

Problemem, który, jak by powiedział Olivier, doskwierał im jak koniowi źle dopasowane siodło, miała się okazać Azja Środkowa – rejon zwany w języku tureckim *Orta Asya* – obejmująca pięć, w przeważającej mierze islamskich republik: Kazachstan, Kirgizję, Uzbekistan, Tadżykistan i Turkmenię. Twierdząc, że religia to opium dla mas, Karol Marks zapomniał, jak głęboko ten narkotyk krąży w żyłach ludzkości – i że taka retoryka nigdy nie była żadnym antidotum. Dziesięć lat agresywnej

wojny z muzułmańskim sąsiadem, Afganistanem, tak zwany rosyjski Wietnam, jedynie pogłębił tę starą duchowo–materialną schizmę.

Oliwą dolewana do ognia islamskich fundamentalistów było to, że w pojęciu Rosjan rosyjską Azję Środkową stanowiły tylko cztery republiki: Kazachstan, z jego liczną rdzennie rosyjską ludnością, Rosjanie uważali za część Rosji. I właśnie w Kazachstanie rozlokowano rosyjskie poligony nuklearne, w Kazachstanie, który graniczył z chińskim Sinciangiem (byłym Turkiestanem Wschodnim zamieszkanym przez muzułmanów), gdzie nad położonym w głębi pustyni jeziorem Łobnor Chińczycy testowali swoją broń jądrową już od lat sześćdziesiątych. Cały ten obszar zatem był beczką prochu.

Rosyjskie poczynania na zewnątrz własnych granic wcale nie wyglądały lepiej. W Polsce i w Czechosłowacji znajdowały się całe arsenały broni, kopalnie i zakłady wytwarzania paliwa. Od lat siedemdziesiątych Rosja zaopatrywała w paliwo nuklearne takie kraje jak Egipt, Indie, Argentyna i Wietnam, a także dostarczała wysoko wzbogacony uran do reaktorów doświadczalnych w Libii, Iraku i Korei Północnej. A przy tym w całym Związku Sowieckim nie było choćby jednego prawidłowo funkcjonującego punktu celnego, sprawdzającego poziom radioaktywności wysyłanych materiałów.

Nie potrzeba więc bujnej wyobraźni, by zrozumieć, dlaczego j Rosjanom pali się grunt pod nogami. Najwyraźniej ekspertyzy z Zachodu dotarły do nich w ostatniej chwili. Ale jeśli chodzi o zatykanie wyrw w wałach przeciwpowodziowych workami z piaskiem, wyznają filozofię, że lepiej późno niż wcale.

Mityczna Pandora otworzyła swoją mityczną puszkę tak dawno, że morał jej mitu wydawał się na dobre zaprzepaszczone. Możliwe, że obdarzyła świat nieszczęściami, które mściwemu Zeusowi nawet się nie śniły. Ale jak powiedział Sam, możliwe, że źle odczytywaliśmy mapy. W końcu oprócz nieszczęść w tamtej puszcze było coś ponadto, coś, co nie zdołało się z niej wyrwać: Nadzieja. Patrząc więc na to z innej perspektywy, należałoby przypuszczać, że Nadzieja, przywarta mocno do

dna puszki, wciąż jest przed nami. Przynajmniej ja w to wierzyłam.

Byliśmy zgodni z sowieckimi kolegami po fachu co do tego, aby w nasze wzajemne stosunki technąć nowego ducha. Zwłaszcza – ■■ iłjiWtoiai–

cza że w związku z panującą ostatnio atmosferą otwartości i współpracy naukowcy sowieccy wreszcie mogli podróżować na Zachód, za żelazną kurtynę. Przed wyjazdem umówiliśmy się na dalsze kontakty – a ja poza tym zebrałam pełną torbę gadżetów tej nowo powstałej elity, gadżetów, które wciskano mi przez cały tydzień, a które zwie się wizytówkami.

Do chwili naszego przylotu lotnisko w Wiedniu zdążyło już prawie opustoszeć. Niewiele mieliśmy czasu na przesiadkę i gdyby nie to, że ostatni samolot do Paryża wymagał drobnej naprawy, pewnie byśmy na niego nie zdążyli. Oczekując w grupce innych pasażerów na autobus, który miał nas podwieźć na pas startowy, zgodnie z obietnicą poszłam zadzwonić do Lafa. Wolfgang przykazał mi nie rozmawiać długo, ponieważ odlot mógł nastąpić lada moment.

Mogłam co prawda sądzić, że jak na rozmowy telefoniczne I pora jest dość późna, ale aż takiego ognia artyleryjskiego, jakim P mnie przywitano, w życiu bym się nie spodziewała. Kiedy służący, który odebrał mój telefon, odnalazł Lafa i połączył go, usłyszałam:

– Gavroche, na litość boską, gdzie jesteś? Gdzie się podziewałaś? – Głos Lafa był roztrzęsiony. – Szukaliśmy cię przez cały tydzień. A co do bilecika, który przysłałaś przez Wołgę, co robiłaś w Melku? Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie z Wiednia czy choćby z Leningradu? Gdzie jesteś teraz?

– Jestem na wiedeńskim lotnisku – odpowiedziałam. – Ale za chwilę odlatuję do Paryża...

– Do Paryża? Gavroche, potwornie się o ciebie martwię. Wierzyłam mu. – Dlaczego do Paryża, tylko dlatego, że Wołga ci coś powiedział? Nie powinnaś najpierw porozmawiać z matką?

– Jersey nie uważała za stosowne porozmawiać ze mną przez z górą dwadzieścia pięć lat – wytknęłam. – Ale jeśli sądzisz, że to ważne, oczywiście porozmawiam.

– Porozmawiaj koniecznie. I to przed rozmową z kimkolwiek innym w Paryżu. Inaczej skąd byś wiedziała, w co wierzyć?

– Od kiedy przestałam wierzyć komukolwiek w cokolwiek, co usłyszę – stwierdziłam sarkastycznie – to chyba żadna różnica, czy będę oszukiwać sama siebie w Idaho, Wiedniu, Leningradzie czy w Paryżu.

– Ależ owszem, różnica, i to duża – zaoponował Laf, a w jego głosie po raz pierwszy usłyszałam złość. – Gavroche, usiłuję tylko czuwać nad tobą, tak samo twoja matka. Jersey miała uzasadnione powody, by tych spraw nie roztrząsać z tobą wcześniej. Dla twojego dobra. Ale teraz, kiedy Earnest i twój kuzyn Sam nie żyją... – Laf przerwał, jakby się nad czymś zastanawiając. – Z kim właściwie byłaś w Melku? Z Wolfgangiem Hauserem? – spytał. – A nie spotkałaś przypadkiem w Wiedniu kogoś innego? To znaczy kogoś spoza ludzi twojego zawodu?

Nie byłam pewna, jak wiele mogę powiedzieć Lafowi, tym bardziej przez publiczny telefon. Ale od tej całej tajemniczości i konspiracji, nawet w obrębie własnej rodziny – zwłaszcza w obrębie

własnej rodziny – brały mnie takie mdłości, że postanowiłam skończyć z tym raz na zawsze.

– Wolfgang i ja spędziliśmy rano w Melku z jakimś ojcem Virgiliem – wyjaśniłam. Kiedy na linii zapadło głucho milczenie, dodałam: – A poprzedniego popołudnia jadłam lunch z bardzo przystojnym diabłem, który twierdził, że jest moim dziadkiem...

– Wystarczy, Gavroche – warknął Laf tonem całkiem do niego nie pasującym. – Znam tego Virgilia Santoriniego; to] bardzo niebezpieczny człowiek i chyba żyjesz wystarczająco długo, byś się sama o tym przekonała. Co do tego drugiego, tego twojego „dziadka”, pozostaje mi jedynie pokładać nadzieję w Bogu, że przyszedł do ciebie jako przyjaciel. I proszę, nie mów i nic więcej, to nie pora na żadne dyskusje. Od czasu, kiedy się ' rozstaliśmy w Idaho, dokonałaś tak wielu złych i głupich wy – i borów, że doprawdy sam nie wiem, co z tobą zrobić. Ale, choć nie dotrzymujesz żadnych obietnic, spróbujmy raz jeszcze: przysięgnij, że zanim spotkasz się w Paryżu z osobą, z którą chcesz się spotkać, najpierw zadzwonisz do matki. To sprawa najwyższej wagi, bez względu na to, czy znowu postąpisz głupio, czy nie.

Laf nie wiedział, co ze mną zrobić, a ja nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Przyznaję, zmartwiłam się; nigdy nie słyszałam Lafa aż tak zdenerwowanego. I w tym momencie wezwano pasażerów do samolotu.

– Laf, naprawdę bardzo mi przykro – wyszeptałam, mając w tle hałas głośnika. – Zadzwonię do Jersey, jak tylko wysiądę z samolotu na paryskim lotnisku. Przysięgam.

W słuchawce panowała cisza, gdy tymczasem poprzednie wezwanie, po niemiecku, powtórzono w języku francuskim, następnie w angielskim. Wolfgang wetknął głowę w oszklone drzwi poczekalni, gestykułując gorączkowo – ale wtedy w mojej słuchawce rozległ się inny głos. To była Bambi.

– *Fraulein Behn* – powiedziała. – Pani *Onkel* jest tak roztrzęsiony rozmową, że chyba zapomniał, co miał do przekazania. Po pierwsze przyszedł do pani e-mail, wysłany do nas z biura Wolfganga. Po drugie, chodzi o pani koleżkę, *Herr Maxfielda*. Telefonował wiele razy, przez cały tydzień; podobno nie oddzwoniła pani ani razu, mimo jego prośb. Ma jakąś niezwykle ważną wiadomość. I wysłał telegram.

– Tylko prędko – rzuciłam. – Odlatuje mi samolot.

– Przeczytam jedno i drugie, są bardzo krótkie – powiedziała Bambi. – Pierwsza pochodzi z Ameryki, z Four Corners:

Faza poszukiwań zakończona. Obchodzić się możliwie najostrożniej z plikiem K. Dane są podejrzane.

Wiedziałam, że w Four Corners, zagubionym w samym środku pustyni, na południowym zachodzie Stanów, nie ma niczego innego poza ruinami kamiennych domów dawnego indiańskiego plemienia Anasazi, przodków Pueblo. A więc Sam mnie przestrzegał, opierając się na wiedzy zaczerpniętej w Utah, że powinnam uważać na wszystkie „dane” pochodzące od Wolfganga „K” Hausera. To wydawało się wystarczająco okropne. Ale telegram Oliviera był gorszy:

Strączek poleciał do Wiednia następnym samolotem; wciąż tam jest. Możliwe, że przegrałaś więcej niż ja na naszych zakładach. Jazon wspaniale sobie radzi i cię pozdrawia. Mój szef Theron także. Uściski, Olivier.

Zwaliło mnie z nóg. Jediną dobrą wiadomością była ta, że mój kot wspaniale sobie radzi. Zdecydowanie niedobłą – że mój szef Strączek przyleciał za mną do Wiednia. Niejasne podejrzenia, których nie mogłam się wyzbyć od pobytu w Melku, nagle zaczęły przeradzać się w pewność. A ostrzeżenia Sama zdawały się jedynie je potwierdzać.

Wolfgang mówił prawdę; widziałam ojca Virgilia jeszcze przed spotkaniem w bibliotece klasztornej. Widziałam Virgilia dzień wcześniej, w Cafe Central: *padre* był przebrany za młodszego kelnera, mającego mnie na oku podczas lunchu z Dacianem. To prawda, kręcący się tu i tam Virgilio mógł mi się później wydać znajomy, tyle że chodziło nie o tego znajomego. Wróciłam do wykrętnych odpowiedzi Wolfganga co do moich pytań o Hansa Clausa, tajemniczego służącego o przestawnym nazwisku. Tu odkryłam kłamstwo.

Jak mu musiało ulżyć, kiedy uwierzyłam, że ojciec Virgilio i człowiek z winnicy to jedna i ta sama osoba, nawet jeśli znakiem rozpoznawczym były jedynie plecy. Ale teraz zdałam sobie sprawę, że sylwetka, która oddalała się ode mnie w poświęceniu księżycowej, to nie był Virgilio, lecz ktoś, za kim często szłam krok w krok przez korytarze ośrodka nuklearnego, w zabitej deskami dziurze w Idaho – żyłasty, poruszający się ze zwinnością byłego boksera i weterana z Wietnamu. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że mężczyzną, który spotykał się z Wolfgangiem tak potajemnie, nocą, w winnicy zawieszanej wysoko nad Kremsem, był... mój szef, Pastor Owen Dart.

Zalał mnie potok myśli. Co mogą znaczyć tego rodzaju powiązania? Przede wszystkim nie powinnam przeoczyć tego, że to Dart zatrudnił mnie w ośrodku nuklearnym, mnie, nieopierzone dziewczę świeżo po college'u i bez żadnego doświadczenia, a następnie wyznaczył do współpracy z Wolfgangiem, tuż po moim powrocie z pogrzebu Sama. Z dalszej perspektywy wszystko razem zdecydowanie wyglądało na coś więcej niż wyjątkowy zbieg okoliczności.

Dalej: to znowu Dart, nie kto inny, rozmawiał z „Washington Post” o moim „spadku” i to był jego pomysł, by wysłać Oliviera w ślad za mną na pocztę po moją – moją! – przesyłkę. To Pastor Dart, także, wysłał Wolfganga w pogoń za mną przez dwa stany, do Jackson Hole, i to on stawił czoło samej federalnej służbie bezpieczeństwa, bylebym tylko zdążyła na samolot, którym odlatywał Wolfgang. I nikt inny, jak sam Pastor Dart przyleciał do Wiednia już następnym samolotem. Co więcej, jego potajemne spotkanie z Wolfgangiem zaraz po tym jak ukryliśmy manuskrypty, łącznie z wiadomością Oliviera, że Strączek wciąż jest w Wiedniu, zdawało się nasuwać oczywiste

wnioski – tyle że same wnioski, jak na razie, nie załatwiały sprawy.

Weszliśmy na pokład samolotu i zajęliśmy miejsca. Ogarnięta jakąś zimną zawziętością, postanowiłam spokojnie przełknąć gorycz zdrady Wolfganga. Postanowiłam przełykać ją dopóty, dopóki nie przebrnę przez to bagno kłamstw. Ale pozostawało coś innego. Coś ważniejszego od wszystkich zdrad Wolfganga. Coś, o czym wolałabym nie myśleć, czego wolałabym się nie dowiedzieć. Coś, co kryło się za ostatnim zdaniem wiadomości od Oliviera. Coś, co mogło się okazać najbardziej niebezpieczne.

Mężczyzna, który został zabity w San Francisco zamiast mojego kuzyna Sama, miał na imię Theron, tak jak „szef Oliviera. A nazwisko – Vane. Theron Vane.

OGIEŃ I LÓD

UCZEŃ: *Lamo, istnieje wiele legend o Wielkim Kamieniu... Już druidzi, a po nich wiele narodów powtarzało legendę o pierwotnych mocach ukrytych w tym niezwykłym gościu, przybyłym na naszą planetę.*

LAMA: *Lapis Exilis... kamień wspominany przez dawnych meistersingerów. Rozumie się, że Zachód i Wschód wypracowują razem wiele zasad. Nie musimy iść na pustynię, aby słuchać Kamienia... Kalaćakra wszystko wyjaśnia, lecz tylko niewielu te wyjaśnienia pojmuje.*

Nauka kalaćakry, o spożytkowaniu pierwotnej energii, nazywa się nauką ognia. Hindusi wiedzą, że wielki Agni – choć to dawna nauka – stanie się nauką dla nowej ery. Musimy myśleć o przyszłości.

Mikołaj Roerich, *Szambhala*

Jedni twierdzą, że świat nasz zginie w morzu ognia.

Inni – że pod pokrywą lodu.

Temperatura żądy nie jest zbyt łagodna –

Wiem coś o tym, więc trzymam z prorokami ognia.

Lecz gdyby świat miał zginąć z jakiegoś powodu

Dwa razy – znam też na tyle nienawiść,

Aby rzec, że zagłada za pomocą lodu

Również nie może nam sprawić

Zawodu.

Robert Frost, *Ogień i lód*, przeł. Stanisław Barańczak

X rzylecieliśmy krótko przed północą, ale lotnisko Charles'a de Gaulle'a było już dość puste, waluty nie można było wymienić, ponieważ właściciele kantorów poszli do domu, a ruchome schody wewnątrz szklanych klatek zamknięte na klucz. Na szczęście, z Zoe mieliśmy się spotkać rankiem.

Ale północ tutaj to była szósta po południu w eleganckim apartamencie Jersey na dachu wysokościowca w Nowym Jorku – pora koktajli, choć na szczęście dość wczesna, by moja matka potrafiła się skupić na rozmowie ze mną. Poza tym pomyślałam sobie, że lepiej zadzwonić z telefonu publicznego na lotnisku, niż czekać, aż Wolfgang załatwi jakiś hotel, i dzwonić stamtąd. A co do Wolfganga, to tydzień temu miałam w głowie jedno: kiedy i w jakim zamku uda nam się spędzić następną długą upojną noc zmysłów przed kominkiem – ale teraz starałam się o tym nie pamiętać.

Po paru nieudanych podejściach w końcu udało mi się włożyć kartę do płatnego automatu. Wolfgang, którego obserwowałam przez szybę kabiny telefonicznej, czekał, aż na kręcącym się w kółko pasie transmisyjnym pojawi się nasz bagaż. Można powiedzieć, że Jersey odezwała się prawie natychmiast, bo zaledwie po kilku dzwoneczkach, a jej głos był tak czysty i wyraźny, jakby dzieliła nas odległość dwóch stóp. A także nadzwyczajne – brzmiał trzeźwo.

– *Bonsoir* z Paryża, mamó – przywitałam ją uprzejmie. Ale nie za ciepło. – Laf się uparł, że bym zadzwoniła do ciebie zaraz po przylocie z Wiednia. Stoję w kabinie telefonicznej pośrodku de Gaulle'a, minęła północ i nie jestem sama. Dzwonię, bo Laf się uparł, bym z tobą porozmawiała. Ale pewnie zgadujesz, co mnie tutaj sprowadza... drobna rodzinna sprawa, o której, jak

się zdaje, zapomniałaś mi wspomnieć, i to przez ćwierć wieku. Może byłabyś tak miła oszczędzić nam czasu i zachodu i wtajemniczyć mnie w coś, co według ciebie powinnam wiedzieć?

Jersey milczała, a jej milczenie przeciągało się w nieskończoność. Czyżby odłożyła słuchawkę?

– Mamo? – spytałam w końcu.

– Och, Ariel, kochanie, tak mi przykro – odpowiedziała tonem szczerzej skruchy, chociaż naturalnie ja nie zapomniałam, że diwy operowe są także aktorkami. – Widzisz, skarbie, ja po prostu miałam nadzieję, że jeśli będę cię trzymać z daleka od tego wszystkiego, to przynajmniej ty będziesz miała szansę na normalne życie. – Zaśmiała się i dodała, chyba z odrobiną goryczy: – Cokolwiek by ta normalność znaczyła.

– Mamo, nie proszę cię o wyjaśnianie motywów tego, co zrobiłaś czy nie zrobiłaś przez te wszystkie lata. Odłóżmy to sobie na później. – Dużo później, dodałam w myślach. Szczerze

I mówiąc, z przyjemnością odmówiłabym sobie tej szczególnej spowiedzi. – Dzisiaj wolałabym poznać nagie fakty, nic więcej zasugerowałam. – Po prostu zrób krótkie *resume*, odtąd dotąd, tego, co może dotyczyć twojej rodziny... naszej rodziny, mamo. Chyba nie proszę o zbyt dużo?

– Nie wiem, dlaczego całkiem irracjonalnie wierzyłam, że ten dzień nigdy nie nadejdzie – rzuciła Jersey prawie ze złością. – Ale na pewno nie wyobrażałam sobie jawnej napaści ze strony własnej córki, i to w porze, kiedy przygotowuję sobie drinka! Czyżbyś się spodziewała, że przeproszę cię za całe moje życie w ciągu trzech minut?

– W porządku, nie musisz się śpieszyć – stwierdziłam. – Laf życzył sobie, bym najpierw porozmawiała z tobą, ale w końcu mamy przed sobą całą noc; z najdroższą babunią spotykam się dopiero rano.

– Proszę, proszę. A właściwie jakiego rodzaju „nagie fakty” masz na myśli? – zapytała chłodno.

– Powiedzmy takie: dlaczego twoja matka uciekła do Francji, zostawiając ciebie samą w czasie wojny, i dlaczego ty potem wyszłaś za mąż, czy żyłaś, nie z jednym, ale z trzema jej braćmi...

– Muszę się napić – Jersey przerwała szorstko, a ja rada nierada zawisłam na kablu telefonicznym o trzy tysiące mil dalej.

Wróciła chwilę później. Kiedy zaczęła mówić, podzwanianie i kostek lodu w jej szklance pobrzmiwało mi w uszach niczym i znaki przestankowe. Możliwe, że już zdążyła się zaprawić, i niemniej jej głos nabrał jakichś stalowych tonów, jakby przy – I wdziała na siebie pełną zbroję.

– No więc, ile ci powiedziano? – zapytała.

– O wiele za dużo, jak dla mojego własnego dobra. Jestem 1 tego pewna, mamo. Zatem daruj sobie kolejne ciosy.

– Więc wiesz o Augustusie?

– O Augustusie?!

Chociaż niewątpliwie nawiązywała do wersji Daciana I Bassaridesa co do pochodzenia mojego ojca, czy to nie ja byłam j od zadawania pytań? I czy przypadkiem i po prostu nie powin – I nam wygarnąć wszystkiego tej kobiecie – matce czy nie – która 1 tak długo ukrywała przede mną własne

pochodzenie? Ale po] następnej uwadze Jersey z ulgą pomyślałam, że choć raz mia – 1 łam na tyle rozumu, by niepotrzebnie nie rozpuszczać języka, i

– To znaczy – zaczęła moja matka, wciąż mimo popijania] zdolna do formułowania zdań – czy Lafcadio powiedział ci, I dlaczego porzuciłam twojego ojca?

O rety, nie miałam pojęcia, do czego to wszystko zmierza, ! lecz jednego byłam absolutnie pewna: zniosę każdy cios, byleby] raz z tym wszystkim skończyć.

– A czy ty nie mogłabyś ubrać tej informacji we własne I słowa? – zasugerowałam, aby się wymigać od krótkiego „tak” czy „nie”.

– Rozumiem. Nie powiedział. Lecz jeśli mam być szczerą, jeśli ten obowiązek spada na mnie, nie jestem całkiem pewna, co zrobić. Wiem, że milczenie byłoby lepszym wyborem. Chociaż jeśli to prawda, że wracasz z Wiednia i że jesteś w Paryżu, obawiam się, że dalsze trzymanie wszystkiego w tajemnicy mogłoby cię narazić na poważne niebezpieczeństwo...

– Ja już jestem w poważnym niebezpieczeństwie, mamó! rzuciłam przez zaciśnięte zęby. Jezusie, z jaką przyjemnością skreśliłabym ten jej cholerny kark!

Wolfgang popatrzył na mnie przez szklaną ścianę kabiny i uniósł jedną brew w niemym pytaniu. Ja, jak gdyby nigdy nic, wzruszyłam ramionami i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Naturalnie rozumiem, że masz prawo wiedzieć – powie

11 * ^lfc*ŚMhBg

działa Jersey, po czym znów zapadła w milczenie, być może dla uporządkowania myśli.

Zza tysięcy mil dobiegało mnie jedynie to ciągle podzwanianie kostek lodu, a ja myślałam sobie, że jestem wystarczająco przygotowana na wszystko, czym we mnie ciśnie. Ale w końcu moja matka się odezwała, tyle że – jak przy kontaktach z całą moją rodziną – miałam za złe Bogu, że pozwolił jej mówić.

– Ariel, skarbie, mam siostrę... – zaczęła. Kiedy z mojej strony nie było żadnej reakcji, dodała: – Powinnam raczej powiedzieć, że miałam. Nie byłyśmy ze sobą blisko, nie widziałam jej przez lata, a teraz ona nie żyje. Ale zawdzięczając... hm... niewybaczalnej wiarołomności twojego ojca, wtedy... – Zakrzuszyła się (przy kolejnych słowach), jakżeby inaczej! – Kochanie, ty także masz siostrę, prawie w twoim wieku.

Nie wierzyłam własnym uszom. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Dlaczego? I czyż nie mógł mnie zemdląć cały ten fetor fałszu i kłamstw, którymi latami rzygało operowe gardło mojej matki-diwy? Chociaż bezspornie i bynajmniej wina nie leżała tylko po stronie Jersey. Augustus także odwalił całkiem niezłą cichą robótkę.

Prawdopodobnie zrobiłabym lepiej, odwieszając słuchawkę i udając, że nas rozłączono. Ale jakoś czułam, że na razie był to lewy sierpowy, że prawy na szczękę miał dopiero nadejść. Tak więc wstrzymałam oddech i czekałam. Oczywiście matką osoby, o której była mowa –

„współuczestnikiem” niewierności mojego ojca – nie mogła być jego aktualna żona, Grace. Ta, dwadzieścia kilka lat temu, kiedy Jersey porzuciła Augustusa, była mniej więcej dzieckiem. Tymczasem Jersey mówiła dalej:

– Ariel, wiem, że twój ojciec i ja powinniśmy ci to powiedzieć dawno temu... – Urwała, jakby chcąc dodać sobie odwagi kolejnym tęgim łykiem.

Mając oko na Wolfganga, krążącego obok lotniskowej karuzeli, byłam wdzięczna Francuzom, że ich system bagażowy jest jednym z najwolniejszych w Europie; miałam czas, by drażyć sprawę, choć wcale nie byłam pewna, czy mi na tym zależy.

– Pytałaś, dlaczego moja matka mnie zostawiła – odezwała się znów Jersey. – To nie było tak. Zoe udała się do Francji do mojej siostry Halle, którą jej ojciec sprowadził do Paryża. Był czas wojny, wiesz przecież...

– Jej ojciec? – przerwałam. – Masz na myśli, że ojciec twojej siostry nie był twoim ojcem, irlandzkim pilotem? – Choć czy powinnam się dziwić, biorąc pod uwagę reputację Zoe?

– Moja matka była zamężna, a raczej miała dziecko, moją siostrę, z innym mężczyzną. Nasi ojcowie stali po przeciwnych stronach toczącej się wojny, więc całkiem zrozumiałe, że Halle wychowywała się z dala ode mnie. Ale kiedy powiedziałaś, że wracasz z Wiednia, pomyślałam, że stryj Lafcadio na pewno ci ją przedstawił...

– Ją? – nie dałam matce dokończyć. Jej słowa już i tak ścięły mi krew w żyłach. Ojcowie dwóch małych dziewczynek stali po przeciwnej stronie toczącej się wojny? Lecz jeśli siostra Jersey nie żyje, kim miałyby być osoba, której Laf mi nie przedstawił? Jak mogłam się spodziewać, Jersey nie odpowiedziała wprost.

– Nigdy nie wybaczę twojemu ojcu, ani mojej siostrze, ich zdrady. Ale dziecko, które mieli... twoja siostra... stała się prawdziwą pięknoscią, a także osobą wyjątkowo utalentowaną. Przez ostatnie dziesięć lat Lafcadio był jej strażnikiem i kimś w rodzaju advocatus diaboli. Dlatego pomyślałam, że mógł ci ją przedstawić. Gdziekolwiek podróżują, robią to razem.

Odebrało mi mowę. Przycisnęłam słuchawkę do piersi, modląc się, by zaważyło się na mnie całe lotnisko czy coś w tym guście. Jak miałabym uwierzyć w taką prawdę? Powoli przyłożyłam słuchawkę do ucha. Jersey właśnie mówiła:

– Ariel, twoją siostrą jest Bettina von Hauser.

„Mam nadzieję, że będziecie dla siebie jak siostry”, powiedział Laf – powiedział czy nie? – kiedy Bettina Brunhildę „Bambi” von Hauser i ja spotkałyśmy się po raz pierwszy. Jeszcze tej samej nocy, kiedy Bambi przyszła do mojego pokoju w Lodge, dowiedziałam się, że „niebezpieczne zainteresowanie” jej brata Wolfganga moją osobą może narazić na niebezpieczeństwo nie tylko mnie, ale nas wszystkich. Wielki Boże, czyżby i Wolfgang był moim bratem?

Na szczęście nie. Matka Wolfganga, Halle, wyszła za Austriaka, który umarł w jakiś czas po przyjściu na świat Wolfganga i, dzięki Bogu, zanim zawarła intymną znajomość z moim ojcem

Augustusem. Ale to nie upraszczało rodzinnych zawilóści.

Kiedy rozłączyłam się z matką, jakieś dwadzieścia minut później, byłam bez porównania bogatsza w wiedzę o mojej rodzinie. Do wytartej od częstego używania formułki: „moje rodzinne stosunki są raczej złożone”, mogłam teraz spokojnie dorzucić: „mówiąc skromnie”. Bo teraz, dzięki temu, że trochę dopieklam Jersey, w rodzinnym kotle zabulgotało i buchnęła z niego wrząca para.

Według wersji mojej matki, jej matka Zoe Behn, najmłodsze dziecko i jedyna córka Hieronymusa i Hermione, uciekła z Pandorą i już jako piętnastoletnia dziewczyna zyskała sławę wspaniałej tancerki. Podobnie jak starsza o pokolenie Isadora Duncan, która z czasem stała się jej przyjaciółką, nauczycielką i protektorką, Zoe stworzyła własny, niepowtarzalny styl tańca. Po tragicznej śmierci Isadory, w dwudziestym siódmym roku, dwudziestoletnia Zoe, moja babka, była już gwiazdą Folies-Bergere, Opera Comique i innych tego rodzaju przybytków. Wtedy i poznała Hillmanna von Hausera.

Dzientelmen ów dobiegał czterdziestki, był bogaty, wpływowy, był rycerzem Orderu Teutońskiego, członkiem kilku podziemnych nacjonalistycznych germańskich ugrupowań, w rodzaju Towarzystwa Thule i Armanenschaftu – i, już w tymże dwudziestym siódmym, potężną finansową podporą partii nazistowskiej i Adolfa Hitlera. Blondyn tak jak Zoe, przystojny, mocno zbudowany i od dziesięciu lat wżeniony w starą szlachecką rodzinę z tradycjami, podobnie jak jego rodzina w Niemczech – wciąż był bezdzietny.

Młoda Zoe była zwariowaną ekshibicjonistką bez żadnych zahamowań, która przez pięć lat, każdej nocy, tańczyła nago na scenie – co sama zaświadczała w późniejszych memuarach, tej skandalizującej rewelacji w już i tak naznaczonych skandalami szalonych latach dwudziestych. I to właśnie Zoe miała szczęście dostarczyć empiryczny dowód na to, że jałowe małżeństwo rycerza von Hausera nie było wynikiem jego własnej bezpłodności. Starsza siostra mojej matki, Halle von Hauser, urodziła się Zoe w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku.

Biedy i cierpień, które były udziałem większości Niemców po pierwszej wojnie światowej, Hillmann von Hauser i jego rodzina raczej nie odczuli. Wręcz przeciwnie, Rycerz von Hauser wraz z całą paczką przemysłowców i fabrykantów broni, takich

jak Kruppowie czy Thyssenowie, burzliwy międzywojenny okres przetrwał bardzo dobrze. Córka Zoe, Halle, została zabrana do Niemiec, adoptowana przez naturalnego ojca i jego prawowitą małżonkę, i wysłana do elitarnych szkół we Francji. Wkrótce potem, stosownie do tego, co moja matka wiedziała o całej historii, jej matka, Zoe, wylądowała na wyspie Jersey; tam z marszu poznała i poślubiła młodego obrotnego hodowcę owiec, produkującego irlandzką wełnę, urodziła mu córkę Jersey, moją matkę, i tam przebywali wszyscy troje aż do wybuchu drugiej wojny, kiedy to on z hodowcy owiec przedzierzgnął się w bohaterskiego pilota, a ona wróciła do Francji.

Chociaż to brakujące pastuszko-sielankowe ogniwo przeszłości Zoe nie harmonizowało za bardzo z jej przez samą siebie uwiecznioną legendą, doskonale pasowało do czegoś o historycznym znaczeniu, czegoś, od czego przeniknęły mnie dreszcze. Nie zapomniałam, co się wydarzyło w czterdziestym roku, w owym tygodniu, kiedy to – jak teraz mówiła mi matka – Zoe niespodziewanie powróciła do Francji: w owym tygodniu zaczęła się w Paryżu niemiecka okupacja; przyjechał do Paryża były Rycerz von Hauser po swoją dwunastoletnią córkę Halle; a także – zjawił się w Paryżu

niedawniejszy znajomy Zoe.

Nie zapomniałam też, co powiedział mi Laf w podgrzewanym gorącym basenie w Sun Valley« – że Zoe „nigdy nie była królową nocy, jak lubiła się sama portretować”, że to była jej dynie propaganda, przykrojona i uszyta przez „najzdolniejszego I krawca naszego stulecia” – jej austriackiego ziomka Adolfa Hitlera, który przyjechał do Paryża w tym samym tygodniu, w charakterze od dawna oczekiwanego pogromcy potomków tamtych salicko-burgundzkich Franków z *Pieśni o Nibelungach*, i na modłę uśmiechniętego turysty zrobił sobie fotkę przed wieżą Eiffla.

Czy moja babka Zoe była *demi-mondaine*, czy zwykłą tancerką, czy pracowała dla OSS i dla francuskiego ruchu oporu, jak utrzymywał Wolfgang, czy raczej była tą, za którą uważał ją Laf, to znaczy nazistowską kolaborantką – prawdziwa Zoe Behn po raz pierwszy i nie dalej jak jutro miała być poddana mojej weryfikacji.

Zważywszy na atmosferę nieustannej tajemniczości, żeby nie powiedzieć zdrady, w której nasza rodzina się obracała, być

imitⁱ-fiirWWMi

może Wolfgang naprawdę nie wiedział, iż nasze dwie matki, Jersey i Halle, były siostrami przyrodnimi. Jak również, że osiemdziesięcioletnia wystrzałowa Zoe, uznana przez niego za osobkę niezwykle czarującą, w rzeczywistości jest jego babką. Ostatecznie aż do dzisiaj ja sama o czymś takim nie wiedziałam.

Ale w całym szeregu rewelacji odkrytych mi przez Jersey była jedna pozycja, o której Wolfgang nie mógł znać całej prawdy. Miało to coś wspólnego z tygodniem, kiedy odbywał się pogrzeb Sama. A to sprawiało, że ostatnia zawołana wiadomość od Sama wydała mi się teraz jeszcze bardziej złowieszczą.

Przed pogrzebem, podobnie jak Augustus i Grace, Jersey przeprowadziła krótką rozmowę z wykonawcą testamentu Sama. Tyle że w przeciwieństwie do nich, Jersey miała powód, by to zrobić. Jersey go znała. Leo Abrahams, nim został prawnikiem Sama, był prawnikiem mojego stryja Earnesta. Kiedy umarł Sam, pasierb Jersey, ten, który przez siedem lat wypłacał jej comiesięczną pensję, było zrozumiałe, że Jersey zechce wyjaśnić kwestię swojego statusu majątkowego. Ale to jeszcze nie wszystko.

Gdy Jersey się dowiedziała, że prawdopodobnie to ja będę głównym beneficjentem Sama, usiłowała wydedukować, czy rozumiem, że wraz z przyjęciem tego beneficjum wezmę na siebie pewną szczególną odpowiedzialność. I robiła to nie bez powodu. Jersey miała całkiem niezłe wyczucie, jeśli chodzi o to, co zostawił Samowi jego ojciec. Możliwe, że moja matka nie była tak kompletnie pijana, na jaką wyglądała tamtego dnia przy grobie. Przy moim spóźnionym refleksie dopiero teraz zrozumiałam, że być może działała celowo i na tyle skutecznie, że mogłyśmy się urwać Augustusowi i Grace, uniknąć wspólnej stypy i wybrać na lunch tylko we dwie. Lecz kiedy podczas lunchu moja matka zdała sobie sprawę z mojej absolutnej naiwności i niewiedzy, postanowiła odczekać, aż reszta rodziny opuści miasto i dopiero wtedy mnie oświecić.

Teraz Jersey nie mogła mi powiedzieć za wiele, ale to mi wystarczyło. Otóż przyjechała na ten pogrzeb z czymś, co zamierzała mi dać po naszej rozmowie – ale ja znikłam. Po głębokim namyśle owinęła to w podwójną warstwę papieru pakowego i wysłała do mnie pocztą, z pośpiesznie nabazgraną notatką na wewnętrznej stronie papieru. Jak wiadomo, brązowy pakowy papier beztrzesko, choć niefortunnie wyrzuciłam, razem z notatką. Niemniej z krótkiego opisu Jersey – jeśli w ogoli można cokolwiek opisać precyzyjnie za pośrednictwem międzykontynentalnej linii telefonicznej – wynikało, że nasza rozmowa; dotyczy runicznego manuskryptu, tego, którego losy własnoręcznie nie zawierzyłam DOS-owi w ośrodku nuklearnym – chwila wcześniej, nim przyszedł do mnie mój morderczy spadek pc Samie, z kolei powierzony Austriackiej Bibliotece Narodowej w Wiedniu. Inaczej mówiąc, dokument Jersey okazał się tym samym runicznym manuskrytem, który Wolfgang miał rzekomo otrzymać od Zoe i mi wysłać – manuskrytem, którego, zgodnie z zapewnieniami Lafa, ani Wolfgang, ani Zoe raczej nie mogli mieć.

Jersey i ja zgodziłyśmy się, przez zwykłą ostrożność, że resztę przedyskutujemy po moim powrocie do domu. Odwiesiłam słuchawkę, Wolfgang pozbił nasze bagaże i udaliśmy się na postój taksówek. Ale kiedy nasza taksówka zanurzyła się w wilgotny czarny aksamit paryskiej nocy, uzmysłowiłam sobie, że robię to, przed czym Laf wielokrotnie mnie ostrzegał: być może wchodzę do przysłowiowej jaskini lwa bez bicza w ręku.

Jak teraz oszacowałam na ponuro, było całkiem możliwe, że Wolfgang nie widział rodzinnych runów aż do tamtej nocy w mojej piwniczce w Idaho, tamtej nocy po lawinie, kiedy ja, nafaszerowana środkami znieczulającymi, byłam nieświadoma całej sytuacji. A jeśli tak, to, o zgrozo, mężczyzna siedzący obok mnie" w paryskiej taksówce – pędzącej ciemną francuską szosą w samym środku nocy – równie dobrze mógł mnie oszukiwać we wszystkim, co powiedział czy zrobił, od pierwszej chwili naszego poznania.

Taksówka wjechała w wąską uliczkę na lewym brzegu i zatrzymała się przed Relais Christine; Wolfgang wyskoczył, zapłacił taksówkarzowi i nacisnął dzwonek przy bramie.

– Nasz samolot był sporo spóźniony – oznajmił przyjmującemu nas w recepcji mężczyźnie w nieskazitelnym francuszczyźnie. – Nie jedliśmy kolacji. Czy byłby pan uprzejmy dać nam klucz do pokoju i zanieść nasze bagaże, podczas gdy my skoczmy coś przekąsić?

Recepcjonista był uprzejmy, Wolfgang wymienił suty napiwek na klucz do naszego pokoju i poszliśmy jedną ulicę dalej, w stronę palących się świateł eleganckiego, przytulnego bistra, pełnego późnych, najwyraźniej poteatralnych gości.

Przybyły nasze *coquilles*, z bogatą kompozycją owoców morza z dodatkiem egzotycznych śródziemnomorskich przypraw. Coś takiego jak smaczne jedzenie i wino o pełnym bukiecie zawsze mnie prawdziwie odprężało – i tłumilo moje instynkty samozachowawcze w najmniej stosownej chwili.

– Ten telefon do Stanów był długi – skomentował w końcu Wolfgang, gdy wjechała na stół krucha zielona sałata. – Często rozmawiasz z matką?

– Co najmniej raz na kilka lat... bez względu na pogodę i inne okoliczności – odpowiedziałam.

– Może zatem ta rozmowa miała coś wspólnego z tą, którą wcześniej odbyłaś ze stryjem? – zasugerował. – Od kiedy wylecieliśmy z Wiednia, jesteś dziwnie cicha.

– Fakt – zgodziłam się. – Zawsze plotę więcej, niż powinnam. Co jednak nie zawsze wychodzi mi na dobre. Tyle że w sprawach mojej rodziny zwykle jestem powściągliwa. Oczywiście teraz, kiedy okazuje się, że właściwie jesteśmy spokrewnieni, na dobrą sprawę możemy rozmawiać ze sobą o wszystkim. Pod warunkiem że oboje zdecydujemy się mówić prawdę, dla ożywczej odmiany.

– Ach – westchnął Wolfgang, opuszczając wzrok na swoje nakrycie.

Sięgnął po kruchą bułeczkę, przełamał ją na dwoje i zaczął przyglądać się trzymanym w dłoniach kawałkom, jakby ich miękisz zawierał klucz do jakiejś tajemnicy. W końcu popatrzył na mnie tymi swoimi nieprawdopodobnie turkusowymi oczami w obramowaniu gęstych rzęs, od czego na ogół miękły mi kolana. Ale wiedziałam, że powinnam skupić uwagę na duchu, nie na materii.

– Proszę, kolej na twój serw – powiedziałam. – Choć pozwolę sobie zauważyć, że to, w co gramy, przestało być partią tenisa.

– Widzę, że powiedziano ci coś, co stawia mnie w złym świetle – odrzekł spokojnie. – Lecz nim spróbuję przedstawić mój punkt widzenia, muszę zapytać, ile ty wiesz.

– Jak to jest, że zawsze najpierw mnie się zadaje pytania? – Dziobnęłam raz i drugi odrobinę sałaty, odłożyłam widelec i popatrzyłam mu w oczy. – Myślę, że jeśli nawet to prawda, jeśli poznałeś Zoe Behn dopiero rok temu, to i tak wiesz, że jest twoją babką, a zatem jej córki – twoja matka i moja – to przyrodnie siostry. A ja wiem, że tego runicznego manuskryptu nie otrzymałam ani od ciebie, ani od Zoe. Właśnie dowiedziałam się od matki, że to ona mi go przysłała. Możliwe, że ukrywała przede mną prawdę, i to bardzo długo... ale ona nie jest niepoprawnym łgarzem. Szkoda, że tego samego nie mogę powiedzieć o tobie. Jedyna rzecz, za którą powinnam ci podziękować, to uratowanie mi życia w tamtej lawinie. Poza tym od chwili spotkania tam, na tamtej górze, nie robisz nic innego, tylko mnie zwodzisz, więc teraz pytam twardo: dlaczego?

Wolfgang patrzył na mnie z niejakim zdziwieniem. Zauważyłam, że kilku kelnerów i innych gości spojrzęło w naszym kierunku, chociaż panowałam nad głosem. Niespodziewanie Wolfgang się uśmiechnął.

– Dziękujesz mi tylko za jedną rzecz? Doprawdy? – Uniósł brwi, wyraźnie ignorując resztę mojej tyrady. – Bo jeśli chodzi o mnie, mam ci wiele do zawdzięczenia. Po pierwsze, że wreszcie się w kimś zakochałem. Po drugie... a w to samemu trudno mi uwierzyć... że w takiej jędzy jak ty. Zatem szczególne dzięki za... jak to wy, Amerykanie, mówicie... za „sprowadzenie na ziemię”, czy tak?

Położył serwetkę na stole i gestem poprosił o rachunek. Ale i we mnie wszystko się gotowało i nie miałam zamiaru niczego odkładać na potem, choćby przez ten zjadliwy, jeśli nawet wierny, portret mojej osobowości. Odprawiłam kelnera, również gestem, i podniosłam kieliszek dla podkreślenia własnej zdecydowanej postawy.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Ależ tak, skończyłaś – zapewnił mnie takim samym tonem. – Czy nie dotarło do ciebie, Ariel, że nie wspomniałem wcześniej o naszym pokrewieństwie, ponieważ poinformowano mnie o twoich uczuciach względem rodziny Behnów, o tym, że poza kuzynem Samem wobec wszystkich zachowywałaś dystans, i to już od dziecka? Czy myślisz, że nie wiedziałem, jak zareagujesz, kiedy zjawię się w Idaho bez ostrzeżenia, bezpośrednio po śmierci tegoż kuzyna, i powiem: „Halo, to ja, twój nowy kuzyn Wolfgang. Nie szkodzi, że nigdy o mnie nie słyszałaś, za to teraz zjawiam się, aby sprowadzić cię na łono twojej niebezpiecznej rodzinki, której unikasz od tak dawna”? A co do runów i moich łgarstw, to Zoe wiedziała, że wysłała je twoja matka, ponieważ obie o tym rozmawiały. Zapytaj ją jutro, jeśli mi nie wierzysz. Przepraszam, ale musiałem szybko działać i podszycie się pod nadawcę było jedynym sposobem, jaki udało mi się wymyślić na zdobycie twojego zaufania...

– Dlaczego jedynym sposobem na zdobywanie mojego zaufania w twoim wypadku bywa jedynie kolejne kłamstwo? – przerwałam Wolfgangowi tę decyzję nie w porę spowiedź. Jednak w głębi serca musiałam przyznać, że wiele z tego, co powiedział, jest prawdą. Wolfgang był przystojny i atrakcyjny, był mężczyzną, w którym w normalnych okolicznościach zakochałabym się od pierwszego wejrzenia, tyle że ja musiałam się przed tym bronić – za wszelką cenę i z powodu, którego nie mogłam mu zdradzić ani wtedy, ani teraz, takiego mianowicie, że Sam nie umarł, ale żyje i zagraża mu niebezpieczeństwo ze wszystkich możliwych stron, że mógł zaufać tylko mnie i że ja nie mogę sobie pozwolić na zaufanie komukolwiek. Komukolwiek w ogóle. A w planie, który, jak by się zdawało, Wolfgang dopracował w każdym szczególe, zauważyłam jeszcze jedną lukę. – Nawet jeśli wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą – dodałam – to i tak nie rozumiem twoich kłamstw dotyczących osoby Strączka.

– Jakiego znowu strączka?

– Mojego szefa, Pastora Owena Darta – wyjaśniłam. – Czemuż to on tak się dwoił i troił, żeby mnie wyprawić do Rosji, a potem, ledwo wsiedliśmy do samolotu, on wszedł do następnego i przyleciał za nami do Wiednia? Co robił tamtej nocy w winnicy, poniżej twojego domu? Dlaczego nie mogliście porozmawiać ze sobą w mojej obecności?

Albo mi się zdawało, albo Wolfgang rzeczywiście lekko przybladł. Już, już chciał coś powiedzieć, lecz się powstrzymał. Miałam nadzieję, że nie będzie próbował dalej udawać, iż mężczyzną w winnicy był ojciec Virgilio – choć ta myśl nasunęła mi jeszcze inne pytanie.

– Kto to jest Virgilio Santorini? Mój stryj Laf chyba go zna, w każdym razie utrzymuje, że to bardzo niebezpieczny człowiek. Dlaczego spotykał się z nami w bibliotece w Melku?

– To nie jest miejsce ani pora na taką rozmowę, ale przynajmniej nikt nas tutaj nie podsłucha – westchnął zrezygowany. – I właściwie sprawy dobiegają końca, zatem mogę ci powiedzieć wszystko, czego sobie życzysz, jeśli przynajmniej tym uwiarygodnię się w twoich oczach. Życie jest bardzo skomplikowane, Ariel, a co do ludzi, zawilość ich dusz przerasta zdolność naszego pojmowania...

– Wolfgang, na litość boską, jest prawie druga w nocy. Przestańmy bawić się w ciuciubabkę, dobrze? Kim jest ojciec Virgilio i dlaczego Pastor Dart przyleciał za nami do Wiednia?

–W porządku. – Wolfgang spojrział mi prosto w oczy z wyrazem „sama tego chciałaś”. – Virgilio Santorini jest gruntownie wykształconym badaczem średniowiecznych tekstów i ma stopnie naukowe Sorbony i Uniwersytetu Wiedeńskiego. Jest księdzem, ale nie bibliotekarzem w klasztorze w Melku. Ma absolutnie swobodny dostęp do tamtejszych archiwów dlatego, że jego rodzina z Triestu jest donatorem dużej części klasztornej kolekcji białych kruków. To z ich pieniędzy braciszkwowie właśnie odrestaurowują opactwo.

To jeszcze nie były żadne rewelacje. Ale wkrótce byłam wdzięczna kelnerom za niefrasobliwe dzwonienie talerzami, a naszym francuskim sąsiadom za brak powściągliwości w sposobie bycia, ponieważ zupełnie nie byłam przygotowana na przełknięcie dalszego ciągu.

– Rodzina Virgilia Santoriniego – ciągnął Wolfgang – jest zaliczana do najpoważniejszych dostawców broni do Europy Wschodniej, zwłaszcza do Jugosławii i na Węgry, i to na handlu bronią od pokoleń buduje swój kapitał. Niebezpieczeństwo, tak jak je rozumie twój stryj, polega na tym, że rodzina Virgilia słynie także z powiązań z grupą mafijną o nazwie Gwiazda, konsorcjum, które prawdopodobnie handluje bronią nuklearną. A więc sama widzisz, że sami ludzie, jak również sytuacje, mogą być bardziej skomplikowani, niż da się to wyrazić w prostej rozmowie przy półmisku sałaty.

Przyznaję, byłam zaskoczona taką informacją o ojcu Virgiliu, który tam w Melku wydał mi się czarującym, choć nieco nieporadnym średniowiecznym uczonym. I jakkolwiek trop był ciekawy, na razie postanowiłam siedzieć spokojnie, dopóki Wolfgang będzie składał swoje wyjaśnienia.

– j^wAhM^MUM

– Rola Pastora Darta jest, powiedziałbym, nawet bardziej złożona – usłyszałam po krótkiej pauzie. – Wymaga szerszego wprowadzenia. Kiedy znalazłem się w Idaho, dowiedziałem się, że Olivier Maxfield, twój kolega z pracy, jest także twoim gospodarzem, co daje mu możliwość podsłuchiwania twoich rozmów telefonicznych i szpiegowania cię praktycznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bardzo mnie to zmartwiło. Czy mogłem mieć pewność, że nie jest czyimś agentem? No więc, kiedy tylko wróciłaś z pogrzebu, wszcząłem akcję. Za moją namową Pastor Dart wysłał Maxfielda na pocztę, aby cię tam zatrzymał, i sam też się tam udałem. Twoje zachowanie świadczyło wyraźnie, że Maxfield, który znalazł się na poczcie przed tobą, zrobił coś, co wzbudziło twoje podejrzenia. Odebrawszy paczkę, uciekłaś przed nim i popędziłaś na złamanie karku za miasto. A ja za tobą, aż do Jackson Hole.

Wiedziałem, że runiczny manuskrypt wysłała do ciebie I twoja matka. Ale skala twojego lęku i podejrzliwość, tam na górze, niedwuznacznie mówiły, że jesteś przekonana, iż paczka wypychająca ci plecak to nic innego jak twój spadek po kuzynie Samie. O tym, że to były runy od twojej matki, miałem okazję upewnić się w nocy, kiedy spałaś. Wiedziałem także, że jest to pierwsza przesyłka, która do ciebie dotarła, a to znaczyło, że nie odebrałaś spadku po swoim kuzynie i że nadal się go spodziewasz. Przy moim założeniu, że Maxfield próbuje przechwycić dokumenty, sprawy zaczynały przybierać niebezpieczny obrót.

Chociaż podróż do Rosji była zaplanowana na trochę późniejszy termin, obaj z Pastorem Dartem postanowiliśmy przyspieszyć datę naszego wyjazdu, aby wyrwać cię spod nieustającej kontroli

Maxfielda. Dart sam miał odebrać drugą paczkę z poczty, dla pewności, że nie wpadnie w niewłaściwe ręce. Ale po tych wszystkich pieczołowitych ustaleniach ty spóźniasz się na lotnisko. Kiedy się tam wreszcie pojawiłaś, byłem wstrząśnięty: jeden rzut okiem na twoją torbę, trzy razy grubszą niż dzień przedtem, i twoje mętne usprawiedliwienia „załatwiałam to i owo po drodze z biura na lotnisko” wystarczyły, bym się zorientował, że raz jeszcze odwiedziłaś pocztę i że tym razem odebrałaś właściwą rzecz!

Więc co mi w takiej sytuacji pozostawało do zrobienia? Wykorzystując to, że zniknęłaś w damskiej toalecie, zadzwoniłem do Pastora Darta i poleciłem mu zdobyć bilet na najbliższy samolot do Wiednia, przyjechać do Kremsu i spotkać się ze mną w naszej winnicy, w jedynym miejscu, gdzie nikt nie mógłby nas podsłuchiwać, w winnicy poniżej mojego domu, który dawał mi szansę, że wreszcie będę z tobą sam na sam. Tymczasem zachodziłem w głowę, jak cię przekonać, byś zostawiła manuskrypty w Austrii, byś nie ryzykowała zabrania ich do Rosji, gdzie by je na pewno skonfiskowano. Skontaktowałem się z Dacianem Bassaridesem. Poprosiłem, by przyjechał z Francji i spotkał się z nami w kawiarni w Wiedniu. Napomknąłem, że dostałaś spadek i nie bardzo wiesz, co z nim zrobić. Nie spodziewałem się, że zechce być z tobą sam na sam. Ale przynajmniej miałem Virgilia, a ten dopilnował, by Dacian cię nie uprowadził i by przyszedł na tamten róg, na którym kazał mi na was czekać... – Wreszcie przerwał. Potrząsnął głową. – Ariel, gdybyś wiedziała, jak o mało nie postradałem zmysłów przez te ostatnie dwa tygodnie, próbując ochronić cię przed tobą samą.

Przede mną? – omal nie krzyknęłam.

Z tysiącem dzwoniących mi pod czaszką gongów, musiałam wziąć się w garść. Zobaczmy, pomyślałam, co my tu mamy: facet właśnie mi się wypowiedział, że od chwili naszego poznania jedynie upiększał prawdę, aż wyglądała jak gobelin samego *monsieur* Gobelina; że z jego polecenia przez całe popołudnie pilnował mnie ksiądz, który był prawdopodobnie handlarzem bronią z mafijnymi powiązaniem; i że sprowadził z Paryża mojego rodzzonego dziadka, aby ten mnie przekonał do zostawienia mojego spadku w publicznej bibliotece. Czy coś przeoczyłam?

Właściwie tak: drobiazg.

– Wolfgang, dlaczego ty i Pastor Dart, i wszyscy inni jak ziemia długa i szeroka chcecie mieć te manuskrypty? Wiem, że są wartościowe – ale co jest w nich aż tak wartościowego, by Strączek musiał pędzić na złamanie karku przez pół świata tylko po to, by zamienić z tobą kilka słów, przy księżycu i w winnicy? O czym wy dwaj aż tak bardzo musieliście porozmawiać, że uznałeś tę rozmowę za konieczną właśnie wtedy i właśnie tam?

Popatrzył na mnie, jakby odpowiedź na moje pytanie była dziecinnie prosta. Po raz drugi skinął na kelnera.

– Co do treści, znam tylko pewną część, nie całość, a nawet

to co znam, wymaga pewnych wyjaśnień – odparł. – A co do Pastora Darta, to widzisz, musiałem mu powiedzieć, gdzie znajdują się manuskrypty, tak prędko, jak się sam dowiedziałem, gdzie koniec końców je ukryłaś, a już na pewno przed naszym wyjazdem do Rosji. Jak inaczej Dart mógłby je

odzyskać z Austriackiej Biblioteki Narodowej, nim ktoś inny by to zrobił?

Słowem, które natychmiast przyszło mi do głowy, było Oliviera „oj”. Virgilio, jak się zdaje, siedł za nami od samej Cafe Central, a kiedy Wolfgang wręczał tamte rewersy za drzwiami naszej sali w Austriackiej Bibliotece Narodowej, zapisywał sobie tytuły wszystkich książek. Doprawdy, nie miałam słów na określenie czegoś takiego.

Wracaliśmy do hotelu małą uliczką, blisko rzeki. Powietrze było przesycone wilgocią, a ja byłam bliska płaczu.

Wolfgang, jak gdyby nigdy nic, wziął mnie za rękę.

– Przespacerujmy się trochę nad Sekwaną – zaproponował.

Na końcu naszej uliczki zobaczyłam światła wyspy Cite, świecące jak spod wody. Co u licha? – pomyślałam zdesperowana. Jeśli ten tutaj nie zacznie uczciwie odpowiadać na moje pytania, to nic, tylko się utopić albo utopić jego. Nie wyobrażałam sobie weekendu w Paryżu z Wolfgangiem. W tej chwili najchętniej bym go zastrzeliła. Sam ryzykował życie, by ocalić coś, co ja zaprzepaściłam przez nietrzymanie się zalecenia Lafa: „opieraj się mężczyznom – aż do czasu, kiedy będziesz wiedziała, w co się wplątujesz”.

W porządku. Wiedziałam, w jaką sytuację dałam się wplątać. Tylko co, na litość boską, miałam teraz zrobić? Mój mózg był kompletnie wyjałowiony. Wciąż nic nie wiedziałam o tych piekielnych manuskryptach! A na samą myśl o cenie, jaką się za nie płaciło, żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Ale noc się jeszcze nie skończyła i poprzysięgam sobie, że zdobędę parę rzetelnych odpowiedzi, nim się skończy.

Szliśmy wzdłuż wybrzeża, do miejsca, gdzie przez Sekwanę widać było iluminowaną fasadę Notre Dame, wznoszącą się nad słynnym murem wiekowego bluszczu, opadającego prosto ku wodom rzeki.

– Ariel – rzekł Wolfgang, unosząc moją twarz ku swojej, pod jedną z latarni. – Jeśli kłamię, moje kłamstwa cię unieszczęśli

483

wiają. Lecz kiedy mówię prawdę, jesteś nieszczęśliwa także. Kocham cię, i to bardzo... i naprawdę nie wiem, co zrobić, żebyś była szczęśliwa.

– Wolfgang, dopiero co powiedziałaś, że ty i jakiś mafioso, i mój szef, Pastor Dart, manipulujecie mną i oszukujecie mnie, że manipulujecie wszystkim, na czym tak bardzo zależało Samowi, za co być może oddał życie... i spodziewasz się mnie tym uszczęśliwić? Byłabym szczęśliwa, gdybyś dla odmiany zwyczajnie powiedział mi prawdę, zamiast kazać mi ją z ciebie wyduszać albo trzymać mnie w niewiedzy „dla mego własnego dobra”. Chcę usłyszeć, i to teraz, co tak naprawdę wiesz o manuskryptach Pandory: co mają wspólnego z Rosją i Azją Środkową i z całym przemysłem nuklearnym, bo to, że mają, widać gołym okiem, i jaka w tym wszystkim jest twoja i tamtych innych rola.

– Wygląda na to, że nie rozumiałaś niczego. – Wolfgang był wyraźnie sfrustrowany. – Przede wszystkim nie powiedziałem, że Virgilio jest mafioso, lecz że pochodzi z rodziny handlarzy bronią, a to różnica. Powiedziałem, że twój stryj słyszał być może o powiązaniach mafijnych: tacy jak Virgilio często muszą utrzymywać kontakty z mafiami dla własnego bezpieczeństwa. Podobnie dzieje się w mojej dziedzinie. Jeśli każdego handlarza bronią potraktujemy jak wroga, wtedy cały handel bronią sami wpuścimy w kanał przemytu i stracimy nad nim jakąkolwiek kontrolę.

Natomiast co do kwestii zdrady – dodał – jest coś, o czym zdecydowanie nie wiesz. Dano mi do zrozumienia, że pewni ludzie śledzili Samuela Behna od wielu lat, od śmierci jego ojca. Czasami nawet go u siebie zatrudniali, aby zyskać jego zaufanie. Ale w końcu, jak sądzę, to oni go zabili.

Ci ludzie twierdzili, że pracują dla rządu Stanów Zjednoczonych, lecz w rzeczywistości byli na usługach wielu krajów, a pieczę nad nimi sprawował człowiek o nadzwyczaj bogatym dossier – człowiek, który się nazywał Theron Vane. W ciągu kilku dni między naszym rozstaniem a ponownym spotkaniem w Sun Valley dowiedziałem się o nim paru rzeczy. Po pierwsze: że był w San Francisco, kiedy zginął twój kuzyn; pracowali tam razem nad pewnym zadaniem. Po drugie: zniknął natychmiast po śmierci Sama i do tej pory nie wypłynął na powierzchnię. Po

ww

trzecie – i tu, Ariel, musisz mi wierzyć bez zastrzeżeń – Olivier Maxfield jest i zawsze był, od kiedy go poznałaś, zaufanym człowiekiem Theron Vane'a. Maxfield przyjechał do Idaho do pracy, a także zaprzyjaźnił się z tobą, z jednego jedyne powodu: ponieważ tylko dzięki tobie mogli wdrzeć się do fortecy strzeżonej przez twojego kuzyna Sama.

Stałam jak wryta. Wiedziałam od Sama, że pracował z Theronem Vane'em od ponad dziesięciu lat. Ten człowiek niewątpliwie wyłuskał go z college'u, tak jak Strączek mnie. Wiedziałam także, że Theron Vane był na miejscu „śmierci” Sama, ponieważ to on został zabity! A w zakamuflowanej wiadomości przesłanej przez Lafa Olivier przyznał, że pracuje dla Theron Vane'a.

Z perspektywy czasu faktycznie mogło się zdawać dziwne, że oboje, ja i Olivier, trafiliśmy do ośrodka z najwyraźniej jednakowymi referencjami, skoro przydzielono nam to samo zadał nie. A sposób, w jaki zwabił mnie do swojego mieszkania? Tani P czynsz, wymyślne posiłki, opieka nad kotem w razie potrzeby – no a przede wszystkim tamten proroczy sen o mnie jako o Dziewicy Marii, która zwycięża proroka Moroniego w pinballowym meczu!

Faktycznie, wszystko, co Wolfgang powiedział, jeśliby spojrzeć na to z perspektywy czasu, mogło się układać w spójną całość. Theron Vane mógł nabierać Sama i nie mówić mu prawdy o jego pracodawcach. Ktoś mógł chcieć sprzątnąć właśnie Theron Vane'a, nie Sama. A Wolfgang i Strączek być może po prostu próbowali zabezpieczyć dokumenty skuteczniej niż my, Sam i ja, bo co tu dużo mówić, nasze wysiłki były raczej niezdarne.

Poplątało mi się wszystko jak wszyscy diabli. Cisnęły mi się do głowy tysiące pytań, na które wciąż nie było odpowiedzi. Ale Wolfgang wziął mnie w ramiona, tam, nad rzeką, i czule pocałował we włosy. Następnie odsunął od siebie na wyciągnięcie ramion i przyjrzał mi się z poważnym wyrazem twarzy.

– Odpowiem ci na każdą rzecz, o którą zapytasz. To znaczy, jeśli będę znał odpowiedzi. Ale tymczasem jest druga nad ranem, i chociaż z Zoe mamy się spotkać dopiero o jedenastej, przyznaję, że chciałbym spędzić przynajmniej część nocy na naprawianiu krzywd, które rzekomo ci wyrządziłem. – Uśmiechnął się półgębkiem i dodał: – O tym, ile mnie kosztowały tamte samotne noce w tamtych rosyjskich barakach, wolę zmilczeć! Ruszyliśmy nabrzeżem, gdzie świeżo rozwinięte liście kasztanów, podświetlone mdłym światłem latarni, sprawiały wrażenie przejrzystej zasłony utkanej z włochatych liszek. Powietrze było nasycone wiosenną wilgocią. Czułam się tak, jakbym tonęła, i wiedziałam, że trzeba się ratować.

– Dlaczego nie zaczniesz od Rosji? – spytałam.

– Przede wszystkim – ponownie ujął moją dłoń – czy cię nie zdziwiło, że podczas naszego pobytu w Związku Sowieckim, mimo wyczerpującej dyskusji na temat zagrożenia odpadami nuklearnymi, nikt nie wspomniał choćby słowem o „wypadku” w Kysztymiu?

Podczas katastrofy w Kysztymiu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym hałda odpadów nuklearnych osiągnęła punkt krytyczny, jak czynny reaktor bez prętów regulacyjnych, i rozrzuciła radioaktywne śmieci na przestrzeni około czterystu mil kwadratowych – równych, z grubsza biorąc, powierzchni Manhattanu, Jersey City, Brooklynu, Yonkers, Bronxu i Queens powierzchni zamieszkaney przez jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy obywateli.

Sowietom udawało się ukrywać tę ich „omyłkę” przez prawie dwadzieścia lat, mimo że musieli przesiedlić z tamtego regionu całą ludność, odwrócić bieg rzeki i zamknąć wszystkie tamtejsze drogi. Udawało się do czasu, kiedy w latach siedemdziesiątych pewien sowiecki uczony wyemigrował na Zachód i nagłośnił całą sprawę. Jednak wobec dzisiejszej aury głośności, także w dziedzinie badań nuklearnych, można by zadać sobie pytanie, dlaczego nasi gospodarze bili się w piersi przy lada okazji, a ani razu w ciągu całego tygodnia nie poruszyli tematu Kysztymia? Nagle przyszło mi na myśl, że Wolfgang istotnie chce mi sprzedać coś ważnego.

– Chcesz powiedzieć, że tamten „wypadek” w gruncie rzeczy wcale nie był wypadkiem?

Wolfgang zatrzymał się, a ja miałam okazję zobaczyć ten jego czarujący uśmiech pośród prawie nierealnej nocnej poświaty rozkwitającej paryskiej wiosny.

– Strzał w dziesiątkę – potaknął. – Lecz możliwe, że nawet ci, którzy w końcu odtajnili sprawę, nigdy nie byli świadomi

całej potwornej prawdy. Kysztym leży na Uralu, niedaleko od Jekaterynburga i Czelabińska, dwóch ośrodków, które do dzisiaj są żywo zaangażowane w projektowanie i montowanie nuklearnych głowic bojowych – i dokąd ty i ja, oczywiście z zasadniczych powodów, nie byliśmy zaproszeni. Ale jeśli, w gruncie rzeczy, Kysztym nie był składowiskiem odpadów? Jeśli nie spowodował katastrofy przez przypadek, w co każdy wierzy? Jeśli tamten „wypadek” był rezultatem kontrolowanego eksperymentu, który zawiódł wszelkie oczekiwania?

– Czy dopuszczasz myśl, że Sowietci mogliby się poważić na próby z bronią nuklearną na zamieszkanym terytorium, niechby nawet w czasach najczarniejszej komunistycznej nocy? Przecież to

zakrawa na czyste szaleństwo, na obłąd!

– Ależ ja nie mówię o testowaniu broni nuklearnej. – Patrząc przez rzekę, Wolfgang wyciągnął ramię ku czarnym, falującym wodom Sekwany. – Cofnijmy się o co najmniej sto lat. W tym

I samym miejscu, w tej rzece, młody Nikola Tesla zwykł zażywać kąpieli. Przyjechał do Paryża z Chorwacji w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, aby pracować dla firmy Continental Edison, następnie znalazł się w Ameryce, aby pracować dla samego Edisona, z którym wkrótce bardzo się skłócił.

Na pewno wiesz – dodał, kiedy poszliśmy dalej – że Tesla uzyskał patenty na wiele wynalazków, z których później inni czerpali profity. To on pierwszy zaprojektował, a nawet sam skonstruował radio, wymyślił turbinę bezłopatkową, wzmacniacz telefoniczny, kabel transatlantycki, zdalne sterowanie, techniki oparte na energii słonecznej, żeby wspomnieć tylko o kilku. Mówi się także, że wymyślił urządzenia „antygravitacyjne”, które miały nadprzewodzące właściwości wykorzystywane dzisiaj – tak samo jak kontrowersyjny „śmiercionośny promień”, mogący zestrzelić samolot jedynie za pomocą dźwięku. A w Colorado Springs, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym, podczas swoich słynnych tajnych eksperymentów potrafił podobno wprowadzać zmiany w pogodzie.

– Słyszałam o tym – zapewniłam Wolfganga oschłym tonem. Przecież wciąż trwała nieustająca debata między inżynierami praktykami – którzy dawali wiarę skutecznie promującemu się Tesli i jego wynalazkom technicznym i to w najróżniejszych dziedzinach, od wskrzeszania umarłych do chodzenia po wo

dzie – a fizykami „konceptualistami”, którzy wykazywali, że samouk Tesla odrzucił większość współczesnych teorii, od teorii względności po fizykę kwantową. Typowe ścieranie się ducha z materią. – Tyle że Tesla umarł, nim wynaleziono bombę atomową – wytknęłam. – A poza tym nie wierzył, że jeśli nawet dojdzie do rozbicia atomu, to człowiekowi uda się zapanować nad raz uwolnioną energią. Więc czy naprawdę sądzisz, że potworna katastrofa w Kysztymiu była czymś w rodzaju sfuszerowanej wersji eksperymentu Tesli? – zapytałam niedowierzająco.

– Tak, i nie jestem w tym odosobniony – odparł Wolfgang. Tesla położył fundamenty pod nową naukę zwaną telegeodynamiką. Jej zamierzeniem było wykorzystanie źródła nieograniczonej energii swobodnej przez ujarzmienie sił natury ukrytych w ziemi. Wierzył w podziemny przepływ informacji wokół całej naszej planety. Starał się o wiele patentów w tej szczególnej dziedzinie, niepodobnej do jego pozostałych odkryć, lecz nie zostawił żadnych publikacji ani instrukcji, jak takie wynalazki mogłyby działać. Niemniej eksperymentował na szeroką skalę z oscylatorami harmonicznymi tak małymi, że można je było nosić w kieszeni, a ich wibracje mogłyby zakołysać i zamienić w stertę gruzu, i to zaledwie w kilka minut, takie konstrukcje jak Brooklyn Bridge czy Empire State Building.

– No więc nazwijmy rzecz po imieniu – powiedziałam. Mówisz, że Sowieci mogli się pokusić o wywołanie kontrolowanej reakcji łańcuchowej, odwołując się do doświadczenia Tesli a potem normalnie się pogubili, tak? Lecz jeśli Tesla niczego na ten temat nie napisał, jak w ogóle do czegokolwiek doszli?

– Powiedziałem, że nie publikował, nie, że nie pisał – odparł Wolfgang. – W rzeczywistości

całkiem możliwe, że jakiś szczegółowy opis czy jakieś dokumentacje znajdowały się między jego papierami, z których wiele znikło w tajemniczy sposób, kiedy umarł, mając osiemdziesiąt siedem lat – w czterdziestym trzecim, w samym środku drugiej wojny światowej, w epicentrum poszukiwań nowego rodzaju broni. Faktycznie Hitler zaraz potem oświadczył swoim zaufanym ludziom, że uczeni są bliscy odkrycia fantastycznej „superbroni”, która powinna zakończyć wojnę w krótkim czasie, oczywiście na korzyść Niemców.

Miałam w głowie istny zamęt: Nikola Tesla z Jugosławii, Virgilio z Triestu, Wołga Dragonów, o imieniu nadanym przez Pandorę, a kojarzonym ze „smoczymi” mocami ziemi, który przybywał z Kaukazu.

– A jak się to wszystko ma do Pandory i jej manuskryptów? – spytałam, powątpiewając, już po raz któryś z rzędu, czy rzeczywiście chcę otrzymać odpowiedź.

Ale Wolfgang nagle zastygł w pół kroku i wpatrzył się w mgłę podnoszącą się z Pól Marsowych, ku wieży Eiffla, która majaczyła przed nami jak jakieś widziadło przewiązane wstążką neonowych liter: *Deux Cent Ans* – dwieście lat.

Wielki Boże! Spojrzałam szybko na Wolfganga, który zaczął się śmiać.

– Coś mi wyleciało z pamięci, coś, o czym ci wspominałem nie dalej jak tydzień temu – oznajmił.
– W tym roku, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, przypada dwusetna rocznica rewolucji francuskiej. Ale jest to także rok, w którym

' Martin Klaproth z Saksonii odkrył nowy pierwiastek, uran. Nazwał go tak na cześć planety Uran, którą z kolei odkrył Anglik niemieckiego pochodzenia, sir Herschel, wraz ze swą siostrą w ich domowym obserwatorium niecałe dziesięć lat wcześniej. Te trzy wydarzenia wyznaczają początek końca starego eonu, o którym mówił twój dziadek, a Uran zaczęto postrzegać jako planetę rządzącą (nową erą,) erą Wodnika. Myślę, że manuskrypty Pandory mówią właśnie o tym. Widzisz jakiś związek? Już miałam powiedzieć, że nie – ale nagle zobaczyłam.

– Prometeusz?

Wolfgang oderwał oczy od neonowych świateł i wytrzeszczył je na mnie ze zdziwieniem.

– No właśnie – powiedział. – Mityczny Prometeusz wykradł ogień bogom i dał go ludziom... tak samo w nadchodzącym nowym wieku, jak powiedział Dacian Bassarides, nosiwoda wlewa w ludzkość potężne siły żywotne. Tyle że takie dary często bywają nie tylko błogosławieństwem, ale i przekleństwem. W mitcie o Prometeuszu Zeus rozgniewał się i obdarzył nas Pandorą. Ta otworzyła puszkę, właściwie amforę, i uwolniła z niej całe zło świata. Ale są tacy, którzy nie traktują historii Prometeusza i Pandory wyłącznie w kategoriach mitu. Przypuszczam, że twoja babka Pandora była jedną z nich.

– Czy myślisz, że manuskrypty Pandory zebrane razem to

przepis na zbudowanie reaktora nuklearnego? Albo na wyrwanie ziemi drzemiących w niej mocy? Ale jak rozumiem, te dokumenty były bardzo stare... a przynajmniej dużo starsze od współczesnej

technologii czy dzisiejszych wynalazków.

–Większość wynalazków powinno się raczej nazywać odkryciami. A jeszcze lepiej, ponownymi odkryciami – stwierdził Wolfgang. – Nie wiem, czy starożytni posiadali wiedzę na miarę dzisiejszej, ale wiem za to, że są na naszej planecie takie miejsca, gdzie komponenty mogące podtrzymać reakcje łańcuchowe – materiały radioaktywne, ciężka woda i temu podobne – koegzystują w naturze. Przecież już Biblia i inne wcześniejsze teksty opisują sceny bardzo podobne do eksplozji nuklearnych... choćby zniszczenie Sodomy i Gomory... i przecież wiadomo, że na powierzchni ziemi istnieją miejsca najbardziej sprzyjające powstawaniu wirów Tesli, sztucznie wytwarzanym burzom z piorunami i piorunom kulistym, i oscylacjom harmonicznym. Większość tych miejsc, jak wiemy, starożytni upamiętnili pomnikami czy megalitycznymi budowlami, czy wreszcie rysunkami naskalnymi świadczącymi o animistycznych wierzeniach, o wiele wcześniej, nim zaczęto spisywać historię.

–Lecz gdyby nawet udało się zebrać dokumenty Pandory, przetłumaczyć je, rozszyfrować i zrozumieć, to jak wykorzystać zawartą w nich wiedzę? – zauważyłam sceptycznie. – I dlaczego byłoby to niebezpieczne?

–Zaledwie rzuciłem okiem na te dokumenty, więc nie znam wszystkich odpowiedzi – stwierdził Wolfgang. – Ale wiem na pewno o dwóch rzeczach: po pierwsze – dawni filozofowie, Pitagoras, Platon, wierzyli, że Ziemia jest kulą wiszącą w przestworzach dzięki równowadze sił i dostrojoną do niebiańskiej muzyki. Lecz szczegóły dotyczące samych źródeł sił zwykle były poza ludzkim poznaniem, ponieważ uważano je za główny element tajemnic.

Sokrates, tuż przed wypiciem cykuty, powiedział swoim uczniom, że Ziemia, jeśli patrzy się na nią z dołu, przypomina „piłkę zszytą z dwunastu kawałków skóry w różnych kolorach”. To jest opis nie kuli, lecz największego pitagorejskiego wieloboku – dwunastoscianu, figury o dwunastu bokach, z których każdy jest pięciokątem. Dla Pitagorasa i pitagorejczyków taka figura była świętością. Pitagoras i jego uczniowie wyobrażali

.Mt^MtaNiJEMMM

sobie Ziemię jako gigantycznych rozmiarów kryształ – dzisiaj powiedzielibyśmy: „odbiornik kryształkowy” – który ujarzmia energię płynącą z niebios albo z głębi ziemi. Sądzieli oni, że tej energii można by użyć do kontrolowania psychiki na szeroką skalę, gdyby tylko był ktoś, kto by potrafił manipulować odpowiednimi przełącznikami. A dalej wyobrażali sobie, że siły ukryte w głębi ziemi, gdyby je odpowiednio „nastroić”, mogłyby współbrzmieć z siłami nieba.

– Powiedzmy – zgodziłam się. – Powiedzmy, że Ziemia rzeczywiście jest gigantyczną siatką energii, jak każdy, zdaje się, sądzi. Nietrudno zrozumieć, dlaczego ludzie żądni władzy, chcą położyć rękę na tej ukrytej mapie z zaznaczonymi punktami zapalnymi. A jeśli chodzi o „tajemnice”, nie zapominajmy, że Sokrates i Pitagoras, mimo że znali mnóstwo sekretów, a może z ich powodu, musieli się rozstać z życiem. Na powszechne żądanie. I nie wybroniła ich żadna ich „tajemna wiedza”. Ale

I dajmy temu spokój – dodałam – powiedziałaś, że wiesz o dwóch rzeczach dotyczących

dokumentów Pandory. Jaka jest ta druga?

– Druga dotyczy tego, w co wierzył Nikola Tesla. Co zresztą nie odbiega zbytnio od obrazu, który ci przed chwilą nakreśliłem – wyjaśnił Wolfgang. – Tesla uważał, że Ziemia zawiera jakąś postać prądu zmiennego, którego strumień to się rozszerza, to kurczy, powiedzmy, coś w rodzaju rytmu oddechu lub uderzeń serca. Powiedział, że gdyby udało mu się umieścić odpowiedni ładunek trotylu we właściwym miejscu i we właściwym czasie – to znaczy w chwili, kiedy zaczyna się kurczenie – rozłupałby ziemię na kawałki jak chłopiec rozłupuje jabłko na pół. A przez podłączenie się do tej siatki energii, mógłby wejść w posiadanie nieograniczonej władzy. „Po raz pierwszy w historii ludzkości”, powiedział Tesla, „człowiek posiada wiedzę, dzięki której może zakłócić procesy zachodzące w kosmosie”.

O, do świętego gówna.

Wolfgang popatrzył na wieżę Eiffla, na małą czerwoną latarnię na jej szczycie, prawie zagubioną w srebrnej mgłę, i objął mnie ramieniem. Zamilkliśmy oboje.

– Jeśli Tesla, jak Prometeusz, dał rodzajowi ludzkiemu nowy płomień – powiedział w końcu – możliwe, że wiedza Pandory okaże się dla świata i darem, i karą.

·WWT1—r

DOBRO I ZŁO

Sokrates: *Masz na myśli dobro i zło.*

Glaukos: *Tak.*

Sokrates: *Jestem ciekaw, czy pojmujesz je tak samo jak ja.*

Platon, *Państwo*

u

JYLimo najlepszych intencji, niezłomnych postanowień, w końcu wylądowałam w rzeźbionym łóżku z baldachimem w renesansowym apartamencie w Relais Christine, kochając się z Wolfgangiem przez całą noc – czy przez to, co z niej zostało – do utraty tchu, do szaleństwa, zupełnie jakbym wpadła w ramiona wampira, a nie austriackiego urzędnika.

Kiedy rano otworzyłam oczy, Wolfgang stał przy francuskim oknie i patrzył na przylegający do naszego pokoju ogródek. I Kontury jego obnażonego wspianego ciała otulała mgiełka delikatnej zieleni listków, świeżo rozwijających się na wilgotnych czarnych gałęziach, które niemal dotykały okien. Przypomniałam sobie pierwszy poranek w mojej piwnicznej sypialni, kiedy ten sam mężczyzna wyczołgał się z mojego śpiwora i wstydliwie obrócił się do mnie plecami, aby się ubrać – zanim podszedł do mnie, zanim pocałował mnie pierwszy raz w życiu.

W porządku, w końcu nie byłam niewinną panienką: życie robi swoje. Mimo to wiedziałam, że ten mężczyzna, który przyprawiał mnie o bicie serca jak noc długa – nadal jest tak samo nieprzenikniony

jak podczas pierwszego spotkania, na długo przedtem, nim się dowiedziałam o naszym pokrewieństwie. I wbrew wszelkim filozoficznym rozważaniom dotyczącym duszy i materii, musiałam przyznać, że to, co otrzymałam od Wolfganga, nie miało wiele wspólnego z duchowym olśnieniem. Oczywiście był w tym jakiś mój udział.

Wolfgang otworzył okna z widokiem na nasz ogródek, podszedł do mnie i przysiadł na łóżku. Ściągnął prześcieradło i przeciągnął dłonią po moim ciele.

– Jesteś niewyobrażalnie piękna – powiedział.

Nie mogłam uwierzyć, że znów go pragnę.

– Czy przypadkiem nie umówiliśmy się na spotkanie, na które nie wolno nam nie przyjść? – zauważyłam ostatnim wysiłkiem woli.

– Francuzi rzadko bywają punktualni. – Wolfgang gładził mi palce i patrzył na mnie w zadumie. – Pachniesz tak egzotycznie i tak erotycznie, że prawie tracę zmysły. A mimo to nie odstępuję mnie uczucie, że oboje obracamy się w zaczarowanym kręgu iluzji, że spowija nas magiczna mgła i że jeśli spróbujemy ją przeniknąć, czar pryśnie.

To był doskonały opis tego, co czułam sama: obracaliśmy się w kręgu dziwnej nierzeczywistości, od samego początku, od chwili naszego poznania, w zaczarowanym kręgu iluzji, za którym rozciągała się niebezpieczna przepaść niewiadomego.

– Jest już po dziewiątej – wyszeptał Wolfgang wprost w moje piersi. – Odpuśćmy sobie śniadanie... Czeka nas przecież wczesny lunch...

Les Deux Magots to jedna z najslawniejszych kawiarni w Paryżu. Kiedyś była ulubionym miejscem spotkań literatów i paryskiego undergroundu – dwóch grup, które we Francji chętnie dopisywały sobie oba życiorysy. W tej kawiarni przesiadywał każdy, od Hemingwaya do Simone de Beauvoir i Sartre'a. Najwidoczniej także Zoe Behn.

Kiedy przecięliśmy plac Saint Germain des Pres, z jego majestatycznymi kasztanami już strojącymi się w białe świeczki kwiatów, Wolfgang wskazał mi ją, siedzącą samotnie przy narożnym stoliku w słonecznym, oszklonym solarium z widokiem na plac. Przeszliśmy przez salę restauracyjną, obok „patronów” kawiarni. Dwie słynne drewniane figury, *les deux magots*, o orientalnych twarzach, w szatach niebiesko-zielono-złoty, w otoczeniu złożonych luster, zawieszane w swoich tronach wysoko nad barem, wyglądały jak porwani z paryskiej ulicy wprost do nieba, w ognistych rydwanach, biblijni Eliasze.

Wyszliśmy na oszklony taras. Zbliżając się do Zoe, uważnie przyglądałam się mojej niesławnej osiemdziesięcioletniej (podobno) babce, o której skandalicznym życiu mówiono i rozpisywano się przez trzy czwarte wieku: sącząca ukochanego szampana moja niesławna osiemdziesięcioletnia (podobno) babka wcale nie sprawiała wrażenia, by hasło jej życia – wino, mężczyźni i taniec – przestało być aktualne. „Trzymała się prosto w siodle”, jak by powiedział Olivier, a jej dumna postawa szła w parze z wciąż gładką skórą i budzącym podziw francuskim warkoczem śnieżnobiałych włosów, sięgającym prawie talii. Siła bijąca z jej twarzy przypominała

mi komentarz Lafa, że jako dziecko miała w sobie hardość samego Attyli.

Kiedy przystanęliśmy przy jej narożnym stoliku, podniosła na mnie intensywnie niebieskie oczy, o odcieniu, który bym umiejscowiła gdzieś między turkusem Wolfganga a lodowym błękitem mojej matki. Wolfgang przedstawił mnie, zgodnie z etykietą, odsunął krzesło i posadził mnie na nim dopiero wtedy, kiedy skinęła głową. Pozdrowiła Wolfganga. Jej angielski zalatywał mieszaniną różnych akcentów, a ona sama nie spuszczała ze mnie oka.

–Faktycznie, podobieństwo jest nadzwyczajne – powiedziała do niego, nie do mnie. – Chciałabym widzieć minę Daciana, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy!

–Dacian po prostu zaniemówił – przyznał Wolfgang.

–Nie chcę być nieuprzejma. – To było do mnie. – Ale zrozum, Pandora była jedyna w swoim rodzaju. Dla każdego, kto ją znał, to prawdziwy wstrząs poznać jej żywe wcielenie. Miałaś rację, unikając przez te wszystkie lata wielu członków rodziny. Widząc na co dzień tak zdumiewającą replikę Pandory, musielibyśmy się ratować solami trzeźwiącymi albo czymś mocniejszym niż szampan! Powiem ci tyle: Pandora to był ktoś, z kim należało się liczyć.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy, a mnie udało się w jej uśmiechu zobaczyć nikły odblask tamtej słynnej omdlewającej zmysłowości – owego atrybutu, który, co znam z opowieści, przez blisko cztery dziesięciolecia rzucał przed nią na kolana moźnych tego świata, a wraz z nimi ich pieniądze i majątki.

–Czy byłaś w zażyłych stosunkach z moją babką? – spytałam. I nagle, uświadamiając sobie, że Zoe także jest moją babką, dodałam: – Mam na myśli...

–Wiem, co masz na myśli. Nie przepraszaaj – ucięła z miejsca. – Kiedyś być może pojmiesz najważniejszą radę, jakiej kiedykolwiek mogłabym ci udzielić: mów i postępuj tak, jak ci się żywnie podoba, pod warunkiem że za nic nie będziesz przepraszać.

Miałam uczucie, że sama Zoe często postępowała według tej zasady.

Zoe skinęła na kelnera, by nalał szampana do dwóch pozostałych kieliszków, czekających z boku stołu na nasze przybycie. Oba były po części wypełnione tajemniczą purpurową miksturą, którą kelner wzburzył przy nalewaniu szampana.

– Ten napój nazywa się *la Zoe* – wyjaśniła nam. – I podobnie jak moje imię, oznacza życie. Wymyślono go na moją cześć którejś nocy u Maxima – nie do wiary, ile to lat temu! Pija go każdy w Paryżu, każdy, kto chce zadać szyku. Chciałam spotkać się z tobą tu, w Deux Magots, dla wzniesienia toastu za Życie. A ponieważ o tak wczesnej porze paryżanie jeszcze śpią, tutaj możemy sobie swobodnie porozmawiać. Chcę ci powiedzieć o brakującym *magot*, i o tym, co nas z nim łączy. Na lunch, którego również nikt tu nie jada zbyt wcześnie, pójdziemy za jakieś dwie godziny. Już zarezerwowałam stolik w Closerie des

I Lilas. Mam nadzieję, że w hotelu potraktowano was przyzwoitym śniadaniem.

Siedziałam z kamienną twarzą, rozpaczliwie usiłując nie pozwolić mojej zdradzieckiej skórze, by

ta zamieniła mnie w buraka ćwikłowego już na samo wspomnienie naszego dzisiejszego „śniadania”. Pod stołem Wolfgang znacząco ścisnął mi dłoń.

– Poprosimy o półmisek oliwek – zwrócił się do kelnera po francusku, a Zoe wyjaśnił: – W Ameryce o tej porze nie pija się alkoholu bez jakiejś przekąski.

Z wyjątkiem mojej hulaszczey rodziny, pomyślałam. Wznieśliśmy toast za Zycie. Tajemniczy, uderzający do głowy napój zapachniał mi jakoś groźnie już od pierwszego łyku.

– Ariel... – Zoe wymówiła moje imię tonem właściciela. Jej następne słowa tłumaczyły ten ton. – Ponieważ twoja matka zawsze robiła tajemnicę z naszego pokrewieństwa, pewnie nie wiesz, że to ja wybrałam ci imię. Czy zgadniesz, po kim je nosisz?

– Wolfgang powiedział mi, że Ariel to najdawniejsze imię Jerozolimy, i że znaczy tyle co „Iwica Boga” – odparłam. – Zawsze wyobrażałam sobie, że nazwano mnie na cześć małego duszka Ariela, wiernego sługi magika Prospera w Szekspirowskiej *Burzy*.

– Nie... choć w gruncie rzeczy zostałam nazwana na cześć

innego ducha, naśladowcy tamtego – powiedziała Zoe. I wyrecytowała po niemiecku:

Ariel bewegt den Sang in himmlisch reinen Tönen,

Viele Fratzen lockt sein Klang,

doch lockt er auch die Schönen...

Gab die liebende Natur, gab der Geist euch Fliigel,

Folgel meiner leichten Spur! Auf zum Rosenhiigel!

– „Ariel śpiewa i gra na... hm, na harfie” – przetłumaczyłam. – „Jeśli Natura da ci skrzydła... idź po moich śladach na wzgórze róż”. Z czego to jest?

– Z *Fausta* – podpowiedział Wolfgang. – To scena na górze Brocken, podczas *Walpurgisnacht*, pogańskiego niemieckiego święta, do którego odwołuje się tutaj Goethe. Samo słowo znaczy „noc, kiedy oczyszcza się drzewa”, za pomocą ognia.

Zoe popatrzyła na Wolfganga, jakby jego słowa kryły jakieś nie wypowiedziane znaczenie. Po czym babunia, jak zwykle w sposób czarujący, wyciągnęła zawleczkę ze swojego granatu.

– Ta część *Fausta*, scena oczyszczania, następuje wtedy, gdy mały duszek Ariel oczyszcza Fausta z goryczy i cierpienia, których doznali od niego inni – wytłumaczyła nam. – Często, zauważcie, proszę, Faust ranił ich mimowolnie, dążąc do osiągnięcia wyższego stopnia mądrości jako mag. To był ulubiony fragment Szczęściarza. Ocierał łzy za każdym razem, kiedy go słuchał. – Potem dodała: – Mało kto zdaje sobie sprawę, że noc, kiedy umarł, trzydziestego kwietnia czterdziestego piątego roku, była wigilią maja. To znaczy kiedy się zabił, a z nim Ewa, w Noc Walpurgi.

– Szczęściarz? – spytał Wolfgang zdziwiony.

Zdałam sobie sprawę, że on nie zna historii opowiedzianej przez Lafa i oryginalnego przydomku, nadanego przez naszą rodzinę najbardziej szatańskiemu tyranowi świata. – Ależ trzydziesty kwietnia czterdziestego piątego roku to przecież pamiętna data: data samobójstwa Hitlera. Czy to on był tym Szczęściarzem?

– A jakże – skwitowałam cynicznie. – Szczęściarz, przyjaciel rodziny. Dziwię się, że o tym nie słyszałeś.

Ale za chwilę miało się okazać, że ja także o czymś nie słyszałam, choć na całe szczęście.

– Niezupełnie przyjaciel – sprostowała z zimną krwią Zoe. Można by powiedzieć, członek rodziny.

Podczas gdy ja starałam się jakoś pozbierać, ona dodała:

– Zrozumcie, znałam go od dziecka. Prawda jest taka, że Szczęściarz był zwyczajnym człowiekiem ze zwyczajnymi zaletami i przywarami, zwyczajnym pochodzeniem i wykształceniem, poza tym, że był to ktoś, kto rozumiał, iż jego wielka siła tkwi właśnie w owej zwyczajności, w prostocie. Coś takiego przeraża wielu, jak myślę, ponieważ pod prostotą kryje się zwykle coś pierwotnego, to, czym człowiek emanuje poza własną świadomością. Wbrew powszechnemu przekonaniu, w wypadku Szczęściarza chodziło o coś więcej niż o zbiorową hipnozę. W nim wszystko było archetypowe: on dotykał prawdy w każdym z nas. – Wzięła krótki oddech, po czym dodała lodowatym tonem: – Koniec końców to nie on osobiście pociągnął za spust trzystaście milionów razy ani nie on wydawał pisemne

I rozkazy, by inni to zrobili. Szczęściarz wiedział, że ma jedynie wyzwolić w ludziach ich pierwotne instynkty, sprawić, by poczuli, że mają przyzwolenie na zrobienie tego, co jest w nich ukryte, co czai się w ich sercach.

Czułam się potwornie. Zoe obserwowała mnie z rezerwą tymi swoimi stalowoniebieskimi oczami, a mnie żołądek podchodził do gardła. Zabarwiony na purpurowo szampan, który cały czas popijała, wyglądał jak krew. Słońce ni stąd, ni zowąd zrobiło się zimne. A więc to prawda; Laf mnie ostrzegał, że Zoe była członkiem partii nazistowskiej, że współpracowała z nazistami. Każdy mnie ostrzegał, a ja teraz siedziałam tutaj i popijałam napój nazwany od jej imienia, i słuchałam chorobliwych historii z jej własnych ust. Co więcej, teraz wiedziałam, że ten siedzący przede mną jednoosobowy oddział szturmowy to moja rodzona babka! Nic dziwnego, że Jersey chciała się jej wyprzeć – poczułam, że jeszcze chwila, a zwymiotuję. Ale tylko zgrzytnęłam zębami i zebrałam się w sobie. Ostrożnie odstawiłam kieliszek purpurowej trucizny i odsłoniłam przyłbicę.

– Powiedzmy bez ogródek: czy uważasz, że jest coś „pierwotnego” i „archetypowego”, co działa jak rezonans i w zwyczajnych ludziach wyzwala instynkt ludobójstwa? – zapytałam. – Czy myślisz, że twój kumpel Szczęściarz był zwyczajnym szarym człowiekiem, który uwierzył we własne posłannictwo? Sądzisz, że i dziś wystarczy *permission* od kogoś stojącego u władzy, by ludzie zaczęli robić to samo co wtedy? Pozwolę sobie zauważyć, że jeśli o mnie chodzi, żadne pierwotne instynkty, archetypy, metafory czy kody genetyczne nie zmuszą mnie do działania, jeśli nie jestem w pełni świadoma, co robię i dlaczego.

– Żyję wystarczająco długo – zauważyła spokojnie Zoe – żeby wiedzieć, jakie moce można spuścić z więzi przez wejście w kontakt z głębokimi warstwami ludzkiej duszy. Widziałaś, co już spowodowały manuskrypty Pandory, prawda? Więc pozwól, że ja cię o coś zapytam: Czy to nie ty poprosiłaś o tę rozmowę? Czy zatem jesteś „w pełni świadoma”, że dzisiejsza data, którą sama wyznaczyłaś, dwudziesty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, to setna rocznica urodzin Adolfa Hitlera? Czy to tylko zbieg okoliczności?

Przeszły mnie potworne dreszcze, kiedy zmusiłam się do spojrzenia w tamte czyste, lodowate oczy mojej potwornej, potwornej babki. Lecz na nieszczęście dla mnie, ona jeszcze nie skończyła.

– Powiem ci coś, w co musisz uwierzyć. Kto nie zrozumie umysłowości Adolfa Hitlera, nie zrozumie Pandory Bassarides i jej manuskryptów ani prawdziwych motywów postępowania *die Familie Behn*.

– Miałam nadzieję, że Wolfgang postawił sprawy jasno zauważyłam chłodno. – Przyleciałam do Paryża z jednego jedyne powodu. Pomyślałam sobie, że możesz być jedyną żyjącą osobą, która potrafi wyjaśnić tajemnicę spadku Pandory i zdradzić mi parę rodzinnych sekretów. Nie przyleciałam po to, by wysłuchiwać propagandy nazistowskiej; przyleciałam, by usłyszeć prawdę.

– Moja słodka, ty widzisz jedynie prawdę i fałsz, dobro i zło, czerń i biel. Ale życie nie jest takie i nigdy nie było. W każdym z nas zasiano ziarna dobra i zła. Karmimy jedne i drugie, i one rosną obok siebie. A co do naszej rodziny, twojej rodziny, cóż, postępujesz bardzo nierozważnie, odwracając oczy od wielu spraw tylko dlatego, że nie możesz ich odpowiednio zaszufladkować. Nie zawsze łatwo przychodzi oddzielanie ziarna od plew, nawet jeśli plon był obfity.

– Nigdy nie byłam dobra w rozszyfrowywaniu przypowieści – zareplikowałam. – Lecz jeśli twoja idea „prawdy” sprowadzasię do tego, że wszyscy jesteśmy potencjalnymi masowymi mor-

dercami, chyba że przez czysty przypadek uda nam się trafić na ścieżkę sprawiedliwych, to nie po drodze nam razem, tobie i mnie. Co sprawia, iż tak zwani cywilizowani ludzie sądzą, że mogą któregoś ranka wyjść z domu, zrobić obławę na sąsiadów, wepchnąć ich do wagonów towarowych, ostemplować seryjnymi numerami mi, wywieźć do jakichś baraków i tam metodycznie zgładzić?

– To nie jest właściwe pytanie – zabrzmiały mi echem słowa Daciana Bassaridesa.

– A jak brzmi właściwe? – chciałam wiedzieć.

– Właściwe brzmi: Co sprawia, że sądzą, iż nie mogą?

Siedziałam i patrzyłam na nią przez kolejną długą chwilę.

Musiałam przyznać, choćby tylko w duchu: to było właściwe pytanie. Mimo to nie miałam cienia wątpliwości, że poglądy Zoe i moje są diametralnie różne. Ja, prawdopodobnie naiwnie, zakładałam, że wszyscy ludzie są dobrzy z racji samego urodzenia, a dopuszczają się złych czynów na masową skalę zahipnotyzowani w niepojęty dla mnie sposób mrocznymi manipulacjami pojedynczego człowieka. Z drugiej strony, Zoe – która, o czym nie powinnam zapominać, tego człowieka znała osobiście – stała na stanowisku, że przychodzimy na świat wyposażeni w ziarna dobra i zła, i że

wystarczy lekkie szturchnięcie, aby skierować nas na złą drogę. Więc czym jest ta sekretna ingrediencja ludzkiej natury, wystarczająco głęboko zakodowana we wszystkich rozsądnych społecznościach, która sprawia, że nie strzelamy do naszych sąsiadów tylko dlatego, że nie podoba nam się, w jaki sposób przycinają swoje włosy albo swoje trawniki? Czyż nie dlatego Hitler nienawidził Cyganów, Słowian, południowców i Żydów, że są inni?

W gruncie rzeczy to ja powinnam wiedzieć lepiej niż ktokolwiek, że nienawiść plemienna i ludobójstwo nie jest bajką zagubioną we mgłę dziejów na nieznanych łąkach. Mój pierwszy dzień w szkole w Idaho do dziś powracał do mnie echem. Odprowadzał mnie Sam, a kiedy na szkolnym korytarzu mijaliśmy grupkę chłopców, jeden szepnął wystarczająco głośno, by Sam ten szept usłyszał: „Dobry Indianin to martwy Indianin”.

Mój Boże.

Mdliło mnie, że ilekroć zaglądam pod podszewkę rodzinnej historii, zawsze wyskakuje zza niej coś brzydkiego, coś lodowatego, coś trudnego do zaakceptowania – lecz naprawdę rozumiałam, że cokolwiek moja dopiero co poznana faszystowska babka siedząca przede mną ma mi do powiedzenia, to coś może właśnie przybliży mnie do środka nazywanego przez Daciana Prawdą; a przynajmniej prawdą o mojej rodzinie. Tak więc przełknęłam ślinę i kiwnęłam na Zoe, by mówiła dalej. Moja babka odstawiła kieliszek i wpatrzyła się we mnie zwężonymi oczami.

– Żebyś zrozumiała historię, którą zamierzam opowiedzieć, najpierw musisz zrozumieć, że związki naszej rodziny ze j Szczęściarzem były odmiennej natury od związków, jakie miewał z innymi.

Byli tacy, którym się zdawało, że znali go dobrze. Tacy jak Rudolf Hess, który nadał swojemu synowi imię Wolf, „sekretnie” imię Szczęściarza. Bardziej zasłużył się Hitlerowi Joseph Goebbels, swoją szóstką dorodnych dzieci o blond włosach. Interesująca cyfra, sześć. Nazywały się Helga, Hildę, Helmut, Hołdę, Hedde i Heidi. – Zoe obrzuciła mnie baczny spojrzeniem, następnie spytała: – Być może nie wiesz, co przydarzyło się tym małym blondaskom Goebbelsa, których imiona zaczynały się od litery H? One także zostały złożone w ofierze podczas *Walpurgisnacht*, w bunkrze Hitlera: rodzice podali cyjanek najpierw im, potem ukochanemu dogowi Blondiemu, następnie odebrali sobie życie sami.

– Złożeni w ofierze? Jak to, na litość boską?! – zawołałam.

– Wigilia maja jest nocą ofiary i oczyszczenia – wyjaśniła I Zoe. – Następnego dnia, pierwszy maja, to dawne celtyckie święto – I to Beltaine, podczas którego palono ogniska ku czci boga słońca Belenusa – święto letnie w kalendarzu celtyckim i punkt zwrotny w roku pogan. Poprzedzająca je noc, noc samobójstwa Hitlera, trzydziesty kwiecień, w starożytnych czasach nosiła nazwę Nocy Śmierci. Nigdy nie zamieniła się w święto z kalendarza chrześcijańskiego, i nadal posiada oryginalną, jednakowo silną pierwotną moc.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że tamci w bunkrze Hitlera poświęcili swoje dzieci w imię jakiegoś... pogańskiego rytuału? – spytałam przerażona.

Zoe nie odpowiedziała wprost.

– Najpierw nastąpiło najważniejsze tamtej nocy wydarzenie: małżeństwo zawarte między dwojgiem ludzi, którzy wiedzieli, że wkrótce umrą – usłyszałam. – Panem młodym był oczywiście

Adolf Hitler. Ale kim była panna młoda w tym, na tak dziwną porę zaplanowanym ślubie? Nic nie znaczącą kobietą, która odegrała znaczącą rolę i, co interesujące, miała na imię Ewa, jak pierwsza kobieta, biblijna matka nas wszystkich. Jej nazwisko oznacza kolor ziemi. A ziemia, *prima materia*, stanowi podstawę wszystkich alchemicznych transmutacji. To była Ewa Braun. I tą uwagą Zoe rozpoczęła opowieść...

HERR BRAUN

– *I jest pewien mężczyzna, mężczyzna, którego nazwiska nie znamy, który działa potajemnie z siebie tylko wiadomych powodów... Kim jest? Nie wiemy. Mówiąc o nim, zwykle wymienia się niewiele znaczące nazwisko Pan Brązowy. Ale jedno jest pewne – to największy kryminalista naszego wieku. Kieruje niezwykłą organizacją. To on na wielką skalę uprawiał i finansował*

I propagandę pokojową w czasie wojny. Jego szpiedzy są wszędzie...

– *Czy możesz go jakoś opisać?*

– *Doprawdy nie. Jest całkiem zwyczajny – tak jak każdy inny.*

Agatha Christie, *Tajemniczy przeciwnik* (1922)

Urodził się w Braunau am Inn, miasteczku, którego sama nazwa zawiera słowo „brązowy”. Oddziały szturmowe, które wyniosły go do władzy, nazywano brunatnymi koszulami; biura Narodowej Partii Socjalistycznej mieściły się w Braunhause, Brązowym Domu w Monachium. Doktor Wernher von Braun*, budujący fortunę na pracy niewolniczej, produkował rakiety w podziemnych grotach Nordhausen, w Górach Harzu, w pobliżu góry Brocken. *Fuhrer* sam nazwał to miejsce „Dora”, co ma związek z Pandorą i jej darami.

Imiona i słowa wiele znaczyły dla Szczęściarza. Słowa takie jak „opatrność” i „los”, i „przeznaczenie” w *Mein Kampf* pojawiają się dziesiątki razy, niejednokrotnie nawet powtarzają

* Wernher von Braun (1912-1977) – m.in. skonstruował pocisk dalekiego zasięgu V-2 (w fabryce w Peenemunde na wyspie Uznam, zdekonspirowanej przez wywiad AK). Po wojnie pracował dla NASA.

w tym samym zdaniu: „Dziś wydaje się sprawą opatrności, że Los wybrał Braunau am Inn na miejsce moich narodzin”.

Inn jest jedną z czterech rzek, które wypływają z Alp zachodnich i tworząc krzyż na mapie Europy, wpadają do czterech mórz. Inn jest na terenie Niemiec ostatnim dopływem Dunaju, który toczy swe wody dalej przez Austrię, Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Rumunię, Bułgarię i uchodzi do Morza Czarnego. Północne ramię krzyża, Ren, przepływa przez Niemcy i Holandię i za – j silą wody Morza Północnego. Rodan płynie na zachód i południe przez Francję do Morza

Sródziemnego. Ticino dołącza do Padu we Włoszech i wpada do Adriatyku. Cztery rzeki, cztery kierunki.

H » *n* im

Morze /HOLANDIA) Północne

Podział przestworzy na cztery strefy, podobnie jak cztery rzeki Edenu czy dwie linie na krzyż i cztery końce zagięte pod kątem prostym, to także starożytny symbol nadzwyczajnej siły zwanej Krzyżem Maga. W sanskrycie taki krzyż nosi nazwę *svastika* i jest jednym z najstarszych symboli rodzaju ludzkiego. Opisuje cztery żywioły – ziemię, powietrze, ogień i wodę – i piąty ukryty w centrum, oś biegunową, zawias, na którym obraca się świat i wokół którego krążą zodiakalne niedźwiedzie.

l

W Alpach Graickich, w pobliżu źródeł tych czterech rzek, znajduje się Przełęcz Mała św. Bernarda, przez którą Herakles miał wracać do Grecji i przez którą Hannibal prowadził wojska do Włoch. Istniała tu świątynia Jupitera, zbudowana jeszcze przed czasami Cezara, a pod koniec ostatniego wieku – utopijna społeczność odgrywająca dość ważną rolę w mojej opowieści. Ośią świata dla Germanów, związaną geomantycznie właśnie z tym miejscem, był Irminsul, jeden z drewnianych słupów odpierających Niebo, stojący w świętym gaju w Lesie Teutourskim w Westfalii. Zaznaczał uświęcone miejsce, gdzie w dziewiątym roku naszej ery plemiona germańskie wycięły w pień trzy rzymskie legiony, zmuszając Oktawiana Augusta do zatrzymania ekspansji Rzymu na granicy Renu.

Kiedy Karol Wielki pokonał Sasów w siedemset siedemdziesiątym drugim roku, pierwszym rozkazem zniszczył sławny słupek w Eresburgu, a z nim święty gaj, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Irminsul dla Teutonów znaczy więcej niż data pokonania Rzymian; starożytne przekazy głosiły, że stał w tym miejscu od zarania dziejów.

Irmins Saule, kolumna Hermoda, łączyła niebios z ziemią. Skandynawski Hermod – inaczej Ir, Tyr, Tiu – był bogiem wojny, synem Odyna, odpowiednika Zeusa. Jego słupek, Irminsul, miał kształt runicznego *Tyr*, najstarszej północnej formy swastyki:

Guido von List, ten sam wiedeński okultysta, który na przełomie naszego wieku, podczas kilkudniowej ślepoty, odkrył zapomniane znaczenie runów, dwadzieścia lat wcześniej założył Towarzystwo Iduny, ezoteryczną grupę, która wzięła nazwę od skandynawskiej bogini, władającej złotymi jabłkami wiecznej młodości. Iduna była boginią Wiekuistych Odrodzeń. W sanskrycie tę rolę pełniły Ida i Pingala* i to one kształtowały krętą ścieżkę transformacji.

W epicentrum pierwszej wojny światowej Guido von List obwieścił swoją najświeższą, najbardziej znaczącą przepowiednię inspirowaną *Eddą*, zbiorem sławnych islandzkich sag, które między innymi mówią o bitwie Dnia Ostatniego mającej ogarnąć cały świat, *ragnarók*. Według skandynawskiej mitologii każdy wojownik umierający na Równinie Idy – „jaśniejącej odrodzoną

młodością" – odradza się natychmiast po śmierci. List przepowiedział, że ci, którzy umarli na polu bitwy za idee zawarte w runach, mogą uczestniczyć w Wiekuistych Odrodzeniach; zabici podczas pierwszej wojny światowej, wojnie nad wojnami, natychmiast przejdą reinkarnację, jak ci z mitologicznej Równiny Idy.

Na nowo narodzeni się zjednoczą, a siła tego zjednoczenia osiągnie pełnię, gdy tylko większość z nich skończy osiemnaście lat. Ta siła przebudzi śpiącego ducha *die Starkę von Oben* Mocarza na Wysokościach – ducha, który przywoła dawne *teu – i* tońskie bóstwa i odmieni świat. Z kolei według zapowiedzi astrologów, duch ten mógłby się objawić sam, pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, i uwolnić siłę drzemiącą w runach od dwóch tysięcy lat, od czasów rzymskiego podboju.

Kiedy Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec trzydziestego stycznia trzydziestego trzeciego roku, natychmiast nakazał odbudować i poświęcić Irminsul, słup zniszczony przez Karola Wielkiego. W pobliskim Paderbornie Himmler przebudował zamek Wewelsburgów na potrzeby swego bezbożnego Zakonu Rycerzy Teutońskich. Następnie Albert Speer, osobisty architekt Hitlera, udał się do Pergamonu, na tureckie wybrzeże, skopio* Dwa najważniejsze kanały rozprowadzające delikatną energię i siły vitalne po całym ciele; Ida pobiera energię przez lewą dziurkę w nosie, Pingala prawą; Ida chłodzi jak księżyc, Pingala niczym słońce jest pełna żaru.

wał świątynię Zeusa i wznosił ją w Norymberdze, na zjazd partii. Tyle że nie w wyznaczonym wcześniej miejscu, lecz „trochę” dalej na zachód, a to wymagało... osuszenia jeziora i przesunięcia torów kolejowych. Ale w świątyni miało stanąć podium, z którego przemawiałby Hitler, a Niemiecka Akademia Różdżkarstwa po zbadaniu gruntu orzekła, że poprzednie miejsce nie skupiało wszystkich ziemskich sił.

Nad stadionem Hitler nakazał zawiesić olbrzymiego orła z rozpostartymi skrzydłami w kształcie runicznego *Tyr*, symbolizującego i *Weibaarin*, orlicę, orlą małżonkę Zeusa, i *Webeñn*, tkaczkę czy prządkę losu świata w jego ostatnich dniach. Hitler oznajmił Speerowi, że ten obraz ujrzał we śnie, gdy oślepnął na kilka dni (od gazu musztardowego, podczas wojny na zachodnim froncie). Te dwa elementy – orzeł i pająk, krzyk i przędza, siły nieba i podziemnej groty – zlewały się w jeden heraldyczny symbol, który pewnego dnia miał niby słońce i księżyc iprzewodzić Świętemu Ładowi.

Dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, kiedy Szczęściarz dowiedział się o abdykacji cesarza Wilhelma II i o gotowości rządu socjalistycznego do podpisania rozejmu, miał drugi profetyczny sen – o Wotanie, który miał się stać przewodnikiem w drodze do wielkości tak jego, jak i Niemiec. Wtedy napisał ten wiersz:

W noc pełną goryczy przystaję przy dębie Wotana,

na odludnej polanie.

Przywołuję mroczne moce, by utkały w jedno

– potęgę runów,

dzieło czarnoksiężnika księżycy;

ich magiczna formuła zabija tych,

których za dnia hańbią własne czyny...

Hitler często powtarzał, że widzi Berlin jako głowę swego nowego religijnego ładu, a Monachium jako serce. Ale owej nocy, w ciemnościach swego umysłu, zobaczył, że to Norymberga już od starożytnych czasów jest centrum duchowym, duszą narodu niemieckiego, jest górą, w której czeluściach śni Wotan. Albert Speer nazwał swoje dzieło na placu apelowym w Norymberdze Katedrą Światła – nazwa pasująca do kogoś, kto pragnął sportretować się symbolicznie jako *die Starke von Oben* jako oś między niebem a ziemią, drzwi łączące przeszłość i przyszłość.

Słowem-kluczem w NSDAP było słowo „nacjonalista”. Naziści interesowali się korzeniami aryjskiej genealogii, geomancją, misteriami i okultyzmem. Poszukiwali źródeł, zdrojów i studni, i kamiennych stel rozsianych po całej Europie w miejscach dawnych kultów, zaświadczających ich aryjskie dziedzictwo. Wysyłali tajne ekspedycje w Pamir i w Pireneje, przetrząsali dawne groty w poszukiwaniu ukrytych dokumentów, zamkniętych w glinianych pojemnikach od tysięcy lat, a mogących odsłonić prawdę o ich świętym rodowodzie i utraconej mądrości.

Panowało powszechne przekonanie, że wiele informacji zakodowano w eposach narodów Północy, i te postanowiono rozszyfrować. Odwoływano się do wojny trojańskiej. W najważniejszych zbiorach prozy staroskandynawskiej, spisanych w dwunastym i trzynastym wieku pieśniach *Eddy* i w *Heimskringli**, Odyn był przedstawiany jako król dawnej Tylandii, nazwanej tak od imienia skandynawskiego boga Tyra, którego królestwo było znane także jako Troja. Saga *Ragnarök, Zmierzch bogów*, na której Wagner oparł treść swojej opery pod tym samym tytułem, jest uważana za opis długiej i wyniszczającej wojny króla Troi, Priama, w którego wcielił się skandynawski Odyn.

Dzięki małżeństwu z trojańską Sybillą Odyn zostaje obdarzony darem proroctwa – widzi zbliżającą się zagładę Troi i swoją chwalebna przyszłość na północy. Z rodziną, z wieloma mieszkańcami Troi, jak również z licznymi skarbami Odyn rozpoczyna wędrówkę przez północne lądy. Gdziekolwiek się pojawia, miejscowa ludność patrzy na wędrowną gromadkę bardziej jak na bogów niż ludzi; Odyn i jego synowie są obdarzani kolejnymi ziemiami, przynoszą bowiem dar obfitych plonów, i, w co wierzone, posiadają zdolność ujarzmiania pogody.

Odyn ustanawia swoich trzech synów królami Saksonii, Frankonii i Westfalii; w Jutlandii (Schleswig-Holstein i Dania) osadza na tronie czwartego syna, w Szwecji piątego. Szósty zostaje królem Norwegii. W każdym miejscu, w którym się osiedlają, każdy nowy król zagrzebuje w ziemi jeden ze świętych

* Zbiór sag królewskich z historii Norwegii, opisujących życie wikingów.

HWM-IWI..

skarbów wyniesionych z Troi – miecz Heraklesa, włócznię Achillesa i temu podobne – jako podwalinę chroniącą ich królestwa oraz geomantyczną oś łączącą ich sześcioramienną gwiazdę runicznego *Hagel*.

Czarnoksiężnik o niezwykłej władzy i mędrzec na miarę króla Salomona – Odyn w końcu zostaje

deifikowany i otrzymuje imię boga Wotana. Jego żona, Sybilla, prorokini z Marpessos koło Troi, położonego u stóp góry Idy, była jedną z długowiecznych kobiet, które spisały historię królów trojańskich, a także przepowiedziały przyszłość ich potomkom: ich proroctwa są znane jako księgi sybillińskie.

Po wojnie trojańskiej sporządzono dwa egzemplarze tych ksiąg. Jeden, dla bezpieczeństwa, wywieziono do greckiej kolonii Erytrei w Azji Mniejszej, drugi do grot w Kume w Kampanii. W sześćsetnym roku przed naszą erą księgi kumańskie zostały przeniesione do Rzymu, przez ostatnią spośród wieszl czek, Sybillę Kumańską, i zaofiarowane Tarkwiniuszowi Pysznemu. Ten, po długich targach, kupił trzy i zamknął je pod strażą w świątyni Jowisza Kapitońskiego; tam spłonęły w osiemdziesiątym trzecim roku przed naszą erą, a potem, ponownie odtworzone, przetrwały republikę. Cenili je wielce nie tylko teutońscy potomkowie Wotana, lecz także Rzymianie, jako że Romulus i jego bliźniaczy brat Remus, założyciele Rzymu, sami byli potomkami Eneasza, trojańskiego bohatera *Eneidy* Wergiliusza. Kiedy Wergiliusz umarł, cesarz August nakazał go pochować przy drodze z Neapolis do Kurne, w miejscu, gdzie Eneasza miał zejść do podziemnego świata.

Na rzymskiej kulturze wzorowała się Tysiącletnia Rzesza, od założenia Rzymu (*ab Urbe condita*) w siedemset pięćdziesiątym trzecim roku przed naszą erą aż do nawrócenia na chrześcijaństwo za czasów Konstantyna, który w trzysta trzydziestym roku naszej ery na powrót przeniósł stolicę cesarstwa w rejon Troi. Druga faza trwała aż do podboju Konstantynopola przez Turków osmańskich w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim, tysiąc lat od zawładnięcia zachodnim cesarstwem rzymskim przez plemiona germańskie. Tak więc te dwie kultury, teutońska i rzymska, z punktu widzenia mitologii mogą być uznane za dwie gałęzie tej samej winorośli, jednego krzewu rosnącego w starożytnej Troi.

Niemcy postrzegają siebie jako „jedynie słusznie wybranych” synów, których przodek Wotan był nie tylko herosem podobnym Eneaszowi, lecz także królem z królewskiej krwi i bóstwem. Nie znoszą, kiedy zasługę ucywilizowania północnych pogan przypisuje się Karolowi Wielkiemu i Karolingom, uzurpatorom, którzy przyczołgali się do Rzymu, aby pocałować pierścień papieski i dać się ukoronować na cesarzy Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Po zakończeniu eklektyczno-swawolnej wędrówki przez dwa tysiąclecia Zoe opowiedziała nam, w jaki sposób spleciono razem te „tysiącletnie rzesze”.

– Hitler uczęszczał do szkoły dla chłopców przy benedyktyńskim klasztorze w Lambach. Twierdził, że jako szkolny chórzysta „odurzał się uroczystym przepychem wspaniałych kościelnych świąt” i marzył, by zostać jednym z czarnych mnichów, jak zwano benedyktyków.

Tu ja przypomniałam sobie opowieść Virgilia o świętym Bernardzie, patronie templariuszy, który w pojedynkę sprawił, że zakon benedyktyków stał się najpotężniejszy w Europie.

Według Zoe, Benedykt – współczesny królowi Arturowi i Attyli – zbudował trzysta klasztorów, a wszystkie w po – !

blizu ważnych ośrodków pogańskiego kultu religijnego.

Dwanaście znajdowało się poza Rzymem, w Subiaco, leżało ono nie dalej niż na odległość splnięcia od ruin pałacu cesarza Nerona, zwróconego frontem do *Sacro Speco*, słynnej grotki pro – 1 rokiń, gdzie Benedykt spędził kilka lat jako eremita. Ów po – I bożny zakonnik postanowił pomóc oczyścić się z grzechu mnichom z sąsiednich zakonów. A kiedy ci, mając dość jego wścibstwa, postanowili go otruć, przedarł się przez wraży ogień i dotarł na miejsce dawnego miasta Casinum, w połowie drogi między Rzymem a Neapolem, gdzie zbudował dziś już legendarny klasztor Monte Cassino.

W połowie drugiej wojny światowej, kiedy tuż po upadku rządu Mussoliniego alianci wylądowali w Neapolu, Niemcy bronili klasztoru przez sześć miesięcy, w jednej z najdłuższych i najbardziej zaciekłych bitew całej wojny. Dywanowe rajdy bombowców obróciły górę w stertę ruin. A mimo to armia niemiecka – chociaż Niemcy zdążyli przenieść wiele klasztornych drogocЕННОści i archiwów w bezpieczne miejsce – walczyła na

gruzach do ostatka, chcąc utrzymać Monte Cassino w swoich rękach.

–Z rozkazu samego Hitlera Monte Cassino było bronione wręcz fanatycznie – ciągnęła Zoe. – Podobnie jak chciał zdobyć Pamir w Azji Środkowej podczas inwazji na Rosję, teraz Hitler uznał, o czym zapewniali go różdżkarze i geomanci, że Monte Cassino we Włoszech jest jednym z kluczowych punktów w potężnej siatce sił opinających ziemię.

–Och, właśnie o tym mówiłem Ariel ostatniej nocy – odezwał się Wolfgang. – Wygląda na to, że te wszystkie miejsca są związane z nadchodzącym eonem. Jak również poczynania Hitlera.

–Istotnie – zgodziła się Zoe. – Potwierdza to ważne wydarzenie. Zgodnie z horoskopem Szczęściarz miał zginąć jedynie z własnej ręki. Dlatego w najbliższym otoczeniu mówiono o nim: „człowiek, który nie może być zabity”. Ostatni zamach na jego

I życie, w jego Kwaterze Głównej w Wilczym Szańcu, dwudziestego lipca czterdziestego czwartego roku, był przeprowadzony przez Clausa Schenka von Stauffenberga, przystojnego wojennego bohatera, arystokratę i mistyka. Ponieważ jego nazwisko wiąże się symbolicznie z nadchodzącym eonem {*Schenk* znaczy podczaszy, a *Stauf* – wielki kufel), Stauffenberg przez wielu był uważany za przyszłego „rozlewającego”, który wprowadzi świat w nowy wiek przez zniszczenie Wielkiego Przeciwnika. Ważne było także to, że, jak Wotan, Stauffenberg stracił – lub może poświęcił! – podczas wojny oko. Wracając do Szczęściarza – dodała – ten zasługiwał na swoje przezwisko. Później, kiedy odebrał sobie życie, przeszedł przez cyjanek, kulę i ogień... przez potrójną symboliczną śmierć celtycką, jak w *Zmierzchu bogów*.

–Proszę, proszę, nawet fascynujący opis gościa, który był waszym największym maniakałnym mordercą – wytknęłam. Tylko spojrzysz na rodzaj śmierci Mussoliniego i Hitlera: pierwszego powiesili na miejskim skwerze jak nadętą kiełbasę, a drugiego skremowali za pomocą kanistra benzyny. Nie powiedziałabym, że to heroiczny czy zaszczytny sposób umierania... a już z pewnością żaden *Zmierzch bogów*. Że nie wspomnę, ile milionów ludzi Hitler wyprawił na tamten świat przed sobą, podczas holokaustu.

–Czy wiecie, co znaczy holokaust? – spytała Zoe.

– *Holo-kaustos* – odpowiedział Wolfgang – znaczy całopalenie, czy tak? U Greków właściwie złożona była ofiara „całkowicie strawiona przez ogień”. To znaczyło, że bogowie przyjmują wszystko, co im wysłano. U Greków była to forma dziękczynnej ofiary za dary już otrzymane, u Semitów – ekspiacja za grzechy plemienia.

Na litość boską, o czym tych dwoje mówi? Tych dwoje, te dwa indywidua, ci moi, jak mi się przypomniało, krewni, najpierw mi sugerują, że w Noc Walpurgi, w podziemnym bunkrze Hitler urządził sobie całkiem pogańską imprezę, dając się spalić samemu i przy okazji wyprawiając na tamten świat sześcioro dzieci, psa, garstkę przyjaciół i dopiero co poślubioną żonę – po i to tylko, by w śmierci upodobnić się do jakiegoś Teutona, bohatera składającego ofiarę z samego siebie, a teraz z kolei, ci moi krewni, rozprawiają o największym w dziejach świata masowym ludobójstwie tak spokojnie, a nawet pogodnie, jakby można je było zamknąć w ramach jakiegoś atawistycznego religijnego obrządku. Wstrętne. Oburzające. Ale jeśli dobrze rozumiałam – to, co teraz implikowali, było jeszcze gorsze.

– Chyba nie mówicie serio – nie wytrzymałam. – Chyba nie chcecie mi wmówić, że śmierć Hitlera była częścią składową jakiegoś skrajnie okrutnego rytuału wymagającego rzezi na masową skalę, rytuału usiłującego oczyścić ziemię i kod genetyczny ludzi z powodu bliżej nie sprecyzowanego proroctwa o na – I dejsciu nowego wieku?

– To trochę bardziej skomplikowane – raczyła mnie poinformować Zoe. – Kiedy się tu zjawiałś, obiecałam powiedzieć ci i o brakującym *magot*, o trzecim nieobecny magu. Niektórzy myślą, że to Baltazar przyniósł gorzką mirrę, wyzwalającą w ludziach łzy skruchy. Ale tak naprawdę kadzidło było darem Kaspra, to on złożył je w ofierze.

– Zatem kłania nam się Kaspar Hauser i ofiara z jego życia, czy tak? – Przypominałam sobie opowieść Wolfganga z naszej podróży do klasztoru w Melku.

– Czy odwiedziłaś kiedykolwiek jego grób w Anspach? – spytała Zoe. – To mały, otoczony murem cmentarzyk pełen kwiatów. Na lewo od Kaspara Hausera spoczywa Morgenstern – co po niemiecku znaczy Gwiazda Poranna, pięcioramienna gwiazda Wenus. Na prawo Gehrig. W starogórnoniemieckim *ger*

■ *arna*

znaczy „włócznia”, a Gehrig – „ten, który nosi włócznię”, Strzelec, czyli zamieniony w gwiazdozbiór centaur Chiron. Zbieg okoliczności? Raczej przesłanie.

– Przesłanie? – spytałam.

– Chiron poświęcił swoje życie – wyjaśniała Zoe – to znaczy zrzekł się nieśmiertelności na rzecz Prometeusza. Jego mit jest żywy jeszcze dzisiaj i propaguje go sufizm, prąd mistyczny w islamie. Pięcioramienna gwiazda Wenus była symbolem ofiary niezbędnej przy wtajemniczeniu w misteria pitagorejskie. Myślę, że przesłanie grobu Kaspara Hausera powinno być następujące: na przełomie każdego wieku muszą być złożone ofiary, niezależnie od ich woli.

Zoe uśmiechnęła się dziwnie; jej zimne oczy w kolorze akwamaryny patrzyły nie na mnie; patrzyły

przeze mnie.

– W naszej opowieści też znajdzie się podobna ofiara: chodzi o śmierć siostrzenicy Szczęściarza, córki jego siostry Angeli. Śmierć, co całkiem możliwe, jedynej kobiety, którą Szczęściarz kiedykolwiek kochał. Siostrzenica była studentką konserwatorium, podobnie jak Pandora, i być może wyrosłaby na sławną śpiewaczkę. Ale się zastrzeliła, z rewolweru Szczęściarza. Powód jej samobójstwa nigdy nie został wyjaśniony. Nazywała się Geli Raubał, zdrobnienie od Angeli; „aniołek”, po grecku *angelos*, posłaniec. Widzisz więc, tak jak w wypadku Kaspara Hausera, być może był to symboliczny posłaniec, który umarł za to, czego poszukują inni.

– A czego poszukują inni? – spytałam.

– Wiedzy o wiecznym powrocie... o magicznym kręgu Pandory – powiedziała Zoe. – Poszukują życia po śmierci.

fefc.

POŚLANIEC

Wiara [plemion trackich] w ich nieśmiertelność przybiera następującą formę... Co pięć lat wybierają, w drodze losowania, jednego spośród siebie i wysyłają go do Zalmoksisa jako posłańca... prosić o spełnienie wszystkich życzeń... Kilku z nich trzyma oszczepy grotem ku górze, podczas gdy inny biorą posłańca za ręce i nogi i podrzucają do góry, na ostrza. Jeśli umiera, wierzą, że bóg obdarzy ich łaską; jeśli przeżyje, zrzucają winę na jego zły charakter i wysyłają innego posłańca w [jego] miejsce.

Słyszałem różne opowieści od Greków... Zalmoksis był człowiekiem, mieszkał na wyspie Samos i był niewolnikiem w domu Pitagorasa... Uzyskawszy wolność, zgromadził majątek i powrócił do rodzinnej Tracji... tam przyjął przywódców i nauczał ich, że ani on, ani oni, ani nikt z ich potomków nigdy nie umrze.

Herodot, *Dzieje*

A ci z uczniów, którzy uszli pochodze, byli Lydis i Archippos i Zalmoksis, niewolnik Pitagorasa, o którym się powiada, że celtyckim druidom przyswoił Glozofię pitagorejską.

biskup Hipolit, *Philosophumena*

A uszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił.

Księga Hioba 1,15, 16, 17, 19

Camulodunum, Britannia wiosna A.D. 60

FRACTIO

Jezus wziął chleb, a pobłogosławiwszy... dał go uczniom i rzekł: Bierzcie, jedzcie, to jest ciało moje. A wzięwszy kielich i podziękowawszy... mówiąc: Pijcie z tego wszyscy. Albowiem to jest krew moja.

Mateusz 26, 26-28

/ sprawi Pan Zastępów na wszystkie narody na tej górze ucztę z rzeczy tłustych, ucztę z wystalego wina, z rzeczy tłustych, szpik w sobie mających, z wina wystalego i czystego. I skazi na tej górze zasłonę, która zasłania wszystkich ludzi, i przykrycie, którem są przykryte wszystkie narody. Połknie śmierć.

Izajasz 25, 6-8

– L rawa ścieliła się pod nią niby gruby kobierzec nasycony szmaragdową zielenią, kojącą duszę po kolejnej długiej, ciężkiej zimie rzymskiej niewoli. Wysoka i dumnie wyprostowana stała w wiklinowym wozie, jadącym przez niewysoki pagórek, trzymając luźne wodze między palcami. W wietrze wczesnego poranka jej rozwiane rude włosy unosiły się znad szerokich ramion i opadały falami prawie do talii.

Miniony rok był gorszy niż poprzednie piętnaście lat rzymskiej okupacji, ponieważ młody cesarz Neron okazał się o wiele bardziej chciwy niż jego ojczym, Klaudiusz, którego, jak krążyły pogłoski, własnoręcznie otrul.

Teraz rdzenni mieszkańcy Brytanii, Brytowie, byli brutalnie wypierani przez zalew rzymskich kolonistów, zostawianych tu przez wycofujące się legiony. Zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy umarł jej mąż, ona sama – dumna królowa plemienia Icenów – i jej dwie nieletnie córki zostały zgwałcone przez rzymskich oficerów, wyciągnięte z domu i publicznie wychłostane. Jej rozległe włości zajęto na rzecz Nerona, a rodowe skarby pospołu z ruchomym mieniem wielu innych wywieziono do Rzymu. Lecz mimo tych tragedii wiedziała, że znajduje się w lepszym od wielu innych położeniu: Brytowie byli nagminnie wyłapywani, skuwani w jeden łańcuch i zmuszani do budowania rzymskich miast, wznoszenia rzymskich garnizonów, układania rzymskich dróg. Więc czy dla Brytów istniał inny wybór niż wolność lub śmierć?

Konie ciężko stapały po zielonej darni, a z ich chrap buchały kłęby pary, ona zaś z córkami u boku stała w milczeniu, lustrując głośną cizbę ludzi zebranych poniżej, w szerokim kręgu, wokół granic otwartego pola, patrzących na nią – czekali, co zrobi.

Kiedy jej poddani wreszcie umilkli, uwiązała wodze, rozchyliła poły wielobarwnej tuniki, wyjęła królika i podniosła go wysoko nad głowę, aby zobaczyły go oczy wszystkich. Zwierzę było śnieżnobiałe, święte, wyhodowane przez druidów specjalnie do tego celu. Osiemdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wstrzymało oddech. Z niczyich ust nie padło choćby słowo. W coraz bardziej gęstniejącą ciszę nagle wdarło się rzenie konia. Wtedy wypuściła królika na wolność.

Najpierw zwierzątko przysiadło w trawie, oszołomione i zdezorientowane, podczas gdy tysiące ludzi poniżej zastygły w milczeniu niczym kamienny las. Ale po chwili królik pognął jak szalony w dół pagórka i dalej, prosto przez otwarte pole – mała biała plamka na tle zielonej materii. Biegł na południowy zachód – od słońca – i kiedy tłumy go zobaczyły, z ludzkich piersi wyrwał się radosny okrzyk, zawołanie bitewne, a w powietrze poleciały części kraciastej odzieży i przesłoniły niebo niby zamieć.

Albowiem ludzie zobaczyli, że proroczy królik rzucił się prosto w stronę Camulodunum. Armie królowej Boudiki, które się tu zebrały, mogły dojść do miasta, szybkim marszem, jeszcze przed zmrokiem. A do świtu szesnaście lat lżenia Brytów i ich ziemi mogło być zmyte w orgii lepkiej rzymskiej krwi.

wyspa Mony*, Břtannia wiosna A.D. 60

CONSIGNATIO

Tutaj, na końcu świata, na ostatnim skrawku jego wolności, żyliśmy aż do dziś przez nikogo nie nękanymi, bezpieczni w naszym odosobnieniu i ukryciu. Teraz najdalsze zakątki Brytanii są odsłonięte... nic tylko morze i skała, i wrodzy Rzymianie z tą ich butą, której nie zaradzi ni ustępliwość, ni skromna powściągliwość. Łupieżcy świata... [Ani] wschód ani zachód ich nie nasyci... plądrować, zabijać, kraść – oto dewiza ich rządów, imię ich cesarstwa. Zamieniają świat w jałową pustynię, a nazywają to zaprowadzaniem pokoju.

Tacyt, Żywot Agrykoli (wódz Brytów, Calgacus, o Rzymianach)

To podstawowe prawo ludzi umierać i zabijać za własny kraj, i karać z wyjątkową surowością wszystkich członków własnej rasy, którzy grzeją dłonie przy ogniskach najeźdźców.

Peoples

Nie chodziło jedynie o zdobycie krótkoterminowej kontroli nad tubylcami czy o ich uległość, jak dobrze wiedział Swetoniusz Paulinus, który rozpoczął karierę w górach Atlasu od dławienia powstań Berberów przeciw rzymskiemu panowaniu.

* Dzisiejsza Anglesey; w 1942 r., gdy na wyspie budowano lotnisko wojskowe, na dnie jeziora odkryto wotywny skarb druidów.

Mając za sobą wiele kampanii, Swetoniusz był dobrze przygotowany do wojny w trudnym terenie czy do zmierzenia się z zażartą opozycją w walce wręcz.

Ale podczas tych dwóch lat, od kiedy Neron wyznaczył go na namiestnika Brytanii, Swetoniusz zdołał zrozumieć, że druidzi to całkiem inna sprawa. Mędrcy i prorocy, czy to mężczyźni, czy kobiety, piastowali najwyższe kapłańskie godności w kraju i byli uważani przez swój lud niemal za bogów. Swetoniusz nie miał wątpliwości, że aby sobie z nimi poradzić, trzeba ich wytepić.

Główne sanktuarium druidów było zlokalizowane blisko wybrzeży kambryjskich, na wyspie Mony – krowy z poświęconym mlekiem – jak nazywano Brigitte, księżycową boginię płodności, podobną greckiej Demeter. Druidzi wierzyli, że są pod ochroną tej bogini i że ich wojownicy, których zabito w walce, mogą się odrodzić z jej kotła odrodzeń. Podziemne przejście do kotła mieściło się pod jeziorem, które leżało w pobliżu świętego grobu Mony.

Swetoniusz Paulinus potrzebował aż dwóch lat przeróżnych podchodów i podstępów, aby określić najbardziej dogodny moment przypuszczenia szturmu na tę morską warownię, moment, w którym druidzi nie będą mieli szans na obronę czy ucieczkę. W końcu dowiedział się, że wszyscy najwyżsi rangą druidzcy kapłani zbierają się każdego roku pierwszego dnia rzymskiego miesiąca maja. Był to dzień zwany przez Celtów Beltaine, od słowa *taine*, czyli ognie, które zapalano w wigilię tego dnia dla oczyszczenia świętych drzew przed doroczną wizytą Wielkiej Matki, sprowadzającej na ziemię miesiąc urodzaju. Był to najświętszy dzień w roku, dzień, w którym druidzi ani nie pracowali, ani nie nosili broni – i dlatego rzymski dowódca mógł żywić nadzieję, że w ten dzień nie będą się spodziewali ataku.

Flotyła płaskodennych łodzi, transportująca jego oddziały przez wąską, lecz często burzliwą cieśninę, o zmierzchu poprzedniego dnia podpłynęła zasłonięta kurtyną morskiej piany, okrążyła południowe wybrzeże wyspy i wylądowała od zachodu, w ustronnym miejscu zwanym Świętą Głową.

Podczas gdy łodzie podpływały bezszelestnie ku brzegowi, ceremonia rytualnego oczyszczania już była w toku, choć noc jeszcze nie całkiem zapadła. W rozciągających się wzdłuż plaży cichych gajach poruszały się niewyraźne postaci z płonącymi pochodniami w dłoniach. Słońce powoli zapadało w krwistoczerwone morze. Rzymskie oddziały zostawiły łodzie i ruszyły wpływ przez przybrzeżne fale.

Raptem zatrzymały się zaskoczone widokiem, jaki ukazał się ich oczom: naprzeciw, w stronę

morza, szedł tłum w żałobnych czarnych szatach, sunął czarny mur ludzkiego mięsa. Kapłani kroczyli z wyciągniętymi ku niebiosom ramionami, wykrzykując straszliwe przekleństwa. Kobiety, z dziko potarganymi włosami, z pochodniami uniesionymi wysoko, kręciły się między nimi jak roje owadów. Jeszcze chwila i przez żwir i piasek wprost na rzymskich żołnierzy ruszyła fala rozwścieczonych furii.

Oficerowie Swetoniusza popatrzyli bezradnie po swoich oddziałach, stojących na przyczółku lądu, przejętych grozą, sparaliżowanych obrazem bandy wyjących harpii, rodem, zdawało się, prosto z Hadesu. Swetoniusz przebiegł między szeregami, gdy tymczasem oszalałe kobiety parły naprzód, i zaczął przekrzykiwać wrzawę druidów, rzucając komendy przeplatane przekleństwami, aż w końcu wojskowa starszyzna oprzytomniała, wzięła się w garść i poszła za jego przykładem. „Wyciąć ich w pień!” – poniósł się rozkaz na wszystkie strony.

Te wrzeszczące kobiety z płonącymi pochodniami były coraz bliżej, coraz boleśniej wwiercały się w rzymskie uszy krzyki oszalałych druidów.

W ostatnim możliwym momencie żołnierze ruszyli do ataku.

Józef z Arymatei stał obok Loverniosa na skraju klifu. Nic na to nie mógł poradzić, że przypominał mu się inny zachód słońca, kiedy stał na innym klifie, choć obok tego samego przyjaciela, i obserwował, jak słońce zamienia się w krew – zachód słońca sprzed dwudziestu pięciu lat, na innym wybrzeżu innego kraju, kiedy się to wszystko zaczęło. Kiedy być może to wszystko dałoby się powstrzymać. I teraz, gdy krzyki znad morza wwiercały mu się w uszy, obrócił się do Loverniosa przerażony.

– Musimy interweniować! – krzyknął, ściskając ramię przyjaciela. – Musimy im pomóc! Musimy coś zrobić, żeby to powstrzymać! Oni się nawet nie bronią! Rzymianie obrócili ich własne pochodnie przeciw nim... podpalają im włosy i ubrania! Tną ich na kawałki!

nn<rlftiiiMII

Druid stał nieporuszony. Lekko się jedynie cofnął, kiedy ponad okropnym harmidrem i krzykami usłyszał huk toporów odbijający się echem od okolicznych skał i zrozumiał, że Rzymianie rzeczywiście skłonni są wyciąć święty gaj.

Lovernios nie spojrzał na Józefa. Ani nie patrzył na rzeź na plaży poniżej, która była nie tylko masakrą jego ludu, lecz także obróceniem w perzynę wszystkiego, w co wierzyli i co miłowali – zmierzchem ich całego sposobu życia, nawet ich bogów. Zamiast tego skierował wzrok na morze, jakby w zmierzchu zachodzącego słońca mógł zobaczyć inne miejsce, inny czas w odległej przeszłości czy w jeszcze bardziej odległej przyszłości. Kiedy w końcu przemówił, jego słowa wydały się Józefowi odległe i dziwne, jak echo z wilgotnej, bezdennej studni.

– Kiedy wasz Esus umarł, stała za tobą siła waszej mądrości – przypomniał Józefowi. – Wiedziałaś, co masz robić, i robiłaś to. Usiłowałaś pojąć sens jego życia i śmierci, i usiłujesz dalej, przez prawie trzydzieści lat. Prawdziwa mądrość, jednakże, leży nie tylko w zrozumieniu, co może czy co nie może być zrobione, lecz w wiedzy, co musi być zrobione. A także w dostrzeżeniu... jak ty

to powiedziałaś, tak dawno temu?... *kairos*, odpowiedniej chwili.

– Mój Boże, Lovernie, toż to nic innego jak odpowiednia chwila! – krzyknął Józef.

Ale było oczywiste, a świadczyło o tym także jego gorączkowe naleganie, że sytuacja staje się beznadziejna. Upadł na kolana tam, na klifie, twarz ukrył w dłoniach i modlił się, podczas gdy łoskot padających poniżej drzew mieszał się z przeraźliwymi krzykami. Józef słyszał odgłosy śmierci, odgłosy umierania i drzew, i ludzi, odgłosy dryfujące jak widmo przez ciche wody. Po chwili poczuł na włosach kojącą dłoń Loverniosa. Druid przemówił głosem dziwnie niezmaconym, jakby znalazł ukryte ziarno nadziei, dostrzegane tylko przez niego.

– Bogowie upominają się o dwie rzeczy – rzekł do Józefa. Musimy iść od razu, jeszcze tej nocy, i poświęcić obdarzone mocą przedmioty, wszystkie, które mamy; wrzucić je do świętych wód Llyn Cerrig Bach, jeziora drobnych kamieni.

– A dalej?

– Jeśli to nie odwróci biegu spraw – powiedział Lovernios z powagą – może będziemy musieli wysłać posłańca...

Posłaniec z południa przybył na odległy kraniec wyspy tuż po świcie, kiedy Swetoniusz Paulinus obserwował ostatnie padające drzewo. Było to stare drzewo, najstarsze z tysięcy innych, w lesie, którego wyrąbanie zajęło legionowi całą noc.

Drzewo miało w obwodzie więcej niż sześćdziesiąt stóp: inżynierowie z jego garnizonu obliczyli, że był to rozmiar galery razem z wiosłami. Leżące na boku, tak jak teraz, miało wysokość jednego z dwupiętrowych budynków, które wzniesli na afrykańskim wybrzeżu za czasów jego namiestnictwa w Mauretanii. Ile też może mieć lat? – zastanawiał się Swetoniusz. Czy jego pierścieni, jeśli miałyby czas je policzyć, było tak wiele jak istnień ludzkich, które tej nocy żołnierze wymazali z rejestru żywych? Czy śmierć tego drzewa, pospołu z innymi świętymi drzewami, ostatecznie przypieczętuje śmierć druidów w co oni sami zdawali się wierzyć?

Porzucając tego rodzaju myśli dla praktyczniejszych spraw, Swetoniusz wydał rozkaz układania w stosy czarno ubranych ciał druidów i przygotowania ognisk do kremacji. Następnie, przypomniawszy sobie główne żądanie Nerona, wysłał oddział żołnierzy do spenetrowania wyspy. Neron bowiem napisał, że ma powód, aby wierzyć swojemu zmarłemu ojczymowi Klaudiuszowi, iż druidzi przechowują wiele cennych skarbów w warowniach takich właśnie jak ta na wyspie Mona. Neron życzył sobie, by go poinformowano o każdej znalezionej rzeczy, natychmiast.

Swetoniusz przypomniał sobie posłańca i skinął, aby go przyprowadzono. Żołnierz, który odbył długą podróż, miał poszarzałą twarz, zszargane i przemoczone ubranie. Poinformowano Swetoniusza, że przepłynął razem z koniem cieśninę zaledwie parę chwil wcześniej. Spienionego mimo kąpieli w morskiej wodzie konia odprowadzono na bok, podczas gdy posłańca postawiono przed namiestnikiem.

– Nie śpiesz się, człowieku, złap najpierw oddech – rzekł łaskawie Swetoniusz. – Bez względu na to, jak ważne przywozisz wieści, nie wyzion ducha przed ich dostarczeniem.

– Camulodunum... – wysapał posłaniec.

Swetoniusz dopiero teraz zobaczył, jak chory jest ten człowiek: spierzchnięte wargi, oblepione krwią i kurzem, oczy błędzące bez celu, krótko przycięte włosy w takim samym bezładzie jak u druidów, trupów leżących pokotem na ziemi.

Rzymianin strzelił palcami. Przyniesiono bukłak wody i podano ją posłańcowi. Kiedy ten wypił i wypluł kurz z gardła, namiestnik skinął, by mówił dalej. Ale biedak wciąż sprawiał wrażenie oszalałego. Chociaż, co oczywiste, wszyscy jego ludzie byli zahartowanymi w bojach żołnierzami, Swetoniusz pomyślał, że być może widok ciał, w których właściwie brodzili, ciał mężczyzn i kobiet, pozbawił go chwilowo zmysłów.

– No, rusz się – powiedział stanowczo. – Przybywasz z daleka, pędziłeś, najwyraźniej na złamanie karku, ponad dwieście mil. Masz mi do powiedzenia coś ważnego o Camulodunum.

– Zabito wszystkich – wydusił z siebie posłaniec. – Tysiące... dziesiątki tysięcy... nie został się nikt przy życiu. A miasto, świątynia Klaudiusza... wszystko wypalone do ostatniego kamienia! – dokończył i się rozplakał.

Swetoniusz, w pierwszej chwili zdumiony i zaskoczony, szybko wpadł w furję. Nie namyślając się, z całej siły uderzył posłańca w twarz.

– Człowieku, jesteś żołnierzem! – przypomniał poddanemu. – Na Jowisza, weźże się w garść. Co takiego zaszło w Camulodunum? Trzęsienie ziemi? Pożar?

– Powstanie tutejszego ludu, panie – wyjaśnił posłaniec, łapiąc ustami powietrze. – To Icenowie i Trinobanci... może także kilka plemion z Kornwalii... jeszcze nie jesteśmy pewni...

– A gdzie był wtedy dziewiąty legion hiszpański? – spytał Swetoniusz lodowatym tonem. – Czy dowódca latał swoją togę, podczas gdy bosonodzy tubylcy palili miasta, których powinien bronić?

– To nie są bosonodzy tubylcy, panie, ale w pełni uzbrojone oddziały. W liczbie dwustu tysięcy... tysięcy! albo i więcej odparł żołnierz. – To sam dowódca Petilius Cerialis wysłał mnie do ciebie, gdy tylko dało się przedrzeć przez kraj. Połowa dziewiątego legionu została wybita: dwadzieścia pięć setek mężów, wśród których byłem, a którzy pośpieszyli na ratunek miastu. Rzymski prokurator Decianus uciekł ze starszyzną na stały ląd, a Petilius zabarykadował się w swojej fortecy i teraz się modli, byś, panie, przysłał posiłki.

– Nonsens. Jak garstka niewykształconych prymitywnych Brytów może zniszczyć pół rzymskiego garnizonu i przepędzić

głównego administratora kolonii? – Swetoniusz nawet nie próbował ukryć pogardy wobec znienawidzonych tubylców. Splunął na ziemię i dodał: – Z nich nie da się zrobić choćby dobrych niewolników, a co dopiero dobrych żołnierzy.

– Niemniej mają dużo broni, obfitość koni i wozów – zauważył żołnierz. – Ich kobiety walczą u boku mężów i są o wiele bardziej zaciekle w walce. W Camulodunum okrucieństwa, które widziałem, są prawie nie do wyobrażenia. Zabijali starych i młodych, cywilów i żołnierzy, tak samo

matki i dzieci, jak popadło, jeśli tylko zabijani byli Rzymianami albo naszymi poplecznikami. Widziałem ciała rzymskich kobiet z niemowlętami przy piersi! I mężczyzn ukrzyżowanych na ulicach... niech bogowie przebaczą mi moje słowa... ale ci mieli poodcinane części ciała i poprzyszywane do ust, a przecież jeszcze oddychali...

Posłaniec zamilkł. Z jego oczu wycierał strach, którego czas uciążliwej pośpiesznej podróży najwyraźniej nie zdołał złagodzić.

Swetoniusz westchnął.

– A jakież to, że tak powiem, brylant wśród dowódców poprowadził ich na tę wyprawę? – spytał na pół z drwiną, na pół z rozgoryczeniem.

– Boudika, królowa plemienia Icenów, panie. To ona jest ich przywódczynią – odparł posłaniec.

– Te dzikusy poszły do walki za kobietą? – spytał zdumiony Swetoniusz, po raz pierwszy w czasie całego posłuchania zdradzając własne odczucia.

– Wysłuchaj mnie, panie – rzekł posłaniec. – Dowódca Petilius błaga, byś się pośpieszył. Z tego, czego sam byłem świadkiem, oświadczam ci, że rebelii daleko do końca; ona potężnieje z dnia na dzień, karmiona coraz świeższą krwią. Camulodunum jest stracone. Teraz kierują się ku Londinium.

Londinium, Britannia wczesna wiosna A.D. 61

COMMIXTIO

Masowa zagłada istot ludzkich dokonywała się i będzie się dokonywać na bardzo wiele sposobów; najtragiczniejszy jest ogień lub woda, pomniejsze powoduje tysiąc innych nieszczęść.

Platon, *Timajos*

Londinium nie było największym miastem w Brytanii ani najstarszym, ani najbardziej znaczącym, o czym Józef z Arymatei wiedział. Ale swego czasu było osadą najpiękniejszą, rozłożoną, można by rzec, na szerokim, spokojnym łonie wielkiej matki rzeki. Dzisiaj, kiedy szedł po raz ostatni nad jej brzegiem, nie było żadnego Londinium: po kwitnącej kolonii został jedynie gruby pokład czerwonego popiołu.

Józef przyglądał się, jak na drugim brzegu rzeki Rzymianie ciągną przez zgliszcza i rumowiska powiązanych jednym łańcuchem tubylców. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wiele stracono przez zniszczenie tego miasta, a także, jak długo ten akt odwetu Brytów, choć sprawiedliwy, będzie spłacany przez nich samych. Rzymianie, rozumiejąc, że miasta nie da się obronić, opuścili je do czasu, aż mogli zgromadzić większe siły. Teraz, po zrównaniu z ziemią trzech rzymskich miast, łącznie z Verulamium, rebelia została stłumiona. Buntownicy, nie wyposażeni do walki z uzbrojonymi i wyszkolonymi rzymskimi legionami, zostali przyparci do własnych wozów i zmasakrowani – zaszlachtowano wszystkich co do jednego, razem z ich końmi i zwierzętami jucznymi.

Boudika i jej córki nie żyły, otrute z własnej ręki; wołały zawierzyć boskiemu przebaczeniu niż

przyszłości w rękach Rzymian. Ponieważ jednak buntownicy porzucili swoje domostwa ostatniej wiosny, jeszcze przed obsianiem pól, aby podążyć za zemstą i oddać się wojnie, kraj świecił jałowym pustkowiem, a głód szalał przez całą zimę.

Teraz Rzymianie mieli do dyspozycji niewyczerpane zapasy wyspiarskich niewolników, a dzięki pracy niewolniczej każda

kolonia zwykle obrasta tłuszczem dostatku i zwiększa się liczba osadników. Rzymianie mogliby odbudować Londinium szybko, Józef to wiedział, tym razem Londinium kamienne i ceglane, trwalsze i silniejsze niż tamto dawne, z gliny i drewna. Londinium ufortyfikowane, obsadzone garnizonami. A pretensje, choćby skromne, do miana ludu cywilizowanego, zgłaszane przez tubylców, teraz rozwiały się jak dym.

Owej nocy śmierci w świętym gaju na wyspie Mona – kiedy Józef rzucił święte przedmioty, przedmioty Mistrza, do Llyn Cerrig Bach, razem ze świętościami druidów, i obserwował, jak znikają w ciemnych wodach jeziora – wiedział, że dopełniła się pewna era. Ale co się tak naprawdę dopełniło, co z tego, w co oni wszyscy kiedyś wierzyli i co planowali? Co stanie się z przedmiotami, które Mistrz chciał zabezpieczyć? Czy one – albo Mistrz – kiedykolwiek powrócą do życia?

Od śmierci Mistrza minęło trzydzieści lat. Józef dobiegał siedemdziesiątki i wyglądało na to, że wszystko, co z takim trudem starał się zachować i ocalić, wymknęło mu się z rąk. Na przykład, kiedy zeszłego roku powrócił tu, na południe, okazało się, że jego mały, obłożony darnią kościółek w Glastonbury, podobnie jak prawie cała południowa Brytania, był wypalony aż do nagiej ziemi podczas trwających rok domowych niepokojów.

Wyglądało na to, że wszystko, czym on żył i za co umarł Mistrz, znikало po kolei jak chmura odpływająca za horyzont. Nawet słowa Mistrza, które oni oboje, Józef i Miriam, z takim trudem i tak długo przechowywali, teraz znów znalazły się w glinianych amforykach złożonych w grocie pośród Gór Kambryjskich. A przez brak szczytnej tradycji – takiej, jaką kultywowali druidzi – ustnej tradycji, która, jak Mistrz wierzył, miała zachować jego słowa i czyny w pamięci ludzkiej po wsze czasy – życie ich wszystkich, w tym i życie Mistrza, zdawało się obracać w nicość, ginąć na tej niczyjej ziemi, gdzieś między pamięcią a mitem.

Zdobywcy piszą historię, jak często powtarzano. Ale historia to coś, co już raz się zdarzyło, co było i co się skończyło, co stało się przeszłością, pomyślał Józef. A co z przyszłością? Z jej właśnie powodu wracał na północ, wracał, aby ją znaleźć. Bo chociaż w ciągu minionych trzydziestu lat druidzi pomogli Józefowi rozpowszechnić filozofię Mistrza tu, w Brytanii, jak również za cieśniną, w Irlandii, a nawet w Galii, to dzisiaj druidzi sami byli wybijani przez Rzymian co do nogi jak dzikie zwierzęta.

Ale zważywszy na ich głęboko religijne uczucia do samej istoty życia i do kraju, na ich starożytną celtycką kulturę, a także na ową szczególną skłonność do mistycyzmu, którym wprost oddychali i który zaszczepiali w sercach innych, Józef mógł żywić nadzieję, że być może dzięki nim stanie raz jeszcze twarzą w twarz z misją, w którą wyprawił go Mistrz tak wiele lat temu. Może nawet z samym Mistrzem. To dlatego ofiarował się zostać posłańcem.

Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu lat Józef wiedział z całą pewnością, że zanosi się na coś o wielkim znaczeniu – choć czy na coś dobrego, czy na złego, nie potrafił przewidzieć.

* *Black Lake, Britannia 1 Beltaine A.D. 61*

POŚLANIEC W DRODZE

O każde dobro, moja droga Kleo, rozsądni ludzie winni prosić bogów.

Plutarch, *O Izydzie i Ozyrysie* (rozmowa z Kleą, kapłanką delficką)

Była północ, kiedy rzymskie straże ostatecznie opuściły teren i dało się bezpiecznie rozpalic ognisko. Reszta współplemieńców stała w pewnym oddaleniu, osłaniana ciemnym lasem.

Józef, wraz z trzema innymi wybranymi mężczyznami, stał obok ognia i obserwował w milczeniu oblanego miedzianym blaskiem płomieni Loverniosa, który mieszał wodę z jeziora z mąką z pięciu zbóż. Po przyrządzeniu ciasta Lovernios zrobił naleśnik, owinał go w wilgotne liście i włożył do gorącego popiołu. Kiedy naleśnik był gotowy, rozwinął go i opalił trochę z jednego boku. Następnie połamał na pięć kawałków, cztery upieczone i jeden opalony, i włożył do misy.

Po kolei podchodził z misą do każdego mężczyzny, a każdy

wyciągał z niej jeden kawałek. Loverniosowi pozostał ostatni. Kiedy Józef otworzył swoją dłoń, okazało się, że nie trafił na opalony fragment. Popatrzył na innych z mieszaniną ulgi i zażenowania, a tymczasem oni także podnosili wzrok znad swoich dłoni. Wówczas wysoki, przystojny młody Belinus z rdzawymi włosami i taką samą brodą, syn Loverniosa, uśmiechnął się szeroko. Otworzył dłoń z poczeriałym kawałkiem naleśnika i pokazał go wszystkim. Jego uśmiech był tak promienny, że na jedną ulotną chwilę przypomniał Józefowi Mistrza.

Józef nie zamierzał zakłócać ceremonii, bez względu na to, jak by się potoczyła, niemniej nie przewidział, że tym jednym będzie Belinus.

– Nie! – wyrwało mu się mimo woli.

Lovernios położył dłoń na ramieniu Józefa, w uspokajającym geście, następnie drugim ramieniem objął syna i uściskał go, niemal z dumą.

– Pozwól, niech to będę ja – rzekł spokojnym głosem Józef. Nie twój syn: on ma zaledwie trzydzieści trzy lata i całe życie przed sobą. Ja dobiegam siedemdziesiątki i zapadam na zdrowiu.

Lovernios odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno – co Józefowi zdało się niezbyt właściwe, zważywszy na okoliczności.

– W takim razie, mój przyjacielu – zwrócił się do Józefa dlaczego zgodziłeś się być ochotnikiem? Jakiż pożytek z ciebie dla nas, a tym bardziej dla bogów? Belinus jest doskonałym okazem – silny, zdrowy, nieskazitelny. I wie, jak być doskonałym sługą, jak podporządkować się woli Boga. Spytaj go, czy nie jest szczęśliwy, że może służyć jako nasz posłaniec.

Józefa nagle zalała fala wspomnień z ostatniej wieczery Mistrza, kiedy to Mistrz umył nogi

swoim uczniom. I zastanowiło go jedno: dlaczego, kiedykolwiek pomyślał o czymś głęboko poruszającym serce, zamiast czuć przyływ świeżego ducha, miał w sobie jedynie chęć do płaczu. Belinus uśmiechnął się do Józefa zniewalającym, niemal szczęśliwym uśmiechem, otworzył usta i radośnie wrzucił w nie poczerńiały skrawek naleśnika. Kiedy przełknął, podszedł do Józefa, wziął go w silne ramiona i zakołysał nim delikatnie, tak samo jak kiedyś Lovernios, wieki temu.

– Józefie, Józefie – powiedział. – Wiesz, że nie umrę. Idę ku wiecznemu życiu. Musisz cieszyć się za mnie. Kiedy zobaczę waszego Esusa, po tamtej stronie, przekażę mu twoje czułe myśli.

Józef przyłożył dłoń do oczu i załkał, lecz Belinus tylko popatrzył na Loverniosa i bezradnie wzruszył ramionami. Wyraz jego twarzy mówił: Po tylu latach przebywania wśród druidów on wciąż myśli jak poganin czy Rzymianin.

Wskazali innym, aby wyszli z lasu, gdy tymczasem Józef starał się jakoś opanować. Jeden po drugim, ludzie z celtyckich plemion wysunęli się z mrocznej gęstwiny i podeszli do ognia, po błogosławieństwo, po czym ponieśli swoje skarby ze złota i miedzi na brzeg jeziora i powierzyli je jego wodom. Kiedy wszystkie naczynia, naszyjniki, nawet łańcuchy niewolnicze zniknęły, ruszyli rzędem za Loverniosem, brzegiem jeziora, ruszyli na niziny, na poczerńiałe torfowiska. Chmury zebrały się wokół księżyca i na ziemię spłynęła niesamowita tajemnicza poświata.

Belinus ukląkł na oba kolana na skraju rozległego bezdenne torfowiska i uniósł ramiona. Dwóch młodszych mężczyzn, którzy byli ochotnikami tak jak Józef i Lovernios, obnażyło go z szat. Lovernios odczekał, aż syn był zupełnie nagi, i wręczył mu opaskę z futra lisa. Belinus wsunął ją sobie na ramię, opuścił głowę i założył ręce do tyłu, aby je związane skórzanymi rzemieniami. Mężczyźni nałożyli ma na szyję skórzaną pętlę. Belinus, z głową wciąż pochyloną ku ziemi, wyszeptał:

– Matko, w twoje ręce oddaję ducha mego.

Na dźwięk tych słów Józef poczuł lodowate ukłucie w sercu. Wstrzymał oddech. Lovernios tymczasem sięgnął po miękki skórzany worek, wyjął z niego ostry jak brzytwa topór i trzymając go wysoko nad głową syna, wznosił oczy ku niebu. Właśnie wtedy księżyc wypłynął zza chmur i zalał światłem całą okolicę. Celtowie stali w milczeniu, na skraju torfowiska. Oto las modlących się drzew, pomyślał Józef, a Lovernios zaintonował głębokim głosem:

– Oto śmierć od ognia. Za pomocą boskiego gromu powierzamy cię Taranisowi*.

* Bóg burzy, piorunów, gradu, podobny do Jowisza.

Topór opadł szybko i pewnie. Belinus się nie uchylił ani nie poruszył, jedynie, choć może Józefowi tylko tak się zdawało, jedynie lekko westchnął, kiedy ostry metalowy brzeszczot uderzył z chrzęstem w podstawę czaszki. Belinus upadł do przodu, na twarz.

Dwaj młodszy mężczyźni podeszli do niego szybko i zaciągnęli pętlę, podczas gdy Lovernios jednym mocnym szarpnięciem wyciągnął topór z ciała syna.

– Oto śmierć od powietrza – powiedział Lovernios. – Powierzamy cię Esusowi*.

Józef usłyszał w ciszy głośny trzask: dźwięk pękającej tchawicy.

Dwaj młodszy mężczyźni, do których teraz dołączył Józef, unieśli z ziemi miękkie i bezwładne, lecz piękne ciało Belinusa i zwrócili je twarzą w dół, ku słonawym wodom. Wtedy Lovernios wypowiedział ostatnie słowa tamtej nocy:

– Oto śmierć od wody. Powierzamy cię Teutatesowi**.

Józef patrzył, jak bagno zasysa ciało, jak to ciało znika bez śladu, jak pochłania je ziemia.

Ale jeszcze nim zniknęło, Józef pomyślał – przez ułamek sekundy, nie dłużej – że w gęstych czarnych wodach coś się poruszyło. Pomyślał, że zobaczył Boga z otwartymi ramionami, przyjmującego ciało Belinusa. I że Bóg się uśmiechał.

* Kolejny z trzech galijskich bogów, którym składano krwawe ofiary; porównywany z Marsem i Merkurym.

** „Ojciec rodu, plemienia” – opiekuje się ludźmi w czasie pokoju i wojny.

UTOPIA

Ktokolwiek czuje, że w jego żyłach płynie najlepsza krew, i świadomie ją wykorzystuje do prowadzenia narodu, zatrzyma to przywództwo i nie poniecha go....

Ostateczny wizerunek państwa... będzie jak odbicie Świętego Ładu. Jest naszym życzeniem, aby to państwo przetrwało przez tysiące lat. Jesteśmy szczęśliwi, wiedząc, że przyszłość należy do nas.

Adolf Hitler, przemówienie na szóstym zjeździe partii

Tysiącletniej Rzeszy

Poczytuję sobie za obowiązek wobec moich współziomków zapisać te przestrogi o Przyszłej Rasie.

lord Edward George Bulwer-Lytton, *The Coming Race*

Oloserie des Lilas, jedna z najprzyjemniejszych restauracji w Paryżu, pełna kwiatów o każdej porze roku, wydawała się niewiarygodnie niewłaściwą inscenizacją dzisiejszej swawolnej podróży przez nazistowskie Niemcy i Austrię, z moją niebieskooką babką Zoe w roli przewodnika-żmii. Kiedy przyszliśmy, czekały na nas bukiety białych lilii i stolik obok tarasu obrośniętego dzikim winem.

Zoe oznajmiła, że uzgodniła już nasze menu. Tak więc, kiedy kelner przyniósł wino, powróciła do zasadniczego tematu, tego, który jeszcze wciąż był przed nami: do naszej rodziny.

– Jak wspomniałam wcześniej – zaczęła – wysoko w szwajcarskich Alpach, w pobliżu Przełęczy Małej Świętego Bernarda biorą początek cztery rzeki. To tam, sto lat temu, żyła pewna utopijna

społeczność. Moja babka Clio, kobieta, która nie zastępnęła w żadnej ze stolic świata, za to odgrywa niepospolitą rolę w naszej historii, mieszkała tam przez szereg lat z moim dziadkiem Erasmusem Behnem, jednym z głównych założycieli owej społeczności.

Zadzzwoniło mi w głowie. Przypomniało mi się, co Dacian powiedział o utopiach, kiedy staliśmy przed drzwiami wiedeńskiego Hofburgu: że idealisci, którzy zaczynają od poprawiania cywilizacji, często kończą na próbach tworzenia lepszej rasy ludzkiej.

– Idealny świat, zagubiony w wysokich górach, powrót do Złotego Wieku – mówiła dalej Zoe. – W ubiegłym stuleciu wszyscy uganiaли się za czymś takim, a wielu robi to do dzisiaj. Ale życie nie jest ani proste, ani czarno-białe. Możliwe, że dążenie mojego dziadka do Utopii było przyczyną wszystkich przyszłych nieszczęść.

....yWIM^IT

Nie pamiętam, co jedliśmy tamtego popołudnia w Closerie des Lilas. Ale pamiętam każdy szczegół opowieści Zoe. Kiedy kolejne klocki wpasowywały się w swoje miejsce, ja zaczynałam rozumieć, jak to się dzieje, że jedna mała rodzina może odegrać rolę zawiasu, sworznia czy osi, o których mówił Dacian i wokół których wszystko się obraca jak koniki na karuzeli, jak zodiak zdaje się obracać wokół gwiazdy na końcu ogona Małej Niedźwiedzicy.

Słuchałam z przejęciem, podczas gdy Zoe zaczęła swoją historię od prywatnego Raju naszej rodziny. To znaczy, rodziny sprzed Upadku.

– Moja babka Clio – powiedziała Zoe – była jedynym dzieckiem pewnej szwajcarskiej rodziny, która, podobnie jak wiele bogatych rodzin w tamtych czasach, z dużym zainteresowaniem śledziła rozwój nauk. Te między innymi obejmowały podróże i poszukiwania zaginionych królestw i kultur w najdalszych zakątkach świata. Sama Clio interesowała się, i to bardzo, badaniami nad starożytnością: nie tylko kartkowała zakurzone książki – jej pasją stała się nowa dziedzina nauki, archeologia.

Nim skończyła dwadzieścia lat, już miała za sobą liczne odbywane u boku ojca podróże do egzotycznych, dalekich regionów świata. Towarzyszyła poszukiwaczowi przygód Heinrichowi Schliemannowi, który najpierw, w czasie wojny krymskiej, zbił fortunę na dostawach sprzętu wojskowego, a potem ją roztrwonil na szeroko rozreklamowane i prowadzone w bardzo korzystnych okolicznościach poszukiwania zaginionych grodów Myken i Troi.

Clio spędziła młode lata na studiowaniu starożytnych języków i tropieniu pochodzenia wielu przedmiotów, o których mówiły zbutwiałe dokumenty znajduwane w dawnych pogańskich świątyniach, w miejscach dawnych pochówków, a także w grotach. Wykorzystywała tę wiedzę z pewnym powodzeniem w lokalizowaniu zagubionych ośrodków majestatycznej siły i w zdobywaniu małych obiektów o dużej wartości. Tak samo jak Schliemann, który jedynie dzięki uważnemu czytaniu klasyków w końcu znalazł groby mykeńskie, najbogatszą w świecie składnicę starożytnych skarbów.

W tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku, mając dwadzieścia jeden lat, Clio poznała i

poślubiła Holendra, człowieka, który tak samo jak Schliemann wzbogacił się na wojnie. Erasmus Behn, inwestor archeologicznego przedsięwzięcia Schliemanna, był wdowcem i miał jedyne dziecko, małego Hieronymusa, mojego przyszłego ojca. Jeśli olbrzymia fortuna, którą Heinrich Schliemann zebrał na akcesoriach niezbędnych do prowadzenia wojen, została zużyta prawie wyłącznie na zagrabienie przeszłości rodu ludzkiego, fortuna mojego dziadka Erasmusa Behna była przeznaczona na całkowitą transformację przyszłości człowieka, przyszłości wymodelowanej według jego wyobrażeń. I na odrobinę więcej.

W centrum zainteresowań Erasmusa Behna znalazła się pewna szwajcarska utopijna społeczność. Opierała ona swój byt na wielu nowych zagranicznych teoriach, łącznie z selekcją usuwaniem słabszych i preferowaniem silniejszych gatunków, co polegało na udoskonalaniu gatunków płodów rolnych i żywego inwentarza; Erasmus każde lato spędzał w Alpach na wizytowaniu ośrodków, które żyły z jego pieniędzy.

Dla Clio wszystko to było niczym klątwa. Wychowano ją na szwajcarską protestantkę, ale z wszechstronnym wykształceniem – niezwykle u dziewczyny w jej czasach. I choć mężczyzna, którego poślubiła, był równie bogaty jak inteligentny, a także przystojny, wkrótce drażniło ją w nim i rozczarowywało wszystko, a zwłaszcza jego poglądy na udoskonalanie świata, i Clio szybko uświadomiła sobie, że popadła w niewolę surowego kalwina o twardych zasadach, dla którego kobiety i dzieci znaczyły mniej więcej tyle co domowe sprzęty i który uważał siebie i swój ród za ludzi stojących wyżej od całej – albo prawie całej – reszty rodzaju ludzkiego.

Clio wkrótce odkryła, że Erasmus nie ożenił się z nią jedynie dla jej śniado-blond urody, zdrowego ciała czy inteligencji i wykształcenia, lecz raczej, aby wejść w posiadanie dużego kapitału, który ona, jako jedyne dziecko, miała dziedziczyć po śmierci ojca – i, co ważniejsze, w posiadanie cennej kolekcji rękodzieł, talizmanów i zwojów, które sama pomagała gromadzić i które również miała dziedziczyć po rodzinie.

Wydawało się, że Erasmusa trawi obsesja na punkcie wiedzy o tajemnicach przeszłości, tak samo jak o siłach, które mogą rządzić przyszłością, na wymogi dnia codziennego zaś pozostawał całkowicie obojętny. Kiedy Clio urodziła córkę, w dwa lata po ślubie, Erasmus odstąpił od jej łóżka zupełnie, oddając się swoim obowiązkom genetycznym. W końcu, jeśli się weźmie pod uwagę syna, którego spłodził w poprzednim stadle, Erasmus spełnił obowiązek małżeński nie raz, ale aż dwa razy! I choć w ubiegłym stuleciu w małżeństwach z wyższych sfer taka sytuacja była powszechna, sprawy naszej rodziny miały wkrótce przyjąć bardzo dziwny i odmienny obrót.

Co roku wraz z nadejściem lata Erasmus zabierał Clio w Alpy, na wizytację swego utopijnego przedsięwzięcia, choć wkrótce miało się okazać, że kiesa hojnego donatora zaczyna świecić dnem. Tylko że Erasmusa Behna w Alpy ciągnęło jeszcze z innego powodu. W sąsiadującej z jego utopistami okolicy znajdowały się obiekty, które mogły się okazać wiele warte: pogańskie świątynie, jak również grotty, między innymi datowane na czasy człowieka neandertalskiego, a z racji swej niełatwej dostępności, poza taborem wędrownych Cyganów spędzających w pobliżu lato, mało komu znane i jeszcze nie spenetrowane. Rojąc o złotych skarbach, marząc o sukcesach równie widowiskowych jak ostatnie sukcesy Schliemanna, Erasmus miał nadzieję na znalezienie czegoś cennego, a nawet czegoś, co by było obdarzone niezwykle mocą. Interesujące, przytaknęła jego żona.

Clio nie potrzebowała szczególnej zachęty, aby zorganizować sobie do pomocy kilku Cyganów i wrócić do pierwszej miłości, archeologii. W rok po urodzeniu córki zarządziła wymarsz. Podczas wspólnej eksploracji alpejskich grot przekonała się, że Cyganie są zadziwiająco biegli w sztuce odczytywania znaczeń wykopanych przedmiotów i że świetnie znają swoją historię, i to od najdawniejszych czasów. Zaczęła im zostawiać na przechowanie kolejne pozycje ze swojej kolekcji. Podziwiała mądrość tych ludzi, zaczęła też gustować w ich sposobie życia i Ignąć do nich – zwłaszcza do jednego z nich.

Wyprawy Clio z Cyganami wkrótce nabrały rozpędu. Wracała z interesującymi przedmiotami i z naczyniami. Najbardziej niezwykłym znaleziskiem w grocie między Interlaken a Bernem była statuetka starożytnej bogini niedźwiedzicy i jej niedźwiedziego totemu. Głębiej w tej samej grocie znajdowały się zagadkowe gliniane pojemniki, sprawiające wrażenie bardzo starych; zawierały one zwoje, które Clio postanowiła rozszyfrować.

Kiedy jesienią wrócili do Holandii, wpadła we wściekłość. Erasmus, bez jej wiedzy, a dla podratowania marnych dochodów z kiepsko ulokowanych pieniędzy, zgarnął kilka znalezionych dokumentów i innych przedmiotów i je sprzedał. A co jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi, przywłaszczył sobie pewną część jej notatek i tłumaczeń tekstów, które uważała za ważne historyczne dokumenty.

Gdy doszło do konfrontacji, Erasmus odciął się, wypominając jej brak ostrożności, ponieważ tak lekkomyślnie zostawiła dopiero co odkryte zwoje w rękach Cyganów. Uznał, że być może doprowadziłyby do kolejnego skarbu, a także, że z litery prawa należą do niego, do męża. Nic nie mówiąc Erasmusowi, Clio zabrała wszystkie wartościowe rzeczy, które jeszcze pozostawały w jej rękach, i zamknęła je w pewnej krypcie.

Przez następne pół roku stoczyli wiele zawziętych batalii, których świadkiem był dziewięcioletni Erasmus. Awantury między ojcem a trudną we współżyciu, gwałtowną i samowolną macochą, odmawiającą wykonywania rozkazów ojca, zasiały w jego młodym umyśle ziarna, które z czasem miały wydać mroczne i niebezpieczne owoce.

Latem tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, kiedy Hieronimus miał dziesięć lat, a jego siostrzyczka właśnie skończyła dwa, ojciec Clio zmarł, a bogata kolekcja manuskryptów i zabytkowych przedmiotów weszła w jej posiadanie. Ojciec rozsądnie przekazał pieniądze funduszowi powierniczemu, do wyłącznego rozporządzania przez Clio i jej potomków, a także zostawił zalakowany list, który miała otworzyć tylko ona. Na podstawie tego listu Clio zaplanowała szeroko zakrojoną wyprawę z Cyganami przez szwajcarską granicę do Włoch. Dzieci miały zostać z Erasmusem. Ten jednak tym razem postanowił jej towarzyszyć i z uporem na to nalegał. Zaczął podejrzewać młodą żonę o ukrywanie przed nim wielu znalezisk i myślał, że podczas wyprawy udałoby mu się dowiedzieć dlaczego.

Clio więc pewnej nocy po prostu zniknęła – odeszła ze swoimi Cyganami, zostawiając krótką wiadomość, że spodziewa się wrócić pod koniec lata. Ale nie wróciła nigdy. Wydarzenia potoczyły się szybko, jakby kierowane niewidzialną ręką.

Dziewiętnastego lutego tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku wybuchła wojna między Francją a

Prusami i rozpętało się

istne piekło. Utopijna komuna szybko się rozwiązała, z braku dopływu funduszy odciętych przez wojnę. Erasmus Behn z dwójką dzieci, bez żony i z kurczącą się fortuną – wiedział, że musi pośpieszyć do domu, by przed zajęciem Holandii spróbować zabezpieczyć te dokumenty i znaleźiska Clio, które taką czy inną drogą udało mu się od niej pozyskać.

Podczas przekraczania strefy walk między Szwajcarią a Belgią Erasmus został ranny. Umarł zaraz po wwiezieniu dzieci do Holandii. Niewiele pieniędzy, które zostawił, miejscowy kościół przeznaczył na edukację syna. Córkę, którą miał z Clio, odesłano do sierocińca. Rozdzielenie przez wojnę zdaje się losem przypisanym na stałe do naszej rodziny, jak zresztą do wielu innych. Tym razem jednak nigdy się nie wyjaśniło, czy trwałe rozstanie mojej babki z Erasmusem było dziełem przypadku, czy zamierzonego planu. Czy gdyby nie wojna, moja babka wróciłaby do niego?

Osiem lat po śmierci Erasmusa Behna jego syn Hieronimus zakończył edukację i rozpoczął praktykę w jedynym zawodzie, poza żołnierką, dostępnym dla chłopca z ograniczonymi środkami pieniężnymi: został kalwińskim duchownym. Owa praktyka jedynie umocniła przekonania, które zdążyły się w nim zakorzenić przez dziesięć lat życia u boku ojca. I rzeczywiście idee wdrożone mu przez kościół stały się jego pierwszą pasją.

Hieronimus Behn miał wielki żal do swojej macochy Clio. Irracjonalnie postrzegał ją jako osobę, która okradła ich dwóch – ojca i jego samego – ze wszystkiego, do czego w rozumieniu kalwina zostali „wybrani”. Porzuciła ojca w czas wojny, uciekła z Cyganami i ograbiła rodzinę ze wszystkich wartościowych rzeczy. W mrokach serca Hieronimus podejrzewał ją o jeszcze większe zło. Bo kto wie, dokąd nieokiełznane namiętności mogą doprowadzić kobietę? Że też jego ojciec nie zdołał wziąć jej w rzy, jej, swojej żony, kiedy przecież stało za nim prawo, a także sam Bóg! Zdaniem Hieronimusa, wszystko, co Clio posiadała, nawet zanim wyszła za jego ojca, powinno z urzędu należeć do niego i tylko do niego.

To przez nią, przez tę macochę Clio, rozumował Hieronimus, nie otrzymał niczego poza żebraczą edukacją. W ogóle nie troszczył się o młodszą przyrodnią siostrę, która Bóg wie gdzie się podziewała. Ostatecznie była z krwi Clio. Jego interesował

wyłącznie jej spadek. Po uważnym przeczytaniu papierów ojca, które kościół dla niego przechował, nabrał właściwego wyobrażenia o naturze i wartości przedmiotów i dokumentów, które jego macocha zebrała, a które wzbraniała się sprzedać czy pokazać jego ojcu. Teraz były o wiele więcej warte, bo teraz lepiej rozumiano wartość takich rzeczy. Postanowił, że pewnego dnia odnajdzie macochę i wyegzekwuje to, co mu się należy z racji pierworództwa. Czekał cierpliwie na dzień obrachunku.

W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym świętowała cała Europa, przedwcześnie obchodząc urodziny ostatniego wieku naszego tysiąclecia, który rozpoczynał się dopiero od tysiąc dziewięćset pierwszego. Pałac Schönbrunn w Wiedniu po raz pierwszy iluminowano światłem elektrycznym; koła diabelskich młynów pojawiały się nad brzegami wielu rzek w wielu miastach; cuda nowoczesnej techniki docierały wszędzie.

Jednakże żaden z tych nowych wynalazków nie był tak szeroko rozgłaszany przez prasę i przez opinię publiczną jak jedno starożytne odkrycie. Na Boże Narodzenie dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, podczas naprawy sieci wodociągowej biegnącej przez fundamenty zamku górującego nad Salzburgiem] robotnicy odkopali wielką złotą tacę datowaną na tysiąc lat wcześniej, na czasy Chrystusa.

Zwołano ekspertów i ogłoszono wiele teorii. Niektórzy uwa – I żali, że pochodzi ze świątyni Salomona, inni, że należała do 1 przedmiotów zebranych przez lud Mojżesza i przetopionych ' w celu odlania złotego cielca, którym następnie przywrócono wcześniejsze kształty. Jedni uważali, że jej wzór wskazuje na pochodzenie greckie, inni, że na macedońskie czy frygijskie. I A ponieważ te cywilizacje handlowały ze sobą przez tysiące lat, możliwy był jedyny konsensus: tacę uznano za starożytną, wykonaną na Wschodzie. Przez cały styczeń roku tysiąc dziewięćsetnego udostępniona była publiczności w tamtejszym zamku, Hohensalzburgu, a następnie została przeniesiona do cesarskiego skarbcza w Wiedniu.

Hieronymus Behn, teraz prawie czterdziestoletni, spędził ostatnie dwadzieścia lat na poszukiwaniach kobiety, która ukradła jego dziedzictwo i zniweczyła mu życie. Ale kiedy zobaczył w holenderskiej prasie doniesienia opisujące tacę z Salzburga, wiedział, jak ją znaleźć. Jeden z kilku zaledwie zwojów, które ojciec zdołał sobie przywłaszczyć od Clio, wciąż był w posiadaniu Hieronymusa, razem z jedynym egzemplarzem obszernych notatek wykonanych ręką Clio, a dotyczących tego właśnie dokumentu. Jeśli się nie mylił, ten zwój odnosił się właśnie do salzburskiego znaleziska.

Wsiadł w pociąg jadący z Amsterdamu do Salzburga i przybył na miejsce dzień przed otwarciem wystawy. Ze stacji od razu udał się do zamku i skontaktował z kustoszem. Nie taca go interesowała, lecz kobieta, która – w co święcie wierzył przyjedzie do Salzburga, aby ją zobaczyć. Jemu pozostawało szybko i skutecznie zarzucić właściwą przynętę.

Hieronymus wręczył kustoszowi cenny zwój i notatki Clio, utrzymując, że należały do jego nieżyjącego ojca, Erasmusa Behna, znanego protektora Schliemanna. Hieronymus ochoczo przystał na prośbę muzeum, aby zastrzec, że autentyczność dokumentów nie jest poświadczona, prosząc jedynie, żeby ich I zasadniczą treść – i nazwisko donatora, jego nieżyjącego ojca I podać do publicznej wiadomości w czasie otwarcia wystawy. Ponieważ zadał sobie trud, aby przebrnąć przez zapiski Clio, wiedział, że z chwilą wypłynięcia na powierzchnię przyciągną one uwagę świata, w tym i jego macochy, jak magnes.

Z treści zwoju, który Clio i jej ojciec znaleźli w starym glinianym pojemniku w Ziemi Świętej, wynika, że pierwotnie nie była to taca, lecz tarcza greckiego wojownika, i że za tacę uznano ją dopiero, kiedy trafiła do skarbcza Heroda Wielkiego. Za panowania jego syna, Heroda Antypasa, przechowywano ją w twierdzy Macheront, gdzie więziono Jana Chrzciciela i gdzie ścięto mu głowę. Antypas zawiózł ją później do Rzymu, a tam przeszła przez ręce trzech cesarzy: Kaliguli, Klaudiusza i Nerona.

Dociekania Clio wykazywały, że Neron, wierząc, iż taca ma niezwykle właściwości okultystyczne, przeniósł ją z Rzymu do Subiaco i umieścił w słynnej grocie prorokiń, po drugiej

stronie doliny, na wprost swojego letniego pałacu. Po przedwczesnej śmierci Nerona taca przez nikogo nie tknięta pozostawała w grocie prawie pięćset lat. W tejże samej grocie w pięćsetnym roku naszej ery, odcinając się całkowicie od świata, zamieszkał święty Benedykt. Według Clio, to wtedy przeszła w ręce zakonu benedyktynów, czarnych mnichów, a jej moc jako świętego

przedmiotu umożliwiła im uwieńczone powodzeniem nawracanie krajów germańskich, a także sprawiła, że stali się najpotężniejszym zakonem w całej Europie.

Nie tak wyobrażali sobie swoje pierwsze spotkanie po latach zarówno Hieronimus Behn, jak i jego macocha, Clio. Ona, wciąż piękna mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat, i on, zniewalająco przystojny jasnowłosy Holender, niespełna czterdziestoletni, razem tworzyli niezwykłą parę. Lecz Hieronimus szybko się zorientował, że nie tylko on chce powetować swoje krzywdy. Tego samego chciała Clio: powetować krzywdy wyrządzone jej.

Clio wyjaśniła, że tamtego lata, kiedy zgodnie z obietnicą powróciła do owej utopijnej społeczności, dowiedziała się, że komuna ta się rozpadła z braku funduszy i że jej mąż zabrał dzieci i wrócił do Holandii. Po wojnie skontaktowała się z władzami Holandii i otrzymała odpowiedź, że jej rodzina, zaginiona w strefie walk, prawdopodobnie nie żyje.

Przez trzydzieści lat, w ciągu których Hieronimus żywił do niej urazę i planował wymuszenie restytucji, a także zemstę, ona mieszkała w Szwajcarii wśród Cyganów, jak przedtem, i była przekonana, że wszyscy Behnowie od dawna nie żyją. Ostatnio nawet, skoro utraciła jedyne dziecko, adoptowała młodą dziewczynę i zamierzała wkrótce zacząć ją uczyć tych samych języków i technik badawczych, których sama nauczyła się w młodym wieku pod opieką ojca.

Teraz, dowiedziawszy się, że jej rodzoną córkę trzydzieści lat ! temu oddano do sierocińca i że Hieronimus Behn przez ten cały czas nie zrobił absolutnie nic, aby odnaleźć siostrę, Clio zrozumiała, że stojący przed nią mężczyzna, równie przystojny i buńczuczny jak jego ojciec, jest równie jak jego ojciec bezlitosny i egoistyczny. zaproponowała mu zawarcie kompromisowego układu.

Ponieważ Hieronimusa nie łączą z nią żadne związki krwi, nie jest mu nic winna, powiedziała. Lecz jeśliby chciał wykorzystać swoje związki z Kościołem kalwińskim i dowiedzieć się, do którego sierocińca oddano jego siostrę, odnaleźć ją i przywieźć do Szwajcarii, tak by jej matka mogła ją w końcu zobaczyć, Clio wykroiłaby zgrabną sumkę ze swojego olbrzymiego majątku dla nich dwojga. Na co Hieronimus szybko przystał. Tyle że nie przyszło mu na myśl, co się może zdarzyć.

Podczas gdy Wolfgang i ja siedzieliśmy w ciszy tak gęstej, że można ją było ciąć na pół, Zoe mówiła dalej:

– Dawno utracona siostra przyrodnia, którą miał odnaleźć mój ojciec, siostra przyrodnia, którą w końcu znalazł, co było wielkim nieszczęściem dla obojga, była tą kobietą, która wkrótce miała zostać jego żoną. To była Hermione.

Wolfgang przyglądał się Zoe z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W końcu oczy mu się zwężyły.

– Zamierzasz powiedzieć, że twoi rodzice...

– Byli przyrodnim rodzeństwem – dokończyła za niego Zoe. – Ale ja jeszcze nie skończyłam.

– Za to ja usłyszałam dość – rzuciłam gwałtownie.

A więc z tego powodu przez te wszystkie lata trzymano nasze rodzinne powiązania pod korcem. Pomyślałam, naprawdę, że się rozchoruję. Nie mogłam oddychać. Chciałam poderwać się od stolika i uciec. Ale karty rozdawała Zoe.

– Te manuskrypty przeszły w twoje posiadanie. – Moja babka odkryła Amerykę. – Jednak ty ani nie potrafisz ich ochronić, ani zrobić z nich użytku, jeśli nie dowiesz się wszystkiego.

Kącikiem oka zauważyłam, jak Wolfgang uniósł swój kieliszek i zdrowo z niego pociągnął. Był przeraźliwie spokojny i jakby niezaangażowany w całą sprawę. Ale co tak naprawdę czuje? Ostatecznie Zoe to także jego babka. Modliłam się, żeby to była ostatnia mała niespodzianka. Co mogło być jeszcze gorszego?

– Dzięki związkom z Kościołem kalwińskim – powiedziała Zoe – Hieronimus odnalazł sierociniec i dowiedział się, że jego przyrodną siostrę Hermione, gdy miała szesnaście lat, wysłano do Afryki Południowej statkiem pełnym dziewcząt – zamówionych przez Burów panien młodych. Wojna się skończyła, więc Hieronimus wsiadł na okręt i popłynął, aby ją odszukać. – Obserwując mnie uważnie, dodała: – Christian Alexander właśnie umarł z powodu komplikacji po odniesionej na wojnie ranie. Hermione odziedziczyła jego fortunę, łącznie z ogromnymi kopalniami i koncesjami na wydobywanie minerałów, ale także była w ciąży z drugim dzieckiem. Odchodziła od zmysłów z rozpacz i strachu o przyszłość, samotna wdowa z dwójką dzieci w kraju rozdartym wojną. Kiedy się zjawiał niezwykle przystojny Hieronimus Behn, twierdząc, że jest jej kuzynem...

Chwileczkę! – krzyczał mój rozum, podczas gdy ja próbowałam sklecić wszystko do kupy. Coś w tym obrazku nie pasowało. A tym razem dokładnie wiedziałam co.

– Z dwójką dzieci? – zapytałam oszołomiona. – Masz na myśli, że Christian Alexander był ojcem obu synów Hermione, Lafcadia i Earnesta? Ale jak to się mogło stać?

– To jest to kłamstwo, które zaciemnia całą historię – oznajmiła Zoe. – To Earnest wyjawiał prawdę o przeszłości naszej rodziny, chociaż wiele lat minęło, zanim zrozumiał, jaką się posłużono perfidią wobec niego i Lafcadia, rozdzielając ich w dzieciństwie i kłamiąc o jego pochodzeniu. A tymczasem obaj byli rodzonymi braćmi, synami tych samych rodziców: Hermione i Christiana Alexandrów. Earnest przyjechał do Europy tuż przed śmiercią Pandory i zapytał ją o to. Na pewno wiedziałaś o wszystkim przez cały czas, wygarnął jej, więc dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chyba będzie lepiej, jak teraz ty nam powiesz – zauważyłam. – Zacznij od początku, łącznie z wątkiem Pandory.

Kiedy Hieronimus Behn – zaczęła po raz kolejny Zoe duchowny kalwiński, przyплыł do Afryki Południowej latem tysiąc dziewięćsetnego roku, miał prawie czterdzieści lat i jeden cel – znaleźć przyrodną siostrę, sprowadzić ją do jej dawno utraconej matki Clio, a tym samym zgarnąć spadek, który, jak mu się zdawało, macocha była mu winna.

Znalazł swoją piękną, jasnowłosą, trzydziestodwuletnią przyrodnią siostrę właśnie owdowiałą, z rękami pełnymi roboty. Musiała sobie radzić z koncernami mineralowymi, z posiadłościami, z sześciomiesięcznym dzieckiem (stryjem Lafcadiem) i z kolejnym w drodze (stryjem Earnestem). Hieronimus najpierw dopatrywał się w tej sytuacji niezwykłych możliwości, a następnie szybko i nie bawiąc się w sentymenty zdecydował, w jaki sposób upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Podając się za kuzyna i utrzymując, że szuka Hermione od lat, łatwo zdołał ją przekonać o swojej rzekomo namiętnej miłości. Osierocona w wieku dwóch lat, Hermione nie mogła wiedzieć, że ten krewny jest w rzeczywistości jej przyrodnim bratem. Dosłownie zawrócił jej w głowie: pobrali się w ciągu paru tygodni, a on przejął zarząd nad całym majątkiem jej męża.

Lecz Hieronimus wiedział, że kiedyś musi wyjawić żonie ich prawdziwe pokrewieństwo. Że musi to zrobić przed zabraniem jej do Europy, zanim stanie twarzą w twarz z Clio i upomni się o należny im dwojgu spadek. Tu pojawiał się dodatkowy problem: jeśli Hermione zdradzi nowo odzyskanej matce, że są małżeństwem, obiecana „zgrabna sumka” przejdzie mu koło nosa. A także, kiedy Hermione się dowie, że została oszukana, może chcieć rozwiązać małżeństwo i będzie miała ku temu podstawy. Ale Hieronimus wiedział, że nie pójdzie jej łatwo, jeśli będą mieli własne dziecko.

Jednakże wzięwszy pod uwagę ewentualność, że nie będą go mieli, że nie zdołają go spłodzić, należałoby, myślał Hieronimus, zabezpieczyć się inaczej. Należałoby przekonać Hermione, że w imię ich miłości powinien uznać nowo narodzone dziecko za swoje i w metryce urodzenia zapisać je pod swoim nazwiskiem. I tak się stało, a cała sprawa ujrzała światło dzienne całe lata później, kiedy Earnest nurtowany niejasnymi podejrzeniami odkrył, że jest zaledwie o rok młodszy od Lafcadia – nie o dwa, jak obydwu zawsze mówiono – kiedy jego niejasne podejrzenia przerodziły się w pewność i zaczął drążyć głębiej.

Ja z kolei, biorąc pod uwagę nieprzyjemne odkrycie Earnesta, zaczynałam dostrzegać sens w bezsensownych, a przynajmniej trudnych do wytłumaczenia poczynaniach mojej rodziny. Bo miało sens, na przykład, wysłanie małego Lafcadia do Salzburga, miejsca, gdzie nikogo nie znał. Wcześniej czy później, gdyby pozostał w Afryce Południowej, przez czysty przypadek mógłby usłyszeć o okolicznościach towarzyszących śmierci swojego ojca, o pośpiesznym powtórnym małżeństwie matki i o dziwnej dacie urodzin Earnesta. Bo miało sens, że kiedy Hermione była w ciąży z Zoe, Hieronimus spakował kufry i przeniósł się z całą rodziną do Wiednia, gdzie o ich pochodzeniu nikt niczego nie wiedział – i gdzie, jeśli miałam wierzyć opowieści Lafa, jego matka stała się więźniem we własnym domu.

Taki scenariusz pozwalał mi zrozumieć, dlaczego Laf był aż tak wyprowadzony z równowagi moim zamierzonym spotkaniem z Zoe – że pomnę milczeniem jego nie skrywaną i stałą niechęć do tej kobiety. Ostatecznie to ona we własnej osobie była świadectwem cielesnych związków jego matki z jej własnym bratem. Ale podczas gdy wyświetlała się jedna tajemnica, inne, chyba już zwykłą dla mnie kolejną rzeczy, zdawały się mrocznieć.

– Kiedy w to wszystko wkroczyła Pandora? – spytałam Zoe.

– Był ktoś – wyjaśniła babka – kto poznał Hieronimusa i Hermione jako brata i siostrę, a po latach, gdy ich spotkał, byli małżeństwem. To było dziecko, które Clio adoptowała w Szwajcarii, aby

wypełnić sobie pustkę po utraconej córce, i które przyjęła pod swoje skrzydła. Kiedy Hieronimus Behn wreszcie sprowadził Hermione do Szwajcarii, zgodnie z obietnicą, Clio zgodnie z umową podpisała dokumenty, mocą których wielka część jej majątku powierniczego przechodziła w ręce córki i pasierba. Oczywiście podpisała, nie bardzo zdając sobie sprawę z prawnych i cielesnych związków łączących tych dwoje. Po ich wyjeździe wyszło na jaw, że – podobnie jak kiedyś jego ojciec Hieronimus przywłaszczył sobie kilka starożytnych zwojów, uważając, że należą mu się z boskiego wyroku. Zwojów, które do tej pory należały do jej adoptowanej córki. Za którymi uganiała się po świecie przez lata. Jej adoptowaną córką była oczywiście Pandora.

Resztę historii mogłam sobie dość łatwo dośpiewać, opierając się na tym, co już wiedziałam od Lafa, Daciana i innych: jak Hieronimus nie rozpoznał dziecka, które kiedyś mignęło mu w przelocie, a teraz wyrosło na piękną kobietę; jak Pandora przeniknęła do domu Behna w Wiedniu przy pomocy szkolnego kolegi Hitlera, Gustla, i zaprzyjaźniła się z więzioną Hermione jako jej adoptowana siostra; jak zaszantażowała Hieronymusa i spowodowała sprowadzenie małego Lafcadia do łóżka śmierci Hermione. Niemniej jeszcze coś mi nie pasowało. Według opowieści Daciana, Hieronimus zmusił Pandorę do małżeństwa, następnie wyrzucił ją na ulicę, po tym, jak mu ukradła coś wartościowego. Ale czyż Zoe nie uciekła razem z Pandorą i Cyganami? I jeśli historia Lafa nie miała się z prawdą, obie, i Zoe, i Pandora były od samego początku w bliskiej komitywie z Adolfem Hitlerem.

– Jak się ma do twojej historii Hitler? – zapytałam. – Z tego

co powiedziałaś, niedwuznacznie wynika, że Pandora podprowadziła Hieronimusowi manuskrypty Clio. Ale jeśli nawet założymy, że twój kumpel Szczęściarz ich szukał, po co mu była tamta wycieczka z wami wszystkimi – przejażdżka na karuzeli na Praterze, o której opowiadał mi Laf, i dlaczego pokazał wam w Hofburgu włócznię i miecz? I dlaczego, wiedząc, że Pandora i Dacian są Romami, tak się z nimi trzymał?

– Szczęściarz natknął się na Pandorę i Daciana w Salzburgu – podjęła Zoe – i dowiedział się, że oboje polują na Hieronymusa Behna... tego samego mężczyznę, który dwanaście lat wcześniej wzbudził niezwykłą sensację swoimi rewelacjami na temat historii i pochodzenia tacy Jana Chrzciciela. Sam Szczęściarz, jako zaledwie jedenastoletni chłopiec, poszedł ze swoją klasą obejrzeć ten wysławiany przedmiot i od tamtej pory już zawsze marzył, by go posiadać. Nim przeniósł się do Wiednia, zdążył poznać genealogię rodziny Behnów i choć nikt tego nigdy nie udowodnił, jestem przekonana, że mój ojciec był jednym z najwcześniejszych rzeczników Szczęściarza i że wspierał go finansowo. Kiedy wybuchła wojna, Dacian musiał uciekać na południe Francji. Przeżył dzięki moim nietypowym znajomościom i mojej pomocy. Nad Pandorą, która została w Wiedniu, Szczęściarz roztoczył dyskretną opiekę i nie pozwolił jej tknąć nikomu... chociaż oczywiście, jak słusznie zauważyłaś, wiedział o pochodzeniu i jej, i Daciana. Czuwał nad Pandorą, ponieważ wierzył, że właśnie ona ma klucz do władzy, ten sam, którego on poszukiwał.

– Używasz nazwy Romowie... lecz tak naprawdę co to znaczy? – przerwał dziwnym tonem Wolfgang. Był wciąż niesamowicie spokojny i opanowany.

– Romowie to Cyganie * – odpowiedziała mu Zoe. I zwróciła się znowu do mnie: – Dziecko,

które Clio adoptowała, Pandora, było siostrzenicą Asziego Atzingansi, niepospolitego, cieszącego się szacunkiem całej społeczności cygańskiej człowieka, Cygana, który pomógł Clio odkryć wiele starożytnych tekstów, łącznie z przepowiednią z Kurne. Chociaż nie ma na to niezbitego dowodu, Pandora zawsze uważała, że Aszi był także wielką miłością Clio. Jak powiedziałam Wolfgangowi rok temu, kiedy znalazł mnie w jednej z wiedeńskich *heurigen*, to najstarsze dusze przechowują i podtrzymują przy życiu dawną

mądrość. Pandora miała taką starą duszę, jak większość Cyganów. Dacian bardzo nalegał, bym się z tobą spotkała. Dacian wierzy, że ty jesteś następną...

– Zaczekaj – przerwał jej raz jeszcze Wolfgang. – Chyba mi nie powiesz, że Pandora i Dacian Bassarides, rodzice Augustusa Behna, dziadkowie Ariel, byli Cyganami?

Zoe popatrzyła na niego z dziwnym uśmieszkiem i uniosła jedną brew.

Ale czyż to nie Wolfgang przedstawił mnie Dacianowi? Następnie przypomniałam sobie z niejakim niepokojem, że Dacian w obecności Wolfganga nie wspomniał ani razu o żadnych cygańskich przodkach i – rzeczywiście – ostrzegł mnie, żebym też nie wspominała. Patrząc wstecz i zważywszy na to, jak bardzo był szczery, jeśli chodzi o inne tematy – włócznia i miecz, a nawet miejsce ukrycia manuskryptów Pandory – fakt, że odesłał Wolfganga na czas naszej rozmowy o rodzinie, nagle wydał mi się koszmarnie znaczący. A jeszcze bardziej, kiedy Zoe dorzuciła enigmatycznie:

– Twoja matka byłaby dumna z takiego pytania.

Wolfgang był wyraźnie wykończony, tak samo jak ja. W końcu mieliśmy za sobą tygodnie uganiania się po całej Europie i sowieckiej Rosji, żeby nie wspomnieć o zmasowanym ataku danych, jaki nas spotkał tak na polu zawodowym, jak i rodzinnym. On zapadł w sen zaraz po obiedzie, na samym początku naszej dwudziestoczerogodzinnej powrotnej podróży do Idaho.

Ja, i owszem, miałam całą masę tematów do rozmowy, ale najpierw potrzebna mi była chwila samotności, aby przemyśleć wszystko i zorientować się, na czym stoję. Zamówiłam u stewarda dużo mocnej kawy i postanowiłam podsumować wszystko, czego się dowiedziałam.

Miesiąc temu teoria Zoe wydałaby mi się kompletnym szaleństwem: że Szczęściarz, jego siostrzenica, jego pies, jego przyjaciele i ich dzieci zostali złożeni – tak jak on sam poprzednio „złożył” miliony Cyganów, Żydów i innych narodowości w jakiejś masowej pogańskiej ofierze, w jakimś szamańskim „odczynianiu”, potrzebnym do wprowadzenia nowej ery. Tylko że wokół Hitlera było tak wielu wierzących, podobnie jak on sam, w absolutny nonsens: mityczny dom Aryjczyków, czyli

Atlantyda, na biegunie północnym; ostateczna zagłada świata przez Ogień i Lód; moc świętych świętości i „oczyszczanie” krwi dla dokonywania ziemskich cudów. I nie zapominajmy, jak zauważył Wolfgang, o wierze Hitlera w broń masowej zagłady, którą znano już w starożytności i którą wielokrotnie na nowo wymyślano. Dla tych, którzy chcieli cofnąć wskazówki zegarów do dawnego złotego wieku, w ich przekonaniu panującego na ziemi w czasach pogańskich (niebezpieczeństwo,

przed którym ostrzegwał Dacian Bassarides), ofiara złożona z człowieka mogła być zaledwie częścią systemu. Więc, jakkolwiek tego rodzaju idea mogła być oburzająca, to rozpatrywana w kontekście naszej wiedzy o systemie wierzeń nazistów, właściwie nie wydawała się niewiarygodna.

Lecz, wbrew być może użytecznemu procesowi doboru i selekcji, uderzałam głową w mur za każdym razem, kiedy wracałam do frustrującego tematu prawdziwych związków mojej ; rodziny z Adolfem Hitlerem i jemu podobnymi. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Pomyślałam o rymowance Williama Blake'a:

Daję ci koniec złotej nici O nic nie pytaj, a idź za nią.

Zawiedzie cię do niebios bram Wzniesionych z murów Jeruzalem.

Gdybym tylko potrafiła znaleźć początek mojej złotej nici gdzie i jak nasza rodzinna saga zaczęła się dla mnie – na pewno wiedziałabym, od czego zacząć.

Co prawda wiem, i to na pewno, gdzie po raz pierwszy znalazłam się w labiryncie: to była tamta noc, kiedy wróciłam z pogrzebu Sama, kiedy była zamieć, kiedy prawie że utonęłam w śniegu. I kiedy podniosłam słuchawkę dzwoniącego telefonu, aby usłyszeć od mojego ojca, Augustusa, że moje „dziedzictwo” może zawierać coś o wielkiej wartości, coś, czego się nie spodziewałam: manuskrypty Pandory.

Ale teraz, po czasie, dotarło do mnie, że być może od tamtej pierwszej rozmowy telefonicznej, zamiast tropić prawdę, której się stale domagałam, być może zamykałam oczy za każdym razem, kiedy ta prawda patrzyła mi prosto w twarz. Czyż Dacian nie powiedział, że należy zadawać właściwe pytania? Że proces często bywa ważniejszy niż produkt? Było coś, co łączyło te pozornie nie połączone rzeczy, i chociaż mogło się to zdawać szukaniem igły w stogu siana, ja musiałam to zobaczyć.

I stało się. Zobaczyłam.

Przez cały czas ja selekcjonowałam i odrzucałam, i szłam za kawałkami złotej nici, kiedy powinnam rozejrzeć się za czymś, co Sam nazywał „tantrą” tego wszystkiego – istotą rzeczy, osnową tkaniny, czymś, co w kulturach Wschodu splata los z życiem i śmiercią. Sam powiedział, że taka tantra istnieje nawet w świecie zwierząt: że samica pająka nie zje samca, jeśli ten zostawił pajęczynę przy tej samej ścieżce, którą już raz przechodził, bo to oznacza, że rozpoznał wzór. W porządku, w końcu rozpoznałam wzór, który do tej pory umykał memu wzrokowi. Poczułam, jak w żołądku formuje mi się mała zimna kula.

Chociaż wszyscy w mojej rodzinie prawdopodobnie opowiadali mi historyjki, z których jedna drugiej przeczyła, była taka osoba, której historyjki same były pełne wewnętrznych sprzeczności, nagłych zwrotów i nieoczekiwanych zakrętów. I chociaż historia czy genealogia, czyjakolwiek, może być odmienna od tego, w co w pierwszej chwili skłonna byłabym uwierzyć – może nawet od tego, w co ten „ktokolwiek” sam wierzy – była taka osoba, jak teraz to sobie uzmysłowiłam, w której wszystko mi się nie zgadzało. Absolutnie wszystko. Choć przyznaję bez bicia: wszyscy mnie przed tym człowiekiem ostrzegali od samego początku, łącznie, jak nagle mnie olśniło, łącznie z jego

własną siostrą!

Ten osobnik siedział obok mnie, tu, w samolocie, a jego ciemna, skołtuniona czupryna oparta była o moje ramię, tak że ledwo mogłam dojrzeć wspaniale cyzelowany profil jego głowy. To był mój kolega, mój kuzyn i były kochanek, Wolfgang K. Hauser z Kremisu, *Österreich*. I chociaż nie dalej jak dwa tygodnie temu sądziłam, że Wolfgang jest moim jedynym przeznaczeniem tu, na planecie Ziemia, teraz, stając twarzą w twarz z okrutną, bezwzględną rzeczywistością, musiałam przyznać, że jego każde kłamstwo jedynie prowadziło do następnego kłamstwa. Od chwili, kiedy w tajemniczy sposób pojawił się w Idaho, podczas gdy ja byłam w San Francisco na pogrzebie Sama.

A skoro jesteśmy przy pogrzebie: czyż Sam mi nie powiedział – w przeciwieństwie do łgarstw Wolfganga o pracodawcy Oliviera, Theronie Vanie – że ten pogrzeb zorganizowano przy błogosławieństwie najwyższej szarży naszego rządu? I czy także Zoe nie wspomniała, że Wolfgang szukał jej w Wiedniu, aby wydusić z niej informacje, a nie na odwrót?

Lecz najbardziej gorzką pigułką była myśl, że Wolfgang przywłaszczył sobie manuskrypty Pandory, sprzątając mi je sprzed nosa równie zręcznie i uroczo, jak to zrobił z moim ciałem i moim zaufaniem.

Już w tym jego zamku-Walhalli dość było aluzji do aryjskiej przeszłości i wychowania, jakie mu dała matka, która sama została wychowana przez nazistów. A co z najwyraźniej szczerym pytaniem Wolfganga, pytaniem, które zadał Zoe: „Chyba mi nie powiesz, że dziadkowie Ariel byli Cyganami?” Co innego miałoby ono znaczyć?

I tak oto, mając cudzych kłamstw powyżej uszu, pomyślałam, że chyba przyszła pora przestać kłamać samej sobie.

Teraz, kiedy w głębokich zakamarkach mojej duszy przycził się strach, że to sam Wolfgang Hauser jest tą brakującą nicią, która zszywała poszarpaną i poplątaną pajęczynę mitu i intrygi, mogłam się jedynie modlić, bym zdołała ostrożnie odrobić przeszłość i byśmy oboje, Sam i ja, uszli z życiem.

MWWJ.: ... 'URAN

Chciałbym teraz dotknąć myślą największego wydarzenia w sferze ducha... uwolnienie energii jądrowej... Proszę zwrócić uwagę na słowa „uwolnienie energii”... Myślą przewodnią nowej ery, podobnie jak każdego, kto nastawiony jest na sferę duchową, jest uwolnienie, inaczej wolność... Ta wolność ma początek w oswobodzeniu jakiejś postaci materii i pewnych duchowych sił wewnątrz atomu... Ponieważ sama materia to wielka i potężna inicjacja porównywalna do tych, które uwalniają bądź oswobadzają dusze ludzkie... Oto nastąpiła godzina zbawczej siły.

Externalisation of the Hierarchy, przekaz A. Bailey, 9.08.1945

Cykl Urana liczy się od momentu, kiedy planeta, biegnąc po orbicie okołosłonecznej, osiąga swój północny węzeł... data, kiedy ostatni raz znalazła się nad nim, jest niezwykle znacząca – dwudziestego czerwca 1945 roku, cztery dni po pierwszej próbnej eksplozji nuklearnej w Alamogordo w Nowym Meksyku – zapoczątkowując nową erę; na lepsze czy gorsze... Wydarzenia

nie dzieją się dla nas, to my się o nie potykamy.

Najważniejsze w życiu każdego człowieka jest odkrycie celu swego wcielenia i podążanie za nim z ostrożnością, ale i pasją... Uranus w każdym z nas jest Świętą Włócznią Legendy. W dłoniach Świętego Króla Legenda wzniosła Świątynię Graala, w Ogrodach Złych Czarów złego czarownika Klingsora... Uranus w symbolice egipskiej występuje pod postacią królewskiego węża Ureusza, leniwego, lecz w ataku jak błyskawica, pana życia i śmierci. Trzeba wiele zachodu, żeby go ruszyć, ale kiedy jest w ruchu, trudno mu się oprzeć... Jeśli nie pozwoli mu się na aktywność, pożre sam siebie.

Aleister Crowley, *Uranus*

Nie należało działać bez konkretnego i realnego planu. Ale wiedziałam, że nim zacznę układać plany, wpierw powinnam znaleźć Sama. Bo choć nie czułam entuzjazmu na myśl o spojrzeniu mu w oczy i wyjawieniu moich licznych katastroficznych wpadek – w tym wcale niebagatelnej, duetu skrzypcowego z Wolfgangiem, podczas gdy płonął Rzym – to jednak przejmowała mnie obawa, że Sam być może znajduje się (naturalnie dzięki mnie) w większym niebezpieczeństwie niż dwa tygodnie temu, jeśli ktokolwiek wydedukował, że nie umarł.

Wolfgang był dziwnie spokojny przez resztę podróży, co mi zresztą odpowiadało. Przed wylądowaniem w Idaho uzgodniliśmy, że on prosto z lotniska uda się do biura i zawiadomi Strączka, który do tej pory zdążył wrócić z Wiednia, że my też wróciliśmy, równie bezpiecznie, a ja do biura udam się drogą okrężną, via dom, gdzie wpadnę na krótką chwilę, aby zostawić rzeczy. Jediną bronią, która mi pozostała w moim arsenale, było to, że Wolfgang jeszcze nie podejrzewał, że ja go podejrzewam, musiałam więc działać szybko.

Była dziesiąta, Olivier powinien być w biurze; wymyśliłam, że w takim razie z domu zadzwonię do dziadka Sama, Posępnego Niedźwiedzia. Chociaż mojego telefonu może i pilnowała jakaś pluskwa, chciałam spróbować zawiadomić Sama, że wróciłam.

Znalazłszy się na naszej drodze, zobaczyłam na podjeździe samochód Oliviera i jakiś inny, niedaleko skrzynki pocztowej, kompakt, poza tym wynajęty, o czym świadczyły tablice. Podjechałam do podjazdu, aby zakręcić i spróbować innego planu, kiedy w tylnych drzwiach pokazała się ciemna, kędzierzawa i bardziej niż zwykle rozczochrana głowa Oliviera. Mój gospo:*n.*X~**

darz, z lekkim obłędem w oczach, zamachał na mnie, żebym prędko szła do środka. Wbrew rozsądkowi zgasiłam silnik i wysiadłam, ciągnąc za sobą płaszcz i torbę na ramię. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Olivier już był przy mnie i ścisnął mnie mocno za ramię.

– Co się z tobą dzieje, na litość boską! – syknął z lekka histerycznie. – Żeby mi nie odpowiedzieć choćby na jeden telefon, i to przez całe dwa tygodnie! Czy masz pojęcie, co się tutaj wyprawiało?

– Ani trochę – przyznałam, z miejsca wpadając w popłoch. Wskazałam na zaparkowany na drodze samochód. – Kto jest twoim gościem?

– Twoim, moja droga, nie moim – poinformował mnie Olivier. – Przyjechała z Salt Lake wczoraj wieczorem i rozgościła się u mnie na górze, tam, gdzie było ciepło. Przeprowadziłem ją do ciebie

właśnie przed chwilą, z małym argonautą dla towarzystwa.

– Ją?

– Jak to my, kowboje, powiadamy – dodał Olivier ponuro, schodząc za mną po schodach do mojego mieszkania – chyba wpadliśmy jak śliwka w kompot, przez ciebie.

Kiedy wkroczyłam do salonu mojej podziemnej nory, czekała na mnie więcej niż niespodzianka. Przy drugim końcu stołu siedziała nowa siostra przyrodnia, z którą rozmawiałam zaledwie dwa dni temu z budki telefonicznej na wiedeńskim lotnisku, Bettina Brunhildę von Hauser.

Olivier miał rację: jej obecność nie mogła być dobrą wiadomością. Ale nie musiałam długo wstrzymywać oddechu. Bambi wstała i przeszła przez pokój. Miała na sobie inny z tych wprawiających w zdumienie kombinezonów, tym razem w odcieniu zbrązowiałego *biscotto**. Można by pomyśleć, że wpadła do kadzi z karmelem. Tymczasem Jazon przetruchtał obok, pogardliwie mnie ignorując, a ja powiesiłam płaszcz i torbę na ramię na wieszaku.

– *Fraulein Behn*... chciałam powiedzieć Ariel – poprawiła się szybko Bambi. – Twój stryj przysłał mnie tutaj, gdy tylko zrozumiał niebezpieczeństwo całej sytuacji.

* Z wł. „biskopt”.

Popatrzyła na Oliviera złoto nakrapianymi oczami, aż się zaróżowił.

– Zgaduję, że mam się wynieść – zauważył domyślnie.

– Po co? – zaprotestowałam: – Czyż nie założyłeś mi podsłuchu w mieszkaniu i w telefonie też? Albo czemu twój szef każe ci tu siedzieć i szpiegować mnie przez cały czas?

– Chyba powinieneś jej powiedzieć – zwróciła się do Oliviera Bambi, co mnie kompletnie zaskoczyło. – Powiedz jej to, co powiedziałeś mi ostatniej nocy. A potem ja wyjaśnię resztę, tak jak potrafię.

– Grupa, dla której pracuję, przysłała mnie tutaj pięć lat temu, zaraz po tym jak Strączek cię zatrudnił – zaczął Olivier. – Nie byliśmy całkiem pewni, kto z twojej rodziny jest zamieszany w tę skomplikowaną aferę, ale wiedzieliśmy dość o Pastorze Darcie i jego kohortach i mieliśmy ich na oku przez cały czas. Wydało nam się podejrzane, że Dart zatrudnił cię od razu po szkole jako swoją bezpośrednią podwładną, i to przy tak skąpych referencjach. Poza, naturalnie, tymi ważnymi: że byłeś w tak zażyłych stosunkach z twoim kuzynem Samem.

Coraz gorzej. A więc Strączek, jak się obawiałam, był nikczemnikiem w każdym calu. O czym zresztą świadczyło jego przezwisko: Książę Ciemności. Ale mnie nurtowało jedno zasadnicze pytanie:

– Czy Sam wiedział, że byłam szpiegowana? Czy szpiegowaliście go także, chociaż często pracował dla Theron Vane'a, twojego szefa?

– Nie jesteśmy szpiegami – sprostował Olivier. – Jesteśmy międzynarodową agencją, która wraz

z Interpolem tropi na całym świecie nielegalną działalność, zwłaszcza przemysł najnowocześniejszej broni. Dowiedzieliśmy się, że wielu ludziom zaangażowanym w tego rodzaju przestępstwa udało się przeniknąć do instytucji wysokiego szczebla, odpowiedzialnych za kontrolę nad obrotem taką bronią. Pierwsi na liście są międzynarodowi handlarze narkotyków, a nawet KGB i CIA. Boimy się, że jeszcze trochę, a zaczną sprzedawać „gorący towar”, w tym materiały rozszczepialne, na wolnym rynku, tak samo jak wystawiają na licytację własnych tajnych agentów!

To była najdłuższa i najbardziej poważna mowa, z jaką kiedykolwiek wystąpił OImier, mimo to nie odpowiedział na moje pytanie.

■ ii iUffiiniMIMMMM^~MBMI

– Jeśli nie jesteś szpiegiem, to dlaczego mój telefon jest na podsłuchu? – spytałam. – Dlaczego pracujesz pod przykrywką? Dlaczego usiłowałeś odebrać z poczty mój manuskrypt runiczny?

– Dowiedzieliśmy się, czego szukają, i wysłano mnie, bym cię ochraniał – wyjaśniał Olivier. – Choć najczęściej trzeba cię było chronić przed tobą samą.

Jakbym słyszała *Herr* Wolfganga.

– Na parkingu przy poczcie, przez okno twojego samochodu, udało mi się zobaczyć, że to nie są papiery, które twój kuzyn opisał naszym ludziom. Potem, kiedy zostałam wieczorem w pracy, obserwowałam cię tak długo, aż zobaczyłem, gdzie zamierzasz je ukryć – w DOD Standard! Cóż za wspaniały pomysł! Naturalnie wyciągnąłem je stamtąd i skopiowałem, żeby nie przepadły na zawsze. Lafcadio, jak mówi Bambi, boi się, że dokumenty, które należały do twojego kuzyna, już są w rękach jej brata.

Tak naprawdę to mi ulżyło, że przynajmniej manuskrypt runiczny znajduje się w jeszcze czyichś rękach, a nie tylko w rękach mojej rodziny. I że, jak miałam nadzieję, Olivier jest po mojej stronie. Ale moje tropienie prawdy doprowadziło mnie do zasadniczego spostrzeżenia – że prawdziwe niebezpieczeństwo związane z tymi dokumentami być może zagraża z innej strony.

Wciąż pamiętałam, co powiedział mi Sam, opisując, w jaki sposób zamiast niego zginął od bomby Theron Vane, i ostrzegając mnie przed zbyt oczywistym polowaniem na przesyłki pocztowe. Jeśli ktoś się dowie, powiedział, jak i gdzie położyć łapę na kopiach tych manuskryptów, będzie mu łatwiej, kiedy jedno z nas nie będzie żyło. Teraz zrozumiałam, że to jego zawołane ostrzeżenie nie brało się z tego, że paczka, którą mi przysłał, była jedyną pozostałą wersją tych dokumentów – lecz raczej że Sam był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie są ukryte oryginały Pandory. A to było wyraźną wskazówką, że ludzie, którzy poszukują dokumentów, nie robią tego z powodu ich treści – raczej chcą mieć pewność, że nikt inny jej nie pozna. Tak więc manuskrypty w rękach Wolfganga i Strączka na pewno byłyby jedyną wersją... gdyby Sam był martwy. Nie bardzo sobie wyobrażając, jaki może być dalszy ciąg naszego scenariusza, postanowiłam przynajmniej raz zachować przytomność umysłu.

– Strączek gra z nimi do jednej bramki. Twój telegram mnie ostrzegł, tyle że otrzymałam go za późno – tłumaczyłam Olivierowi. – Wolfgang ma te manuskrypty, chociaż oboje usiłowaliście mnie

przed nim ostrzec.

– Wierzę, że mój brat naprawdę się w tobie zakochał – wtrąciła się Bambi. – Gdyby poznał cię wcześniej, ta miłość mogłaby zmusić go do przewartościowania swoich poglądów i mogłaby go ocalić. Wolfgang jest wykształcony i ma szczytne ideały, chociaż niewłaściwe. Myślę, że nie spodziewał się po sobie tak silnych namiętności. Ale teraz jest za późno na ratunek, a nawet na rozmowę. Gdzie on jest w tej chwili?

– Prosto z lotniska pojechał do biura – odparłam. – Mieliśmy się tam zaraz spotkać...

– Zatem musimy działać natychmiast – stwierdziła Bambi. – Jeśli odkryje, że nie ma tam Oliviera, może przyjechać tutaj. Jeśli jest przekonany, że to ty wiesz, gdzie twój kuzyn ukrył oryginalne manuskrypty... grozi ci potworne niebezpieczeństwo. Trzeba go zatrzymać, nim znów kogoś zabije.

Spojrzałam na nią przerażona. Olivier delikatnie położył mi dłoń na ramieniu. Na litość boską, co ona mówi? Ale oczywiście wiedziałam co. Jak mi się zdaje, wiedziałam zawsze.

– Nie możemy być całkiem pewni – zwrócił się do Bambi Olivier.

Zaszumiało mi w uszach, jakbym za chwilę miała zemdleć. Usłyszałam głos Bambi dochodzący gdzieś z oddali.

– Ależ możemy. To znaczy... ja jestem pewna. Mój brat Wolfgang zamordował Samuela Behna.

Mężczyzna, z którym spędziłam dwie burzliwe miłosne noce, był wyrachowanym mordercą, który trzymał mnie w ramionach po tym, jak – w swoim mniemaniu – zamordował Sama. Czułam się jak po wypiciu absyntu doprawionego opium, a może nawet odrobiną cykuty, która przeniosła Sokratesa w stan wiekuistej nirwany – choć może byłoby bardziej na miejscu, gdybym ruszyła w drogę. Tylko dokąd?

Olivier chyba zamierzał coś powiedzieć, kiedy usłyszeliśmy dziwny odgłos. Patrzyliśmy po sobie przez sekundę, nim dotarło

do nas, że to nasz rzadko używany dzwonek do drzwi frontowych po drugiej stronie domu. Ponieważ drzwi frontowe oddzielała od drogi zerwa opadająca na frontowe podwórko pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, większość ludzi podchodziła do tylnych drzwi, od strony podjazdu.

Rzuciliśmy się do mansardowych okien kopca na kartofle – czyli mojego salonu – i wyrzeliśmy na zewnątrz. Ale widać było tylko drogę, nie osobę stojącą na frontowych schodach. Za samochodem Bambi parkował wielki landrower z tablicami z Idaho. Na przednim zderzaku widniała sylwetka stojącego niedźwiedzia grizzly. Uśmiechnęłam się. Możliwe, że sprawy przyjmują właściwy obrót, mimo wszystko.

– Rozpoznajesz go? – spytał Olivier.

– Nie samochód, niedźwiedzia. Otwórz drzwi – nakazałam mu – a my z Bambi złapiemy Jazona i parę sztuk ubrania i butów dla nas wszystkich. Prawdopodobnie na jakiś czas udamy się w głąb kraju.

– Ale kto to jest? – dopytywał się Olivier. – Nie należy otwierać drzwi, dopóki nie jest się absolutnie pewnym, kto za nimi stoi.

– Ja jestem pewna – rzuciłam niecierpliwie. – To niedźwiedź, który jechał po nas całe pięćset mil, aż z Lapwai. Jest emisariuszem mojego drogiego, nieżyjącego kuzyna Sama.

Bambi i Oliviera trochę zaskoczył wygląd Posępnego Niedźwiedzia. Jak większość Nez Perce był niesamowicie przystojnym mężczyzną, z tym swoim prostym nosem, dołkiem w podbródku, twardymi rysami twarzy, długimi nogami i szerokimi ramionami, z czarnymi warkoczami przewiazanymi białą wstążką i srebrnymi oczami pod ciemnymi brwiami, które, jak u Sama, były jak czysty kryształ i mogły przenikać samą duszę czasu.

Miał na sobie ozdobiony frędzlami i paciorkami kaftan, i derkę przerzuconą przez ramię. Podeszedł do mnie i uściśnął mi dłoń mocno i ciepło.

Jak już powiedziałam, Posępny Niedźwiedź nigdy nie był moim wielkim fanem, głównie za przyczyną osobliwej strony naszej rodziny. Ale teraz swoim powitaniem wyraźnie mi komunikował, że rozumie i docenia moją pomoc dla Sama. Oczywiście ani on, ani Sam jeszcze nie wiedzieli, jak fantastycznie udało mi się zawalić całą sprawę. Przedstawiłam Posępnego Niedźwiedzia innym.

Posępny Niedźwiedź, który nigdy nie mówił w sposób afektowany, tym razem powiedział:

– On słyszy bicie twojego serca i wie, jaką decyzję powzięłaś. On pochwała ją. On prosi, żebyś przybyła.

Sam jakoś czytał w moich myślach, z dala. Nie byłam zaskoczona: zawsze potrafił podłączać się do moich myśli, choćby dzieliły nas kosmiczne odległości. I czyż nie czułam, przez minione dwa tygodnie, jak tropił ślady odciskane przez mokasyny mojej psychiki?

– Nie było żadnej wzmianki o innych – dodał Posępny Niedźwiedź, wskazując na Oliviera i Bambi. – Miałem przyprowadzić tylko ciebie.

To stawiało mnie w kłopotliwym położeniu. Oto miałam przed sobą dwoje ludzi gotowych powiedzieć mi prawdę – prawdę, która mogła okazać się przydatna nie tylko dla mojego, ale dla Sama bezpieczeństwa także.

– Co on rozumie przez to „on”? – spytał Olivier. – Dokąd chce cię zabrać i dlaczego nie chce nas do towarzystwa?

Zanim zdążyłam pomyśleć o odpowiedzi, Bambi rozwiązała problem – choć przyznaję, nie spodziewałam się tego po niej.

– Jestem córką Halle – wyjaśniła Posępnemu Niedźwiedziowi. – Przyleciałam z Wiednia, żeby wyjawić, co wiem o mężczyźnie, który był ojcem Sama i ojczymem Ariel – o Earnescie Behnie.

– Ach. – Posępny Niedźwiedź zachował kamienną twarz. Rozumiem.

Wrzuciłam Jazona do plecaka i dałam mu pocieszającego klapsa. Nie chciałam zostawiać go

samego w domu, nie mając pewności, dokąd jedziemy i na jak długo. Zrzuciłam plecak na ramię razem z moją podróżną torbą, z rzeczami, które uznałam za przydatne na wycieczkę w góry, z Jazonem skazanym na zatracenie. Wskoczyłam na przednie siedzenie landrowera. Olivier i Bambi usiedli z tyłu. Obróciłam się, aby słuchać opowieści Bambi i obserwować przez tylną szybę, czy nikt za nami nie jedzie.

– W porządku, ludzie – zwróciłam się do Bambi i Oliviera, kiedy wyjechaliśmy za miasto i ruszyliśmy na północ przez Continental Divide. – Nie powiem wam, dokąd jedziemy, bo sama tego nie wiem. Za to wiem, do kogo nas Posępny Niedźwiedź wiezie, i dlatego możecie być pewni, że to żadna strata czasu ani niedzielna przejażdżka za miasto. Dobierzemy się do sedna wszystkiego, raz na zawsze.

Olivier patrzył na mnie z niedowierzaniem; następnie, powoli, jego twarz zaczęła opromieniać jutrzienka zrozumienia.

– Mój Boże! – krzyknął. – Czyżbyś chciała powiedzieć, że on nie zginął?

Kiwnęłam głową. Też powoli, z namysłem. Przez cały ten czas przynajmniej poradziłam sobie z tym jednym: ustrzegłam tajemnicę o żywym Samie przed wszystkimi. Ale teraz musi się to zmienić, jeśli mamy wziąć się do uporządkowania całego bałaganu.

– Lecz jeśli Sam żyje... kogo zabił Wolfgang? – spytała Bambi, bystrzejsza, niż mi się zdawało przy pierwszym spotkaniu.

Popatrzyłam niespokojnie na Oliviera.

– Och, nie – jęknął przejęty nagłą grozą. – Przez cały miesiąc czułem, że stało się coś potwornie złego. Nie mieliśmy zwyczaju komunikować się osobiście podczas wykonywania zadania, ale wiedziałem, że Theron Vane pojechał do San Francisco w tym samym tygodniu, kiedy zabito twojego kuzyna. Brak jakichkolwiek wiadomości po strasznym morderstwie kogoś, kto pomagał w sprawie, nad którą ja sam pracowałem od pięciu lat, trochę mnie niepokoił. Nawet myślałem, czyby się nie skontaktować z Theronem na własną rękę, ale w końcu uznałem, że jeśli milczy, musi mieć do tego dobry powód. Uśmiechnął się ponuro. – Teraz się okazuje, że miał.

Pięliśmy się naszą drogą pośród sosnowych lasów, bystrych ciemnych rzek i błyszczących pionowych tafli wodospadów prześwitujących między drzewami. Zaciągałam się zapachem sosny i słuchałam opowieści Bambi. Podczas gdy ją snuła, ostatnie kilka klocków układanki, na które tak długo polowałam i które tak długo wymykały mi się z rąk, wreszcie się zaczęły wpasowywać w całość.

– Moją matkę Halle wychowywał jej ojciec, Hillmann von

Hauser – zaczęła Bambi. – Jak widzicie, Wolfgang i ja używamy nazwiska naszego dziadka.

– Z telefonicznej rozmowy z moją matką zrozumiałam, że ty i Wolfgang mieliście dwóch różnych ojców – zauważyłam, wcale nie zamierzając robić publicznego użytku z nieprawego pochodzenia Bambi, do którego przyłożył się mój własny koszmarny ojciec, Augustus. Ale tu czekała mnie kolejna

niespodzianka.

– To prawda, mieliśmy dwóch różnych ojców, ale o tym samym rodowym nazwisku – wyjaśniła Bambi. – Ojcem Wolfganga i prawowitym mężem mojej matki, Halle, był Earnest Behn.

Już mnie nie szokowały takie rewelacje w odniesieniu do mojej rodziny. Ale w świetle tego, co Bambi powiedziała wcześniej o Wolfgangu, o tym, że był narzędziem śmierci Sama, wiedziałam, że ta ostatnia wiadomość miała szczególne znaczenie, bo mówiła niedwuznacznie, że Sam i Wolfgang mieli tego samego ojca, Earnesta. Byli przyrodnimi braćmi, tak jak Bambi i ja byłyśmy przyrodnimi siostrami; miałyśmy tego samego ojca, Augustusa. Popatrzyłam na Posępnego Niedźwiedzia, który zauważył moje spojrzenie kącikiem oka i kiwnął potakująco.

– Tak, wiedziałem o tym – rzekł. – Znałem Earnesta Behna przez wiele lat. Był bardzo przystojnym mężczyzną, i bogatym. Zjawił się na północy Idaho jeszcze dobrze przed wojną, aby nabyć tereny kopalniane, pięćdziesiąt tysięcy akrów na północ od Lapwai; dziewicze góry i jaskinie pełne minerałów... wielka skiba Matki Ziemi gotowa do eksploatacji. Wojna, oczywiście, uczyniła go jeszcze bogatszym.

A po wojnie, kiedy już był po czterdziestce, wrócił do Europy i ożenił się z młodą kobietą Halle. Mieli syna, Wolfganga. Ni stąd, ni zowąd Earnest wrócił do swojego majątku, bez żony i bez dziecka. Przyjechał do Lapwai, powiedział, że oboje umarli, i poprosił o rękę Jasnego Obłoku, mojej córki, którą znał, gdy jeszcze była dzieckiem. Czują do niego wielką sympatię, ale... to było niezgodne z naszym zwyczajem. Earnest Behn był białym człowiekiem z dalekich krajów. Czy mogliśmy wierzyć, że zechce przyjąć nasz sposób życia? Czy mogliśmy być pewni, że nie wyjedzie raz jeszcze i być może nigdy nie powróci?

Kiedy spytałem go, czy kocha moją córkę, Earnest Behn odpowiedział, że sam nie wierzył, by był zdolny do miłości –

i mówiąc szczerze, była to odpowiedź, której moi ludzie nie mogli zrozumieć. Przyznać się do czegoś takiego, to tyle samo, co powiedzieć, że już jest się martwym. Jednakże obiecał troszczyć się o moją córkę i że dzieci, które się im urodzą, będą dorastać w rezerwacie pośród naszego plemienia. Nie dotrzymał tej obietnicy. Bo kiedy moja córka, Jasny Obłok, umarła, ojciec Sama zabrał go z rezerwatu. Następnie ożenił się z twoją matką Jersey, a my baliśmy się, że stracimy Sama na zawsze.

Posępny Niedźwiedź mówił bez goryczy, jak ktoś nieobecny duchem, zagubiony we własnych myślach. Dodał jeszcze:

– Tuż przed małżeństwem z moją córką Earnest Behn powiedział jeszcze coś dziwnego: „Modłę się, by mogło ono zmyć plamę mojego skażenia”. Nigdy nie zdradził się przede mną, co miał na myśli, ani nigdy się nie zgodził na oczyszczającą parówkę.

Coś mnie zaalarmowało.

– Powiedziałaś, że Earnest Behn kupił majątek w Ameryce przed drugą wojną światową – zaczęłam drążyć. – A dokładnie kiedy?

– To było w dwudziestym trzecim.

Znaczenie tej daty nie podlegało dyskusji – chociaż po krótkim rachunku uznałam moje przypuszczenia za bezsensowne.

– Ale Earnest urodził się w tysiąc dziewięćset drugim zauważyłam. – W dwudziestym trzecim miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Czemu jego ojciec miałby zawierzyć tak młodemu człowiekowi kupno i zarządzanie tak wielkim obszarem ziemi w obcym...

Olivier i Bambi patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Mój Boże – jęknęłam.

A więc to była ta „skaza”, o której nasza rodzina nigdy nie mówiła, najwyraźniej uznając, że bigamia, kidnaping, kazirodztwo, faszyzm i morderstwo wystarczą. Pod koniec naszej dwugodzinnej jazdy przez Bitterroot Rangę w Górach Skalistych, uzupełniając własną wiedzę wiedzą Posępnego Niedźwiedzia i Bambi, poskładałam sporo w jedną całość. I zdałam sobie sprawę, że winna jestem moim babkom przeprosiny – zwłaszcza Zoe.

Monachijski *Putsch* Hitlera miał miejsce w nocy z ósmego na

dziewiątego listopada dwudziestego trzeciego roku. W tym czasie nie zanosilo się na żadną wojnę – ale Hieronimus Behn wiedział, że wojna zawsze może wybuchnąć. I wiedział także, po której stronie on miałby stanąć. Wysłał Earnesta do Ameryki, aby syn stworzył tam imperium kopalniane. Dziesięć lat później, w trzydziestym trzecim roku – kiedy Hitler został kanclerzem Niemiec – Hieronimus za pierwszym wysłał drugiego syna, wówczas również dwudziestojednoletniego: mojego ojca Augustusa. Ci dwaj młodzi mężczyźni wiedli żywot kretów, przekopując się przez góry i jaskinie Nowego Świata, gromadząc minerały na czas, kiedy świat wkroczy w kolejną wojnę.

Jeden pofrunął na wschód: mój ojciec – do Pensylwanii. A jeden na zachód: Earnest, do Idaho. Jedna zaś pofrunęła nad kukulczym gniazdem. To była Zoe.

Chociaż Zoe chyba rzeczywiście zostawiła ojca, aby uciec z Cyganami, to jednak kiedy dorosła, Hieronimus Behn zdecydował, że jego córka, jego jedyny prawdziwy potomek posłuży za „wylęgarnię dobrej krwi”. To on wysłał swojego kolegę i przyjaciela Hillmanna von Hausera do Paryża, aby ten ją uwiódł. I bez względu na to, czym dla samej Zoe był ten związek, córka Halle została jej odebrana i wychowana przez ojca i oddaną mu i sumienną, choć bezpłodną niemiecką żonę. Zoe wyszła za mąż za szalonego Irlandczyka i miała drugie dziecko: moją matkę Jersey.

Więc jeśli Hieronimus Behn z całą pewnością zabrał mojego ojca Augustusa Pandorze, to także przywłaszczył sobie dwóch synów jego siostry-narzeczonej Hermione, poczętych z ojca Christiana Alexandra: Lafa przez adopcję, a Earnesta przez wpisanie do jego metryki chrztu swojego nazwiska. To znaczyło, że Zoe dwie córki, moja matka Jersey i jej siostra Halle, były jedynymi prawdziwymi potomkami Hieronimusa Behna. Zatem w miarę jak historia toczyła się dalej, okazywało się sensowne, dlaczego Hieronimus snuł intrygi, by wydać je obie za dwóch przywłaszczonych „synów” – Halle za Earnesta, a Jersey za Augustusa. Bowiem dzięki takim manipulacjom zagwarantowywał sobie, że wszyscy spadkobiercy jego majątku i władzy będą związani z jego własną krwią, przez

Zoe.

Łyżką dziegciu w beczce miodu, oczywiście, było to, że wydał niewłaściwe siostry za niewłaściwych braci. Mój zorientowany

na prestiż i władzę ojciec Augustus doskonale pasowałby do Halle, która otrzymała najlepsze z możliwych aryjskie przysposobienie, o jakie piękna blondwłosa dziewczyna z nazistowskim pochodzeniem mogłaby zabiegać. Owocem takiego związku stała się Bambi. Earnest i moja matka Jersey, kiedy zesłi się w późniejszym życiu, znaleźli szczęście, jakie tym dwojgu podle wykorzystanym i emocjonalnie wyniszczonym ludziom prawdziwie się należało.

Tak więc skaza Earnesta, której nigdy nie potrafił z siebie zmyć, była czymś, co on zrozumiał w pełni dopiero po poślubieniu Halle von Hauser. Bo nie chodziło jedynie o wkład wniesiony przez jej tatusia fabrykanta broni w wojnę – z czego ona była całkiem dumna – ale także o to, na co poszły te wszystkie minerały, które sam przekazywał, przez wszystkie lata, w ręce swego „neutralnego” holenderskiego ojca, Hieronymusa Behna.

Earnest zaczął zaglądać, powoli i z bólem serca, pod podszewkę historii rodzinnej. Zaczął zdobywać wiedzę, której nikt w pełni nie znał. Kiedy stało się jasne, że on, Augustus i Hieronimus zbili olbrzymią fortunę na cierpieniach innych (przy czym Hieronimus był tego świadom), potraktował rzecz całą jak zło nie do wybaczenia. Ale kiedy się dowiedział, że człowiek, którego zawsze uważał za ojca, użył go jako narzędzie nie tylko, aby stworzyć wyższą rasę, ale także aby zapanować nad światem – z taką wiedzą Earnest prawie był niezdolny do życia.

Z drugiej strony matka obu młodych kobiet, Zoe, udała się do okupowanej Francji. Chciała przekonać swego byłego uwodziciela, aby pozwolił zabrać ich córkę Halle z terytorium zajętego przez Niemców i... została złapana w pułapkę, podobnie jak Pandora i Laf w Wiedniu. Pewnie dla Zoe zakrawało na ironię, że przy stoliku kawiarnianym w Paryżu siedzę naprzeciw niej, z moim cudnym nazistowskim uwodzicielem u boku, powtarzając wersję jej życia z lat międzywojennych.

Prawdziwą ironią dla tych ludzi było to, że ich związki z Hieronymusem Behnem, Hillmannem von Hauserem i Adolfem Hitlerem, według wersji Bambi, umożliwiły im nie tylko przeżycie wojny, lecz, w wypadku Pandory i Zoe, bezkarne ochranianie czy ratowanie setek innych. Wśród nich męża Pandory, Daciana Bassaridesa, który wyprowadził pociąg cygańskich uciekinierów – z pomocą Zoe, z Paryża – na południe Francji.

– Czy Wolfgang wie coś o tej historii albo o tym, że Sam jest jego przyrodnim bratem? – spytałam Bambi.

Milczała przez moment, patrząc na mnie z powagą.

– Nie jestem pewna – powiedziała w końcu. – Wiem za to, że był pod wielkim wpływem naszej matki; głównie dlatego Lafcadio nim pogardzał, chociaż mówił o tym niechętnie. Poukładałam sobie w jedno parę opowieści Lafcadio. On niewątpliwie dowiedział się o wszystkim od Earnesta, wiele lat temu, kiedy Earnest przybył z Idaho do Wiednia, żeby porozmawiać z Pandorą. Zdaje się, że Pandora od samego początku była świadoma całej historii.

A jakże!

Nie tak dawno stałam obok Wolfganga, pod szklanym sklepieniem jego zamku, tuż przed naszym miłosnym aktem. Wolfgang zapatrzony na Dunaj powiedział: „Mój ojciec zabrał mnie, abym ją zobaczył, kiedy byłem małym chłopcem. Śpiewała *Das himmlische Leben*. Popatrzyła na mnie tamtymi oczami... twoimi oczami”.

– Po poślubieniu mojej córki – mówił dalej Posepny Niedźwiedź – Earnest Behn wracał do Europy dwa razy. Kiedy Sam miał trzy lata, Earnest pojechał porozmawiać z Pandorą, matką swojego brata Augustusa, o ważnych rodzinnych sprawach. W drugą podróż wybrał się, na pogrzeb Pandory, było to tuż po śmierci Jasnego Obłoku, i wtedy Earnest zabrał Sama ze sobą. Pandora zapisała mu coś, co musiał odebrać osobiście, tak mi powiedział. Po przyjeździe do Idaho porzucił rezerwat na dobre.

Miałam jeszcze jedno pytanie. I na szczęście tak mnie już oswojono z niekonwencjonalnymi odpowiedziami, że zadałam je, nie mrugnawszy okiem.

– Jak to się stało, że zamieszkałaś u Lafcadia po śmierci waszej matki, Halle? – spytałam Bambi. – Czy już przedtem go znałaś?

– Moja matka nie umarła. Żyje nadal, choć nie widziałyśmy się, od kiedy dziesięć lat temu opuściłam dom. – Oczy Bambi wyraźnie się zwięzły. – Zdążyłaś już chyba zrozumieć, że to ona jest tym członkiem rodziny, który kryje się w cieniu, za wszystkim!

Jeśli matka Bambi, Halle von Hauser, stała za „wszystkim”, jeśli to była prawda – i jeśli naprawdę była tak okropna, że jej mąż uciekł od niej i ożenił się z Jasnym Obłokiem, a nawet że jej piętnastoletnia córka Bambi opuściła dom i zamieszkała ze stryjem Lafem – było jasne, jakiego rodzaju związku mogły łączyć Wolfganga z ciemną stroną naszej rodziny.

– Ale co z rolą Augustusa? – zapytałam Oliviera. Być może wie.

– Twój ojciec zajmuje jedną z czołowych pozycji naszej listy – odparł. – Można sądzić, że jego romans z matką Bambi nie ciągnął się przez lata... każde poślubiło kogo innego... ale do dziś, zdaje się, doskonale rozumieją jedno drugie. Jakies dziesięć lat temu twój ojciec pomógł jej się ustawić na prominentnym stanowisku w Waszyngtonie, skąd teraz może wpływać na politykę i tu, i za granicą. W tej chwili usiłujemy się dowiedzieć, swoimi kanałami, z kim tych dwoje ma kontakty. Przy swojej pozycji w zarządach kilku muzeów i jednej opiniotwórczej gazety, Halle jest w naszej stolicy najbardziej wpływową towarzyską bestią...

O, do świętego gówna!

– Czy przypadkiem tą opiniotwórczą gazetą nie jest „Washington Post”? – przerwałam. – A nowy mąż Halle, nie nazywa się może Voorheer-LeBlanc? To brzmi jak z pogranicza niemiecko-belgijskiego, zakątka świata, w którym Himmler chciał stworzyć *nouveau paradis*.

Olivier uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że pilnie odrabiałaś zadania domowe.

Oczywiście mogła przybrać inne imię, na przykład Helena, żeby nikomu nie przyszła na myśl osoba o imieniu zapadającym w pamięć, na przykład Halle. Przypomniałam sobie także, jak bardzo podczas obiadu w San Francisco mój ojciec i moja macocha Grace byli ciekawi, co ja wiem o moim spadku. I że potem zwołali konferencję prasową, próbując wyciągnąć coś więcej od wykonawcy testamentu. A z kolei konferencja mogła być dobrym pretekstem, żeby podesłać mi telefonicznie kogoś innego, kto by lepiej wysondował, jakie to mianowicie manuskrypty zawiera spadek Sama. Pani Voorheer-LeBlanc z „Washington Post” wcale nie przedstawiła mi się jako reporterka, powiedziała jedynie, że chce kupić moje manuskrypty. Wszystko wskazuje, że była to matka Wolfganga i Bambi, Halle von Hauser.

Czy Jersey wiedziała, że jej siostra żyje albo czy pozostaje w kontakcie z moim ojcem od czasu tamtego romansu? Nie powiedziała mi, ale Posępny Niedźwiedź szybko wyjaśnił dlaczego.

– Naturalnie, nurtowały mnie podejrzenia w związku z nagłą, niejasną śmiercią pierwszej żony Earnesta i dziecka powiedział mi. – Ale nigdy nie miałem dowodu na to, że żyją, aż do czasu ostatniej podróży Sama do Utah. Sam uważa, że twoja matka i Earnest uznali, iż najlepszą drogą do ochrony dzieci przed przeszłością jest zachowanie milczenia.

Już rysował mi się jakiś nowy wątek, kiedy Posępny Niedźwiedź zredukował biegi prawie do zera i ostrożnie zjechał z drogi, między drzewa. Poszycie lasu, grubo zasłane igłami sosny, wydzielало odurzający zapach. Bambi, Olivier i ja zniżyliśmy głos do szeptu, przyglądając się manewrom Posępnego Niedźwiedzia, który prowadził szeroki pojazd między wąskimi leśnymi przecinkami tak ostrożnie, jakby nawlekał grubą nitkę do ciasnego ucha igły. Trwało to wieki, aż wreszcie las zaczął się stopniowo podnosić, a my ruszyliśmy prosto pod górę. Raptem poszarpany, skalisty teren stał się tak stromy, że Posępny Niedźwiedź zatrzymał samochód przy krawędzi jakiejś wąskiej rozpadliny i wyłączył silnik.

– Mam cię zabrać aż nad rzekę, na spotkanie z moim wnukiem – zwrócił się do mnie. – Mój wnuk spodziewa się, że przyprawdzą tylko ciebie, więc może ci inni powinni zostać i poczekać tu, przy samochodzie.

Popatrzyłam na Oliviera i Bambi z uniesionymi brwiami. Byłam ciekawa, co oni na to.

– Chciałabym wam towarzyszyć – powiedziała Bambi. I pomóc, jeżeli potrafię. Czuję się odpowiedzialna za wiele z tego, co przydarzyło się tobie i twojemu kuzynowi. Naszemu kuzynowi – poprawiła się. – Gdybym tamtej nocy powiedziała ci całą prawdę o moim bracie, może dałoby się uniknąć tego wszystkiego.

– Chwileczkę, widzę tu mały szkopał. – Olivier, racząc nas swoim *quebecois*, cedził słowa jak Kalifornijczyk. – Otóż faceci, którzy się szanują, na ogół nie pozwalają takim uroczym panienkom hasać samotnie po odludnych pagórkach.

Ale opadła mu szczeka, kiedy Bambi wyrwała z kieszeni swojego żakietu małego automatycznego browninga i wycelowała prosto w dach samochodu z profesjonalizmem godnym Annie Oakley*. Olivier zawsze utrzymywał, że szuka kowbojki swoich marzeń, lecz teraz podniósł ręce do góry.

– Na litość boską – zawołał – odłóż to, zanim kogoś zranisz! Skąd go wytrzasnąłeś?

– Mój dziadek Hillmann był najlepszym trenerem w *Ballermann Gewehrschiessen*, klubie strzeleckim w centralnych Niemczech. W naszej rodzinie każdy musiał umieć strzelać poinformowała Oliviera. – Doskonale władam waltherem, lugerem, mauzerem i wszystkimi rodzajami browninga... i mam pozwolenie na broń, dla własnej obrony.

Jasne. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może próbować zakatrupić dwudziestopięcioletnią blond wiolonczelistkę. Zwłaszcza w takiej rodzinie jak nasza.

– Niech go weźmie ze sobą – powiedział do mnie Olivier. – Może się przydać.

Ruszyłam za Posępnym Niedźwiedziem w górę długiego skalistego wąwozu, a za mną Bambi i Olivier. Im było wyżej, tym przejście stawało się trudniejsze, a spod naszych stóp osuwały się z łoskotem skalne odpryski. Doprawdy nie zależało mi na kolejnej lawinie, w końcu dziesięciu tonom kruchej skały się nie ucieknie, choćby na nartach.

Dochodziliśmy do wierzchołka klifu zawieszzonego jakieś dwieście stóp nad porośłą gęstym lasem doliną, przeciętą szeroką, błyszczącą wstążką rzeki, i nad czymś, co rozpoznałam od razu: ulubiony zakątek Sama w północnym Idaho, przy górnym wodospadzie Mesa.

Rzeka w tym miejscu była szeroka, a wodospad opadał pojedynczą połyskującą taflą, złocistą jak włosy Bambi. Jedyne niespokojna mgła nieustannie podnosząca się u jego podstawy dawała jakieś wyobrażenie o masie spadającej wody, kruszącej odwieczną skałę na drobny żwir i piasek. Byłam tu całe lata temu, jeszcze jako nastolatka. Wybrałam się na ostatnią przed

* Legendarny strzelec wyborowy w spódnicy z *Buffalo Bill's Wild West Show*.

odjazdem do szkoły wycieczkę z Samem, i chciał mi to pokazać. Powiedział mi wtedy: „To jest moje tajemne miejsce, bystrzaku. Trafiłem na nie, łowiąc samotnie ryby, kiedy byłem całkiem mały. Nikt tu nie przychodził od bardzo dawna, może od tysiący lat”.

Trzymając się za ręce, przeprawiliśmy się przez płyciznę trochę powyżej wodospadu i zesliśmy w dół, do podnóża klifu. Tam znaleźliśmy szczelinę tak wąską, że była widoczna dopiero wtedy, kiedy się stało na wprost niej. Znajdowała się tuż przy złocistej tafli wody i miała porośnięte śliskim zielonym mchem krawędzie. Sam wsunął się w nią bokiem i pociągnął mnie za sobą.

Byliśmy wewnątrz szerokiej jaskini. Za nami z hukiem i grzmotem spadał w dół przezroczysty welon wody, przed nami rozpościerała się ciemność. Ruszyliśmy w nią, a kiedy nas całkowicie pochłonęła, Sam zapalił latarkę.

Widok był absolutnie niezwykły. Ściany i sklepienie groty tworzyły baśniową krainę kryształu we wszystkich kolorach tęczy. Łuki tęczy kładły się wszędzie, na wirujących wokół nas spienionych oparach i na miriadach kryształowych sopli.

– Gdybym kiedyś chciał się ukryć albo ukryć ciebie, albo cokolwiek mi drogiego – głos Sama przeciął znieruchomiałą, gęstą ciszę – nie wymyśliłbym lepszego miejsca niż to tutaj.

A teraz, kiedy stałam na wysokim klifie nad wodospadem, z Posępnym Niedźwiedziem, Olivierem i Bambi, wiedziałam bez cienia wątpliwości, dlaczego nas tutaj przyprowadzono. Wiedziałam, co jest ukryte w tej grocie.

Zejsście z klifu do rzeki, łącznie z przedzieraniem się przez las i gęste zarośla w nierównym górskim terenie, zabrało nam pół godziny. Kiedy w końcu stanęliśmy na płaskim brzegu, tuż nad wodospadem, obróciłam się do innych i powiedziałam:

–Cel naszej wyprawy znajduje się po drugiej stronie wodospadu. Nie pozostaje nam nic innego, jak przeprowić się przez rzekę. Ale wierzcie mi, że to najbezpieczniejsze miejsce na przeprowę na przestrzeni wielu mil.

–Dla mnie w ogóle nie ma bezpiecznego miejsca – jęknął OHvier, wlepiając mi w twarz te swoje duże ciemne ślepia. – To okrutne, że do czegoś takiego przyszło mi się przyznać w ostatniej godzinie: nie umiem pływać!

mmmM l.

– Zatem nie ryzykujemy – ucięłam. – Co prawda woda sięga tu jedynie do kolan, ale potrafi ostro rwać do przodu, jak to przy wodospadach. Lepiej zostań tutaj, przeprowimy się same i same odnajdziemy Sama.

Posępny Niedźwiedź, żaden młodzik, zgodził się poczekać na brzegu razem z Olivierem. My z Bambi zdjęłyśmy buty, podwinęłyśmy spodnie i już miałyśmy się przeprowić, kiedy ze stojącego na ziemi mojego plecaka nagle wyskoczyła czarna kocia głowa. O rety, całkiem zapomniałam o Jazonie! Kocie oczy zapłonęły na widok cicho płynących wód tuż za moimi plecami, a kocie uszy nastawiły się z entuzjazmem... na tak olbrzymią wannę.

– Och, nie, ty nie możesz – poinformowałam go stanowczo, wepchnęłam na spód plecaka, plecak wręczyłam Olivierowi i zapowiedziałam mu: – Nie życzę sobie żadnych kotów za burtą. Masz być twardy. – Następnie wycelowałam palec w Jazona. – A ty masz być grzeczny aż do mojego powrotu, inaczej żadnych wędzonych łososi i w ogóle żadnych kolacyjek u gospodarza na pięterku.

Kiedy trzymając się za ręce, weszłyśmy z Bambi w rzeczny nurt, poczułam pierwszy przebłysk paniki. Woda była o wiele zimniejsza, prąd silniejszy niż, jak pamiętałam, tamtym razem. Nagle do mnie dotarło dlaczego. Sam przyprowadził mnie tutaj pod koniec lata, w najgorętszą porę roku i tak suchą, że zapowiadały się pożary lasów.

Teraz, tuż po wiosennych roztopach, była pora najbardziej wartkich i najbardziej wezbranych rzek. Woda napierała na nas z taką siłą, że aby nie dać się porwać prądowi, czym prędzej zaklinowałam stopy w żwirze dna. Było źle, choć woda sięgała nam zaledwie do połowy łydek. Będzie gorzej, pomyślałam, jak sięgnie za kolana. Jeśli sięgnie wyżej, w ogóle nie damy rady się posuwać.

Już miałam krzyknąć do Bambi, że trzeba zawracać na brzeg do Oliviera i Posępnego Niedźwiedzia – lecz w tym samym momencie coś mi mignęło po drugiej stronie rzeki, jakieś pięćdziesiąt stóp od nas. Podniosłam wzrok i zobaczyłam na przeciwnym brzegu wysoką, chudą

sylwetkę Sama, oblaną słonecznym blaskiem. Sam wyrzucił ramię w górę, na znak, abyśmy stały w miejscu, zsunął z nóg mokasyny i wszedł do

rzeki. Był już blisko, kiedy zobaczyłam, że jest przewiązany w pasie liną, najwyraźniej asekurującą go z jego brzegu. Dotarł do nas, złapał mnie za ramiona i przekrzykując łoskot wody, powiedział:

– Dzięki Bogu! Już was przeprowadzam, tylko najpierw się zakotwiczmy.

Posępny Niedźwiedź przywiązał rzucony mu koniec liny do drzewa. Tak asekurovani, Sam, Bambi i ja, zaczęliśmy naszą przeprawę na drugi brzeg. Kiedy już się na nim znaleźliśmy, mimo że woda nawet w najgłębszym miejscu sięgała nam nie wyżej niż do połowy ud, byłam wykończona kurczowym trzymaniem się liny i walką o zachowanie równowagi. Z Bambi chyba nie było lepiej.

Sam wygrzebał się pierwszy na skalisty brzeg i pomógł nam, po kolei. Bez słowa – byliśmy teraz za blisko wodospadu, żeby usłyszeć choćby krzyk – spuścił się po skale na małą platformę i wyciągnął ramiona po Bambi. Chwycił ją w talii, od dołu, podczas gdy ja stanowiłam górną asekurację. Tylko że naraz wydarzyło się coś strasznego.

Popatrzyłam w dół. Sam stał boso, w wirującej mgłę na wąskim występie skalnym, zaledwie o parę cali od Bambi. Jego dłonie wciąż spoczywały na jej talii, jego długie rozwiane ciemne włosy spletały się z jej złotymi włosami, a jego srebrne oczy uśmiechały się do jej złotych oczu. Szarpnęła mną nagły ból.

Na litość boską, co ja wyprawiam? To nie czas na rozszarpywanie serca szponami obrzydliwego żółtego smoka zazdrości. Poza tym – kim jestem, by odczuwać zazdrość? Ja, która nieomal zniszczyłam wszystkich przez lekceważenie wezwań o zachowanie rozsądku, przez swoją małą odyseję po morzu cielesnej żądzdy? Musiałam przyznać, że Sam nigdy, nigdy – ani razu, słowem czy czynem – nie dał mi odczuć, że mogłoby nas połączyć coś więcej niż braterstwo krwi. I czyż nie zasługiwał na to, bym okazała mu tę samą miłość, tę samą otwartość, to samo zaufanie i wsparcie, które on okazał mi w chwili, gdy zdradziłam się z uczuciem do Wolfganga Hausera? Ale, mój Boże, nie stać mnie było na to. Nie stać, bo kiedy na nich patrzyłam, ktoś wbijał mi w serce nóż i na dodatek nim obracał. Lecz nie było to miejsce ani czas na rozczulanie się nad sobą.

Myślałam tak nie dłużej niż kilka krótkich sekund – bo przecież nie kilka długich godzin – myślałam, że Sam i Bambi wyglądają na beznadziejnie zatraconych w swoich spojrzeniach. Po czym on ją przepchnął przez szczelinę i wyciągnął ramiona po mnie.

Kiedy stanęłam na skalnej półce, Sam przyłożył swoje usta do mojego ucha i wykrzyczał nad wodami:

– Kto to taki?

Ja przyłożyłam moje usta do jego ucha i odkrzyknęłam:

– Moja siostra!

Cofnął się o pół kroku, aby mi się przyjrzeć, potrząsnął głową i chyba wybuchnął śmiechem. Po

czym i mnie wepchnął do groty, i szybko ruszył za mną.

Latarka Sama poprowadziła nas przez błyszczący labirynt, który rzeźbiły w litej skale eony, a zdobiła stale kapiąca woda. Labirynt wił się i kręcił w głąb góry, aż doszliśmy do miejsca, gdzie dało się normalnie rozmawiać, chociaż w tle wciąż huczała woda. Wtedy przedstawiłam Sama Bambi.

– Moje drogie – głos Sama odbił się echem o stalagmity kryształowej groty. – Naprawdę chciałbym się zatrzymać i podziwiać całe to piękno, którego dzikość została naruszona z mojego powodu. Niestety, czeka nas raczej spore przedsięwzięcie.

– Co do którego Bettina i ja, i Olivier też, mamy ci dużo do powiedzenia – zauważyłam. – Ruszanie manuskryptów Pandory z miejsca... zakładam, że są tutaj... może się okazać niebezpieczne. Powinieneś nas najpierw wysłuchać. Poza tym, gdzie znajdziesz bezpieczniejszą kryjówkę?

– Ja w ogóle nie zamierzam ich ukrywać – powiedział Sam. – Były ukryte aż za długo, jak sądzę. Uczciwość to najlepsza polityka: to twoje motto, bystrzaku, to ty mnie go nauczyłaś. – Uśmiechnął się do Bambi i dodał: – Czy wiesz, że lwica z gór jest totemem twojej siostry? Jestem ciekaw, jaki ty sobie wybierzesz.

Bambi odwzajemniła uśmiech, a mnie zaświerzbili palce możliwe że od wilgoci tu, w grocie.

– Jeśli nie zamierzasz ich ukryć – spytałam Sama ustami bez czucia – to co zamierzasz? Nie znam nikogo, kto nie chciałby zdobyć tych przeklętych manuskryptów.

– Posępny Niedźwiedź uważa, że najwyższy czas, aby cały

indiański naród zrobił coś dla zachowania siebie... coś, co mogłoby być wielkim dobrodziejstwem dla Matki Ziemi także, i ma na to wspaniały pomysł. Jeszcze wam się nie zwierzył? Nie doczekawszy się odpowiedzi ani od Bambi, ani ode mnie, dodał: – Posępny Niedźwiedź uważa, że najwyższy czas, aby otworzyć pierwszy elektroniczny dom wydawniczy Indian!

Długie, wąskie, nie przepuszczające światła hermetyczne akryłowe tuby, w których Sam ukrył manuskrypty, znajdowały się gdzieś na tyłach groty. Jeśli się nie wiedziało, czego się tak naprawdę szuka, w słabym świetle latarki owe tuby-pojemniki wyglądały tak samo jak grona stalagmitów sterczące ze skalistego podłoża.

Tamtego ranka nad Owczą Łąką Sam wyjawiał mi, że całą kolekcję manuskryptów Pandory, odziedziczoną za pośrednictwem jego ojca, spisana na starożytnych pergaminach, cienkich drewnianych deseczkach i miedzianych zwojach starannie skopiował na czystych kartkach papieru. Następnie włożył oryginały do „hermetycznych pojemników”, zapieczętował i ukrył w miejscu, jak sądził, „nie do odnalezienia”. Kopie, które wyszły spod jego ręki – jedyne kopie, jak podkreślił – stanowiły komplet dokumentów, które zabrał ze swojego banku w San Francisco chwilę po śmierci Theron Vane'a, i wrzucił do skrzynki pocztowej, zaadresowane do mnie. A więc dokumentów, z którymi ja obwoziłam się po świecie i którymi starannie poprzekładałam kartki książek Austriackiej Biblioteki Narodowej. Dokumentów, które teraz, według Wolfganga, znajdowały się w rękach ojca Virgilia i Strączka.

Pomysł Posepnego Niedźwiedzia, wyjaśnił Sam, polegał na tym, że mieliśmy zabrać wszystkie oryginalne manuskrypty, złożone w tej grocie, przepisać je jeszcze raz, a następnie przełożyć na angielski – tym razem łącznie z runicznym manuskryptem nieznanego pochodzenia, który otrzymałam od Jersey. Następnie mieliśmy publikować przekłady jeden po drugim, w sieci elektronicznej, dla nauki i oświecenia szerokiego ogółu.

Po publikacji mieliśmy rozdzielić zapiski pochodzące ze starożytnych źródeł – kruche metalowe płytki, pergaminowe zwoje – między różne muzea i biblioteki Indian amerykańskich, te, które posiadały odpowiednie warunki do przechowywania i które by gwarantowały właściwe ich wykorzystywanie.

Inaczej niż ze słynnymi zwojami znad Morza Martwego czy podobnymi zabytkami z przeszłości, nad którymi przez minione czterdzieści lat miało wyłączną kontrolę kilku totalitarnych handlarzy danymi, Pandory i Clio cudowne znaleziska miały służyć do badań i analiz w każdej dziedzinie nauki. My, przy okazji dokonywania przekładu, mieliśmy się dowiedzieć, co skrzętnie wmieciono pod dywanik. A gdyby jakaś rzecz wydała nam się niebezpieczna – na przykład jeśliby się okazało, że na Matce Ziemi są takie miejsca, którymi ktoś mógłby manipulować, miejsca święte czy podatne na zranienia, albo jedno i drugie, jak według Wolfganga rzecz się miała z wynalazkami Tesli – mieliśmy naszą wiedzę upublicznić i podjąć akcję ochrony tychże miejsc.

Sformowaliśmy sztafetę: Bambi podała tuby na zewnątrz, przez szczelinę, Sam powiązał je sznurkiem w trzy duże pakunki, a ja wyszłam pochyłym zboczem na górę i za pomocą mocnej liny wciągnęłam je do siebie, ułożyłam obok wodospadu i czekałam na tamtych dwoje.

Chociaż pojedyncze akrylowe tuby były lekkie jak piórko, wszystkie razem miały swoją wagę: moją paczkę i Bambi oszacowałam na jakieś dwadzieścia funtów każda, a paczkę Sama nawet na więcej. Co więcej, chociaż tuby były szczelnie zalakowane, należało je przenosić ostrożnie, tak by ich krucha zawartość nie uległa zniszczeniu przez przypadkową kroplę wody czy choćby przez zaparowanie.

Każdy załadował swoją wiązkę. Tuby były ułożone warstwami, od talii po ramiona, dobrze ponad poziomem wody w rzece. Sam przymocował je do naszych pleców węzłami używanymi przez alpinistów. Na wypadek, gdyby któreś z nas się przewróciło i musiało szybko pozbyć swojego towaru. Ładunki nie były zbyt wygodne, ale za to ich ciężar dawał nam większą szansę na skuteczne stawianie oporu rwącemu nurtowi.

Tuż przed wejściem do rzeki popatrzyłam na Posepnego Niedźwiedzia czekającego na drugim brzegu, obok wyraźnie spiętego Oliviera, który miał na plecach mój plecak, a w nim Jazona. Następnie spuściłam się ostrożnie do lodowatej wody. Nasz pochód otwierał Sam, Bambi szła w środku, ja zabezpieczałam tyły – a wszyscy troje kurczowo trzymaliśmy się liny. Skupiałam się jak mogłam na tym, by zachować giętkość kolan i równowagę ciała, i mocno stawiać stopy na śliskim, kamienistym dnie rzeki. Dlatego zdążyłam ująć spory kawałek, nim nagle zdałam sobie sprawę, że stało się coś okropnego. Sam znieruchomiał pośrodku rzeki.

Na przeciwnym brzegu, na skraju lasu, stali dwaj ludzie, którzy byli ostatnimi ludźmi na świecie, jakich chciałabym zobaczyć: mój szef Pastor Owen Dart i *Herr Professor* Dr Wolfgang K. Hauser,

Krems, *Österreich*. Wolfgang trzymał Oliviera, przykładając mu rewolwer do gardła. Posępny Niedźwiedź, ledwo parę kroków dalej, był mocno przywiązany do drzewa.

Jak oni się tu dostali, w te setki mil dzikości? Ale zaraz uzmysłowiłam sobie, że podczas tych kilku minut, w domu, kiedy Posępny Niedźwiedź wszedł do środka, spuściliśmy z oczu nasze samochody. Podczas tych kilku minut nietrudno było podłączyć do nich urządzenia namierzające. Wyglądało na to, że Wolfgang wykorzystał doświadczenie ostatniego razu, kiedy mnie śledził.

Nawet z tej odległości widziałam ciemne turkusy jego oczu. Widziałam, jak najpierw na krótką chwilę spoczęły na Bambi i na mnie, i jak następnie, zamieniając się w płonące piekielne węgle, spoczęły na Samie, jakby Wolfgang nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Chciało mi się płakać. Ale bardziej chciało mi się przeżyć, tyle że w tym momencie perspektywa przeżycia wcale nie wyglądała obiecująco. Zwłaszcza kiedy zauważyłam, że Strączek trzyma w rękę nóż myśliwski. Że kładzie spokojnie dłoń na grubej linie, przywiązanej do drzewa tuż obok niego, na tej samej linie, której my wszyscy kurczowo się trzymamy i która tu, w potokach rwącej wody, stanowi nasz jedyny ratunek. Po plecach przebiegły mi mrówki strachu: on ją zamierza przeciąć! Ale zaraz potem zobaczyłam, że Wolfgang potrząsa głową i rzuca Strączkowi kilka szybkich słów, i że Strączek cofa dłoń z naszej pępownicy z kiwnięciem zrozumienia i odwraca wzrok ku nam.

Staliśmy tam, pośrodku rzeki, jak kamienne posągi, a ja łudziłam się, że być może Wolfgangowi odmieniło się serce, że

przeszedł gruntowną operację osobowości w ciągu tych kilku godzin, od kiedy się rozstaliśmy. Bo w przeciwnym razie co, pomyślałam, powstrzymuje Strączka przed spuszczeniem nas z haczyka jak przynęty, przed przerzuceniem przez wodospad i nakarmieniem nami ryb? Bo jeśli dążą do zniszczenia wszelkich śladów po tych dokumentach, to takie rozwiązanie problemu zostawiłoby ich drużynę z kopią zrobioną przez Sama jako jedyną istniejącą wersją.

Oczywiście było to „coś” i doszukanie się tego nie zabrało mi wiele czasu. Jeśli spłyniemy w dół, przez wodospad, manuskrypty Pandory spłyną także – ale nie zostaną zniszczone! Dziesiątki starożytnych świadectw w nowoczesnych butelkach, podskakujących jak bąki na wodzie, śpieszących przez Salmon River setki mil, do Snake i do Kolumbii, i do morza... Jeśli drużyna naszych przeciwników straci je z oczu w ten sposób, to czy może mieć pewność, że nikt inny ich nie wyłowi? Te świadectwa i ich pojemniki muszą być wzięte do niewoli i zniszczone przed zniszczeniem posłańców.

Właśnie wtedy Sam ruchem głowy nakazał mnie i Bambi, byśmy przysunęły się bliżej. A kiedy szeregi były już zwarte, popatrzył na mnie przez ramię... i mrugnął! Co to, na Boga, miało znaczyć?

Jakieś trzydzieści kroków przed nami Wolfgang schodził do wody w pełnym rynsztunku, nawet nie podwinąwszy nogawek. Prowadził przed sobą Oliviera, z bronią przy głowie, niby tarczę. Strączek szedł tuż za nimi, z rewolwerem w jednej ręce, z nożem w drugiej. Wolfgang dobrze znał smykałkę swojej małej siostrzyczki Bettiny do broni palnej i dlatego wołał nie ryzykować. Martwiłam się o Oliviera, i nie tylko dlatego, że go lubiłam. Przewyższając tamtych liczebnie, moglibyśmy rzucić się na nich, ale Olivier mógłby to przyplacić życiem – nie umie pływać.

Dla dodania sobie ducha w tak niewesołych okolicznościach zaczęłam główkować, co miało znaczyć tamto mrugnięcie Sama, i doszłam do wniosku, że ma on jakiegoś asa w rękawie. Wiedziałam, że kiedy Sam zdecyduje się działać, my obie też musimy być w pogotowiu i podjąć szybką akcję. Jak zwykle wydarzenia przerosły moją wyobraźnię.

Wolfgang i Strączek poruszali się ostrożnie przy linie, od

strony prądu, czyli od tej samej co my, traktując linę jak zaporę – co wkrótce miało się okazać ich wielkim błędem. Ja obserwowałam ich postępy, wyciągając szyję w lewo, podczas gdy Bambi, aby lepiej widzieć, wychyliła się zza pleców Sama w prawo.

Kiedy doszli do połowy nurtu, Wolfgang, wciąż popędzając Oliviera, zrobił krok od liny, w rwącą wodę, aby przepuścić Strączka, który miał dorwać Sama. Podczas gdy Wolfgang poruszał się wolno pod prąd, wciąż z bladym jak ściana Olivierem na muszce, Dart posuwał się cal po calu w stronę ładunku pojemników na plecach Sama, głupio trzymając ten swój nóż i rewolwer.

Wtedy całkiem zwyczajnie, prawie jakby chcąc wystawić się Strączkowi, Sam lekko szarpnął zabezpieczającą jego ładunek linę – i zanim ktokolwiek się połapał, poluzował alpinistyczny węzeł i ją odrzucił. Ławica akrylowych tub zaczęła sunąć szybko z prądem, kierując się ku wodospadowi.

Jeśli dobrze pamiętam, to chyba wtedy rozpętało się piekło.

Pastor Dart cisnął nóż do wody i zrobił rzut na linę, która przecinała jego pole widzenia na wysokości talii, aby złapać odpływającą w dal lodową górę. W tym samym momencie Sam opuścił linę niżej, Strączek stracił równowagę i runął twarzą do wody. Wtedy Sam szarpnął liną do tyłu, lina najechała na Strączka i zawiesiła go na sobie jak przygarść mokrego prania.

Kiedy Strączek nieudolnie zmagał się z liną, Wolfgang odepchnął na bok Oliviera i już-już był bliski schwymania przepływającej obok akrylowej masy, gdy wściekły czarny kłębek futra, zbyt długo ubezwłasnowolniony w czeluściach mojego plecaka, eksplodował mu prosto w twarz! I kto by przypuszczał, że mój kot ma aż tyle pazurów i że potrafi je wysuwać z prędkością gromu i precyzją brzytwy!

Wolfgang wyrzucił ramiona do góry, aby osłonić twarz, Jazon przejechał pazurami najpierw po nich, następnie po głowie Wolfganga i zniknął gdzieś za nim. Rewolwer Wolfganga wyleciał w powietrze – dzięki szybkostrzelnemu browningowi i bardzo zaradnej Bambi. Wolfgang rzucił parę przekleństw, przekrzykując szum wodospadu, ale na tym nie skończył. Przytrzymując krwawiącą rękę, przeskoczył grubą linę i już miał popędzić za znikającą masą akrylu, kiedy Sam rzucił się na

niego z boku i obaj poszli pod wodę. Rozejrzałam się dokoła, próbując wypatrzeć gdzieś Oliviera, ale ten zniknął równie szybko jak mój kot.

To wszystko trwało nie dłużej niż kilka sekund. W końcu uwolniłam się od mojego nieporęcznego ładunku, przywiązałam go do przeciągniętej przez rzekę mocnej grubej liny i schwyciłam Strączka, którego rewolwer przepadł także, gdy dźwigał się z wodnej kipieli. I podczas gdy Bambi trzymała go na muszce, ja zerwanym mu z szyi krawatem przywiązałam go za nadgarstki do liny, obok mojego ładunku.

Teraz Bambi wyplątywała się ze swoich tub, a ja przelazłam przez linę i ruszyłam za Wolfgangiem i Samem, wciąż przewalającymi się w zwarcu po wodzie. Nagle Bambi krzyknęła rozzwierając. Okręciłam się dookoła, podążając za jej wzrokiem, i zobaczyłam ciało Oliviera jakieś sześćdziesiąt stóp od nas, wystające znad wody i walczące z prądem, który spychał je w dół rzeki, prosto na wodospad.

Próbowałam wymyślić, co w takiej sytuacji należałoby zrobić, kiedy zobaczyłam, jak tuż przede mną Wolfgang wyciąga Sama z wody, zaprawia go z całej siły w szczękę, rzuca z powrotem i pędzi ku szybko znikającemu obiektowi swego pożądanego.

Tymczasem Sam dźwignął się, ogarnął spojrzeniem rzekę przed sobą i zobaczył Oliviera. Zanim ja zdążyłam pomyśleć, on zanurkował do tej samej wartkiej wody, która szybko ciągnęła Oliviera do wodospadu. Trochę za nim Wolfgang – wciąż na nogach i tuż-tuż przy swojej górze lodowej – rzucił się, aby ją zgarnąć, nie trafił, stracił równowagę. Poszedł na dno i woda zgarnęła także jego.

Bambi w końcu uporała się ze swoim ładunkiem i uwiązała go do liny, śledząc wszystko, co działo się wokół. Z bronią w ręku utorowała sobie drogę do miejsca, gdzie stałam, kilka jardów w dół rzeki, za liną, i wykrzyczała mi do ucha:

– Mój Boże! Czy nie możemy niczego zrobić? Przecież oni się wszyscy pozabijają!

Muszę przyznać, że na to wtedy wyglądało. Nie mogłam sobie wyobrazić, co ich może uratować. Nawet gdybym miała koniec grubej liny rozciągniętej w poprzek rzeki, i mogła go rzucić jako linę ratunkową, to i tak okazałaby się za krótka.

577

Obserwowałyśmy w przerażeniu rozgrywającą się na naszych oczach koszmarną scenę: trzech mężczyźni i kryształowo-akryłowa góra lodowa, a wszystko razem zatopione przez ciemne, szkliste wody nieubłaganie zmierzające do klifu. Wstrzymałam oddech.

Bambi przełożyła broń do prawej dłoni, giętkiej dłoni wiolonczelistki, a w lewą ujęła moją. Patrzyłyśmy, jak na naszych oczach stos krystalicznych tub zawierających zgubne manuskrypty Pandory zbliża się powoli do krawędzi przepaści, gdzie robi, niczym baletnica, wdzięczny obrót, po czym bezgłośnie znika w otchłani. Chwilę później ciemna głowa Wolfganga podążyła tą samą drogą, tak samo bezgłośnie.

Teraz zobaczyłyśmy Sama, jak błyskawicznym wyrzutem ramion chwyta przypuszczalnie już pozbawione życia ciało Oliviera, a następnie – jak obu zgarnia bezlitosna fala. Bambi i ja, z grzmiotem wody w uszach, obserwowałyśmy w milczeniu, jak reszta naszego rodu, poza nami dwiema, prześlizguje się szybko za krawędź przepaści, w niebyt.

Stałam w zimnych, rwących wodach, bez łez żalu czy przebaczenia. Nie czułam w ogóle nic, nie czułam nic ani do twórców tego bagna perfidii, ani do tych, którzy jedynie je pogłębiali – z których większość, jak się okazało, była członkami mojej własnej koszmarnej rodziny. Ja miałam coś, czego wciąż się kurczowo trzymałam, tak jak liny ratunkowej rozpiętej nad rzeką. Miałam coś, co mogło utrzymać mnie przy życiu choćby wbrew najbardziej przytłaczającym przeciwnościom losu. Było to

coś, co pozostało na dnie puszkii Pandory, kiedy wszystko inne urwało się z uwięzi: nadzieja.

Odwróciłam się, by wyjść z rzeki, ale Bambi nie puszczała mojej ręki.

– Co powinniśmy teraz zrobić? – spytała, przekrzykując pędzące wody, które właśnie pozbawiały mnie wszystkiego, co do tej pory stanowiło esencję mojego życia.

– Przede wszystkim – odkrzyknęłam jej – znaleźć mojego kota!

Bambi związała nasze cylindry i wyprawiła je na suchy ląd, podczas gdy ja wyciągnęłam z wody ciało przerażonego Strączka, cisnęłam je bezceremonialnie na brzeg, zostawiłam pod

bronią Bambi, a sama poszłam odwiązać od drzewa dziadka Sama, Posępnego Niedźwiedzia, który z kolei pomógł przywiązać do drzewa, na swoje miejsce, Pastora Darta: pięknym za nadobne, draniu. Następnie całą trójką ruszyliśmy w dół rzeki na poszukiwanie Jazona.

Nie było dla mnie jasne, dlaczego uznałam Jazona za czołową postać rozegranego dramatu na wodzie. Poza tym, że znałam psychikę Jazona. O ile w ogóle można się chwalić znajomością psychiki kota jako gatunku. Oczywiście, naturalne instynkty Jazon odziedziczył po swoim mitologicznym bohaterze*; jak również imię: ciągnęło go do wody jak jakiegoś argonautę.

Nawet jeśli nigdy nie przepłynął przez taki wodospad jakieś czterdzieści stóp wzdłuż i sto w poprzek – również nigdy nie dało się go powstrzymać przed zjechaniem z wodnej zjeżdżalni w parku rozrywki, która była wyższa, a także przed kąpielą w rwących wodach Snake. Tu woda poniżej wodospadu mogła być dużo bardziej spokojna, więc jeśli Jazon rzeczywiście spłynął w dół bez połamania sobie kości, to mogłam być pewna, że znajdziemy go żywego.

Poza tym Jazon uwielbiał odzyskiwać rzeczy, czy to gumową piłkę w potoku, czy jakiś żółty pocztowy kwitek w śniegu. Dlaczego zatem nie miałyby zlokalizować lodowca akrylowych tub, zawierających ważne manuskrypty? Że nie wspomnę o ciałach Oliviera, Sama czy Wolfganga, martwych czy żywych.

Najpierw, w cichej zatoczce tuż poniżej wodospadu, znaleźliśmy Jazona, „szczęśliwego jak dolar podczas hossy”, jak by powiedział Olivier. Przedmiotem, wokół którego krążył z pewną dumą, był unoszący się na wodzie stos plastikowych tub, zaczepiony sznurkiem o przybrzeżny głaz. Kilka tub o podniszczonym wyglądzie pływało po zatoczce luzem.

Ponieważ Bambi i ja już byliśmy przemoczone do suchej nitki, zeszliśmy na dół, na brzeg zatoczki, i wyciągnęliśmy je – Jazona też – podczas gdy Posępny Niedźwiedź poszedł dalej brzegiem rzeki. Ale powrócił, ledwo zdążyliśmy przetransportować tuby w suche miejsce.

* Jazon – w mit. gr. heros, który wraz z 50 towarzyszami na statku *Argo* udał się na poszukiwanie złotego runa.

– Nie mogłem iść dalej, zamknęły mi drogę chaszcze rzekł. – Ale namierzyłem ich z góry. Są pod wodospadem niedaleko stąd. Widziałem trzy głowy, wszystkie unosiły się w niewielkiej zatoce, trochę w bok od rzeki.

– Żyją? – spytałam.

– Myślę, że tak – odparł Posepny Niedźwiedź. – Tylko że chaszcze przechodzą w śliską stromiznę. Tędy ich nie wydostaniemy. Trzeba ich sprowadzić drogą wodną.

Spadek rzeki w tym miejscu był większy, woda o wiele głębsza niż wyżej. Każde z nas obwiązało się w piersiach kilkoma luźnymi pojemnikami, jak kołami ratunkowymi. Bambi ukryła rewolwer w krzakach. Następnie, jedno po drugim, weszliśmy do mrocznej wody.

Ku sporemu zaskoczeniu znaleźliśmy ich po niecałej mili. Sam, ostrożnie stąpając po wodzie, typowym chwytem ratownika holował za brodę nie Oliviera, lecz nieprzytomnego Wolfganga. Tymczasem Olivier podrygiwał w wodzie w pobliżu, równie radosny jak jabłko w balii podczas Halloween!

– Ludzie za burta! – zawołał Olivier, wypatrywszy naszą pływającą flotyllę. – Kobiety i tubylcy przybywają na ratunek!

– Żyjesz, dzięki Bogu – odetchnąłem z ulgą. A mnie się zdawało, że nie umiesz pływać!

– Bo nie umiem! – odpowiedział. – Ocalił mnie twój plecak.

– Trzymał mnie na wodzie, chociaż poprułem prosto na wodo-, spad. Ale horror! A po wylądowaniu, wystarczyło tylko podskakiwać jak bańka mydlana, i to wszystko.

Oczywiście! Moja wielka plastikowa butla, którą zawsze zabieram na wycieczki, aby ją wypełnić źródlaną wodą. Teraz wypełniona powietrzem ocaliła Olivierowi życie.

– Z tobą też wszystko w porządku? – spytałam Sama.

Sam był w strzępach – ale nie aż tak, jak Wolfgang, który

pewnie stracił morze krwi, sądząc po przeoranej kocimi pazurami głowie i zranionej przez Bambi ręce.

– Jestem pewien, że złamał nogę w wodospadzie. – Sam wciąż brnął w wodzie. – Pewnie zemdlął z bólu.

– W porządku, już my się nim zajmiemy – zdecydowała Bambi. – I lepiej płynmy z powrotem.

Pomogła Posepnemu Niedźwiedziowi przejąć Wolfganga od Sama, a ja pokazałam Olivierowi, jak ma swoją nowo nabytą

jaźń pływaka przepchnąć przez łagodniejszy prąd poniżej wodospadu. Kiedy podpłynęliśmy do brzegu, Posepny Niedźwiedź dźwignął w ramiona nie dającego znaku życia Wolfganga i zaczęliśmy torować sobie drogę powrotną, aby odnaleźć Strączka i inne pojemniki. Olivier, niosąc Jazona i trzymając rewolwer Bambi wycelowany w plecy Strączka, prowadził naszego wkrótce byłego szefa przed nami, do samochodu, podczas gdy Sam, Bambi i ja nieśliśmy nasze jeszcze cenniejsze skarby.

Ubłocony, zszargany i przemoczony Sam wczółgał się na przednie siedzenie landrowera, obok

mnie, Olivier, Bambi, cylindry i nasi zakładnicy zajęli obszerne tyły, za kierownicą usiadł Posępny Niedźwiedź. Mimo że tyle krwawicy zainwestowałam w te manuskrypty, teraz nieomal żałowałam, że nie zniknęły pod szklistym, lecz niebezpiecznym lustrem rzeki. Czułam się tak bardzo spustoszona przez to wszystko, co się wydarzyło, że bieg moich myśli kończył się na czubku mojego nosa.

– Co dalej? – spytałam zespół, który wydawał się tak samo zmaltretowany i zagubiony jak ja.

– Co do mnie – wyrwał się z odpowiedzią Olivier – moim pierwszym krokiem będzie wrzucenie wszystkich identyfikatorów z napisem „bezpieczeństwo nuklearne” do najbliższej skrzynki pocztowej, wyciągnięcie kilku innych i użycie ich w celu postawienia tych dwóch gości w stan oskarżenia za usiłowanie masowego morderstwa. – Po chwili dodał: – Pozostałe zarzuty przedyskutujemy potem.

– Co do mnie – powiedziała Bambi dumnie – kiedy szliśmy tu znad rzeki, Posępny Niedźwiedź poprosił, żebyśmy oboje z Lafcadiem wykorzystali nasze liczne kontakty i pomogli wybrać najlepsze archeologiczne i akademickie instytucje w innych częściach świata, które by zrecenzowały oryginalne dokumenty i potwierdziły ich autentyczność. Wiem, że Lafcadio, tak jak i ja, zrobi to z przyjemnością. A co do mojego brata, jak powiada Lafcadio, Wolfgang siał przez całe życie to, z czego wkrótce zbierze plony.

Ja sama jeszcze nie byłam przygotowana na myślenie o nieprzytomnym Wolfgangu, leżącym jak nasiąknięty wodą kloc obok równie przemoczonego Strączka na tylnym siedzeniu.

– Ale manuskrypty czeka jeszcze niejedno – odezwał się

Sam. – Jeszcze nie dopadliśmy całej drużyny... w tym twojego ojca i matki Bettiny, którzy z pewnością poruszają niebo i ziemię, byleby tylko położyć na nich łapę.

Wbrew moim uczuciom do mojego niepoprawnego ojca przeszył mnie niezrozumiały ból z powodu takiego obrotu sprawy; mogłabym powiedzieć, że z Bambi, sądząc po wyrazie jej twarzy, dzieje się to samo.

– Lecz nim postawimy naszą watahę przestępców przed sądem – dodał Sam – będę się nadal zajmował ochroną i rozszyfrowywaniem naszych dokumentów.

Co do mnie, nie miałam pojęcia, co będzie dalej. Zastanawiałam się jedynie, jak będę żyła po tych kilku tygodniach, kiedy wszystko odmieniło się tak nieodwołalnie. Nie miałam żadnej prawdziwej pracy, żadnych nowych przyjaciół, żadnej misji i... nic mi nie groziło.

– Co do mnie – nadałam swoim myślom formę słowną, by mogli je usłyszeć wszyscy – nie mam pojęcia, co mogłabym robić.

– Och, ciebie czeka największe zadanie. – Sam uśmiechnął się enigmatycznie, a ja czekałam, aż zakończy. – Będziesz się uczyła tańczyć.

TANIEC

Mandala znaczy krąg, a dokładniej magiczny krąg... Spotkałem kobiety, które me wchodzą do

kręgów, lecz je wytańcowują. W Indii [to ma] szczególną nazwę... mandala nritta, taniec mandala.

Carl G. Jung

W ekstazie tańca człowiek przerzuca most nad próżnią między sobą a innym światem... Możemy przyjąć, że taniec w kręgu istniał już w kulturach paleolitycznych i był pierwszym dostrzegalnym stopniem cywilizacji.

Curt Sachs, *World History of the Dance*

Zdaje się, że najstarszą formą tańca był Reigen, korowód czy taneczny krąg, [który] symbolizuje najistotniejsze treści w życiu ludzi pierwotnych – święte królestwo, magiczny krąg... Do magicznego kręgu nie mają dostępu żadne demoniczne moce.

Susanne K. Langer, *Feeling and Form*

J. ak więc weszliśmy w pełny krąg – ale moje dni tańca nie całkiem się zaczęły. Olivier zadzwonił z płatnego przydrożnego telefonu i wezwał ekipę Federalnych z Boise. Ekipa miała nas przywitać przy wjeździe do miasta, zabrać Strączka i Wolfganga i odizolować ich od reszty społeczeństwa. Haki, które Olivier miał na nich – choćby zdradę stanu, międzynarodowe szpiegostwo, kontakty ze znanymi zagranicznymi dealerami broni, przemyt sprzętu nuklearnego, usiłowanie wielokrotnego zabójstwa na rzece i morderstwo wysoko postawionego rządowego tajnego agenta Theron Vane'a – wypadały blado, w moim przekonaniu, w porównaniu z tym, co Wolfgang zrobił: usiłował zamordować własnego brata przyrodniego, Sama.

W mieście Olivier oparł podkładkę o bok landrowera Posępnego Niedźwiedzia i wypełnił formularze wymagane przy przekazaniu Federalnym obu więźniów. Strączkiem, stosownie do jego wysokiej pozycji szefa ośrodka nuklearnego, Federalni zajęli się w pierwszej kolejności: wpakowali go do opancerzonego pojazdu, w celu niezwłocznego przekazania do aresztu śledczego w więzieniu federalnym.

Tymczasem Wolfgang, skrupowany i nieszkodliwy, ale w pozycji siedzącej, poprosił mnie o słowo na osobności. Tak więc, kiedy inni wysiedli z samochodu i kręcili się tu i tam, ja spojrzałam przez ramię w jego twarz, poznaczoną kocimi pazurami, a on przeszył mnie wściekłym spojrzeniem, ledwo co maskując ból. Wyglądało na to, że ten ból sięgał głębiej, niżby to sugerowała okaleczona ręka czy złamana noga. Te ciemne turkusowe oczy, pod których spojrzeniem całkiem niedawno miękły mi kolana, teraz sprawiały, że czułam się osamotniona i przerażona wszystkim, co kiedykolwiek zaszło między nami.

– Ariel – odezwał się Wolfgang – możesz sobie wyobrazić ból, który czuję, patrząc na ciebie? Byłem pewien, że wierzysz w moją miłość. Ale teraz się okazuje, że podczas naszej znajomości postawiłaś na jedno: na mówienie mi kłamstw.

To ja jemu mówiłam kłamstwa? Mówiąc najogólniej, było to bardziej przesadne niż przysłowiowe przyganianie kotła garnkowi! Wielki Boże, całymi tygodniami, gdziekolwiek się obróciłam, wokół mnie narastało kolejne kłamstwo. Stawiałam czoło Wolfgangowi mnóstwo razy, po to jedynie, aby usłyszeć więcej kłamstw, aby przełknąć nowe, każde równie naiwne i wierutne jak

poprzednie, po to tylko, aby wylądować w jego ramionach i w jego łóżku, znów i znów. Ale ponieważ sprawa została spuentowana lufą rewolweru, pomyślałam, że należy zachować twarz i powstrzymać się od komentarzy.

– Wiedziałaś, że Sam żyje, a jednak kryłaś to przede mną! – wyrzucił z siebie z wielką goryczą. – Kłamałaś mi przez cały czas.

– Wolfgang, ty chciałeś go zabić! – wskazałam na rzecz pozornie oczywistą. – Czy to samo zamierzałeś zrobić z własną siostrą? Ze mną też?

– Kocham cię – syknął przez zaciśnięte zęby, ignorując moje pytanie, krzywiąc się od nowej fali bólu. Kiedy przyszedł do siebie, dodał: – Oczywiście że nie zamierzałem zabić nikogo z was, nie bądź szalona. Czy naprawdę wyglądam na maniakałnego mordercę? Chodziło mi jedynie o te manuskrypty niezwyklej wagi. Och, Ariel, nie rozumiesz, że ty i ja moglibyśmy użyć zawartych w nich informacji do słusznych celów? Moglibyśmy naprawdę wiele dokonać. Ty i ja, razem, dzięki tym manuskryptom moglibyśmy stworzyć lepszy świat. – Przerwał, po czym dodał ostrożnie: – Wiem, co myślałaś po wizycie w Paryżu... po rozmowie z Zoe. Chodziło o moje pytanie o Cyganów, tak? Wyczuwałem to przez całą powrotną podróż, i, faktycznie, powinienem coś powiedzieć. Ale ja byłem po prostu zaskoczony! Proszę, uwierz mi, dla nas obojga nie robi to żadnej różnicy. Byłoby mi obojętne...

– Co byłoby ci obojętne? – przerwałam mu z furią. – O czym ty, u licha, w ogóle mówisz? Jak rozumiem, ze mną byłbyś łaskaw pójść do łóżka, nawet gdybym miała skażoną rasowo krew, czy tak? Mój Boże, co z ciebie za człowiek? Nie rozumiesz, jak się czuję, wiedząc, że to ty usiłowałaś zabić Sama tą bombą w San Francisco? Ty go usiłowałaś zamordować, Wolfgang. A przy tym wiedziałaś, że Sam jest twoim bratem!

– Nie, nie jest! – Wolfgang krzyknął, a twarz zszarzała mu na popiół w niewypowiedzianej udręce.

Olivier popatrzył przez szybę zaalarmowany i już chciał otworzyć drzwi samochodu, ale pomachałam mu ręką, że nie trzeba. Cała trzęsłam się z emocji, której nie potrafiłam nawet nazwać. Do oczu napłynęły mi gorące łzy; odwróciłam się do Wolfganga, wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, tak spokojnie i dobitnie, jak pozwalały mi na to resztki zimnej krwi:

– Tak, Wolfgang, jest. Sam jest twoim bratem.

Odwróciłam się, wysiadłam z samochodu i zamknęłam za sobą drzwi.

Posępny Niedźwiedź, jeden z najbardziej zadziwiająco zorganizowanych osobników na naszej planecie, mógłby być doskonałym prezesem jakiejś poważnej korporacji, gdyby nie pochłaniały go o wiele poważniejsze zadania, a mianowicie troska o zachowanie korzeni własnego plemienia i kwestia odkrywania tajemnic życia. Niemniej między jednym a drugim zdołał uruchomić przedsięwzięcie Sama i moje.

Posępny Niedźwiedź uważał za zbyt niebezpieczne dać nam wolną rękę – wypuścić na rynek, że tak powiem – dopóki Olivier i jego oddziały nie dorwą jeszcze kilku złych chłopców. I to Posępny Niedźwiedź raz jeszcze dostarczył Olivierowi kolejną porcję amunicji: prywatne archiwum stryja Earnesta – te niemiłe informacje o rodzinie Behnów, do których, jak powiedziała Zoe, stryj Earnest się dogrzebał – znaleziono „anonimowo”. Było zamknięte w solidnej skrzynce, ukrytej gdzieś na mokradłach dawnych kopalnianych terenów w rezerwacie w Lapwai.

Chociaż Earnest, jak powiedział Posępny Niedźwiedź, być może na zawsze usunął z myśli obraz Halle i Wolfganga, to nowe odkrycie zawierało dokumentację świadczącą o cichym i wieloletnim finansowaniu przez naszą rodzinę – także przez mojego ojca – działań na rzecz wyższości rasowej (*idee fixe* naszej rodziny) i podpieraniu się bronią masowej zagłady w celu zbudowania Nowego Światowego Ładu według ich prywatnej, nie całkiem sympatycznej wizji.

No i było kilka niespodzianek z optymistycznej nastrajającej strony mojej rodziny. Jak Sam podejrzewał, a Dacian Bassarides potwierdził, Pandora istotnie rozdzieliła swój spadek na cztery części i obdzieliła nim czworo „dzieci Behna”. Po spotkaniu ze mną w Wiedniu Dacian, jak się zdaje, na własny rachunek doszedł do kilku wniosków. Podjął się doprowadzić do mocno spóźnionego pojednania między Lafcadiem a Zoe i odsunąć na bok nagromadzoną przez dziesięciolecia gorycz, którą zasiał jeden człowiek, do tego od dawna nieżyjący.

Dacian również przekonał Lafa i Zoe, że jedynie ja potrafiłabym połączyć wszystkie klocki, tak jak zrobiła to kiedyś Pandora, ale potem, zgodnie z jej wolą sprzed ćwierćwiecza, zostały one na nowo rozrzucone. Stryj Lafcadio, z kolei, przysłał mi skrzynkę wina z królestwa win Daciana wraz z listem, w którym Dacian szczegółowo opisywał inne królestwo, Pandory, które ściągało na siebie uwagę przez tak wiele lat. Z kolei ja odbyłam z moją matką stosowną rozmowę telefoniczną, a także kilka pogawędek z Posępnym Niedźwiedziem, i w ten sposób obraz stał się kryształowo czysty.

Po pierwsze, był manuskrypt runiczny wysłany przez moją matkę z San Francisco, a odzyskany przez Oliviera z miejsca, w którym go ukryłam, to znaczy z DOD Standard w ośrodku nuklearnym. Laf, jak sobie przypomniałam, powiedział mi parę tygodni temu, że Pandora miała zwyczaj własnoręcznie kopiować runy z kamiennych stanowisk rozsianych po całej Europie: odziedziczył je jej syn, a mój ojciec. Jersey, zorientowawszy się, co łączy Augustusa z jej siostrą, potajemnie zrobiła własną kopię tego manuskryptu. I choć w rękach mojego ojca wciąż pozostawał oryginalny egzemplarz, Jersey, za poradą Earnesta, miała swój podarować mnie, z chwilą kiedy dorosnę, i w ten sposób go zabezpieczyć, podobnie jak Earnest zabezpieczył własną część spadku Pandory, zapisując ją Samowi.

I w ten sposób weszłam w posiadanie kompletu odziedziczonego przez Earnesta i pozostawionego Samowi, zawierającego rzadko spotykane, rozsypujące się zwoje, tabliczki i szaty; kompletu, który z narażeniem życia odzyskaliśmy z kryształowej groty; kompletu wzbudzającego tak wielkie pożądanie, że aby go zdobyć, niejeden był gotów wejść na drogę gwałtu i mordu. Oczywiście nietrudno było odgadnąć motywy, którymi

kierował się Wolfgang, jeśli się wiedziało o jego obsesyjnym żalu do ojca: żal o to, że ojciec go porzucił i zostawił cały majątek łącznie z tymi obiektami – swojemu młodszemu synowi Samowi,

półkrwi Indianinowi.

Od Daciana Bassaridesa, w Wiedniu, dowiedziałam się, że jedna ćwiartka układanki, czy nawet jedna połówka, bez pozostałych znaczyła niewiele. Z kolei Wołga Dragonów, podczas naszej pogawędki w środku nocy w lodowatej sowieckiej jadalni, starał się wbić mi do głowy, że nawet gdyby się wszystkie klocki usypało w jeden stos, to i tak potrzebny byłby ktoś

o właściwym sposobie myślenia (tu się zarzekał, że wierzy, iż tym kimś jestem właśnie ja), aby je ułożyć w czytelną całość.

Tylko jedna osoba mogłaby mnie do tego przygotować. Sam. Co do pozostałych dwóch ćwiartek, spadku Lafa i Zoe, dostały się w moje ręce przez Bambi, której tych dwoje zaufało i przysłało tamtej nocy w Sun Valley, aby mnie ostrzegła przed Wolfgangiem. Teraz, mając wszystkie, czułam się wystarczająco uzbrojona i gotowa do ataku.

Dzięki świetnym pomysłom i zaradności Posępnego Niedźwiedzia podczas realizacji naszego przedsięwzięcia, wprawionego w ruch kilka tygodni temu (po tym jak Sam powrócił z Salt Lake z kolejnymi hakami na naszą rodzinę), nie musieliśmy się poniewierać po górskich schronach i szałasach. Wyposażono nas we wszystko, co niezbędne do przetrwania co najmniej pół roku „w głębi kraju”, we względnej tajemnicy.

W skład naszego wyposażenia wchodziły cztery juczne konie, przyzwoity zapas suchej żywności i ziołowych leków, wigwam, mnóstwo przeciwdeszczowego ekwipunku i dwa laptopy z zapasem baterii, wyposażone w najlepsze oprogramowanie do wspomagania przekładów z języków starożytnych i współczesnych.

1 uroczą prywatną parcelą: nawadniana przez rwący strumień, oddalona o dzień drogi wierzchem od jeziora Pend Oreille i od leśnej głuszy Kootenay, parcela na samym koniuszku „trzonka patelni” Idaho, tuż przy granicy z Kolumbią Brytyjską, czyli, w razie potrzeby – w zasięgu głosu bębna licznych indiańskich plemion. Jedyne miasteczko z prawdziwego zdarzenia leżało jakieś trzydzieści mil od nas (populacja: osiemset dusz) i nosiło nieprawdopodobną nazwę – Troy.

Mój zielonooki wybawiciel Jazon towarzyszył nam na nasze wygnanie dość niechętnie, choć kotu minęły humory, gdy tylko zobaczył masę rwącej wody i czym prędzej zamienił ją w prywatne kąpielisko. Pod koniec każdego tygodnia Posępny Niedźwiedź przysyłał anonimowego kuriera na dropiatym appaloosie, kuriera, który zrzucał nam trochę podstawowych produktów, a zabierał nową porcję przepisanych i przetłumaczonych dokumentów, unosząc je w nieznanie – a jeśli w „znane”, to wyłącznie Posępnemu Niedźwiedziowi.

– Niechbym to ja wcześniej wiedział o tym indiańskim transportowym wynalazku – przyznał Sam – zaoszczędziłbym sobie sporo kłopotów i zmartwień, i to od samego początku, od kiedy odziedziczyłem mój drogocenny spadek!

Zdażyłam zapomnieć, jak się żyje pod gołym niebem, na ziemi, która sama dostarcza wody, żywności i powietrza – bez żadnych pośredników, którzy by je rozcieńczali czy zanieczyszczali. Takie doświadczenie dodawało ducha, od pierwszej chwili, kiedy rozstawiliśmy wigwam i weszli

do środka. Chociaż Sam i ja zajmowaliśmy się uprawą kilku jednosezonowych, wytrzymujących tutejszy górski klimat zbóż i jarzyn, i chociaż musieliśmy łowić ryby i zdobywać pożywienie każdego dnia, większość czasu mogliśmy spędzać na tłumaczeniach manuskryptów. A im więcej tłumaczyliśmy, tym bardziej nas fascynowały.

Przed naszymi oczami przewijała się procesja historii i tajemnic wyływających, jak się zdawało, z dna głębokiego nurtu nieznanego i aż dotąd bezprecedensowej przeszłości. Teraz ta przeszłość powoli zaczęła się wyłaniać z gęstych oparów jakiejś dymiącej maszyny, której kurki przykręcały całe wieki historyków i biografów.

– Coś mi przyszło do głowy – oznajmiłam Samowi któregoś późnego wieczoru, przy ognisku, po miesiącu pracy. – W tych opowieściach rzadko zdarza się podbój i ciemnienie niższej cywilizacyjnie społeczności przez wyższą – o wiele częściej dzieje się na odwrót. Historia jest z gruntu zapisem zdumiewających czynów i niezwykłego męstwa zdobywców. Lecz ich „wyższość” często opiera się na tym, że udało im się podbić i zamienić tych drugich w niewolników.

– Właśnie otrzymujesz przesłanie – powiedział Sam. – Szkoda, że nie jesteś Indianką... otrzymałabyś je przy narodzinach.

589

Ulubionym pisarzem Hitlera za czasów, kiedy był dzieckiem, był Karol May: pisał on kowbojskie i indiańskie powiastki dla małych niemieckich chłopców. Czy zgadniesz, kto w nich ostatecznie zwyciężał?

W głosie Sama pojawił się cień goryczy. Tak działo się zawsze, kiedy Sam wspominał o tej części swojego dziedzictwa, czego ja, jako nie-Indianka, nigdy nie mogłam całkowicie zrozumieć.

– Ocaliłeś życie Wolfgangowi – zauważyłam. – Ale teraz już wiesz, że Wolfgang cię nienawidził, że podłożył bombę, która nieomal cię zabiła. Czy w razie potrzeby ratowałbyś go po raz drugi?

– Przypuszczasz, że jestem aż takim altruistą, bym miał wybaczać komuś, kto znajduje przyjemność w zabijaniu ludzi takich jak ja? Coś w guście: „Nie wierzę, by mój brat był złym człowiekiem”, tak? – odpowiedział Sam. Uśmiechnął się, podniósł z miejsca, gdzie leżał na plecach, oparty o siodło, podszedł do mnie i podciągnął mnie na nogi. Staliśmy twarzą w twarz. Wiedziałem wcześniej – rzucił krótko.

–Wiedziałaś, że Wolfgang usiłował cię zabić? – spytałam zaskoczona.

–Pewnie uważasz mnie za piekielnie szlachetnego gościa, co? Więc ci wyjaśnię: nie uważam, by ludziom tak złym jak on wolno było przenosić się na tamten świat przez zwykłe złamanie nogi i szybkie, bezbolesne utonięcie. Uważam, że w jego wspaniałe aryjskie nazwisko powinno się rzucić garść błota i że powinien trafić za kratki i siedzieć tam do końca swoich dni.

Cóż, pomyślałam, aby się przekonać, ile goryczy tkwi w naczyniu zwanym człowiekiem, czasem wystarczy lekko poluzować korek. Sam nie zdejmował rąk z moich ramion. Staliśmy pośrodku wigwamu, nasze twarze zalewał blask ognia, a on przyglądał mi się dziwnie.

Zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie inny ogień i zamek innego mężczyzny, i jeszcze inny ogień, nie do ugaszenia, który płonął we mnie od pierwszego dotyku i zapachu tamtego mężczyzny, mężczyzny, o którym właśnie rozmawialiśmy i którego tak nieodwołalnie wykreślaliśmy ze swojego życia. Mężczyzny tak przepełnionego nienawiścią, że poważił się na próbę rozerwania na strzępy własnego brata – tego samego brata, który

zebrał wszystkie siły, aby ratować mu życie, mimo że wiedział o wszystkim. Wbrew wszystkim zakłębom Wolfganga wątpiłam, czy kiedykolwiek naprawdę mnie kochał. Wątpiłam nawet w to, że ja go kochałam.

Spojrzałam spod przymkniętych powiek i zobaczyłam, że srebrne oczy Sama przenikają mnie głęboko, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi na nie zadane pytanie. Wciąż jeszcze brzmiały mi w uszach jego słowa wypowiedziane tego ranka, na górze: „Ariel, Czy zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczna mogła się okazać ta twoja przyjaźń nie w porę, i to dla nas obojga?” O tym też wiedział? Od samego początku? A czyż, u diabła, ja nie wiedziałam?

– Naprawdę starałem się cię ostrzec – odezwał się Sam. Choć przyznaję, przed przyjazdem do Salt Lake moje podejrzenia istniały jedynie w podświadomości. Ale kiedy poskładałem sobie to i tamto, kiedy wiedzę zaczerpniętą z dokumentów dopasowałem do sytuacji i kiedy uzmysłowiłem sobie, że Wolfgang Hauser, człowiek, który najwyraźniej cię pociąga, być może jest tym samym, który zamordował Theroną Vane'a... doprawdy nie byłem pewien, co robić. Wiedziałem, jak niebezpieczne mogło się to okazać dla mnie: wiedziałem, że to mnie chciał dopaść. Ale to, że mógłby skrzywdzić cię, było nie do uwierzenia. Wysłałem ci wiadomość, byś na niego uważała. Tyle że, kochanie moje, ty już nie byłaś małą dziewczynką. Miałaś wybrać to, co dla ciebie najlepsze.

– Cóż za wielkoduszność z twojej strony – odcięłam się, zła i rozgoryczona. – Uważałeś, że to było najlepsze dla mnie, pozwolić mi kochać się z kimś, zakochać się w kimś, kto mógł nas oboje zamordować?

Sam wzdrygnął się, jakbym go uderzyła. A to znaczyło, że aż do tej pory usiłował nie wiedzieć, co naprawdę zaszło między Wolfgangiem a mną. W końcu odetchnął głęboko i bardzo spokojnie powiedział:

– Jeśli chciałabyś się upić albo nafaszerować jakimiś niebezpiecznymi prochami, powinienem ci na to także pozwolić, Ariel. To ty sama odpowiadasz za własne decyzje i czyny. Ale z miłością jest inaczej, i ty wiesz o tym. Miłość nie jest czymś, co chcesz z kimś robić.

– W ogóle nie jestem pewna, czy wiem, co to miłość – po

591

wiedziałam zgodnie z własnym sumieniem. Przywołałam na pamięć uwagę Posępnego Niedźwiedzia o ojcu Sama, Earnście: Earnest był przekonany, że nie jest zdolny do takiego uczucia. Zatem być może, dla Nez Perce, ja także byłam kimś martwym.

– Ja chyba wiem. Mogę ci powiedzieć? – spytał Sam, wciąż mi się badawczo przyglądając.

Czułam się bardzo pusta w środku – ale skinęłam głową; niech mówi dalej.

– Myślę, że miłość jest wtedy, kiedy się wie, że część ciebie jest osobą, którą kochasz, a część jego czy jej tkwi w tobie powiedział Sam. – Kogoś, kogo się naprawdę kocha, nie można oszukać czy nim manipulować, ponieważ manipulowałoby się sobą czy kłamało sobie. Widzisz w tym sens?

– Czy to znaczy, że jeśli Wolfgang mnie okłamywał – odcięłam się z odrobiną ironii – tak naprawdę oszukiwał siebie?

– Nie, Wolfgang nie musiał się oszukiwać – stwierdził oschle Sam. – Czy nie zapomniałaś o jakimś drobiazgu? Spałaś z nim i także mu kłamałaś.

Odebrało mi mowę, ale od prawdy nie da się uciec: weszłam w najbardziej intymny – z możliwych – związek z mężczyzną, któremu nigdy nie ufałam. Z mężczyzną, przed którym z własnej woli nigdy się nie otworzyłam na tyle, by mu powiedzieć całą prawdę o czymkolwiek. To, że w głębi duszy i przez cały czas wiedziałam, jaki Wolfgang jest, było gorzką pigułką do przełknięcia.

– Dawno temu dałam ci część mojego serca i część własnej duszy, Ariel. Jestem pewien, że wiesz o tym. – Sam uśmiechnął się złośliwie: – Ale trzeba pociągnąć za kilka sznurków, nim dam ci swoje ciało.

– Twoje... ciało? – Zadudniło mi w skroniach. – Myślałam, że... że pociąga cię Bambi.

– Wiem, że tak myślałaś – odparł, szczerząc zęby. – Zdradził cię wyraz twojej twarzy, przy wodospadzie, kiedy podnosiłem Bettinę. I wtedy pomyślałem, że jeszcze nie wszystko stracone i że nie liczy się żaden Wolfgang. – Zburzył mi włosy i powiedział wprost: – Kocham cię, bystrzaku. Chyba od zawsze.

Przyznaję, stałam jak rażona piorunem. Stałam tam oszołomiona, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Czy byłam na to gotowa? Sam, ni stąd, ni zowąd zaczął odsuwać śpiwory i torby juczne, robiąc miejsce w środku wigwamu, dookoła małego kamiennego paleniska.

– Co robisz?

– Właściwie jest tylko jeden sznurek – wyjaśnił, układając na jeden stos koce. Wyprostował się i niecierpliwie odrzucił do tyłu długie włosy. – Czyżbyś się spodziewała, Ariel, że pokocham kogoś, kto nie umie tańczyć?

Tak jak powiedział Dacian, o wiele ważniejsza jest pogoń za celem niż sam cel.

Podczas tych minionych miesięcy, kiedy żyliśmy z Samem jak brat z siostrą, aż do tamtego tańca, tłumaczone manuskrypty były dla mnie zupełnie niezrozumiałe – cała ta mowa o siatce opasującej świat, o osnowie i wątku, o jin i jang, tradycyjnej kosmogonii chińskiej, o alchemicznym małżeństwie i obrzędach kultu Dionizosa – zasadniczo sprowadzała się do jednego: do transformacji. W istocie to o niej traktowały manuskrypty.

Tańczyliśmy całą noc. Sam puszczał na przenośnym magnetofonie indiańskie tańce i pieśni, ale tańczyliśmy pod wszystko inne – *zigeuner* muzykę stryja Lafa, węgierskie rapsodie i ulubione przez

Jersey dzikie celtyckie songi, w których rytm tańczyło się zapamiętałe, jak zazwyczaj powtarzała Samowi i mnie, na każdym irlandzkim weselu i na każdym irlandzkim czuwaniu przy zwłokach – szybko i wolno, z werwą i nostalgicznie, podniecająco i tajemniczo.

Tańczyliśmy boso dookoła paleniska, potem na szczycie pagórka, na ciemnej łące pachnącej pierwszymi chabrami wczesnego lata. Czasami dotykaliśmy jedno drugiego albo trzymaliśmy się za ręce, albo tańczyłam w jego ramionach, lecz najczęściej tańczyliśmy oddzielnie, i przyznaję, było to inne od innych, fascynujące doświadczenie.

I kiedy tak tańczyłam, wciąż i wciąż, zdawało mi się, że po raz pierwszy czuję własne ciało – nie tylko skupione i świadome siebie, lecz także w jakiś tajemniczy sposób całkowicie związane z ziemią i niebem. Czulałam, że po części umieram, że rozpadam się na kawałki, że rozpinam się w kosmosie i zamieniam w gwiazdy w bezbrzeżnej nocnej przestrzeni, usianej galaktykami, które zdawały się nie mieć początku ani końca.

Tańczyliśmy do rana, a kiedy poczerniały węgle w naszym

palenisku, tańcząc, wyszliśmy jeszcze raz na ukwieconą łąkę, aby zobaczyć, jak pierwsze szare światło świtu zalewa krwistą czerwienią poranne niebo. I tańczyliśmy dalej...

I wtedy zaczęło się dziać coś dziwnego – coś przerażającego. A kiedy to nastąpiło, zatrzymałam się w tańcu. Muzyka płynęła dalej; Sam zawirował, obrócił się dookoła i zobaczył, że stoję bosa pośród dzikich kwiatów. Podszedł do mnie.

– Dlaczego się zatrzymałaś? – zapytał.

– Nie wiem. Nie kręci mi się w głowie ani nic takiego, po prostu... – Nie, nie mogłam nic więcej z siebie wykrztusić.

– Więc tańcz ze mną.

Sam nachylił się, wyłączył muzykę i wziął mnie w ramiona tam, na łące, i krążyliśmy powoli w kręgu, krążyliśmy po ziemi, a może unosiliśmy się w powietrzu. Nie wiem. Sam trzymał mnie lekko, właściwie podtrzymywał. Odnosiłam wrażenie, że jego wyrazista twarz z prostym nosem i podbródkiem rozdzielonym dołkiem, jego brwi rzucające cienie na kości policzkowe, kiedy się do mnie nachylił, to indiańskie mocne opiekuńcze duchy. A potem przycisnął usta do moich włosów.

– Dowiedziałem się czegoś z manuskryptów Pandory – powiedział. – Jeden ze średniowiecznych alchemicznych tekstów, *Magiczny krąg Salomona i magów*, powiada, że aniołowie nie kochają się tak jak ludzie. Aniołowie nie mają ciał.

– Więc jak to robią?

– Wypraktykowali doskonalszy sposób – wyjaśnił Sam. Mieszają się razem i z dwóch, na krótki moment, powstaje jeden. Ale aniołowie, oczywiście, nie mają żadnej substancji. Są z promieni księżyca i gwiazdowego pyłu.

– Czy myślisz, że my dwoje jesteśmy aniołami? – podsunęłam chytrze, odchylając się do tyłu w

jego ramionach i uśmiechając się.

Sam pocałował mnie.

– Myślę, że moglibyśmy zmieszać nasz gwiazdny pył, aniele. – Pociągnął mnie w dół, na trawę, i położył na sobie pośród łąki i kwiatów. – Rób, na co masz ochotę, albo nic nie rób powiedział ze śmiechem. – Jestem do usług. Moje ciało to twój instrument.

– Czy potrafi zagrać *Czarodziejską miłość* de Falli? – zapytałam, też ze śmiechem.

–Potrafi wszystko. Wydobędzie taki ton, jaki wirtuoz sobie życzy – zapewnił mnie. – Co to będzie?

–Wiesz, nagle poczułam się tak, jakbym się wspinała nad krawędź lasu – powiedziałam całkiem serio.

– Byliśmy tam kiedyś i jakoś udało nam się przeżyć – szepnął miękko, głaszcząc swoje wargi moimi palcami. – Weszliśmy w światło razem, Ariel. Zaraz po tym, jak znalazły nas nasze totemy. Pamiętasz?

Tak, pamiętałam.

Kiedy puma i niedźwiedzica z niedźwiedziątkiem zniknęły ze szczytu naszej góry, Sam i ja siedzieliśmy razem przez długi czas – może przez godziny – tuż obok siebie, znieruchomiali, wyczuwając swoją obecność jedynie czubkami palców. Ciemności zrzędy i przeszły w brzask, a ja miałam niemiłe uczucie, że coś się w moim ciele zmieniło, coś się przesunęło jak wiecznie niespokojne, ruchome piaski. Nagle przyłapałam się na tym, że oddalam się od ziemi, że unoszę się w powietrzu, coraz wyżej, w przestrzeń. Czulałam się całkowicie oddzielona od ciała, a mimo to wciąż miałam swoją postać i kształt – jak łąza wypełniona helem, zawieszona na nocnym niebie.

Ogarnęła mnie panika, że mogę spaść – albo że właśnie umarłam i opuszczam ziemię na zawsze! Ale wtedy zorientowałam się, że tam, w górze, nie jestem sama. Tam był ktoś obok mnie: Sam. I to było prawie tak, jakby mówił do mnie wewnątrz mojego mózgu, chociaż wystarczyło popatrzeć, by zobaczyć, że oba nasze ciała siedzą obok siebie na ziemi, poniżej!

– Nie patrz na dół, Ariel – wyszeptał we mnie. – Patrz do góry. Wejźmy w światło razem..

Dziwne, potem nigdy o tym nie mówiliśmy, ani razu. A jeszcze dziwniejsze, nigdy nie uważałam tego za sen. Jeśli już, to ten sen był bardziej prawdziwy niż rzeczywistość, tak jak trójwymiarowy świat w technikolorze jest o wiele bardziej wyrazisty niż dwuwymiarowe czarno-białe zdjęcie naklejone na płaską tekturkę. A także sięgał dalej i głębiej niż rzeczywistość. Ale jeśli miałabym ująć go w ramy jakichś specjalnych słów, nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Weszliśmy w światło razem jak dzieci, Sam i ja. Tym razem mieliśmy zrobić tak samo raz jeszcze, ale tym razem, wiedziałam, miało być całkiem inaczej. My dwoje mieliśmy być przemienieni w jedno, w wiosenny poranek pośród dzikich kwiatów.

Tym razem już się nie bałam.

Kiedy leżałam w ramionach Sama całe godziny później, zamiast wyczerpania, czułam ożywienie, jak gdyby moje żyły nagle wypełniły się czymś lekkim i musującym.

– No i jak byś to opisał? – spytałam go, kiedy splótł moje palce ze swoimi. – To, co nam się przydarzyło?

– Hmm... – wymruczał Sam. – Chyba, jeśli żądasz jakiejś nazwy, dobrym technicznym terminem byłby „obopólny orgazm”. Bardzo długi. W zasadzie nieskończony, przewlekły, kilkugodzinny, nieprzerwany obopólny orgazm...

Zasłoniłam mu twarz dłonią.

– Z drugiej strony – ciągnął, uśmiechając się i całując moje obnażone ramię – można by całą sprawę uprościć i nazwać ją miłością. Byłaś zaskoczona?

– Przyznaję, jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam.

– Powinno mnie to podnieść na duchu – usłyszałam w odpowiedzi. – Ale uczciwie mówiąc, ja też nie.

Usiadł i popatrzył na mnie, leżącą w trawie, i przebiegł palcami po moim ciele od podbródka aż do pępka, aż zadrżałam. Pochylił się i pocałował mnie w usta tak, jakbyśmy powoli wlewali w siebie gwiazdny pył. Nie mogłam tego inaczej określić.

– Myślę, że orkiestra wystarczająco się zgrała – orzekł Sam. – Dosyć powtórek... co z prawdziwym koncertem, zwanym życiem?

Sam i ja przebywaliśmy w górach jeszcze sześć miesięcy dłużej, do początków listopada. Posępny Niedźwiedź, spodziewając się pierwszych dużych śniegów, przysłał nam rakiety, narty i kilka skór niedźwiedzi.

Prawie kończyliśmy przekłady manuskryptów – Earnesta, Lafcadia, Zoe i runów Jersey wykradzionych Augustusowi. Tak jak myśleli Wolfgang i inni, manuskrypty wskazywały miejsca na ziemi wykreślające siatkę, która według starożytnych nie tylko posiadała niezwykle moce, lecz którą także najwyraźniej się posługiwali podczas obrzędów i misterii – opisanych tu szczegółowo, a mieszczących się w przedziale czasu nie mniejszym niż pięć tysięcy lat. Pilnie strzeżony sekret dawnych tajemniczych religii i kultów, takich jak wierzenia staroegipskie, jak mistyczny orfizm czy pitagoreizm, sprowadzał się do tego, że dzięki aktywacji tej siatki spływała na ziemię energia, która ją przeobrażała i wiązała nas, ludzi, w rodzaj alchemicznego „małżeństwa” z kosmosem.

– Czy wiesz, co to takiego środek symetrii? – spytał któregoś dnia Sam. Kiedy zaprzeczyłam, wyjaśnił: – Modelowanie matematyczne, stosowane między innymi w teorii katastrof, pozwala wyznaczyć środek symetrii dowolnej powierzchni. Istnieje na przykład model samoistnego pożaru. Jeśli pożar wybucha na krańcach jakiegoś pola, to niezależnie od jego kształtu można dokładnie przewidzieć, gdzie ogień wygaśnie, wyznaczyć rzeczywisty środek, kreśląc proste linie wokół obwodu pola, a następnie rysując do nich prostopadłe. Miejsce, w którym przecina się większość linii, jest absolutnym środkiem – rodzajem ścieżki najmniejszego oporu. Wiele modeli pól można

analizować w ten sposób – pole światła, mózgu, ziemi, a pewnie i kosmosu. Pozwól, że ci to przedstawię na ekranie laptopa:

– Nie sądzisz, że wystarcza, iż miejsca, których szukamy, są połączone prostymi liniami albo układają się w sześcioramienne gwiazdy? – snułam domysły. – Sądzisz, że są ważne, bo działają jako środki symetrii?

– Jako rodzaj wiru – zgodził się Sam. – Czegoś, co przyciąga energię i zwiększa jej moc, ponieważ jest prawdziwym środkiem formy.

Część stron, które mieliśmy przed sobą, odsłaniała nam swoje tajemnice. Na przykład, jak nas oświeciło któregoś dnia, opatentowane rysunki, które Nikola Tesla zrobił dla swojej wieży wysokiego napięcia zbudowanej w Colorado Springs wieży, która według niego mogła kierować energię przez siatkę świata – bardzo przypominały słynny rysunek pierwszej alchemicznej retorty Kleopatry, pochodzący z jednego z najstarszych zachowanych alchemicznych tekstów. A obie – wieża i retorta – jako żywo przypominały literę T, krzyż Tau, symbol starożytnych Egipcjan, jak również runiczne Tyr, o którym mówiła Zoe, i dalej, magiczny filar Zeusa. I, niesamowite, nawet samego Irminsula, zniszczonego przez Karola Wielkiego, lecz tysiąc lat później odbudowanego w Lesie Teutoburskim przez Adolfa Hitlera.

Niemniej oboje z Samem wiedzieliśmy, że nasze zadanie nie skończy się wraz z przetłumaczeniem wszystkich manuskryptów. Niektóre z nich wskazywały na inne, takie, które dotychczas nie ujrzały światła dziennego. Owszem, nie było już dla nas tajemnicą, że przed tysiącami lat tego rodzaju rzeczy ukrywano w szczelinach góry Ida na wybrzeżu ówczesnej Azji Mniejszej, w Pamirze w Azji Środkowej, w centralnej Grecji, w grocie, w której Eurypides napisał swoje sztuki, i temu podobnych miejscach – ale choć rzeczywiście znaleziono tam pewne stare dokumenty, najwyraźniej nie można było zagwarantować, że te, które by kompletowały naszą wiedzę, tkwią tam do dziś. Postanowiliśmy, że jak tylko uporamy się z naszym zadaniem, idąc w ślady Pandory i Cleo, spróbujemy odnaleźć przynajmniej kilka innych.

Niesamowite było także, że za każdym razem, kiedy z puszek Pandory wyskakiwały jakieś dawne rewelacje, natychmiast odbijały się echem gdzieś w świecie, właśnie teraz. Wiedzieliśmy, że na pewno nadchodzi oczekiwana transformacja.

Nie tylko Rosja wycofała się w lutym z Afganistanu, ale także inne kraje dotychczas odgradzające się od świata murami politycznymi czy fizycznymi nagle musiały zmierzyć się z potężną falą demokracji, która niczym woda spiętrzona za tamą usiłuje wrócić do swego naturalnego poziomu, swojego środka symetrii.

W czerwcu plac Tian'anmen w Chinach – kraju najbardziej słynnego z muru, który można oglądać nawet z kosmosu wybuchł społecznym protestem, i chociaż protest zdławiły czołgi, drożdże fermentu i tak zaczęły rosnać. Potem, oczekiwanego przez nas dziewiątego listopada – ponieważ tę datę Wolfgang identyfikował jako punkt zwrotny dla Napoleona, de Gaulle'a, cesarza Wilhelma i Adolfa Hitlera – otrzymaliśmy zdumiewające wieści, via nasz appaloosa ekspres, od Lafa i Bambi z Wiednia. Mur berliński, ponaddwudziestopięcioletni symbol podziału Europy na wschodnią i zachodnią, został zburzony w czasie jednej nocy. Fala przyływu wreszcie wzięła odwet; toczyła się

teraz i nic nie mogło jej powstrzymać.

Nadszedł koniec grudnia – dziewięćdziesiąte urodziny Lafa, który przyszedł na świat w Natalu w Afryce Południowej, i dopiero wtedy przyszło mi odkryć coś, na co po cichu oboje z Samem liczyliśmy. Pracowałam nad tekstem zapisanym greką na długim zwoju bardzo starego i kruchej lnianego płótna, który właśnie wyjęłam z jednej z akrylowych tub Sama. Widziałam ten tekst po raz pierwszy, co do tego nie było wątpliwości, lecz kiedy zaczęłam wklepywać greckie słowa w klawiaturę laptopa, pomyślałam, że wydaje mi się znajomy.

– Czy pamiętasz dokument Zoe, który tłumaczyliśmy jakieś dwa miesiące temu? – spytałam Sama, który pracował przy swoim komputerze po drugiej stronie wigwamu, siedząc po turecku, z przewróconym na grzbiet, śniącym kocią nirwanę Jazonem na podołku. – Tę historię o głosie płynącym przez wody, z wysp Paksoj. Ów głos nakazywał egipskiemu sternikowi, aby mijając Palodes, obwieścił, że umarł wielki bóg Pan.

– Tak, Tyberiusz chciał go wypytać – przytaknął Sam. Sternik nazywał się Tammuz, tak samo jak umierający i odradzający się bóg w starożytnych misteriach. I obwieścił śmierć

boga Pana w tym samym tygodniu, kiedy umarł Jezus. No więc, masz coś nowego?

– Nie jestem pewna. – Wciąż stukałam w klawiaturę. – Ale chyba ten tekst może nam służyć za klucz do uporządkowania spraw, i to na głębszym poziomie. Niestety, miejscami jest pozacierany i ma parę luk, ale i tak widać wyraźnie, że to list kobiety do mężczyzny... kobiety, którą, zdaje się, zdążyliśmy już poznać.

– Może przeczytasz go na głos? – zasugerował Sam, pokazując na pochrapującego Jazona. – Nie cierpię przeszkadzać kotom w ich głębokiej kontemplacji.

Więc przeczytałam.

Góra Perdido, Pireneje, Ga...

Ukochany Józefie,

Idąc za twoją radą, mój brat Łazarz i ja ukryliśmy alabastrowe naczynie, kielich i inne przedmioty, których dotykał Mistrz za swoich ostatnich dni, tu, w bezpiecznym miejscu wewnątrz góry, i teraz modlimy się, by przetrwały całe do czasu, aż będą potrzebne. Spis owych przedmiotów, a także wskazówki, jak do nich trafić, wyślę oddzielnie.

W ostatnim liście piszesz, że żyłeś już dość długo i że być może wkrótce sam dołączysz do Mistrza. Pytasz, czy ja, jako jedyna prawdziwie wtajemniczona przez Mistrza, uznam za możliwe podzielenie się z tobą moim spojrzeniem na wydarzenia z ostatniej wieczerzy, którą spędził ze swymi uczniami, i pytasz dalej, jak ono się ma do wcześniejszych relacji, które ci przesłałam, relacji spisanych przez innych świadków tego wydarzenia.

Nie potrafię ubrać w słowa tego, co może być jedynie poznane samym doświadczeniem zdobytym podczas inicjacji. Ale się postaram, najlepiej jak potrafię.

Zawsze wierzyłam, że we wszystkim, co powiedział czy zrobił, Mistrz wyrażał się na dwóch poziomach, chociaż między jednym a drugim czynił wyraźne rozróżnienie. Nazwijmy je poziomami nauczania i inicjacji. W nauczaniu troszczył się o używanie alegorii i przypowieści, aby dostarczyć przykładu na to, co chciał zakomunikować. Tyle że pod alegoriami i przypowieściami zawsze krył się drugi poziom, poziom symbolu, którego używał wyłącznie w związku z inicjacją.

Mistrz powiedział mi, że pojedynczy symbol, wyłowiony w ten sposób, może dotyczyć wielu poziomów w umyśle ucznia. Gdy ktoś raz w ten sposób doświadczy specyficznej wizji, jej głębsze znaczenie działa na niego podskórnie na pierwotnym, niemal fizycznym poziomie.

Na swój sposób Mistrz był jak jeden z tych wschodnich magów, których mądrość studiował – zawsze w drodze, szukający, pytający, wypatrujący swojej szczególnej gwiazdy, aby pójść za nią w noc bezkresnej tajemnicy. Widać było, że stale rozrzuca klucze na tej swojej drodze, na tej swojej wciąż od nowa przededywanej ścieżce, w czasie pogoni za wtajemniczonym, który mógłby je podjąć z ziemi i ruszyć ową ścieżką za nim. Jeszcze dzisiaj, a to już tyle lat, od kiedy nas opuścił, jeszcze dzisiaj czuję ten sam dreszcz na wspomnienie tonu jego głosu, kiedy pierwszy raz przemówił do mnie: „Zostaw swoje rzeczy i pójdz za mną”. Teraz rozumiem, że miał na myśli dwa poziomy, że nie tylko miałam iść za nim, ale miałam się od niego uczyć stawiania właściwych pytań.

Pytania Mistrza tamtego ostatniego wieczoru wydawały mi się, jak zawsze, tak samo ważne jak jego odpowiedzi. Powiedział innym, że to ja powinnam znać odpowiedź na jego pytanie o znaczenie Sulamitki, ukochanej Salomona z *Pieśni nad Pieśniami*. Ale potem wystąpił z własną odpowiedzią: Sulamitka to uosobienie mądrości. Lecz czy przypominasz sobie, co powiedział przedtem? Powiedział, że to „zawężłony” problem. Kiedyś użył tego samego wyrażenia, pytając ciebie, co jest „niezmienne i nieprzemijające”; sugerując, że jego odpowiedź za każdym razem jest tylko częścią odpowiedzi.

Mistrz uważał, że wtajemniczony powinien sam dążyć do wyświetlenia całej odpowiedzi. W tym wypadku, w co nie wątpię, wyraźnie sugerował, że on zna tę odpowiedź. Grecki rdzeń słowa węzeł brzmi *gno* – wiedzieć – od którego wywodziśmy gnozę, ukrytą wiedzę, mądrość. W wielu językach można znaleźć słowa pochodzące od tego rdzenia, ale ich znaczenia sugerują sposoby zdobywania takiej ukrytej wiedzy.

Identyfikując Sulamitkę z gwiazdą ze Wschodu czy Gwiazdą Poranną, Mistrz jeszcze raz skierował naszą uwagę na dawne misteria. W poemacie ukochana Salomona jest śniada i piękna:

uosabia ciemną materię, Czarną Dziewicę ze starożytnych wierzeń czy czarny kamień, który spada z niebios.

Trzema wybranymi uczniami z wewnętrznego kręgu Mistrza byli Szymon Piotr oraz Jakub i Jan Zebedeusze. I to oni chcieli zasiąść obok Niego, kiedy nadejdzie królestwo. Ale on ich wyznaczył – według mnie symbolicznie – do wypełnienia indywidualnych misji, w bardzo charakterystycznych miejscach na ziemi: Jakub, po śmierci Mistrza, miał się udać do Brygancjum, Jan do Efezu, a Piotr do Rzymu. Pierwsze miejsce jest ojczyzną celtyckiej bogini Brigitty; drugie – ojczyzną greckiej Artemidy, rzymskiej Diany. A sam Rzym jest domem dawnej frygijskiej Kybele, Wielkiej Macierzy, czarnego kamienia sprowadzonego ze środkowej Anatolii, który teraz króluje na Palatynie. Pierwsze

litery tych trzech miast, złączone w jedno, wymawia się jak BER – jak akronim bogini niedźwiedzicy.

Te trzy miejsca na ziemi wyobrażają trzy twarze starożytnych bogiń – bogiń, które były uosobieniem Sulamitki z poematu.

Tak więc pytanie Mistrza – kim była śniada kobieta z *Pieśni nad Pieśniami* – zmierza wprost do sedna jego przesłania: pieśń miała być formułą wtajemniczenia – tego, którego mieli dostąpić jedynie owi wyznaczeni do prowadzenia Wielkiego Dzieła. Małżeństwo białego króla, z sadu jabłoni, i śniadej robotnicy z winnicy uosabia małżeństwo boskie i cielesne i jest nagim ziarnem wszelkich tajemnic.

Kiedy skończyłam czytanie i podniosłam wzrok, Sam, wciąż z Jazonem na podołku, wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu.

– To jeden z tych tekstów, które sam tłumaczyłem, zanim jeszcze Wolfgang wykradł kopie manuskryptów – powiedział. Zawiera treści, które mogłyby obalić parę z tych zacnych teorii celibatu, ale raczej nie wierzę w jego prawdziwość. I dlaczego powiedziałaś, że ma coś wspólnego z głosem płynącym przez wody czy ze śmiercią wielkiego boga Pana?

– Bo może to on wiąże w jedno wszystkie manuskrypty Pandory – zauważyłam. – Myślę, że ten list mówi, że wtajemniczenie, każde wtajemniczenie, wymaga swego rodzaju śmierci. Śmierci dla świata, śmierci dla własnego ego, śmierci dla „poprzedniej jaźni” czyjejs egzystencji; takiej, jaka dotyka ziemi, która każdego roku umiera i każdego roku odradza się do no

■Ml

wego życia. Nie zapominaj, że dwaj bogowie, którzy przybywali rok w rok do Delf, to byli Apollo, król jabłek, i Dionizos, bóg winnej latorośli... podobnie jak bohaterowie *Pieśni nad Pieśniami*. Tak samo narodziny i chrzest nowego eonu, dzielnego nowego świata, wymagają śmierci starego sposobu myślenia, starego systemu wierzeń... nawet śmierci starych bogów.

– A więc węzeł to po prostu inny sposób patrzenia na wątek i osnowę – stwierdził Sam.

Pomyślałam o czymś jeszcze i uruchomiłam na moim ekranie dokument stryja Lafa, tłumaczony wcześniej.

– Przypominasz sobie tę rzecz o zakonie templariuszy świętego Bernarda i o świątyni Salomona? Zgadnij, jakie według tego manuskryptu było logo na zakonnej fladze? Czaszka i piszczel, tak jak trupia główka na mundurach szwadronów SS Heinricha Himmlera. Ale w tym dokumencie to nie znaczy śmierć. Znaczą życie.

– Jak to?

– W tych manuskryptach pojawiają się nieustannie dwie postaci, ważne dla panteonu greckiego. Atena i Dionizos. Jak myślisz, co mają ze sobą wspólnego?

– Atena była boginią całego państwa – odparł Sam. – Ale także rodziny, domu i krosien... zatem

ładu i porządku. A ład po grecku to *kosmos*. Podczas gdy Dionizos był panem chaosu. Jego pogańskie święta, które przeżyły w tradycji chrześcijańskiej pod postacią tłustego czwartku, były przyzwoleniem na picie i rozwiążłość, i szaleństwo. Są powiązane ze starożytną kosmogonią, w której kosmos często rodzi się z chaosu.

– Znalazłam inne powiązania, w sposobie ich narodzin mówiłam z zapalem. – Ciężarna matka Dionizosa, Semele, została spalona przez jego ojca Zeusa, który pojawił się przed nią w otoczeniu gromów i błyskawic. Zeus wydarł z jej łona nie narodzone dziecko, zaszył je we własnym ciele i urodził z własnych lędźwi. Dlatego nazywa się Dionizosa „podwójnie narodzonym”.

– A Atena została połknięta przez Zeusa i potem wyszła z jego czoła – dokończył Sam. – Dlatego zawsze potrafiła czytać w jego myślach. Rozumiem. Jedno urodziło się z czaszki, a drugie z lędźwi ojca. Czaszka i piszczele, dwa sposoby tworzenia, duchowe i świeckie, tylko w zjednoczeniu są całością czy świętością... czy tak?

Przypomniały mi się słowa świętego Bernarda z jego komentarzy do *Pieśni nad Pieśniami*: „Miłość boska jest osiągalna przez miłość cielesną”.

– Pewna jestem, że to jest to, do czego ta historia nawiązuje... do Tajemnic. – Byłam coraz bardziej podniecona. – Przesłanie niewątpliwie sugeruje, że nie ma śmierci bez aktu miłosnego.

– Przepraszam?

– Bakterie nigdy nie umierają, one się dzielą – zauważyłam. – Klony po prostu powielają ten sam materiał. Ludzie to nic innego jak zwierzęta, które rozumieją i przewidują śmierć. To podstawa każdej religii; najważniejsze doświadczenie religijne. Nie sam duch, lecz związek między życiem i śmiercią, duchem i materią.

– W naszym układzie nerwowym ma dwie gałęzie świadomość z emocjami łączy się za pomocą nerwów czaszkowych i nerwów rdzeniowych. To one są łącznikami między mózgiem i sacrum – zgodził się Sam. – Twoja czaszka i piszczele, kości kolanowe połączone z kośćmi udowymi, to coś, co jest kojarzone w wielu językach z potężnymi produkcyjnymi właściwościami, jak w słowie „geniusz” i francuskim *genoux*, kolana. Istnieje wiele dowodów, fizycznych i lingwistycznych, na pitagorejskie słynne powiedzenie: Co niebiańskie, to i ziemskie.

– Oto nad czym pracował mitologiczny Dionizos: połączyć sacrum z profanum. Jedynym sposobem na to jest krzyżowanie gatunków. Oderwać kobiety od krosien, przepędzić je od ogniska domowego wysoko w góry, kazać tańczyć i swawolić z młodymi pasterzami. Dionizos zniszczył swoje rodzinne miasto Teby, nie raz, lecz dwa razy. Albo raczej Teby same się zniszczyły.

– Raz przez kazirodztwo – stwierdził Sam. – Edyp zabił swojego ojca, został królem i ożenił się z własną matką. Jeśli chodzi o naszą rodzinę, całkowicie przyjmuję twój punkt widzenia. Ale jak było za drugim razem?

– Młody król Teb, Penteusz, zabronił kobietom, w tym swojej matce, uczestnictwa w dionizyjskich misteriach na górze Kitajron. Penteusz utrzymywał, że Pan Tańca nie jest prawdziwym bogiem ani synem Zeusa. Chciał, by kobiety pozostały na noc w swoich domach, tak by mężowie byli

pewni, że ich potomkowie i dziedzice nie będą synami satyrów czy pasterzy.

– I co się stało z młodym królem Teb? – spytał Sam.

– Jego matka oszalała. Rozszarpała własnego syna.

– Ale makabra – orzekł Sam, i jeszcze raz wyszczerzył się do mnie radośnie. – A więc to, co mówisz o Dionizosie, o bogu nadchodzącego wieku, zasadniczo sprowadza się do długo oczekiwanej odpowiedzi na pytanie Freuda: „Czego tak naprawdę chce kobieta”. Rozumiem, że wy, kobiety, chcecie wiecznej nocy, tak byście mogły biegać po górze, wyc, tańczyć, pić, swawolić z młodymi pasterzami... tak czy nie?

– Cóż, to faktycznie mogłoby odświeżyć parę zakrzepłych linii genetycznych – zgodziłam się. – Chyba nikt nie uświadomił ludziom takim jak Hitler czy Wolfgang, że krzyżowanie gatunków rodzi siłę. Myślę, że nasienie jakiegoś młodego pasterza w charakterze pyłka mogłoby być także odpowiedzią na pytanie Zoe: „Co sprawia, że sądzą, iż nie mogą?” Myślę, że to jest to, co mi powiedziałaś o kłamstwie przeciw miłości. Jeśli kłamiesz komuś innemu, kłamiesz sobie.

– Wczoraj być może dowiedziałem się czegoś, co wiąże ze sobą wszystkie nasze manuskrypty. – Sam posłał mi jeden z tych swoich złośliwych uśmiezków. – Esseńczycy, którzy żyli w Qumran w czasach Jezusa, wierzyli, że Adam miał przed Ewą inną żonę, o której się głośno nie mówi. A ta żona miała na imię Lilith, co znaczy „sowa”, mądrość, *sophia*. Ale Lilith opuściła Adama. Zgadnij dlaczego.

– Nie mam pojęcia.

– Adam nie pozwolił jej górować nad sobą – wyjaśnił Sam. Kiedy zobaczył moją minę, zaczął się śmiać. – Nie, doprawdy, mówię poważnie; myślę, że wpadłem na coś. Posłuchaj tylko.

Podniósł się ze swojej niedźwiedziej skóry i stanął przede mną.

– Lilith jest nie tylko mądrością; ona jest Matką Ziemią, wystarczająco mądrą, by podtrzymywać życie w każdym jego przejawie, pod warunkiem że nie będziemy jej przeszkadzać, że pozwolimy, by robiła to, co uważa za najlepsze. Może tajemnica, którą pragniemy odkryć, sprowadza się do mądrości naszych praojców dotyczącej tego, jak korzystać z naturalnych rytmów ziemi i jej energii, a nie – jak stawiać zapory na rzekach, które są jej arteriami, jak wrywać z jej trzewi minerały, jak wycinać drzewa, które są jej oddechem, jak ograniczać murami czyjeś życie.

Wiesz, że społeczność Indian opiera się na matriarchacie ciągnął. – Ale być może nie znasz przepowiedni Nawahów. Kiedy nastaną Dni Ostateczne, lądy, na których kobiety zostały sprowadzone do narzędzia w rękach męskiej tyranii, czy tam, gdzie na wspólnej ziemi panoszy się jakiś zaborczy patriarcha, te lądy w ostatniej godzinie zostaną zniszczone przez drugi potop.

Węc wracając do Matki Ziemi – dokończył z uśmiechem myślę, że od dzisiaj powinniśmy pozwolić jej górować nad wszystkim, tak jak na to zasługuje. Tak jak ty i ja.

I mówił prawdę.

SPIS TREŚCI

Grota 7

Wejście w krąg 13

Świadek 49

Węzeł 67

Runy 91

Wąż 115

Matryca 133

Karuzela 155

Prawda 193

Powrót 229

Dar 279

Mag 299

Oś 315

Winnica 345

Matki 377

Krew 397

Zaginiony ład 427

Wątek i osnowa 445

Ogień i lód 467

Dobro i zło 493

Posłaniec 515

Utopia 531

Uran 551

Taniec 583